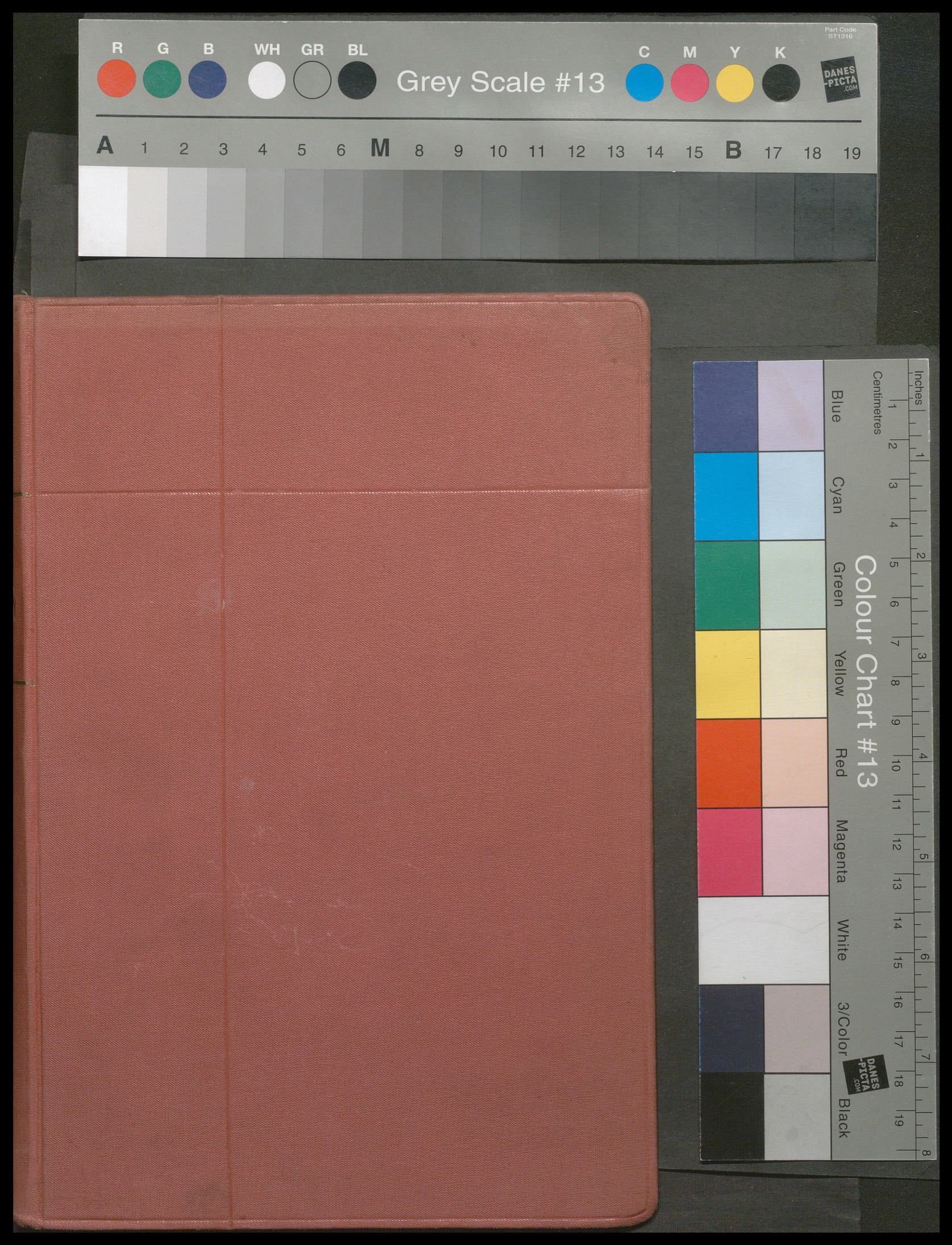

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

TADEUSZ ZIELIŃSKI

ŚWIAT ANTYCZNY

CZĘŚĆ DRUGA

GRECJA NIEPODLEGŁA



WARSZAWA MCMXXXIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

TADEUSZ ZIELIŃSKI

GRECJA NIEPODLEGŁA



KSIĘGOZBIÓR
IM.
JANUSZA ZARDECKIEGO

WARSZAWA MCMXXXIII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Czternaście tablic z ilustracjami

31628/2

KSIĘGOZBIÓR M. JANUSZA ZABOŁOCKIEGO

Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, Rynek Starego Miasta 11.

ROZDZIAŁ I.

OKRES WĘDRÓWEK

931

1. WĘDRÓWKA DORYJCZYKÓW

Więcej niż tysiąc lat przed Narodzeniem Chrystusa we wschodniej dzielnicy Grecji północnej, tam gdzie góra Eta zbliża się do morza, tworząc przesmyk Termopil, zamieszkiwało bitne i dzielne plemię Doryjczyków. W górskiej ojczystej krainie zrobiło się im zbyt ciasno, przedsięwzięli tedy nowych szukać okolic.

Słyszeli, że południowy półwysep Grecji — zwano go „wyspą Pelopsa", czyli Peloponezem—obfituje w pastwiska górskie, w równiny urodzajne i w zamożne miasta. Kraj ten wprawdzie liczni zaludniali mieszkańcy: na południu Achajowie, na północy—Jończycy. Mniemali wszakże Doryjczycy, że ludy owe, otoczone dostatkiem, wyzbyły się waleczności, oni zaś, w ubóstwie wyrośli, mocni są ciałem i duchem, i zdołają przeto ziemię ich podbić.

O samej wyprawie wieść niesie, co następuje.

Królowie Doryjczyków byli to potomkowie Heraklesa; uważali więc siebie za prawnych dziedziców Peloponezu, — jeśli nie całego, to głównej jego części. Herakles bowiem — mówili — był prawnukiem Perseusza, króla Argosu; ponieważ zaś w Peloponezie ród Perseusza wygasł, przeto prawem dziedzictwa kraj ten powinien im przypaść w udziale.

Jeszcze Hyllos, syn Heraklesa, zapytał był wyroczni w Delfach, zali pozwala mu Apollon przedsięwziąć wyprawę na Peloponez. Bóg odpowiedział: „Czekajcie do trzeciego plonu". Hyllos sądził, że bóg ma na myśli plon zboża; przeczekawszy tedy dwa lata, w trzecim roku ruszył na Peloponez.

Czas był sprzyjający: ludy Peloponezu wtenczas właśnie, pod wodzą Agememnona, oblegały Troję; w kraju

niezbędna tylko pozostawała obrona. Ale Peloponez od Grecji pozostałej oddzielał Istmos, to zaś międzymorze, samo przez się wąskie, było ponadto górzyste, tak, że tutaj szczupła nawet załoga wstrzymać mogła najsilniejsze wojsko.

Tutaj też wojownicy peloponescy zagrodzili drogę Hyllosowi i Doryjczykom. Po szeregu niepomyślnych utarczek Hyllos oświadczył Peloponezczykom: „Niechaj najmężniejszy witeź z pośród was stanie ze mną do boju. Jeżeli polegnie, wy będziecie musieli oddać swoją ziemię mnie i mojemu ludowi. Lecz jeśli polegnę ja, Doryjczycy wrócą do swej krainy, a Peloponez w waszych pozostanie rękach".

Wystąpił na bój z Hyllosem witeź z arkadyjskiego miasta Tegei, imieniem Echemos. Hyllos był pewien zwycięstwa: wszak bóg obiecał oddać Peloponez Doryjczykom, skoro trzeci dojrzeje plon. Nie spełniła się wszakże jego nadzieja: w pojedynku, jaki się wywiązał, Echemos zabił swego przeciwnika. Doryjczykom wypadło cofnąć się z powrotem.

Zaczem jęli szemrać: „Apollon nas oszukał". Lecz rozważniejsi z pośród nich odrzekli: „Nie, my zrozumieliśmy błędnie jego słowo. Nigdy nie mówi on jasno, ależ też i nie zataja prawdy, pozwala ją natomiast odgadnąć. Obiecał on nam Peloponez przy trzecim plonie; będzie to jednak nie plon zboża, ale plon ludzi. Pierwszy to ten, który wzrasta obecnie wraz z synem Hyllosa, naszym królem nowym. Drugim będzie wnuk Hyllosa i jego pokolenie; prawnukowie zaś Hyllosa i ci Doryjczycy, którzy wraz z nim żyć będą, to będzie ów plon trzeci".

Na nich to postanowiono czekać.

Prawnuków Hyllosa było trzech: Temenos, Arystodemos i Kresfontes. Osiągnąwszy wiek męski, przedsięwzięli wyprawę na Peloponez, naprzód jednak udali się do Delf z zapytaniem, w jaki sposób poprowadzić wojnę. Wyrocznia odpowiedziała: „Wybierzcie wodzem trójokiego". Opuszczali świątynię zakłopotani: skądże wynaleźć mieli takiego potwora? Ale w tej właśnie chwili

ujrzeli jeźdźca, który na mule o jednem oku zbliżał się do świątyni. Domyślili się, że jego to właśnie wskazywał bóg. Okazało się, że jeździec ów był to Oksylos, król Etolji: i on także szukał dla swego ludu nowych krain. Dowiedziawszy się o wyroczni boga, Oksylos zgodził się być wodzem, ale wyjednał dla siebie udział swój przy podziale Peloponezu, a mianowicie górzystą dzielnicę zachodnią, Elidę, którą dwie przecinają rzeki: Alfeusz i Peneusz. Poczem rzekł: „Międzymorzem przejść niesposób. Ale w ojczyźnie mojej jest miejsce pewne, kędy zatoka się zwęża i brzeg północny Peloponezu podchodzi zupełnie blisko do południowej krawędzi Grecji środkowej. Góry są tam porośnięte lasem; nabudujemy okrętów i na nich przewieziemy wojsko do Peloponezu.

Tak też uczynili. Miejscowość zaś, w której Doryjczycy zbudowali swe okręty, do czasów najpóźniejszych nazywała się Naupaktos, t. j. budowa statków.

Stolicą Peloponezu był wtenczas Argos, w którym panował król Tisamenos, syn Orestesa a wnuk Agamemnona. Wyprowadził on przeciw Doryjczykom siły peloponeskie. Stoczono wielką bitwę. Peloponezczycy byli pokonani. Teraz można było kraj dzielić.

Z pośród dzielnic jego północna i środkowa, gęsto pokryte górami, mało nęciły zdobywców. Zachodnią, Elidę, wedle umowy wypadło ustąpić Oksylowi i jego Etolczykom. Pozostawały dla trzech braci Heraklidów trzy działy: na wschodzie Argolida, mało urodzajna, ale z królewskim grodem Argosem, stolicą całego Peloponezu; na południo-wschodzie Lakonika, stanowiąca dolinę Eurotasu, żyźniejsza, jakkolwiek niemałej wymagająca pracy; nakoniec na południo-zachodzie bujna Messenja, czyli dolina Pamisu.

Heraklidzi wznieśli trzy ołtarze ku czci Zeusa, swego naczelnika rodu, i wobec nich poprzysięgli sobie pomoc w godzinach niedoli. Jeden z braci, Arystodemos, już wtenczas nie żył, i za jego nieletnich synów—bliźnięta, Eurystenesa i Proklesa — złożył przysięgę ich opiekun. Zaczem przystąpiono do podziału. Ponieważ jednak trzy

części ziemi podbitej nierównej były wartości, i wszyscy pragnęli otrzymać bogatą Messenję, więc postanowiono zdać sprawę na wolę bożą, która powinna była objawić się — tak wierzono wówczas — w losowaniu.

Losowanie u starożytnych odbywało się tak: do dzbana glinianego nalewano wody i w wodę tę każdy rzucał los — kamyk. Potem wodę w dzbanie wprawiano w ruch i wylewano: czyj przytem los wypadał pierwszy, ten stawał się pierwszym.

Jak już wiadomo, wszyscy mieli ochotę na urodzajną Messenję. Gdy jednak inni kornie czekali na objawienie woli bożej, Kresfontes uciekł się do podstępu: inni wrzucili do dzbana po kamyku, on zaś wpuścił doń twardą grudę ziemi, która natychmiast rozpuściła się w wodzie. Pierwszy wypadł z dzbana los Temenosa — wziął więc Argolidę. Drugi—los Eurystenesa i Proklesa: przysądzono im Lakonikę ze stolicą jej Spartą. Kresfontowi pozostała w udziale Messenja.

Zaczęli wtedy królować każdy w swej dzielnicy. Oto dlaczego do czasów najpóźniejszych w Sparcie bywało zawsze dwóch królów: jeden z linji Eurystenesa, drugi z linji Proklesa. Ale podstęp Krestofonta wyszedł na jaw: niewiadomo, czy sam się z nim zdradził, czy też wyjawiła go wyrocznia, dość, że dowiedzieli się o nim potomni. Odtąd opinja oszusta bogów zawisła nad Kresfontem, i wszystkie dalsze nieszczęścia jego rodu rozumiane były, jako odkupienie owej zuchwałej próby sfałszowania woli boskiej.

2. KODROS

Doryjczycy, którzy poszli za Temenosem, jęli rozszerzać swe posiadłości na północ od zdobytego przez się kraju — Argolidy. Szczególnie ważne było wzięcie Koryntu na Istmie, mającego przystanie morskie w obu zatokach, Saronskiej i Korynckiej. Następnie zdobyli oni

także i Megarę, która wtenczas była dość dużem miastem, i stąd jęli zagrażać Atenom.

Ateny były wtenczas jednem z drugorzędnych miast Grecji; ich kraina nie słynęła z urodzajności, a handlu morskiego nie uprawiały. Ale mieszkańcy ich, zahartowani w życiu surowem i ubogiem, byli wytrwali i bitni i ani myśleli oddawać ziemi, która ich wykarmiła i na której stały ołtarze ich bogów. Oblężenie się tedy przeciągało. Doryjczycy wyprawili poselstwo do Delf, aby się zapytać, czy sądzono im zdobyć Ateny. Wyrocznia odpowiedziała: „Tak, jeśli nie zabijecie ich króla". Królem zaś Aten był wtenczas Kodros.

Dowiedziawszy się o wyroczni, wodzowie doryjscy wydali rozkaz swym wojom, aby szczędzili króla Aten. W Delfach atoli mieszkał niejaki Kleomantys; był to „proksenos" ateński, t. j. podejmował w swoim domu gości ateńskich, gdy przychodzili, aby pytać wyroczni; pełnił więc urząd wysoce szanowny. Posłyszawszy o wyroczni, udzielonej Doryjczykom, Kleomantys przedarł się skroś łańcuch oblegających do Aten i doniósł Kodrosowi o wyroku boga.

Wtenczas Kodros postanowił poświęcić się na ofiarę ojczyźnie. Powiadomiwszy swych bliskich o powziętym zamiarze, przebrał się za żebraka i wyszedł za wrota miejskie, uzbrojony w motykę, jakby dla zbierania chrustu. Natychmiast zbliżyli się doń dwaj wojownicy doryjscy i jęli go rozpytywać o sprawy miejskie. Rzekomy żebrak odpowiadał niechętnie; tamci od pytań przeszli do pogróżek; wszczął się gorący spór, zakończony tem, że Kodros jednego z wojów ubił ciosem motyki, ale zaraz potem i sam poległ z ręki jego towarzysza.

Wkrótce z bramy ateńskiej wyszło poselstwo uroczyste z heroldem na czele. Poznawszy herolda po lasce z wężykami, Doryjczycy zrozumieli, że posłowie w pokojowych przychodzą celach i że ruszać ich nie można. Ze czcią poprowadzono ich do namiotu wodzów. Ci spytali posłów, czegoby sobie życzyli, spodziewając się, że zaczną oni mówić o warunkach poddania oblężonego miasta. Aliści najstarszy poseł rzecze:

— Ateńczycy proszą was, zgodnie z obyczajem helleńskim, abyście wydali dla przyzwoitego pogrzebu zwłoki zabitego przez was ich króla Kodrosa.

Wodzowie osłupieli.

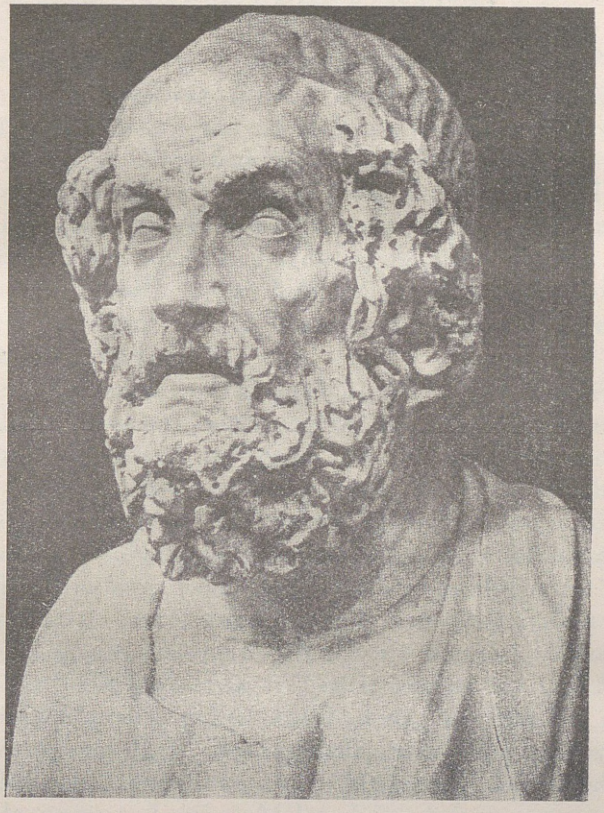
— Nikt z nas króla waszego nie zabijał.

Posłowie opowiedzieli im tedy, jak się rzecz stała. Żądaniu ich, oczywista, uczyniono zadość. Wkrótce zaś potem, Doryjczycy, zwątpiwszy o możności zdobycia Aten, zwinęli oblężenie i wrócili do swych siedzib.

Kodrosa pogrzebano z największemi honorami. Zwłoki jego, umyte i namaszczone przez członków jego rodziny, obleczono w szaty królewskie i wystawiono na przeciąg dwu dni w jego pałacu: wszyscy Ateńczycy przyszli, aby pożegnać swego wybawcę, i przez cały czas nie umilkał płacz pogrzebowy u jego łoża. Najlepsi pieśniarze i pieśniarki pokolei czyn jego wysławiali, przyczem obecni, uniesieni żalem, bili się w piersi, rwali włosy z głowy i rozdrapywali aż do krwi swe policzki. Poczem przy udziale całego ludu wyniesiono zwłoki za wrota miejskie, zwane „Dypilońskiemi" (t. j. „podwojami"); tu złożono je w ziemi, usypano kurhan, na szczycie zaś kurhanu postawiono kamienny posąg syreny płaczącej, symbol wiekuistej żałoby ludu. Sam zaś kurhan obsiano żytem, aby w ten sposób dać poznać, że kiedyś i dusza pochowanego zmartwychwstanie dla lepszego i wiecznego życia.

Następnie postanowiono, aby miano króla, uświęcone bohaterską ofiarą Kodrosa, odtąd nosił jedynie ten z jego dożywotnich następców, który uosabiał gminę przed obliczem bogów. Obok niego postawiono wodza, dalej—zarządcę cywilnego, wreszcie—sędziego. Wszyscy oni zwali się archontami. Liczba ich zwolna, wskutek komplikacji spraw sądowych, wzrosła do dziewięciu, przyczem urząd ich z dożywotniego stał się jednorocznym. W taki sposób rządy monarchiczne w Atenach stopniowo przeistoczyły się w arystokratyczne.

Nie zapomniano też o Kleomantysie: jemu i jego potomkom ofiarowano najwyższy zaszczyt, jakim rozpo-



HOMER

rządzało państwo wobec swych najbardziej zasłużonych obywateli — gościnę publiczną w t. zw. prytaneonie, t. j. w gmachu, gdzie zasiadały władze miejskie.

3. ZAŁOŻENIE KOLONIJ

Ale cóż stało się z dawnymi mieszkańcami Peloponezu, z Achajami oraz Jończykami? Część ich pozostała w kraju, poddawszy się władzy zwycięzców; o tych powiemy później. Ci wszakże, którzy kochali się w wolności, zabrali dobytek swój z sobą, co kto mógł, i z żonami i dziećmi wyszli przez Istmos. Jończycy znaleźli przytułek u swych pobratymców w Attyce i Eubei; Achajowie zaś zmięszali się z ludnością nadmorskiej Beocji i Tessalji i wespół z nią utworzyli plemię, zwane eolskiem, t. j. „pstrem".

Lecz wtenczas na ziemiach, które zamieszkali, zapanowała ciasnota, jednocześnie zaś błękitne morze ze swemi niezliczonemi wyspami nęciło wdal, by nowych szukać krain i nowego szczęścia. Wyspy zaludniono; następnie zamajaczyły wybrzeża lądów — Tracji na północy, Azji na wschodzie. Eolowie zajęli północno-zachodni kąt Azji Mniejszej, tam, kędy stała ongi zburzona Troja: większe jednak znaczenie posiadły ich kolonje na przeciwległej wyspie, Lesbosie. Jończycy bardziej upodobali sobie ujścia wielkich rzek w Tracji i także w Azji Mniejszej, otwierających przed nimi drogę do handlu z dzikiemi szczepami lądu. Szczególniej rozkwitły kolonje ich na środkowem wybrzeżu Azji Mniejszej, które od nich otrzymało nazwę Jonji — Milet, Efez i inne, wszystkich dwanaście. Za Eolami ruszyli i Doryjczycy, gdy rozmnożyli się tak bardzo, że ziemi, zdobytej w Peloponezie, już im nie wystarczało. Pociągnęli ku niezajętym południowo-zachodnim brzegom Azji Mniejszej a także ku przeciwległej wyspie, Rodosowi, opanowawszy po drodze i Kretę, oraz inne wyspy południowe.

Ale przedsiębiorczych żeglarzy wabiły też i morza zachodnie. Po przeciwnej stronie morza Jońskiego leżała

Sycylja oraz Italja południowa; niebawem i one zmuszone były przyjąć greckich kolonistów. W Sycylji założono Syrakuzy, w Italji południowej—Tarent; były to wszakże tylko kolonje najważniejsze pośród mnóstwa innych. Zkolei odkryto i morze, w którem kąpało się zachodnie wybrzeże Italji, t. zw. Tyrreńskie. Tu, w ślicznej miejscowości, zbudowano Neapol, Kumy i szereg innych miast. Nakoniec przepłynęli i morze Tyrreńskie: na południowym brzegu pięknej Francji założono kolonję grecką Massalję, istniejącą dotychczas pod imieniem Marsylji.

Groźniejszem od innych mórz było dla Greków morze Czarne, które, aby ułaskawić jego posępnego boga, nazywano Pontos Euxinos, t. j. „morzem gościnnem". Powoli jednak i z niem się oswojono. Najczynniej poprowadził sprawę Milet: tam, gdzie łączy się Bug i Dniepr, założył on kolonję, która otrzymała nazwę Olbii, t. j. „szczęśliwej". Od niej starożytni mieszkańcy Ukrainy południowej, Scytowie, nauczyli się uprawy pól i siewu zboża. Po Jończykach nadciągnęli i Doryjczycy: Megara wyprawiła nadmiar swych mieszkańców za Bosfor, i ci założyli miasto na północnym brzegu Azji Mniejszej, które nazwali wedle imienia swego bohatera plemiennego Heraklejà. Żeglarze zaś Heraklei zdobyli się na odwagę przepłynięcia przez morze Czarne i utworzyli kolonję na południowym brzegu Krymu—Chersonez. To ostatnie miasto zasłynęło w dziejach Rusi Kijowskiej: istniało ono jeszcze w roku 988 po N. Chr., kiedy to zdobył je kniaź Włodzimierz Kijowski. Stamtąd światło wiary Chrystusowej przenikało na Ruś.

Zazwyczaj kolonje powstawały w sposób następujący. Gdy w jakiemkolwiek mieście wytwarzał się nadmiar ludności, wyprawiano poselstwo do Delf, aby spytać Apollina, dokąd możnaby skierować kolonizację. W Delfach nietrudno było otrzymać wskazania, gdyż ich kapłani w stałych pozostawali stosunkach z kolonjami, już istniejącemi, i dzięki temu wiedzieli, dokąd należy wyprawić kolonistów. Otrzymawszy odpowiedź, którą poczytywano za błogosławieństwo samego Apollina, ko-

loniści udawali się na okrętach do miejscowości obiecanej. Brali z sobą ogień, zapalony na ognisku prytaneon miasta macierzystego, które odtąd stawało się „metropolją" (t. j. miastem-macierzą) dla kolonji.

Po przybyciu do nowej miejscowości, część ziemi wyznaczano pod świątynie bogów ojczystych, nie zapominając i o Apollinie. Ziemię pozostałą dzielono między kolonistów. Kolonja rządziła sama sobą; jednakowoż uważała siebie niejako za córę swej metropolji, ze czcią podejmowała jej obywateli, gdy ci przybywali do niej w gościnę, świadczyła jej pomoc w ciężkiej godzinie i sama, w potrzebie, na pomoc jej liczyła.

4. HOMER

Z pośród wszystkich kolonij, założonych przez Greków, do największego doszły rozrostu kolonje jońskie na zachodniem wybrzeżu Azji Mniejszej. Ich ziemia, wprawdzie, nie była duża: cały zajęty przez nie obszar tworzył wąską wstęgę nadmorską. Wszelako, popierwsze, była to ziemia nader urodzajna; powtóre zaś, stosunki handlowe z ludami niegreckiemi, zamieszkującemi ląd, zbogacały śmiałych i przedsiębiorczych kolonistów. Najpotężniejszy z ludów tych stanowili Lidyjczycy, bezpośredni Jończyków sąsiad, którego stolicą był Sardes nad rzeką Paktolem. Ów Paktol płynął ze złotonośnego Tmolu i przeto sam w piasku swym zawierał złoto, a właściwie mówiąc, stop złota ze srebrem, który Grecy za osobny poczytywali metal i nazywali „elektronem". W dalszym ciągu opowiemy, w jaki sposób owi Lidyjczycy stali się nieprzyjaciółmi Greków i zhołdowali ich miasta; narazie utrzymywali z nimi stosunki przyjazne i, nie zajmując się sami żeglugą, chętnie pozwalali, aby Jończycy na swych statkach dowozili im wszelkie towary zamorskie.

W taki to sposób miasta jońskie oraz ich królowie doszli do największego w całym świecie greckim bogactwa. Tu ze szczególnym przepychem obchodzono święta

ku czci bogów; tu setki byków, owiec i kóz zabijano u ołtarzy, skoro nadchodziły uroczyste dni Apollina, czczonego w Milecie, lub Artemidy, wielbionej w Efezie. U Greków, jednakże, składanych w ofierze zwierząt nie spalano w całości na cześć bogów: bogom ofiarowano tylko części bioder i wnętrzności, całą zaś resztę mięsa przeznaczano na ucztę dla uczestników ofiary. Każde święto kojarzyło się przeto ze wspaniałą biesiadą: gościnność grecka rozkwitała tu w całej okazałości. Królowie zapraszali też i gości zaszczytnych z miast innych, i swych krewnych oraz wielmożów, a niekiedy i wszystkich obywateli.

Ale właśnie podczas uczty Grek nie umiał poprzestawać tylko na jedzeniu, choćby i zaprawionem rozmową. Pragnął czegoś lepszego; tęsknił za czemś wyższem, ażeby dzień biesiady królewskiej na czas długi utrwalił się w pamięci. Kiedy już goście najedli się do syta, i cześnik jął w puhary nalewać wino — zazwyczaj rozcieńczone wodą — wtenczas, na hasło dane przez króla, herold jego sadzał u kolumny pałacowej, na krześle zaszczytnem, najdroższego gościa, pieśniarza. Częstokroć bywał to ślepiec, którego Muza, wzamian utraconego wzroku, wynagrodziła dźwięcznym głosem i darem wieszczym; ale zawsze był to tułacz, dziś goszczący u jednego króla, a po dniach kilkunastu—u drugiego. Pieśniarz przebierał palcami na prostej czterostrunnej lirze, a potem zwracał się do biesiadników z pytaniem: „O czem-że chcecie, abym śpiewał?" Król, a czasem jakiś gość dostojny, wskazywał przedmiot pieśni, zawsze z życia i dziejów bohaterów. „Zaśpiewaj nam, jak Achaje zdobyli Troję zapomocą konia drewnianego..." „Zaśpiewaj, jak Jazon posiadł złote runo..." „Zaśpiewaj o męczeńskiej śmierci Heraklesa..."

I pieśniarz zaczynał swą pieśń. Znał on na pamięć wiele tysięcy wierszy, których część pokaźna bywała jego własnem dziełem. Po krótkiej modlitwie do Muzy, która darzyła go natchnieniem, uderzając w struny liry, wygłaszał śpiewnie całe girlandy swych wierszy płyn-

nych i majestatycznych, które Grecy zwali heksametrami.

Najdawniejszego i najlepszego z owych pieśniarzy nazywali Grecy Homerem. Skąd pieśniarz ten ród swój wywodził, nie wiedziano dokładnie i wiele później toczono co do tego sporów, jak świadczą dwa ocalałe do naszych czasów wiersze — także „heksametry:"

Siedem grodów spór toczy o korzeń mądrego Homera...

mianowicie: Smyrna, Rodos, Kolofon, Salamin, Chios, Argos, Ateny (przyczem przez Salamin rozumieć należy miasto na Cyprze, nie zaś współimienną wyspę w zatoce Saronskiej).

Wieść niesie, że Homer był ślepcem, lecz Muza pokochała go ponad wszystkich ludzi i natchnęła go dwiema długiemi i pięknemi pieśniami. Jedna opiewała gniew Achilla pod Troją, druga — powrót do ojczyzny Odyssa po zdobyciu Troi. Pierwsza, Iliada, nie zawierała w sobie opowieści o całej wojnie trojańskiej: pieśniarz opowiadał tylko, jak w samej pełni oblężenia Troi Achilles, uniesiony gniewem na wodza Agamemnona za doznaną zniewagę, oddalił się od wojny, wskutek czego Hektor, królewicz trojański, mógł ubić w pojedynku jego najdroższego przyjaciela, Patrokla; jak rozjuszony tą stratą, Achilles wrócił do boju i zabił Hektora, lecz i tego gniewu pożałował, gdy ojciec zabitego, król Pryjam, wszedł nocą do jego namiotu i uprosił, aby mu zwłoki syna wydano dla godnego pogrzebu.

Podobnie-ż i drugi poemat, Odysseja, nie opiewała całego życia bohatera: pieśniarz opowiadał w nim, jak Odysseusz, pragnąc powrócić do kraju, zapędzony był od wiatrów na dalekie morza, przebywał czas jakiś u ludożerców, cyklopów, u czarodziejki Cyrce i w wielu innych miejscach, a nawet w krainie zmarłych i, wreszcie, odnalazłszy drogę do domu, zastał wierną swą żonę Penelopę we władzy zuchwałych zalotników, tak że wypadło mu w bitwie z nimi zdobywać na nowo i żonę, i swój pohańbiony dom.

Oto co opiewał Homer wobec słuchaczy za stołem królewskim w szczęśliwej Jonji. Pieśni Iliady o bojach witeziów hartowały ich ducha na podobne boje z hordami barbarzyńców, niejednokrotnie zakłócającemi życie i spokojnej Lidji, i jej helleńskiego pobrzeża. Opowieści Odyssei o bajecznych morzach i wyspach nieciły ciekawość jońskich żeglarzy i zachęcały ich do szukania w rzeczywistości tych krain czarownych, które ślepy pieśniarz oglądał tylko wzrokiem duszy, — i możemy być pewni, że śmiałe wyprawy Jończyków na morze Czarne i ku brzegom dalekiego Zachodu dokonały się głównie pod urokiem wiary, jaką obdarzali czarodziejskie opowieści Odyssei. Wszelako Grecy nauczyli się od Homera jeszcze jednej rzeczy, i rzecz ta była ważniejsza nad inne: była to miłość i cześć dla mężnego nieprzyjaciela.

Homer był sam Grekiem, lecz to nie przeszkodziło mu odmalować króla trojańskiego Pryjama, jego żony Hekuby, ich syna Hektora i synowej Andromachy w taki sposób, że wszyscy słuchacze zmuszeni byli myśleć o nich z najżywszem współczuciem. I gdy Achilles pędzi swego wroga wokół murów trojańskich, Zeus, bóg najwyższy, smuci się smętkiem głębokim wobec jego nieuchronnej śmierci i mówi sam do siebie:

Biada mi! Męża, którego miłuję, widzą me oczy,
Jak go wkrąg murów ścigają i serce me boleść przenika.

A więc Bóg jest jeden dla Greków i dla ich nieprzyjaciół, miłując każdego wedle jego zasług. Pogląd taki nazywamy humanitarnym, t. j. ludzkim. Homer był mistrzem ludzkości dla Greków, a Grecy—dla nas.

Niedługotrwały był splendor dworów królewskich w Jonji. Zwolna i tutaj władza przeszła z rąk królów w ręce wielmożów; rządy królewskie ustąpiły pola rządom możnowładztwa. W długi czas potem i możnowładztwo ustąpiło miejsca demokracji, czyli ludowładztwu. Ale sława Homera trwała niepożyta. Gdy przeminęły uczty królów i magnatów, pieśniarzy zaczęto zapraszać na święta wszechludowe, aby, współzawodnicząc między

sobą, głosili słuchaczom swym pieśni Homera: jak Achilles pokonał Hektora, i jak ulitował się doli jego starego ojca; jak Odyseusz wzgardził gnuśną szczęśliwością na wyspie bogini, by wrócić na kamienistą Itakę, do wiernej żony swej, Penelopy.

5. LIKURG

Śród zajętych przez Doryjczyków krain Peloponezu naczelnictwo, czyli po grecku hegemonja, należała do Argolidy, dawnego królestwa Agamemnona. Jednakowoż królowie Argolidy nie zdołali umocnić w niej swego władztwa: zbyt wiele w niej było dużych miast, pragnących żyć samodzielnie, nie zaś podlegać królowi Argosu. Na tem polegała słabość królestwa Temenidów. Około czterech wieków piastowali oni hegemonję, potem wszakże—w VII wieku—postradali ją nazawsze.

Im głębiej upadał Argos, tem wyżej dźwigała się Lakonika, królestwo Eurystenidów i Proklidów. Tu było jedno tylko miasto rządzące, Sparta; inne miasta, zamieszkałe przez pokonanych Achajów, podlegały Sparcie. Ich obywatele,— t. zw. perjekowie, t. j. „mieszkańcy okoliczni" — żyć mogli wolni, uprawiać handel i dążyć do bogactwa, ale w rządach kraju udziału nie brali. Znacznie gorsze było położenie włościan doliny Eurotasu, pochodzących ze szczepu pokonanego: ponieważ wszystką ziemię urodzajną Doryjczycy spartańscy zagarnęli dla siebie, więc dawnych posiadaczy-włościan przykuli do roli i zmusili do pracy pańszczyźnianej. Po grecku tych chłopów pańszczyźnianych zwano helotami, t. j. „zabranymi".

Pozatem, Doryjczycy spartańscy, czyli sparcyaci, jak z dumą siebie nazywali, zawdzięczali potęgę swą surowym prawom. Prawa te przypisywali oni niejakiemu Likurgowi, który, jak mniemano, żył w IX wieku. Królem nie był; był tylko opiekunem nieletniego króla i kierownikiem rządów. Widząc, że w Sparcie wiele dzieje się nierządu wskutek współzawodnictwa bogatych obywa-

teli, udał się Likurg do Delf, aby wyjednać dla się oświecenie zwyższa na wielkie dzieło uporządkowania kraju ojczystego. Wkroczył do świątyni; ale nie skończył jeszcze swej modlitwy, a już z jej głębi niedostępnej rozbrzmiewał głos Pitji:

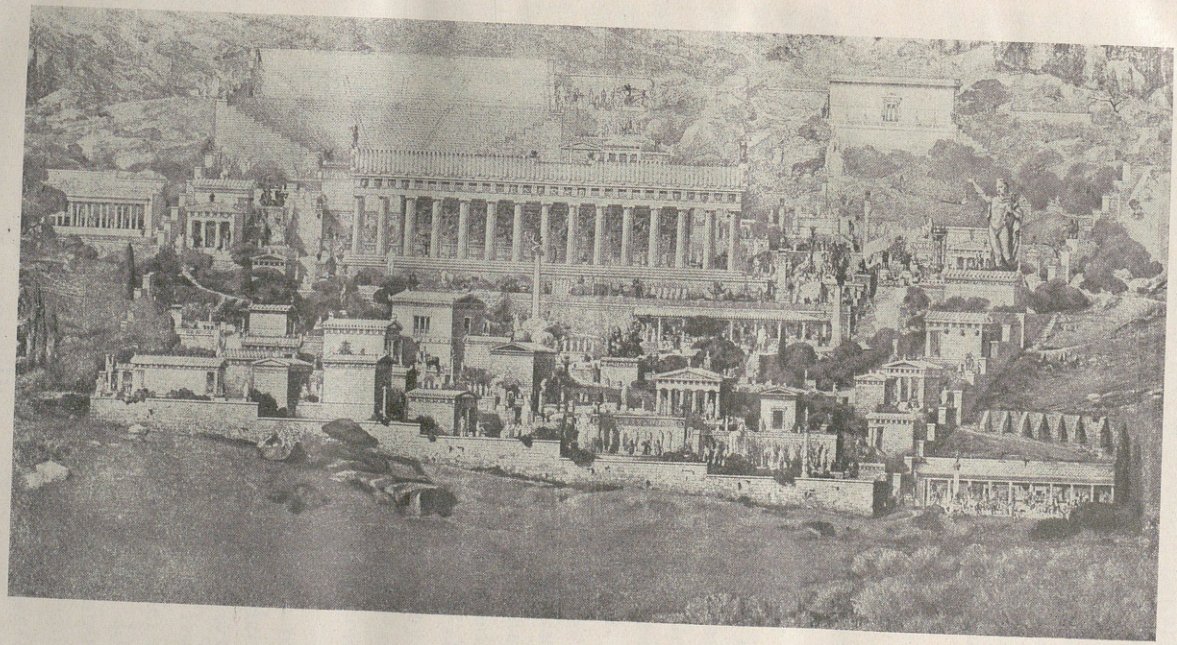
Widzę, przychodzisz, Likurgu, do mego złotego przybytku,
Miły Zeusowi i innym bogom, Olimpu mieszkańcom.
Umysł mój dwoi się we mnie, czy bogiem cię głosić, czy człekiem.
Skłaniam się jednak ku temu, Likurgu, by nazwać cię bogiem.
Szukasz praw doskonałych: osiągniesz to, czego szukasz,
W takiej mierze ode mnie, jakiej ludzie nie mają.

Długo pozostał Likurg w świątyni, słuchając głosu boga, który zwiastował mu prawa najdoskonalsze na świecie; poczem wrócił do Sparty.

Tam zamieszki wzmogły się jeszcze bardziej podczas jego nieobecności; powitano go więc z radością, jako zwiastuna pokoju. Pierwsze jego żądanie polegało na tem, aby Spartanie wybrali z pośród swego środowiska 28 najlepszych mężów, mających każdy ukończonych lat nie mniej 60-ciu: pospołu z obu królami — wszystkich więc razem trzydziestu — utworzyli t. zw. geruzję, t. j. radę starców. Geruzja odtąd miała rządzić państwem. Godność „geronta" była dożywotnią; dopiero po jego śmierci wybierano mu następcę, i wybór taki stawał się wielkim zaszczytem i dla wybranego, i dla całego jego rodu.

Najważniejsze sprawy królowie, na mocy orzeczenia geruzji, przekazywali do decyzji zgromadzenia ludowego, w którym udział brali wszyscy Sparcyaci, mający powyżej lat 30-tu (z wyłączeniem perjeków, a tem bardziej helotów). Zgromadzenie ludowe mogło przyjąć lub uchylić wniosek, ale nie miało prawa wprowadzać doń poprawek lub zastępować go innym.

Główna tedy władza spoczywała w rękach nie królów i nie ludu, lecz trzydziestu mężów najlepszych. Dlatego to prawa Likurga nazywamy arystokratycznemi.



DELFY

W środku—świątynia Appolina, do której prowadzi z dołu »święta droga« śród skarbnic poszczególnych państw i innych pomników.
Nad świątynią—teatr, na prawo od niego—»lescha« Kwidyjczyków z malowidłami Poligarta.

Ale to było jeszcze nie wszystko. Likurg ograniczył też liczbę obywateli pełnoprawnych — t. j. Spartanów — do dziewięciu tysięcy i podzielił między nimi ziemię na zasadzie równości, usuwając w ten sposób dawne różnice posiadania a jednocześnie i dążność do bogacenia się kosztem współobywateli. Działał on w tej sprawie zgodnie z przestrogą, jakiej w Delfach udzielił mu bóg:

Żądza bogactw — nic więcej — twą, Sparto, stanie się zgubą.

I cieszyło się serce prawodawcy, gdy pierwszej jesieni po podziale roli, przechadzając się po zagrodach, widział u wszystkich na klepisku jednakowe zasoby zboża: „Wszyscy Spartanie — mówił — są jak bracia, którzy między siebie ojcowską podzielili ziemię".

Aby dzieło Likurga zyskało trwałość, było pożądane, aby i w przyszłości liczba obywateli nie przewyższała, ale i nie była mniejsza od liczby nadziałów, t. j. od 9000. W tym celu wprowadzono, przedewszystkiem, obowiązkowość małżeństwa. Kawalerowie w podeszłym wieku tracili honory, jakiemi w Sparcie otaczano starość: młodsi nie byli obowiązani ustępować im siedzenia. Tak później czcigodny, lecz bezżenny wódz Derkilidas nie mógł uzyskać od młodszego obywatela, aby ten wstał przed nim i ustąpił swego miejsca: „I ty — odrzekł mu obywatel — nie zrodziłeś tego, który mógłby zczasem mnie tę samą wyświadczyć cześć".

Z drugiej strony wychowywano też i nie wszystkich, którzy przyszli na świat. Nowonarodzone niemowlęta przynoszono do obejrzenia osobom wytrawnym; jeśli niemowlę było dorodne, zwracano je rodzicom na wychowanie; jeśli zaś okazywało się wątłe, odnoszono je w pewien wąwóz Tajgetu, gdzie ginęło. Do siedmiu lat chłopiec pozostawał w rodzinie; lecz potem państwo odbierało go rodzicom i wychowywało w trybie wojskowym pospołu z rówieśnikami, starając się wszelkiemi sposoby rozwinąć w nim siłę i waleczność. Dziewczęta zostawały w rodzinie, ale także obowiązane były chodzić

do osobnych, przeznaczonych dla siebie miejsc, aby tam ćwiczyć się w bieganiu, w walce, w miotaniu dyska i włóczni i t. d.

Wszelako i po osiągnięciu wieku męskiego Spartanie mało przebywali w rodzinie. Ponieważ roboty rolne wykonywali dla nich heloci, przeto wszystek czas wolny przeznaczali na ćwiczenia wojenne. Całe miasto było jakby obozem wojskowym. Obiadowano pospołu w t. zw. syssitia (t. j. stoły wspólne), dla których każdy Spartanin wnosił swój dział chleba, sera i t. d. Stół odznaczał się prostotą i surowością. Słynęła szczególniej na całą Grecję spartańska „czernina". Przepis na tę zupę spartańską nie zachował się; wieść tylko niesie, że w czasach późniejszych jakiś król, amator sztuki kulinarnej, specjalnie dla zupy owej sprowadził sobie kuchmistrza ze Sparty. Zupa nie przypadła mu wcale do smaku; gdy jednak wyraził kuchmistrzowi swą przyganę, ten odparł: "To dlatego, że nie wykąpałeś się w Eurotasie".

Wykształcenie naukowe podówczas wogóle było dopiero w zarodzie. W Sparcie dzieci uczono czytać i rachować, lecz sztuka pisania była rzadkością. Nawet prawa nie były pisane: nazywano je „retrami" (t. j. powiedzeniami) i przekazywano ustnie z pokolenia na pokolenie. W mowie dzieci uczono unikać gadulstwa. Zwięzły i trafny sposób wyrażania się Spartan zasłynął na całą Grecję pod mianem „lakonizmu". Bardzo kochano się w muzyce, zarówno strunowej, jak i dętej, a także w tańcach; korowody ku czci bogów odbywały się często i z dużą gorliwością obywateli.

Taki ustrój zapewnił Likurg swemu krajowi. Ażeby uczynić go na wieki nierozerwalnym, zdecydował się na rzecz następującą. Rzekł obywatelom, że ma dać im jeszcze jedno ostatnie wielkie przykazanie, ale w tym celu musi udać się do Delf i zasięgnąć rady u boga; niechajże mu więc poprzysięgną, że aż do jego powrotu niczego w ustawach jego nie odmienią. Wszyscy złożyli żądaną przysięgę. Likurg oddalił się i już nie powrócił więcej. Aby współobywatelom dać przykład niezłomności i umi-

łowania ojczyzny, umorzył siebie głodem: na tem właśnie polegało jego ostatnie, wielkie przykazanie. Spartanie zaś orzekli, że dusza obywatela tak zasłużonego i ofiarnego niezawodnie dostąpiła chwały niebian: pod jego wezwaniem wznieśli świątynie. Tak sprawdziło się proroctwo Pitji.

6. HEZJOD

Dzięki ustawom Likurga ład prawny zapanował w Sparcie; w pozostałej atoli Grecji było doń jeszcze bardzo daleko. Wszędzie władza królewska była usuwana—bez rozlewu krwi i głębokich wstrząśnień, w drodze stopniowego ograniczenia jej zakresu. Ustępowała ona pola rządom wielmożów, t. j. bogatych ziemian. Lud wszakże nie doznał stąd ulgi; dola jego pogorszyła się jeszcze, gdyż ciemiężców teraz było więcej, niż dawniej, a o krzywdę swoją upomnieć się nie było u kogo. Nie znaczy to, aby rządy możnowładcze były zasadniczo złe: miały one i swe dobre, nawet świetne strony, o których wypadnie jeszcze mówić. Ale strony te wystąpiły na jaw dopiero później; tymczasem zaś owo możnowładztwo, nie grzesząc zbytniem wykształceniem, nie rozumiało tego, że, uciskając lud, szkodzi samo sobie. A ponieważ samo ono tego nie rozumiało, więc należało mu to powiedzieć.

W dawnym Izraelu było to zadaniem natchnionych od Boga proroków; prorocy tacy bywali także i w Grecji starożytnej, powstali zaś w tym właśnie czasie, o którym mówimy. Jednym z pierwszych i głównych był Hezjod.

Ojciec jego był rodem z Eolidy w Azji Mniejszej. Oddawna kwitnęła tam poezja Homera; tam też i on nauczył się jej języka oraz sztuki układania wierszy. Jako człowiek ubogi, zajął się handlem morskim, i udało mu się, nakoniec, zgromadzić sumę pieniędzy, dostateczną, aby nabyć działkę ziemi w Askrze, lichej wiosce w Beocji, u podnóża góry Helikonu. Beocja był to kraj, sąsiadujący z Attyką; jej miasta zawarły między sobą związek, uznawszy za stolicę wspólną Teby, lecz rządziły się

każde osobno i, jak powiedzieliśmy już wyżej, na zasadzie arystokratycznej.

W Askrze też kupiec nasz i umarł, zostawiając po sobie dwóch synów, Hezjoda i Persa. Wypadło im dzielić się ojcowizną. Ale Pers był przebiegły: schlebiając wielmożom — „królom", jak ich zwano — uzyskał od nich to, by większą część dziedzictwa przyznano jemu, Persowi. Wszelako krzywda brata nie poszła mu na pożytek: osiągnąwszy pewien dostatek, poniechał on pracy, skutkiem czego stało się, że zubożał. I oto jedna krzywda pociągnęła za sobą drugą: z zazdrością jął on spoglądać na ziemicę brata i, ponownie wkradłszy się w łaskę „królów", przekonał ich, aby tamtemu odebrali i przysądzili jemu. Na własnej tedy skórze Hezjod poznał, jak smakuje przemoc wielmożów, sądy krzywdzące i bezprawie. Ale czyż on tylko jeden był w tem położeniu? Nie, wszędzie cierpieli ludzie ubodzy, wszędzie możni urągali się ze słabych. Dlaczego? Dlatego, że ludzie nie wiedzą, na czem polega sens ich życia; dlatego, że ludzie bogaci i możni nie chcą zrozumieć, że sami sobie wyrządzają krzywdę, obrażając sprawiedliwość i uciskając lud. Świadomość ta uczyniła Hezjoda piewcą Sprawiedliwości. Nie wzywał on do buntu, ale nawoływał do poznania wielkich przykazań, wszczepionych przez boga w serce człowieka.

Lecz w jaki sposób Hezjod stał się pieśniarzem?

Języka poezji i sztuki wierszowania, zda się, nauczył się jeszcze od ojca. Ale, oto, razu pewnego, gdy pasł stada na Helikonie, dostąpił widzenia, które uczyniło zeń proroka. Objawiły mu się Muzy, t. j. nimfy gajów, Helikonu; zganiwszy jego i jego towarzyszów-pasterzy poziomy, materjalistyczny kierunek myśli, rzekły do niego:

Wiele klechd wieścić umiemy jedynie podobnych do prawdy;
Skoro zaś przyjdzie nam wola, i prawdę też wieścić umiemy.

I Hezjod powiedział sobie, że klechd boginie nauczyły niegdyś Homera, poetę Odyssei, od niego zaś żądają, aby zawsze w ich imieniu wieścił samą tylko prawdę. I za-

czął on zewsząd gromadzić prawdę — prastare podania o tem, jak powstało królestwo bogów, jak z boskiej Ziemi i Nieba (Urana) zrodzili się Tytany i Tytanidy, jak z Tytana Kronosa i z Tytanidy Rei powstał Zeus z braćmi i siostrami; jak Zeus poraził Tytanów i na gruzach ich władzy założył królestwo nowych bogów... Czy znaczy to, że i my także w podaniach tych obowiązani jesteśmy uznawać prawdę? Nie, rzecz jasna; dla nas jest to tylko przypowieść o stopniowem powstawaniu ładu i umiaru z żywiołowej burzy rozpętanych potęg. Lecz jest to przypowieść wielka i głębokomyślna, jakkolwiek trudna do pojęcia.

Tak wytworzył się pierwszy poemat Hezjoda, jego „Teogonja", t. j. pieśń o pochodzeniu bogów. Lecz po nim obrócił się on od niebios ku ziemi, ku tej prawdzie, która żyć powinna pośród ludzi, jeżeli ludzie nie chcą zginąć od gniewu bożego i od własnej wzajemnej wróżdy. Było to właśnie wtenczas, gdy brat jego Pers, dzięki występnej pomocy „królów-darojadów", jak ich nazywa Hezjod, odebrał mu jego część ojcowizny. A jednak Hezjod nie uczuł przeciwko bratu nienawiści; przeciwnie, ogarnął go smutek i troska, że brat wciąż uchyla sie od poznania konieczności rzetelnej pracy, jako jedynego warunku uczciwego dostatku.

Jemu, ku jego poprawie, poświęcił on swój drugi, jeszcze ciekawszy poemat „Prace i dni". Lecz myślał nie o nim jednym: czyż tylko w nim jednym znalazł zazdrość i nienawiść? Nie, rozpowszechnione są one wszędzie:

Garncarz dziś nienawidzi garncarza i żebrak żebraka,
Cieśla cieśli zazdrości i pieśniarz też pieśniarzowi.

Każdy stara się podstępnie przywłaszczyć sobie kęs chleba, należący do bliźniego, i wielmoże, o własną tylko dbając korzyść, spokojnie patrzą na cudzą krzywdę.

Słyszę wrzawę na placu: to Prawdę ściga sierocą
Mężów moc darojadów, czyniąca krzywdę na wiecach;
Błąka się ona ze łzami po uroczyskach śmiertelnych
Szatą mglistą odziana i klęski ludziom przynosi.

Są to prawdziwe słowa prorocze: gwałcicielom nie ujdzie bezkarnie urągowisko ze Sprawiedliwości; sami oni zbroją przeciw sobie rękę, która prędzej lub później strąci ich ze stoków ich siły.

Zło knuje sam przeciw sobie, kto knuje zło przeciw bliźnim;
Najboleśniej złą radę doradca sam opłakuje.

Niegodziwi sędziowie wywołują nietylko nienawiść u ludzi, ale i gniew bogów: dla Hezjoda Sprawiedliwość jest nie pojęciem oderwanem, ale boginią:

Żyje też Prawda wieczysta — Zeusowa to córa potężna,
Czczona w bogów rodzinie, co rządzą wyniosłym Olimpem.
Kto jej wyrządza zniewagę, fałszywym krzywdząc wyrokiem,
Wnet na tego przed tronem rodzica kornie się chyląc,
Skarży się mową żałosną, piętnując jego nieprawość!
I odpowiada lud za gwałty królów, co zdrożnie
Sąd wymierzając nieprawy, zbaczają z drogi godziwej.
Króle, strach przed nią miejcie i z prostej ścieży nie schodźcie!

„Opamiętajcie się!"—wołał prorok do królów—i nie czyńcie wyroków nieprawych!" Ale wołał też i do ludu, wzywał go do opamiętania, do niezaniedbywania pracy uczciwej dla zdrożnego zysku.

Można i całą gromadą bez trudu popaść w występek:
Wszakci on gości w pobliżu, i droga doń prosta i gładka.
Ale przed Cnotą pot nieśmiertelni stawili bogowie,
Szlak do niej długi i stromy, i zrazu wydaje się trudny;
Lecz gdy dojdziemy do szczytu, ujrzymy go równym i gładkim.

Cnota zaś ludzka polega na tem, aby pracować, nie opuszczając rąk:

Praca bo żadna nie hańbi, lecz hańbi jedynie bezczynność.

I przytem w oczach nietylko ludzi, ale i bogów:

Ten i bogom i nam nienawistny, kto, stroniąc od pracy,
Stał się do trutnia podobny, co, w wiecznem żyje próżniactwie,
Pszczół zabiegliwych bez trosk nieustanną karmi się pracą.
Praca czyni cię owiec i wszelkich dóbr posiadaczem,
Praca zjednywa ci także i bogów trwałą przychylność.

Wiele takich pouczeń pięknych włożył Hezjod w swój poemat; ale nietylko w nich odbiła się jego mądrość prorocza. Przeplata je on ślicznemi i głębokomyślnemi przypowieściami — o pięciu pokoleniach, o wykradzeniu ognia przez Prometeusza, o pierwszej kobiecie Pandorze; pomieszcza on także i wskazania praktyczne, dotyczące robót pożytecznych — roboty oracza, roboty żeglarza i kupca.

Wszelako niedość było poemat stworzyć; trzeba było jeszcze zapoznać z nim ludzi. Wszak papier podówczas nie był jeszcze znany, ksiąg nie wydawano: pieśniarze mogli pamięć swoją wspomagać zapisanemi deszczułkami cedrowemi, ale lud poznawał to tylko, co podczas świąt ludowych śpiewali pieśniarze. I oto Hezjod stał się pieśniarzem — pieśniarzem dla ludu; starał się wychowywać lud w duchu sprawiedliwości i zamiłowania pracy, wędrując w swych pielgrzymkach od wsi do wsi, od miasta do miasta. Aby dzieło takie wykonać, nie wystarcza jedno życie ludzkie. Kwitnąca pora minęła i Hezjod ze smutkiem czuł, jak ciało jego słabnie pod uciskiem starości, a zadanie jego wciąż niedopełnione, i tak wielu jeszcze w Grecji pozostało ludzi, którzy zbawiennych słów jego nie słyszeli. I wtenczas, jak wieść niesie, bóg uczynił cud i wrócił swemu prorokowi minioną młodość. Pełen wdzięczności, Hezjod udał się do Delf i tu usłyszał radę Apollina: „Strzeż się gaju Zeusa Nemejskiego". Pieśniarz osądził, że wyrocznia mówi o Nemei w Argolidzie, kędy odbywały się słynne igrzyska, i postanowił jej nie odwiedzać, jakkolwiek żal mu było wyrzekać się sposobności podzielenia się swą pieśnią z ludźmi, jacy gromadzili się tam ze wszystkich krańców Hellady.

Wraz z młodością wróciła pieśniarzowi i dawna uroda: wprzódy czarował on swą pieśnią ludzi statecznych, teraz zaś i młode dziewczęta patrzały nań z zachwytem. I gdy śpiewał w Enoi Lokryjskiej, nieopodal Parnasu, jedna z jego młodych słuchaczek nie oparła się i poszła za nim, uroczona jego nieodpartem słowem.

Zawrzeli gniewem jej bracia: przypisując to, co się stało, złej woli pieśniarza, zaczaili się nań w gaju przydrożnym i zabili go — ów zaś gaj poświęcony był Zeusowi Nemejskiemu, stanowiąc filję tamtego gaju znamienitego w Argolidzie.

Trup zabitego wrzucili do morza. Lecz bogowie nie chcieli, aby ulubieniec ich spoczywał w takiej mogile: z ich woli delfiny wyniosły go na brzeg jego ojczystej Beocji. Tam go rozpoznano, pogrzebiono ze czcią w najbliższem mieście, Orchomenie beockim; z czasem zaś drugi wielki poeta beocki, Pindar, uczcił grób swego rodaka następującym dwuwierszem:

Dwakroć młodości użyłeś i dwakroć zstąpiłeś do grobu,
O Hezjodzie, sławi, wzorem mądrości nam bądź!

* * *

Lecz dzieło Hezjoda nie zginęło razem z nim. Zostawił on po sobie nietylko oba wymienione poematy, ale i uczniów; i odtąd pieśniarze szkoły hezjodowskiej współzawodniczyli z pieśniarzami homerydami na uroczystościach wszechhelleńskich i, równie jak tamci, nie poprzestawali na recytowaniu utworów swego mistrza: jak homerydzi, naśladując Iljadę i Odysseę, w formę pieśni oblekali liczne podania o witeziach czasów bajecznych, tak uczniowie Hezjoda zamykali w wierszu rady, jak należy żyć i jak pracować, tworząc obok heroicznego eposu homerydów — epos nowy, dydaktyczny. Nadeszły potem inne czasy; pieśniarze jednej i drugiej szkoły wygaśli. Poematy uczniów utonęły w niepamięci, ale dzieła mistrzów przetrwały w świadomości Hellenów: z uroczystości wszechludowych przeszły do szkół, i uchodził za nieogładzonego ten, kto nie znał napamięć najcelniejszych ustępów i z Homera i z Hezjoda.

Ale to, jak powtarzam, nastąpiło później. Tymczasem zaś, w wiekach ósmym, siódmym, a także i szóstym,

poematy rodzaju heroicznego i dydaktycznego szerokiem morzem toczyły się po Grecji — wiele dziesiątków poematów o wielu setkach tysięcy wierszy. Nad wszystkiemi zaś temi wierszami w niedosiężnej wysokości błyszczały imiona obu mistrzów — Homera, piewcy dzielności i sławy, oraz Hezjoda, piewcy sprawiedliwości i pracy.

ROZDZIAŁ II

PELOPONEZ

ROZDZIAŁ II

PELOPONEZ

7. PIERWSZA WOJNA MESSEŃSKA (743—724)

Pod wpływem praw Likurga wojowniczy duch Spartan wzmógł się, i ich spójnia wewnętrzna stężała; ale zapobiec stopniowemu wzrostowi zaludnienia nie byli w możności. Nadziałów nie starczało; młodsi bracia, pozbawieni praw obywatelskich, warunkowanych nadziałem, popadali w nędzę i poniewierkę. Niejednokrotnie, polując w lasach Tajgetu, z zazdrością ze szczytów jego patrzyli na roztaczającą się po drugiej stronie bujną równinę messeńską, zamkniętą zlewa błękitną zatoką, z innych zaś stron łańcuchami gór, tonącą w zieleni oliwek, winogradów i morw. „Ziemia ta należałaby do nas — powiadali — gdyby Kresfontes nie przywłaszczył jej sobie losem oszukańczym". W taki to sposób wraz z zaludnieniem rosła i zawistna niechęć do szczęśliwej sąsiadki. Znalazł się wreszcie i powód — jeden z nieuniknionych sporów pogranicznych — i wojsko spartańskie wkroczyło w kraj Messenji.

Stolicą Messenji był wówczas Steniklar, położony w środkowej dolinie Pamisu; lecz po szeregu niepomyślnych utarczek król messeński Eufajos z rodu Kresfontydów przekonał się, że na równinie jego zastępy nie sprostają naporowi żelaznych szyków spartańskich. Pozostawił pola swego królestwa nieprzyjacielowi i kazał całemu narodowi przesiedlić się z żonami i dziećmi na niedostępną górę Itomę, wznoszącą się pośrodku kraju.

Spartanie uważali cel swój za osiągnięty: właśnie o zdobycie równiny wszczęli byli wojnę. Ale sprawa inny wzięła obrót: zaledwie przybysze zdążyli zebrać plon z ziemi zawojowanej, natychmiast Messeńczycy

rączo zbiegali z góry, odbijali zbiory i, nim wojsko nieprzyjacielskie się skupiło, umykali zpowrotem ku swym niedostępnym gniazdom. Spartanie przekonali się o konieczności wyrugowania Messeńczyków z Itomy i w tym celu oblegli górę, niby twierdzę.

Wojna ciągnęła się długo i z przerwami; lecz im dalej, tem niekorzystniej układały się rzeczy dla oblężonych. Itoma, wprawdzie, nie stanowiła pustynnego grzbietu górskiego: były na niej pola, które w miarę możności się uprawiało — i po dzień dzisiejszy na szczycie jej, tam, kędy stała niegdyś świątynia Zeusa-Itomaty, widnieje piękny klasztor na tle bogatych posiadłości. Mimo to ludzie cierpieli z powodu ciasnoty; osaczył ich niedostatek, zakradły się choroby.

Messeńczycy upadli na duchu. Jęli pytać sami siebie: skąd ta niełaska bogów? Wszystkie wobec nich powinności wypełniali święcie: odprawiali zwyczajowe modły, składali należne ofiary, poświęcali Zeusowi-Itomacie pierwociny wziętej na wrogu zdobyczy. Czegóż tedy więcej chce od nich? Zaczęto przesuwać dzieje czasów minionych: wspominano, że i Agamemnonowi z jego Achajami sądzono było nie wcześniej ruszyć przeciw Troi, aż złoży w ofierze Artemidzie swą córkę starszą, krasawicę Ifigenję...

Czasy były wówczas wogóle surowsze, i ofiary z ludzi, odtrącone przez religję późniejszej Grecji, wówczas jeszcze nie uchodziły za bluźnierstwo. Długa zaś i nieszczęśliwa wojna jeszcze bardziej zatwardziła serca oblężonych.

Tak, niezawodnie: bogowie oczekują od nich tego krańcowego i najwyższego znaku pokory. Jęło krążyć z rąk do rąk proroctwo, rzekomo pochodzące od boga delfickiego:

Podziemnym bogom w uroczystą noc
Ma obowiązek Kresfontydów ród
Dziewicy-córy młodą przelać krew.
Rozstrzyga naprzód los, powtóre zaś
Rozstrzyga wolnym czynem ojciec-kat.

I oto wszystkie głosy chorego, głodnego, cierpiącego ludu zlały się w jedno powszechne, nieodparte żądanie wobec królewskiego rodu: „My umieramy za was—przelejcie więc i wy krew swoją za swój lud". Musiał Eufajos zgromadzić wszystkich Kresfontydów i rzucono losy — los wypadł na córkę niejakiego Likiska. Zaczęto sposobić się do nocnej uroczystości; lecz skoro posłano po ofiarę, ani dziewicy, ani jej ojca nie udało się znaleźć: skorzystawszy z mroku nocy, oboje umknęli do Spartan. Wtenczas oburzenie ludu dosięgło szczytu: oto, więc, jak kochają królowie swój lud!

W tej rozstrzygającej chwili wystąpił naprzód jeden z najmożniejszych Kresfontydów, imieniem Arystodemos. „Los — rzecze — swoją moc postradał, teraz kolej na czyn wolny. Jam gotów córkę swoją złożyć w ofierze za lud". Wzburzenie natychmiast ucichło. Dziewica stała opodal, drżąca i blada, w oczekiwaniu na śmiertelny cios. Ale jak rzucony do ruczaju kamień szybko bywa ogarnięty mułem jego dna, tak samo i stanowczość ludzką pochłania szybka fala losu.

Był wśród Messeńczyków pewien młodzieniec — imię jego nieznane — który kochał się w córce Arystodema i marzył o tem, by ją poślubić. Ujrzawszy ją w blasku pochodni u ołtarza, oszalały rzucił się do Arystodema i krzyknął głośno, że córka jego nie jest już dziewicą, lecz zamężną, że on już się z nią potajemnie ożenił. Ufny w pomoc swoich druhów, jął narzeczoną swą wyrywać z rąk jej ojca. Ten, widząc, że jego chęć ratowania Messenji doznaje klęski, dał się ponieść wściekłości. „On kłamie!" — zawołał do ludu — i chwyciwszy z ołtarza nóż ofiarniczy, wbił go w pierś swojej córki. Krew, wytrysnąwszy z piersi, zrosiła ołtarz; dziewczyna padła bez życia u jego podnóża.

Śród obecnych grobowe zapanowało milczenie; poczem dały się słyszeć głosy. Kapłani byli niezadowoleni: „To nie ofiara — powiadali — lecz morderstwo. Czyż tak składa się ofiary? Gdzież pokropienie ludu wodą, poświęconą pogrążeniem głowni ofiarnej? Gdzie pierwo-

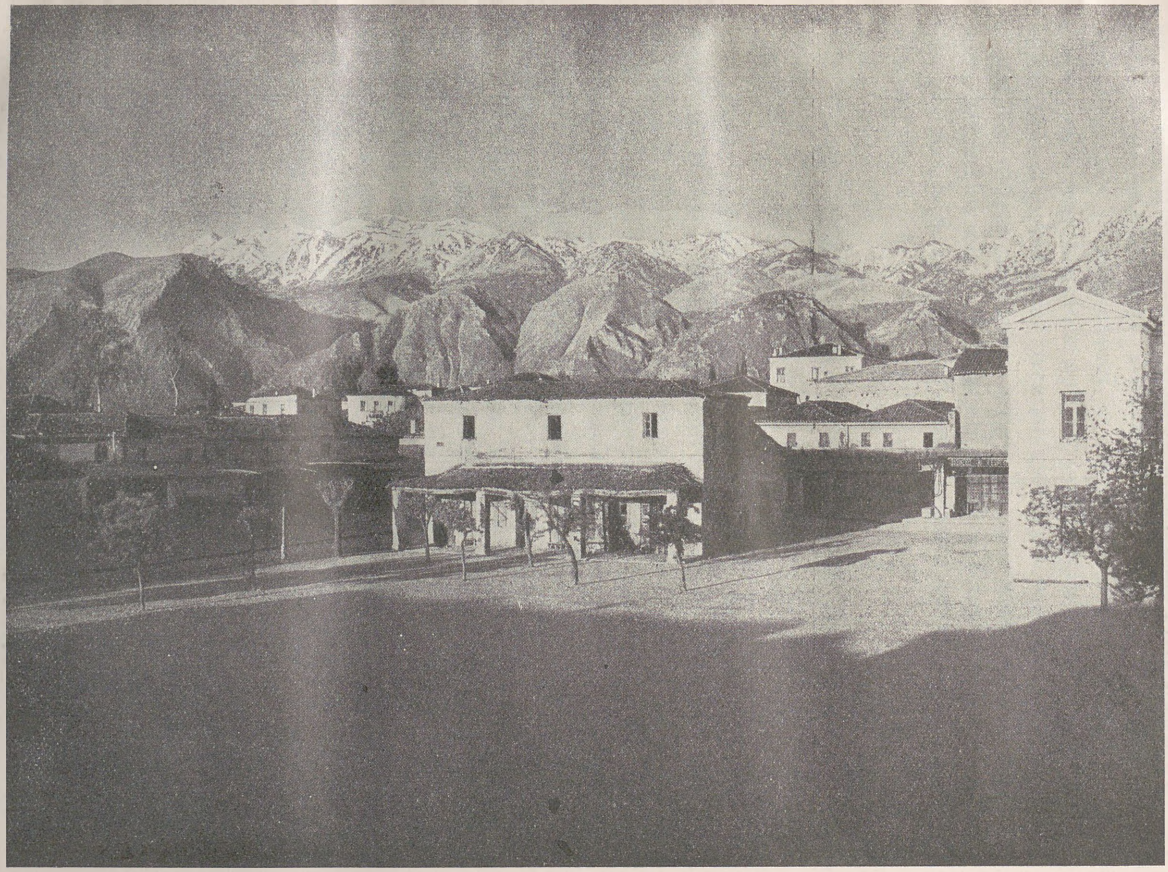
ciny ofiary — mąka święta i sól? Gdzie słowa przepisanej modlitwy? Gdzie pobożna gra duchowna, która powinna towarzyszyć świętemu obrzędowi?". Te oddzielne głosy zagłuszała wszakże wrzawa ludu, zachwyconego czynem Arystodema, a także gwar Kresfontydów, którzy lękali się, aby nie zażądano od nich nowej ofiary. Aby nie dać zapałom wystygnąć, Eufajos zapowiedział, że następnego dnia poprowadzi wojsko na nieprzyjaciela.

Bój stoczono, ale szczęście i tym razem nie dopisało Messeńczykom. Byli pobici i sam król Eufajos legł z ręki nieprzyjaciela.

Ponieważ nie zostawił on synów po sobie, wypadło wybierać jego następcę. Większość opowiedziała się za Arystodemem. Kapłani, wprawdzie, przestrzegali lud: „Lękajcie się tego człowieka — leży na nim krew córki". Ale stronnicy jego wzięli górę.

Arystodemos był ostatnim królem w Messenji. Był on nietylko waleczny, ale i rozumny; udało mu się pozyskać pomoc sojuszników i, dzięki niej, stawiać opór Spartanom jeszcze w ciągu wielu lat. Ale odwojować podbitej równiny nie zdołał. Znów rozpoczęło się długotrwałe oblężenie Itomy, a wraz z niem i nędza i choroby. Zaczął Arystodemos szykować wypad. I oto nocą przed dniem rozstrzygającym ujrzał sen: wydało mu się, że zatrudniony jest właśnie składaniem ofiary przed wycieczką, że na stole leżą jelita ofiarnego zwierzęcia, obok zaś jego zbroja. Nagle podchodzi doń jego córka, cała w żałobie z raną otwartą w piersi; zmiata ze stołu szczątki ofiary, zdejmuje zbroję, kładzie natomiast płaszcz biały i złoty wieniec, poczem w milczeniu odchodzi. Zbudziwszy się, Arystodemos zrozumiał, że nie znajdzie miłosierdzia u bogów, że jest mu sądzona śmierć. Należy bowiem wyjaśnić, że w Messenji wielmożów grzebano w białej szacie i w złotym wieńcu. Pragnąc uchylić wiszącą nad ludem klątwę, udał się na grób córki i odebrał sobie życie.

Po śmierci Arystodema opór Messeńczyków szybko był złamany. Góra została zdobyta, równina pokrajana



SPARTA (DZISIEJSZA) NA TLE TAIGETU

na działy, rozdana tym z pośród zwycięzców-Sparcyatów, którzy nie mieli ziemi. Mieszkańcy Messenji — i Achaje i Doryjczycy — zamienieni w helotów, zmuszeni byli do pracy na rzecz swoich panów po przeciwnej stronie Tajgetu. Zresztą, bardziej przedsiębiorczy i wolność miłujący z pośród Messeńczyków opuścili ojczyznę i udali się, jako koloniści, do południowej Italji i Sycylji, kędy imię ich po dzień dzisiejszy żyje w imieniu sławnego miasta Messyny.

8. DRUGA WOJNA MESSEŃSKA (685 — 668)

Gdy podrośli prawnukowie tych, których zwyciężono na Itomie, Messenja znów powstała przeciw spartańskiemu jarzmu. Do powstania pobudzała ich nieznośność ich doli i odziedziczone po pradziadach poczucie honoru; dodawała im też otuchy i ogólna sytuacja Peloponezu, którego mnogie plemiona współczuły im wskutek nieufności wobec wzrastającej potęgi Sparty.

Ośrodkiem powstańców stała się Andanja, miasto, położone u podnóża gór północnych. Wojna polegała zrazu na bezładnych najazdach na zajętą przez Spartan urodzajną równinę steniklarską. W najazdach tych wysunął się na czoło niejaki Arystomenes. W dawnych czasach, jako Kresfontyda, byłby on jednym z magnatów krajowych; teraz zaś był takim samym helotą, jak inni. Powstańcy chcieli obrać go królem nad sobą; on wszakże uchylił ich prośbę i zgodził się być tylko wodzem.

Powodzenie sprzyjało ich orężowi. Szczególniej dał się wrogom we znaki jeden jego najazd, którym oczyścił od nich całą górną dolinę Pamisu. Gdy po tem ze swą drużyną zwycięską wrócił do Andanji, kobiety i dziewczęta messeńskie wyszły naprzeciwko z przepaskami oraz kwiatami i jęły śpiewać ku jego czci pieśń:

Przez Steniklaru dolinę i hen! aż pod górę Tajgetu
Spartan objętych przez lęk Arystomena gnał miecz.

Pieśń tę potem przez wiele jeszcze stuleci śpiewano w Messenji; nie pozwalała ona wygasnąć pamięci Arystomena.

Ale bohater nie poprzestawał na zapuszczaniu zagonów: marzył on o stanowczym boju. Jako człowiek nietylko mężny, ale i rozumny, potrafił on zawarować sobie pomoc tych ludów Peloponezu, które obawiały się Sparty, zwłaszcza zaś pomoc Arkadyjczyków i króla ich Arystokratesa. Ufny w jego współdziałanie, wydał Spartanom bitwę u tak zw. Dużego Kanału. Spartanie jednakże, dobrze znający Arystokratesa, przekupili go. W stanowczej chwili zdrajca uprowadził swe wojsko, obnażając w ten sposób flankę swych sprzymierzeńców, i Arystomenes uległ rozbiciu.

Po tej porażce Messeńczycy opuścili Andanję i zasiedli na wznoszącej się ponad nią górze Irze, zamierzając bronić się z niej tak samo, jak przodkowie ich z Itomy. Znów przyszło Arystomenowi powrócić do poprzednich zagonów, w których zasłynął on nieustraszoną odwagą i zdumiewającą pomysłowością.

Nie było siły, któraby zdolna była go uśmierzyć. Bywało niekiedy, że i w niewolę popadał, a mimo to potrafił umknąć. Tak, razu pewnego, Spartanie pochwycili go z częścią jego oddziału, około 50 ludzi; uważając go nie za wodza, lecz za herszta rozbójników, postanowili strącić go wespół z towarzyszami w przepaść głęboką, kędy zazwyczaj strącano ciężkich przestępców. Wszyscy, padając, rozbili się na śmierć; jeden tylko Arystomenes cudem jakimś ocalał. W czasach późniejszych opowiadano, że orzeł Zeusa podjął go na swe skrzydła i złożył bez szwanku na dnie przepaści. Tu leżał on śród trupów, dawnych i nowych, czekając śmierci nieuniknionej z głodu, gdy wtem, na trzeci dzień, posłyszał jakiś cichy szmer. Był to lis, zwabiony padliną. Udawszy martwego, pozwolił mu zbliżyć się do siebie i chwycił go za ogon, osłaniając się płaszczem, ilekroć zwierz chciał go kąsać. Lis skierował się ku szczelinie, przez którą się przekradł, i w ten sposób wskazał drogę ratunku Arystomenowi.

Innym razem zdradziecko pojmali go strzelcy kreteńscy, przez Spartan przyzwani na pomoc, i, rozzbroiwszy go, związali. Nocować wypadło im w jednej chacie, kędy mieszkała staruszka z córką sierotą. Dziewczyna ta przedtem miała widzenie we śnie: wydało się jej, że wilki przywiodły skrępowanego lwa, i że ona uwolniła go z krępów, poczem ten rozszarpał wilków. Ujrzawszy teraz pojmanego Arystomena, zrozumiała, czego domagał się sen: spoiwszy winem Kreteńczyków, wykradła jednemu z nich sztylet i rozcięła więzy jeńca, poczem ten pozabijał swych strażników. Tej zaś, która go ocaliła, nie zapomniał jej czynu i ożenił z nią syna swego Gorgosa.

Przekupienie Arystokratesa nie wiele tedy pomogło Spartanom: zagony niepochwytnego Arystomena nie pozwalały im korzystać z żyznej krainy. Pozbawieni swych działów, messeńscy Sparcyaci żądali, aby żywili ich współobywatele lacedemońscy; to zaś wywoływało zamieszki. Zamieszki prowadziły do starć domowych, w których prawa Likurga uległy zapomnieniu, i dawny zapanował bezrząd. Arystomenowi było to na rękę: jego najazdy stawały się coraz śmielsze i coraz bardziej pustoszycielskie. Messenja zdawała się być dla Sparty zgubiona.

W tej ciężkiej sytuacji Spartanie wyprawili do Delf poselstwo z pytaniem, w jaki sposób ratować ojczyznę. Wyrocznia kazała im udać się po wodza do Aten. Zdziwili się Spartanie, lecz wolę bogów wypełnili. Ateny były wtenczas niedużem miastem, mniejszem od sąsiednich Teb i Megary, i pod względem sprawności wojskowej nie mogły równać się ze Spartą. Wszelako, jako miasto jońskie, uprawiały one stosunki z Jonją małoazjatycką, która podówczas była ojczyzną poezji. Usłyszawszy o wyroczni, wyrzeczonej Sparcie, Ateńczycy zrozumieli, że tłumaczyć ją należy nie w znaczeniu zwykłem. Wyprawili do Sparty poetę Tyrteusza.

I okazało się, że mieli słuszność! Tyrteusz prędko oswoił się z bytem nowej ojczyzny. Widząc, że obywatele zapomnieli o nakazach Likurga i o ładzie, który na-

kazy te warowały, w szeregu surowych i przejmujących wierszy o nakazach tych przypomniał, tak iż uczuli wstyd wobec własnego nierządu. Ale największy triumf miał odnieść on na polach bitewnych. Tyrteusz stał się prawdziwym wieszczem bojowego męstwa. Gdy zastępy spartańskie stały w polu, szykując się do bitwy, Tyrteusz gromadził wokół siebie młodzież i śpiewał jej, grając na siedmiostrunowej lirze:

Szczytna to dola w szeregach czołowych potykać się z wrogiem,
Mężnie w burzliwy iść bój i za ojczyznę wziąć śmierć.

Opiewał on sromotny los tchórzliwego zbiega, wygnanego z kraju, którego nie zechciał bronić; opiewał powinność, nakazującą żołnierzowi-obywatelowi nie opuszczać w potrzebie orężnej swych braci, zwłaszcza zaś nie opuszczać — starców.

Tych zaś, czyj grzbiet już schylony i czyje mdleją kolana,
Starców, gdy toczy się bój, młódź niech nie rzuca na łup.
Widok czyż jest okropniejszy, niż kiedy w pierwszym szeregu
Starzec zabity legł wprzód, za nim zaś wian młodych ciał,
Starzec o białych kędziorach, siwizną broda srebrnieje,
Nieuskromiony swój duch w kurzu wydycha i w krwi;
Siłą rękę swoją do rany przyciska otwartej —
Widok okropny dla ócz, ach jak okrutny dla serc,
Widok starca nagiego. Młodemu zaś wszystko ozdobą
W latach, gdy jeszcze nie zwiądł urok młodości i kwiat
Był on za życia chlubą dla mężów, pokusą dla dziewic;
Jako przepiękny jest dziś, w pierwszych szeregach gdy legł.

Takiemi pieśniami zahartował on ducha młodzieży. Spartanie zapomnieli o waśniach; wszyscy zjednoczyli się we wspólnem pragnieniu zachowania dla dzieci spuścizny ojców i dziadów.

Ciężkie nastały czasy dla Arystomena i jego drużyny. Posłał też i on do Delf po radę, ale otrzymał dziwną przepowiednię:

W roku, gdy „tragos" napije się wody z fal Nedy krętonej,
Zagrzmi Messenji zły los, już ratować jej więcej nie zdołam.

Jednakowoż usłuchał i rozkazał pasterzom, aby stada kozłów — „tragos" znaczy po grecku „kozieł" — pędzono jak najdalej od łożyska Nedy, północnej rzeki messeńskiej.

Lecz oto, gdy razu pewnego, w towarzystwie wróża Theoklesa, szedł wzdłuż owej rzeki, ujrzeli rosnący nad wodą dziki figowiec, zwieszający się od starości tak, że jego gałązki szczytowe dotykały powierzchni. Drgnął Theokles; przypomniał sobie, że w miejscowem narzeczu dziki figowiec nazywa się także „tragos". Długo wahał się, zali o spostrzeżeniu swem należy powiedzieć Arystomenowi, czy też lepiej zataić przed nim prawdę, aby męstwa jego nie podważać. Jednakowoż postanowił wyjawić mu wszystko i oto dla jakiej przyczyny. W posiadaniu Kresfontydów pozostawał pewien talizman tajemniczy, otrzymany przez nich niegdyś od Demetry eleuzyńskiej. Na czem talizman ów polegał, wiadomo było tylko Arystomenowi, jako ich spadkobiercy; wszelako wiedzieli wszyscy, że zniknięcie jego oznaczałoby utratę wszelkich nadziei odrodzenia Messenji. Teraz, od Theoklesa dowiedziawszy się o grożącym ciosie, potajemnie przekradł się na Itomę i tam głęboko zakopał w ziemię święty skarb. Trzy stulecia skarb ten w ziemi przeleżał.

Żył śród Messeńczyków pasterz, który zbiegł ze Sparty i służył jako robotnik w domu jednego z włościan messeńskich. W pewną, szczególniej słotną noc włościanin ów udał się, aby pełnić straż w twierdzy na Irze, lecz niebawem wrócił i oświadczył zdumionej żonie, że cała załoga twierdzy rozeszła się do domów, gdyż w taką ulewę, oczywista, Spartanie nie pomyślą o napadzie. Słowa te podsłuchał spartański pasterz; ucieszony, że nastręczyła się mu sposobność uzyskać przebaczenie za swą ucieczkę, natychmiast pobiegł do obozu Spartan, oblegających Irę, i oznajmił wodzowi, że straż jej opuściła posterunek. Niezwłocznie Spartanie ruszyli na Irę i zdobyli ją: tak skończyła się druga wojna messeńska.

Wróżbita Theokles poległ w nocnej bitwie; Arystomena ubłagał, aby ten ratował resztki drużyny. Poleciwszy synowi swemu Gorgowi, aby osłaniał tyły, wziął kobiety

i dzieci do środka szeregów i przedarł się przez zastępy nieprzyjaciół do Arkadji, do króla Arystokratesa — tego samego, który zdradą swą raz już spowodował jego klęskę nad Dużym Kanałem. Nikt wszakże nie wiedział, że był on wiarołomcą; wszyscy, i Messeńczycy i swoi, myśleli, że uciekł wówczas przez małoduszność. I teraz więc Arystomenes, prosząc go o schronienie, zapowiedział, że z wojskiem zabawi u niego niedługo, i jak najprędzej ruszy wdół z biegiem Eurotasu na Spartę, aby opanować ją znienacka, a potem wymienić na Messenję.

Tu poraz wtóry chciwość ogarnęła króla: wyprawił on wiernego niewolnika do jednego z królów spartańskich, który pozostał w mieście, i wyjawił mu zamiary Arystomenesa. Wszelako w drodze powrotnej goniec wpadł w ręce pewnych Arkadyjczyków, wrogich królowi; ci przywiedli go na zgromadzenie ludowe, zaprosiwszy też na nie i Arystomenesa z Messeńczykami. U gońca znaleziono list króla spartańskiego do Arystokratesa. Treść jego była następująca: „król spartański oraz starszyzna dziękują królowi Arystokratesowi za wyjawienie zamiarów Arystomenesa i zapewniają mu nagrodę jeszcze większą od tej, jaką otrzymał za swe ujście z boju nad Dużym Kanałem".

Krzyk oburzenia rozległ się na placu. Arkadyjczycy chwycili za kamienie i wezwali Messeńczyków, by szli za ich przykładem. Ci spojrzeli na Arystomenesa; ów zaś, głowę nakrywszy płaszczem, głucho szlochał: zrozumiał, co było przyczyną zagłady wszystkich jego nadziei. Wtenczas Arkadyjczycy sami ukamienowali zdrajcę. Ciało jego wyrzucono poza granice kraju, zamiast zaś nagrobka umieszczono w świątyni Zeusa, w głównym przybytku religijnym kraju, deskę z napisem, który opiewał, jak następuje:

Czas winę króla obnażył, nieszczęsnej Messenji zabójcy:
Tknięty przez Zeusa gniew, krzywoprzysięzca ten padł.
Wiedzcie, o zdrajcy: od wzroku bożego ujść nie zdołacie,
Ty zaś, o władco ty nasz, Zeusie, ojczyznę nam chroń!

9. HEGEMONJA SPARTY (WIEK VII—VI)

Plemiona Arkadji miały uzasadniony powód do ubolewania nad powtórnem ujarzmieniem Messenji. Spartanie oswoili się z myślą, że wolno im rozszerzać swe posiadłości na koszt sąsiadów, aby zdobywać nowe działy ziemi dla swej wzrastającej ludności. Teraz, gdy już i Messenja stała się dla nich zbyt ciasna, jęli spoglądać ku Arkadji. Była to kraina górzysta i mało urodzajna; jednakowoż i w niej były pewne odpowiednie dla rolnictwa równiny; góry zaś były porośnięte lasami, zwłaszcza dębowemi, a ich soczyste pastwiska karmiły mnóstwo — szczególniej drobnego — bydła.

Jak zazwyczaj, przedsiębiorczy zdobywcy udali się po błogosławieństwo do wyroczni delfickiej i otrzymali od Apollina odpowiedź następującą:

Szukasz Arkadji? — Nie! chcesz za wiele; ja tego ci nie dam.
Liczni są w górach Arkadji mężowie, żyjący żołędźmi:
Oni ci drogę zagrodzą. Lecz Tegeję miasto uzyskasz.
Słyszę, łańcuchy żelazne na nogach jeńców szczękają.
Widzę, jak Sparty synowie krainę mierzą tegejską.

Tegeja było to miasto arkadyjskie, najbliższe Sparcie, i położone w równinie względnie żyznej. Ucieszeni, że bóg oddaje im tę perłę ziemi arkadyjskiej, Spartanie ruszyli tam z wojskiem i nawet zabrali z sobą żelazne łańcuchy, aby zakuć w nie pobitych i wziętych do niewoli Tegejczyków. Ale wynik bitwy był inny: walcząc z odwagą rozpaczy o swe ogniska domowe, Tegejczycy rozbili wrogów, którzy się wdarli w ich granice, wzięli wielu z nich do niewoli i zakuli ich samych w łańcuchy, przez nich przywiezione. Tak, iż rzeczywiście zaszczękały okowy, ale na nogach pokonanych Spartanów, i ci w dręczącym pochodzie „przemierzyli" całą ziemię tegejską od swej granicy aż do jej miasta stołecznego.

Po tem niepowodzeniu zasępili się Spartanie. Szemrała zwłaszcza młodzież. „Dlaczego" — pytała — „bóg

nie wzbronił nam poprostu wyprawy na Tegeję? Dlaczego zwiódł nas dwuznaczną przepowiednią?" Lecz jeden ze starców odrzekł im: „Nie, bóg miał słuszność. Zaszczepił on w sercu naszem tę siłę, która uczy nas, co dobre jest, a co złe; jest to nasze sumienie. I grzechem jest prosić boga, aby błogosławił temu, co jest złe. Jeżeli zaś człowiek, mimo to, popełnia ów grzech, to bóg rzeczywiście popchnie go ku złej sprawie; jest to oszukanie, ale sprawiedliwe oszukanie. Posłuchajcie, co zdarzyło się w Sparcie, gdy dziad mój był jeszcze młody.

„Mieszkał śród nas mąż znany ze swej sprawiedliwości, imieniem Glaukos, syn Epikidesa. Przybył doń razu pewnego nieznajomy człowiek z Miletu, co jest w Jonji, i rzekł: «Glauku, sława twej sprawiedliwości dotarła i do nas, do Jonji; a ponieważ u nas w kraju panuje niepokój, i wciąż toczymy walki z tubylcami, u was zaś jest wszystko spokojnie, postanowiłem uczynić rzecz następującą. Połowę swego majątku zamieniłem na pieniądze i proszę, abyś przyjął je na przechowanie dla moich spadkobierców. Ażebyś zaś poznał, kto będzie moim spadkobiercą, zrobimy tak: oto deseczka, chwyć ją za jeden koniec, ja zaś chwycę za drugi, i złamiemy ją. Zachowaj swoją połowę; ten zaś, kto przyniesie ci drugą, i ty poznasz ją po złamaniu, będzie właśnie moim spadkobiercą».

„Glaukos zgodził się; gość z Miletu odszedł, pozostawiwszy pieniądze. Upłynęło wiele lat. Glaukos zdążył się podstarzeć, a spadkobierca się nie zjawiał. I zaczął Glaukos oswajać się z myślą, że pieniądze pozostaną u niego i uczynią go w naszej ubogiej Sparcie człowiekiem majętniejszym od królów i gerontów. Lecz oto razu pewnego wstąpiło doń dwóch młodzieńców i, okazując połowę deseczki, poprosiło o zwrot dziedziczonych pieniędzy. Zadrżał Glaukos: żal mu było rozstawać się ze świecącem złotem. Rzekł: Goście mileccy, tego, o czem mówicie, nie pomnę; powiadacie przecież sami, że było to dawno.—O, na miłość bogów, jęli błagać młodzieńcy, jesteśmy zrujnowani; nie pozostało nam nic oprócz tego



SZCZĄTKI STAROŻYTNEGO KORYNTU NA TLE AKROKORYNTU

skarbu, który przekazał nam dziad nasz; czyż to być może, abyś ty, najsprawiedliwszy mąż w Helladzie, zagarnął nasz jedyny majątek? — Ja nic wam nie zabieram, odparł Glaukos; ja tylko mówię, że nie pamiętam. Idźcie teraz w pokoju i wróćcie za cztery miesiące; ja przez ten czas sobie przypomnę, jak się rzecz miała, i postąpię zgodnie ze sprawiedliwością.

„Młodzieńcy poszli, grożąc, że złożą skargę swemu proksenowi w Sparcie i oddadzą przezeń sprawę na sąd geruzji. — Sąd geruzji, pomyślał sobie Glaukos, zażąda odemnie przysięgi, że od ich dziada żadnych pieniędzy nie otrzymałem. Jeśli przysięgę złożę, pieniądze będą moje. No, ale co dalej?—Myślał Glaukos, nic wymyśleć nie zdołał i udał się do Delf.

„Gdy składał ofiarę na ołtarzu przed świątynią, podszedł doń młody sługa świątyni: O co chcesz, ojcze, pytać boga? — Glaukowi wstyd było się przyznać: Chciałbym się dowiedzieć, zali złożyć mam przysięgę, czy też nie? — Sługa oddalił się i niebawem wrócił z twarzą zasępioną. — Cóż odpowiedział bóg?—spytał Glaukos. — Przeczytaj — rzekł młodzieniec — i podał mu deszczułkę z głoskami. Glaukos odczytał:

Glauku, masz słuszność: z początku ta rzecz nie wydaje się zdrożną —
Krzywą złożyć przysięgę i mienie sieroce przywłaszczyć.
Cóż więc? Przysięgaj: od śmierci nie ujdzie i mąż sprawiedliwy.
Pomnij wszelako: Przysięga ma syna — ów syn bezimienny,
Choć niewidzialny, pomyka bez nóg i bez rąk chwyta łotra,
Z całem jego domostwem i z rodem go unicestwiając.
Ród zaś męża prawego, choć i zmarłego, trwać będzie.

Glaukos zbladł: oby bóg mi przebaczył moje zapytanie! rzekł. — Grzechem jest kusić boga, brzmiała dana mu odpowiedź; w obliczu boga zamiar znaczy tyleż, co uczynek. — Z tem i odszedł.

„Wróciwszy do domu, natychmiast posłał po młodzieńców z Miletu i wydał im ich pieniądze. Lecz cóż? Wiecie sami: nie mamy w Sparcie ani potomków, ani

ogniska, noszących imię Glauka; zniweczon jest wraz z całym swoim rodem.

„I oto moja rada: poniechać nadal wszelkiej myśli o podboju ziem sąsiednich. Jeżeli zaś jesteśmy silniejsi od innych — użyjmy siły naszej, ażeby bronić Hellenów od wspólnego wroga i wspierać sprawiedliwość tam, gdzie będzie deptana".

Tak też Spartanie postąpili. Jęli słać gońców do wszystkich państw Peloponezu z propozycją zawarcia związku. Wojsko miało być w państwach tych wspólne; jądrem tego wojska byli Sparcjaci; każde atoli państwo peloponeskie zobowiązywało się wspomagać je bądź jazdą, bądź piechotą, bądź okrętami, każde w miarę sił swoich. Nie odrazu zgodzili się wszyscy. Wszelako około połowy wieku VI ten «związek Hellenów» pod hegemonją Sparty był już faktem dokonanym i dzięki niemu Sparta stała się najpotężniejszem państwem w całej Helladzie i mogła interwenjować w sprawach helleńskich także i na północy od Istmu. Szczególniej troszczyła się Sparta o bezpieczeństwo i pomyślność Delf, którym zawdzięczała tyle błogosławionych rad. Wogóle używała ona swego wpływu umiarkowanie i sprawiedliwie, ujmując się za pokrzywdzonymi i poskramiając krzywdzicieli.

Jedna tylko krzywda pozostała niewyrównana — ujarzmienie bratniej Messenji. Ona to z czasem stać się miała przyczyną upadku Sparty. Ale do tego było jeszcze ogromnie daleko.

10. KIPSELOS

W czasie, gdy Sparta stawała się coraz potężniejsza, królestwo Argosu pod rządami Temenidów traciło swoją dawną siłę. Przyczyną, jak nadmieniliśmy już, była niesforność dużych jego miast, a zwłaszcza Koryntu. Położenie miasta tego było niezwykle korzystne: stało ono w najwęższem miejscu Istmu, i dość było Koryncjaninowi wznieść się cokolwiek na swą krzemienną górę,

Akrokorynt, aby już widzieć w bliskiej odległości obie zatoki, a w raz z niemi i dwa szlaki handlowe, jeden na wschód, drugi na zachód. Ów Akrokorynt był prawdziwą strażnicą miasta: jak brew nad okiem, tak wznosił się on nad miastem; ponieważ zaś na szczycie góry bił zdrój żywej wody, słynna Pirena, przeto Koryncjanie żadnego nie lękali się oblężenia.

Rzecz jasna, że gród, obdarzony tak mocnem i korzystnem stanowiskiem, potrafił cenić samodzielność. Przez długi czas posiadał on też królów własnych; lecz koło połowy wieku VIII władza królewska ustąpiła i tutaj rządom arystokracji; tylko ta arystokracja nie była podobna do innych. Władza spoczywała w rękach jednego rodu, Bakchiadów (t. zn. potomków ostatniego króla Bakchisa); jeden z nich corocznie obejmował władzę zwierzchnią i otrzymywał godność prytana, t. j. „pierwszego". Aby zaś obcych do swego grona nie dopuzczać, było postanowione, że nikomu z Bakchiadów niewolno poślubić panny z innego rodu, albo wydać córkę za innego, nie za Bakchiadę.

Tak upłynęło koło stu lat. Lecz oto, koło połowy wieku VII, zdarzyło się, że jeden z Bakchiadów miał córkę, imieniem Labdę, tak niełądną, że nikt z Bakchiadów nie zechciał wziąć jej za żonę; ponieważ zaś wprowadzać innego Doryjczyka do grona rodu rządzącego było rzeczą niepożądaną, przeto wyszukano dla niej narzeczonego z pośród uległego szczepu Achajów: był to niejaki Aetion, zamieszkały nawet nie w Koryncie, lecz na wsi, zwanej Petra, co oznacza po grecku „Skała". Taki mąż, myśleli sobie, nie może być niebezpieczny.

Minął rok, dwa. Żyją Aetion z Labdą w zgodzie i miłości, dzieci nie mają. Zasmęcił się młody małżonek: skąd ta niełaska bogów? Czy nie zaniedbał jakiejś ofiary?—Zgodnie z obyczajem, udał się do Delf, aby spytać Apollina.

A trzeba dodać, że jeśli imię Aetiona rozdzielić w ten sposób «Ae-tion», to otrzymamy po grecku znaczenie — «zawsze czczący». Będzie to wszakże prosta gra słów;

w rzeczywistości imię owo pochodzi od aëtos, co znaczy: «orzeł».

Aetionowi tedy Apollon, igrając jego imieniem, odpowiedział, jak następuje:

W czci, Aetionie, nie jesteś, lecz wielce-ś czcigodny dla wielu.
Labda powije ci syna i będzie to głaz bezlitosny:
Runie on wpośród królów i władcą się stanie Koryntu.

Aetion, ucieszony, wrócił do domu: jako syn podbitego plemienia, nie czuł on zbytnich pobudek, aby rozczulać się nad Doryjczykami oraz ich władcami z rodu Bakchiadów. Wszelako, czy sam wskutek radości nie potrafił dochować tajemnicy swej, czy też wyszła ona na jaw inaczej, dość, że Bakchiadzi dowiedzieli się o wróżbie, danej Aetionowi. I jeden z nich rzekł: „Czy pamiętacie, gdy ostatnim razem zapytaliśmy boga, wyrocznia odrzekła:

Widzę, tam siedzi orlica na skale; niebawem wysiedzi
Lwa pochopnego do krwi: wielu stawy w kolanach przetrąci.
Bądźcie więc czujni, wy, co mieszkacie u boskiej Pireny,
Wy, co ów Korynt brwionośny kochaną zowiecie ojczyzną.

Wówczas nie zrozumieliśmy tych słów, ale teraz są one jasne: «orlica» — to Labda, żona Aetiona-orła, «na skale» — znaczy to w Petrze.

Zatrwożyli się Bakchiadzi—jakgdyby naprawdę zadygotał stromy Akrokorynt, i ogromny głaz, odkruszywszy się ze szczytu, miał runąć im wszystkim na głowę. Postanowili tedy, aby, skoro Labda powije niemowlę, zgładzić je natychmiast. I rzeczywiście niemowlę przyszło na świat—chłopiec, jak wywróżyła wyrocznia. Wyprawili Bakchiadzi dziesięciu mężów ze swego grona; ci, wybrawszy czas, gdy Aetiona w domu nie było, udali się do Labdy. Umowę zrobili taką: „jako krewni, poprosimy matki, aby nam pokazała dziecko; ten, komu nasamrzód je poda, powinien z rozmachem gruchnąć je o ziemię".

Weszli do domu Labdy; ta, uszczęśliwiona i dumna, nie czyniła trudności; przyniosła malca i pokazała kocha-

nym krewnym. I oto, co się zdarzyło; skoro tylko złożyła go na ręce jednego z nich, malec spojrzał mu w oczy— i uśmiechnął się. Nie starczyło mu odwagi, by skończyć z dzieckiem: milcząc, stropiony podał je następnemu, tamten—trzeciemu, i tak dalej aż do dziesiątego, który znów zwrócił niemowlę matce. Poczem odeszli, ale zaledwie znaleźli się za bramą, powstała między nimi sprzeczka; każdy winił drugiego, wszyscy zaś pierwszego: dlaczego, pytali, nie postąpiłeś wedle umowy? Zawstydzili się swej litości i postanowili pójść po raz drugi do Labdy i tym razem uśmiercić ją wraz z niemowlęciem.

Ale było już zbyt późno: Labda podsłuchała ich rozmowę. Malca, który zdążył już zasnąć, schowała w skrzyni, zabójcom zaś, którzy przyszli, powiedziała, że zaniosła go do sąsiadów. Ci napół uwierzyli, napół niedowierzali, poszperali trochę po izbie, nic nie znaleźli i powrócili do Koryntu. Ponieważ jednak wstyd im było przyznawać się, że nie wykonali zlecenia, przeto opowiedzieli pozostałym Bakchiadom, że dziecko już nie żyje.

Gdy tamci odeszli, wrócił Aetion; Labda wyjawiła mu niebezpieczeństwo, jakiemu ulegał ich syn, i w jaki sposób ocaliła go skrzynia. Ponieważ zaś «skrzynia» zowie się po grecku «kipsela», przeto postanowili przez wdzięczność dać dziecku imię Kipselos.

Oczywista, wychowywać je trzeba było potajemnie, ażeby Bakchiadzi nie domyślili się, że Kipselos żyje. W taki sposób chłopiec wzrósł śród prostego ludu; dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, które groziło mu od krewnych matki, postanowił srogą wywrzeć na nich zemstę. Dzięki wybitnym zaletom, szybko zajął on stanowisko zaszczytne śród rówieśników i skorzystał zeń w tym celu, aby stworzyć sobie partję. Achajom przypominał, jak przodkowie ich musieli ziemi swej ustąpić zdobywcom-Doryjczykom; Doryjczykom zaś wyrzucał, że owoc ich zwycięstwa poszedł na pożytek jednego tylko rodu.

Gdy wszystko było już gotowe do powstania, Kipselos udał się do Delf, aby zyskać błogosławieństwo

boga na dzieło zamierzone. Apollo obwieścił, co następuje:

Będzie szczęśliwy ten mąż, co do mego przybytku wstępuje,
Sam on i jego synowie, synowie zaś synów — bynajmniej.

Zadumał się Kipselos: zrozumiał, że bóg oddaje mu władzę, ale za cenę nieszczęścia i zagłady jego wnuków. Grecy starożytni byli pod tym względem bardzo czuli. Dla Kipselosa, acz wówczas był on młodzieńcem nieżonatym, ciężka była myśl, że nie sądzone mu będzie pozostawić wnuków, którzyby dalszy ciąg rodu jego stanowili. Wszelako chęć ukarania Bakchiadów i opanowania Koryntu przemogła obawy: wróciwszy do kraju, podjął sztandar powstania. Bakchiadów strącono; Kipselos stał się tyranem Koryntu.

Właśnie tyranem: tak nazywali Grecy władców, ktorzy władzę obejmowali nie na mocy dziedziczenia, lecz w drodze siły — obojętne, czy rządzili dobrze, czy źle.

Dobry Kipselos nie był, — przynajmniej dla swych nieprzyjaciół Bakchiadów. Wielu z nich uśmiercił, innych wygnał z kraju, wszystkich wyzuł z majętności i ziemi. Zato łaskawy był dla ludu; wielu ubogich osadził na roli, odebranej magnatom. Był więc kochany od ludu, i gdy po trzydziestu latach szczęśliwego sprawowania rządów umarł, władzę jego spokojnie przejął po nim jego jeszcze potężniejszy syn — Periander.

Należy dodać, że Kipselos, stawszy się tyranem, nie zapomniał o owej skrzyni swej matki, której zawdzięczał i życie swe i swe imię. Wezwawszy najlepszego z rzeźbiarzy swego czasu, kazał mu ozdobić cztery ściany i wieko skrzyni sztabami ze złota i kości słoniowej i wyobrazić na nich wszelkiego rodzaju sceny z wyprawy Argonautów, z czynów Heraklesa, z wojny Trojańskiej. Gdy wszystko było gotowe, Kipselos posłał skrzynię do Olimpji i ofiarował ją tamecznej świątyni Hery. Tam stała ona długo, przypominając Grekom nie tylko o cudownem ocaleniu ofiarodawcy, ale także i o minionej dobie ich sztuki.

Znamy ją z opisu człowieka, który widział ją po upływie ośmiuset lat od chwili, w której była ona ofiarowana.

11. RZĄDY PERIANDRA
(627 — 585)

Gdy Periander przejął po ojcu wodze rządów, tyranja istniała już w wielu państwach Grecji, nietylko sąsiadujących z Koryntem — w Sykionie, Megarze, Epidaurze — ale i w państwach dalekiej Jonji i jeszcze dalszej Sycylji. Szczególniej słynął potęgą swej władzy tyran jońskiego Miletu, imieniem Trazybul. Do niego to, jako do człowieka rozumnego i stanowczego, wyprawił Periander posła, aby dowiedzieć się, jak ma postępować, aby umocnić swą władzę.

Trazybul przyjął posła uprzejmie i poprosił, aby wespół z nim udał się na przechadzkę za miasto. Szli polem; zboże o tej porze zdążyło się wykłosić, i dokoła nich falowało całe morze bujnego urodzaju. Trazybul wypytywał gościa o sprawy korynckie, ten opowiadał, — i nagle tyran, przerywając jego opowiadanie, stawił niespodziewane pytanie:

— A więc o co chce mnie Periander pytać przez ciebie?

— O to — odrzekł poseł — jak ma postępować, aby utrwalić swoją władzę.

Trazybul nic nie odpowiedział, tylko szybkim ruchem laski śmignął ponad otaczające go kłosy, przyczem najwyższe źdźbła uległy strąceniu. Poczem szli w dalszym ciągu. Znów tyran jął wypytywać o sprawy korynckie i słuchał opowiadań posła, — i nagle znów to samo pytanie:

— A więc czego pragnie dowiedzieć się Periander?

Gdy poseł powtórzył swoje, Trazybul znów nie odrzekł ani słowa, poczem nastąpiło nowe śmignięcie laski i nowych kilkanaście kłosów utraciło swe czuby.

Tak stało się i za trzecim razem, potem zaś Trazybul, kończąc przechadzkę, jął żegnać się z posłem, życząc mu szczęśliwej drogi. Ten spytał z pokorą:

— Czy nie raczy Trazybul zaszczycić pana mego odpowiedzią na jego pytanie?

— Opowiedz panu swemu — odrzekł Trazybul — wszystko, coś słyszał i coś widział.

Wróciwszy do Koryntu, poseł wzburzony opowiedział Periandrowi, że Trazybul albo zdziecinniał, albo też stał się nazbyt dumny: zamiast mówić poważnie, bawił się, jak malec.

Periander atoli zrozumiał, że w tej zabawie zawarta była właśnie i odpowiedź i rada Trazybula: skoro chcesz umocnić swą władzę, nie dopuszczaj do tego, aby w państwie byli inni ludzie wybitni, — i zaczął rządzić jeszcze srożej, niż jego ojciec. Tamten uciskał tylko Bakchiadów, ten zaś ścigał bez różnicy wszystkich, kto bogactwem albo rozumem wybijał się ponad współobywateli, bądź to Bakchiadów, bądź prostych Doryjczyków, bądź nawet Achajów. Tem okrucieństwem, które zaszczepił w nim Trazybul, wyhodował on w sobie swą niepowściągliwość, która następnie zwróciła się przeciw jego własnej rodzinie i stała się przyczyną zguby jego rodu, — jak to zobaczymy niebawem.

A szkoda, bo z natury był Periander człowiekiem nietylko rozumnym i czynnym, ale i łagodnym. O Korynt swój troszczył się bez ustanku. Ziemi miał Korynt niewiele, i ta ziemia była niezbyt urodzajna. Ale Periander wszelkich dokładał usiłowań, aby rozwinąć stosunki handlowe z zachodem i ze wschodem, aby towary z całego obszaru śródziemnomorskiego schodziły się w Koryncie i stąd szły na pozostałą Helladę. Pomagały mu w tem kolonje korynckie, których dość dużo było i przed nim zwłaszcza na morzach zachodnich, a pod jego rządami jeszcze się przysporzyło. Co prawda, najpotężniejsza z nich, Korcyra na morzu Jońskiem, była córą dość niesforną wobec swej metropolji, Periander wszakże umiał i ją zmusić do tego, by władzę jego uznała. Słowem, jak Sparta

była pierwszem wojennem, tak Korynt stał się pierwszem miastem handlowem Grecji.

Rozkwit handlu prowadzi zazwyczaj do zbytku i rozwiązłości; wszelako Periander i przeciw temu znalazł bardzo skuteczne środki. Narzędzia zbytecznego i gnuśnego przepychu, bez długich ceregieli, rozkazał wrzucić do morza, — po takiej nauczce już ich nie wprowadzano więcej. Potem ustanowił komisje osób urzędowych, które obowiązane były sprawować nadzór, aby nikt z obywateli nie wydatkował więcej ponad to, co zarabiał. Niedość na tem: pierwszy i jedyny w Grecji, zniósł on niewolnictwo, żądając, aby każdy Koryncjanin pracował sam na siebie. Tak, że Korynt pod jego rządami niesłychany przedstawiał widok: przy kwitnącym handlu i dużych bogactwach panowała w nim godna uwagi surowość życia.

Współcześni ocenili zasługę Periandra: wybaczając mu jego srogość, za rządy rozumne zaliczyli go w poczet owych siedmiu mędrców, którzy słynęli wówczas na całą Helladę i nawet poza jej obrębem, — o nich jeszcze pomówimy później.

Na honor ten zasłużył Periander także i troską o bogów i ich święta. Lubił zwłaszcza wyposażać przepychem te uroczystości, które drogie były prostemu ludowi; tu naczelne zajmowały miejsca święta Djoniza, boga - opiekuna wytwórców wina, którzy stanowili większość poddanych Periandra. Ale władca nie chciał, aby uroczystości te święcono samem tylko rozpasaniem. Swięto Djoniza przeistoczył on w święto także i poezji, muzyki i tańca. W tym celu ściągnął na swój dwór jednego z najcelniejszych poetów ówczesnych — Arjona z Lesbosu. Arjon skorzystał z prastarej pieśni ku czci Djoniza, z szumnego dytyrambu. Rozwinął on atoli dytyramb ów w ten sposób, że przyjemnie było nietylko słuchać go, ale i oglądać. Wykonawcy obowiązani byli przebierać się za satyrów — dzikich towarzyszów Djoniza. Treścią zaś ich przedstawień były sceny z ziemskiego życia ich boga. Częstokroć zdarzało mu się, że doznawał prześladowania od śmiertelnych, do których przybywał ze swą świ-

tą; zawsze jednak bezbożnicy ponosili karę za swą pychę. W taki to sposób ludzie, patrząc na te «cierpienia Djoniza», uczyli się pobożności i unikania pychy.

Sporo czasu spędził Arjon na dworze Periandra; nakoniec wszakże zapragnął wrócić do ojczyzny, do rodaków. Periander hojnie go opatrzył i polecił jednemu ze swych poddanych, aby odwiózł poetę statkiem na Lesbos. Ala człowiek ów, kapitan statku, był człowiekiem złym i chciwym: skoro tylko wypłynęli na pełnię morza i utracili z oczu brzegi korynckie, jął naradzać się z towarzyszami, aby wspólnie zgładzić Arjona i zagrabić jego mienie. Upewniwszy się co do ich zgody, oznajmił Arjonowi, aby gotował się na śmierć.

Arjon przyjął wyrok bez lęku i poprosił tylko, aby dano mu czas do zachodu słońca: „Chcę — rzekł — zaśpiewać hymn pożegnalny Posydonowi korynckiemu, bogu mórz, którego święto zaczyna się wieczorem, potem zaś sam rzucę się do morza". Żeglarze zgodzili się chętnie: miło im było wysłuchać przedzgonną pieśń śpiewaka. Skoro tylko słońce się pochyliło, Arjon wstąpił na pomost pokładu, odziany w przepyszny, złotem haftowany płaszcz, — ten sam, w którym występował w Koryncie podczas uroczystych pień swoich hymnów i dytyrambów. W rękach miał swą ulubioną, siedmiostrunną lirę; akompanjując sobie na niej, zaśpiewał nową pieśń ku czci boga mórz, dzięki mu czyniąc za łaski, jakiemi obdarzył go w podwładnym sobie, gościnnym Koryncie. Ukończywszy swą pieśń, poeta, wierny danej przez siebie obietnicy, rzucił się z pokładu w ciche morze; okręt zaś popłynął dalej na wschód na spotkanie wschodzącego księżyca.

W Koryncie tymczasem zaczęło się nocne święto na chwałę Posydona. Periander wyprawił na wybrzeże morskie swego brata ze zwierzętami, przeznaczonemi na ofiarę, i tłumem świętujących. Gdy tylko wszedł księżyc, zaczęły się tańce i pieśni wokół nadmorskiego ołtarza. Wtem śpiewającym się wydało, że z morza ktoś wtóruje ich pieśniom, że całe morze drgnęło i żyć zaczę-

ło przy blasku księżyca jakiemś nowem, cudownem życiem. Patrzą — to gromada delfinów, ulubieńców Posydona, sunie do brzegu; na grzbiecie zaś przedniego delfina siedzi człowiek z lirą w ręku i głośno wielbi władcę mórz. Delfin ostrożnie wyniósł go na ląd i niezwłocznie potem, spełniwszy zlecenie swego boga, zmarł.

Natychmiast dano znać Periandrowi o cudownem ocaleniu Arjona. Uczciwszy w delfinie-zbawcy istotę wyższego szeregu, rozkazał on pochować go z honorami i wystawić na grobie jego taki sam pomnik, jakie wówczas stawiano ludziom, t. j. w postaci pokoju mieszkalnego. Skoro zaś jął zbliżać się termin powrotu z Lesbosu wiarołomnego kapitana i jego załogi, zlecił on straży portowej, aby natychmrast z okrętu odesłano ich do niego.

Gdy ich przyprowadzono, Periander spytał, jak powodzi się Arjonowi. Ci odpowiedzieli, że dojechał szczęśliwie, ale wkrótce potem życie zakończył i spoczął w ziemi ojczystej. Udawszy strapienie, Periander spytał, czy gotowi są potwierdzić przysięgą to, co oznajmili.

— Tak, odrzekli, przysięgniemy na każdego boga, jakiego zechcesz, — i serce w nich struchlało.

— Nie na boga, rzekł Periandcr, ale przysięgniecie mi na duszę delfina.

— O, na delfina — zgoda, zawołali, ciesząc się, że uniknęli krzywoprzysięstwa.

— A więc chodźcie za mną.

Poprowadził ich do pomnika delfina i zmusił wszystkich, aby przysięgli na jego duszę, że Arjon, pomyślnie dojechawszy do kraju, spokojnie tam życie zakończył. Ale zaledwie przebrzmiało ostatnie słowo fałszywej przysięgi, nagle drzwi pomnika się rozwarły, i wyszedł z nich Arjon, w tym samym wspaniałym płaszczu, w którym rzucił się był do morza, i z tą samą lirą w rękach. Tu złoczyńcy runęli do nóg Periandra — myśleli, że to cień Arjona wyłonił się z grobu, aby ich oskarżyć. Nieprzytomni od zgrozy, wyznali wszystko.

— Bóg zapobiegł waszej zbrodni, rzekł zimno władca, ale to nie ocali was od zasłużonej kary.

I kazał ich wszystkich ukrzyżować na wybrzeżu morza, aby żeglarze wiedzieli, jak gród Posydona karze jego wiarołomne sługi.

W tym wypadku okrutny wyrok Periandra przez nikogo nie był potępiony. Wszelako okrucieństwo to, jak już nadmieniono wyżej, występowało, niestety, i tam, gdzie być go nie powinno. Ono to właśnie pod schyłek jego życia zburzyło jego dom.

Był on ożeniony z Melissą, prześliczną córką Proklosa,tyrana Epidauru. Tyranowie, naogół, chętnie łączyli się między sobą węzłami pokrewieństwa, aby mieć prawo liczyć na pomoc wzajemną w walce z niesforną magnaterją swych państw. To też, poślubiając córkę Proklosa, Periander miał na widoku nietylko urodę narzeczonej, ale i potęgę jej ojca. Epidauryjczycy byli ludem bardzo bogatym. W jego opiece znajdowała się najsłynniejsza w Grecji świątynia boga-lekarza Asklepiosa, do której schodziły się tysiące chorych ze wszystkich stron Hellady; Periander zaś cierpiał brak pieniędzy, gdyż jego budowle i święta nadwyrężały jego skarb.

Proklos wszakże był człowiekiem ostrożnym. Wiedział, że władza jego nie jest niewzruszona, gdyż każdej chwili może być obalona przez powstanie ludu, i nie życzył sobie, aby w razie jego upadku córka jego zdana była na łaskę zięcia. Dał za nią pokaźny posag, znaczną atoli część jego przez wiernych sobie ludzi kazał zakopać w miejscu, które było znane tylko Melissie.

Minęło lat kilkanaście. Periander i Melissa dochowali się dwóch synów; starszy był tępy, młodszy, natomiast, Likofron — po polsku Wilkomysł — odziedziczył po ojcu rozum i stanowczość, i Periander chętnie widział w nim przyszłego po sobie następcę. Wszelako myśl o zakopanym skarbie nie przestawała korcić władcę. Żonę swą kochał do szaleństwa; oględność teścia wydawała mu się zniewagą; nadomiar, jak już nadmieniono, dawał mu się we znaki brak pieniędzy. Wielekroć prosił on Melissy, aby wskazała mu ukryte złoto,

lecz ta mimo całą miłość swą dla męża, uparcie odmawiała, powołując się na zakaz swego ojca.

Razu pewnego Periander wrócił do domu z uroczystości świątecznej, która jak zwykle kosztowała drogo. Podniecony wypitem winem, postanowił on tym razem przemóc upór żony. Zaczął ją błagać, potem domagać się usilnie, grozić — nic nie skutkowało. Nareszcie, straciwszy przytomność, wściekły, z rozmachem uderzył ją w pierś. Melissa, bez życia, padła u jego nóg.

W okamgnieniu żonobójca odzyskał samowiedzę; ale było już zapóźno. Ludowi ogłoszono, że Melissa zmarła nagle od niewidzialnej strzały Artemidy — tak podówczas tłumaczono zagadkowe zgony kobiet; ale stara piastunka Melissy po śladach uderzenia poznała prawdziwą przyczynę zgonu swej pani i, wróciwszy do domu Proklosa, opowiedziała wszystko i jemu. Zasępił się starzec, ale cóż mógł wskórać? Z Periandrem nikt wadzić się nie śmiał.

Znowu czas pewien minął. Periander gorliwie czcił pamięć zmarłej, usiłując przejednać jej duszę bogatemi ofiarami. Chwilami gryzła go skrucha, kiedyindziej osaczała go myśl, że Melissa zabrała jednak do grobu tajemnicę zakopanego skarbu.

W czasach owych wierzono, że człowiek może tajemniczemi obrzędami wywoływać cienie zmarłych. W Epirze była jaskinia, z której wypływała rzeka Acheront, wpadająca potem do morza. O jaskini tej mniemano, że podziemnemi drogami łączy się z przybytkiem umarłych, i tutaj wyrocznię swoją mieli kapłani miejscowi, znający się na obrzędowości wywoływania dusz. Do nich wyprawił posłów Periander; spodziewał się, że Melissa przebaczyła mu jego grzech i że teraz nie będzie już strzegła tajemnicy, bezpożytecznej dla siebie.

Kapłani wespół z posłami wstąpili w jaskinię Acherontu, mętnie oświetloną czerwonym blaskiem pochodni. Zarznęli czarną owcę, aby krew jej spłynęła do dołu, uprzednio wykopanego, potem zaintonowali smętny płacz zaduszny, przerywając go głośnemi nawoływaniami: »Me-

lisso, przyjdź spróbować krwi ofiarnej«. Zaklęcia brzmiały coraz głośniej; nakoniec przeistoczyły się w dziki skowyt, przeraźliwie rozlegający się o sklepienia jaskini. Wreszcie nad rzeką ukazał się niby tuman biały, jął się zbliżać, — posłowie odpoznali w nim swą zmarłą królowę. Blademi wargami dotknęła krwi gorącej, ogarnęła wszystkich spojrzeniem swych oczu szklanych, ale gdy okuci strachem posłowie wybełkotali swe zlecenie, — zatrzęsła się, szepnęła — »mnie zimno« — i znów zniknęła w falach Acherontu.

Periander zrozumiał, że jego żona nieboszczka jeszcze się z nim nie pojednała; aby ja przebłagać, wpadł na pomysł, który na długi czas wzbudził przeciw niemu gniew Koryncjan. Ogłosił, że święcić będzie uroczystości ku czci Hery, i rozkazał, aby wszystkie Koryncjanki zgromadziły się w starożytnej jej świątyni na Akrokoryncie. Koryncjanki przyszły jak na święto, ubrane w co miały najcenniejszego. Gdy zebrały się już wszystkie, Periander otoczył je strażą, zmusił do zrzucenia z siebie wszystkich płaszczów i narzutek i potem dopiero pozwolił im rozejść się do domów. Cały stos tych złupionych szat spalił on następnie na cześć Melissy, przywołując jej duszę i mówiąc do niej tajemnie: »Teraz nie będziesz już cierpiała chłodu«.

Poczem wyprawił po raz wtóry posłów do jaskini Acherontu. Teraz Melissa ukazała się łagodna i przebłagana i wyjawiła im to miejsce, gdzie zakopane było złoto epidauryjskie. Periander odetchnął swobodniej: wydało mu się, że zyskał przebaczenie i że zdjęto zeń ciężkie brzemię grzechu.

Ale najokrutniejsze nieszczęście dopiero miało dlań nadejść!

Gdy synowie jego podrośli, ich dziad Proklos, ojciec Melissy, zaprosił ich do siebie, do Epidauru. Tam podejmował ich gościnnie i z honorami, jako swych wnuków; skoro zaś nadeszła godzina pożegnania, objął ich, ucałował i potem spytał cicho: »A czy wiecie, dzieci, kto jest zabójcą waszej matki?« I przytem popatrzył na nich tak

wyraziście, tak boleśnie, że przenikliwy Likofron odrazu zrozumiał wszystko. Zbladł, nie rzekł ani słowa. A gdy wrócili do Koryntu, uchylił się od powitań ojca i ani sam się doń nie odzywał, ani na pytania jego nie odpowiadał.

Zdumiał się Periander wobec tej zmiany, jaka zaszła w duszy jego ukochanego syna, i jął wybadywać starszego, co widzieli i co słyszeli w Epidaurze. Ten, wskutek swej tępoty, nie odrazu przypomniał sobie pożegnalne słowa Proklosa, których nie zrozumiał; nakoniec wszakże opowiedział i o nich. Wtenczas ujrzał Periander, że Likofron przeniknął straszną tajemnicę zgonu Melissy. Rozpłonął gniewem przeciwko teściowi, ale także i przeciw synowi, który poważył się sądzić ojca, i rozkazał mu opuścić pałac.

Likofron chętnie poddał się rozkazowi: życie pod jednym dachem z ojcem było dlań nie do zniesienia. Nie poprzestając na tem, Periander zakazał magnatowi, który dał Likofronowi przytułek, trzymać go u siebie. Likofron przeszedł do drugiego, a potem i do trzeciego. Wszyscy przyjmowali go u siebie bez zastrzeżeń, rozumiejąc, że Periander, choć jest panem, ale jest już stary, i tron jego może lada dzień przejść do Likrofona, który był ulubieńcem wszystkich. Nakoniec Periander, chcąc złamać krnąbrność syna, ogłosił przez heroldów wszystkim obywatelom: »ktokolwiek przyjmie w swoim domu mego syna albo wstąpi z nim w rozmowę, obowiązany będzie zapłacić świętą grzywnę Apollinowi.«

Wtenczas Likofron nie ważył się już niepokoić przyjaciół. Świetny dawniej królewicz leżał teraz głodny i zaniedbany pod kolumnadą galerji na placu korynckim, i wszyscy odeń stronili, jak od zadżumionego.

Czwartego dnia przypadkiem spotkał go Periander. Boleśnie ścisnęło się jego serce na widok tej poniewierki swego ulubieńca. Podszedł ku niemu i rzekł łagodnie: »Pomyśl sam, synu, kiedy żyło ci się lepiej, wprzódy czy teraz? Dlaczegóż wyrzekłeś się dawnego szczęścia dla takiej hańby? Wszak jeśli masz mi coś do wyrzucenia, to było to raczej mojem nieszczęściem, niż moją winą, i ja

sam już dostatecznie siebie ukarałem. Cofnij więc swoje słowo, wróć do naszego pałacu, i żyć będziemy znowu, jak żyliśmy dawniej».

Ale Likofron ponuro popatrzył na ojca swemi zapadłemi oczyma i rzekł doń: „Zapłać świętą grzywnę Apollinowi".

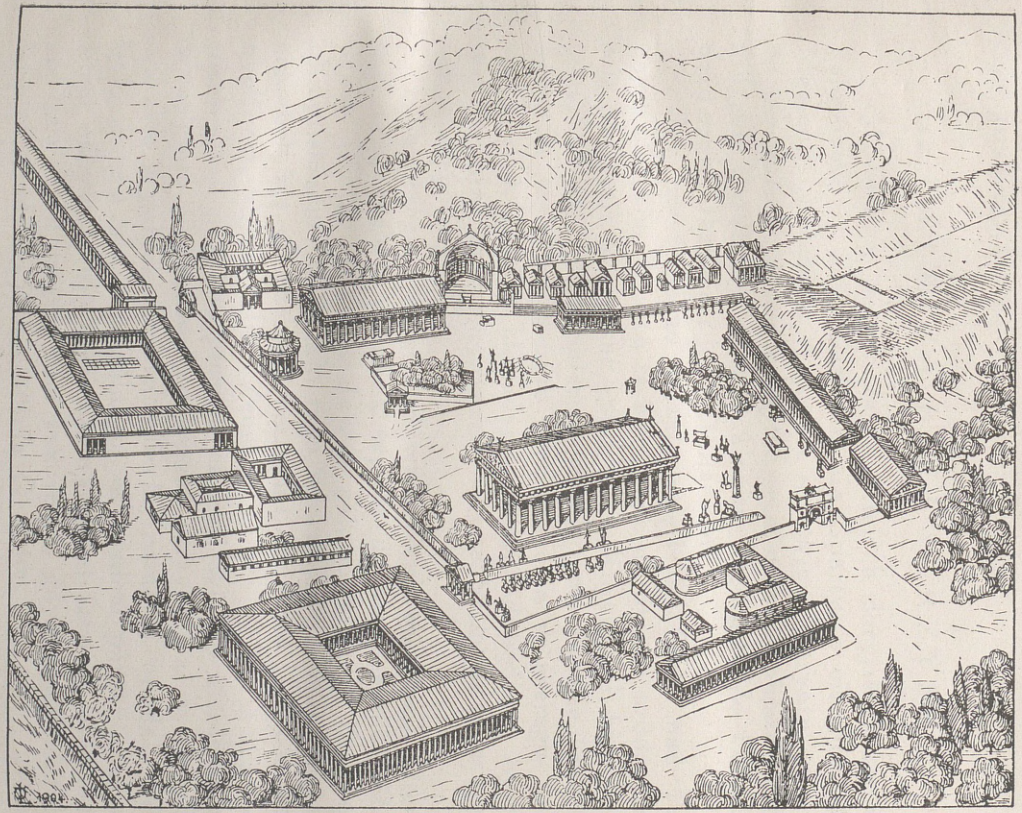
Poczem odwrócił się i nic więcej nie odpowiedział.

Teraz Periander zasępił się jeszcze bardziej. Aby nie spowodować także śmierci syna, przez starszą swą córkę, kobietę rozumną i szanowaną przez braci, zaproponował mu udać się w charakterze namiestnika do podwładnej mu Korcyry. Likofron przystał.

Tak przeszło jeszcze lat kilkanaście. Periander postarzał się jeszcze więcej; czując śmierć nadchodzącą, uczynił jeszcze jedną próbę, aby skłonić syna do powrotu: przed zgonem chciał przekazać mu władzę. Ale i teraz Likofron nie dał się przejednać; wtenczas Periander zaproponował mu natychmiastowe przyjęcie władzy nad Koryntem, oświadczając, że sam gotów będzie na resztę życia stać się namiestnikiem jego w Korcyrze. Likofron zgodził się. Ale oburzyli się mieszkańcy Korcyry, posłyszawszy, że mają dostać na wielkorządcę Periandra, o którego twardej ręce krążyło tyle przesadnych wieści. Wybuchło powstanie, Likofron padł zabity, Korcyra zaś ogłosiła swą niepodległość.

Wkrótce potem, złamany nieszczęściem, zakończył też życie i Periander. Władzę przejął po nim jego bratanek, lecz po trzech latach niefortunnych rządów musiał uciekać. Tak smętnie zaszła gwiazda Kipselidów, która z taką świetnością zajaśniała w osobie założyciela ich władzy. Słuszność miała wyrocznia, gdy rokowała powodzenie Kipselowi i jego dzieciom, ale nie wnukom.

Korynt stał się znów republiką arystokratyczną, lecz już nie na dawnych zasadach: ludzie, przodujący bogactwem, utworzyli radę, zarządzającą państwem. Jednakowoż skutki mądrego rządu Kipselidów nie poszły na marne: wprawdzie niewolnictwo i zbytek powróciły, ale potęga handlowa i ład publiczny pozostał, i gdy Koryn-



OLIMPJA

Czworokąt pośrodku — to Altis; w niej trzy główne świątynie. Zeusa (na przodzie), Hery (z tyłu) i Macierzy bogów (na prawo od niej). Między świątyniami Zeusa i Hery—grobowiec Pelopsa. Na prawo od świątyni Hery—zbudowane dopiero w końcu II w. po Chr. «eksedra» Heroda Attyka, na prawo od niej — długi szereg skarbnic pod nimi—galerja «Zanów». Na prawo od Altis—stadjon, na lewo u góry—palestra.

cjanie wstępowali na Akrokorynt, aby pomodlić się do swej rodzimej bogini Hery, z dumą ogarniali wzrokiem swe obie przystanie pełne okrętów ze wszystkich krańców greckiego morza.

12. OLIMPJA I JEJ IGRZYSKA

Mówiliśmy dotychczas o dziejach doryjskich losów Peloponezu — o wyniesieniu się Sparty, o cierpieniach Messenji, o słabości Argosu i rozkwicie Koryntu. Lecz co się stało — możecie spytać — z owymi sojusznikami, których Heraklidzi zabrali z sobą, wędrując do Peloponezu — z Oksylem i jego Etoljanami?

Jak powiedziano wyżej, zajęli oni Elidę nad Penejem elidzkim. Kraina ta nie mogła dorównać urodzajnością Messenji, korzystną sytuacją — Koryntowi, bitnością mieszkańców — Lakonice; a jednak potomkowie Oksyla dokazali tego, że zaczęto wymieniać ją w szeregu najpierwszych państw Hellady; a i teraz odwiedzana bywa częściej, niż tamte trzy, razem wzięte. Stało się to w sposób następujący.

Na brzegu drugiej i głównej rzeki elidzkiej, Alfeusza, tam, gdzie z południa wpada do niej maleńki Kladeusz, istniał z dawien-dawna gaj, poświęcony Zeusowi olimpijskiemu. Do gaju tego od czasów niepamiętnych schodzili się po czerwcowej pełni księżyca mieszkańcy okoliczni, aby składać Zeusowi ofiarę dziękczynną za pierwociny płodów, poczem cieszyli władcę niebieskiego wyścigami piechurów; zwycięzca otrzymywał w nagrodę wieniec z gałązki dzikiej oliwki, rosnącej opodal. Nie było w tem nic szczególnego: w każdem państwie greckiem odbywały się takie same i nawet jeszcze świetniejsze zawody o miejscowem znaczeniu, gdyż zawodnictwo było przyrodzoną namiętnością Greków.

Lecz oto jeden z królewskich potomków Oksyla, zwany Ifitem, zapragnął owe zawody miejscowe przekształcić w powszechno-helleńskie. Myśl jego zmierzała ku temu, aby na okres świąteczny Elida, jak pani goś-

cinna, mogła przyjąć u siebie w Olimpji (tak zwano gaj) gości z całej Hellady, jednych, jako zawodników, drugich, jako widzów. Celem urzeczywistnienia tej myśli należało uzyskać przedewszystkiem zgodę Apollina delfickiego. Rzecz ta nie nastręczała trudności, zbożny bowiem cel przedsięwzięcia był aż nadto oczywisty; trudność tkwiła gdzieindziej.

W owych czasach wojny były w Grecji zjawiskiem stałem; nam znane są tylko najważniejsze, lecz, wobec samodzielności jednostek państwowych i braku jakiejkolwiek władzy, powszechnie uznawanej, nie mijało roku, aby to tu, to tam o sporny kawałek ziemi lub o jakieś uprowadzone stado nie biły się między sobą orężne zastępy ościennych państw. A tymczasem te międzyhelleńskie wojny były poważną przeszkodą dla owego święta, jakiem powinny były stać się igrzyska olimpijskie. Na szczęście, najpotężniejszem państwem Peloponezu była już wtenczas Sparta, Spartą zaś rządził mądry Likurg.

Z Likurgiem tedy wszczął rokowania Ifitos. Pospołu opracowali oni warunki p o k o j u b o ż e g o, który zaczynać się miał na kilkanaście tygodni przed rozpoczęciem igrzysk i trwać podczas samych igrzysk a także jeszcze czas jakiś potem, aby wszyscy goście posiedli możność bezpiecznego powrotu do kraju. Wszelkie wrogie działania Hellenów przeciwko Hellenom były na okres owego pokoju bożego wzbronione; ktokolwiek ich się dopuścił, ulegał grzywnie świętej, imię zaś Sparty było rękojmią, że wyrok ten nie pozostanie pustą groźbą.

Rzecz jasna, rokrocznie niepodobieństwem było uciekać się do takiego środka: postanowiono urządzić igrzyska olimpijskie tylko raz na cztery lata, w tak zwane o l i m p j a d y. Uroczystość święta tylko zyskiwała na tem. Skoro zaś urządzano je tak rzadko, i skoro spraszano na nie gości z całej Hellady, to nie wypadało poprzestawać na skromnym, prostym biegu: rozwinął się zeń odpoczątku tak zwany «pentatl», t. j. «pięć rodzajów zawodów», których imiona Grecy ułożyli w zręczny wiersz:

Były to: bieg oraz skok—włócznia i walka i dysk. Później dodano do tych pięciu zawodów jeszcze i bój na pięści, a jeszcze później — najuroczystsze z zawodów: wyścigi rydwanów. Odpowiednio do tego zwiększano też i liczbę dni: w epoce rozkwitu Olimpji liczba ta dosięgła pięciu.

W ciągu tych dni cicha Olimpja tętniła warem życia. Gospody napełniały się gośćmi; mieszkańcy osady także przyjmowali gości, jedni po znajomości, inni za zapłatę. Wszędzie odbywał się handel, gdzie tylko można było rozstawić stragany w oczekiwaniu obfitego zysku. Zysk, zresztą, nie bywał nadmierny, gdyż obowiązywała taksa, i surowi «agoranomowie» pilnowali, aby przekupnie nie krzywdzili gości Zeusa olimpijskiego. Ten war życia zaczynał się jeszcze przed początkiem igrzysk. Goście przechadzali się w tym czasie wolnym po świętym dziedzińcu; pokazywano im olbrzymi ołtarz Zeusa, wyrosły z popiołu zwierząt, złożonych mu w ofierze; wspaniałą świątynię, w której od wieku V-go słynął najuroczystszy przedmiot nabożeństwa Grecji, posąg Zeusa olimpijskiego, wyrzeźbiony przez Fidjasza; starożytniejszy przybytek Hery, którego drewniane kolumny jedynie stopniowo, w miarę, jak próchniały, zastępowano nowemi z głazów; grobowiec Pelopsa, bajecznego króla Peloponezu, który, jak opiewało podanie, tutaj zdobył swą przyszłą żonę, piękną Hipodamję, zwyciężywszy w biegu rydwanów jej ojca Enomaja—która to scena odtworzona była na frontonie świątyni Zeusa; niezliczone dary państw tudzież osób prywatnych, z których pokaźne rzeźby z marmuru i bronzu stały pod otwartem niebem, maleńkie zaś i drogocenne wyroby pozostawały pod zamkiem w «skarbcach» oddzielnych państw.

Pierwszy dzień święta był przeznaczony na obrzędy religijne: uczestnicy zawodów składali przysięgę przed ołtarzem Zeusa; w początku odbierali ją królowie Elidy, potomkowie Ifita, potem zaś, gdy władzę królewską zastąpiła arystokracja, komisja dziesięciu «hellanodików», t. j. «sędziów nad Hellenami». Obowiązani byli ślu-

bować, że sumiennie wykonywać będą statuty zawodów, w biegu nie stawić podnóżek, w boju nie bić przeciwnika w sposób niedozwolony i t. d. Nieposłusznym groziła grzywna pokutna; aby wzmóc skuteczność przysięgi, ślubujących prowadzono obok galerji bronzowych posągów Zeusa, które były wyrzeźbione kosztem środków, pochodzących z tego rodzaju grzywien.

Drugi dzień gromadził gości w stadjonie olimpijskim — podwójnym szeregu stopni kamiennych, okalającym szlak przeznaczony dla biegu. Tutaj odbywały się w tym dniu zawody malców. Łatwo wystawić sobie, z jakiem wzruszeniem i dreszczem ojcowie oraz krewni współzawodników, zasiadający na stopniach, śledzili popisy swych milusieńkich, i jaka wrzawa powstawała wśród zgromadzonych, gdy okrzyk herolda: «Zwyciężył Agesidamos, syn Archestrata z kraju Lokrów italskich» — obwieszczał wszem wobec imię zwycięzcy. Walczyli ze sobą malcy we wszystkich rodzajach pentatlu, poza tem zaś jeszcze — na pięści. Niektóre, zresztą, z rodzajów tych dzieliły się na pewne odmiany. Tak więc bieg mógł być prosty, od barjery do drugiego końca stadjonu, ale mógł też być i podwójny i wielokrotny; pierwszy bywał tylko próbą szybkości, drugi i trzeci bywał także i próbą wytrwałości. Również i skok mógł odbywać się albo wzwyż, albo wzdłuż. Rzucanie oszczepem—maleńką włócznią—było próbą, obliczoną na wykazanie bądź dalekości bądź celności rzutu; wyłącznie w dalekości współzawodniczyli miotacze dysku, krążka metalowego o wadze 5 funtów. Bardzo urozmaicona była walka zawodników, w której za zwycięzcę uchodził ten, komu udawało się trzykroć położyć na łopatki przeciwnika. Dla boksu bojownicy uzbrajali ręce w rzemienie skórzane; ciosy, grożące kalectwem lub śmiercią, były wzbronione, rzadko kiedy jednakże walka obywała się bez krwi.

Dzień trzeci i czwarty skupiał tę samą publiczność po części w tym samym stadjonie, ale już dla popisów zawodników dorosłych. Zawody były te same, co i nad-

mienione wyżej popisy malców. Po części zaś—i to była rzecz najważniejsza—widzowie byli proszeni do hippodromu, gdzie odbywały się rozmaite wyścigi konne.

Właściwie mówiąc, w tych ostatnich zawodach mniej było treści i duszy niż w poprzednich: wszak tu walczyli ze sobą nie ludzie, lecz konie, właściciele zaś koni częstokroć nawet nie sami nimi kierowali, poruczając wodze swym woźnicom. Ale, naprzód, hodować konie mogli tylko ludzie bogaci, i dlatego te właśnie zawody miały charakter najświetniejszy, arystokratyczny. Po-wtóre, Greka roznamiętniał sam fakt zwycięstwa; lecz o tem będzie mowa poniżej.

Nakoniec, dzień piąty poświęcano na wieńczenie i honorowanie zwycięzców. Do późnej nocy dolina Alfeusza rozbrzmiewała od okrzyków i pieśni ku ich sławie, i nawet wielcy poeci, jak Simonides albo Pindar, nie uważali za rzecz, stojącą poniżej swej godności, komponować hymny, niekiedy bardzo głębokomyślne, ku chwale ich zwycięstw. Rzeczywiście, igrzyska olimpijskie zyskały w życiu greckiem takie znaczenie, że zwycięstwo na nich zaczęto poczytywać jakby za uwieńczenie szczęścia ziemskiego. Zwycięzca wynosił ku chwale nietylko samego siebie, ale i swą rodzinę, i swą ojczyznę; dlatego i w kraju ojczystym składano mu hołdy. Nagroda zwycięzcy była nader skromna: wieniec oliwny, który wieszał on u ogniska swego domu; ale wieńca tego nie pomieniałby za największe w świecie skarby. Dla Greka zwycięstwo nie było pojęciem oderwanem; była to potężna bogini, której stawiano posągi i świątynie. Czuć się wybrańcem Zwycięstwa było to uczucie tak upajające, z którem nic równać się nie mogło. Zdawało się, że życie nie mogło niczego odmówić temu, komu raz jeden w Olimpji uśmiechnęło się Zwycięstwo. Łatwo było takiemu człowiekowi dać unieść się pysze, — i rzeczeni poeci nie omijali sposobności, aby zwycięzcę przywołać do skromności, przypominając mu, że człowiek jest niczem w obliczu boga.

Na wzór igrzysk olimpijskich założono później i inne, także wszechhelleńskie: pityjskie w Delfach, istmijskie

w Koryncie (zapewne przez Periandra), nemejskie opodal Argosu. Wszelako olimpijskie po wsze czasy zachowały stanowisko czołowe śród nich. Pozyskały one znaczenie także i dla chronologji greckiej, ponieważ od roku 776 Hellenowie zaczęli liczyć swe olimpjady. Tak więc, gdy nam mówią, że Periander umarł w czwartym roku 48-ej olimpjady, to wiedząc, że pierwsza olimpjada wypełniła się latem w 776 roku, otrzymujemy dla śmierci Periandra rok 585—584.

ROZDZIAŁ III

ATENY

13. KILON W ATENACH

W owych czasach, gdy Sparta stała się najpotężniejszem państwem militarnem, Korynt zaś najżywotniejszym ośrodkiem handlowym Grecji, Ateny były jeszcze skromną republiką rolniczą. Ich siły lądowe były niepokaźne, drogi zaś morskie przegradzała wyspa Salamina, która wtenczas należała do Megary.

Rządy Aten były, jak już wiemy, arystokratyczne. Siła skupiała się w rękach szczupłej liczby rodów możnowładczych, posiadających najżyźniejszą ziemię w tak zwanej »równinie«. Najmożniejszym zaś z pośród tych rodów możnych byli Alkmeonidzi.

Ludowi prostemu srodze dawała się we znaki wyniosła duma możnowładztwa; niechęć ku niemu wzmagała się i rosła — a wraz z nią i nadzieja mężów ambitnych, którym przykład Kipsela pokazał, co śmiały i przedsiębiorczy człowiek osiągnąć mógł w państwach greckich.

Śród tych mężów ambitnych był też niejaki Kilon. Pochodząc sam z możnego rodu, poślubił on córkę tyrana Megary, Teagenesa, i chętnie gotów był skorzystać z przykładu i pomocy teścia. Skoro zaś los obdarzył go zwycięstwem w Olimpji, jął pysznić się jeszcze bardziej: wyobraziwszy sobie, że jest wybrańcem Zwycięstwa, postanowił, że tyranja przed nim nie umknie, i wahał się tylko co do dnia, w którym dokonać ma zamachu na wolność swej ojczyzny. Zasięgnął w tym względzie rady boga delfickiego; bóg i tutaj uciekł się do »godziwego oszukania«, aby ukarać go za jego występny zamiar. Wyrocznia odpowiedziała: „w największe święto Zeusa".—„A więc w dzień igrzysk olimpijskich" — odrzekł

Kilon, myśląc o własnem zwycięstwie olimpijskiem. Zapomniał zaś najzupełniej, że i w Atenach bywa także miejscowe wielkie święto Zeusa.

I oto, gdy nastąpiła czerwcowa pełnia księżyca, Kilon na czele swych stronników ateńskich a także i posiłkowego oddziału, jaki potajemnie przysłał mu teść Teagenes, niespodzianym napadem zajął Akropol. Miał nadzieję, że ubogi lud ateński chętnie skorzysta ze sposobności, aby obalić rządy nienawistnego możnowładztwa; wszelako w nadziei tej się zawiódł. Tyranja była ludowi ateńskiemu jeszcze bardziej nienawistna: zrazu usłucha on nawet wezwania Alkmeonidów i obległ »kilonowców«, którzy zamknęli się w Akropolu. Potem, jednakże, lud wrócił do swych domostw, pozostawiwszy panom, aby między sobą załatwili swe porachunki.

Alkmeonidzi na czele arystokracji oblegali w dalszym ciągu twierdzę. Śród oblężonych, którzy nie byli na taki obrót rzeczy przygotowani, wkrótce zabrakło żywności. Jeszcze dotkliwiej dał się im odczuć brak wody: ateński bowiem Akropol ustępował w tym względzie Akrokoryntowi i nie posiadał w obrębie swych murów własnego zdroju. Wtenczas odwaga opuściła Kilona; porzuciwszy towarzyszów swych na łaskę losu, umknął potajemnie. Co stało się z nim dalej, nie wiemy.

Opuszczeni przez wodza, kilonowcy legli jako »błagalnicy» przed ołtarzem Pallady-Ateny; znaczyło to, że szukają schronienia u bogini. Wedle obyczajów greckich, nikt nie miał prawa siłą ich stamtąd uprowadzić: czynem takim obraziłby Atenę. Ale niebezpiecznie też było i zostawiać ich przed ołtarzem: wielu z nich było tak znękanych głodem, że mogli na miejscu umrzeć, co znowu byłoby znieważeniem otarza.

Głową Alkmeonidów był wtenczas niejaki Megakles; w tym roku piastował urząd naczelnego archonta. On to zaproponował kilonowcom, aby się poddali: „Staniecie przed sądem" — rzekł do nich — „na Areopagu; jakibykolwiek wypadł wyrok, życie wam zaręczamy". Kilonowcy zgodzili się; jakkolwiek prawa natenczas w Ate-

nach jeszcze nie istniały, lecz sędziowie na Areopagu słynęli ze swej sprawiedliwości na całą Helladę.

Alkmeonidzi najbardziej nienawidzili kilonowców: wiedzieli, że w razie gdyby zamach się udał, Kilon postąpiłby z nimi tak samo, jak w Koryncie Kipselos z Bakchiadami. Kilonowcy znali tę nienawiść ku sobie i nie ufali Alkmeonidom. Zażądali, aby im podano olbrzymi kłąb wełny. Przed opuszczeniem ołtarza przywiązali doń jeden koniec nici; potem jęli odchodzić jeden po drugim, w kierunku bramy Akropolu, przyczem pierwszy niósł kłąb, stopniowo rozwijając zeń nić; wszyscy trzymali się za nić i szli, słaniając się z wyczerpania, podobniejsi do trupów, niż do żywych ludzi.

Zstąpiwszy z Akropolu, podeszli do skały Areopagu. Ale oto, gdy stanęli narówni z jaskinią Erynij, znajdującą się pod ową skałą, nić pękła niespodzianie. Megakles ujrzał w tem znak przychylny dla siebie. „Bierzcie ich!"—krzyknął do swego oddziału —„Pallada odtrąciła błagalników". Większość kilonowców nie stawiła oporu; uprowadzono ich za miasto i tam ukamienowano. Ci, którzy mieli jeszcze odrobinę sił, rzucili się ku ołtarzom Erynij. Lecz rozjuszeni Alkmeonidzi już nie zwrócili uwagi na to nowe błagalnictwo i tuż na miejscu wysiekli ich mieczami.

Taki był opłakany koniec spisku Kilona. Alkmeonidzi splamili się straszliwą zbrodnią: ludzie trwożnie się od nich usunęli. „Oszukali i rozgniewali boginię"— mówiono o nich —; „zlekceważyli orędownictwo Erynij"; „są — przeklęci". To przezwisko »przeklętych« poszło odtąd za nimi. Pod wpływem tej nienawiści przeciw Alkmeonidom podnieśli głowę i ci, którzy wprzódy tajnie sprzyjali Kilonowi, ale nie ważyli się na udział w spisku. Cały naród na dwa rozdzielił się stronnictwa. Lata mijały, a waśń wzajemna rosła i rosła.

Był podówczas w Atenach obywatel jeszcze młody, ale już otoczony rozgłosem dzięki swej energji i sprawiedliwości. Na imię było mu Solon. Pragnąc kres położyć waśni i pojednać stronnictwa, wystąpił z wnioskiem,

aby lud wybrał trzystu najlepszych ludzi dla złożenia sądu nad tymi, którzy splamili się krwią kilonowców. Wniosek przyjęto. Stanął sąd. I teraz dopiero wyszło na jaw, jak dalece wszyscy nienawidzili i bali się Alkmeonidów: potępiono ich i skazano na wygnanie z kraju. Nie pozostawiono w spokoju nawet tych, którzy zdążyli umrzeć od czasu dokonanego przestępstwa: ich szczątki wykopano z ojczystej ziemi i wywieziono poza jej granice.

Alkmeonidzi poszli na wygnanie, pałając gniewem przeciw arystokracji, która ich zdradziła. Ateńczycy odetchnęli swobodniej, nie czując już więcej »przeklętych« w swem środowisku. W istocie: przecież winowajcy w odwet ponieśli karę; cóżby należało czynić ponadto? Jednakowoż niebawem zaszedł śród nich wypadek, który dowiódł, że moc boża polega nie na odwecie.

W Atenach wybuchła dżuma. Jak zawsze w podobnych razach, wyprawiono posłów do Delf, do Apollina — wszak on to, mniemano, dżumą karze ludzi, którzy zgrzeszyli przeciw niemu. Apollo odpowiedział nakazem, aby, „oczyścić miasto". Zdumieli się Ateńczycy: jakto? czyż już nie oczyścili go, wyganiając »przeklętych«? Wszelako w gronie ich był niejaki Nikjasz, mąż wielkiej zacności: „Oczyściliśmy miasto — rzekł on — ludzkim sądem, o bogu zaś zapomnieliśmy. Wygnaliśmy i żywych i umarłych, a skądże wiemy, czy bogu wyrok taki jest miły?"

„Mieszka na Krecie — ciągnął dalej — mąż, ukochany przez bogów, zwany Epimenidesem. Gdy był on jeszcze młody, zdarzył mu się cud. Wespół ze swym bratem młodszym, pasł on stado ojca; razu pewnego, uczuł się znużony, zaszedł do pobliskiej jaskini i w niej zasnął. Przebudziwszy się, jak mniemał, po krótkim śnie, stada swego już więcej nie znalazł; wróciwszy do domu, zastał w nim, zamiast ojca, innego starca, i z rozmowy z nim dowiedział się, że jest to jego własny brat młodszy, i że przespał on pięćdziesiąt lat z okładem. Ale podczas owego snu nimfy nauczyły go mądrości bożej, i teraz niema

człowieka, któryby bliższy był bogom, niż on. Radzę więc zaprosić go do nas, aby on miasto nasze oczyścił od plamy, która je skalała."

Usłuchano rady Nikjasza; jego samego wyprawiono na Kretę, aby sprowadził starca, miłego bogom. Wstąpiwszy na ziemię ateńską, Epimenides zwołał obywateli na wiec u podnóża Areopagu i powiedział im w przybliżeniu, co następuje:

„Nie w odwecie jest bóg, lecz w przebaczeniu. Wasi współobywatele Alkmeonidzi dość już się nacierpieli; niechże wracają do kraju. Krew przelana musi być odkupiona; a w jaki sposób, to wam oznajmię.

„Sprowadźcie na skałę Areopagu stado jagniąt, czarnych i białych; one podejmą wasze grzechy. Tak obarczone grzechem niechaj rozejdą się, gdzie które zechce; gdziekolwiek zaś które z nich legnie, tam złożycie je na ofiarę — właściwemu bogu."

Zgromadzeni w kornem milczeniu słuchali jego natchnionych słów. Gdy skończył, Nikjasz zwrócił się doń z pytaniem:

„Jeszcze jedno nam powiedz, boski starcze. My składamy ofiary na ołtarzach; jakiemuż więc bogu każesz poświęcić ołtarze baranków odkupienia?"

Epimenides milczał. Nikjasz spytał dokładniej:

„Czy Atenie? Erynjom? Lub Apollinowi?"

Lecz Epimenides chwiał głową, w zadumaniu patrząc wdal przed siebie; po pewnem milczeniu dodał:

„Ofiarujcie je — bogu nieznanemu."

* * *

Minęło zgórą sześćset lat. Wtenczas inny mąż święty, przyszedł do Aten; głosił on Boga, który narodził się wśród ludzi w dalekiej Galilei, i mędrcy, zamieszkali w Atenach, z podziwem słuchali jego słów.

I wziąwszy go, przywiedli na Areopag; i stanął on wpośród Areopagu i rzekł:

„Ateńczycy! ze wszystkiego widzę, że jesteście szczególnie pobożni. Albowiem przechodząc i oglądając wasze świętości, znalazłem też ołtarz, na którym było napisane: Bogu nieznanemu. Co tedy, nie znając, czcicie, to ja wam opowiadam"...

Tym mężem był Paweł apostoł (Dzieje apostolskie XVII, 19—23).

14. SOLON PRAWODAWCA

W poprzedniej opowieści wspominaliśmy już imię człowieka, którego Ateńczycy w ciągu wielu stuleci czcili jako swego największego dobroczyńcę: był to Solon. Pochodził on z rodu możnowładczego: przodkiem jego był ów Kodros, który niegdyś poświęcił się za ojczyznę. Ale fortunę miał niewielką. Posiadając mały zaledwie kawałek ziemi, zajął się handlem i jako kupiec zwiedził znaczną część wysp i pobrzeża azjatyckiego; był, jak mówiono, i w Egipcie, wszędzie studjując ludzi, ich miasta i obyczaje, wszędzie nawiązując znajomości. Wszelako warunki handlu były wtenczas dla Ateńczyków nader ciężkie: ich przystanią morską był Faleron, naprzeciwko zaś Faleronu i wogóle całego wybrzeża ateńskiego leżała długa wyspa Salamina, należąca podówczas do Megary, tak, że bez zezwolenia władz megarskich ani jeden okręt ateński nie mógł wypłynąć na pełnię morza.

Atenami rządzili wtenczas archonci i rada Areopagu, składająca się z byłych archontów; w wyjątkowych tylko wypadkach zwoływano zgromadzenie ludowe. Po szeregu niepomyślnych prób odboju Salaminy od Megary, Areopag wydał prawo, karzące śmiercią każdego, ktoby wezwał naród do wznowienia z Megarą wojny o Salaminę.

Solon zrozumiał, że wyrzekając się Salaminy, Ateńczycy zrzekali się wszelkiego powodzenia i wielkości w czasach przyszłych; postanowił przeto za wszelką cenę doprowadzić sprawę do wojny. W tym celu udał obłąkanego, przywdział czapkę błazeńską i w takiej postaci ukazał się na placu w Atenach. Obywatele obstąpili go wnet dokoła.

Gdy duża zebrała się ciżba, Solon ku zdumieniu wszystkich jął nagle śpiewać:

Herold — przynoszę wam wieść, z upragnionej wieść Salaminy;
Jeno nie mowa z mych ust — dźwięczna poleje się pieśń.

Wszyscy nadstawili uszu: napewno obłąkaniec, skoro zapomniał o prawie! Ale Solon śpiewał dalej, przedstawiając ważność dla Ateńczyków zakazanej wyspy; hańbę, jaką ściągnęli na siebie swem małodusznem wystąpieniem.

„Nie, wolę zmienić ojczyznę — śpiewał —; niech domem moim będzie raczej pustynna wyspa Folegandr, albo nędzny Sykin: teraz, kędykolwiek pójdę, ludzie szydzić będą ze mnie: oto jeden z Ateńczyków! jeden z tych, co zrzekli się Salaminy!"

„Nie, to — nie obłąkaniec!" Wrzenie wzmagało się i rosło; i kiedy Solon skończył pieśń swoją gromkiem wezwaniem:

Na Salaminę, rodacy! O wyspę bój upragniony
Stoczyć nam trzeba i z bark zrzucić gniotący nas wstyd!

wtenczas wszyscy, jak jeden mąż, odpowiedzieli mu: „Idziemy na Salaminę!"

Ogłoszono wojnę; sam Solon stał się jej duszą, i wyspa, nareszcie, została odbita. Przed handlem ateńskim wolne otwarły się szlaki. Zyskał na znaczeniu stan kupiecki, a za nim i stan przemysłowy: ludność «pobrzeża.» Gdy zaś powrócili Alkmeonidzi, odżegnali się od możnowładztwa «równiny», które ich ongi zdradziło, i stanęli na czele rzemieślników i kupców «pobrzeża.»

Wszelako Solon nie poprzestał na tem, że wspomógł kupców i rzemieślników. Jeszcze bardziej leżała mu na sercu dola owych ubogich włościan, którzy wszelkie cierpieli gwałty od bogatego możnowładztwa «równiny.» Ich los był rzeczywiście opłakany. Ateny nie znały ustaw pisanych; w każdej sprawie, wynikającej między ziemianinem a chłopem, sędziami byli magnaci, t. j. ci sami bogaci ziemianie, i ci naginali prawo na swoją stronę.

Dlatego to lud coraz głośniej domagał się ustawodawstwa pisanego, aby prawo obwieszczone było raz na zawsze i stało się wiadome wszystkim.

Arystokracja musiała zgodzić się na ustępstwa, i niejaki Drakon otrzymał zlecenie spisania i obwieszczenia zbioru praw. W zbiorze tym było wiele rzeczy dobrych: tak, Drakon określił pierwszy, że nie jest tem samem zabić kogoś rozmyślnie lub przypadkiem, albo też w obronie własnej. Ale naogół prawa jego były bardzo surowe; każdy prawie występek był karany śmiercią. Pokolenia następne mówiły przeto, że były one „pisane krwią", my zaś dziś jeszcze prawa lub zarządzenia zbyt srogie nazywamy «drakońskiemi.»

Wszelako główna ich wada polegała na tem, że nie usunęły one możności ujarzmiania ubogich włościan przez bogatych właścicieli ziemskich. Możność ta wyrastała z następującego splotu zdarzeń.

Zdarzył się nieurodzaj. Bogaczowi sprawiał on tylko stratę, ale ubogiego niszczył: ubogi nie miał ziarna na chleb, nie miał ziarna na zasiew swego pola. I oto bogacz doń mówi: „Bierz pożyczkę pod zastaw ziemi; jeśli nie zapłacisz w terminie, ziemia twoja stanie się moją." Włościanin chcąc nie chcąc, zaciągał pożyczkę, ale nie zawsze mógł był ją zwrócić w terminie; i oto bogacz brał jego rolę na własność, stawiąc na niej słup kamienny z napisem, że przeszła doń za długi. Zrujnowany włościanin z właściciela zmieniał się w dzierżawcę, który nowemu właścicielowi obowiązany był płacić część plonu, jako «dzierżawę».

Lecz oto nowy przychodził nieurodzaj: niema czem ani żywić się samemu, ani czem pola obsiać, ani dzierżawy spłacić. Bogacz znowu mówi do ubogiego: „Zaciągnij pożyczkę pod zastaw ciała: jeśli nie zapłacisz na czas, i ty, i twoja żona, i twoje dzieci staniecie się wszyscy moimi niewolnikami."

W taki to sposób wielu ubogich włościan popadło w niewolę u bogatych ziemian i albo służyło im na miejscu, albo ulegało nawet zaprzedaniu w niewolę za granicę.

Liczba niewolników wzrastała, liczba obywateli stawała się coraz mniejsza. A jednocześnie uszczuplała się i liczba obrońców ojczyzny: wszak niewolnicy nie służyli w wojsku.

Solon nie mógł obojętnie patrzeć na tę zagładę kraju. Znów posłużył się owym cudownym darem poetyckim, jakim wyposażyła go przyroda, — ale tym razem już bez udawania i bez czapki błazeńskiej. Wyśpiewał rodakom pieśń nową, pieśń o ich niedoli. Pieśń zaczynała się tak:

Widzę ja, bracia — i ból piekący przenika mą duszę—
Widzę, jak ginie nasz gród, prastarzur jońskich wszech miast.

W dalszym ciągu przytaczał przykłady innych miast i krajów, podbitych od nieprzyjaciół z woli bożej, i wieścił:

Miasto zaś nasze przenigdy z Zeusowych nie zginie wyroków,
Bóstw nieśmiertelnych sąd nigdy nie strąci go w noc:
Pallas Atena go strzeże, wielkiego córa rodzica;
Święta, obrończa jej dłoń wiernie ochrania nasz gród.
Grodu mieszkańce to sami ojczyznę swoją przesławną
Gubią: ponosi ich szał, chciwość zaćmiewa ich wzrok...

O tem zdzierstwie bogatych panów, o cierpieniach, o zubożeniu ziemi śpiewał Solon w dalszym ciągu — i śpiewał tak, że wszyscy słuchacze byli wstrząśnięci. Ta »elegja« jego miała nie mniejsze powodzenie, niż poprzednia salamińska. Gdzie tylko zbierało się grono przyjaciół na biesiadę, tam stale przy winie śpiewano i tę pieśń. Wkrótce każdy Ateńczyk znał ją na pamięć. Nietylko ubodzy śpiewali ją na pociechę swej doli — także i wielu z pośród bogatych panów i możnych otwarła ona oczy.

I gdy nadszedł dzień elekcji archontów, Areopag nawet myśleć nie ważył się o tem, aby wybrać na pierwszego archonta kogo innego, prócz Solona (594 r. przed N. Chr.).

Solon nasamprzód usunął najbardziej krzyczącą krzywdę. Wszystkie umowy pod zastaw ziemi i ciała ogłosił za nieważne: z działek rolnych usunięto hańbiące »słupy«; rolę zaś samą zwrócono poprzednim posiadaczom. Obywatele, którzy stali się niewolnikami za długi, odzyskali

wolność; ci, którzy w strachu przed niewolą byli uciekli za granicę, otrzymali prawo wolnego powrotu; tych, którzy byli przez panów swoich sprzedani za granicę, wykupiono. I znów w Attyce ukazali się drobnorolni włościanie — moc i zdrowie ziemi.

Drugiem dziełem Solona było prawodawstwo, oparte na sprawiedliwości i łagodności.

Prawa Drakona o zabójstwach utrzymał on w mocy, ale pozostałe złagodził i uzupełnił nowemi, uwzględniającemi także nową klasę przemysłowców i kupców «pobrzeża.» Prawa Solona były wypisane na obracających się drewnianych tablicach (pryzmatach) i wystawione na Akropolu i na rynku miejskim, ażeby wszyscy Ateńczycy mogli się z niemi obeznać. Prawami temi rządziły się Ateny do najpóźniejszych czasów.

Osobną część prawodawstwa Solona stanowiła przeprowadzona przezeń naprawa ustroju państwowego, skierowana ku temu, aby osłabić władzę arystokracji i dać pewne prawa pozostałemu ludowi.

Ateńczycy, jak wogóle Ionczycy, dzielili się wedle pochodzenia na cztery »file« czyli kolana. Solon wydał prawo, aby każda fila wybierała po stu ludzi do tak zwanej »rady czterystu.« Rada ta miała właśnie odtąd rządzić państwem zamiast arystokratycznego Areopagu, który stał się jedynie trybunałem, rozstrzygającym sprawy o zabójstwach.

Ale z pośród jakich-że to obywateli miano wybierać ową radę czterystu? Oto tutaj właśnie wyraził się charakter demokratyczny reformy Solona. Podzielił on wszystkich obywateli wszystkich czterech fil wedle obszaru ich ziemi na cztery klasy: najbogatszych, bogatych, średniozamożnych i ubogich, orzekając, aby najbogatsi i bogaci służyli w jeździe, utrzymując własnego rumaka; średniozamożni w wojsku o ciężkiem uzbrojeniu, mając własny oręż, ubodzy zaś — bądź w wojsku o lekkiej broni, bądź we flocie morskiej, jako wioślarze i marynarze. I ponadto postanowił: na archontów należy wybierać tylko najbogatszych, ale na inne urzędy i do rady — obywateli pierw-

szych trzech klas. Co do klasy czwartej, jej członkowie mogli tymczasem uczestniczyć tylko w zgromadzeniu ludowem a także w sądzie ludowym.

Jak to bywa zazwyczaj, sprawiedliwość i umiar reform solonowych nie znalazły godziwej oceny u współczesnych. Bogaci byli niezadowoleni, że prawodawca zwrócił i rolę i wolność tym, których wtrącili w niewolnictwo; ubodzy spodziewali się, że przepędzi on panów zupełnie i podzieli ziemie ich między nimi,—i teraz czuli się rozczarowani, widząc, że to w zamiarach jego nie leżało. Nakoniec, właśni jego zwolennicy liczyli, że skorzysta on ze swej władzy archonta, aby stać się tyranem, i byli bardzo nieradzi z tego, że uczciwie złożył on władzę, którą mu powierzono.

Solon wszystko to widział, ale nic zachwiać nie mogło jego stanowczości, z jaką do końca szedł drogą honoru i prawdy. O niezadowolonych mówił:

Władzę oddałem ludowi, o ile mu władza przystoi:
Nie uszczupliłem mu praw, pychy nie chciałem też wzmóc.
Którzy zaś rodu zaszczytem i bogactw potęgą świecili,
Umiar zmusiłem tych znać i oduczyłem od krzywd.
Między nimi stanąłem, jak tarcz obie strony chroniąca,
By ani tamci, ni ci, imać nie mogli się zła.

Składając władzę, odebrał od ludu przysięgę, że w ciągu lat dziesięciu nie będzie on żadnych wprowadzał zmian w jego prawodawstwie, a potem siadł na swój statek handlowy i wyjechał w obce kraje.

15. SIEDMIU MĘDRCÓW

Razu pewnego w Milecie bogaci młodzieńcy, przechadzając się po brzegu morza i przyglądając się pracy rybaków, kupili u jednego z nich, który przed chwilą zarzucił sieć, cały oczekiwany przezeń połów. Sieć wróciła bardzo ciężka. Skoro wszakże z ogromnym trudem wyciągnięto ją na brzeg, ryb w niej prawie wcale nie było, znalazła się natomiast rzecz o wiele cenniejsza: trójnóg

miedziany, jeden z tych, jakich używano nietylko w gospodarstwie, jako podstawek do kotłów, ale z uwagi na ich ozdobność także i dla upiększania ulic i domostw. I tu wszczął się spór między młodzieńcami a rybakiem: tamci domagali się trójnoga dla siebie, gdyż, jak mówili, zgóry cały zakupili połów, rybak zaś utrzymywał, że przez połów rozumiał ryby, nie zaś cokolwiek innego. Sprawa dotarła do władz miejskich. Te nie były w możności sprawy rozsądzić i, aby żadnej ze stron nie obrazić, posłały do Delf, aby spytać wyroczni, co należy zrobić z trójnogiem. I bóg dał im odpowiedź:

Co macie począć z trójnogiem, o władze możnego Miletu?
Oddać go temu należy, kto wszystkich mądrością przewyższa.

Usłyszawszy taką odpowiedź, natychmiast odejść kazano i rybakowi i młodzieńcom: rzecz była jasna, ze nie o nich chodziło. Ale o kogo? I jeden z dostojników Miletu rzekł:

— Nie ulega wątpliwości, że bogowie mają na myśli współobywatela naszego Talesa: niedarmo otrzymał on pierwszy w Helladzie przydomek »mądrego.« Wiecie, że pieśniarz starożytności, wielki Hezjod, pierwszy rozmyślał o tem, co było początkiem wszechrzeczy: wedle jego określenia początkiem takim była bogini Ziemia. Nasz atoli rodak spojrzał na sprawę jeszcze głębiej: widząc, że wszystko, co żyje, żywi się wilgocią i umiera, skoro bywa jej pozbawione; widząc, że nawet ziemia wynika z wody— a i my sami to widzimy po owych wyspach, co powstają i rosną u ujścia naszego rodzimego Meandra, — osądził, że nie ziemia, lecz woda była tem prajestestwem, z którego powstały pozostałe. I nie poprzestając na tej mądrości, którą czerpał z potęgi swego umysłu i doświadczeń swego życia—a wszak wiecie, że jest to i działacz państwowy, i mówca, i naczelnik dużego przedsiębiorstwa handlowego, i myśliciel — udał się do Egiptu, aby od jego kapłanów posiąść wiedzę mierzenia ziemi — i dzięki niemu Hellada poznała geometrję. Niebawem wszakże uczeń prześcignął swoich nauczycieli: gdy na jego pytanie o wyso-

kość wielkiej piramidy pod Memfisem starszy kapłan odrzekł, że nie wie, bo — tłumaczył — nie można dostać się na jej wierzchołek, — Tales oświadczył, że poto wcale na jej wierzchołek piąć się nie trzeba. I to powiedziawszy, utkwił swą laskę w piasku — pora zaś była wieczorna, i długi cień kładł się od laski na wschód. „W jakim stosunku ten cień — ciągnął — pozostaje do wiadomej nam wysokości laski, w takim i cień piramidy pozostaje do jej poszukiwanej wysokości". Jestem pewny: przyjdzie czas, w którym Tales uznany będzie za założyciela fundamentów całej mądrości helleńskiej. A czyż trzeba dowodzić czystości i głębi jego zasad moralnych? Wszak pamiętacie, jak jednemu z nas, na pytanie, czy człowiek może przed bogami ukryć swe złe uczynki, odrzekł: nie może ukryć nawet i zamiarów; drugiemu zaś na pytanie, co jest rzeczą najtrudniejszą, odpowiedział: «poznać samego siebie». Odpowiedź ta zyskała pochwałę samego Apollina, i od tego czasu napis: «Poznaj samego siebie» — widnieje na murze jego świątyni w Delfach. Jestem przeto przekonany, że przez męża najmędrszego rozumiał on właśnie naszego Talesa.

Skierowano się do Talesa. Ten wszakże, usłyszawszy o co chodzi, pokiwał głową. „Nie, przyjaciele, odparł, nie mogę ja przypisać sobie zasługi najwyższej mądrości. Ja jestem obywatelem potężnego grodu, który szeroko włada siłą swego oręża i swych stosunków handlowych, i o ile we mnie jest mądrość, jest to mądrość raczej wasza, niż moja. Ale oto obok nas stoi nieduży grodek Priena, w nim zaś mieszka mąż mądry, o którym słyszeliście wszyscy — Bias: mąż, który wszystko zawdzięcza tylko sobie; jego to uznać należy za najmędrszego.

Zmarszczyli brwi mieszkańcy Miletu, gdyż bardzo nie podobali się im sąsiedzi z Prieny, z którymi częste miewali zatargi graniczne. „Tak — odrzekł jeden — wiemy, że nawet królowie ubiegają się o jego znajomość. Niedawno król Egiptu Amazis spytał go: co ma czynić? jego sąsiad, król Etjopji, zaproponował mu błahą rzecz:

wypić całe morze. Jeżeli wypijesz, powiada, ustąpię ci połać pograniczną; a jeśli nie wypijesz — dostanę od ciebie wyspę Elefantynę, co jest na Nilu; czy zgadzasz się? Bias kazał mu rzec: odpowiedz, że się zgadzasz, a potem zażądaj od sąsiadów, aby ci, gdy ty będziesz morze wypijał, powstrzymali bieg wszystkich rzek, jakie do morza wpadają; ty bowiem, jak chcieli, zobowiązałeś się wypić tylko morze teraźniejsze, nie zaś tę wodę, która napłynie z rzek. Była to rada bardzo dowcipna, ale to za mało, aby pozyskać sławę najwyższego mędrca.

— Był to tylko żart, odparł Tales, mądrość Biasa tkwi gdzieindziej.

— Domyślam się o czem mówisz, ozwał się drugi poseł. Razu pewnego okręt, na którym on jechał, doznał rozbicia. Podróżni jęli skwapliwie zawijać w płaszcze to, co każdy miał najcenniejszego; Bias, natomiast, o nic nie dbając, szykował się skoczyć do morza; i gdy go spytano, czemu rzeczy swoich nie ratuje, odrzekł: «Całe mienie swoje i tak mam z sobą». I cóż? Skoro wypadło płynąć do brzegu, ci, których płaszcze obciążone były złotem albo innemi rzeczami, potonęli, uratowali się zaś jedynie ci, którzy zdążyli się ich pozbyć. Bias ocalił się lekko. I gdy rozbitkowie dotarli do najbliższego nadmorskiego miasta, wszystkim innym wypadło prosić o jałmużnę, Bias natomiast, w którym rozpoznano sławnego mędrca, ze czcią był witany i goszczony, i mógł pomoc świadczyć swym towarzyszom niedoli. Miał tedy słuszność, jak się okazało, gdy orzekł: «Całe mienie swoje i tak mam z sobą». W orzeczeniu tem mieści się dla nas nauka, że naszym skarbem prawdziwym jest wartość naszego umysłu i naszego serca.

— To już lepsze, rzekł Tales, ale nie to jeszcze sprawiło, że zasłużył on na sławę mądrości.

— Wiem, czem zasłużył, ozwał się trzeci: rzetelnością i sprawiedliwością przy wymiarze sądu i wyroków. Dlatego to i teraz w całej Jonji do nowych sędziów mówią: czyń sąd prieński.

— Tak, rzekł Tales, ale ja wiem o jeszcze lepszym czynie Biasa. Niegdyś był to człowiek bogaty, teraz jest ubogi, a wiecie dlaczego? Kilku Messeńczyków, związanych z nim prawem wzajemnej gościnności, wyprawiło swe córki-dzieweczki do krewnych w Messenie, ażeby ocalić je od spartańskiego jarzma. Okręt, który je wiózł, wpadł w ręce piratów, ci zaś przywieźli je tutaj, aby sprzedać je królowi Medów. Dowiedział się o tem Bias; dzieweczki wykupił z niewoli; wychował je we własnym domu, dał każdej posag i potem odesłał rodzicom, którzy podówczas zdążyli już przesiedlić się do Messeny. Oto dlaczego uważam go za najmędrszego: mądrzejsza bowiem od dowcipu jest sprawiedliwość, a od sprawiedliwości— dobroć!

Udali się tedy Miletczycy ze swym trójnogiem do Biasa, ale i on daru tego nie przyjął.

— Mężczyzna, rzekł, bez trudu może osiągnąć mądrość, jeśli ma oczy bystre i umysł pojętny; ale jeśli w ciasnych progach życia domowego dochodzi do mądrości kobieta, to jest to rzecz o wiele godniejsza podziwu. Czy słyszeliście o Eumetydzie, córce Kleobula, władcy w Lindzie na Rodosie—czyli, jak ją zazwyczaj z imienia ojca nazywamy — o Kleobulinie?

Posłowie uśmiechnęli się: — Któżby o niej nie słyszał? Wszak żadnej uczty nie uważamy za ucztę, jeśli podczas niej nie zadaje się gościom zagadek Kleobuliny.

— Tak, odrzekł Bias, układa je ona ze zdumiewającą zręcznością i zamyka w nich niemało głębokomyślności i piękna; lecz ja więcej w niej cenię to, że z bystrym rozumem politycznym łączy ona usposobienie łagodne i ludzkie. Jej ojca dawniej nienawidzili jego współobywatele; od tej zaś chwili, gdy ona, dorósłszy, poddała go swemu wpływowi, i on sam stał się łagodny i kochany, a nawet, dzięki niej pozyskał sławę mądrości. Jej to radzę oddać trójnóg.

Musieli Miletczycy przygotować okręt i z trójnogiem swym płynąć wązkiemi czeluściami śród wysp doryjskich do Rodosu i dążyć do Lindu; tam łatwo już znaleźli Kleo-

bulinę w domu jej ojca. Dziewczyna zarumieniła się, gdy odsłoniono jej cel wyprawy, i pomyślawszy chwilę, odrzekła:

— Teraz wy, goście z Miletu, zadaliście mi zagadkę o wiele mędrszą niż wszystkie zagadki moje, razem wzięte. Zdaje mi się przecież, że zdołam ją rozwiązać. Wiedza moja jest szczupła, cała mądrość moja pochodzi od mego ojca. Ale jest w Koryncie władca prawdziwie mądry i wielki; wszyscy słyszeliście o Periandrze. Jemu to powiodło się to, o czem ojciec mój nawet zamarzyć nie śmie: powściągnął on w Koryncie zbytek i usunął niewolnictwo; mądrości wyższej ponad to być nie może. Rada moja — jedźcie do niego.

Miletczycy siedli znów na okręt i po długiej żegludze obok Tery, Melosu i Eginy dotarli do przystani korynckiej. Periandra zastali w głębokiej niedoli: było to właśnie w czasie jego nieszczęsnej waśni z synem Likofronem. Posłyszawszy o propozycji swych gości, uśmiechnął się smutno.

— Wiele rzeczy mi się powiodło, rzekł on, ale w najważniejszej doznałem klęski. Nie, przyjaciele drodzy, idźcie do tego, kto w swej mądrości stał się szczęśliwszy ode mnie. Za takiego uważam Pittaka, władcę Mitileny na Lesbosie. Jako mądry kraju swego prawodawca, oswobodził on go od walk domowych, które go szarpały, i dzięki mądrym jego rządom kraj podniósł się i rozkwitł. Własnych zaś nieprzyjaciół, a w ich liczbie wielkiego poetę Alceusza, wezwał, aby wrócili do ojczyzny, zapewniwszy im życie, wolność i swobodne użytkowanie całego mienia. Gdy zaś robiono mu zarzut z jego łagodności, oświadczył: «przebaczenie silniejsze bywa, niż odwet». Ze wszystkich słów mądrych, jakie kiedykolwiek słyszałem, to wydaje mi się najmędrszem.— I cicho powtórzył, spoglądając ze swego tarasu akrokorynckiego na plac miejski, kędy podówczas leżał jego syn nieprzejednany, unikany przez wszystkich: «Przebaczenie silniejsze jest, niż odwet».

I znów wrócili Miletczycy na okręt i popłynęli naprzód wzdłuż wysp, a potem, minąwszy cieśninę między

Eubeą i Androsem, przez otwarte morze do Mitileny. Pittaka, wtenczas już siwego, zastali podczas uczty, którą raczył swych starych i nowych przyjaciół. Na miejscu zaszczytnem ujrzeli poetę Alceusza, także już osiwiałego. Pittak, uważnie rzeczy ich wysłuchawszy, odrzekł:

— Jeżeli Hellen wyróżnia się na gruncie mądrości, to w tem wielkiej zasługi niema. Alboż to mało mieliśmy śród siebie poetów, ukochanych przez Muzy, których utwory są nam źródłem natchnienia? Kto z was nie zna Homera, Hezjoda, Tyrteusza, Arjona... i Alceusza?—dodał, przyjaźnie spoglądając na swego sąsiada.—A prawodawcy? Ja zasłynąłem jako twórca ustawodawstwa w swej ojczyźnie Mitilenie; ale przecie i przede mną żyli Likurg w Sparcie, Zaleukos w Lokrach italskich, Charondas w Katanji sycylijskiej: im to zawdzięczam wszystko najlepsze z pośród tego, co mi się powiodło. Nie, powtarzam: dla Hellena zasługi wielkiej w tem niema. Lecz jeśli barbarzyńca, dzikus uczuje poryw wewnętrzny ku mądrości i ładowi prawnemu, jeśli oduczy on rodaków swych od ich okrutnych obyczajów i oświeci ich światłem ludzkości — to dzieło takie bywa w całości jego zasługą, albo raczej jawnem zrządzeniem łaski bożej. Idźcie-ż, drodzy przyjaciele, i oddajcie słynny odtąd trójnóg Scycie Anacharsisowi. Wzrósłszy w domu ojca swego, księcia Gnura, wpośród nieokiełznanej samowoli i niepowściągnionego pijaństwa, postanowił on wydźwignąć swą ojczyznę scytyjską z topieli barbarzyństwa, w której grążyła się przed nim. Jako podróżnik niestrudzony, zewsząd gromadził on wiedzę pożyteczną dla rodaków. Zapoznając się z jego czynami, człowiek doznaje olśnienia, wspominając, że są one dziełem jednego życia, na domiar jeszcze będącego w rozkwicie. Wprowadził on już w swym kraju użycie koła garncarskiego, kowalskiego miecha i budownictwo okrętów. Wyobraźmy sobie, że dalsze jego zamiary osiągną takież powodzenie, a zobaczymy, że wywyższy on swoją Scytję, że ją wyniesie, jeśli można się tak wyrazić, z niebytu w byt. Tak, przyjaciele, idźcie do niego!

Posłowie struchleli: jakto? jechać do Scytji, przez burzliwe morze Euksyńskie? Lecz Pittak ich uspokoił: Nie, tego nie potrzeba. Od jeńców ateńskich, których wzięliśmy w trojańskim Sygeju, dowiedziałem się, że Anacharsis bawi obecnie w gościnie u archonta ateńskiego Solona. Z Ateńczykami, niestety, toczymy teraz wojnę z powodu tej smugi nadmorskiej; ale was powitają życzliwie.

Miletczycy podziękowali Pittakowi i puścili się w żeglugę powrotną. Po kilku dniach rzucili kotwicę w przystani Faleronu. Rzeczywiście, zastali Anacharsisa w skromnem dworzyszczu ateńskiego prawodawcy. Wysłuchawszy długiej opowieści o przygodach mileckiego trójnogu, uśmiechnął się on łagodnemi wargami, kraśniejącemi z pod wiechy jego gęstych czarnych wąsów, i powoli odpowiedział czystem, aczkolwiek nieco chropawem narzeczem attyckiem:

— Nie przystoi uczniowi otrzymywać pochwałę w obecności swego mistrza; i nie trzeba wielkiej mądrości, przyjaciele, aby zagadkę waszą rozwiązać. Bóg przywiódł was do domu S o l o n a: czegóż chcecie więcej?

Zgodnym oklaskiem przyjęli posłowie jego uprzejme słowa. Gdy radość się uspokoiła, przywódca poselstwa rzekł, zwracając się do ateńskiego mędrca: „Chwała bogom, że nowa odmowa nie każe nam, znużonym, przedsiębrać nowej niebezpiecznej podróży: ale i ty, Solonie, uszanuj ten znak szczęśliwy i połóż kres naszej włóczędze, przyjmując dar, sądzony ci od boga!"

Lecz Solon im odrzekł: „Jeszcze jedna podróż, drodzy przyjaciele, czeka wasz trójnóg: będzie to podróż i niedługa i ostatnia. Mądry bywa ten tylko, kogo wyróżnili bogowie; cała mądrość człowiecza jest tylko przejawem łaski bożej, opromieniającej nasz wątły rozum. Któż ośmieli się powiedzieć o sobie, że wszystkich przewyższa mądrością? Pychą taką dowiódłby tylko swego nierozumu. A przeto oddajcie trójnóg temu, kto był, jest i będzie dla nas źródłem wszelkiej mądrości: ofiarujcie go Apollinowi w jego świątyni delfickiej".

Posłowie mileccy spełnili radę swego ostatniego gospodarza i trójnóg-włóczęga znalazł dla siebie wreszcie miejsce ukoju wpośród niezliczonych darów, zdobiących wszechhelleńską świątynię na górze Apollina. Późniejsza atoli tradycja, acz chwiejąc się miejscami co do imion, złożyła dań sławy tym, których uznano za godnych upominku bożego. I, gdy po wielu wiekach, Hellenowie pisali historję swej filozofji — zaczynali ją od swoich «siedmiu mędrców».

16. KREZUS, KRÓL LIDJI.

Przez ten czas sytuacja miast jońskich i wogóle greckich w Azji Mniejszej zmieniła się na gorsze.

Przyczyną tej zmiany było spotężnienie ich sąsiadki wschodniej, Lidji. Dynastja jej dobrotliwych królów, życzliwe utrzymujących stosunki z Grekami, dawno już zstąpiła do grobu. Ostatnim z nich był w wieku VII król Kandaules. O tem, jak był on obalony, podanie głosi, co następuje:

Był śród pasterzy królewskich niejaki Giges. I oto, razu pewnego, gdy człowiek ten pasł stado królewskie w dolinie Tmolu, wybuchła nad nim straszliwa burza, i ziemia z ogłuszającym łoskotem rozstąpiła się u samych jego nóg. Gdy wszystko ucichło, Giges, wiedziony ciekawością, zeszedł w rozpadlinę i zobaczył w niej olbrzymiego konia miedzianego. Obejrzawszy go uważnie, spostrzegł on w jednym jego boku otwór, dość duży, aby człowiek mógł przezeń przeleźć. Tak też zrobił: wewnątrz, oczywiście, było ciemno, powoli wszakże Giges oswoił się z mrokiem, i wtenczas oczom jego ukazał się widok okropny: na dnie czeluści, w którą się opuścił, leżał człowiek umarły, nadludzkiego wzrostu. Był on cały nagi, i tylko na jednym jego palcu błyszczał złoty pierścień. Przez pewien czas bojaźń i chciwość walczyły ze sobą w piersi Gigesa, pod koniec wszakże przemogła chciwość: wyrwał on pierścień umarłemu, poczem wyskoczył z otworu konia i całym pędem pobiegł ku swoim.

Pasterze naradzali się właśnie między sobą co do rachunku, jaki mieli przedstawić królowi. Słucha Giges, a jednocześnie bawi się swym pierścieniem. Skoro obróci go sygnetem ku dłoni, spostrzega, że przestaje być widziany, że mówią o nim, jako o nieobecnym; skoro obróci go sygnetem nazewnątrz, sąsiedzi zapytują go zdumieni, skąd wziął się tak nagle. Wtedy zrozumiał, że pierścień czyni go niewidzialnym; wszelako tajemnicę tę oczywiście postanowił zachować przy sobie.

Rachunek był bardzo niepomyślny; wiele bydła zginęło wskutek zarazy, i nikt nie miał ochoty stawać z takim rachunkiem przed obliczem króla. Giges bez trudu pokierował sprawą w ten sposób, że to niemiłe zlecenie jemu przypadło w udziale. W Sardach, stolicy królewskiej, bez żadnego skrupułu sumienia, skorzystał z czarodziejskiej mocy swego pierścienia, dotarł do wewnętrznych komnat pałacu, zawiązał znajomość z królową, umiał się jej podobać i, uknuwszy z nią spisek, wiarołomnie zabił Kandaulesa. Po tem zabójstwie królowa ogłosiła go za swego męża. Co stało się dalej z pierścieniem, o tem podanie milczy—prawdopodobnie ów nieboszczyk tak lub inaczej odebrał go z powrotem,— lecz Giges stał się królem Lidji, jakkolwiek za cenę strasznej zbrodni, która ciężką klątwą zawisła nad jego rodem.

Wtenczas nowe dla Jonji nadeszły czasy. Giges oraz jego następcy nie uprawiali życzliwych sąsiedzkich stosunków dynastji poprzedniej i zażądali od miast greckich, aby się im poddały. Władza ich wprawdzie nie była nazbyt uciążliwa; z drugiej zaś strony królowie lidyjscy coraz bardziej hołdowali cywilizacji greckiej, i stolica ich Sardes stała się miastem nawpół greckiem.

Rozkwitu dosięgła Lidja przy prawnuku Gigesa, Krezusie.

Państwo jego obejmowało całą przednią a zarazem najżyźniejszą część Azji Mniejszej, od morza do rzeki Halisu. Bogactwa jego były poprostu bajeczne, tak, że imię Krezusa stało się dla Greków równoznacznikiem posiadacza skarbów nieprzeliczonych i pozostało takiem

po dzień dzisiejszy. Jednocześnie król kochał się we wszystkiem, co greckie, i posyłał dary drogocenne do świątyni Apollina w Delfach, którego czcił omal nie więcej, niż swych bogów rodzimych.

I oto do niego, podczas jednej ze swych licznych wędrówek, zajechał Solon. Krezus, który już wprzódy słyszał o jego mądrości, przyjął go z honorem, pokazał mu wszystkie swoje skarby i potem spytał go, kogo mieni być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie wątpił, że Solon odpowie: „ciebie, Krezusie!"

Lecz Solon go rozczarował.

— W owych czasach dawnych, rzekł on, gdy my, Ateńczycy, jeszcze wojowaliśmy z Eleuzyną — teraz oddawna już stanowi ona naszą posiadłość,— żył pośród nas niejaki Tellos. Ateny, acz małem były wtenczas miasteczkiem, kwitły przy nim; miał on pięknych i dzielnych synów i od wszystkich doczekał się wnuków. Umarł zaś, otoczony sławą, w bitwie z Eleuzyńczykami, których pomógł pokonać, tak, że pogrzebaliśmy go wszystką ziemią na tem samem miejscu, gdzie poległ, i orzekli dlań wielkie hołdy.

Nie podobała się ta odpowiedź Krezusowi; jednakowoż powściągnął swe uczucia i spytał: „No, a po waszym Tellosie, kogo uważasz za najszczęśliwszego?"

Solon odpowiedział:

— Dwuch młodzieńców z Argosu, Kleobisa i Bitona. Obaj byli nadzwyczaj silni i zręczni, tak, że odnieśli szereg zwycięstw i w Olimpji i w innych miejscowościach. Ale najważniejszy ich czyn był następujący. Matka ich była kapłanką Hery argejskiej—jest to u nas w Grecji jedno z najświętszych i najstarożytniejszych kapłaństw. I oto, gdy nadeszło święto tej bogini, wypadło matce ich udać się do świątyni wozem, zaprzężonym w byki,—tak nakazywał obrzęd. Świątynia zaś Hery odległa jest od Argosu o całe czterdzieści stadjów *). Niewiadomo czemu byki się zapóźniły; czas było ruszać,

*) Wedle naszej miary: 8 — 9 kilometrów.

a ich niema. Wtenczas obaj młodzieńcy chwycili za dyszel i dowieźli matkę swą do świątyni. Cały tłum olbrzymi, zgromadzony na święto, widział, jak podjeżdżali; mężczyźni wielbili młodzieńców, kobiety — kapłankę, że dochowała się tak pięknych i dobrych synów. Ona zaś sama, szczęśliwa i rozczulona, stanęła przed posągiem Hery w jej świątyni i jęła modlić się, aby bogini dała synom jej wszystko najlepsze, czego może człowiek dostąpić. I Hera spełniła jej modlitwę: znużeni obaj synowie zasnęli w świątyni — i już więcej się nie obudzili.

Teraz Lidyjczyk zawrzał: „A moje szczęście, krzyknął, wydaje ci się niczem?"

— Ty, królu, odparł Solon, jesteś niezmiernie bogaty i wielą rządzisz ludzi; ale czy jesteś szczęśliw, tego jeszcze powiedzieć nie mogę, dopóki nie umarłeś.

— Eh, pomyślał sobie Krezus, niewielka jest owa sławetna mądrość!

Nie rozpytywał już o nic Solona, i gdy ten się z nim rozstawał, pożegnał go sucho i ozięble.

Upłynął czas pewien, i od wschodu jęły nadciągać złowrogie wieści. Hen, daleko, za Eufratem, rozpościerało się obszerne, lecz ciche królestwo Medów; ich królowi, staremu Astjagesowi, podlegał silny i przedsiębiorczy lud Persów. I oto Persowie ci pod wodzą wnuka królewskiego, Cyrusa, powstali przeciwko Medom i strącili Astjagesa. Nie poprzestając na tem powodzeniu, Cyrus napadł i na sąsiednie królestwo babilońskie nad Eufratem i podbił je. Przekroczywszy następnie Eufrat, wtargnął w górzystą prowincję, którą już wtenczas, jak i obecnie, zamieszkiwali Ormianie, i zawojował ją. Nareszcie, dotarł on i do środkowej prowincji Azji Mniejszej, gdzie mieszkali Kappadokijczycy, przodkowie Kurdów teraźniejszych, i zdobył także i ten kraj. W ten sposób Cyrus stał się sąsiadem Krezusa: tylko rzeka Halis dzieliła oba mocarstwa, perskie i lidyjskie. Na Krezusa nie ważył się on napaść, lecz zawiązał stosunki z Grekami jońskimi, proponując im, aby oderwali się od Lidji. Jończycy,

jednakże, dali odpowiedź odmowną: Krezus był przyjacielem Greków i przy nim żyło się im nieźle.

Wszystkie wieści te zaniepokoiły króla Lidji i nie był on od tego, aby nieproszonego sąsiada przepędzić z granic Kappadokji, a jeśli się uda, i dalej. Przed wyprawą zapytał on Apollina delfickiego, czy może spodziewać się powodzenia. Apollo odpowiedział mu dwuznaczną wróżbą:

Krezus, Halis przeszedłszy, ogromne królestwo zniweczy.

Upojony swem szczęściem, niefrasobliwy król nie zastanowił się nad dwuznacznością przepowiedni, ruszył z wojskiem do Kappadokji, i poniósł straszną klęskę. Stało się to w roku 546. Niebawem wojsko perskie z kolei przeszło granicę. Sardes były wzięte, sam Krezus z rodziną stał się jeńcem zwycięzców. «Zniweczył tedy ogromne królestwo» — ale, niestety, swoje własne.

Od Cyrusa nie oczekiwano litości. Pojmanego króla Lidji zakuł on w łańcuchy, poczem kazał ułożyć przed jego pałacem stos olbrzymi, postawić na nim Krezusa, jego żonę, jego córki — i sam zasiadł przed nim, gotów z iście wschodniem okrucieństwem rozkoszować się duchową i cielesną męczarnią wroga.

Już miano stos podpalić, gdy wtem nieszczęsny król, który dotychczas milczał wyniośle, wspomniał o przestrogach swego gościa ateńskiego i głośno wykrzyknął: „Solonie, Solonie, Solonie!"

Okrzyk ten zaciekawił Cyrusa: „Solonie? — Cóż to za jeden, ów Solon?"

Krezus opowiedział mu wszystko. Wtenczas Cyrus zachwiał się w swoim zamiarze: przypomniał sobie, że i on jest człowiekiem, że i nad nim wisi ręka boża. Kazał oswobodzić Krezusa z rodziną i ze czcią zatrzymać przy sobie.

Razu pewnego Krezus rzekł doń: „Wielki królu, wyświadcz słudze swemu jeszcze jedną łaskę!"

— Jaką? — zapytał Cyrus.

— Jest w Grecji bóg, odrzekł Krezus, którego czciłem wyżej nad wszystkich. Wiele ofiarowałem mu

darów złotych, zwłaszcza w tym dniu, gdym rady jego zasięgał, czy mam ruszać na wyprawę przeciw tobie. Teraz pragnę stawić mu jeszcze jedno pytanie i ofiarować mu jeszcze jeden dar, ostatni, jaki mi pozostał.

Cyrus wyraził zgodę.

Wtenczas Krezus przywołał swego gońca i przekazał mu owe łańcuchy żelazne, w które zakuł go był Cyrus.

— Odnieś dar ten Apollinowi, rzekł doń, i spytaj, czy bogowie helleńscy uznają za swe prawo — niewdzięczność?

Goniec odjechał i w czasie właściwym wrócił z odpowiedzią Apollina. Brzmiała ona tak:

Jest za obrębem świata przybytek wieczystej światłości:
Słodko życie tam płynie, jak nigdzie indziej, dla ziemian.
Tam nie utrudza ich znój, ni ulewa, ni oddech zawiei:
Nie, oceanu tam fale świeżością dyszą ustawną,
Stale tam szeptem swym tkliwym kołysze Zefir człowieka.
Hyperboreje tam żyją, — to Apollinowe są sługi;
Wszędy gwar korowodów i brzmienia lir słodkogłosych;
Oni sami zaś głowę przybrawszy w laur złotolisty,
Zgodnie ucztują pod cieniem łaskawym zielonych zagajów.
Starość ich nie dotyka, choroba ich grzbietu nie zgina;
Czarą rozkoszy — ich życie, nie straszny im gniew Nemezydy.

Tam i na ciebie tron czeka, o męczenniku w koronie:
Obok ciebie na uczcie zasiądzie twoja królowa
I w korowodach wesołych zatańczą twoje królewny.

Ale na ziemi płacisz za zbrodnię pradziada Gigesa:
Krew zabitego Kandaula już dawno wołała ku niebu,
Chmurą gromową krew ta wisiała nad rodem zabójcy.
Trzykroć głowę potomka już miały porazić pioruny,
Trzykroć swą ręką-m uchylił tę nadciągającą zagładę.
Dłużej cię chronić nie mogłem; lecz ofiar obfitych tablica
Chowa ślad pobożności: pamiętliw jest bóg sprawiedliwy.

Otrzymawszy tę łaskawą odpowiedź na swój wyrzut zuchwały, Krezus ukorzył się przed bogiem i cierpliwie

jął czekać na obiecaną nagrodę wiekuistą, dla niego już niedaleką.

Ale upadek jego państwa jak gromem uderzył w podwładną mu Jonję. Obywatele jej wyprawili posłów do Cyrusa z oświadczeniem gotowości służenia mu na takich samych warunkach, na jakich służyli Krezusowi.

Barbarzyńca ze wzgardą uśmiechnął się wobec tego oświadczenia i odpowiedział im następującą przypowieścią: «Pewien flecista, przechadzając się po brzegu morskim, zaczął grać na flecie, wywołując ryby; te wszakże na grę jego najmniejszej nie zwróciły uwagi. Wtenczas odrzucił on flet, wziął sieć i złowił pokaźną ich ilość. Ryby, wydobyte na wierzch, bezwładnie jęły się miotać na piasku; ale ten im powiedział: „Teraz już nie czas na taniec; kiedy wam grałem, wtenczas nie chciałyście tańczyć!"

Posłowie smutni wrócili do domu. I rzeczywiście, Cyrus spełnił groźbę: obłożył Jonję okrutną daniną, młodzież jej zaciągnął do swego wojska, a okręty wcielił do swej floty. W celu przeprowadzenia tych zarządzeń, we wszystkich miastach osadził tyranów, którzy je łupili i na rzecz jego skarbu i na rzecz swoją własną, i wszelkich dopuszczali się nadużyć na bezbronnej ludności.

W takiej żałosnej doli przeżyła Jonja, kwitnąca niegdyś, całą drugą połowę wieku VI. Cała Hellada czuła jej niedolę, jak swoją własną hańbę. Wyzwolenie Jonji od barbarzyńców stało się marzeniem najlepszych Hellenów. Ale do jego ziszczenia było jeszcze bardzo daleko.

17. POETKA SAFO.

Dzieje wędrówki trójnogu mileckiego już zawiodły nas na zielony Lesbos, eolijską wyspę w północnowschodnim kącie Archipelagu, nieopodal od milczących zwalisk zburzonej Troi. Ziemia jego podzielona była między pięć miast, z których najważniejszem była Mitylena — «wielka Mitylena», jak sama ona siebie nazywała. I jej przyszło doświadczyć nieszczęsnych skutków rozterki, wywołane

nieustępliwością możnowładztwa i wzmagającemi się uroszczeniami ludu, którego przywódcy chętnie tutaj stawali się tyranami swego kraju. Wszelako długo nie mogli utrzymać się przy władzy. Możnowładztwo stawiło im zgodny i czynny opór, występując pod wodzą dwóch bardzo zdolnych i dzielnych ludzi: działacza politycznego Pittaka i poety Alceusza.

Pierwszy ustawicznie tworzył przeciw zamachowcom spisek, uciekając się, gdy zachodziła potrzeba, i do wystąpień zbrojnych; drugi podnosił na duchu spiskowców swemi płomiennemi pieśniami, które, jako «pieśni walki», na długo wryły się w pamięć potomnych.

Rzecz zrozumiała wszakże, że te ciągłe rozterki rujnowały kraj. Lud mityleński, nareszcie, uczuł się niemi znużony i upomniał się o pokój. Możnowładztwo, ze swej strony, poparło tę dążność. Na mocy ogólnej ugody wybrano na rozjemcę Pittaka, powierzywszy mu na lat dziesięć władzę prawodawczą. Doprowadziło to do rozłamu między nim a Alceuszem, który lękał się, aby dawny jego sojusznik sam nie przeistoczył się w tyrana. Od tego czasu jego «pieśni walki» jęły gromić Pittaka z taką samą furją, z jaką wprzódy gromił on wspólnych wrogów. Śród możnowładztwa nowy wszczął się rozbrat, niedawna ugoda ustąpiła miejsca nowym waśniom. Pittak zrozumiał, że dziełu pojednania grozi niebezpieczeństwo—nieprzejednani magnaci z Alceuszem na czele zmuszeni byli opuścić Mitylenę. Ale nie nadługo; skoro tylko nastało uspokojenie, Pittak zawezwał z powrotem do kraju, jak Alceusza, tak i pozostałych magnatów — wszak znamy jego szlachetne powiedzenie: «Przebaczenie silniejsze jest nad odwet». Sam on rzetelnie wypełnił zlecenie, dane mu przez rodaków, i uczciwie, po upływie czasokresu swej władzy, zwrócił ją ludowi. Lesbos odetchnął swobodniej,—dzięki powszechnemu pokojowi i poszanowaniu prawa, nastała wreszcie i dla niego pora rozkwitu.

Pieśni walki umilkły; ich miejsce zajęły pieśni świątecznego wesela, korowodów i ślubne. Wogóle Lesbos był kolebką nowej poezji, tej, którą obecnie nazywamy «li-

ryczną». Tutaj przybysze helleńscy spotkali się z małokulturalnym, lecz śpiewnym ludem północnozachodniej Azji (Mniejszej), potomkami starożytnych Trojan. W porównaniu z bogatą i rozfalowaną muzyką jego fletu lira apollińska wydała się nazbyt mdłą; wypadło zwiększyć liczbę jej strun, wnieść rozmaitość w jej akordy. Było to zasługą Terpandra z Lesbosu, rodzica muzyki greckiej (VII w). Terpander, wprawdzie, niebawem, błogosławiony przez Delfy, przeniósł swą działalność do Sparty, która z najwyższą czcią powitała «pieśniarza z Lesbosu». Ale i we własnej ojczyźnie pozostawił on szkołę i pod jej wpływem poezja lesbijska stała się giętsza w wierszowaniu, rozmaitsza w treści, serdeczniejsza w uczuciach. Już Alceusz śpiewał inaczej, niż Tyrteusz i nawet Solon. Wystarcza istotnie porównać z ich elegijnemi wierszami następujący choćby ustęp z «pieśni walki» — przykład t. zw. «strofy Alceuszowskiej»:

Kto pojmie dziki wiatrów szalonych bój?
To stąd, to zowąd groźny się toczy wał;
Zaś nas porywa pęd i niesie
Środkiem przez toń na okręcie czarnym.

Ale gdzie je on śpiewał, owe pieśni walki? Tyrteusza wyobrażamy sobie otoczonego wojowniczą młodzią spartańską, gotową runąć w bój o puściznę przodków; Solona — tłumem obywateli ateńskich na placu miejskim, z uwagą słuchających jego słów, zanim tam, w zgromadzeniu ludowem, powezmą decyzję. Alceusz śpiewał wpośród swoich, w swojem kółku rówieśników, związanych wspólnym nastrojem: zbierali się dla biesiady, ale nie po to, aby oddawać się pijaństwu; przy kielichu wina lesbijskiego, rozcieńczonego wodą, toczą się poufne rozmowy, przeplatane pieśniami. Oto podano Alceuszowi gałązkę mirtową: znaczyło to — twoja kolej. Alceusz brał lirę i śpiewał zgromadzonym o burzliwych falach, grożących nawie państwowej — «Kto pojmie dziki...»

To życie kółkowe cieszyło się szczególnem poparciem Apollina delfickiego. Władza królewska upadła

wskutek niezdatności jej przedstawicieli do dźwigania ciężkiego brzemienia obowiązków i wojskowych, i administracyjnych, i sądowych. Ażeby temu samemu losowi nie uległa też i arystokracja, należało już od młodu zahartować ją cieleśnie i duchowo i spoić wewnętrznie ścisłemi węzłami stowarzyszenia. Skąd wynikło życie kółkowe. Gdzie zasady jego urzeczywistniane były najsurowiej, tam prawie zupełnie wyparło ono życie rodzinne; tak było w Sparcie, odkąd Likurg przeszczepił na jej grunt ład prawny, natchniony przez Apollina. Na Lesbosie także kwitło owo życie kółkowe, acz nie tak wyłącznie: były kółka młodzieży, mężów dojrzałych, starców, dziewcząt, niewiast zamężnych. Wiązała je społem służba jakiemuś bogu, przyczem młodzieńcy służyli Apollinowi, dziewczęta Artemidzie, niewiasty zamężne Herze albo Demetrze, ale nie zapominano też i o innych bogach, których święta uświetniali pieśniami.

Aby tworzyć pieśni, trzeba było poetów; oto dlaczego poeci tak często bywali kierownikami kółek. Pamięć potomnych przechowała imiona niewielu z takich poetów; jeszcze zaś mniej było tych, których pieśni przeżyły ich zgon. Najsławniejszy z pośród nich był właśnie Alceusz.

Kółkami kobiecemi też częstokroć kierowali poeci — tak w Sparcie zasłynął Alkman, następca Terpandra, dożywotni mistrz kółek dziewczęcych. Ale niekiedy natchnienie Muzy gościło i w kobiecie, czyniąc z niej poetkę: taką była w tejże Mitylenie młodsza współcześniczka Alceusza — S a f o.

Oczywiście, i ona także, podobnie jak Alceusz, była arystokratką. I ona — prawdopodobnie wespół z rodzicami — zmuszona była opuścić kraj z chwilą, gdy rządy jego objął Pittak; i ona następnie na mocy jego «przebaczenia» wróciła do ojczyzny. I oto stała się mistrzynią dziewcząt-obywatelek. Kółko jej, rzecz prosta, w «wielkiej Mitylenie» nie było jedynem; drugiemu przewodniczyła niejaka Andromeda, innym znowu — inne. Kółka zbierały się podczas świąt, naprzykład, Artemidy. Wy-

wiązywało się współzawodnictwo — i dziewcząt i ich przewodniczek. Obywatele upajali się temi żywemi kwietnikami, przenosząc wzrok z jednego wieńca na drugi: w którym więcej urody? a w którym są piękniejsze stroje? a gdzie ślicznej tańczą? a czyja pieśń brzmi dźwięczniej, harmonijniej, serdeczniej? I nad wszystkiemi górowała Safo. W blizkiem obcowaniu z dziewczętami starała się rozwijać w nich smak i wdzięk; stroje były proste, ale w sposobie ich noszenia przebijało piękno, ów niezrównany wykwint pewności siebie stołecznej, niedostępny «prowincjałkom». A przecież były to wszystko dopiero zdobycze zewnętrzne, w których, być może, nie ustępowała jej i Andromeda. Ważniejsze atoli były zdobycze umysłu i serca: zdolność odczucia tej przedziwnej poezji, w której Safo nie miała równych sobie nietylko na Lesbosie, ale i w całej Grecji.

I z goryczą żaliła się mistrzyni na jedną z takich swych niepojętnych uczennic:

Czas nadejdzie: i grób zgasi twój wzrok, zatrze się pamięć twa,
Nie ostanie z niej nic. Próżen twój byt! Róży Pierii
Zbyt leniwaś, by rwać, z chórem swych druchn; więc też pochłonie cię
Mrok Hadesu, jak cień, blady i mdły, wtrącon śród cieniów tłum.

Takie życie w ogrodzie cienistym, pośród kwiatów i pieśni, dla dziewcząt nie mogło trwać długo. Podczas tego samego święta Artemidy, na którem dziewczyna tańczyła i śpiewała w chórze rówieśnic, zdobywając sławę i dla kółka swego i dla swej przewodniczki, urodą jej zachwycali się i ci, dla których święta takie były przeglądem narzeczonych. I oto, po dniach kilku, w domu jej rodziców pojawiał się swat. Jeżeli rodzice się godzili, wyznaczano dzień wesela; przewodniczce i towarzyszkom przypadała w udziale ostatnia, jedyna troska: przewodniczka miała ułożyć, one zaś miały zaśpiewać pieśń ślubną towarzyszce, opuszczającej kółko.

Wesele święcono szumnie i radośnie. Ale pannie młodej nie zawsze było wesoło na duszy. Narzeczonego swego zazwyczaj panna młoda nie znała i lękała się nieznanej

z nim doli; i żal jej było rozstawać się z ogródkiem Safony, z jego kwiatami i pieśniami, z takiemi przyjaciółkami, z taką mistrzynią. Ale oto nadszedł dzień nieubłagany: w domostwie rodziców uczta przewspaniała, na dziedzińcu ucztują mężczyźni, pod werandą — kobiety. Oto zabłysnął w niebiosach Hesperos, gwiazda wieczorna: godzina nadeszła! I towarzyszki podejmują pieśń żałosną:

Gwiazdo wieczorna, ty zbierasz, co blask poranny rozproszył:
Kozy, jagnięta zgromadzisz, lecz córkę oderwiesz od matki!

Odpowiadają im przyjaciele pana młodego: ci, oczywista, wielbią gwiazdę wieczorną, ziszczającą pragnienie ich przyjaciela. Ale zwlekać nie można: szykuje się pochód, powoli dąży ulicami Mityleny do domu pana młodego. Na czele pochodu kroczy matka panny młodej z płonącą pochodnią w ręku: tą pochodnią, zapaloną od swego ogniska, wznieci ona nowy ogień w nowym domu swej córki-gospodyni, aby wraz z nim świeciło jej błogosławieństwo domu rodzicielskiego w jej nowem życiu. Powoli posuwa się pochód. Obywatele spoglądają z tarasów, z okien, z płaskich dachów. Gdzie panna młoda? Jaka śliczna! A druchny śpiewają:

Słodkie jabłuszko dojrzałe rumieni się hen, na wysokiej,
Na najwyższej gałązce i wyżej nad wszystko: czy kto z was
Dojrzał je tam? Lub może je dojrzał, ale nie dostał?

A gdzież pan młody? Jaki piękny, jaki rosły! Trzeba i jego uczcić śpiewem; zwłaszcza, że i dom już jest blisko:

Wznoście dach jak najwyżej
O, Hymeneju!
Wyżej, budowniczowie —
O, Hymeneju!
Idzie pan młody, jak bóg-wojewóda
Wzrostem wyższy od męża rosłego.

I tłum cały — i swoi i obcy — podchwytują ślubny okrzyk: Hymenie, Hymeneju! I oto wreszcie, dom pana

młodego. U progu jego matka, także z pochodnią w ręce, wita swatkę i gości i wprowadza ich do domu. U ogniska dokonywa się święty obrzęd przy dźwiękach weselnej modlitwy; od tej chwili państwo młodzi są już mężem i żoną. A potem nowa uczta, pieśni, korowody. Znowu śpiewy chwalebne, ale nowożeniec co innego ma w głowie. Musi on niepostrzeżenie, podczas pląsów, pochwycić swoją młódkę i szybko umknąć z nią do ślubnej komnaty. Przyjaciółki śledzą bystrym wzrokiem: chciałyby jeszcze po raz ostatni zażartować z drapieżnika. Lecz oto nakoniec sztuka się udaje: panna młoda w komnacie, drzwi zamknięte na zamek: „Wszyscy są w domu!" triumfalnie woła szczęśliwiec. Dziewczęta z piskiem rzucają się ku zamkniętym drzwiom, aby oswobodzić przyjaciółkę. Napróżno,—druh nowożeńca, tęgi kawał chłopa, staje przed drzwiami i nikogo do nich nie dopuszcza. Teraz żarty dziewcząt zwracają się przeciw niemu:

Oddźwierny nogi ma na siedem łokci,
Buty ma z siedmiu szyte byczych skór,
Szyło je szewców dziesięciu!

Ale cóż począć? Nie pozostaje nic innego, jak odśpiewać ostatnią pieśń «przedkomnatną»:

Odprawiliśmy wesele,
Jako chciałeś, panie młody,
I dziewczynę, o! szczęśliwy,
Pozyskałeś, jakiej-ś pragnął.—

i rozejść się do domów.

A nazajutrz znowu ogród Safony, znowu kwiaty i pieśni, ale już bez przyjaciółki. Smutno bywało; pieśniarka serce miała tkliwe i wierne, i serce to boleśnie odczuwało rozłąkę. Z początku i młoda żona tęskniła do dawnych zabaw dziewiczych, i mistrzyni jej posyłała — tak, posyłała swą pieśń o niej:

Lżejsza snadź od rozłąki śmierć —
W żalu wielkim, we łzach porzucała mię

Gorzkich, słowy się skarżąc tak:
„Jakże ciężki nam wypadł los,
Klnę się, Safo, boleśnie mi rzucać cię".

Na tom zasię odrzekła jej:
„Pomnij o mnie, a w szczęściu idź:
„Dobrzeć z nami bywało, to sama wiesz...

„Jeśli nie wiesz, pamięci twej
„Pomóc chcę: przepomniałaś snadź,
„Jak rozkoszny, jak piękny nasz bywał los,

„Ile razy wieńczyły cię
„Fiołków wieńce i sploty róż,
„Gdyś ten z nami, radosna, dzieliła dom,

„Ile kwiecia z wiosennych łąk
„Girlandami dokoła twej
„Szyi wiło się, sącząc przesłodką woń,

„Zaś wonności królewskich czar
„Jakże często ci zraszał skroń,
„Jakże hojnie ci bujny namaszczał włos.

„Lubeć były dziewczęcych uczt
„Miękko słane wezgłowia... Lecz
„Miło, z czary nalanej słodycze pić..."

I przyjaciółka odzywała się zrazu często, potem zaś coraz rzadziej i rzadziej. Nowe kłopoty, kłopoty gospodyni, żony, a następnie i matki, pochłaniały ją coraz bardziej. Dawna nić stawała się coraz wątlejsza, aż w końcu urywała się zupełnie.

W taki to sposób przesuwały się kolejno uczennice w wykwintnem i uduchowionem kółku Safony; po Girynnie następowała Attyda, po Attydzie — Anaktorja. Na posterunku trwała tylko sama przewodniczka, i na jej to oczach odbywała się ta zmiana roczników.

Lecz ona, Safo, — rodzi się pytanie, — czyż żadnych innych nie doznawała uczuć, oprócz uczuć przyjaźni i rozłąki? Czyż jej serce było niedostępne urokom miłości

i małżeństwa, nie tęskniło do zacisza domu własnego w kolisku własnej rodziny? — Przed laty, gdy była jeszcze młodziutka, wydano ją za mąż; mąż jej zginął w zawierusze wojen domowych, odumarłszy jej, jako młodej wdowy, z dzieckiem, dzieweczką na rękach. Dzieweczce tej także poświęcała ona swe pieśni, odzywając się o niej z ogromną czułością:

Mam-ci ja dzieweczkę, mam...
Śliczna-ż ona, złocistemu
Kwieciu postać ma podobną,
Kleis ulubiona!

Za nic, za nic jej nie oddam,
Choćby i za Lidję całą,
Choćby i za Lesbos miły...

Potem jej towarzysz wygnania, Alceusz, sięgnął był po jej rękę:

Coś rzec ci chciałbym, jeno mi broni wstyd...

pisał poeta poetce. Lecz Safo zrozumiała, że dla niego, człowieka, własną pochłoniętego sprawą, miłość jej miałaby tylko znaczenie odpoczynku i rozrywki, niby biesiada przyjacielska przy kielichu wina, i ciętą dała mu odpowiedź w jego własnej strofie:

A gdybyś żądze zacne i piękne miał
i nic twój język złego nie myślał rzec,
twe oczy wstyduby nie znały —
śmiałobyś mówił, jak słuszność każe.

Z tem większem zapamiętaniem poświęcała wszystkie swe troski córce i swemu kółku, pozostając dla wszystkich niedostępną, rozkwitając dziewiczą urodą w swem surowem wdowieństwie do lat, mniej więcej, trzydziestu. Ale wtenczas przyszła kolej i na nią.

Pewien młodzieniec z Lesbosu, podczas święta oględzin, zwrócił uwagę nie na uczennice, lecz na mistrzy-

nię, gdy stała wpośród nich w swej wyniosłej piękności, jak róża śród polnych kwiatów. Zaofiarował jej swą rękę. Z początku Safo rozsądnie odmówiła poślubienia człowieka młodszego od siebie:

Przyjacielu! ja łoża
Dzielić z tobą nie ośmielę się,
Jam zbyt stara; lecz gdy u mnie ty
Szukasz rady: młodziutką bierz!

Lecz postać młodzieńca jednakże zapadła jej w duszę; gdy tymczasem on, spotkawszy się z odmową, rychło się z losem swym pogodził i, ponoć, poszedł za radą poetki. I oto nadeszły dla niej dni udręki. Teraz dopiero poznała Safo, czem jest miłość; wszak męża swego, za którego wydano ją, jak to wówczas było we zwyczaju, nie zasięgając jej zdania, nie zdążyła poznać na dobre, gdy już umarł. Teraz omdlewała z tęsknoty za nową gwiazdą swego życia, która tak jasno błysnęła i tak szybko zgasła: tak właśnie go nazywała — Faonem, t. j. gwiazdą jutrzenianą, i my dzisiaj pod taką tylko znamy go nazwą. Próżno zwracała się z modlitwą do bogini zakochanych, Afrodyty, próżno łudziła się marzeniem, że bogini słyszy jej wołanie, zstępuje do niej na swym złotym rydwanie, by ją pocieszyć:

Dziś unika ciebie? Pogoni jutro.
Darów nie chce? Oto je dawać będzie.
Dziś nie kocha ciebie? Pokocha jutro,
choćbyś nie chciała.

Lecz dni mijały, a zbieg nie wracał. Safo coraz silniejszej ulegała rozpaczy. Zobojętniała dla swego kółka; jęła błądzić samotnie po polach, po gajach, po wąwozach górskich, z oczyma płonącemi, z sercem spalonem. I wtenczas, razu pewnego, bogowie zesłali jej widzenie: w pianie i kipieli wodospadu ukazała się jej najada, nimfa potoku, ze słowem pociechy — smętnej, ale pociechy. Spełnienie jest niemożliwe, ale możliwe jest uleczenie i zemsta. Jest na Lesbosie stroma skała, sterczącа nad morzem, zwana Leukadą, t. j. Białą. Posiada moc cudowną:

jeśli z niej rzuci się do morza ten, kto kocha się bez wzajemności, to uleczy się ze swej nieszczęśliwej miłości, i namiętność ta, za karę, ogarnie tego, w kim kochał się on dotychczas.

I w okamgnieniu wszystko rozświetliło się przed oczami Safony: tak, jest to prawdziwy ratunek, ratunek jedyny, uleczenie, jakkolwiek nie ziszczenie. Skierowała kroki swe ku wskazanej skale — tam, w dole, głucho huczało morze, bijąc o białe urwisko.

Strachem przejmowała myśl o rzuceniu się w taką głębinę. Ale jeszcze straszniejszym wydawał się powrót do dawnej beznadziejności...

Sprawdziła się wróżba najady, i Faon musiał gorzko żałować prześlicznej, tkliwej pieśniarki, która znalazła wieczyste leki na swą miłość nieszczęśliwą w chłodnej, błękitnej mogile pod skałą Leukadą.

18. EZOP.

Wszyscy śród nas znają Krasickiego i jego nieśmiertelne bajki—o lisie przebiegłym, o wilku chciwym, o wronie próżnej i głupiej, o zdradliwej żmii, o wołach krnąbrnych i tak dalej. Miał, jednakże, swego Krasickiego i antyczny świat helleński, i nawet rzec można, że bez tamtego nie istniałby i nasz polski. Tylko życie jego było inne: nie w ciszy gabinetu pracy, nie na obiadach królewskich wyobrażać sobie musimy postać greckiego bajkopisa, ale na tle doli niewolniczej, w ubogiej koszuli: jako stałego gościa karczem, fryzjerni i wogóle miejsc takich, gdzie można było śród chłodu zimowego ogrzać się przy ogniu i wzamian za dobrze opowiedzianą bajkę albo przypowieść otrzymać skromny posiłek — garść pieczonego bobu i kubek pospolitego wina. Słowem nasz Krasicki był pisarzem, szanowanym przez wszystkich, tamten zaś— wędrownym gadułą — bajarzem.

Bajarzów było wielu w gadatliwej i wymownej Grecji. Ale skoro na Samosie do karczmy nasz wstępował bajarz, wnet zapominano o innych. Śmiano się zeń, nim

jeszcze zdążył usta otworzyć: jego potworny garb, twarz szpetna, łysa głowa, jego skośne świdrujące oczy niepowściągliwy budziły śmiech w każdym, kto nie uważał za rzecz dla siebie zdrożną bawić się cielesną ułomnością bliźniego. I bywało, jakiś gość zajezdny, słuchając pociesznych opowieści garbusa, spyta swego sąsiada: kto zacz jest ten figlarz? I sąsiad odpowie: jest to nasz Ezop, niewolnik naszego współobywatela Jadmona. Słuchaj go jegomość, ale strzeż się, by cię nie wziął na zęby, bo sam siebie nie poznasz.

Ciekawe opowiadał rzeczy Ezop; ale niemniej ciekawe było i to, co opowiadano o nim. Wszelkiego rodzaju plotki o żartach, na jakie sobie pozwalał wobec swego własnego pana, pani, towarzyszów niewoli i niemal każdego, kogo spotkał. Ile w tem było prawdy, ile zmyślenia — tego, zapewne, w owych już czasach niesposób było dociec; a tem bardziej teraz. Opowiadano zaś, między innemi, rzeczy następujące:

Był Ezop zrazu niewolnikiem w dalekiej Frygji, w Azji Mniejszej. Ponieważ, poza swemi innemi ułomnościami, był dotknięty niemotą, więc pan jego, nie oczekując żadnego odeń pożytku w domu, wysłał go na roboty w polu. Tam karbowy, spostrzegłszy jego upośledzenie, dopuszczał się wszelakich wybryków nad niewolnikami, dufny, że Ezop ani sam o nich się nie upomni ani gospodarzowi nie doniesie. Lecz oto, razu pewnego, dwaj kapłani Artemidy Efeskiej, zabłądziwszy, poprosili go, aby im wskazał drogę do miasta. Ezop, jako człowiek pobożny, zrazu poczęstował ich swym chlebem i solą— oni, zbłąkawszy się, rzeczywiście oddawna nic nie jedli — i potem wskazał im drogę. Żegnając go, kapłani wznieśli ręce ku niebu i zaklęli swą boginię, aby nagrodziła Ezopa za jego dobroć. Ezop zasnął wkrótce pod drzewem; we śnie ukazała mu się Artemida i oznajmiła, że odtąd uleczon jest z niemoty.

Gdy Ezop znów jął pracować w polu, karbowy za drobne uchybienie okrutnie smagnął niewolnika, pracującego obok niego. Wzburzyło to Ezopa: „Za co go bijesz?" —

zawołał — „poskarżę się gospodarzowi!" Zląkł się karbowy. Pomny wielu okrucieństw, jakie miał na sumieniu, postanowił zapobiec burzy i oczerniwszy Ezopa przed gospodarzem, uzyskał odeń zezwolenie na to, aby sprzedać garbusa za wszelką cenę. Przypadkiem przechodził tamtędy handlarz niewolników. Ułomny niewolnik niebardzo go kusił, lecz dozorca postawił tak niską cenę — tylko trzy obole (t. j. złotówkę), — że zgodził się go nabyć. Na najbliższym rynku wystawił go na sprzedaż wraz z dwoma pięknymi młodzieńcami. Śród nabywców zjawił się też i filozof Ksantos.

— Co umiesz robić? — spytał jednego z urodziwych młodzieńców.

— Wszystko! — odrzekł zapytany.

— A ty? — spytał Ezopa.

— Nic.

— Jakto nic?

— Wszak tamten — wskazał na towarzysza — zagarnął wszystko i mnie nic nie pozostawił.

Odpowiedź podobała się Ksantowi, i nabył Ezopa za 60 obolów (20 złotych).

— Ale, naprawdę, co będę z ciebie miał? — spytał, idąc do domu, swego „nowonabytego".

— Strach na wrony — odrzekł Ezop.

— Żart na stronę: mam żonę, kobietę bardzo wykwintną.

— I boisz się jej?

Tak, rzeczywiście, było: żona filozofa była bardzo swarliwa i przy każdej sposobności odgrażała się, że zabierze posag i wróci do rodziców. Ezopa przywitała bardzo cierpko, i ten postanowił ją ukarać. Tymczasem, jednak, wypadło gotować się do drogi: Ksantos przedsięwziął przenieść się do Jonji, do ojczyzny żony. Niewolnicy musieli podzielić między siebie pakunki. Ezop, jako «nowonabyty», miał prawo wyboru. Wszyscy myśleli, że wybierze tobół najlżejszy, on jednak sięgnął po najcięższy: wziął kosz z żywnością. Niewolnicy wybuchli śmiechem: „Cóż to jednak za głupiec!" „Nie głu-

pi, ale gorliwy" — poprawił gospodarz. Ezop wszakże nie był ani głupi, ani gorliwy, tylko przezorny. Z początku, rzeczywiście, uginał się i stękał pod ciężarem; ale już po pierwszym popasie kosz stał się znacznie lżejszy, po drugim jeszcze lżejszy, dalej zaś Ezop szedł, pogwizdując i wyśmiewając swych towarzyszów, zgiętych pod tobołami.

Na Samosie—kędy zamieszkał Ksantos—żyło się wesoło. Raz on gościł swych przyjaciół, to znów jego goszczono. Podczas jednego z obiadów, w gościnie, Ksantos, jak było to we zwyczaju, odłożył «gościniec» dla żony. Poczem, przywoławszy Ezopa, rzekł doń: „Odnieś to mojej najwierniejszej". No, myśli sobie Ezop, nadarza się sposobność.

— Pani, pani!—zawołał, wróciwszy do domu—pan przysyła gościniec, ale nie tobie, tylko swej najwierniejszej—i, skinąwszy na sukę, wysypał przed nią wszystkie przysmaki. Suka w okamgnieniu wszystko sprzątnęła.

Rozzłościła się gospodyni. Skoro tylko mąż wrócił, oświadczyła mu, że odchodzi do rodziców i że ma przygotować do zwrotu jej posag. Gospodarz wezwał Ezopa.

— Coś ty narobił?

— Zrobiłem, coś kazał.

— Jakto co kazałem? Przecież ja żonie posłałem gościniec.

— Wcale nie jej, ty rzekłeś: mojej najwierniejszej. A czyż jest ona twoja najwierniejsza, skoro z powodu każdej błahostki grozi, że cię opuści. Pies, natomiast, choćbyś go bił, od ciebie nie odejdzie. Ten pies twój jest twoją najwierniejszą istotą.

Wszelako gospodyni rozgniewała się nie na żarty i wróciła do rodziców.

— No,—rzekł do Ezopa gospodarz—nawarzyłeś kaszy, teraz ją zjedz.

— Nic to—odpowiedział garbus,—ja ją wnet zmuszę do powrotu.

Nazajutrz rano udał się na rynek, nakupił ryb, warzywa, dziczyzny i, ciężko obładowany, skierował się

ku domowi, przechodząc pod oknami rodziców gospodyni. Ci, zoczywszy zakupy, zdumieli się: poco, spytali, tyle smakołyków?

— Gospodarz urządza wesele!—wesoło odpowiedział Ezop i poszedł dalej.

— Tego jeszcze brakło!—wrzasnęła gospodyni i pędem pobiegła do męża.

— Co to ma znaczyć? Z kim urządzasz wesele?

— Z tobą, kochanie!—śmiejąc się, odrzekł mąż, obejmując zbiega.

Niebawem uczta była gotowa i, śród nieopisanej radości, zasiedli do niej wszyscy troje. Gospodyni po tej przygodzie stała się i dla męża życzliwsza i dla Ezopa łaskawsza. Ksantos zaś tak dalece ucieszył się z powrotu żony, że obiecał Ezopowi wolność.

Ale gdy upojenie minęło, nie kwapił się z wykonaniem obietnicy. „Dobrze więc—pomyślał sobie Ezop — wyzwolisz ty mnie wbrew swej własnej woli". I oto, razu pewnego, podczas uroczystości państwowej, mieszkańcy Samosu stali się świadkami zatrważającego znaku: orzeł, znienacka się opuściwszy, porwał pieczęć państwową i, ulatując, rzucił ją na kolana niewolnikowi. Obywatele zwrócili się do Ksantosa, prosząc, aby ten, jako mędrzec, wytłumaczył im wróżbę. Ksantos, sam jej nie rozumiejąc, spytał Ezopa i, za jego radą, oznajmił rodakom, co następuje: „Sam oddawna przestałem zajmować się wróżbiarstwem, zwróciwszy się do zagadnień trudniejszych, ale mam niewolnika, którego niegdyś sztuki tej wyuczyłem; ten wszystko wam wytłumaczy." Obywatele kazali sprowadzić niewolnika — a niewolnikiem tym, oczywiście, był Ezop. „Obywatele — rzekł — ciężkie jest życie niewolnika, jeśli jest on rozumniejszy od swego pana, i ja chętnie wytłumaczę wam wróżbę, ale naprzód muszę stać się wolny". — „Wyzwól go!"— krzyknęli obywatele do Ksanta. Ów długo się nie zgadzał; ale gdy prytan — tak na Samosie nazywał się najwyższy dostojnik—zagroził mu, że w razie odmowy sam wyzwoli Ezopa imieniem państwa, zgodził się. W taki

to sposób niewolnik-bajarz stał się wolnym obywatelem Samosu.

— Współobywatele, — rzekł wtenczas do ludu— orzeł jest to symbol króla; niedarmo królowie noszą wyobrażenie orłów na swem berle. I oto, co nam grozi: król wschodni zawładnie naszą wolnością obywatelską i poda nas w niewolę". Ledwie skończył swą mowę, słudzy prytana oznajmili przybycie herolda od króla Lidji, Krezusa. Niósł on pismo królewskie, które głosiło: „Za przykładem mieszkańców Miletu, sąsiadów waszych na lądzie, musicie i wy płacić mi corocznie daninę; w przeciwnym razie, gotujcie się do wojny". Wszyscy się zdumieli — i mimowoli skierowali wzrok na Ezopa. „Co jest lepsze: poddaństwo czy wojna?" — „Obywatele—odrzekł Ezop— dwie otwierają się przed nami drogi: droga wolności i droga niewoli. Droga wolności uciążliwa jest zrazu i stroma, ale im dalej, tem lżejsza się staje i gładsza; droga niewoli, przeciwnie, z początku bywa gładka i przyjemna, ale w dalszym ciągu staje się ciernista i ciężka". „My jesteśmy za wolnością!" — krzyknęli obywatele i jęli gotować się do wojny.

Ezop nieustannie im pomagał swą radą; ale rad owych udzielał im nie poprostu, zwykłemi słowy, lecz zawsze w postaci bajki lub przypowieści, wplatając w nie zwierzęta, rośliny albo przedmioty nieożywione. I doniesiono królowi Krezusowi, że mieszkańcom Samosu nie da się rady, ponieważ opór ich podsyca nowy obywatel, imieniem Ezop. Król wyprawił na Samos posłów, ofiarując im ulgę w żądanej daninie pod warunkiem, że wydadzą Ezopa. Zgromadzili się obywatele na wiec; niektóre głosy wypowiedziały się za przyjęciem warunków króla. Wtenczas Ezop wystąpił i rzekł:

— Niegdyś wilki toczyły wojnę z owcami; owce wiele cierpiały z powodu tej wojny, ale stawiły opór z powodzeniem, gdyż psy-owczarki bacznie śledziły wilki i nie pozwalały im krzywdzić owiec. Wtedy wilki zaofiarowały owcom pokój pod warunkiem, że owce wydadzą im owczarków. Owce, w głupocie swej, zgodziły

się i wydały wilkom owczarków. Dostawszy w swe łapy tych głównych swoich wrogów, wilki natychmiast ich rozszarpały; potem zaś przy pierwszej sposobności wydały owcom nową wojnę. W wojnie tej owce już nie miały obrońców. Wilki z łatwością je pokonały i także rozszarpały.

Obywatele zrozumieli treść bajki: „Nie wydamy Ezopa!" Ezop jednakże był człowiekiem przewidującym, a przytem i sam już myślał o tem, aby kres położyć wojnie. Porozumiawszy się z posłami, dobrowolnie udał się z nimi do Sard. Niełaskaw był na niego Krezus: „A więc to taki potwór przeszkadzał memu zwycięstwu". Już zamierzał wyprawić go na kaźń, lecz Ezop uprosił go, aby mu dane było opowiedzieć jedną bajkę. „Mów!" — rzekł król. I Ezop zaczął:

— Rolnik zbierał szarańczę, która oblepiła jego rolę, i chciał już rzucić ją w ogień. Wtem z pośród niej ozwał się głos konika polnego: ,,ulituj się, człowieku! Ja kłosom nie sprawiam szkody, ja żyję rosą niebieską i rozweselam swą pieśnią przechodniów podczas letniego upału"...

Krezus spojrzał nań uważnie: jakaż piękna dusza kryje się w tem szpetnem ciele! Żal mu się zrobiło ludowego mędrca, skrzywdzonego przez naturę. „Nie ja ci przebaczam — rzekł król — ale gorzka dola twoja, ty zaś, jeśli chcesz, proś mnie o jakąś łaskę". Mniemał, że Ezop, wiedząc o jego bajecznych bogactwach, prosić będzie o złoto. Lecz on, rzuciwszy się królowi do nóg, jął błagać: „Zawrzyj pokój z Samosem!" I znów posłowie królewscy wybrali się w drogę do Samosu; wzięli ze sobą Ezopa i pokój. „Za wolność, którą wyście mnie obdarzyli, i ja przynoszę wam wolność" — rzekł Ezop i przeczytał obywatelom dekret królewski. Krzykiem radości odpowiedzieli mu obywatele; uwieńczyli go zielenią i kwiatami, korowody młodzieży miejscowej zawirowały ku czci jego imienia. Dawny niewolnik-bajarz był już nietylko obywatelem wolnym, był pierwszym obywatelem w oswobodzonem państwie.

Lecz Ezop był człowiekiem rozumnym i nie chciał kielicha uniesień ludowych wypijać aż do dna, na którem zwykle osiada mąt goryczy. Skorzystał z pierwszej sposobności, aby pożegnać się z rodakami i udać się w podróż. Wszędzie podejmowano go ze czcią, i w Helladzie, i wpośród barbarzyńców, i wiedząc o jego mądrości, zasięgano u niego rady. On zaś nie odmawiał nikomu, ale nigdy nie mówił poprostu, zawsze oblekał myśl swą w szatę przypowieści albo bajki. I za to kochano go jeszcze więcej, zwłaszcza kochał go lud prosty, który w mowie takiej szczególnie sobie podobał. Udało mu się dotrzeć i do Egiptu, i do Babilonu. Ale z Babilonu uchodzić musiał wskutek najazdu króla Persów Cyrusa. Ezop bez trudu pojął, że ambicja tego zdobywcy nie poprzestanie na podboju tej stolicy Wschodu. Pośpieszył tedy przez Kappadokję i Frygję do Sard, aby uprzedzić dobrego króla Krezusa o grożącem mu niebezpieczeństwie.

Jak już wiemy, Krezus wysłał poselstwo do Delf, aby zasięgnąć rady boga co do przedsiębranej wyprawy na Persów; w poczet posłów zaliczył on i Ezopa, poleciwszy mu nietylko Apollinowi cenne złożyć ofiary, ale i członkom rady najwyższej w Delfach ofiarować dary, prawdziwie królewskie. Jednakowoż pobyt w Delfach głęboko rozczarował Ezopa: podobała mu się, wprawdzie, świątynia boga z jej cichym spokojem i uroczystą obrzędowością, ale członkowie rady najwyższej wydali mu się ludźmi chciwymi i wyzutymi ze skrupułów. Byli gotowi przyjąć podarunki Krezusa i schlebiali mu publicznie, ale między sobą kpili sobie z jego pobożności i zaufania. Zdecydował tedy Ezop, że nie są oni godni łaski królewskiej i przekonał swych towarzyszów, aby dary odnieść z powrotem do Sard.

Przewąchali to członkowie rady najwyższej. Wściekli na Ezopa, postanowili go uśmiercić. I oto, gdy wespół z towarzyszami szykował się do odjazdu, potajemnie schowali w jego rzeczach złotą czarę, wyjętą przez nich ze skarbca Apollinowego. Nie zdążyli posłowie ruszyć w drogę, jak wszczął się alarm: „Apollo ograbiony! ograbiony przez

kogóż, jeśli nie przez posłów lidyjskich!" — „Jakto przez posłów?" — „No, nie przez wszystkich, lecz najprędzej przez tego szpetnego garbusa, z którego świdrujących oczu aż bije złość i przebiegłość!" Ezop, czując się niewinny, sam wezwał, aby przetrząśnięto jego węzełki. Przeszukano je — i znaleziono złotą czarę. „Świętokradca!" — zawył tłum — „śmierć świętokradcy!"

Zrozumiał Ezop, że chwile jego są policzone. Rzucił się do ucieczki, biegnąc poprzed ołtarz miejscowej nimfy, stojący opodal drogi. „Nimfa — nie wielka to figura!" zaśmiali się siepacze i schwycili Ezopa, naruszając prawo schronienia, przysługujące każdej świątyni.

— Delfijczycy, posłuchajcie! — zawołał Ezop.

— Co takiego?

I bajarz jął im opowiadać:

— Razu pewnego orzeł ścigał zająca; ten uciekł do nory, w której mieszkał żuk. Orzeł nie dał za wygraną i postanowił wyciągnąć zająca z nory. Żuk stanął przed wejściem do swej kryjówki, zaklinał go imieniem Zeusa, aby poniechał ofiary i nie znieważał jego samego, jakkolwiek jest figurą tak małą. Orzeł, jednakże, pozostał głuchy na błagania i rozszarpał zająca. Ale żuk przyczepił się do orła, tak, iż ten, niepostrzeżenie dla siebie, poniósł go wraz z sobą do gniazda. Znalazłszy się w gnieździe, żuk jął wypijać jajka, zniesione przez orlicę, i wysuszył je wszystkie aż do ostatniego. Wtenczas orzeł z orlicą uwili sobie gniazdo wyżej na skale całkiem niedostępnej. Wszelako żuk w taki sam sposób dostał się i do nowego gniazda i znów zniweczył zniesione jajka. Wtenczas orzeł w rozpaczy wzbił się aż w niebiosa i ubłagał Zeusa, opiekuna swego, ażeby pozwolił orlicy złożyć jajka swe na jego kolanach. Zgodził się Zeus, ale żuk i tutaj nie wyrzekł się swego dzieła zemsty. Zebrawszy kulkę nawozu, zrzucił ją z wysokości na kolana Zeusa. Ten z odrazą zerwał się, aby strząsnąć niespodziany dar — i jajka stoczyły się z jego kolan i uległy rozbiciu. Wtenczas Zeus, nie życząc sobie wytracenia rodzaju orłów, kazał ulubieńcowi swemu przenieść porę wysiadywania

piskląt na miesiąc, w którym żuków nie bywa. — I wy też, delfijczycy, nie lekceważcie gniewu skromnej nimfy, nie czyńcie krzywdy temu, który schronił się u niej!

Była to, jednakże, bajka Ezopowa już przedśmiertna: delfijczycy nie usłuchali jego zaklęć i, uprowadziwszy go, strącili go, wedle miejscowego obyczaju, ze skały stromej w przepaść. Ale zbrodnia ta nie uszła im płazem. Wszystkie zdroje i źródliska powysychały, wszystkie drzewa i trawy pożółkły, posucha cały ogarnęła kraj. W popłochu delfijczycy zwrócili się do wyroczni Apollina. Bóg im rzekł, że klęska, która ich spotkała, jest następstwem gniewu nimf, jest karą za znieważenie ich siostry, z której uroczyska porwali błagalnika. Siepacze Ezopa, oprócz poniesionych strat, zmuszeni byli jeszcze ponieść ciężką grzywnę, by odkupić swą bezbożną chciwość.

Opowiadano nawet, że Apollo wskrzesił niewinnie zamordowanego bajkotwórcę. Należy jednak wieść tę pojmować alegorycznie. Znikome szczątki Ezopa pozostały na dnie delfickiej przepaści; ale bajki, które opowiadał ludowi w rozmaitych miastach Grecji i krajów barbarzyńskich, były zebrane przez jego miłośników, aby żyć odtąd nowem, wiecznem życiem. W Atenach szybko stały się one księgą szkolną narówni z Homerem, Hezjodem, Tyrteuszem, Solonem. „Nawet Ezopa nie czytałeś!" — mówiono człowiekowi, chcąc w ten sposób powiedzieć, że jest zupełnie bez wykształcenia. Ale zbiór bajek Ezopa nie pozostał w granicach samej tylko Grecji. Dotarł on i do innych krajów; stał się własnością także nowożytnych narodów. U Rzymian przerobił go Fedrus, we Francji Lafontaine, i tak dalej. U nas, jak wiadomo, przerabiał go Krasicki, a także Mickiewicz. I każda taka przeróbka była wskrzeszeniem prastarego bajarza. Gdy u Krasickiego będziecie czytali o podstępnym lisie, o chciwym wilku, o głupiej i chełpliwej wronie, o krnąbrnych wołach, o żółwiu i myszy, wiedzcie, że macie przed sobą tego samego starego Ezopa, tylko w nową obleczonego szatę, w szatę naszej mowy ojczystej.

ROZDZIAŁ IV.

TYRANJA W ATENACH

19. TYRAN PIZYSTRAT
(560—527)

Po odjeździe Solona zamieszki w Atenach nie ucichły. Bogaci ziemianie «równiny» broili w dalszym ciągu: utraciwszy zagrabioną ziemię, starali się utrzymać władzę w państwie, obsadzając godności archonckie swoimi stronnikami. Z drugiej strony Alkmeonidzi po swym powrocie do kraju pomnąc, jak byli od nich niegdyś zdradzeni, toczyli z nimi walkę, opierając się na rzemieślnikach i kupcach «pobrzeża». Trzecią partję utworzyli mieszkańcy «zagórza» — tak Ateńczycy nazywali wzgórzystą miejscowość, stanowiącą północną część Attyki, za górą Pentelikonem. Byli to ubodzy rolnicy i pasterze, wdrożeni do pracy, lud tęgi i zwarty. Jednym z głównych ich grodów był słynny później Maraton.

Gdy Solon powrócił po dziesięcioletniej nieobecności, walka toczyła się dalej, nie dając przewagi żadnej ze zmagających się stron. Wszelako stan rzeczy się odmienił, skoro na czele partji «zagórza» stanął rozumny i śmiały młodzian, imieniem Pizystrat. Należał do możnowładztwa; nie spodziewając się, jednakże, zająć pierwszego miejsca śród ziemian «równiny», starał się zwerbować sobie zwolenników w szeregach ubogich «zagórzan». W tym celu zrazu szlachetnych używał środków: był przystępny, uprzejmy, wspierał ludzi, będących w potrzebie, i radą i pieniędzmi. Wynikiem było to, że ubodzy go ubóstwiali, możni zaś z «równiny» a także i Alkmeonidzi znienawidzili. Wobec Solona zachowywał postawę pełną czci; lecz stary prawodawca, podziwiając wybitne jego zdolności, ze smutkiem spoglądał

na jego niepohamowaną żądzę władzy, nie wróżąc sobie po niej nic dobrego.

Razu pewnego Pizystrat ukazał się na rynku ateńskim cały ubroczony krwią; odsłaniając swe rany, jął wołać ku obywatelom, skarżąc się, że możnowładcy umyślili uśmiercić go za to, że był orędownikiem ludzi ubogich. Lud wzburzył się: zgromadziwszy się na wiec, na wniosek jednego ze stronników Pizystrata postanowiono, aby temu ostatniemu pozwolono otoczyć się świtą strażników. Był to, rzecz prosta, tylko pierwszy krok, za którym wkrótce nastąpił drugi: z pomocą owej świty Pizystrat zajął Akropol i, szczęśliwszy od Kilona, zmusił Ateny, aby uznały go za tyrana. Stało się to w roku 560.

Wtenczas przywódcy możnowładztwa «równiny», a także i Alkmeonidzi zniewoleni byli opuścić Ateny. Co zaś do Solona, to, jakkolwiek nie sprzyjał on zamiarom Pizystrata i nawet przestrzegał przed nim lud, jednakowoż nowy tyran zachowywał dlań życzliwość i nawet prawa jego pozostawił w mocy. Lecz Solon był już bardzo stary. Co prawda, rzeźkość zachował do końca: nie bez słusznej dumy, rzekł on sam o sobie:

„*Starym już, lecz pókim żyw, uczę się, uczę się wciąż*".

Wszelako siły życia zanikały, i w końcu starzec zgasł cicho, pozostawiwszy świetlaną pamięć po sobie, jako najlepszy obywatel kraju.

Wogóle można powiedzieć o Pizystracie, że aczkolwiek zagarnął władzę przemocą, to jednak używał jej z umiarem i dla dobra ojczyzny. Będąc tyranem, nie przestawał opiekować się ludem ubogim. Szczególniej lubił, widząc dobrego gospodarza w kłopotach, pożyczyć mu pieniędzy, aby mógł poprawić swe gospodarstwo i potem dług zaciągnięty zwrócić. Pragnąc, aby rolnicy nie porzucali robót swych dla spraw sądowych, ustanowił sądy wędrowne, które rozstrzygały spory na miejscu. Urządził w Atenach wodociąg, z którego obywatele korzystali w ciągu siedmiu stuleci. Pokrył Attykę siecią dróg magistralnych, które połączyły główne

osiedla z Atenami. Jego zaś syn Hipparchos, który był poetą, ozdobił drogi te słupami, ustawionemi w miarowych odstępach, wyrzeźbiwszy na każdym swe imię i jakąś dobrą radę, w rodzaju:

Słup ten postawił Hipparchos: ty idź i prawdy przestrzegaj
albo
Słup ten postawił Hipparchos: bądź wierny przyjacielowi.

Dzięki dobrym jego rządom, imię jego jeszcze długo wspominano z wdzięcznością. „Za Pizystrata — mawiali starcy — mieliśmy wiek złoty".

Dużo uwagi udzielił Pizystrat kultom i świętom bogów ojczystych — zwłaszcza tych, którzy cieszyli się największą czcią w Attyce.

Demetrze, jako głównej bogini rolników ateńskich, zbudował w Eleuzynie dla jej misterjów osobną świątynię, której ślady rozpoznajemy dziś jeszcze wśród przybudówek późniejszych.

Bogini — opiekunka Aten Pallada już miała swą skromną świątynię na Akropolu w sąsiedztwie dworu Pizystrata; teraz otoczono ją kolumnadą i ozdobiono rzeźbionemi wizerunkami. Jej święto doroczne w lipcu, t. zw. Panatenaje, władca postanowił obchodzić uroczyściej: idąc za przykładem święta Zeusowego w Olimpji, zarządził, aby w tej uroczystszej postaci obchodzono święto to raz na cztery lata, jako „Wielkie Panatenaje", w zwykłej zaś—corocznie. Już Solon zalecił był, aby podczas dorocznego święta osobni rapsodzi, współzawodnicząc między sobą, deklamowali całego Homera. Ponieważ jednak poematy jego nie były spisane, przeto rapsodzi samowolnie skracali i zmieniali ich tekst. Teraz Pizystrat kazał opracować państwowy tekst eposów homerowych, naogół zgodny z tym, który posiadamy i my. Szczególnym wszakże przepychem wyposażył główny dzień święta — uroczystą procesją ateńczyków na Akropol, w której udział brali wybrani z pośród całej ludności—starcy czcigodni z oliwnemi gałązkami, mężczyźni z ofiarnemi zwierzęty, młodzież na ko-

niach i młode dziewczęta, nosicielki koszów, po grecku— kanefory, skromnie niosące bogini wszelakie dary.

Jeszcze ważniejsze, wszakże, były nowe zmiany, wprowadzone przez Pizystrata do kultu Dioniza. Ponieważ w Attyce było mnóstwo hodowców i wytwórców wina, którzy poczytali go za opiekuna swej pracy, to i jego święta były dość liczne i szumne. Ale wszystkie te święta zaćmił Pizystrat nowem wprowadzonem przez się marcowem świętem „Wielkich Dionizjów". Tu poszedł za przykładem Periandra korynckiego: jak ów do Arjona, tak ten zwrócił się do poety Tespisa, dziedzica liry Arjonowej, prosząc, aby nową uroczystość ozdobił swoją poezją. Tespis także układał dytyramby; ale jednocześnie wprowadził w nie rzecz nową i ważną. A mianowicie: z chórem śpiewających kojarzył się aktor— to w jednej roli, to w drugiej,—przerywając śpiew opowieściami i rozmową z przodownikiem chóru. Pierwszy jego występ odbył się w roku 534; był to zaczątek późniejszej tragedji.

Apollina Pizystrat czcił także; ale ponieważ w jego świątyni delfickiej panował prąd wobec niego wrogi, przeto starał się wszelakiemi sposoby upiększyć joński przybytek jego kultu, a mianowicie wyspę Delos. Ta maleńka, lecz śliczna wysepka była miejscem świętem, jako kolebka Apollina: tu, powiadano, pod palmą na brzegu krągłego jeziora urodził się wraz z siostrą Artemidą i, urodziwszy się, zwiastował:

Drogi mi będzie wygięty łuk i luba cytara,
Ludziom zaś będę wieścił Zeusową wolę niemylną.

Zresztą, składając hołdy Apollinowi na Delosie, Pizystrat jednocześnie miał także i cele polityczne na widoku. Chciał Ateny swoje uczynić państwem pierwszem w Grecji: ale, aby stać się potęgą, ich terytorjum było zbyt szczupłe. Marzył on więc o związku państw nadmorskich pod hegemonją Aten, i dla związku tego Delos miał stać się ośrodkiem religijnym takim samym, jakim Delfy były dla państw, uznających hegemonję Sparty.

Wszelako w dążeniu do urzeczywistnienia tej śmiałej myśli, zdobył on powodzenie tylko ułamkowe i tymczasowe.

Na czele każdego państwa, rzecz prosta, miał stać tyran, taki sam, jakim w Atenach był Pizystrat; wszyscy zaś tyrani obowiązani byli zawrzeć między sobą związek. Największą z wysp Cykladzkich był Naksos; tu, z pomocą Pizystrata, zagarnął władzę przyjaciel jego Ligdamidas. Śród jońskich Sporad jedną z najobszerniejszych była wyspa Samos, naprzeciwko Miletu; tu pomógł on do pochwycenia rządów niejakiemu Polikratesowi, i ten to Polikrates, zbudowawszy pokaźną flotę, stał się władcą okolicznego morza. Nakoniec, sam los podał mu rękę, oddając w jego władzę pobrzeże Hellespontu oraz wyspy przyległe. Stało się to w sposób następujący:

U samego wstępu do Hellespontu na brzegu azjatyckim stała niegdyś słynna Troja; po jej zburzeniu, nie powstał tam już żaden gród większy; zbudowano tylko szereg miasteczek drobnych, z których jednem był Sigejon. Do całej tej miejscowości zgłosili swe roszczenia Eolczycy z pobliskiej wyspy Lesbos; ale na Sigejonie położył dłoń Pizystrat, jako na ateńskim dziale zdobyczy trojańskiej, i miasto to udało mu się zatrzymać w swych rękach. Europejski brzeg Hellespontu należał do półwyspu, który Grecy nazywali poprostu Chersonezem (t. j. «półwyspem»); zamieszkiwali go Dolonkowie, szczep tracki, żyjący w ustawicznej waśni z Trakami z lądu. Nie mogąc uporać się z nimi, zwrócili się do Aten, szukając wytrawnego męża, któryby władał nimi i bronił ich od nieprzyjaciół.

W Atenach wtenczas, po usunięciu Alkmeonidów i przywódców „równiny", rodem najmożniejszym był ród Filaidów, wywodzący się od Ajasa z Salaminy. Ich głową był niejaki Miltjades. Widząc Pizystrat, że Miltjadesowi ciąży jego tyranja, zaproponował mu, by stał się księciem Chersonezu. Ów zgodził się z radością, I stała się rzecz szczególna: obywatel ateński był naówczas księciem barbarzyńskiego ludu. Dolonków osłonił

bez trudu, obwarowawszy międzymorza, łączące Chersonez z lądem; kraj był bogaty, wojsko bitne, i Miltjades wkrótce przyłączył do swego księstwa także i wyspy przyległe — Lemnos, Imbros oraz Samotrake. I całe to państwo podlegało Atenom, a więc Pizystratowi.

Teraz, aby zamknąć ten świat wyspiarski i umocnić nad nim władzę ateńskiego tyrana, brakło jednej rzeczy — wschodniej jego wstęgi, Jonji. Miasta jej uznawały siebie za kolonje ateńskie; zwierzchnictwo metropolji nad niemi byłoby rzeczą zupełnie naturalną. Ale do ziszczenia tego zwierzchnictwa nie doszło. Pizystrata ubiegł Cyrus, uzależniwszy od siebie Jonję po zwycięstwie nad Krezusem. Ostała się wszakże jedność duchowa: Jończycy w swych nadziejach wyzwolenia się z pod jarzma Persów spoglądali ku Atenom; z drugiej zaś strony wyjarzmienie Jonji stało się sprawą honoru dla najlepszych z pośród Ateńczyków.

Poza tem, jednakowoż, rządy Pizystrata były pomyślne; umarł w roku 527, otoczony powszechną miłością, przekazując władzę obu swym synom, Hippjaszowi i Hipparchowi.

20. PITAGORAS.

Wśród poddanych tyrana Samosu, Polikratesa, był młodzieniec, zwracający na siebie powszechną uwagę i swoją urodą, i rozumem, i nadzwyczajną surowością życia. Ojciec, bogaty kupiec Mnezarch, razu pewnego, przedsiębiorąc długą podróż w sprawach handlowych do Fenicji, zwrócił się do wyroczni delfickiej ze zwykłem w takich razach pytaniem, jakim bogom ma złożyć ofiary, aby uzyskać od nich błogosławieństwo dla planów podróży. Pitja udzieliła mu żądanych wskazań, lecz dodała, że plon najlepszy znajdzie on nie w Fenicji, ale we własnym domu. I oto, gdy Mnezarch powrócił, żona podała mu niemowlę-syna, który niedawno przedtem się urodził. Ucieszony ojciec przypomniał sobie o przepowiedni, otrzymanej w Delfach i nazwał syna «Pita-

gorasem», co miało oznaczać «zwiastowany przez Pitję». Mieszkańcy Samosu wiedzieli o tej przepowiedni i dzięki niej jeszcze goręcej kochali i szanowali cudownego młodzieńca. Ale wiedział o przepowiedni także i Polikrates i z nieufnością i lękiem śledził rozwój i postępy chłopca. Znał doskonale radę, jaką niegdyś Periandrowi dał tyran Miletu, Trazybul. I oto, przyjaciele Pitagorasa zrozumieli, że życie tegoż jest w niebezpieczeństwie; z ich pomocą zbiegł on nocą potajemnie z Samosu i dotarł do Miletu, gdzie ojciec jego miał dobrych znajomych i wyrobione stosunki.

W Milecie Pitagoras obfitą znalazł strawę dla swej żądzy poznania. Mądry Tales, coprawda, już nie żył; ale szkoła jego kwitła i święcie naukę jego pielęgnowała. Bezpośredni uczeń jego, Anaksymander, godził się z tem, że wszystko, co żyje, powstało z wody, lecz pytał sam siebie, z czego powstała sama woda. I ponieważ tego prapierwiastka określić nie mógł, przeto nazwał go «nieokreślonym». Anaksymander, zresztą, także już podówczas nie żył. Następcą jego myśli był uczeń jego, Anaksymenes. Ten nie uląkł się określenia tego, co było dla jego nauczyciela zagadką: podług jego nauki, na początku było powietrze, z powietrza przez zgęszczenie powstała woda, a następnie i ziemia, przez rozrzedzenie zaś — ogień. Pitagoras chciwie chłonął tę nową dla siebie mądrość, słuchając wykładów Anaksymenesa, czytając ułożone przez Anaksymandra dzieło «o przyrodzie» — było to pierwsze dzieło filozoficzne — i skwapliwie chwytając wszystko, co opowiadano o Talesie. Pytanie co do pochodzenia świata zaciekawiało go również; ale najwięcej zajmowała go owa geometrja i wogóle matematyka, która z inicjatywy Talesa kwitła w jego szkole. Szczególniej dręczyło wszystkich zadanie, w jaki sposób zbudować kwadrat wdwójnasób większy od danego, t. j. jakiej długości powinny być jego boki wobec boków danego. Żadna dająca się wymierzyć wielkość nie dawała pożądanych wyników: gdy brano półtora — okazywało się zadużo; gdy brano jeden i dwie piąte — wypadało zbyt mało. A tymczasem

rzeczą było jasną, że zadanie to zawiera w sobie osnowę całej wiedzy, dotyczącej pomiaru płaszczyzn.

Wśród uczniów Anaksymenesa był pewien mąż, jeszcze zupełnie młodziutki, przybyły niedawno z Efezu; zwano go Heraklitem. Lecz uczył się on niedbale, był milczący i posępny, najchętniej zaś rozmyślał w samotności o tem, co go zaciekawiało. Napróżno Pitagoras próbował z nim się zaprzyjaźnić: Heraklit nie podzielał jego głodu wiedzy— „dużo wiedzy, mówił, nie rozwija umysłu". Razu pewnego, jednakże, pochłonęła ich rozmowa o zagadnieniu pochodzenia świata. Pitagoras spytał Heraklita, czy zgadza się na tezę Anaksymenesa, że początkiem wszechrzeczy jest powietrze. Ów pokiwał głową. „A więc wraz z Talesem wypowiadasz się za wodą?" — „Nie". — „W takim razie wraz z Hezjodem — za ziemią?" — „Także nie". „A może, idąc za Anaksymandrem, uchylasz się od określenia?" — „Wiedza nie czyni człowieka mądrym". — „No, więc cóż w takim razie?" — I teraz Heraklit zkolei spytał Pitagorasa: „Czy świat jest żywy czy martwy?" — „Żywy". — „A cóż to jest życie?" — „Ruch". — „Ziemia czy się porusza?" — „Nie" (wtenczas jeszcze nie wiedziano o ruchu ziemi). — „A woda?" — „Sama przez się także się nie porusza". — „A powietrze?" — „Samo przez się—także się nie porusza". — „Jakże mógł ruch powstać w bezruchu?". — Pitagoras zamyślił się. W głowie błysnęła mu myśl: a może ziemia się porusza, tylko my tego ruchu nie dostrzegamy, ponieważ sami w nim uczestniczymy? Wszelako nie odważył się myśli tej wypowiedzieć. Heraklit zaś ciągnął dalej: „Niekiedy jednak— tu wskazał na falujące morze — woda się porusza: dlaczego?" — „Wskutek wiatru". — „A cóż to jest wiatr?" — „Powietrze, które się porusza". — „A dlaczego powietrze się porusza?" — „Dlatego, że nierównomiernie bywa ogrzewane przez słońce". — „A cóż to jest słońce?" — „Ogień". — „A ogień, jakiż to żywioł, poruszający się, czy nieruchomy?". — „Poruszający się". — „A więc zrozumiałeś teraz, skąd pochodzi wszystek świat żywy?" — „Według ciebie — z ognia?"

Pitagoras obiecał zastanowić się nad tem rozstrzygnięciem, które zaciekawiło go, ale nie zadowoliło. Heraklit niebawem wyjechał z Miletu, niezbudowany jego mądrością; w ojczyźnie swej stał się wielkim myślicielem i napisał głębokie dzieło o przyrodzie, w którem mówił o pochodzeniu wszystkiego, co istnieje, z uduchowionego ognia i o przyszłem przeistoczeniu świata w ogień, o wiecznym ruchu i o walce, jako materji wszechrzeczy. Ale dzieło swe napisał nie dla ludzi, których w dalszym ciągu unikał, tylko dla siebie, i pod schyłek życia ofiarował świątyni swej bogini ojczystej, Artemidy Efeskiej. Wszelako było ono i tam czytane i przepisywane, budząc zachwyt, jak i nas, po dzień dzisiejszy, czarują te szczupłe urywki, które zeń ocalały. Ale wróćmy do Pitagorasa.

Nęciła go w dalszym ciągu geometrja i zagadnienie podwojenia kwadratu. Spytał, u kogóż to Tales zgłębiał tę naukę? — „W Egipcie" — odpowiedziano mu. Postanowił więc udać się do Egiptu, polegając na handlowych stosunkach miletczyków z ich rodakami, zamieszkałymi w Naukratydzie egipskiej. Podróż nie była trudna. Od przyjaciół w Naukratydzie otrzymał z kolei rekomendację do egipskich mędrców-kapłanów. Ale i oni na pytanie jego nie odpowiedzieli. Potrafili, wprawdzie, podwoić kwadrat, ale sposobem czysto praktycznym, dającym wynik przybliżony: brali za podstawę linję, niewiele większą, niż $1\,^{2}/_{5}$ razy, i niewiele mniejszą, niż $1\,^{1}/_{2}$ raza — i zadanie uważali za rozwiązane. Alboż wynik taki nie wystarczał dla pomiarów ziemi? — I wtenczas to Pitagoras uświadomił sobie różnicę między wiedzą s t o s o w a n ą, której uczyli go kapłani egipscy, a wiedzą c z y s t ą, do której dążył on.

Lecz jeśli geometrja kapłanów egipskich nie zadowoliła jego umysłu, to inne, natomiast, strony ich nauki uderzyły go swą tajemniczą głębią myśli. Oglądał ogromne piramidy królów pod Memfisem; widział ich wspaniałe grobowce w «dolinie śmierci» opodal Teb egipskich; widział, jak nawet ubodzy ludzie balsamowali

zwłoki umarłych, aby je zachować, ponieważ zachowanie ciała poczytywano za warunek zachowania także i duszy. Z tem nie mógł się pogodzić: jakto? więc jeśli niedbała lub złośliwa ręka zniweczy moje ciało, to i dusza moja ma niewinnie ginąć? Ale widział także obrazy sądu pośmiertnego, ważenie serc, nagrody za uczynki dobre i kary za złe,—i tego nie mógł nie pochwalić.

Gdy wrócił na Samos, Polikrates już nie żył; mógł tedy swobodnie oddać się swym dociekaniom i rozmyślaniom. W jasnej zamiejskiej grocie urządził sobie placyk, pokryty drobnym piaskiem morskim. Tu kreślił swe figury geometryczne i przeprowadzał obliczenia. Stale rysował na piasku zagadkowy kwadrat; co uczynić, aby go podwoić? Półtora — zadużo; jeden i dwie piąte — zamało. Próbował innych liczbowych stosunków, bardzo ułamkowych; wynik zawsze bywał przybliżony, lecz nieścisły. I zdołał przekonać się tylko o jednej rzeczy: bok poszukiwanego kwadratu jest niewspółmierny z bokiem danego. Oto dlaczego nie mogli znaleźć go ani mędrcy Miletu, ani mędrcy Egiptu: o wielkościach niewspółmiernych nie mieli oni żadnego pojęcia.

Był już gotów poniechać zadania, gdy wtem nawiedziła go szczęśliwa myśl: poprowadził przekątną i na niej zbudował drugi, większy kwadrat: zali nie ten to będzie ów poszukiwany? Zaczął wyliczać: tak, właśnie ten. A więc kwadrat, zbudowany na przekątnej innego kwadratu, będzie wdwójnasób większy, czyli, co na jedno wychodzi, równać się będzie sumie obu kwadratów, zbudowanych na dwóch jego bokach. Pitagoras wziął zamiast kwadratu prostokąt, poprowadził przekątną, zbudował po kwadracie na niej i na dwóch nierównych jego bokach—zjawisko to samo: kwadrat przekątnej okazał się równy sumie kwadratów, zbudowanych na dwóch przyległych jego bokach. Albo, co na jedno wychodzi: w trójkącie prostokątnym kwadrat zbudowany na linji ukośnej („przeciwprostokątnej") równa się sumie obu kwadratów, zbudowanych na obu pozostałych jego linjach („przyprostokątnych"). Teraz można było nietylko podwoić

kwadrat, ale i potroić, zwiększyć w czwórnasób i t. d. Podstawowe zadanie pomiaru płaszczyzn było rozwiązane.

Dzisiaj każdy gimnazista uczy się «twierdzenia Pitagorasa», niekiedy z urazą lub szyderstwem, nie podejrzewając, ile trudu kosztowało jego odkrycie i jakim stało się ono kluczem przy rozwiązywaniu dalszych zadań geometrji. Pitagoras wszakże niezmiernie odkryciem swojem się ucieszył... Jako człowiek pobożny, przypisał swą zdobycz łasce bogów: następnego dnia stado krów, owiec, kóz, ogółem sto głów, pognano do miejscowej świątyni Hery, opiekunki Samosu, aby złożyć dzięki za łaskę, wyświadczoną Pitagorasowi. Była to «hekatomba», hołd, złożony bogini, i uczta dla ludu.

Pitagoras, uskrzydlony powodzeniem, przeniósł dociekania swe w inną dziedzinę. Grecy, jak i my, posługiwali się gamą siedmiotonową «diatoniczną»; i, oczywiście, wiedzieli wszyscy, że, im cieńsza, im krótsza lub bardziej napięta bywała struna, tem wyższy bywał dźwięk, jaki wydawała. W praktyce, przy danej długości i grubości struny, zmieniano jej napięcie, «nastrajając» ją: robiono to, powodując się słuchem. Pithagoras i tutaj chciał osiągnąć dokładność. Wziął jedną strunę („monochord"), przywiesił do niej ciężar, określając w ten sposób jej napięcie, i za pomocą ruchomego mostku starał się określić, jaka powinna być stosunkowa długość struny, ażeby wydawała pewien określony dźwięk. Dajmy na to, że przy danej długości wydaje ona dźwięk, który obecnie nazywamy do; ile razy wypadnie ją podłużyć, ażeby otrzymać następne, wyższe do („oktawę")? Okazało się, że dwa razy. Zasadniczy tedy dźwięk ma się do oktawy jak 1 : 2. A dla dźwięku sol (kwinty)? Półtora raza; zasadniczy więc dźwięk ma się do kwinty jak 2 : 3. Dla fa (kwarty) otrzymano 3 : 4; dla mi (tercji) — 4 : 5; dla la (seksty) — 3 : 5; dla re (sekundy) — 8 : 9; dla si (septymy) — 8 : 15. Tu ujawniła się współmierność zupełna: rozmaite tony sprowadzają się do stosunków liczb prostych. I im prostsze one bywają, tem harmonja jest pełniejsza; akordy najharmonijniejsze są to oktawa, kwarta

i kwinta, t. j. te, które określane są przez pierwsze liczby — 1, 2, 3, 4. Są to więc liczby święte. Ich suma stanowi — dziesięć; a więc dziesięć jest to liczba „najdoskonalsza".

Nowe to odkrycie ostatecznie upoiło szczęśliwego badacza. Dźwięki — to tylko początek; wszystkie różnice w świecie dadzą się sprowadzić do stosunków liczbowych; wszystkie odmiany jakościowe do różnic ilościowych. Teraz i to zagadnienie, nad którem biedzili się mędrcy Miletu, wydało mu się rozstrzygnięte. Tamci szukali żywego boskiego prażywiołu? Daremna praca; siła polega nie na żywiole. W podstawie budowy świata tkwią liczby; liczby święte i boskie. Jeżeli pominiemy ten ostatni zapęd uniesienia, to czy możemy orzec, że Pitagoras się mylił? Czyż nie to samo nam mówi i nasza nowoczesna chemja?

Ale Pitagoras dał się unosić marzeniom, i nawet bardzo. Zagadnienie budowy świata kazało mu obrócić wzrok ku sklepieniu niebios; tam wśród gwiazd nieruchomych szybują planety, których starożytność liczyła siedem, widzialnych i dla gołego oka: księżyc, Wenus, Merkurjusz, słońce, Mars, Jowisz i Saturn. Siedem — tyleż, ile jest tonów w gamie! I rzecz prosta, i stosunki między niemi i stosunki ich do ziemi muszą być takie same. Każda z nich porusza się, jak kula, przytwierdzona do swej przezroczystej „sfery", ten zaś ruch wydaje dźwięk; my dźwięku tego nie słyszymy, gdyż przywykliśmy do niego, ale dźwięk ten istnieje, i wszystkie razem tworzą one «harmonję sfer». Cały gmach wszechświata — to jedna olbrzymia lira.

Coraz bardziej, coraz wyżej unosiło marzenie mędrca z Samosu. Siedem planet — siedem tonów; przypuśćmy. Ale przecież istnieje i oktawa, dźwięk ósmy; tak, i istnieje sklepienie niebieskie, także poruszające się wraz z przytwierdzonemi doń gwiazdkami: jest to właśnie sfera ósma („ogdoada"). Dziewiąta — to ziemia; brak jednej jeszcze dla dopełnienia liczby „doskonałej". Tak, ale przecież ziemia się nie porusza. — A skąd o tem wiedzieć możemy? —

A może ziemia także się porusza? Jeśli ma ona kształt kulisty, jak wszystkie planety, obraca się wokół środkowego „ogniska", z drugiej zaś strony tego „ogniska" obraca się dziesiąta „przeciwziemia", której nie widzimy tylko dlatego, że stale znajduje się po tamtej stronie „ogniska".—Ziemia jest kulista! Ziemia się porusza! Po raz pierwszy błysnęły w głowie człowieka te śmiałe myśli. Oto ku jakim objawieniom pchnęły mędrca z Samosu nawet jego fantastyczne zapędy!

Wszelako dociekania badawcze stanowiły jedną tylko stronę działalności Pitagorasa na Samosie; stroną drugą było jego życie święte, połączenie szczerej pobożności z krańcową surowością wobec siebie samego. Do tego dodać należy jego wyjątkową władzę nad ludźmi, którą osiągał nie argumentacją słowną albo wmawianiem—był bardzo małomówny—,lecz tonem głosu, spojrzeniem, wyrazem twarzy. Wszyscy ulegali mu mimowoli; wydawało się, że niepodobieństwem jest sprzeciwiać się temu, co wyrzekł. Nic dziwnego przeto, że obywatele Samosu chętnie powierzali mu mandat posła do innych narodów. Sława jego w ten sposób szerzyła się wszędy po całej Helladzie i po krajach barbarzyńskich.

I oto, razu pewnego, przybyli doń obywatele miasta Krotonu. Była to kolonja achajska w południowej Italji, sąsiadująca z potężnym naówczas Sybarysem. To właśnie sąsiedztwo stało się dla Krotonu rzeczą fatalną: Sybaryci, silni i możni, rozgromili Krotończyków i odebrali im pokaźną część posiadłości. Porażka, jak zazwyczaj, pociągnęła za sobą waśni wewnętrzne; nad miastem zawisło widmo zguby. Wiedząc o rozumie i świętości Pitagorasa, Krotończycy zgłosili się doń z prośbą, aby przyszedł, objął nad nimi rządy i wprowadził na drogę ratunku. Pitagoras się zgodził. Zgromadziwszy Krotończyków, skłonił ich przedewszystkiem do zbudowania świątyni ku czci Muz, opiekunek harmonji i zgody między ludźmi, a także do wyznaczenia w życiu swem jak najszerszego pola muzyce, jako lekowi na gniew, po-

sępność i strach oraz inne złe namiętności. Następnie jął zapoznawać się ze składem ludności i jego życiem religijnem, aby przekonać się, gdzie szukać należy właściwej dźwigni uzdrowienia miasta.

I tu zwrócił uwagę na licznych w Krotonie, jak wogóle na Zachodzie greckim, wyznawców pradawnego proroka Orfeusza. Łączyła ich wiedza tajemna, polegająca głównie na wierze w wędrówkę dusz. Po śmierci—powiadali—człowiek staje przed sądem zagrobowym, i dalszy los jego zależy od wyroku tego sądu. Niepoprawni grzesznicy idą do piekła, zdolni do poprawy — do czyśćca, sprawiedliwi—do raju. Męki piekielne trwają wiecznie, ale w czyśćcu i w raju dusze pozostają tylko czasowo, poczem znów wcielają się, nietylko w postaci ludzkie, ale i w zwierzęce; następnie, po nowej śmierci znów stają przed sądem, i tak dalej. Ów męczeński krąg zgonów i narodzin będzie bezkreśny, jeżeli człowiek nie zwróci się do tego życia, które jedynie może go zbawić i obdarzyć wieczną szczęśliwością. Jest to, mianowicie, «życie orfickie». Jego prorok Orfeusz nauczył swoich wiernych: kto pełnić będzie jego przykazania, ten „ocali się od kręgu i ujdzie niedoli".

Pitagoras z zapałem jął zgłębiać tę naukę orficką: zawierała ona w sobie to właśnie, co podobało mu się u kapłanów egipskich, ale bez potworności tamtejszych. Rozmyślał wszelako nietylko o życiu zagrobowem. Koła «orfików» były luźnemi związkami wierzących bez organizacji, bez spójni między sobą. Pitagoras zjednoczył je i skupił w jednym «zakonie pitagorejskim». Na czele postawił wszędzie możnowładztwo—czasy były arystokratyczne, i sam Apollo sprzyjał tej postaci rządów.

W obrębie każdego kółka wprowadził staranne wychowywanie młodzieży w duchu swej nauki — matematycznej, kosmologicznej i muzykalnej—i przytem młodzieży nietylko męskiej, ale i żeńskiej. Nie zapominano i o fizycznej stronie wychowania, lecz najważniejszą rzeczą była surowość życia. Przez całe życie człowiek obowiązany był powstrzymywać się od spożywania mięsa—

i rzeczywiście, skoro wierzono w przewcielanie się duszy w zwierzęta, spożywanie mięsa rzeźnego równoznaczne było z ludożerstwem. Wstępujący do zakonu musiał czasowo złożyć śluby milczenia — było to próbą. Wszyscy zaś poczuwali się do obowiązku miłości bliźniego: a więc do czci wobec rodziców, koleżeństwa wobec żony, opieki ojcowskiej wobec dzieci, braterstwa wobec każdego. Z przyjaciółmi zobowiązywano się postępować tak, jakgdyby przyjaźń trwać miała wiecznie; z nieprzyjaciółmi tak, jakgdyby ci mieli jutro pojednać się z nami. Wogóle, w kołach pitagorejczyków rozkwitła przyjaźń serdeczna i ofiarna.

Dobre ziarno wydało dobry plon: Kroton zasłynął wkrótce śród Greków swem zdrowiem fizycznem i moralnem; powstało żartobliwe przysłowie: „zdrowszy od Krotonu i dyni". Bogaty, natomiast, Sybarys, im dalej, tem głębiej tonął w zbytku i rozpuście, tak, że samo imię «sybaryty» stało się w Grecji, jak i po dzień dzisiejszy, przydomkiem człowieka zniewieściałego w wygodnictwie. I, jak bywa zazwyczaj, rozwiązłość wyrodziła się w pychę i zadzierzystość. Sybaryci znów wdali się w wojnę z Krotonem, ale tym razem wynik jej był inny: Kroton ostatecznie rozgromił niespokojnego i zarozumiałego sąsiada. Pitagoras był nieubłagany wobec zarazy rozwiązłości moralnej: poczytując Sybarys za «niepoprawnego grzesznika», kazał zburzyć go do gruntu i rozprowadzić wody miejscowej rzeki Kratysu na jego gruzach (510 r.).

Czy nie przekroczył w ten sposób miary odwetu, dozwolonej człowiekowi? W każdym razie, wkrótce po tem zdarzeniu, wszczął się w Krotonie ferment przeciwko Pitagorasowi i jego zwolennikom. Już wyżej nadmieniono, że pełnię władzy przekazał on możnowładztwu; a tymczasem pod schyłek wieku VI wszędzie wzmogły się prądy demokratyczne, i w Grecji właściwej i w kolonjach. Póki sam Pitagoras pozostawał w Krotonie, wrogowie jego bali się jakichkolwiek wystąpień. Atoli razu pewnego wypadło mu w sprawach państwo-

wych udać się do nadmorskiego miasta Metapontu. Wrogowie jego postanowili skorzystać ze sposobności: upatrzywszy chwilę, w której główni z pośród pitagorejczyków naradzali się w domu jednego z członków swego koła, podkradli się cicho pod ściany i podpalili dom ze wszystkich czterech stron odrazu. Wszyscy zginęli w płomieniach, oprócz dwóch młodych, którym udało się zbiec. Pitagoras dowiedział się, że dzieło jego życia w Krotonie zniweczono; postanowił pozostać w Metaponcie, gdzie niebawem umarł w latach bardzo podeszłych. Wszelako, nauka jego nie zaginęła. Pitagoreizm odrodził się w Tarencie, najważniejszem, po zburzeniu Sybarysu, mieście greckiej Italji, i tu z nim jeszcze się spotkamy.

21. ŚWIĘTA DIONIZA.

Cała przyroda jest pełna cudów. Cudowny jest rozwój źdźbła w ziarnie, posianem w rolę; cudowne jest wyrastanie pędu zpoza liścia zielonej łozy; cudowne jest kwitnienie i dojrzewanie owocu. Gdy jednak dla wszelkich roślin szereg cudów zamyka się dojrzałością owocu, krzew winny ma swój nowy, najwyższy cud dopiero przed sobą. Z gron bursztynowych lub ciemnoczerwonych wytłaczamy sok mętny i słodki, wlewamy go do beczki, zakopujemy beczkę w ziemi—tam, niby w grobie, pozostaje on przez zimę. I w tym czasie, gdy drzemie w łonie Matki-Ziemi, dzieje się z nim cud nowy, zwany fermentowaniem. Budzą się jakieś siły tajemnicze, burzą się i kłębią; długo toczy się ich walka, lecz oto, nakoniec ustaje. Znów cisza, spokój, jasność. Wydobywamy z ziemi beczkę, zakopaną w jesieni, jakże odmieniła się jej zawartość. Była mętna, a teraz jest przezroczysta; była słodka, a stała się ognista i iskrząca. Próbujemy napoju: jakiś ogień płynny wlewa się w nasze żyły. Pierwszy puhar nie szkodzi, a nawet drugi i trzeci. Ale biada temu, kto dotknie czwartego! Puhar czwarty jest puharem krzywdy!

Tak, oczywiście: przyroda pełna jest cudów. Gdzie zaś jest cud, tam jest i bóg. Cud wina starożytni przypisywali swemu Dionizowi — temu, który narodził się z królewny tebańskiej Semeli; temu, który przyjął od Tezeusza uwieńczoną przezeń królewnę kreteńska Arjadnę i, obdarzywszy ją nieśmiertelnością, uczynił swoją boską małżonką. Szereg uroczystości, ciągnących się przez całą zimę, poświęcono w Atenach temu właśnie bogu.

Nasamprzód przypadało święto ofiarowania winorośli: ponieważ obciążona gronami gałązka nazywała się po grecku «oschos», więc i całemu świętu nadano imię «oschoforjów». Obchodzono je po winobraniu, wedle naszego kalendarza — w pierwszych dniach października. Winorośl była darem Dioniza dla Aten — czyli, co na jedno wychodzi, dla bogini, orędowniczki tego miasta, Pallady-Ateny: wypadało więc dostarczyć szczególniej pięknych i ciężkich gałązek ze świątyni Dioniza w Atenach do świątyni Pallady w starej przystani ateńskiej, Faleronie. Odległość była dość znaczna — około ośmiu naszych kilometrów. Na «oschoforów» czyli tych, którzy nieśli kiści winogron, wybierano pięknych chłopców z dobrych rodzin, których oboje rodzice byli jeszcze przy życiu — tego ostatniego warunku przestrzegano w imię szczęśliwej wróżby. Wyznaczano po dwóch chłopców z każdej «fili» t. j. z każdego pokolenia. Ponieważ takich pokoleń, na które dzieliła się obywatelska ludność Aten, było z czasem dziesięć, przeto wszystkich oschoforów bywało dwudziestu. Wszelako Grecy kochali się w zawodach i zwycięstwach: obaj chłopcy, do tej samej należący fili, współzawodniczyli ze sobą o to, kto szybciej kiść swoją doniesie. Zwycięzców—było ich, jak widać, dziesięciu—czekała w Faleronie nagroda: witały ich czcigodne staruszki, „szafarki obiadów" i podawały im, przedewszystkiem, napój odświeżający... Spytacie jaki? Nam, zapewne, nie przypadłby do smaku, w skład jego wchodziły: wino, miód, ser, prócz tego jeszcze nieco mąki i oliwy. Ale i smak także odmienia się z biegiem stuleci, i w owe czasy ten trunek «pięcioraki»— tak nazywany z uwagi na jego skład —

smakował przednio... zwłaszcza tym, którzy pili go, przewędrowawszy i niemal przebiegłszy osiem kilometrów, dzielących Ateny od Faleronu. Ale był to dopiero początek: po uśmierzeniu pragnienia następowała uczta, a potem odpoczynek. Odpoczynek, atoli, nie próżniaczy; te same staruszki, które szczęśliwych zwycięzców ugościły obiadem, bawiły ich potem bajkami... Spytacie jakiemi? Ależ takiemi samemi, jak i nasze: o babie-jadze (po grecku: o Lamji), o smokach, o śmiałych witeziach i pięknych królewnach. Ale opowiadały one także i o tem, jak królewicz ateński Tezeusz z pomocą królewny kreteńskiej Arjadny ocalił dwakroć siedem pacholąt i dziewcząt, wysłanych na pożarcie potwornemu Minotaurowi; jak Arjadnę wziął odeń Dionizos, jak wszyscy oni szczęśliwie wrócili do Faleronu, jak ich radośnie tam witano, i jak radość owa była zmroczona śmiercią starego króla Egeusza, który przez nieporozumienie uznał syna swego za straconego.

I otóż, młodzieńcy wypoczęli: teraz muszą powracać.—Tak, ale nie tak poprostu, krok za krokiem. Teraz po zwycięstwie, po posiłku i bajkach, sami oni czują się owemi pacholętami, które ongi były ocalone. W takiem samopoczuciu kroczą oni ku miastu. Na ich czele herold z wieńcem, za nim dwaj chłopcy z kiśćmi winogron, przyczem jeden przebrany za dziewczynę — to Dionizos i Arjadna; pozostaje siedmiu—tylu właśnie być powinno: owych młodzieńców ocalonych także było siedmiu. Radość, pieśni, tańce. Chwałą rozbrzmiewa imię Dioniza, Arjadny, Tezeusza—ale słyszeć się dają też i głosy żałoby, tony płaczu po zgonie posępnym starego króla Egeusza. Cieszą się młodzieńcy, cieszą się obywatele i obywatelki, spotykając ich na progu swych domostw: im także miło jest wspomnieć o Tezeuszu, o Arjadnie i o cudownem ocaleniu pięknej młodzi ateńskiej.

Ukończywszy winobranie, należało z jagód winnych wycisnąć, „wytoczyć" za pomocą „tłoczni" (lênos) ich sok i zakopać go w ziemi. „Święto tłoczni" (Lenaje) było przeto drugiem w szeregu świąt Dioniza; miało to wszakże swe strony niedogodne. Święta tego nie można obcho-

dzić zbyt prędko po oschoforjach, później zaś, w listopadzie, pogoda bywała słotna. Przeniesiono tedy to święto na jasne dni stycznia, i z drugiego stało się ono trzeciem; drugie zaś miejsce w szeregu zajęło święto grudniowe, t. zw. „Dionizje Wiejskie".

Sok winny o tej porze nie zdążył jeszcze sfermentować: w beczkach, spoczywających w ziemi, mieściło się przeto nie wino, lecz moszcz winny, słodki, musujący i zlekka jedynie upojny. Dobywano go i w takiej postaci pito, ale po wsiach, upatrzywszy dzień pomyślny, nie ryzykując niepewnej podróży do miasta. Raczenie się moszczem szło w parze z wesołemi igrzyskami, właściwemi wiejskiemu otoczeniu... Szczególnem uznaniem cieszyły się zawody z miechem winnym... Była to skóra koźla, ale szerścią obrócona nawewnątrz; jej stronę zewnętrzną i bez tego gładką, jeszcze smarowano oliwą, nadymano powietrzem i kładziono na ziemi. Zawodnik obowiązany był rozzuć się i jedną nogą skoczyć na śliski wór skórzany; przeważnie nie udawało mu się na nim utrzymać, i padał śród głośnego śmiechu widzów. Temu zaś, kto skacząc na jednej nodze, dłużej od innych zdołał utrzymać się na miechu, otrzymywał jako zwycięzca, w nagrodę, sam ów miech, nie wydęty oczywiście powietrzem, ale napełniony słodkim moszczem.

Tak bawili się mężczyźni — i parobcy i chłopi. Inne, lecz nie mniej szumne były zabawy dziewcząt. Zgromadziwszy się w pobliskim gaju, urządzały one huśtawki i dla swych lalek i, prawdopodobnie, dla siebie. W obyczaju tym pielęgnowano pamięć o pierwszym wytwórcy wina Ikarjuszu i córce jego Erigonie. Ikarjusz od samego Dioniza nauczył się sztuki robienia wina z soku winnego; pragnąc podzielić się nowym wynalazkiem z włościanami innych wsi, wziął z sobą miech tęgiego napoju i zaczął ich ugaszczać. Jednakowoż pierwsi jego towarzysze nie zdołali zachować miary: sięgnęli po czarę Krzywdy—głowa się zmąciła, nogi się pod nimi podcięły, wydało się im, że zostali otruci, i zabili Ikarjusza. Czekała Erigona dzień, czekała drugi — i wreszcie poszła

szukać swego ojca, wziąwszy ze sobą wierną sukę Merę. Błądziła, błądziła—i nakoniec odnalazła nie ojca, ale jego grób. Z rozpaczy na grobie tym się powiesiła. Ale Dionizos nie pozostawił bez kary rozpaczy za swoim wybrańcem: za przykładem Erigony, dziewczęta tej wsi, gdzie zabito jej ojca, ogarnęła jakaś zaraza samobójstwa, sprawiająca, że jęły wieszać się jedna po drugiej. Przerażeni włościjanie zwrócili się do wyroczni i za jej wskazaniem urządzili święto Dionizjów Wiejskich, z jego igrzyskami i huśtawkami. Jak ongi z urazą zbrodniczą w duszy padali upici włościanie, tak samo teraz, lecz bez szkody, padają niefortunni zawodnicy z oślizgłego miechu; jak ongi w pętlicy śmiercionośnej kołysała się nieszczęsna Erygona, tak samo teraz, lecz bez szkody, kołyszą jej równolatki swe lalki i siebie. Przytem śpiewają też pieśni — „pieśni błądzenia"—na pamiątkę tejże Erigony i jej daremnych, dręczących poszukiwań.

W styczniu pogoda się wyjaśnia; nastają ciche dni „alcjońskie", kiedy bóg morza Posydon uspokaja fale, aby swej ulubionej ptaszynie alcjonie (zimorodkowi) dać możność wylężenia piskląt w jej pływającem gnieździe. Na te właśnie dni słoneczne przeniesiono święto Lenajów, które w ten sposób, jak widzieliśmy, z drugiego stało się trzeciem w szeregu świąt dionizyjskich. Zaczynało się to święto wieczorem. Starszy kapłan wznosił do góry swą płonącą pochodnię,—na znak ten zgromadzony lud intonował pieśń, wzywając Dioniza, syna Semeli, dawcy bogactw. Niedarmo nazywano go w tej pieśni synem Semeli; wierzono, że wyrósłszy udał się do królestwa cieniów po duszę matki, od pioruna Zeusowego spalonej niegdyś na zamku tebańskim, i poniósł ją w niebiosa. Wzniesionej w niebo Semeli poświęcona była właśnie uroczystość Lenajów.

Uroczystość główna wypełniała dni następne. Ze wsi zjeżdżali się miejscowi bałaguli; z wozów swych, poprzebierani, śpiewali żartobliwe pieśni o tych, z którymi mieli na pieńku; tworzono pochód ze zwierzęty, przeznaczonemi na ofiarę, poczem, po zabiciu ofiar, palono części

wybrane na chwałę bogów, resztą zaś mięsa ugaszczano biedotę miejską. Następnie inscenizowano śpiew hymnów, tragedje tudzież komedje. Ponieważ jednak w dziedzinie tej Lenaje były potem zaćmione przez Wielkie Dionizje, przeto tutaj o inscenizacjach tych mówić nie będziemy.

Jeszcze bardziej malownicze w swej obrzędowości było święto lutowe, prarodzic naszych zapustów, Antesterje, jak je nazywano, czyli „święto kwiatów". W lutym, na południu, ziemia pokrywa się kwiatami — traw ani liści jeszcze nie widać, wiosna bywa tam błękitna i czerwona, nie zaś zielona. W owe to dni ziemia się otwiera: wydaje na świat kwiaty z pod powierzchni, ale wysyła także i dusze umarłych, pozwalając im niewidzialnie bujać w powietrzu i odwiedzać swe dawne domostwa. Bywało i wesoło i trwożnie: świątynie zamykano, gdyż sądzono, że zbłąkana dusza mogła była je zbezcześcić, — życie ludu kipiało na placach, ale przeważnie po domach.

Wszelako, oprócz kwiatów wiosennych i dusz umarłych, jeszcze rzecz jedna wyzwalała się ze snu zimowego w dniach Antesterjów: było to młode wino. Teraz, sfermentowawszy ostatecznie, naprawdę było już winem. Wydobywano je z pod ziemi, otwierano beczki — stąd to pierwszy dzień trzydniowego święta nazywano „otwarciem beczek". I każdy częstował swych domowników, żywych i umarłych. Wieczorem zaś osobny odbywał się obrzęd, wysoce znamienny. Jak ongi Arjadnę wziął od Tezeusza, króla Aten, bóg Dionizos i poślubił ją, tak teraz rokrocznie święcono wesele żony archonta-króla z tymże Dionizem. Otoczona świtą kobiet „czcigodnych" udaje się ona do osobnego gmachu, gdzie oczekiwał na nią prastary posąg łaskawego boga. „Czcigodne" zostawały nazewnątrz i sławiły nowożeńców pieśnią weselną. Następnego dnia wożono oboje po ulicach Aten z towarzyszeniem wesołego tłumu, przebranego za satyrów, bachantki, nimfy i t. d. Posąg boga potem znów powracał do świątyni. Wierzono, że teraz, spokrewniwszy się z narodem ateńskim przez jego królowę, będzie mu sprzyjał w dwójnasób.

Lecz ten dzień drugi nazywał się „świętem kielichów", i oto dlaczego. Mężczyźni zbierali się przy ogólnych stołach, aby zabawić się, robiąc ucztę składkową: każdy zasiadał z własnym kielichem, pełnym wina. Na znak, dany przez herolda, zaczynano pić: kto pierwszy kielich wypróżnił, ten w nagrodę otrzymywał wór wina, tak samo jak podczas Dionizjów Wiejskich. Powagi w obrzędzie tym było niewiele, ale uciechy dużo.

Wreszcie, słońce chyliło się do zachodu; święto kielichów dobiegało kresu; biesiadnicy zdejmowali swe wieńce, ozdabiali niemi kielichy i dawali je kapłance, sami zaś rozchodzili się do domów. Nadciągał trzeci dzień Antesterjów, pełen zadumy i żałoby — „święto garnków" — jak go nazywano, gdyż w garnkach stawiano posiłek dla umarłych. Do umarłych dzień ten należał w całości aż po zachód słońca. Wraz z zachodem umarli wracać musieli do podziemnych siedzib. Aby zaś o tej powinności powrotu nie zapomnieli, następowało istne rozpędzanie dusz. Biegano po domach oraz ulicach z krzykiem: „Precz za drzwi, dusze! Już po Antesteryach!" I oto żywi znów zostawali między sobą; umarli otrzymywali swoją dań czci — i nie będą już niepokoili nikogo.

Takie było owo święto lutowe. Ale jak już nadmieniono wyżej, i to i wszystkie pozostałe zaćmiła blaskiem uroczystość marcowa Wielkich Dionizjów, trwająca cały tydzień — od pierwszej kwadry do pełni księżyca. Coprawda, blask ów rozpłonął już w czasach nieco późniejszych — w wieku V —, gdy Ateny stały na czele związku morskiego. Niedarmo uroczystość ta zbiegała się z początkiem żeglugi: sojusznicy ateńscy przybywali do stolicy z ratami, należnemi skarbowi związkowemu — wypadało tedy pokazać im gród Pallady w całym jego uroku.

Rankiem dnia pierwszego obywatele gromadzili się przed starożytną świątynią Dioniza, stojącą obok teatru, pod południowym stokiem Akropolu. Należy przenieść posąg ulubionego boga ze świątyni do teatru — odległość była nieduża, ale właśnie dlatego wskazana była uprze-

dnia, dłuższa wycieczka z Aten do Akademji, ażeby bóg spędził tam dzień cały i potem dopiero wrócił do miasta i zajął miejsce w swym teatrze. Akademja — był to gaj «herosa» Akademosa w odległości mniej-więcej półtora kilometra od granicy miejskiej, którą taka sama w przybliżeniu odległość dzieliła od świątyni i teatru Dionisza.

I oto zgromadzili się wszyscy: kapłani, władze, obywatele, obywatelki; zaczyna się procesja. Powszechną uwagę skupia na sobie śliczna i strojna grupa: są to chłopcy, synowie obywatelscy, główne postaci, działające w uroczystości dzisiejszej; jeszcze śliczniejsza dla oka jest druga grupa — dziewczęta — „nosicielki koszów" — złote koszyczki dźwigające na głowie. Na samym przedzie kroczą młodzieńcy, niosąc prastary drewniany posąg Dionisza. Procesja sunie przez najpiękniejsze ulice miasta, śród kolumn i pomników, przystając w świątyni i ołtarzy bogów rodzimych, aby i ich uczcić także pieśnią i tańcem; oto procesja jest już pod bramą, dalej wiedzie droga przedmiejska, pylna i skwarna, dopóki świeży wietrzyk nie oznajmi celu procesji — zielonego gaju Akademji.

Posąg Dionisza stawiano przed ołtarzem; zaczyna się nabożeństwo. Grupami, każda pod przewodnictwem swego wychowawcy, podchodzą pacholęta ku swemu bogu i śpiewają pieśni na jego chwałę. Obywatele i obywatelki patrzą i słuchają — wszak to są ich synowie, duma i nadzieja przyszłych Aten. Przez cały dzień rozbrzmiewają pieśni; potem wypada orzec, który chór najpiękniejszy i najgodniej wyśpiewał chwałę wielbionego boga. Wyróżnionemu chórowi oraz jego mistrzowi przysądzano nagrodę zwycięstwa.

Słońce zaszło, rozpłonął księżyc, młody lecz już promienny; czas powracać. Teraz już surowy porządek nie obowiązuje; ludzie idą grupami, ale tak, jak komu przyjemniej. Rozbłyskują pochodnie, aby wespół z księżycem rozproszyć mrok nocy wiosennej; przy ich blaskach występują młodzi w przebraniach — satyry, bachantki; żarty, śmiech, zabawa. Bogaci obywatele zawczasu zarządzili,

aby przed ich domami nasypano posłanie z liści bluszczowych; tu odbywały się poczęstunki; częstowano się, rzecz jasna, winem, darem Dioniza... Do świtu niemal trwała zabawa: była to noc Dionizjów, najweselsza z pośród nocy ateńskich.

Dzień następny gromadzi wyznawców Dioniza w jego teatrze u stoków Akropolu. widzowie siedzą na stopniach, półkolem ogarniających «orchestrę», na której toczy się akcja przed namiotem, w którym przebierają się aktorzy. Obywatele zebrali się, aby patrzeć — ale na co? Po takiej nocy szalonej tragedja była widowiskiem zbyt poważnem; nie—pierwszy dzień przeznaczano na komedje. Grano ich trzy, jedna po drugiej. Poeta, którego sztuka podobała się najwięcej, otrzymywał nagrodę. Jakiego rodzaju były te komedje, jak dalece do naszej niepodobne— opowiemy w innym rozdziale. Tu wystarczy stwierdzić, że śmiechu było moc, i że widzowie w wyśmienitem usposobieniu rozchodzili się do domów, aby wyspać się dobrze i ze świeżemi siłami stawić się na zawody tragiczne dni następnych.

Teraz żarty odkładano na stronę — nastrój był bardzo poważny. Znów przed widzami występowali trzej poeci, lecz każdy wystawiał po trzy tragedje i dopiero na zakończenie po wesołej sztuce z chórem satyrów. Każdemu poecie wyznaczano po jednym dniu: przedstawienie trwało od rana do wieczora. Jakie to bywały tragedje i „dramaty satyrowe", to również opowiemy w innych rozdziałach; najlepsi wszakże ludzie Aten w przedstawieniach tych widzieli prawdziwą szkołę dla ludu. Późniejsze wieki jeszcze bardziej doniosłość ich rozszerzyły: dramat ateński stał się mistrzem naszego, który zrodził się i wyrósł, mając jego przykład przed sobą.

Teraz dawno już umilkł ostatni odgłos dionizyjskich igrzysk; w gruzach legła świątynia łaskawego boga; znikł jego posąg, wielbiony niegdyś pieśniami pacholąt przed ołtarzem Akademji. Ale dramat dionizyjski jest nieśmiertelny. Żyje on po dzień dzisiejszy; żyje nietylko w owych nielicznych wzorach, które ocalały po dwudziestu zgórą

wiekach; żyje i w naszym dramacie, swoim dziedzicu i następcy. I jeżeli z przyjemnością bywacie w teatrze, albo u siebie w domu rozczytujecie się w komedjach Moljera lub Fredry, w tragedjach Szekspira, Słowackiego i Wyspiańskiego — nie zapominajcie, że nie byłoby skarbów tych, gdyby pod jasnem niebem Aten nie wykwitły pierwowzory tych dramatów podczas radosnych świąt Dioniza.

22. WŁADCZYNI ATEN.

Zeusa swego Hellenowie uważali za boga nie jednego tylko miasta i nie jednego tylko kraju, ale całego świata, za „ojca bogów i ludzi", jak nazywa go jeszcze Homer. Mniemali oni, że i pozostałych bogów, jakkolwiek i pod innemi imionami, czczą oprócz Hellenów, i inne narody. Z mniemaniem takiem, jednakże, szło w parze i to, wedle którego ten lub ów bóg Olimpu greckiego otrzymywał w udziale to lub owo greckie miasto i przewodniczył mu, wyróżniając je z pośród innych; w wyróżnieniu takiem niema krzywdy dla innych, gdyż ojciec Zeus króluje przecież nad wszystkimi i sądzi wszystkich sprawiedliwie. Tak więc Argos był pod opieką Hery, Sparta — obu Dioskurów, t. j. Kastora i Polideuka, Syrakuzy—Persefony królowej podziemi i t. d. Co do Aten, to ongi posprzeczały się o nie dwa bóstwa: Posydon i Atena; sędziami mieli być sami mieszkańcy kraju. I oto, Posydon, jawiąc swą potęgę, uderzeniem trójzębu otworzył na skale Akropolu zdrój wody morskiej; Atena zaś stworzyła tam pierwszą oliwkę. Sędziowie stanowiąc, że bóg objawia się raczej w łasce, niż w mocy, przyznali zwycięstwo Atenie. Od owego to czasu miasto nosi jej imię. Oba zaś znaki potęgi boskiej, zdrój morski Posydona i świętą oliwkę Pallady, do czasów najpóźniejszych pokazywano w zbudowanym na miejscu podwójnego cudu „domu Erechteusza".

I od owych to czasów Atena słynie jako władczyni miasta, któremu dała swe imię. Już to widzieliśmy:

jej orędownictwo, powiada Solon, wybawiało i wybawiać będzie Ateny od gniewu pozostałych bogów; ona to, mówi wyrocznia delficka, wybłagała u swego ojca „osłonę ściany drewnianej" w godzinie wrażego najazdu. Za to właśnie czcili ją obywatele przy każdej sposobności. „Ściśnijcie szeregi, towarzysze!" — wołał wódz do żołnierzy w ogniu bitwy—„inaczej—zginie dzieło Pallady!" i żołnierze trwali na stanowisku, natchnieni świętem jej imieniem; zato, po przejściu niebezpieczeństwa, gdy spotykali się razem z puharem wina podczas wesołej uczty, pierwsza pieśń biesiadna ku jej rozbrzmiewała chwale:

Bitew gwarnych królowo, chroń, Ateno,
gród i lud ten, szczęśliwe ześlij lata;
Bratobójczych walk, cierpień i klęsk
w nasz nie dopuszczaj dom — ty i twój rodzic Zeus.

Ateńczyk czuł stale pobliże swej dziewiczej patronki; ale najsilniej w to święto letnie, które ku czci jej było ustanowione. Nazywało się — P a n a t e n a j e, t. j. „święto wszechateńskie". Ustanowione było zdawiendawna. Szczególnym wszakże przepychem otoczył je tyran Pizystrat. Pragnąc postawić je na równi ze świętem Zeusa w Olimpji, orzekł, aby co cztery lata obchodzono je ze wzmożoną uroczystością i podczas większej liczby dni. Były to „Wielkie Panatenaje", odbywające się stale w trzecim roku każdej olimpjady. W pozostałe lata obchodzono z poprzednim prostszym ceremonjałem „Panatenaje" zwykłe czyli „Małe".

Spróbujmy i my wziąć udział w radości podnieconego tłumu, który gromadzi się 21 lipca, aby czcić swą władczynię. Powszednie troski odłożono na bok: święto obliczane jest na dziewięć dni; wszystkie myśli zmierzają ku temu, aby święto stało się godne bogini. Bezpośrednio czuwać nad tem obowiązani byli dwaj archontowie, a mianowicie eponim i król, przy udziale arcykapłana i arcykapłanki, szeregu osób specjalnie wybranych i poczęści całej rady; ale i reszta oby-

wateli pamiętała, że od nich zależy wspaniałość uroczystości.

Pierwsze trzy dni przeznaczone były na poezję i muzykę—innemi słowy, ponieważ jesteśmy w Grecji —,na zawody poetyckie i muzyczne. Kędyż odbywały się te zawody? Dla pierwszego wieku po Pizystracie odpowiedzi ścisłej dać nie możemy: od tego wszakże czasu, gdy Perikles zbudował swój dachem kryty teatr t. zw. Odeon, w sąsiedztwie teatru Dioniza, tłum świąteczny zbierał się pod stromym dachem tego teatru. I oto, tłum ów zasiada, od wczesnego rana zająwszy miejsca, i czeka na zapowiedzianą ucztę duchową. Pierwszym przedmiotem zaciekawienia bywa Homer. Ongi poematy jego śpiewali pieśniarze podczas uczty królewskiej, wtórując pieśni swej grą na strunach instrumentu; ale czas owych pieśniarzy epickich utonął w wieczności — zastąpili ich rapsodzi, którzy nie śpiewali, lecz deklamowali głośno i wyraziście. Z Homerem swoim zżyli się od najwcześniejszych lat; wiedzą, jak należy deklamować, aby słuchaczy wzruszać do łez śmiercią Hektora i rozśmieszać skarceniem zuchwałego gaduły Tersytesa. Zawczasu podzielili między sobą tekst i występują jeden po drugim, w surowym porządku, cały bowiem Homer w te dni panatenajskie musi być obywatelom oddeklamowany—tak zarządził Pizystrat. Ale Homer nie wypełniał jeszcze programu. Po części deklamacyjnej następowała ta, którą my dzisiaj nazywamy „wokalno-muzyczną": pieśni, śpiewane przy cichym wtórze strun cytary, przy wtórze rozgłośnych tonów fletu; prosta gra na cytarze, prosta gra na flecie. Jakie pieśni śpiewano? Z pewnością nie były to swawolne romanse — te wykonywano potem, przy winie, nasamprzód zaś intonowano hymny uroczyste ku czci bogów i bohaterów, i przedewszystkiem ku chwale swej patronki, wspaniałomyślnej córy władczego Zeusa.

Lecz, oto, popisy się skończyły. Zbierają się sędziowie, postanawiają, komu z rapsodów przyznać zwycięstwo, komu ze śpiewaków i muzykantów. Zwycięzca

otrzymywał nagrodę: gliniane amfory z oliwą, wyciśniętą z owoców, poświęconych Palladzie. Amfory były zdobione, miały na sobie wizerunek samej bogini oraz napis: „Ja jestem z zawodów ateńskich". Oliwę zużyje zwycięzca w swem gospodarstwie, ale amforę zachowa nietylko on sam, lecz i dzieci jego i wnuki: nie w każdym domu znajdzie się taka, co pochodzi z „zawodów ateńskich".

Przeszły trzy dni, spędzone w służbie Muzom: słońce 24 lipca wzywa uczestników i widzów do t. zw. stadjonu, gdzie odbyć się mają zawody gimnastyczne. Zawodów tych bywało dużo, ale nietylko dlatego, że wiele bywało odmian — znamy je już z opisu Olimpji. Uczestnicy dzielili się wedle wieku: dziś, 24-go będą z rana zapasy malców, popołudniu — młodzieńców; jutro kolej przyjdzie i na dorosłych. Skwar palącego słońca ciężko daje się we znaki nawet widzom: jakże dokuczać musi zawodnikom! Z ciałem niemal obnażonem, z głową odkrytą, musieli oni i ścigać się w biegu, i skakać, i walczyć, i bić się na pięści... mężczyźni, zresztą, odbywali także i bieg w ubraniu, bieg w pełnym rynsztunku, ale ten, z pewnością, nie był lżejszy od innych. Nic to! niechaj cierpią; przyjdzie czas, uderzy grom bitwy maratońskiej — i ów bieg uzbrojony, ów cud atletyki ateńskiej ocali kraj i rozsławi po wsze czasy miasto Pallady. Tymczasem zaś nęci proste, bezkrwawe, lecz upragnione zwycięstwo, i sam Pindar, piewca zwycięstwa, opromieni w pieśni swej sławę owego syna Argosu, którego „Ateny w swe uroczyste święto dwakroć uczciły muzyką i śpiewem: i owoc oliwki w palonej glinie, w zdobnem naczyniu, przypadł w udziale mężnemu ludowi Hery".

W stadjonie miejsca było więcej, niż w teatrze, pod nakryciem dachu: tłum tutaj zbierał się liczniejszy. Tu przeto, po skończonych zawodach młodzieży, ogłaszano imiona tych zasłużonych obywateli, którym wdzięczna ojczyzna przysądzała w nagrodę złoty wieniec. Było to także zwycięstwo, najsławniejsze ze wszystkich i najgodniejsze zazdrości. Łacno wyobrazić sobie możemy pełne

zachwytu oklaski i okrzyki olbrzymiego tłumu, kiedy herold donośnym głosem wymieniał owych dobroczyńców swego kraju, owych Arystydesów, Peryklesów, Demostenesów, których imiona, po dzień dzisiejszy, po upływie dwóch tysięcy lat, świecą w panteonie sławy blaskiem równie promiennym, jak wówczas.

I jeszcze dwa dni spędzone pod znakiem zwycięstwa: nastał 26 lipca, a wraz z nim i dzień wyścigów konnych. Wyścigi te były bardzo urozmaicone, a zainteresowanie się niemi tak żywe, że nie zachodziła potrzeba ani podniecającej przyprawy w postaci teraźniejszego „totalizatora", ani jadu namiętności partyjnych, które oglądać będziemy w Rzymie cesarskim. Wszelako najciekawsze i najbardziej dla Panatenajów znamienne były zawody w biegu czwórek z „apobatami". Na każdy wóz wstępowali dwaj zawodnicy: woźnica i apobata. I oto, gdy konie pędziły cwałem, apobata obowiązany był zeskoczyć z wozu, i, przebiegłszy pewną odległość na równi z nim, wskoczyć nań ponownie. Sztuka powtarzała się kilka razy; za ostatnim razem apobatowie, wyrównawszy się między sobą, na wyścigi dopędzali swe wozy, dosięgające mety — w ten sposób i z ich strony ustalano zwycięzcę.

Jednakowoż, były to wszystko dotąd zawody świeckie, nie mające bezpośredniego związku z religją: lecz oto minął już dzień wyścigów konnych, nastał dzień 27 lipca, wigilja dnia świętego. Wigilja ta każe nam wprost już myślą wznieść się ku Atenie. Ona to, mocarna córa mocarnego ojca, pomogła mu pokonać bezbożnych olbrzymów, którzy pragnęli kres położyć jego świetlanemu królestwu: zmógłszy najstraszniejszego z nich, Eukelada, uświęciła zwycięstwo swe uroczystym tanem w pełnej zbroi — pirrychą, jak tak ów nazywano. Na pamiątkę tego, w wigilję jej największego święta, poświęcano jej pirrychę, lecz już nie tan jednoosobowy, ale tan chóralny. Właściwie — trójchóralny; i tu przeprowadzano podział wedle wieku, na malców, młodzieńców i dorosłych. Był to jakby rodzaj kadryla, obciążonego jednak pełnią uzbrojenia; szczególnej uwagi wymagała tarcza, którą trzy-

mać wypadało przed samą piersią. A słońce lipcowe tymczasem niemiłosiernie kąsało tanecznikow swemi gorącemi promieniami. Były to jednakże zuchy na schwał: pamiętali, że bogini patrzy na nich, jak wykonywają taniec, przez nią samą stworzony.

Ku południowi pirrycha się kończyła; spiekota stawała się nie do zniesienia: akt następny nie wymagał też już szczególnego napięcia. Z uwagi na procesję dnia następnego, wypadało wskazać najurodziwszych mężczyzn, najurodziwszych starców — tak, nawet starców. Pierwsi poprowadzą przeznaczone na ofiarę zwierzęta, których krew zbroczyć miała ołtarz bogini; drudzy, krocząc na czele procesji, poniosą gałązki oliwne, poświęcone Palladzie: tylko to, co najpiękniejsze, godne było stawienia się przed jej obliczem. Tak odbywała się owa „euandria", zawody piękności mężczyzn i starców — akt prawdziwie helleński, prawdziwie attycki.

Lecz oto słońce zaszło, księżyca nie będzie — wąziutki jego sierp ukaże się tylko na chwilę przed świtem. Nastaje noc święta, ostatnia przed dniem narodzenia bogini. W noc tę spać nie było wolno — cała zajętą była służbą bożą, ale szumną, wesołą, radosną. Pierwszym jej aktem był bieg z pochodniami. Odbywał się on w sposób następujący: Całą przestrzeń, podlegającą biegowi, dzielono na odcinki — dajmy nato, na osiem odcinków. Każdy odcinek oddzielony był przegrodą od następnego; wszystkich przegród było zatem siedem. Następnie każde z pokoleń, na które dzieliła się ludność ateńska — z czasem pokoleń tych było dziesięć — wybierało ośmiu swych najlepszych biegaczy. Zawczasu rozstawiano ich w ten sposób, aby po jednemu wypadło na każdą przegrodę, i po jednemu — w tem miejscu, z którego startowano. Ci ostatni, albo właściwie pierwsi, otrzymywali po zapalonej pochodni i stawali szeregiem, ażeby na dany znak rozpocząć bieg. W tym samym czasie lud zbierał się na płaskich dachach wzdłuż ulic, przeznaczonych na bieg, i wpijał oczy w coraz gęstszy mrok, nic nie rozróżniając, tylko dziesięć płomyków u startu. Lecz oto roz-

legał się sygnał—płomyki szybko pomknęły, jęły w długą wyciągać się linję, linja wydłużała się coraz bardziej. Zawodnicy biegną i oglądają się jednocześnie: chodzi nietylko o rączość pędu, ale także i o to, aby pochodnia nie zagasła w pędzie. Czyja pochodnia zgaśnie, ten bywa wyłączany z orszaku zawodników, i jego towarzysze z tegoż pokolenia przy siedmiu przegrodach także... Oto pierwszy dobiegł pierwszej przegrody: pochodnię swoją oddaje czekającemu nań towarzyszowi ze swego pokolenia, ten chwyta ją i pędzi dalej, do drugiej przegrody. I tak dalej, przez wszystkie osiem odcinków. Powoli liczba zawodników maleje: ten pozostał beznadziejnie w tyle, tamtemu zgasła pochodnia. Następnie pierwszy biegacz ostatniego odcinka dosięgnął mety biegu, staje przed ołtarzem Pallady. Pochodnią swą zapala ogień na ołtarzu—ogień, który płonąć będzie przez noc całą.

I przez noc całą wokół ołtarza rozbrzmiewać będą wesołe okrzyki dziewcząt, wielbiących korowodami swemi narodzenie ukochanej bogini: była to «pannichida» Pallady, t. j. «całonocne» czuwanie, czuwanie szumne i radosne, śpiewne i taneczne, pełne żartów i śmiechu. Spać się nie chciało nikomu, i spać się nie godziło. Gwar ucichał dopiero ze wschodem słońca. Obdarzmy współczuciem tych, których ogarnęło znużenie: rzecz najważniejsza dopiero nadchodzi.

Ateny opustoszały; cała ludność ruszyła na przedmieście «garncarskie», czyli t. zw. Ceramik. Na głównym jego placu szykuje się mnogogłowa procesja. Gwar unosi się nad placem, kierownicy krzątają się — dla wszystkich w żaden sposób miejsca tu nie starczy, osobne oddziały formują się na innych placach; te już podczas pochodu połączą się główną procesją. Procesją — dokąd? — Na Akropol, do starej świątyni Ateny Grodowładnej («Poliady»): dziś, w dniu jej narodzin, należy jej ofiarować nową szatę, w którą bogini, t. j. prastary, drewniany jej posąg przystrojony stać będzie przez ciąg następnego czterolecia. To—naprzód; potem złożona jej będzie w ofierze «hekatomba» krów i kóz, co stanie się zara-

zem ucztą dla obywateli; i nakoniec, musi jej być przedstawiona w ten radosny dzień cała jej gmina ateńska— i mężczyźni i kobiety wszelakiego wieku, i obywatele i osiedleńcy, i wolni i niewolnicy; i nawet barbarzyńcy, korzystający z gościny miasta i jego ładu „prawnego".

Szata—t. zw. peplos—to rzecz pierwsza; i ta rzecz pierwsza była działem kobiet. Już na rok zgóry dokonano starannego wyboru pracownic. Były to przedewszystkiem cztery «arrefory» (wyraz niezrozumiały) w wieku od lat 7 do 11; dużej pomocy te maleńkie robotnice nie wyświadczą, lecz dla sprawy będzie dobrze, jeśli nici poświęconej tkaniny przejdą przez ich niewinne rączęta, a przytem i inne zlecenia staną się ich udziałem — zlecenia dla nas niejasne, które dały powód do ich także niejasnej nazwy. Cały czas mieszkały one na Akropolu w okręgu bogini pod dozorem jej kapłanki; teraz, w swych białych szatkach i złotych naszyjnikach idą na przedzie procesji. Główną pracę przy peplosie pełniły dziewczęta i kobiety, t. zw. «ergastyny», najsprawniejsze mistrzynie Aten: niedość było utkać sam peplos; igła tkacka musiała ozdobić go złocisto-żółtemi na białem, licującemi z okolicznością, wyobrażeniami. Nasamprzód — wyobrażeniem zwycięstwa bogini nad Gigantami, nad okrutnym Eukeladem, postrachem Olimpu, następnie zaś także i podobiznami obywateli szczególniej zasłużonych, których gmina w ten sposób poruczała opiece swej patronki... Tam, na Akropolu, wykonywano tylko robotę; potem wszakże trzeba było przenieść gotowy strój do gmachu rady, ażeby ta mogła sprawdzić, że dokładnie odpowiada ona aprobowanemu przez nią rysunkowi. I oto teraz uroczyście niosą go z powrotem na Akropol i doręczą bogini, ale tak, by wszystek lud mógł się nim zachwycać. Jak to osiągnąć? Dla czasów najdawniejszych brak nam danych, lecz później obmyślono sposób następujący: zdobioną łódź stawiano na koła, i peplos — wielka czworogranna tkanina — jak żagiel zwieszał się z masztu owej łodzi.

Dzieweczki-arrefory, peplos, dziewczęta i kobiety-ergastyny — to dopiero początek. Za niemi kroczy w pro-

cesji grupa czcigodnych, szlachetnych starców; każdy z nich ma gałązkę oliwną w ręku; dalej nieprzejrzany pochód dorodnych mężczyzn, prowadzących hekatombę, krowy i owce; towarzyszą im muzykanci, grający na cytarach i fletach; zgodnie rozbrzmiewa prastary hymn do Ateny: „Pallas Atenę, świetną boginię, sławić zaczynam"... Zkolei rozlega się wesoły tętent niezliczonych kopyt: to młódź ateńska, nadzieja kraju, harcuje na ognistych rumakach. Nowy obraz: śliczny chłopiec, w długiej szacie, z gałęzią oliwną w ręku, owitą wełnianemi taśmami. Jest to t. zw. ireziona, cała obwieszona figami, bułeczkami, oliwą i winem w dzbanuszkach oraz wszelkiem innem dobrodziejstwem; wszystkie dary ziemi attyckiej musiały otrzymać błogosławieństwo władczyni. Chłopcu towarzyszą śpiewacy; słychać pieśń, tym razem żartobliwą:

Ireziona i figi i chleba niesie bochenki,
miód niesie w dzbanku i wonną oliwę, by członki namaścić,
wina też czarę tęgiego, by podpić sobie i zasnąć.

I jeszcze jeden obraz: grono panien obywatelek ze złotemi koszyczkami na głowach; co się w koszyczkach tych mieści, tego, zapewne, same one nie wiedzą; wie o tem kapłanka oraz bogini, której będą one ofiarowane. Są to „kanefory"; za każdą postępuje również przybrana strojnie dziewczyna — córka meteka (osiedlenca), z otwartym parasolem w ręce. Słońce lipcowe nie żartuje, więc pięknym pannom wolno chronić tkliwe liczko od opalenia—bogini wybaczy.

Czy już kres procesji? Nie wiemy; oczy biegną na wszystkie strony; całości ogarnąć niesposób. Procesja sunie naprzód, wstępuje przez bramę „dypilońską" do miasta, dalej przez długi „dromos" (jest to ateńskie «Krakowskie Przedmieście») na plac miejski—„agorę". Agora dzisiaj cała tonie w zieleni. Zebrali się na niej niewolnicy i barbarzyńcy z gałązkami świeżemi w rękach. Między ich szeregami przesuwa się procesja, wijąc się wzdłuż świątyń i kolumnad. I dalej, obok Areopagu, przez Propileje na Akropol. Jak kroczyła po nim pierwiastkowo,

tego nie wiemy; lecz od czasów Peryklesa, gdy stanął i majestatyczny Partenon, „dziewiczy zamek" Pallady, i obok niego cudny „dom Erechteusza" z jej świętym posągiem, procesja sunęła między jednym a drugim ku olbrzymiemu placowi, zajmującemu całą połać wschodnią pagórka. Tutaj następowało uroczyste wręczenie i peplosu i ireziony i pozostałych ofiar; tutaj krew zwierząt ofiarnych zraszała ołtarz bogini; tutaj, po złożeniu jej pierwocin, obfitem mięsem ofiar goszczono obywateli, którzy przy dźwiękach hymnów ucztowali do wieczora, do późnej nocy, bezksiężycowej lecz oświeconej mnóstwem pochodni. Kto zaś zstępował ku miastu, nie mógł oprzeć się zachwytowi, patrząc na purpurową łunę, w której płonął Akropol, płonął białomarmurowy pałac boskiej Panny.

Na tej uczcie w ciągu półwiecza kończyły się Wielkie Panatenaje; potem wszakże, jak bogini wybłagała u ojca swego „tarczę drewnianego muru" i w ten sposób ocaliła swe miasto od najazdu wrogów, po sławnej bitwie pod Salaminą, uznano za zbożną powinność powierzyć jej łasce także i flotę ateńską. Dodano do święta jeszcze jeden dzień—dziewiąty. W dniu tym zbierali się Ateńczycy w swej przystani, w Pireusie, nad grobem bohatera Salaminy Temistoklesa: stąd mogli patrzeć na piękne zawody ich dumy narodowej— okrętów: jak przy dźwiękach fletów zgodnie zanurzały się i wynurzały na każdym trzy szeregi wioseł; jak lekko i płynnie sunęły obok skał przybrzeżnych, jak—zdawało się chwilami, że zderzą się między sobą, lecz dzięki sztuce sterników, szczęśliwie się rozchodziły, przyczem powszechny wybuch radości pokrywał rozproszone okrzyki strachu. Tak, z taką flotą można było nie lękać się przyszłości; z taką flotą i z taką orędowniczką przed tronem Zeusa.

Tak czciły Ateny swą władczynię więcej, niż dwadzieścia wieków temu. Wiele od czasów tamtych się zmieniło, ale nie wszystko. Zmieniła się religja, ale pozostała religijność. I daj Boże, aby i teraz jeszcze w piersi wielu z tych, którzy poczytują się za chrześcijan, pałało

to samo uczucie miłości i pokory, z jakiem Ateńczycy służyli swej Palladzie w czasach Pizystrata, Perykłesa, Demostenesa.

23. PIZYSTRATYDZI I KLISTENES.
(527—510)

Dwoistość władzy rzadko chadza w parze z jej trwałością, lecz synowie Pizystrata byli tak dalece różni w swych skłonnościach, że wzajemnie nie wchodzili sobie w drogę. Hippjasz odziedziczył zdolności władcze swego ojca: był to człowiek rozumny, przewidujący i stanowczy. Hipparchos, przeciwnie, łagodny i marzycielski, był spadkobiercą poetyckich zainteresowań Pizystrata. W ten sposób obaj bracia mogli nawzajem ustępować sobie tę dziedzinę, która każdemu była drogą.

Zrazu wszystko szło dobrze: z czasem jednak dał znać o sobie fakt, że Pizystrat nie dokończył organizacji związku państw egejskich. Członkiem tego związku, najbliżej sąsiadującym z posiadłościami Persów, był Samos, rządzony przez Polikratesa: on to pierwszy właśnie runął.

Polikrates był jednym z najtęższych władców VI-go stulecia. Opanowawszy tyranję, dzięki Pizystratowi i Ligdamisowi, rządził bez żadnych skrupułów sumienia. Wyspę swą wyposażył w świątynie, w wodociągi i we wszelkiego rodzaju urządzenia pożyteczne, jak zazwyczaj czynili tyrani. Flota jego bez przeszkód żeglowała po morzu Egejskiem, przejmując przestrachem, wskutek swych napaści rozbójniczych, i nieprzyjaciół i przyjaciół. Polikrates liczył, że jeśli ograbi przyjaciela, a potem zwróci mu to, co zagrabił, to ten uczuje większą dlań wdzięczność, niż gdyby wcale go nie ruszał. Co zamyślił, wszystko mu się udawało.

Te stałe powodzenia niepokoiły jego przyjaciela i sprzymierzeńca, króla egipskiego Amazysa, który mu razu pewnego napisał: „Każdemu człowiekowi sądzone bywa jedynie umiarkowane szczęście; kto wcale nie do-

znaje nieszczęść, ten z doli człowieczej wstępuje ku doli bogów i tem wywołuje ich gniew. Lękam się, że im jaśniejsze jest szczęście twoje obecnie, tem straszniejszy będzie twój upadek. Dlatego chcę ci służyć radą: zadaj sam sobie jakiś cios dotkliwy — być może, w ten sposób odwrócisz gniew bogów". Zadumał się Polikrates, otrzymawszy list taki, i postanowił usłuchać rady mądrego króla. Miał złoty pierścień ze szmaragdem, który cenił niezmiernie,jako wyrób najlepszego majstra Samosu; ten to pierścień postanowił złożyć w ofierze. Wypłynąwszy daleko w morze, rzucił go do wody. Minęło jakieś pięć dni: na zamek Polikratesa jawi się rybak z olbrzymią rybą: „Taką rybę — rzecze — uznałem za godną jedynie twego stołu". Polikrates podziękował mu i nagrodził go. Kucharz jął oprawiać rybę — i w żołądku jej znalazł pierścień, rzucony przez tyrana. Na poły uradowany, na poły zakłopotany, napisał on o tym wypadku do Amazysa, lecz otrzymał odeń posępną odpowiedź. „Ofiara twoja jest odrzucona; bogowie orzekli twoją zagładę; moja powinność królewska każe mi wyrzec się przymierza z tobą".

W tym mniej więcej czasie zginął król Persów, Cyrus, syn zaś jego Kambizes jął szykować wyprawę na Egipt, aby i ten kraj do swoich posiadłości wcielić. Flota Polikratesa mogła być mu wielce pomocna, i zaślepiony tyran chętnie poszedł mu na rękę. Zamierzał on za jednym zamachem dopiąć aż trzech celów: pozyskać życzliwość potężnego sąsiada, ukarać Amazysa i jednocześnie pozbyć się buntowników we własnym ludzie, wysyłając ich do Egiptu na niechybną zgubę. Kambizes cel swój osiągnął: Egipt został podbity; ale Polikrates nie zebrał plonów ze swej potrójnej zdrady.

Pod nieobecność Kambizesa Lidją oraz Jonją zarządzał satrapa — tak zwano namiestników królewskich — imieniem Oretes. Umyślił on przyłączyć do państwa perskiego także i sąsiedni Samos; w tym celu należało usunąć Polikratesa. I oto wyprawia do niego posła z doniesieniem, że on, Oretes, zamierza sprzeniewierzyć się

swemu znienawidzonemu królowi i prosi Polikratesa, aby mu w tem dopomógł, wzamian za co obiecuje mu wielkie korzyści, o których najwygodniej będzie im pomówić osobiście: dlatego to zaprasza go do siebie w gościnę, do miasta Magnezji nad rzeką Meandrem. Tu rozsądek ostatecznie opuścił tyrana. Zamajaczyła mu władza nad całą Jonją; postanowił jechać do Oretesa. Daremnie córka próbowała go zatrzymać: „Miałam sen — rzekła doń, gdy siadał na okręt —, że byłeś wywyższony ku niebu, i Zeus cię omywał, a Helios namaszczał".—„Czegóż chcesz więcej?" ze śmiechem odparł ojciec. — „Ten sen wróży ci zgubę!" ciągnęła córka. — „Wróży potęgę!" gniewnie wybuchnął tyran, „ciebie zaś, za twe złowróżbne tłumaczenie snów, powróciwszy, nieprędko wydam za mąż".— „Możesz mnie nie wydawać wcale, ale wracaj"—krzyknęła w rozpaczy córka; ale wiatry uniosły Polikratesa.

Czy trzeba dodawać, że Oretes wciągnął go w zasadzkę? Ledwo Polikrates wstąpił w jego posiadłości, już kazał go pojmać i, po wielu urągowiskach i męczarniach, ukrzyżować. W taki to sposób Polikrates był «wywyższony»: deszcz Zeusa go omywał, promienie zaś Heljosa namaszczały go gorącym potem, obficie broczącym z głowy męczennika.

Po śmierci Polikratesa Persowie bez trudu opanowali Samos; upadek zaś Samosu fatalnie odbił się na losie Ligdamisa z Naksosu: był on powalony, a wraz z nim legł ostatni szczątek południowej połaci związku państw egejskich, stworzonego przez Pizystrata. Pozostała tylko połać północna — Sygej opodal starożytnej Troi oraz królestwo Filaidów na Chersonezie wraz z podległemi im wyspami Lemnos i Imbros.

Te niepowodzenia zewnętrzne poderwały stanowisko Pizystratydów także i wewnątrz państwa; wrogowie ich podnieśli głowę. Cały szereg lat trwał stan naprężony: Hippjaszowi udawało się zapobiegać każdemu nadciągającemu niebezpieczeństwu, ale za cenę gwałtów, nie wyłączając i zabójstw. W roku 514 powstał przeciw nim szczególniej groźny spisek, na którego czele stali Harmodjusz

i Arystogiton; na dopełnienie krwawego czynu obrano dzień święta Panatenajów, na które spiskowcy jawić się mieli z mieczami, skrytemi w zieleni mirtu. Wieść niesie, że Harmodjusz miał prywatne powody do nienawiści: siostra jego była wyłączona z liczby kanefor, co było zniewagą dla całego rodu. Sprzysiężenie powiodło się tylko w połowie: poległ łagodny Hipparchos, srogi Hippjasz ocalał. Spiskowcy zginęli na mękach, przyczem szczególnem męstwem zajaśniała narzeczona Arystogitona, imieniem Leena. Gdy ją torturowano, pytając o imiona innych spiskowców, ona, aby nie ulec męczarniom, odkąsiła sobie język.

Po zabójstwie brata, Hippjasz stał się jeszcze bardziej ponury i okrutny; władza jego była już prawdziwem jarzmem dla Aten. Nieprzejednani jego wrogowie, Alkmeonidzi, uznali, że chwila jest odpowiednia do powstania; wtargnęli w granice Attyki z oddziałem ochotników i zajęli osadę Lipsydrjon u podnóża Parnetu. Ale i Hippjasz przedsięwziął środki: Ateny ani drgnęły, i brać ochotnicza, otoczona w Lipsydrjonie, wybita została przez wojska tyrana. O zdarzeniu tem do późnych czasów Ateńczycy wspominali w piosence, często rozbrzmiewającej na ich ucztach:

O Lipsydrjon, najlepszych druhów zgubo!
Jakże świetni przez ciebie padli mężе!
Z najzacniejszych gniazd — dzielny to huf!
Mężna zaświadczy śmierć: godzien rodzica syn.

Porażka ta przekonała Alkmeonidów, że bez pomocy zewnętrznej nie zdołają Aten oswobodzić. Aby pomoc taką pozyskać, skorzystali z wpływu, jaki mieli w Delfach. Zdarzyło się tak, że niedługo przedtem stara świątynia w Delfach stała się pastwą pożaru. Delfijczycy ogłosili przetarg na budowę nowej. Robotę budowlaną objęli Alkmeonidzi; a ponieważ byli oni bardzo bogaci, przeto wybudowali świątynię o wiele wspanialszą, niż wymagała umowa: zamiast wapniaka dali marmur, co wówczas — w VI stuleciu — bywało wielką rzadkością

Rzecz zrozumiała, że po takiej fundacji wpływ ich w Delfach był doniosły; nadomiar, Delfijczycy żywili urazę do Pizystratydów o to, że ci z uszczerbkiem dla Delf wspierali Delos joński. Wskutek tego wszystkiego, Delfy stanęły otwarcie po stronie Alkmeonidów. Ilekroć Spartanie zasięgali rady wyroczni, zawsze otrzymywali niezmienną odpowiedź: „Wyzwólcie Ateny". Spartanom również było to na rękę, dawało im bowiem możność rozszerzyć swą hegemonję na najpotężniejsze państwo greckie na północ od Istmu. I oto w roku 510 król Sparty Kleomenes ruszył z wojskiem Peloponezu na Ateny; Hippjasza oblężono w Akropolu, który zawczasu zaopatrzony był w rzeczy niezbędne. Na nieszczęście dla tyrana, dzieci jego i krewni, których przed oblężeniem przekazał w wierne ręce, dostali się w moc nieprzyjaciela. Aby ich ratować, Hippjasz poddał Akropol. Tym razem Alkmeonidzi postąpili sumienniej, niż za czasów Kilona: Hippjasz wraz ze swymi stronnikami otrzymał możność bezpiecznego odejścia. Udał się do swej kolonji, Sygeju, który poddał zwierzchnictwu króla perskiego, tak, że i to ważne miasto stracone zostało dla Aten.

W oswobodzonych Atenach władza, rzecz prosta, przeszła do Alkmeonidów, pośród których pierwszym był rozumny Klistenes. Pojął on, że po życzliwych dla ludu rządach Pizystrata niepodobna było wracać do państwowego ustroju Solona, lecz należało stworzyć ustrój nowy, a przytem taki, któryby zapobiegał nawrotowi ponownej tyranji. W tym celu należało przedewszystkiem usunąć warunki, wywołujące walkę «równiny» z «pobrzeżem» i «zagórzem». Klistenes osiągnął cel ten w ten sposób, że rozdzielił całą Attykę na dziesięć nowych «fil», formując każdą z cząstki «równiny», cząstki «pobrzeża», cząstki «zagórza» i jeszcze jednego okręgu miasta Aten. Każda fila corocznie wybierała przez losowanie pięćdziesięciu obywateli do rady, która składała się, w ten sposób, z pięciuset członków. Ta «rada pięciuset» stała się głównym organem rządów w kraju. Na wyższe urzędy po dawnemu wybierano tylko człon-

ków dwóch klas najstarszych, lecz do rady mógł dostać się każdy obywatel, i tymczasem lud na tem poprzestawał. Aby zaś jeszcze skuteczniej zapobiec zakusom nowej tyranji, Klistenes ustanowił t. zw. «ostracyzm», który polegał na tem: corocznie lud, zebrawszy się na wiec, miał decydować, czy niema śród obywateli ludzi takich, którzyby swym nadmiernym wpływem zagrażali wolności gminy; jeśli okazywało się, że są, to wzywano lud do wypisania na skorupce (po grecku—ostrakon) imienia najniebezpieczniejszego z pośród nich. Na kim skupiała się najznaczniejsza większość, ten obowiązany był na lat dziesięć opuścić Ateny.

Takie były rysy naczelne «konstytucji Klistenesa». Nie odrazu udało się ustalić w Atenach porządek; ziemianie «równiny», nieradzi duchowi demokratycznemu nowej konstytucji, po raz drugi wezwali Kleomenesa, i ten samowolny król, powołując się na to, że wszyscy Alkmeonidzi byli «wyklęci» od czasów Kilona, wymusił ich ponowne wygnanie z Aten. Wszelako, krokiem tym wzbudził rozjątrzenie nietylko śród Ateńczyków, ale i śród Koryncjan, a nawet oburzył swego towarzysza tronu, drugiego króla Demarata; zmuszony był przeto poniechać swej myśli, i Alkmeonidzi wrócili do Aten.

Oswobodzeni Ateńczycy z wdzięcznością sięgnęli pamięcią ku tym, którzy ponieśli męczeństwo za próbę ich wyzwolenia — ku «tyranobójcom» Harmodjuszowi i Arystogitonowi. Potomkowie ich zostali nazawsze zwolnieni od podatków; najlepszemu zaś rzeźbiarzowi Aten ówczesnych, Antenorowi, powierzono wykonać ich posągi, i przez długie jeszcze czasy na ucztach ateńskich śpiewano ku ich czci piosenkę taką samą, jak i ku czci bohaterów Lipsydrjonu:

Miecz w gałęzi mirtowej nosić będę,
jak Harmody i jak Arystogiton,
gdy tyrana krew przelał ich miecz
i gdy w Pallady gród równość wróciła praw.

Nie zapomniano też i o Leenie: u wstępu na Akropol stawiono miedzianą lwicę — «Leena» po grecku znaczy «lwica» — z odciętym językiem, i przez długi czas jeszcze Ateny wspominały tę, która była trzecią śród oswobodzicieli ich ojczyzny.

24. PINDAR.

Od Solona do Pizystrata, od Pizystrata do Klistenesa odbywało się powolne przeobrażenie Aten z państwa arystokratycznego w demokratyczne: w roku 500 można je było poczytywać już prawie za dokonane. Ich szczęście polegało właśnie na tem, że przeobrażenie to posuwało się naprzód tak powoli; lud musiał stopniowo wychowywać się i dorastać do sprawowania władzy: przy nazbyt szybkim przełomie zdobycze demokracji okazałyby się okupione nadmierną ofiarą — ofiarą krwawych walk domowych, — a przytem nietrwałe, jak pokazał przykład sąsiadki Aten, niegdyś możnej, teraz nieszczęsnej Megary, która dotkliwie odpokutowała za szał pełnej wolności w VI wieku.

Nie wszystkie, wprawdzie, państwa greckie wprowadziły u siebie ludowładztwo; niektóre i nadal pozostały pod rządami arystokracji. Nie te wszakże grały rolę najważniejszą; wszystkim przodowały Ateny. Schyłek wieku szóstego może tedy być dla nas granicą, oddzielającą epokę arystokratyczną historji greckiej od demokratycznej.

Z tej to przyczyny stosowną będzie rzeczą teraz właśnie zająć się poetą, który był ostatnim i najwybitniejszym piewcą arystokracji, jakkolwiek życie jego sięgnęło daleko w wiek następny, piąty, i był on świadkiem zdarzeń, o których wypadnie mówić nieco później. Poetą tym był Pindar.

Ojczyzną jego były Teby; był on więc, po Hezjodzie, drugim wielkim poetą Beocji. W swej atoli poezji nie był w najmniejszym stopniu podobny do swego poprzednika, jeśli pominiemy to, że i on był mężnym bojowni-

kiem Sprawiedliwości. Epos dydaktyczny w epoce Pindara nie porywał już bujnych talentów poetyckich, jak przed trzema wiekami: czas sprzyjał liryce. Ale i liryka Pindara była inna, niż znanych nam Tyrteja, Solona, Alceusza, Safony. Jej znamieniem było to, że w niej tekst poetycki łączył się nietylko z muzyką w śpiewie i akompanjamencie, ale i z tańcem wykonywającego chóru — miarowym, poważnym, lecz bądź co bądź tańcem. Muzykę taką nazywamy przeto chórową.

W tym swoim składzie troistym była ona, w istocie rzeczy, bardzo starożytna — starożytniejsza, niż sam Homer. Wszelako rozwój artystyczny pozyskała ona niezbyt dawno, w zależności od owego rozwoju muzyki, o którym mowa była wyżej. Właściwym jej przedmiotem była chwała bogów.

Jeśli jakieś państwo wysyłało święte poselstwo — t. zw. teorję — na uroczystość, powiedzmy, Apollina do Delf, zamawiano u jednego z poetów, swoich lub cudzych, hymn, licujący z uroczystością. Zamówienie wymagało dość złożonej pracy. Nasamprzód poeta układał sam hymn, do czego potrzeba było nietylko talentu, ale i dużej wprawy. Jako rozmiar służyć miała mu nie strofa zwykła, w rodzaju tych, których używali Alceusz i Safo, lecz twór nader złożony, z rozmaitych zbudowany wierszy, przyczem strofa, skomponowana dla jednego hymnu, nie nadawała się już dla drugiego. Powtóre, do tekstu tego należało stworzyć muzykę i skomponować odpowiednie ruchy rytmiczne dla chóru. Poeta był więc jednocześnie swym własnym i kompozytorem i baletmistrzem, — jeśli wyrazu tego godzi się użyć w związku z tańcem uroczystym i religijnym. I nakoniec, zadanie trzecie: wyuczyć chór, ofiarowany poecie przez gminę, i słów, i śpiewu, i tańca. I oto teorja z chórem udawała się do Delf; nastawał dzień uroczystości; herold wzywał: niechaj staje chór Tebańczyków! — chór Argosu! — chór Ateńczyków! I chór wychodził, po kolei, zdobywając sławę i dla wielbionego boga, i dla wielbiącej go gminy, i dla poety. Hymnów takich było wiele rodzajów. Innego rodzaju były

hymny wielbiące Apollina, innego — wielbiące Dioniza, jeszcze innego, gdy chodziło o uczczenie Macierzy bogów. Rozróżniano hymny, wykonywane na miejscu, i wykonywane podczas procesji; wykonywane przez mężczyzn, przez dziewice, przez pacholęta.

Lecz jakaż bywała ich treść? Jak już nadmieniono — wysławianie boga; wysławianie to wszakże mogło być rozmaite. Poeta mógł był opowiadać jakieś podanie bajeczne o zdarzeniu, w którem moc boga objawiła się ze szczególną wyrazistością; mógł był rozwijać zasady miłej bogu mądrości; mógł też był, nakoniec, polecać jego łasce gminę, która boga wielbiła, przyjaciół swoich i siebie. Z tych trzech części — opowiadającej, pouczającej i osobistej — składał się właśnie hymn w pełni.

Hymny takie układano i wykonywano już z dawien dawna, odkąd Terpander, pieśniarz Lesbosu, dźwignął muzykę na właściwy poziom. I Pindar skomponował ich sporo; stanowiły one nawet pokaźną część jego puścizny poetyckiej, i jedną taką książkę, t. zw. peany, odnaleziono niezbyt dawno w piaskach Egiptu; inne zaginęły.

Wolno-ż było czynić przedmiotem takiego rodzaju hymnów także i ludzi? Z początku wydawało się to świętokradztwem; lecz z czasem pozwolono zrobić wyjątek dla takich ludzi, którzy byli jawnie przez bogów umiłowani, którym bogowie jawną świadczyli łaskę, wyróżniając ich zgonem chwalebnym albo zwycięstwem w Olimpji, Delfach lub w jakichkolwiek innych sławnych zawodach greckich. Były tedy dozwolone treny i epinikje (pieśni zwycięskie). I w jednych i w drugich zasłynął Pindar, do naszych wszakże czasów dochowały się tylko jego pieśni zwycięskie.

Wystawmy sobie ówczesne środowisko. Ktoś odniósł zwycięstwo w Olimpji, bądź w biegu, bądź w boju na pięści, bądź w wyścigach rydwanów. Wiemy już, jakie znaczenie łączyli Hellenowie z tem zwycięstwem, które zwycięzcę wynosiło ponad szereg ludzi zwykłych, i nietylko jego, ale i cały jego ród, jego gminę.

I oto zwraca się do Pindara z prośbą, aby ten skomponował «epinikjon» ku chwale jego zwycięstwa. Kompozycja, oczywista, wymaga czasu; czasu tego udziela się poecie, święto odracza się do umówionej daty. Dzień umówiony przyszedł, pieśń jest gotowa. Zwycięzca w swoim kraju zwołuje przyjaciół, sprawia poczęstunek, raczy ich winem, ale najlepiej uraczy ich chór, mający wystąpić z wyuczoną pieśnią. Cóż przez usta tego chóru poeta powie wybrańcowi Zwycięstwa? Zwyciężyłeś,— tak; ale zwyciężyłeś dzielnością, a dzielność — to dziedzictwo przodków. A więc, pochwalmy przodków! Zazwyczaj część główną epinikjon stanowiła opowieść o czynie jakiegoś bohatera prastarych podań, od którego zwycięzca ród swój wywodził: tak właśnie i powinno było być w myśl zasad arystokratyzmu. Po części opowiadającej następowała część pouczająca. Zwycięstwo dla niejednego bywało próbą niebezpieczną. Wszak widzieliśmy, że Kilon ateński po swem zwycięstwie olimpijskiem zamarzył o tyranji; tyranja zaś sprzeciwiała się zarówno duchowi arystokratyzmu jak i religji jego patrona, Apollina delfickiego. Nie, zwycięzco, odrzuć pychę, nie sięgaj po inne szczęście, tyś osiągnął już kres wielkości ziemskiej, zdobywszy zwycięstwo w Olimpji. Nie sprzeniewierzaj się tradycji przodków; przeniewierstwo takie byłoby, zresztą, rzeczą nienaturalną: ani lew, ani lis natury swej odmienić nie zdoła. Rzecz zasadnicza polega na tem, aby tę swą naturę poznać i w życiu ją usprawiedliwić: „Stań się tem, czem jesteś, poznawszy to". I spójrz dokoła siebie: czy nie wyrządziłeś komu krzywdy? Teraz czas jest potemu, aby zło naprawić: jesteś potężny i wielki swem zwycięstwem, nad tobą jaśnieje uśmiech szczęścia. Życie człowieka jest krótkie; sam on jest „snem o cieniu;" lecz jeśli życie to opromieni łaska boża darem zwycięstwa, wtenczas z niczego staje się ono wszystkiem.

I wreszcie—część osobista, część, z którą poeta załatwiał się krótko i niechętnie; oczywiście wypada wspomnieć o poprzednich przewagach bohatera, jeśli miał

przewagi, o jego ojczyźnie, o jego mistrzu, jego rumaku—zwycięzca życzył sobie tego, i poeta musiał życzeniu temu uczynić zadość.

Dla nas zwycięstwo, jako takie, bywa tylko niezbyt ciekawym powodem; zapominamy o niem, śledząc lot fantazji i myśli poety. Weźmy choćby mity, przedstawione w części opowiadającej: co za majestatyczne, żywe obrazy! Właśnie, obrazy: poeta nie przedstawia jeszcze akcji; daje tylko opis tego, co w danej chwili ogląda oczyma duszy. Oto — Pelops, pacholę, modli się do swego opiekuna Posydona o powodzenie w swem ciężkiem przedsięwzięciu; oto—młody Antyloch nadstawia pierś swą pod śmiertelny cios okrutnego Memnona, aby ojcu swemu, starcowi, dać możność ocalenia życia; oto—potężna Cyrena, przez Apollina wybrana na matkę królów cyreńskich, walczy ze lwem, aby obronić przed nim stada swego ojca. Tacy bywali przodkowie; czyż potomkowie nie zapragną tego, aby stać się godnymi tej dzielności i tej sławy? Oto wzory, jakie głosi Pindar w swych obrazach i w swych naukach moralnych.

* * *

Lecz jakież było jego życie, tego proroka przyrodzonej dzielności? W znacznym stopniu było to życie pieśniarza-wędrowca. Urodził się on, jak już nadmieniono, w Tebach, około r. 520, i niebawem po osiągnięciu przezeń wieku męskiego nastały wypadki, o których będzie mowa w rozdziałach następnych—wyprawa Persów na wszechhelleńską ojczyznę, zdrada Delf w obliczu sprawy narodowej, sprzeniewierzenie się tejże sprawie także jego rodzinnych Teb. Możnowładztwo obawiało się, że zwycięstwo Hellady pociągnie za sobą wzmożenie demokracji i załamanie się jego władzy; wolało władzę tę ocalić choćby za cenę ujarzmienia Hellady przez Persów. Co czyni Pindar? Kocha w dalszym ciągu Apollina i wierzy mu, nawet ponad głowami jego delfickich

kapłanów; jest w dalszym ciągu oddanym synem swej ojczyzny tebańskiej, nie wyrzeka się ani jednego z przykazań arystokratyzmu;—ale jednocześnie całą duszą staje po stronie Hellenów w ich bohaterskiej walce przeciw najazdowi Persów. Wysławia gród Pallady, który w tej walce zasłynął: „O błyszczące, fijołkami uwieńczone, godne pieśni wielkich, sławne Ateny, ostojo Hellady!" Tebańczycy, jak wieść niesie, oburzeni tem wysławianiem swego wroga, skazali poetę na ciężką grzywnę, lecz Ateńczycy zań tę grzywnę zapłacili. Wieść ta jest, być może, zmyślona; nie ulega wszakże wątpliwości, że Ateny dumne były z pochwały natchnionych ust wielkiego poety i że sam pozyskał on w Atenach jakby wtóre obywatelstwo. Ale czyż tylko w Atenach? Dziś bawi w Tebach, jutro w Eginie, potem w Koryncie, w Tessalji, w Cyrenie afrykańskiej, w Syrakuzach na Sycylji, wszędzie, gdziekolwiek dźwięczy mowa grecka, gdzie czci zażywają greccy bogowie. Pindar jest prorokiem wszechhelleńskości. Pieśniami swemi budzi w słuchaczach poczucie, że są oni przedewszystkiem Hellenami; że Olimpja, Delfy oraz inne miejsca zawodów jednoczą ich, jako takich, i że ta siła jednocząca jest o wiele wyższa i świętsza, niż rozdzielająca przynależność do Teb, Eginy i innych strzępów rozerwanej szaty wszechhelleńskiej.

I wszędzie bywał upragnionym gościem śród biesiady możnych tego świata. Hieron syrakuzański, Arkezylaj cyreński, Alkmeonidzi ateńscy, Psalichidzi egińscy — wszyscy oni podejmowali go ze czcią, on zaś mówił z nimi, jak równy z równymi, a nawet wyższy nad nich: on bowiem cieszył się nietylko sławą ludzką, ale i łaską bożą. Gminy współzawodniczyły między sobą w zapraszaniu Pindara, aby pieśnią swą uczcił ich «teorje»; wiedziały, że niczyje pieśni nie są tak miłe niebianom, jak jego. Tak na wyżynach doli ziemskiej, w ciągłem obcowaniu z bogami oraz z najlepszymi ludźmi owych czasów przepędził życie. Kwiat Hellady był przezeń wysławiony w epinikjach i w trenach; nie było boga, któremu nie poświęciłby jednego lub kilku hymnów. Zresztą, nie — był jeden,

a raczej jedna: tak, przynajmniej, mówi legenda. Gdy już dogasało jego sławne życie, ukazała mu się razu pewnego we śnie Persefona, królowa państwa podziemnego, ze skargą, że w pieśniach swych wszystkich wysławił bogów, oprócz niej jednej. „Ale — dodała — zaniedbanie to powetujesz niebawem, skoro będziesz u mnie." Istotnie, po upływie dni kilku, Pindar umarł. Po upływie zaś jeszcze dni kilku sam on jawił się we śnie swej starej służebnicy i wygłosił hymn swój do Persefony, prosząc ją, aby dokładnie go zapamiętała. Służąca, ocknąwszy się, zapisała; w taki to sposób ta pieśń, zaiste pośmiertna, stała się znana potomnym.

A dziś? Czy zachował on to stanowisko, które wyznaczyła mu zachwycona wdzięczność Grecji? Należy wyznać, że z pośród wszystkich wielkich poetów starożytności Pindar jest najmniej dostępny, najmniej czytany. Przekład z trudnością dać może o nim choćby najmniejsze wyobrażenie; oryginał zaś niełatwo czytają nawet ci, którzy stosunkowo dobrze rozumieją po grecku. Czytają go nieliczni; ale ci nieliczni zato stawią go bez wahania w jednym szeregu z najlepszymi poetami wszystkich epok. Na honor ten zasługuje on nietylko dzięki pięknu obrazowania i głębokości myśli, ale także dzięki językowi; dzięki rytmowi swoich wierszy, silnemu, zwartemu, pełnemu barwy i przepychu. Osądźcie to, o ile jest to rzecz możliwa, z następującego przykładu: mamy na myśli finał pierwszego epinikjon pityjskiego ku chwale zwycięstwa w Delfach króla Syrakuz, Hierona. Czytajcie głośno, wiele razy, starannie przestrzegając rytmu: z łatwością spostrzeżecie, że rozmiar pierwszej zwrotki («strofy») powtarza się w drugiej («antystrofie»), gdy tymczasem trzecia («epoda») ma swe osobne, jakkolwiek pokrewne, rozmiary. Miejcie przytem na uwadze, że przytoczona trójca jest ostatnia z pięciu: wszystkie dziesięć «strof» z «antystrofami» ułożone są wedle rozmiaru pierwszych dwóch z niżej przytoczonych strof, wszystkie epody—wedle rozmiaru trzeciej; poza niniejszem epinikjon, ani jednych, ani drugich rozmiarów nie spotykamy nigdzie.

Kto w wymowie strzeże miary, zawrzeć kto zdolen też jest
w zwięzłem słowie słów wielu treść, ten przygany
znosi od ludzi już mniej. Przesyt
stępia żwawe zbyt nadzieje w nas.
Gdy chwalą ci kogoś, bliźniego słowa w głąb
serca tajną ciężki zaszczepia ból.
Lepsza jednak zazdrość, niż litości głos.
Sławny bądź, czyny swe mnóż, sprawiedliwie
ludem swym rządź. Na kowadle
czci oraz prawdy bez kłamstw kuj swój język.

Lekką iskrą słowo buja, ale z królewskich twych ust
ciężko legnie. Wielu ty dóbr jesteś panem,
świadków twe rządy ogląda moc.
Szczodrobliwą rękę miej i, cne
kochając swe imię, szeroko skarby siej.
Niby sternik zręczny okrętu, hej,
śmiało żagiel wiatrom zawierz. Odtrąć precz
korzyść ułudną, jak cień, miły druhu.
Wieczna jest sława, przeżywa
ludzi umarłych i mknie w przyszłość świata.

Powieść ich życia podejmą pieśń i dziejopisów trud.
Krezus, że bliźnim życzliwy, wiecznie będzie
w głębi potomnych żył serc.
W byku z miedzi palił ludzi król Falarys: światu wróg.
Więc struny gędziebne pod dachem w święta dzień
łączyć nie chcą jego imienia z pacholąt śpiewem. Tak,
powodzenie — pierwszy to klejnot; a po nim
niemasz nic ponad dobrą sławę.
Lecz kto oba dary społem od bogów wziął, temu los
upragniony dostał się, ten
życia otrzymał wian najwyższy.

---

*) Mowa o słynnym »byku miedzianym« tyrana Akragantu, Falarysa (w. VII) Zaleta jego polegała na tem, że krzyk ofiary, spalanej w jego wnętrzu, brzmiał jak ryk byka. Falarys,pono, wypróbował tę osobliwość nasamprzód na samym majstrze.

ROZDZIAŁ V.

EPOKA CHWAŁY

25. MILTJADES.

Wyzwolenie Aten z pod władzy Hippjasza powitano z radością w całej Jonji, jako zadatek jej własnego rychłego oswobodzenia od jarzma Persów. Rzeczywiście, Hippjasz pod koniec zupełnie zapomniał o wskazaniach ojca i o jego idei zjednoczenia państw jońskich. Dbał tylko o swoją władzę i teraz, przebywając w Sygeju, podżegał króla Persów przeciw Atenom, w nadziei, że z rąk jego otrzyma tyranję nad krajem ojczystym.

Niekorzystna sytuacja Jonji polegała na tem, że nie miała ona miasta, do którego należałaby uznana przez inne hegemonja nad pozostałemi. Największem z miast był wciąż jeszcze Milet, ale Chios i Lesbos eolski, wspierając się na liczbie swej ludności, podlegały mu niechętnie. Wszelako ruch na rzecz wyzwolenia wszczął się właśnie w Milecie. Jak i pozostałe miasta Jonji, był on rządzony przez tyrana, wyznaczonego przez króla Persów; lecz tyran ów, Arystagoras, zrozumiawszy, że nie oprze się dążeniom ludu, wolał stanąć na ich czele i rozpowszechnić je w innych miastach Jonji. Naprożno inny mieszkaniec Miletu, Hekateusz, przestrzegał rodaków przed zbyt gwałtownemi postanowieniami. Był to możny i bogaty kupiec, mądry latami i doświadczeniem; objechawszy w sprawach handlowych całą krainę, podległą królowi Persów, opisał podróż swą w osobnej pracy pod nagłówkiem «Obchód ziemi» i dołączył do niej pierwszą w dziejach ludzkości mapę polityczno-geograficzną Z ową mapą w ręku, wyliczał rodakom niezmierzone siły ich wroga; jednakowoż głos jego przestrogi przebrzmiał bez skutku wśród powszechnego uniesienia, i powstanie jońskie wybuchło (r. 500).

Arystagoras, oczywiście, nie omieszkał zwrócić się do Aten o pomoc. Gdyby był to uczynił zawczasu, prawdopodobnie poradzonoby mu, aby wybuch powstania odroczył: Ateńczycy nie posiadali jeszcze silnej floty, i nie byli w możności dać pobratymcom swym pomocy rzeczywistej. Posłali im dwadzieścia okrętów; a ponieważ sam Milet posiadał ich ośmnaście, przeto Ateny nie odegrały w tej wojnie roli kierowniczej.

Królem Persów był wtenczas Darjusz, krewny Kambizesa, który zginął młodo. Dowiedziawszy się o tem, że Ateny przyłączyły się do powstania Jończyków, strzelił on, jak wieść niesie, z łuku w niebiosa i rzekł: „Boże, pozwól mi pomścić się na Ateńczykach!" — poczem rozkazał niewolnikowi, aby podczas każdej uczty powtarzał mu: „Panie, pamiętaj o Ateńczykach".

Wojnę z Jończykami poruczył bratu swemu Artafernesowi, który był satrapą Lidji. Lecz Jończycy go ubiegli: nim zdołał zebrać swe hufy, ruszyli w góry, zajęli jego stolicę Sardy i osaczyli jego samego w twierdzy sardyjskiej.

Było to pierwsze, ale, niestety, i ostatnie powodzenie Jończyków; po niem nastąpił szereg porażek, z których pierwszą był pożar Sard, który wybuchnął w sposób zagadkowy, a strawił także i główną świątynię miejscową—przybytek Macierzy bogów. Jończycy zmuszeni byli opuścić stolicę Lidji; wywołało to waśni wzajemne, wskutek których Ateńczycy porzucili swych sprzymierzeńców. Długo wojna toczyła się ze zmiennem szczęściem; rozstrzygnąć ją miała bitwa morska opodal Miletu. Jończycy wystawili ponad trzysta okrętów; przeciwko nim Darjusz wyprawił swą flotę fenicką, wdwójnasób niemal liczniejszą. Przewaga liczebna nie była sama przez się rozstrzygająca, gdyż Jończycy słynęli jako bardzo zręczni żeglarze. Ale wzajemne niesnaski jątrzyły się w dalszym ciągu. Tyrani, usunięci przez Arystagorasa, wygrywali te niesnaski, aby zdradziecko spiskować z oddziałami poszczególnych gmin. Jończycy ponieśli klęskę. Arystagoras umknął do Tracji, gdzie niebawem zginął. Mi-

let był przez Persów oblężony i zdobyty (r. 494). Z upadku tego już nie podźwignął się nigdy.

W Atenach wieść o upadku Miletu sprawiła wrażenie niesłychanie przygnębiające. Poeta Frynich osnuł na tym temacie tragedję; podczas jej przedstawienia cały teatr szlochał: Ateńczycy czuli i ból i wstyd, że nie dane im było ocalić bratniego grodu, perły całej Jonji. Ale cóż mieli począć?

Po powstaniu położenie podbitego pasa greckiego o wiele się pogorszyło w porównaniu ze stanem poprzednim. Ale Darjusz na powodzeniu tem nie poprzestał. Przerzucił wojnę przez Hellespont na ląd europejski; kolej przyszła na Chersonez, królestwo Filaidów.

Królem był tutaj Miltjades Drugi, synowiec pierwszego króla Chersonezu. Zwątpiwszy o możności obronienia swego niedużego półwyspu przeciw niezliczonemu wojsku Darjusza, siadł on na statek wraz z żoną, królewną tracką, i młodym synem Kimonem, wioząc na pięciu okrętach jednocześnie swój skarbiec królewski. Wkrótce przybył do Aten. Przyjazd jego i przemiana z króla na obywatela wolnej gminy wywołały powszechny popłoch. Alkmeonidzi byli oburzeni: albo-ż to dawno uwolnili Ateny od tyrana — a tu zamiast tego, którego przepędzono, staje drugi! Wystąpili nawet z oskarżeniem przeciw Miltjadesowi i wezwali go przed sąd ludu. Jego królewską godność, jego małżeństwo z królewną, jego pięciuset straży przybocznej — wszystko wyzyskano, aby przerazić ogół. Ale Miltjades bez trudu obronił się wskazaniem na to, że królem był nad barbarzyńcami, tutaj zaś, w Atenach, jest obywatelem wśród obywateli. Był nietylko uniewinniony, ale i stał się najwpływowszym obywatelem w Atenach. Alkmeonidzi zaś przez długi czas nie mogli dźwignąć się z pod ciosu, jaki to niefortunne oskarżenie zadało ich stanowisku.

Wówczas jeszcze nie wiedziano, że Miltjadesowi sądzone będzie ocalić Ateny od strasznego niebezpieczeństwa, które nadciągało ze wschodu.

Darjusz nie zapomniał o Ateńczykach. Dokonawszy podboju trackiego i macedońskiego pobrzeża, wyprawił w roku 492 silne wojsko i flotę linją brzegową do Grecji. Przytem jednakże flocie wypadało okrążyć trójpalczasty półwysep macedoński, noszący miano Chalcydyki, i nasamprzód górę Atos, groźną swemi burzami. Tu flota uległa rozbiciu śród wzburzonych fal, poczem wojsko wróciło do kraju.

Ta niepomyślna wyprawa jeszcze silniej rozjątrzyła gniew Darjusza. Nową zbudowawszy flotę, po dwóch latach skierował ją już nie wzdłuż brzegów lądu, ale wprost przez morze do Attyki, pod wodzą Datysa i Artafernesa. Flota przybiła do Maratonu na północnem pobrzeżu. Miasto to wybrane było za radą Hippjasza, który podążył wraz z Persami w nadziei odzyskania władzy w podbitych Atenach: wszak Maraton leżał w granicach «zagórza», starego gniazda potęgi Pizystrata. Omylił się jednak w rachubach: reforma Klistenesa wydała swe owoce; ludność «zagórza», stale stykając się w swych dziesięciu filach z mieszkańcami «równiny» oraz «pobrzeża», oddawna zrosła się z nimi w jednolity lud ateński. Nikt z zagórzan nie przystał do wojsk najeźdźcy. Wkrótce natomiast po ich wylądowaniu wystąpiła przeciw nim ciężko uzbrojona armja ateńska ze swymi dziesięciu «strategami» (t. j. wodzami) na czele. Śród wodzów przewyższał wszystkich doświadczeniem i wpływem Miltjades.

Siły ateńskie, oczywiście, liczebnością ustępowały perskim, i nawet bardzo; na domiar, Persowie byli łucznikami, gdy tymczasem główną bronią Greków była włócznia, szeroka zaś równina maratońska sprzyjała łucznikom. Zdania strategów się podzieliły: były i takie, które radziły wrócić do Aten i bronić miasta. Ale Miltjades przeparł myśl ataku. Rozumiał doskonale, że w boju ręcznym hoplici ateńscy dadzą sobie radę nawet z górującą liczbą lekko uzbrojonych Persów. Całe pytanie sprowadzało się do tego, czy jego wojsko zdoła przebiec odległość, dzielącą je od Persów, tak szybko, aby nie polec pod strzałami łuczników. Niedarmo jednak Ateńczycy ćwi-

czyli się w biegach; niedarmo rok rocznie czcili swą boginię biegiem zbrojnym i tańcem zbrojnym. W pełnem uzbrojeniu pędem przebiegli przestrzeń od swoich stanowisk do frontu perskiego, stanowiącą około półtora kilometra. Był to słynny po dzień dzisiejszy «bieg maratoński». Wtenczas nieprzyjaciel się zachwiał. Zapomniawszy o swej przewadze liczebnej, Persowie rzucili się ku okrętom, ścieląc równinę tysiącami trupów. Ateny były ocalone.

Taki był ów sławny bój pod Maratonem w roku 490. Bohaterowie jego usypali poległym towarzyszom grób braterski w postaci wysokiego kurhanu, potem zaś wrócili do Aten. Imię zaś «woja maratońskiego» na długo otoczyła w Helladzie zasłużona chwała.

Zbyteczną byłoby rzeczą dodawać, że Miltjades po zwycięstwie tem stał się bożyszczem ludu, który zawdzięczał mu ocalenie wolności; zdawało się, że niema prośby, której spełnienia lud odmówiłby swemu zbawcy. Lecz to właśnie stało się przyczyną jego zguby, która nastąpiła wkrótce po jego nieśmiertelnym czynie.

Stało się tak, że Datys i Artafernes, ciągnąc na Attykę, najeżdżali wyspy, spotykane do drodze, żądając od nich «ziemi i wody», t. j. znaków poddania się królowi Persów, przyczem wiele wysp małodusznie spełniło to żądanie, sprzeniewierzając się sprawie wszechhelleńskiej. Miltjades powziął myśl obarczenia ich za to dużą daniną, pragnąc z jednej strony zapobiec takim zdradom w przyszłości, z drugiej zaś stworzyć w Atenach skarbiec dla obrony od nieprzyjaciela. Zażądał od Ateńczyków, aby dano mu silną flotę, lecz nie powiedział, dla jakiego celu, udzielając na wszystkie pytania zagadkowej odpowiedzi: „Ja was zbogacę".

Ateńczycy, ufając zbawcy swemu bezgranicznie, spełnili to, czego żądał. Miltjades na czele dużej floty opuścił ateńską przystań Faleron. Niespodzianie dla wszystkich przypłynął do wyspy Paros, jednej z Cyklad, i ogłosił jej mieszkańcom, że mają zapłacić 100 talentów kontrybucji (ponad miljon zł.) jako karę za zdradę, której się dopuścili. Mieszkańcy wyspy odmówili. Wtenczas obległ

ich miasto. Oblężenie jęło się przeciągać ku wielkiemu wzburzeniu niecierpliwego Miltjadesa, który spodziewał się szybkiego i stanowczego powodzenia.

Nagle przybyła doń tajemnicza nieznajoma, kapłanka Demetry paryjskiej, imieniem Tymo. „Jeśli chcesz zdobyć Paros,—rzekła—uczyń to, co ci wskażę". A trzeba wiedzieć, że na Paros stała opodal miasta tegoż imienia niedostępna dla mężczyzn świątynia Demetry, w której odprawiano jej tajemnicze obrzędy, na podobieństwo eleuzyńskich. Miltjades, trawiony gorączką, by jak najrychlej zakończyć wyprawę na Paros, posłuchał jej i udał się sam jeden do zakazanej świątyni. Znalazłszy furtę ogrodzenia zamkniętą, przeskoczył mur i wszedł na krużganek. Już miał otworzyć drzwi świątyni, gdy nagle oczom jego ukazało się coś tak okropnego, że rzucił się do ucieczki, nie oglądając się za siebie i, po raz drugi w pośpiechu przeskakując mur, zwichnął sobie nogę. Z trudem dowlókłszy się do swego okrętu, niezwłocznie zwinął oblężenie i powrócił do Aten.

Był to powrót zupełnie inny, niż z pod Maratonu: zwycięzca Persów poniósł porażkę od małej wysepki greckiej. Wespół z nim cały naród ateński uczuł się zawstydzony; przeciwnicy Miltjadesa podnieśli głowę, niejaki zaś Ksantyp, żonaty z córką Alkmeonidy, oskarżył go ponownie, tym razem o nadużycie zaufania ludu. Miltjades nie mógł się bronić—jego cierpienie się pogarszało. Lud, wszelako, nie zapomniał o Maratonie i skazał go tylko na grzywnę, którą Miltjades bez trudu mógł zapłacić ze swych bogactw chersoneskich. Nim jednakże zdążył to uczynić, dokonał się na nim surowszy wyrok znieważonej Demetry paryjskiej: Miltjades umarł, przekazując synowi swemu, Kimonowi, dziedzictwo tudzież podźwignięcie swej zachwianej sławy.

26. EPICHARM.

Rozdział, poświęcony Pitagorasowi, zaprowadził nas z właściwej Grecji do greckiej Italji; teraz wy-

padnie nam zapoznać się z życiem greckiem na wyspie przyległej, na rozkosznej Sycylji, tej perle morza Śródziemnego.

Te same dążenia demokratyczne, które doprowadziły do upadku arystokracji w Italji południowej, w tym samym mniejwięcej czasie obaliły rządy możnowładztwa i na Sycylji: lecz, jak to się dzieje zazwyczaj, nowa demokracja zrodziła z siebie tyranję. Jednakowoż tyranja sycylijska pod wielu względami różniła się od właściwej greckiej, co wynikało z odrębnych warunków kraju. Ludność grecka skupiała się w miastach, przedewszystkiem pobrzeża, oraz ziemi przyległej; wewnętrzną część wyspy zajmowali tubylcy «Sykelowie», bardzo nieprzyjaźnie usposobieni wobec greckich zdobywców. Oprócz nich zaś wypadało czoło stawić też innemu państwu, które chciwie kierowało wzrok swój ku błogosławionej wyspie: państwem tem była Kartagina, potężna kolonja fenicka na przeciwległym brzegu Afryki. Główne posiadłości kartagińskie leżały w zachodniej połaci Sycylji; stamtąd władcy fenickiej potęgi-rywalki zamierzali podbić ją całą. Jedyną drogą ratunku dla kolonij greckich było zjednoczenie; nieszczęście polegało tylko na tem, że zjednoczycieli było nazbyt wielu, wskutek czego miasta greckie więcej wojowały między sobą, niż przeciw wspólnym nieprzyjaciołom. Wszelako, powoli, z ogólnego zamętu wydźwignęły się dwa miasta, oba doryckie: Syrakuzy i Akragant, dwoje «oczu Sycylji», jak nazywano je odtąd. Ich władcy, Gelon syrakuzański i Teron akragancki, spokrewnili się ze sobą i ścisły zawarli sojusz. Wtenczas zaświtał dla Sycylji okres świetlany i pełen sławy.

Duszą wspólnej sprawy był Gelon, który dzielnego pomocnika znalazł sobie w bracie swym Hieronie; temu ostatniemu przekazał rządy w ich ojczystym, prastarym lecz drugorzędnym gródku, Geli. Swe Syrakuzy powiększył, zmuszając do przesiedlenia się do nich mieszkańców innych, pomniejszych miasteczek, które burzył bezlitośnie. Nie ufając demokracji oraz jej przywódcom,

wspierał się na miejscowej arystokracji, wskutek czego i Delfy, wogóle nienawidzące tyranów, wobec niego zachowywały się życzliwie. Potęga jego rozrosła się tak dalece, ze gdy Persowie, pobici pod Maratonem, ponownie jęli zagrażać Grecji, Spartanie udali się doń o pomoc. Gelon zgodził się, ale zażądał dla siebie czci i władzy naczelnego wodza wszystkich sił greckich. Znaczyło to, że hegemonja spartańska miała ustąpić miejsca hegemonji Syrakuz. Posłowie na to przystać nie mogli. — „Powiedzcież waszym państwom, — rzekł rozgniewany Gelon, — że w ich roku zabrakło wiosny." Owe tedy sławne bitwy, o których wypadnie nam opowiedzieć w rozdziale następnym, rozegrały się bez udziału Greków sycylijskich. Wszelako, nawet pozostając w domu, przysłużyli się wspólnej sprawie. Król perski, jako władca również i Fenicji, zawiązał przez nią stosunki także i z jej kolonją, Kartaginą. Obie strony umówiły się co do równoczesnego napadu na Hellenów ze wschodu i z zachodu. I oto, w tymże roku 480, gdy wojsko i flota Kserksesa ciągnęły na Grecję, armja kartagińska zalała zachodnią Sycylję i skierowała się na greckie miasta jej wschodu. Lecz Gelon spotkał ją nad pograniczną rzeką Himerą i rozgromił doszczętnie. Tem zwycięstwem nad Himerą odkupił wiele gwałtów, popełnionych w swem życiu. Pindar je wysławił, i żyło ono długo w pamięci Greków. Wkrótce potem Gelon umarł, pozostawiając tron syrakuzański swemu wyżej nadmienionemu bratu Hieronowi.

Pod rządami Hierona Syrakuzy rozkwitły jeszcze bardziej. Budowano tam wspaniałe świątynie, jakkolwiek nie tak olbrzymie, jak w Akragancie, gdzie jeńcy kartagińscy zmuszeni byli wznieść ku czci Zeusa świątynię, po dzień dzisiejszy gruzami swemi budzącą podziw podróżnika. Bito monety srebrne, najpiękniejsze w całym świecie greckim, ozdobę naszych zbiorów numizmatycznych. Rozwinęła się namiętność w podejmowaniu i częstowaniu gości, dzięki której «stół sycylijski» zasłynął na całą Helladę; ważniejsze wszakże i wartościowsze było powszechne zamiłowanie słowa w prozie i w poezji. Sądy były publiczne, jak

wogóle w Grecji, — sprawa zatem nie obywała się bez mów stron obojga. W pozostałej atoli Grecji mowy te wygłaszano onego czasu bez kunsztu; tutaj zaś, w Syrakuzach, zrozumiano, że od mowy, zdolnej przekonać, zależy los całej sprawy, wskutek czego tu po raz pierwszy ukazali się mistrzowie wymowy — t. zw. retorzy. Najsławniejszym z nich był niejaki Koraks (imię to znaczy: kruk). Uczył swej sztuki, rzecz prosta, za pieniądze; gdy jednak zgłosił się doń uczeń szczególniej utalentowany, imieniem Tyzjasz, zgodził się uczyć go na kredyt z tem, aby otrzymać honorarjum swe wówczas, gdy Tyzjasz wygra swoją pierwszą sprawę. Tyzjasz wszakże, znęcony inną działalnością, nie kwapił się do prowadzenia spraw. Koraksowi sprzykrzyło się czekać, postanowił więc zażądać od ucznia ustalonego honorarjum przez sąd. Sędziowie się zebrali: „Możecie rozstrzygnąć sprawę tak lub inaczej,— oświadczył im Koraks—to, co mi się należy, w każdym razie Tyzjasz musi mi zapłacić. Jeśli powództwo moje uznacie za słuszne, zapłaci mi on zgodnie z waszym wyrokiem. Skoro zaś rozstrzygniecie rzecz na jego korzyść— to, znaczy, wygra on swoją pierwszą sprawę i będzie musiał zapłacić na mocy zawartej ze mną umowy." — „Wcale nie — odparł Tyzjasz. — Skoro sędziowie twe żądanie odrzucą, to na mocy ich wyroku nic nie otrzymasz. Jeśli zaś rozstrzygną spór na twoją korzyść,— to, znaczy, ja przegrałem swoją pierwszą sprawę, i wedle umowy z tobą, nie jestem obowiązany tobie nic płacić." Sędziowie starali się rozeznać w tej skandalicznej sprawie między mistrzem a uczniem — ale napróżno. „Niegodnego k r u k a pisklę niegodne!"—krzyknęli z gniewem w stronę Tyzjasza i przepędzili obu.

Pisklę to dało wszakże początek żywotnej i wpływowej szkole, jak zobaczymy później: teraz zaś od prozy zwrócimy się ku poezji. W dzielnicy syrakuzańskiej z powodzeniem uprawiano pasterstwo; życie zaś pasterskie usposabia do lenistwa i wczasów. Chętnie i zręcznie grano na fujarce — trzoda słuchało tej gry, która strzegła przed niebezpieczeństwem zbłądzenia. Gra zaś na fujarce rodziła

pieśń, a jedna i druga wywoływały współzawodnictwo. Najlepsi śpiewacy współzawodniczyli ze sobą podczas święta miejscowej Artemidy, z tych zaś zawodów z czasem rozwinęła się osobna gałąź poezji—sielanka, jak zobaczymy w dalszym ciągu. W miastach, natomiast, spostrzegawczość Sycylijczyków razem z ich słynnym na całą Grecję dowcipem doprowadziła do tego, że tutaj szczególniej rozwinęła się w niewybrednych wystawiana teatrach scenka rodzajowa, ze scenki zaś rodzajowej zkolei wyrosła ważna gałąź poezji dramatycznej — komedja.

Powiadam: rozwinęła się. Rzeczywiście powstała scenka rodzajowa nie w Sycylji; znała ją już Grecja właściwa, zwłaszcza jej państwa doryckie, Sparta, Korynt, Megara — stąd to zaczęto następnie nazywać ją «komedją dorycką». Dwaj lub trzej aktorzy przywdziewali odpowiednie maski i wogóle przebierali się, jak należało,—i na pomoście przed zgromadzoną publicznością odgrywali uciesznią scenkę. Przedstawiali, naprzykład, złodziejaszka; ten zdążył niepostrzeżenie ściągnąć ładny kawał mięsa, ach, jak mu ślinka idzie na myś o smakowitej uczcie, — wtem, w ostatniej chwili, łapią niecnotę. Złodziejaszek broni się, że w żywe oczy, wszystko napróżno: nietylko łup mu odbierają, ale jeszcze i skórę wygarbują. Albo znów przedstawiają zamorskiego lekarza; lekarz, wezwany do chorego, chwali się swoją sztuką, szafuje uczonemi wyrazami, ale nikt nie może go zrozumieć, i wkońcu go wyganiają z domu. Scenki te, rzecz prosta. nie celowały wyszukanym dowcipem; przypominały raczej humor Rzędziana; lecz niewybredna publiczność była wdzięczna i wybuchała głośnym śmiechem, szczególniej podczas scen kłótni i bijatyk.

Lecz oto owa zabawna scenka rodzajowa dostaje się w ręce człowieka i dowcipnego, i poważnego mimo wrodzonej wesołości; człowieka, który zrozumiał, że i pod śmieszną maską można uczyć ludzi wiedzy pożytecznej, byle wziąć się do rzeczy należycie. Był to ojciec komedji — Epicharm. Urodził się nie w Sy-

rakuzach, lecz w niedużem miasteczku nieco na północ od Syrakuz, w Megarze hyblejskiej (Hyblaea), jak nazywano ją w odróżnieniu od jej metropolji w Grecji właściwej. Tu Epicharm wystawił swe pierwsze komedje. Lecz Megara należała do tych miasteczek, które Gelon kazał zburzyć, aby mieszkańców ich włączyć do ludności swych Syrakuz. Razem z nimi przesiedlił się do stolicy Sycylji i Epicharm. I tutaj w okresie rządów Gelona, zwłaszcza zaś Hierona, talent jego szczególnym rozbłysnął blaskiem. Był on człowiekiem na owe czasy szeroko wykształconym: znał poglądy Pitagorasa, które zdążyły z południowej Italji sięgnąć do Sycylji; nie była mu też obca i trudna nauka Heraklita z Efezu, rywala Pitagorasa. Szerokim strumieniem wlał poważną filozofję w wesołe sceny swej komedji.

Do naszych czasów dochowały się z niej, niestety, tylko urywki, tak, że pełni wyobrażenia o komedji Epicharma nie osiągamy. Widać wszakże, że i jego twórczość komedjowa dzieliła się na dwie odmiany: na komedję r o d z a j o w ą i komedję m i t o l o g i c z n ą. O pierwszej nie wiele możemy powiedzieć; zda się, że w jednej z nich («Chłop») odmalował przygody, nieporozumienia i rozczarowania wieśniaka, który dostał się do wielkiego miasta; w drugiej («Pątnicy») zachwyty pątników w Delfach na widok świątyni i jej skarbów; w trzeciej («Nadzieja») przedstawił pasorzyta t. j. pieczeniarza, szczególny okaz ludzki, prosperujący w gościnnych Syrakuzach — okaz, który świetną miał przed sobą przyszłość w komedji późniejszej; w czwartej («Garnki») — pokazuje garncarza, budującego zamki na lodzie na tle bogactw, rojonych w związku z wypalaniem garnków, póki nieszczęśliwy wypadek nie tłucze owych wypalonych garnków i z niemi wszystkich jego nadziei.

Lepiej jesteśmy powiadomieni o mitologicznej komedji Epicharma. W komedjach tego typu zabawnie przeinaczał mity starożytne, podawane przez Homera oraz innych poetów, o bogach i bohaterach, wnosząc w nie wszelakie pocieszne drobiazgi bytu ludzkiego. Takto,

w swoim «Hefeście» przedstawił zniewagę, wyrządzoną przez Herę temu niepokaźnemu synowi. Hefest jednak potrafił wziąć odwet: jako zręczny kowal otoczył tron swej matki cienkiemi niewidzialnemi nićmi metalowemi, bogini siadła i już nie mogła powstać. Próżno bogowie wysyłali doń posłów, aby uwolnił matkę: Hefest pozostawał nieugięty. Nakoniec wysłano Dioniza: czarom tego boga — tęgiemu, słodkiemu winu, Hefest oprzeć się nie mógł. Upojony uległ nastrojowi pojednawczemu i dał się namówić, aby w uroczystym pochodzie wrócić na Olimp i rozwiązać niedostrzegalne pęta.—Ze szczególnem upodobaniem odtwarzał Epicharm plemiennego bohatera Doryjczyków, Heraklesa. Ten pacyfikator świata, wierny przyjaciel ludzi i bogów, przeistaczał się w jego komedjach w nieuskromionego obżercę: gdy Herakles je, szum i łomot pracy jego szczęk rozlega się w całym domu. — Dobry był także «Odys - zbieg». Bohaterski epos opowiadał o jednym z jego walnych czynów: jak, przebrawszy się za żebraka, przekradł się do Troi, dowiedział się wszystkiego, czego należało, o położeniu oblężonych, następnie zaś z temi cennemi wieściami wrócił do swoich. Odys w komedji Epicharma zbyt jednak był rozsądny, aby narażać się na podobne niebezpieczeństwa. Nie, poprostu wyjdzie on z obozu, przeleży cały dzień w jakimś rowie i potem, wróciwszy, opowiadać będzie towarzyszom broni, co tylko ślina mu na język przyniesie: bo i któż może to sprawdzić?

Cóż o tem mamy powiedzieć? Że bez należnego szacunku mówił Epicharm o bogach i bohaterach swego kraju? Że takiż brak szacunku szerzył śród swych współobywateli? Tak sądzić zdolni jesteśmy my, ludzie nowocześni, ale sąd taki byłby niesłuszny. Ci sami obywatele, którzy w teatrze Epicharma śmieli się do łez, patrząc na Herę, przywiązaną do swego tronu, albo na pijanego Hefesta, już następnego dnia kornie modlili się do tej samej Hery o zbawienie ojczyzny, albo, o ile byli to kowale, wzywali tegoż Hefesta, aby patronował ich

ciężkiej pracy. Jedno nie sprzeciwiało się drugiemu. Wiara była żywa, i sami bogowie, jak mniemano, z uśmiechem spoglądali na dobroduszne żarty.

A przecież dotychczas były to tylko żarty; Epicharm jednak niedarmo był uczniem Pitagorasa i Heraklita. Coprawda, zdarzało się, że żartował sobie także i z nich obu. Według nauki Heraklita, nie można dwakroć wchodzić w tę samą rzekę, gdyż po minucie rzeka już nie będzie ta sama; ale podobnie, jak rzeka, „wszystko płynie", po niejakim więc czasie i człowiek nie jest już tym, kim był pierwej. Skorzystał z tego Epicharm; w komedji jego dłużnik uchyla się od zwrócenia pieniędzy wierzycielowi: o żadnym, powiada, długu ani wiem. „Ależ przed rokiem przecie pożyczyłeś odemnie tyle a tyle". — „Otóż to właśnie, że nie ja; ja jestem teraz kim innym, a tamtego, który pożyczał od ciebie pieniędzy, już niema". — Jest to, powtarzam, żart. Epicharm umiał przesycać swe komedje także i poważną mądrością, każąc bohaterom swoim rozprawiać o bardzo wysokich materjach. Śród widzów jego śmiech gasł odrazu, gdy między jednym żartem a drugim padało zdanie w rodzaju takich: „Widzi duch i duch też słyszy, ciałem człek jest głuchy, ślepy". Albo — „Nie patrz, gdzie mięcej, przyjacielu, twardy będzie twój los". Albo (o nieboszczyku) — „Był skupieniem i rozpadł się; wszystko wróciło, skąd przyszło. Ciało do ziemi, duch w górę. Co tu ważkiego? Nic". Albo — „charakter jest dla ludzi dobrym duchem, dla innych złym duchem". Albo — „Nie wymowy dar posiadasz, nie masz daru milczenia ty". Albo — „Tylko za cenę trudu zyskujemy dobrodziejstwa bogów". Albo — „Człowiek mądry powinien nie żałować, ale zapobiegać". Sentencje takie mimowoli ryły się w pamięci widzów i żyły nawet wtenczas, gdy śmiech, wywołany żartami, utonął w niepamięci. One to zapewniły Epicharmowi miano mędrca. Wprawdzie mądrość jego zrazu nie wykraczała poza granice Sycylji, nawet gdy umarł — dożywszy lat dziewięćdziesięciu i napisawszy ogółem trzydzieści pięć komedyj. Ale oto, do Sycylji przyjechał wielki

Platon, chciwie zapoznawał się tutaj z nauką pitagorejczyków — i natknął się na komedje Epicharma. Uderzyły go one swą głębią myśli; wziął je z sobą do Aten — i odtąd zna je świat kulturalny. Współobywatele zaś wystawili swemu najlepszemu poecie pomnik i wyrzeźbili na nim napis:

Jako gwiazd korowody zaćmiewa słońce promienne,
Jako zagłusza gwar strug morze łoskotem swych fal:
Mędrców tak innych przewyższył w zaszczytnem współzawodnictwie
Wieszcz Epicharm, co skroń wieńczył Syrakuz mu lud.

27. TEMISTOKLES I ARYSTYDES.

Dla wszystkich było rzeczą jasną, że zwycięstwo maratońskie tylko na czas pewien ocaliło Ateny i Helladę od pogromu perskiego: wróg był potężny i nie porzucał myśli o wznowieniu wyprawy z siłami znacznie większemi. W czasie tych przygotowań król Darjusz umarł; syn jego, młody Kserkses, nie odrazu mógł jąć się wykonania ojca testamentu. Dzięki temu Hellenowie zyskali dziesięć lat wolnego oddechu, z których należało skorzystać jak najskuteczniej. W Atenach po upadku Miltjadesa największego wpływu zażywali dwaj mężowie stanu — Temistokles i Arystydes.

Obaj wyróżniali się wielkim umysłem, darem słowa i bezgraniczną miłością ojczyzny. W Temistoklesie przymioty te łączyły się z wybitną żądzą sławy: opowiadano, że po zwycięstwie maratońskiem on jeden śród Ateńczyków chodził posępny oraz niezadowolony, na zdziwione zaś pytania przyjaciół odpowiedział słowem, które miało zasłynąć w historji: „Wawrzyny Miltjadesa spędzają sen z moich powiek". Ponadto był bardziej porywczy i pomysłowy od swego współzawodnika; zato Arystydes cieszył się zasłużoną sławą nieskazitelnej prawości — był żywem sumieniem ówczesnych Aten.

Temistokles pierwszy zrozumiał, że, aby ocaleć, Ateny stać się muszą potęgą morską: konieczna była

im flota, a flota wymagała przystani. Dotychczas miejscem postoju nielicznych statków ateńskich była otwarta zatoka Faleronu, jako najbliższa miasta. Temistokles dokazał tego, że przyszłe siły morskie przeniesiono do nieco dalszego Pireusu z jego trzema pięknemi z natury portami. Trudniej było stworzyć flotę; ale i na to znalazł Temistokles środki. W południowo-wschodniej części Attyki wznosiły się góry Lauryjskie, słynne ze swych pokładów srebra; osiągany z nich zysk państwowy w zwykłym czasie dzielono między obywateli, jak to wogóle było przyjęte w Grecji. Temistokles wymógł, aby zysk ten w całości obracano na budowę okrętów. — i praca zakipiała w stoczni attyckiej.

Tymczasem jęła ponownie nadciągać nawała perska. Pomny klęski maratońskiej, Kserkses wrócił do pierwotnej myśli Darjusza — do zamiaru równoległej lądowo-morskiej wyprawy wzdłuż trackiej, macedońskiej i tessalskiej linji brzegowej; ażeby ubezpieczyć się od strony morza, kazał przerzucić most podwójny przez Hellespont i przekopać kanał przez międzymorze Atosu. Wszystkie państwa pobrzeżne poddały się zwierzchnictwu Persów; wszędzie pobudowano twierdze i urządzono ośrodki żywnościowe dla niezliczonej armji. Powoli i planowo gotowano potworną rozmiarami wyprawę. Kserkses poskramiał swą młodą niecierpliwość, pragnąc porazić nieprzyjaciela na pewno.

W obliczu blizkiego niebezpieczeństwa niezbędne były nadzwyczajne zarządzenia. Pierwsza konieczność wymagała, aby naród wybrał sobie jedynego wodza, usuwając na czas pewien jego współzawodników: środkiem ku temu był, jak już wiemy, ostracyzm, wprowadzony przez Klistenesa. W ten sposób kilku możnowładców, przeciwników Temistoklesa, zmuszono do opuszczenia Aten; przyszła też kolej i na Arystydesa. Opowiadają przytem, że pewien włościanin niepiśmienny, niedawno przybyły ze wsi i nie znający Arystydesa z wyglądu, do niego własnie zwrócił się z prośbą o napisanie na skorupce jego imienia. „A cóż Arystydes uczynił ci złego?" — spy-

tał mąż sprawiedliwy ze zdumieniem. „Nic,— odparł włościanin — ale sprzykrzyło mi się słuchać wciąż, jak wszyscy nazywają go sprawiedliwym". Arystydes spełnił jego prośbę i potem, gdy ogłoszono wynik ostateczny, bez szemrania opuścił Ateny.

Konieczną następnie rzeczą było pomyśleć o jednolitem kierownictwie także nad całą Helladą. Sparta sprawowała powszecznie uznaną hegemonję; zwołała tedy na Istmos, szaniec Peloponezu, zjazd przedstawicieli państw greckich dla pokierowania sprawą obrony narodowej — duszą zaś tego zjazdu był Temistokles.

Groźne wypadło tu usłyszeć wieści. Za przykładem Darjusza, również i Kserkses rozesłał do państw greckich pełnomocników swych z żądaniem «ziemi i wody». I wiele państw mu się poddało. Ulegały mu miasta wyspiarskie — przy swej słabości nie mogły liczyć na pomyślny opór. Poddała się Tessalja, poddały się Teby, ośrodek związku beockiego — tutaj położenie było takie samo, jak w Atenach przed Solonem, i bogaci ziemianie spodziewali się, że król perski obroni ich od ludu bezrolnych.

Ale najsmutniejszem zdarzeniem była zdrada, jakiej przeciwko sprawie helleńskiej dopuściły się Delfy, owo «ognisko całej Hellady». Tu przyczyna tkwiła gdzieindziej: po upadku Krezusa, Delfy zawarły sojusz z Persami i spodziewały się, że z ich pomocą staną się ogniskiem już nie wszechhelleńskiej, lecz wszechświatowej religji. W tym celu starały się one wmówić w Hellenów, że Persowie byli potomkami Perseusza, prastarego króla Argosu, i, co za tem idzie, nie barbarzyńcami, lecz także Hellenami. I rzeczywiście udało się im oderwać Argos od wspólnej sprawy, udzieliwszy mu na jego zapytanie następującej wróżby:

Grodzie sąsiadom niemiły lecz miły potęgom niebieskim
Broni krwiożerczej nie wynoś za progi swoich pałaców
I przedewszystkiem chroń głowę: tkwi w głowie i ciała ratunek.

Chcieli kapłani delficcy nastraszyć i Ateny groźną przepowiednią:

Olimpijskiego nie zdoła ubłagać Zeusa Pallada —
Próżno się doń i mową i myślą wstawia za wami.
Ty zasię słuchaj mych słów: jako stal jest niezłomne, co rzekę:
Wszystko posiędzie wróg, od skalistej Kekropsa warowni
Hen, aż po jar Cyteronu boskiego, lecz jedno ostanie:
Mur swej córze drewniany daruje szerokowidzący
Zeus, by nie zburzył go nikt: wasze dzieci i was on ocali.

Ale Ateny wierne pozostały sprawie powszechnej, wzmiankę zaś o murze drewnianym rozumnie w porze właściwej spożytkował Temistokles, jak zobaczymy niebawem. Hellenowie, zgromadzeni na Istmosie, ogłosili za zdrajców tych wszystkich, kto przeszedł na stronę barbarzyńców, oprócz, jednakże, boga delfickiego: wobec niego nietylko się ukorzyli, ale nadto ślubowali, że w razie zwycięstwa, poświęcą mu dziesięcinę ze zdobytego łupu.

Zdrada Tessalczyków zmusiła Hellenów do zaniechania pierwiastkowego planu, aby spotkać nieprzyjaciela u podnóża Olimpu: postanowiono opuścić całą Grecję Północną i stawić mu opór nad zatoką, która oddziela ją od średniej. Tutaj stoki góry Ety, podchodząc ku morzu, tworzą wąwóz, który wskutek swych źródeł gorących otrzymał imię Termopil, t. j. «ciepłej bramy». W wąwozie tym nieliczna nawet armja może z powodzeniem stawić czoło o wiele groźniejszej sile. Druga korzyść tej miejscowości polegała na tem, że i morze tutaj zawarte jest w wązkiej stosunkowo cieśninie między lądem a północnym brzegiem Eubei, dając nielicznej względnie flocie greckiej taką samą przewagę, jaką Termopile zapewniały wojsku. Pod wpływem tych rozumowań król Sparty Leonidas z czterema tysiącami Greków — trzystu z pośród nich byli to Spartanie — zajął Termopile, flotę zaś związkową skierowano na wody sąsiednie ku Artemision, t. j. tam, kędy na wysokim przylądku bielała świątynia Artemidy, bogini-patronki tego kraju. Wszystkich okrętów było około tysiąca; dowodził niemi admirał spartański Eurybiades, lecz duszą sprawy był i tutaj Temistokles, wódz dwustu wybudowanych przez siebie statków ateńskich.

Wkrótce nawała Kserksesa ukazała się u Termopil, a jednocześnie wody Artemisjonu pociemniały od jego nieprzeliczonej floty. Myśl Leonidasa, aby zatrzymać niezwalczony potok jego wojska, wydała się królowi Persów niedorzecznem zuchwalstwem. Wyprawił doń herolda z żądaniem, aby Grecy złożyli broń. „Niech przyjdzie i weźmie ją"—krótko, «lakonicznie», odpowiedział Spartanin. „Od strzał naszych zaćmi się nad wami słońce!" ciągnął dalej Pers. „A więc będziemy walczyli w cieniu", odparli Spartanie. Herold odszedł z niczem.

Ale zdobyć wąwóz okazało się rzeczą niełatwą. Persowie nie mogli rozwinąć długiego frontu, aby nieprzyjaciela ogarnąć, przy równej zaś linji bojowej Grecy, broniący ziemi rodzinnej, brali wciąż górę. Niebawem wąwóz zapełniły stosy trupów perskich, a stanowiska Greków pozostawały niezdobyte. Tak trwać mogło bez końca. Stanowczo, lepiej byłoby obejść wąwóz i uderzyć na Greków z tyłu. Ale jak znaleźć ścieżkę śród urwistych skał Ety? Miejscowa ludność znała taką ścieżkę, ale ani nagrody, ani męki nie mogły jej skłonić, aby wydała najeźdcom Termopile i całą Helladę.

Nareszcie, znalazł się zdrajca i pośród niej: był to niejaki Efialtes. I oto wchwili, gdy Leonidas uderzył ze zwykłem męstwem, przybiegli doń ludzie z wieścią, że barbarzyńcy już przeprawili się przez Etę i schodzą z jej południowego zbocza. Wtenczas zrozumiał Leonidas, że musi zginąć. Przerwawszy bitwę, rozkazał związkowcom, aby opuścili wąwóz, dopóki przejścia są wolne: „Wy możecie to uczynić", rzekł, „nam zaś prawo na to nie zezwala". Wszelako nieduży zastęp beockiego miasteczka Tespjów pozostał przy Leonidasie i jego trzystu Spartanach. W krótkim czasie zostali otoczeni. Posypały się ciosy ze stron obu. Wszyscy, co do jednego, polegli helleńscy bohaterowie. Teraz dopiero brama do Hellady stanęła otworem dla króla Persów (r. 480).

Jednakowoż Leonidas i jego woje polegli niedarmo. Nie mówiąc już o tem, że zatrzymywali oni na czas pewien wroga i dotkliwe zadali mu straty, czyn ich stał

się porywającym przykładem, i po wsze czasy pamięć o «Leonidasie w Termopilach» pobudzać będzie do współzawodnictwa bojowników, walczących za wolność kraju przeciwko najazdowi wrogów. Hellada zaś, skoro minęła inwazja, uczciła godnie swych bohaterów: usypała im kurhan na miejscu, gdzie polegli, i na kamieniu grobowym wyrzeźbiła napis:

O wędrowcze, gdy przyjdziesz do Sparty, ludowi jej powiedz,
Że w myśl ojczyzny swej praw, kości złożyliśmy swe.

Po upadku Termopil zjednoczone eskadry greckie nie miały już co czynić pod Artemision, gdzie kilkakrotnie z honorem, acz bez rozstrzygającego powodzenia ścierały się z nieprzyjacielem. Cofnęły się wzdłuż cieśniny, idącej między Eubeą a pobrzeżem beockiem, pociągając za sobą flotę Persów. Tak dotarły one do zatoki Saronickiej i wyspy Salaminy.

Ateny były w skrajnej rozterce: wojsko związkowe stało na Istmosie, Attyka wydana była na łup wroga. Temistokles i teraz potrafił wzmóc ducha swego ludu. Przekonał obywateli, aby poniechali daremnego oporu w murach miasta, przewieźli kobiety i dzieci na wyspy oraz do Peloponezu, sami zaś siedli na okręty. „Oto—powiadał, wskazując na flotę, stojącą u Salaminy, — ów mur drewniany, który Zeus ofiaruje patronce naszej Palladzie!" Ateńczycy poszli za jego wezwaniem. Mieszkańcy Peloponezu z braterską miłością przyjęli pośród siebie żony i dzieci bezdomnych. Wyróżnili się zwłaszcza obywatele miasta Trezenu w Argolidzie, którzy nietylko bezinteresownie utrzymywali uchodźców, ale wezwali nauczycieli, aby dziatwa ateńska nie przerywała swej pracy szkolnej.

Kserkses, wkroczywszy na ziemię Attyki, zastał tylko bezludne pola oraz puste budynki we wsiach i miastach. W bezsilnej wściekłości rozkazał wszystko spalić doszczętnie. Rozkaz jego wykonano, i łuna pożaru nad Akropolem oznajmiła skupionym pod Salaminą Ateńczykom o zniszczeniu ich ojczyzny,

Tam, pod Salaminą, także wrzał niepokój. Naczelnicy eskadr peloponezkich żądali od Eurybiadesa, ażeby

uprowadził flotę pod Istmos, gdzie stało zjednoczone wojsko. Temistokles napróżno im dowodził, że tak korzystnego położenia, jak pod Salaminą, tam nie znajdą; małoduszność brała górę, chciano być jaknajbliżej swoich. Wtenczas odważył się na krok ostateczny. Miał on wiernego sobie niewolnika, rodem Persa, którego uczynił piastunem swoich dzieci. Tego to niewolnika wyprawił do obozu wrogów z wiadomością dla króla, która głosiła mniej więcej, co następuje: „Ja, Temistokles, tajny twój stronnik, uprzedzam cię, że Grecy postanowili rozproszyć się do domów. Radzę ci zapobiec temu: teraz możesz pokonać ich wszystkich za jednym zamachem, nie zaś każde miasto zosobna." Wysławszy go, z zamierającem sercem jął czekać dalszych wypadków.

O świcie dnia następnego przyszedł doń gość niespodziewany: był to jego dawny przeciwnik, Arystydes, który wrócił z wygnania, aby pomóc ojczyźnie w godzinie opresji. Przyniósł z sobą wiadomość, że wyjście z cieśniny salamińskiej było zamknięte przez eskadrę perską, posłaną przez króla, by przeciąć Grekom odwrót, i że bój wobec tego był nieunikniony. Ku jego zdumieniu, Temistokles powitał nowinę tę z radością; opowiedział mu o swym podstępie i poprosił go, aby sam przedstawił, jak rzeczy stoją, na radzie wodzów.

Bitwa się zaczęła. Okręty Persów były wielokroć liczniejsze od greckich, ale co do sztuki, ich marynarze nie mogli równać się z Grekami. Główny sposób ich polegał na tem, aby, stojąc na pokładzie, szyć w nieprzyjaciela gradem strzał. Grecy, natomiast, potrafili samych okrętów zażywać, jako narzędzi boju: starali się bądź przebić statek nieprzyjacielski nieoczekiwanym ciosem w burtę, bądź, wypatrzywszy chwilę, gdy osuszał on wiosła, podpłynąć tuż obok i strzaskać je, tak, że statek tracił możność ruchu. Temi zręcznemi sposoby wnieśli oni zamęt do floty nieprzyjacielskiej. Cofając się w bezładzie, okręty Persów najeżdżały na siebie, tłocząc się na niedużej przestrzeni, tak, że w ogólnym wyniku więcej ich zginęło w walce wzajemnej, niż w starciu z Grekami.

Oczywiste powodzenie podwoiło odwagę Hellenów. Skoro słońce jęło kłonić się ku zachodowi, cała cieśnina Salaminy napełniła się odruzgami perskich okrętów i trupami żeglarzy; Hellenowie walne odnieśli zwycięstwo. Taki był niespodziewany wynik bitwy morskiej pod Salaminą (r. 480).

Króla Kserksesa śród walczących nie było: zbudowano dlań namiot wspaniały na górze Egaleju, wznoszącej się naprzeciwko Salaminy, aby był świadkiem swego zwycięstwa i mógł wedle zasług nagrodzić swych dowódców. Teraz, gdy dzień zamiast zwycięstwa przyniósł mu klęskę i oddał morze we władzę Hellenów, główny wódz jego Mardonjusz poradził mu zabrać część wojska i wracać corychlej do Azji, dopóki drogi odwrotu nie są jeszcze odcięte. Król usłuchał tej rady; był to odwrót opłakany, i z niewielu z pośród mnóstwa pozbawionych sławy dotarł, nakoniec, do Sardów i Lidji.

Teraz jedyną nadzieją Persów było wojsko lądowe, pozostawione pod wodzą Mardonjusza. Ale zato była to nadzieja bardzo mocna, gdyż wojsko to wielekroć przewyższało zjednoczone zastępy greckie. Ze spustoszonej Attyki Mardonjusz przeprowadził je na zimowe leże do urodzajnej Beocji, gdzie bazą dlań stały się przyjacielskie Teby i, dalej, bogate pola Tessalji.

Ateńczycy mieli możność tymczasowo powrócić na swe zgliszcza i zająć się planem działania na rok następny. Jasną było rzeczą, że po zniweczeniu morskich sił nieprzyjaciela następnym zadaniem floty była tradycyjna idea Hellenów a zwłaszcza Ateńczyków—wyzwolenie Jonji z jarzma perskiego. Ponieważ zaś wskazanem było zatrzymać Temistoklesa w środku głównych działań, przeto naczelnikiem eskadry ateńskiej mianowano Ksantyppa — tego samego, który niegdyś oskarżył Miltjadesa. Dowództwo zaś nad całą flotą sprzymierzoną objął król Sparty Leotychides. O właściwej porze skierowali się oni ku wybrzeżom azjatyckim. Przed armją lądową, ciągle jeszcze stojącą na Istmos, zadanie rysowało się samo przez się: rozgromienie sił Mardonju-

sza. Dowódcą oddziału ateńskiego obrano Arystydesa, wodzem zaś naczelnym całej armji był drugi król Sparty, Pauzanjasz, brat Leonidasa.

Z nastaniem wiosny nawała Mardonjusza znów zalała nieszczęsną Attykę, niszcząc wszystko, co ocalało od pierwszego pogromu: jednakowoż latem wieść o nadciąganiu wojska związkowego zmusiła Persów do zajęcia stanowisk po tamtej stronie Cyteronu w dzielnicy miasta beockiego Platej, ażeby nie ulec odcięciu od swej bazy w Tebach. Owe Plateje, podobnie jak Tespje, oderwały się od Teb i przyłączyły się do wspólnej sprawy wszystkich Hellenów. Główna siła Mardonjusza polegała na jeździe; stanął tedy wśród równiny na brzegach Asopu i czekał, aby Grecy zstąpili ze stoków Cyteronu, licząc, że ich wtenczas zmiażdży. Ale właśnie dlatego Grecy ani myśleli zstępować w dolinę. Tymczasem Mardonjusz dowiedział się, że flota związkowa odpłynęła do Azji Mniejszej. Wywołało to w nim obawę, że nieprzyjaciel owładnie także i Hellespontem i Bosforem, i odetnie go w ten sposób od ojczyzny. Pod wpływem tych obaw postanowił on za pomocą swych strzelców zaatakować górskie stanowiska Hellenów. Pauzanjasz tylko na to czekał. Runąwszy z wysokości na strzelców, sprał ich i przepędził zpowrotem na równinę, gdzie wnieśli zamieszanie także i wpośród jazdy. Zwycięstwo Greków było zupełne. Sam Mardonjusz poległ, walcząc mężnie, jego zaś zastępca uprowadził resztę rozgromionego wojska z Hellady. Hellespont jednakże zastali już w rękach Hellenów i zmuszeni byli przedzierać się do ojczyzny drogą okólną, przez Bosfor. Oswobodzenie Hellady było ostatecznym wynikiem tej bitwy pod Platejami, największej w całych dziejach Grecji (r. 479).

Radość oswobodzonych była niesłychana. Pauzanjasz i Temistokles stali się bohaterami dnia; niezmierne zaszczyty były ich nagrodą. W powszechnem uniesieniu przebaczono nawet zdrajcom; Tebańczykom jedynie kazano wydać swych przywódców, aby przykładną ponieśli

karę, pozatem grzywnę kazano tu i owdzie zapłacić tym, którzy pokwapili się z posłaniem królowi perskiemu «ziemi i wody». Obietnicy, danej bogu delfickiemu, oczywiście, święcie dotrzymano. Ofiarowano świątyni złoty trójnóg na podstawie z trzech miedzianych splątających się ze sobą wężów, zwycięzca zaś z pod Platej kazał wyryć na niej dumny napis:

Wódz Hellenów Pauzanjasz, zniszczywszy Medów potęgę,
Pamięć zwycięstwa czcząc, święci Febowi ten dar.

Później, gdy Pauzanjasza dosięgnął ten opłakany los, o którym wypadnie nam dopiero mówić, Spartanie kazali zatrzeć ten napis i zastąpić go prostem wyliczeniem helleńskich państw, które brały udział w boju płatejskim. Trójnóg, rzecz prosta, zaginął, ale jego podstawa miedziana z napisem stoi dotychczas w Konstantynopolu, dokąd przeniesiono ją po wielu stuleciach.

W najgodniejszy atoli sposób uczczono zwycięstwo nad Persami w Atenach. Poeta Eschyl, uczeń i następca wyżej nadmienionego Frynicha, sam będąc uczestnikiem boju i pod Maratonem i u Salaminy, zrobił czyn Temistoklesa przedmiotem dochowanej do czasów naszych tragedji «Persowie». Jest to nietylko perła poezji, ale i zdumiewający pomnik wspaniałomyślności helleńskiej: ani słowa chełpliwości, wszystko przeniknięte wdzięcznością wobec bogów, „którzy ocalili gród Pallady", i względnością dla pokonanego i poniżonego nieprzyjaciela. Poeta pokazuje nam troskę i niepokój królowej-matki, zatrwożonej o wojsko, które poszło na wyprawę; maluje jej rozpacz na wieść o klęsce salamińskiej, obrzędy tajemnicze, za których pomocą wywołuje ona z grobu duszę swego zmarłego męża Darjusza, ażeby ten dał jej słowo rady w tej ciężkiej godzinie, na końcu zaś — nieszczęście samego Kserksesa, opłakującego śmierć tylu sług wiernych.

Wystawiona w obliczu zburzonych świątyń Akropolu, tragedja ta zjednała swemu poecie pierwszą nagrodę — nagrodę, którą Ateńczycy uczcili sami siebie przed trybunałem potomnych.

Te wszakże wypadki zaszły już nieco później. Wracajmy do zdarzeń r. 479.

Tymczasem i flota grecka zaszczytnie wypełniła zadanie, które jej powierzono. Wojsko perskie i perska flota obrony brzegowej zajęły mocne stanowisko pod górą Mikalą opodal Miletu; Grecy, ufni w zwycięstwo, zgodnie uderzyli na wroga i rozbili go na głowę. Teraz Jonja była wolna; jej miasta z niebywałą jednomyślnością powstały, strąciły nienawistnych tyranów, narzuconych sobie przez Persję, i oznajmili Grekom, że pragną przystąpić do ich związku.

Niemożna było pragnienia tego odtrącać: nie pozwalał na to honor. Lecz przyjąwszy Jończyków do związku, konieczną było rzeczą zapewnić im obronę i przytem zapomocą floty. Na tem zasadzała się trudność. Pierwszą potęgą morską stały się, dzięki Temistoklesowi, Ateny; udział Sparty był nieznaczny, i tylko swej hegemonji na lądzie zawdzięczała ona to, że pozostawiono jej także dowództwo flotą ogólną. Skoro zaś — wskutek przyłączenia Jonji — flota stawała się głównym orężem Grecji, to w nieuchronnej konsekwencji hegemonja od Sparty przejdzie do Aten. Tak rozmyślał sam w sobie zwycięzca z pod Mikali, król spartański Leotychides. Radził on tedy, aby, nie odrzucając prośby Jończyków, przetransportować ich do Grecji europejskiej i przekazać im ziemie, odebrane zdrajcom. Wszelako wódz ateński Ksantyp przeciwstawił się temu planowi, i inni przyłączyli się do niego. Jończycy zostali przyjęci do związku, flota doprowadziła do końca ich wyzwolenie przez zagarnięcie także i Hellespontu, a potem wróciła do kraju, przekazując na rok następny ostateczne rozstrzygnięcie sprawy jońskiej.

Temistokles był wciąż jeszcze kierownikiem polityki ateńskiej. Współdziałając z nim w zgodzie zupełnej, Arystydes na czele floty, lecz tymczasem jeszcze jako podwładny Pauzanjasza, udał się na wody Hellespontu. I tutaj dumny Pauzanjasz jął z niepokojem dostrzegać, że hegemonja coraz bardziej z rąk jego się wymyka. Jego maleńka eskadra spartańska nie budziła w sojusznikach

jońskich żadnego zaufania, coraz więcej lgnęli oni do Arystydesa i jego pomocnika Kimona, syna bohatera Maratonu. Skończyło się na tem, że powstał istotny związek morski z Atenami na czele: wszystkie państwa nadmorskie zgłosiły doń swój udział. Jedne zobowiązały się dostarczyć statków do floty związkowej, drugie — pieniędzy do związkowego skarbca. Rozmiary jednej i drugiej pomocy wyznaczył Arystydes, i przytem tak sprawiedliwie, że «podział Arystydesa» stał się i w późniejszych czasach hasłem związkowców. Skarbiec związkowy powierzono opiece świątyni Apollina na Delosie, wskutek czego i sam związek otrzymał miano związku Delijskiego.

Spełniło się tedy marzenie Pizystrata: Ateny stały na czele związku, ogarniającego wyspy i pobrzeża morza Egejskiego, z Delosem w ośrodku. Nie był to jednak związek tyranów, ale związek państw wolnych, dumnych z odniesienia wspaniałego zwycięstwa nad wrogiem.

Sparta się poddała. W gruncie rzeczy prawa jej nie były naruszone: związek morski, wprawdzie, uznał hegemonję Aten, ale zato Ateny wciąż jeszcze uznawały hegemonję Sparty. Hegemonja owa była zapewniona, dopóki Ateny, których mury zburzone zostały przez Persów, były miastem otwartem, bezbronnem wobec wtargnięcia z Istmosu sił peloponezkich. Dlatego też Sparta przeciwiła się odbudowaniu tych murów. Swój sprzeciw uzasadniła ona pozornie przekonywającą obawą, aby Persowie, po raz drugi rozgromiwszy Attykę, nie skorzystali z umocnionych Aten, jako z twierdzy przeciwko Hellenom.

Wszelako Temistokles, rzecz jasna, rozumiał istotną przyczynę tego sprzeciwu. Zarządził więc, aby jaknajniepostrzeżeniej zacząć budowę murów i wokół Akropolu, i wokół całego miasta. Przez pewien czas tajemnicy dochowano; ale do końca dochować jej było niepodobna. Sparta wystąpiła z protestem. Temistokles zaproponował Ateńczykom, aby jego właśnie wyprawiono w poselstwie do Sparty, i tam, udawszy zdumienie, poprosił Spartan, aby wysłali posłów do Aten i przekonali się, że żadnych

murów tam się nie buduje. W Atenach zaś tajny pozostawił nakaz, aby posłów spartańskich nie wypuszczano póty, póki on sam nie wróci. Budowa murów tymczasem odbywała się z gorączkową szybkością; gdy nareszcie mury już były wzniesione, Temistokles nagle oświadczył Spartanom, że Ateny rzeczywiście na mocy prawa, przysługującego wszystkim państwom niepodległym, obwarowały siebie murem, i że jeśli Spartanie pragną powrotu swoich posłów. to niechaj wypuszczą go całego i zdrowego.

Sparta uległa poraz drugi; ale Temistokles stał się jej odtąd nienawistny, jako wróg jej hegemonji, i postanowiła ona go zgubić.

Lecz dlaczego—można zapytać,—Sparta nie poszła za przykładem Aten i sama nie zbudowała potężnej floty, aby zachować swą hegemonję także i na morzu? Przyczyna była polityczna. Okręt wymaga, oprócz żołnierzy, także wioślarzy i żeglarzy. W Atenach służbę taką pełnili tetowie (p. wyżej), również Ateńczycy, tylko ubodzy. Zwycięztwo salamińskie było w znacznym stopniu ich dziełem. Żądali oni za nie nagrody, i nagrodę otrzymali od Arystydesa, który zrównał ich w prawach z obywatelami klas starszych. Ale w Sparcie tetom odpowiadali heloci; ci ostatni byli to przeważnie podbici Messeńczycy, którzy święcie strzegli testamentu Arystomenesa i nienawidzili Sparty ze wszystkich sił swej duszy. Czyż można było żywiołowi tak nieprzejednanemu powierzyć okręty spartańskie?

W taki to sposób krzywda, wyrządzona ongi bratniej Messenji, wciąż dawała się jeszcze we znaki, powstrzymując wzrost potęgi Sparty, w oczekiwaniu owego dnia, w którym stanie się przyczyną jej zguby.

Wyniosły duch Pauzanjasza nie mógł zapomnieć upokorzenia, którego doznał na wodach Hellespontu. Opanowawszy Bizancjum nad Bosforem, zawiązał on stamtąd stosunki z perskim satrapą Frygji. Skoro zaś Ateńczycy, dowiedziawszy się o nich, spowodowali jego odwołanie do kraju, jął się on porozumiewać z helotami, obiecując

im wolność i równoprawność pod warunkiem, że go wesprą w jego ambitnych zamysłach. Chciał on z ich pomocą stać się panem Sparty, ażeby następnie uczynić Spartę panią całej Hellady i na lądzie i na morzu.

Powodzenie mu nie dopisało. Każdy krok jego był skrycie śledzony. Zebrawszy bezsporne dowody jego spiskowania z helotami, wrogowie jego wydali go sądowi. Przewidując swą zgubę, Pauzanjasz umknął do spartańskiej świątyni Ateny Miedzianolitej, której przysługiwało prawo schronu: tam nie wolno było ścigać nikogo. Na rozkaz władz wchód do świątyni zamurowano. Wieść niesie, że matka rodzona Pauzanjasza, przekonawszy się, że syn jej jest zdrajcą, pierwsza rzuciła kamień na próg miedzianego domu bogini.

Tak bezsławnie zginął król Sparty, bohater zwycięztwa pod Platejami. Wszelako Spartanie na zgubie jego nie poprzestali. Chcieli wciągnąć w nią i nienawistnego sobie Temistoklesa i oskarżyli go o współdziałanie w knowaniach Pauzanjasza. Rzeczywiście, Pauzanjasz, przeczuwając, że dla ambicji zwycięzcy salamińskiego zbyt ciasne się staną demokratyczne Ateny, wtajemniczył go w swe rokowania z perskim satrapą. Temistokles uchylił się od współdziałania, lecz wrodzona mu szlachetność nie pozwoliła na zaufanie odpowiedzieć donosicielstwem. W taki to sposób w schwytanej korespondencji Pauzanjasza znalazły się i pisane doń listy Temistoklesa; one też stały się podstawą oskarżenia.

Gorzkie chwile wypadło wtenczas przeżyć Temistoklesowi: do jego wrogów spartańskich przyłączyli się i ci, których zyskał on w Atenach swą polityką stanowczą, a nieraz i szorstką. Zachowała się wieść, że, kiedy Symonides, jeden z wybitnych poetów ówczesnych, który wtedy właśnie wydawał «sztukę zapamiętywania» (t. zw. mnemonikę), chciał sztuki tej wyuczyć Temistoklesa, — bohater z goryczą odrzekł: „Naucz mnie lepiej sztuki zapominania". Nakoniec, zjednoczone wysiłki wrogów osiągnęły cel: dokonano ostracyzmu, i zwycięzca z pod Salaminy musiał opuścić Ateny.

Poza Atenami ścigali go Spartanie tem zacieklej, nigdzie nie dając mu spokoju. Prześladowany przez ich wysłanników, znalazł się on wreszcie poza obrębem świata greckiego, u króla Epiru, Admeta, jednego ze swych najzawziętszych wrogów. Na szczęście, króla nie było w domu w chwili, gdy Temistokles wszedł pod jego dach. Królowa, uczuwszy litość nad wielkim tułaczem, podała mu swego niemowlęcego syna, z którym ten siadł przy ognisku: śród mieszkańców Epiru był to najsilniejszy obrzęd t. zw. «hikesji», t. j. błagalnictwa. Admet, wróciwszy, musiał uszanować swego petenta: dzięki niemu Temistokles otrzymał okręt, który odwiózł go do Persji.

Tam panował wtenczas syn zmarłego Kserksesa. Ucieszył się on niewymownie z przyjazdu Temistoklesa, upatrując w nim rękojmię przyszłych zwycięztw. Nie bacząc na niezadowolenie niektórych swoich dworzan— jeden z nich podczas przyjęcia gościa gniewnie krzyknął: „sam zły duch króla sprowadził cię tutaj, pstra żmijo helleńska!" — król niebywałe świadczył mu zaszczyty, podarował mu miasto greckie Magnezję (nie nadmorskie i przeto jeszcze mu podwładne), oczekując odeń pomocy w nowej wyprawie przeciw Jonji. Temistokles, jednakże, uprosił króla, aby mu dano czas na poznanie języka perskiego, na co Artakserkses — tak nazywał się król — przystał.

Wkrótce po opuszczeniu Aten przez Temistoklesa umarł jego dawny przeciwnik a niedawny przyjaciel, Arystydes; umarł cicho, w podeszłym wieku, przez wszystkich szanowany i kochany, uwieńczywszy dzieło swego życia stworzeniem związku Delijskiego. Dokonał życia w ubóstwie; człowiek, przez którego ręce przepłynęło tak wiele złota związkowego, nie zostawił po sobie tyle choćby pieniędzy, ile trzeba było na pogrzeb. Pochowali go wszyscy Ateńczycy, uroczyście, na koszt państwa.

Lecz oto upłynęła zwłoka, udzielona Temistoklesowi, i król, gorejący niecierpliwością, aby pomścić rodzica, przypomniał mu o długu wdzięczności. Wtenczas stanowczość opuściła Temistoklesa: żal mu było swego sa-

lamińskiego trofeum. Zapowiedział on uroczystą ofiarę, jakgdyby szykując się na wyprawę, — i podczas uczty ofiarnej odebrał sobie życie. Szczątki jego przeniesiono z czasem do ojczyzny i złożono w zbudowanym przezeń Pireusie, gdzie po dzień dzisiejszy pokazują jego grób.

28. ESCHYL.

Wśród tych, którzy krew swą przelewali za wolność Hellenów na polach Maratonu i na falach zatoki Salamińskiej, walczył mąż, któremu bóstwo, zdało się, wytknęło inną drogę działalności: był to Eschyl. Wszelako rzetelnie i walecznie spełnił on swą powinność obywatelską narówni z szeregowcami, nie szczędząc swej szczytnej duszy. Był on świadkiem zguby swego brata, który poległ śmiercią bohaterską w ostatniej potyczce przy okrętach perskich na wybrzeżu maratońskiem. Jego samego ocaliła łaska bóstwa, ażeby mógł on stać się nauczycielem Hellenów — i naszym.

Czasowe cierpienia i końcowy tryumf Aten w ich świętej walce z wrogiem-najezdnikiem były drugą szkołą dla wrażliwej duszy Eschyla: umocniła ona jego wiarę w opatrzność bożą, w świętość ołtarza Prawdy, córy Zeusa. Wiara ta jednak w sercu jego była zaszczepiona już wcześniej dzięki dzieciństwu i latom pacholęcym, spędzonym w pobożnem środowisku jego rodzinnego miasta — attyckiej Eleuzyny. „Demetra wykarmiła mój umysł" — mówił on później, owa Demetra, która, ustanowiwszy swe misterja, postawiła życie nieskazitelne na ziemi jako warunek wiecznej szczęśliwości w jej raju. Nauka Demetry — była to właśnie pierwsza szkoła, którą przeszedł Eschyl. Jej potwierdzeniem był dramat, corocznie wystawiany wobec wtajemniczonych w eleuzyńskiej świątyni misterjów; dramat o porwaniu Kory przez króla podziemi, o tułactwie jej matki Demetry, o powrocie Kory z podziemnego królestwa, o jej złączeniu ponownem z matką — o nieśmiertelności naszej duszy i wiecznej szczęśliwości ludzi dobrych.

Demetra uczyniła Eschyla poetą; lecz polem jego działalności były Ateny, i tutaj znalazł on inny dramat, ten, który wprowadził Tespis na wezwanie Pizystrata: dramat Dioniza, wystawiany w jego wielkie święto marcowe. Pół wieku minęło od czasu ustanowienia, i przez te pół wieku był on przedmiotem zaciętej walki dwóch kierunków, poważnego oraz wesołego. Zwolennicy kierunku poważnego brali tematy z podań dziejów bajecznych, przedstawiając los bogów i bohaterów, cierpienia, zbrodnie, wielkie czyny, a niekiedy wprowadzając do swych dramatów także i wypadki najbliższej współczesności. Taki był ów Frynichos, którego dramat o upadku Miletu tak wzruszył Ateńczyków. Zwolennicy kierunku wesołego znajdowali, że smutek i łzy nie są właściwe podczas świąt radosnego boga. Chór swych tragedyj tworzyli oni ze swawolnych towarzyszów Dioniza, zlekka kozłokształtych satyrów, i wyszukiwali dla nich treść odpowiednią... Właśnie «tragedyj»: wszak greckie tragos oznacza «kozioł»; samo słowo tragedja (dosłownie «pieśń kozłów») pierwotnie łączyło się z tym dramatem «satyrowym» kierunku żartobliwego i z czasem dopiero przeszło do dramatu poważnego.

I jeden i drugi, zresztą, były jeszcze bardzo niedoskonałe z naszego stanowiska. Składał się on więcej niż w połowie z pieśni chóru, liczącego 12 mężczyzn, śpiewających to razem, to naprzemian z przodownikiem. Poza owym chórem poeta rozporządzał jednym tylko aktorem. Aktor ten występował w rozmaitych rolach między pieśniami chóru, to opowiadając mu o tem, co zaszło za sceną, to wszczynając ożywioną rozmowę z koryfeuszem chóru. Tak musimy wyobrażać sobie i «Upadek Miletu» wyżej nadmienionego Frynicha. Nie myślcie, że tutaj, jak np. u Shakespear'a w jego «Juljuszu Cezarze» albo «Ryszardzie III», przedstawiano bitwy, szturm miasta, zwały poległych, jęki rannych i konających. Nie, na scenie, a właściwiej, na orkiestrze stał chór, składający się z ojców lub matek, albo żon i sióstr wojowników; ku nim podchodził w rozstępach między pieśniami

albo wódz, albo herold z pobojowiska i opowiadał o tem, jak bogowie rozstrzygali los miasta; słychać było płacz i jęki, ale nie z ust rannych i konających, tylko z ust samego chóru. Było to tedy nie to, co dziś nazywamy dramatem lub tragedją, raczej coś w rodzaju naszej kantaty: akcja nie rozgrywała się przed oczami widzów, tylko opowiadano o niej, główny zaś czar tragedji stanowiły pieśni chóru. Frynich był istotnie mistrzem w układaniu pieśni: śpiewano je w Atenach jeszcze długo po jego śmierci.

I oto do sporu obu kierunków wmięszał się Eschyl. Będąc w zażyłych stosunkach z kierownikami Aten ówczesnych, cieszącymi się zaufaniem ludu, otoczony sławą swoich czynów orężnych na polu walki, pogodził on ze sobą spierające się obozy, zadowalając obie strony. Każdy poeta, pragnący brać udział w zawodach, obowiązany był przedstawić trzy tragedje poważne (t. zw. «trylogję») i ponadto jeden dramat satyrowy. Owe cztery dramaty razem wzięte, (t. zw «tetralogja») wypełniały cały dzień. Składało się w ten sposób pomyślnie, że schyłek dnia, gdy uwaga widzów była już znużona, zajmował dramat krotochwilny, dający możność odpoczynku i rozrywki. Ogółem bywały trzy dni poświęcone zawodom tragedjopisarzy; za każdym razem, tedy, wystawiano trzy tetralogje, razem dwanaście dramatów. Co do objętości ustępowały one znacznie naszym teraźniejszym dramatom pięcioaktowym; pieśni chóru, jak dawniej, zajmowały w nich dużo miejsca.

Jednakowoż Eschyl na tem nie poprzestał: marzył on o tem, aby tragedję z kantaty przekształcić w dramat. Główną przeszkodę stanowiła niemożność toczenia prawdziwej rozmowy dramatycznej, t. zw. djalogu. Aktor, coprawda, występował w kilku rolach i mógł toczyć gawędę z koryfeuszem chóru; ten ostatni wszakże wykonywał od początku do końca jedną tylko rolę, nadomiar bezosobową. Weźmy, dajmy na to, tragedję Edypa. Jak można ją było przedstawić, skoro nie było możności pokazania bohatera w rozmowie z Tyrezjaszem, z Jokastą,

z Kreontem? A jakże było pokazać tę rozmowę, rozporządzając jednym tylko aktorem? Zrozumiał to Eschyl: wyjednał on dla poetów tragicznych prawo korzystania z usług dwóch aktorów.

Zadanie główne w ten sposób było osiągnięte. Moc nawyku była jednak olbrzymia, Ateńczycy przyzwyczajeni byli do swych śpiewnych, niedramatycznych kantat. Weźmy chociażby, tragedję «Persowie», o której wspominaliśmy w rozdziale poprzednim. Cóż daje w niej poeta? Nasamprzód długą pieśń chóru. Potem wychodzi ku niemu królowa Atossa i opowiada mu swój niespokojny sen, poczem zawiązuje rozmowę z koryfeuszem; do tej pory potrzebny jest tylko jeden aktor. Lecz oto ukazuje się goniec i opowiada o klęsce salamińskiej; Atossa obecna jest przy tej opowieści—a więc potrzebni są dwaj aktorzy. Nowa pieśń chóralna. W następnym akcie Atossa wywołuje duszę zmarłego króla Darjusza i dowiaduje się odeń o mającej nadejść klęsce pod Platejami, poczem wywiązuje się rozmowa; znów trzeba dwóch aktorów. Następuje pieśń chóru. W końcowym akcie występuje sam Kserkses, — Atossy już niema, — płacz króla oraz chóru zamykają tragedję. Akcji w niej, jak widać, niema żadnej. Akcja rozegrała się daleko na falach Salaminy i na polach Platej; tutaj się o niej tylko opowiada. Słowem, jest to wciąż jeszcze kantata, nie zaś dramat.

Lecz oto Eschyl postanawia, pozostawiając każdej tragedji jej charakter, jako kantaty, przedstawić w trzech tragedjach trylogji kolejne momenty z tego samego podania. Weźmy dla przykładu jego «Danaidę»— tak nazywamy całą trylogję. Córki Danaja, ratując się przed narzucanem sobie małżeństwem ze swymi braćmi stryjecznymi, synami Egipta, szukają schronienia w Argosie; cała pierwsza tragedja («Błagalnice») obraca się wokół pytania, czy Argejczycy je przyjmą czy ich nie przyjmą — w końcu okazuje się, że je przyjmują. Akcji, oczywiście, niema; słuchamy jedynie kantaty. Tak, lecz tragedja następna («Egipcjadzi») dawała opis wesela

dziewcząt z nienawistnymi zalotnikami. Jakto, a prawo schronienia? Otóż, stało się tak, że synowie Egipta przybyli, oblegli Argos, lud powstał przeciw dawnemu królowi i obrał nowym królem Danaja; ten zaś ostatni, mając na widoku dobro poddanych, zezwolił na wesele. To właśnie stanowiło porywającą akcję, — owa walka duchowa Danaja-ojca z Danajem-królem. Poeta jej wszakże nie odtworzył; dał do zrozumienia, że walka ta rozegrała się w rozstępie czasu między tragedją pierwszą a drugą; druga zaś, również jak pierwsza, obracając się wokół jednego tylko motywu wesela, także była jedynie kantatą. I, nakoniec, trzecia («Danaidy»): sąd Danaja nad córką nieposłuszną i uniewinnienie tejże dzięki orędownictwu Afrodyty. Jaki sąd i na czem polegało nieposłuszeństwo dziewczyny? Chodzi o to, że Danaj, wyprawiając córki do Egipcjadów, dał każdej po sztylecie z rozkazem uśmiercenia zalotników; wszystkie ten krwawy rozkaz spełniły, prócz jednej, która się w swoim oblubieńcu zakochała: za to właśnie uległa sądowi. I znów widz dowiaduje się tylko, że walka ta w duszy dziewczęcia rozegrała się w pauzie między tragedjami; pokazany jest tylko sąd. Każda więc tragedja zachowywa charakter kantaty, lecz razem wzięte wszystkie trzy tworzą jednakże tragedję.

Jest to pierwszy krok na drodze technicznego postępu: niema jeszcze dramatyzmu w tragedjach oddzielnych, ale już istnieje w całkowitej trylogji. Na tem właśnie polegał krok pierwszy. Niebawem przyszły następne.

Z trylogji «Tebaida» zachowała się tylko tragedja końcowa p. n. «Siedmiu (wodzów) przeciw Tebom»: lecz i treść pierwszych dwóch o tyle jasna jest dla nas, że możemy powziąć wyobrażenie o idei poety w całokształcie utworu. Cała trylogja poświęcona jest losowi Laiosa, Edypa i dzieci Edypowych. W trzech pokoleniach przed nami rozwija się akcja Alastora. Laios, wbrew radzie Apollina, płodzi syna i tem wprowadza Alastora w swój dom. Syn ten, sam o tem nie wiedząc, zabija ojca, żeni się z matką i dochowywa się z nią dwóch synów i dwóch

córek; ale zgroza jego doli wyszła na jaw; jego żona-matka skończyła samobójstwem; on zaś w rozpaczy sam siebie oślepił. Synowie jego Eteokles i Polinikes, chciwi królowania, krnąbrnie zachowywali się wobec ślepego ojca; przeklął ich tedy, wołając „niechaj mieczem podzielą ojcowiznę!"—i wkrótce potem umarł. Klątwa Edypa spełniła się: Eteokles wygnał Polinika; ten uciekł się o pomoc do króla Argosu, Adrasta. Adrastos wydał zań swoją córkę i, aby zwrócić mu tron, podjął przeciw Tebom wyprawę, t. zw. «siedmiu wodzów», skąd powstał tytuł ostatniej tragedji naszej trylogji.

Akcja toczy się w Tebach. Ponury Eteokles słyszy, że brat rodzony wszczął wojnę przeciw niemu i swej ojczyznie. Ojczyznę chce ocalić, dla siebie pomyślnego wyniku nie oczekuje, albowiem:

Śmierć płodzi łan, gdzie był posiany grzech.

Nieprzyjaciel dla ogólnego szturmu podzielił między sobą siedmioro bram miejskich; Eteokles zapobiegawczo wysyła przeciw każdemu jednego ze swoich witeziów, dopóki kolej nie przyszła na siódmą bramę, którą wybrał sam Polinikes. „Przeciw niemu wystąpię ja sam" — oświadcza wyklęty. Chór — dziewczęta tebańskie — oszołomiony: „Idziesz na spotkanie klątwy ojcowskiej?" — „Wszystko mi jedno!" — odpowiada Eteokles — „Nie chcę wybiegać się od losu".

Takich słów nie słyszano dotychczas: dowodzą one, że Eschyl w osobie swego Eteokla przedstawił nie poprostu króla swego kraju, jak w «Błagalnicach», lecz właśnie Eteokla w jego ponurej, demonicznej dumie. Innemi słowy: sztuka charakterystyki, od czasów Homera zapomniana, zaczyna znów się odradzać. Ale dopiero zaczyna.

Klątwa spełnia się do końca: bracia - wrogowie jednocześnie ciskają w siebie włócznie i jednocześnie giną jeden z ręki drugiego; ale Teby są ocalone, szturm jest odparty, zastępy argejskie odchodzą z powrotem. Alastor zebrał swe żniwo. Co stanie się teraz?

Starszyzna tebańska rozważa, że Eteokles poległ, jako obrońca miasta, Polinik zaś, jako napastnik. Na tej zasadzie postanawiają: pierwszego pogrześć ze czcią, drugiego zaś wzgardliwie wydać na łup psom i ptakom drapieżnym. Ale przeciw temu wyrokowi powstaje starsza siostra poległych, Antygona; oznajmia ona, że czembykolwiek jej grożono, nie zawaha się pochować swego nieszczęsnego, potępionego brata... Tu koniec tragedji. Nas wprawia to w zakłopotanie. Ale widzowie Eschyla przypominali sobie o innej tragedji, wcześniejszej, «Eleuzyńczykach», gdzie dopowiedziana była reszta. Antygona pochowała brata; wprawdzie sama, łamiąc wyrok, naraża się na kaźń, ale jej wielkoduszność wzrusza ludzi, i jej przebaczają. Tak wielki czyn miłości bratniej przepędza Alastora z domu, w którym panował w ciągu trzech pokoleń, i znów pokój i miłość czysta osiedlają się w pałacu, splamionym grzechem Laiosa.

Trudniej nam jest wydać sąd o tej trylogji poety, do której należy jego najznakomitsza tragedja «Prometeusz skowany.» Była ona może jej pierwszą, może jej drugą częścią; w każdym razie po niej następował «Prometeusz wyzwolony». Nie dochował się on do naszych czasów, a wraz z nim zaginął klucz do rozwiązania owych zagadek, które stawia przed nami owa pierwsza tragedja.

Osobami działającemi są bogowie i wyższe siły przyrody. Zeus odniósł co tylko zwycięstwo nad Tytanami, synami ziemi. Z jego woli dokonywa się nowy porządek wszechrzeczy; wszystkim wyznacza się określoną władzę i miejsce, jedynie tylko nieszczęsny, zlekceważony rodzaj ludzki pozostaje poza obrębem owego układu. Nie może ścierpieć tego przepełniony miłością Tytan, Prometeusz. Na wielką bitwę opuścił swych braci, przystał do zastępów Zeusa; lecz teraz występuje przeciw jego woli i, pragnąc podźwignąć ludzkość, przynosi jej w darze niedostępny dotychczas ogień, dzięki któremu osiągnie ona wszystkie sztuki, a wraz z niemi i nowe, uszlachetnione życie. Zeus zapłonął gniewem przeciw buntownikowi: z jego rozkazu

przykuto Tytana do pustynnej, nadmorskiej skały Scytji. Prometeusz spokojny idzie na męki; wie, że katusze nie będą wieczne, że Zeus, nad którym także zawisła zagłada, ażeby ujść przed nią, zawrze przymierze ze swoim teraźniejszym wrogiem. Dowiaduje się o tej wróżbie Zeus. Zatrwożony, strasznemi groźbami chce zmusić Tytana, aby wyjawił mu złowrogą tajemnicę. Napróżno: Prometeusz jest nieugięty. Wtenczas Zeus spełnia swą groźbę: wśród burzy i zgrozy jego piorun strąca w bezdeń podziemi skałę i przykutego do niej Tytana. Tragedja skończona.

Tragedja — tak, ale nie trylogja. Jakie rozwiązanie przynosił «Prometeusz wyzwolony»? Oczywiście, pojednanie: wiemy to. Ale co doń doprowadziło? Prawdopodobnie Zeus przekonał się, że dobrodziejstwo, przez Prometeusza wyświadczone rodzajowi ludzkiemu, kojarzyło się z jego własną, Zeusa, korzyścią, — że tylko ludzkość uszlachetniona zdolna była zrodzić ze siebie owego bohatera, który mógł stać się i jego także zbawcą. Możemy jedynie tego się domyślać; dlatego też postać Prometeusza, wykuta genjuszem Eschyla, na wieki pozostała dla nas taką, jaką ukazuje nam ją ocalała tragedja: symbolem potężnych buntów, ofiarnych powstań, niepożytej niezłomności w walce o prawo zdeptane jednostki słabej siłami, ale wielkiej swemi nadziejami rodzaju ludzkiego.

O jednej jeszcze trylogji pozostaje pomówić — tej, która doszła do nas cała w składzie swych trzech tragedyj. Nazywa się ona — «Oresteja». Nazwy zaś oddzielnych tragedyj brzmią: «Agamennon», «Choefory» (t. j. «nosicielki ofiar») i «Eumenidy». Głównym bohaterem trylogji jest znów Alastor.

Oddawna już mieszka on w domu Atrydów, gdy zaczyna się akcja trylogji. Głucho mówi się o pierwszej zbrodni, która go przywołała; jaśniej o tej, która spotęgowała jego moc. Szykowano się do wyprawy na Troję pod wodzą Agamemnona, lecz wiatry nie sprzyjały żegludze; i na pytanie wodza co do przyczyny niełaski bożej, wróż Kalchas odpowiedział, że wiatr przychylny

powieje, skoro Agamemnon złoży w ofierze córkę swą Ifigenję. I tutaj, jak w «Danaidzie», miłość ojcowska oraz powinność królewska walczą ze sobą w duszy ojca-króla. Zwycięża król. Odtąd Agamemnon wydany jest w moc Alastora. Żona jego, Klitemnestra, nie wybacza mu krzywdy, zadanej jej macierzyńskiemu sercu. Gdy on wojuje pod Troją, ona, płonąc żądzą zemsty, obiecuje swą rękę i tron Atrydów krewnemu swego męża Egistowi, o ile ten zgodzi się być jej pomocnikiem. I oto, gdy Agamemnon powraca na czele zwycięskiego wojska, żona z udaną uległością gotuje mu oświeżającą kąpiel i tam siekierą zadaje mu cios śmiertelny. Wydaje się jej, że słuszność jest po jej stronie; i dopiero z gniewnych słów swych doradców — chóru tragedji — wnioskuje, że postąpiła nie wedle własnej woli, że działała wogóle nie ona, że była ona tylko narzędziem Alastora. Klitemnestra jest wstrząśnięta. Po raz pierwszy groźna potęga ducha zguby ukazuje się jej w całym majestacie. Zgadza się wyrzec się władzy i bogactwa; lecz oto przychodzi Egistos, dobre uczucia toną w niepamięci, Alastor tryumfuje.

Pierwsza tragedja skończona; zaczyna się druga.

Gdy Agamemnon konał, jego syn Orestes był nieobecny: wychowywał się u przyjaciela swego ojca w mieście nadmorskiem pod Parnasem. Dorósłszy, zasięgnął rady Apollina delfickiego, jak mu należy postąpić. Bóg rozkazał mu spełnić leżącą na nim powinność zemsty krwawej za ojca. Wykonanie tego strasznego rozkazu stanowi właśnie treść drugiej tragedji naszej trylogji, «Choefory». Nazwę swą otrzymała od chóru służebnic, którym Klitemnestra, pod wrażeniem okropnego snu, jaki się jej przyśnił, poleca dokonać ofiar przebłagalnych na grobie męża. Męczarnie duchowe nieszczęsnego młodzieńca wypełniają znaczną część tej przejmującej grozą tragedji. Spełnia rozkaz boga; ale sumienie odtąd nie daje mu spokoju. Jego uosobienie, Erynje, duchy piekielnego mroku, wypędzają go z jego rodzinnego miasta. Dąży do Delf, aby szukać pomocy u tego boga, który pchnął go do czynu zemsty.

Trzecia tragedja — «Eumenidy» — przynosi pojednanie. Apollo nie czuje się uprawniony do uniewinnienia młodzieńca; wysyła go do Aten, aby tam szukał ukojenia w wyroku ich sądu, Areopagu. I dopiero po tem, gdy Orestes zostaje przezeń uniewinniony, Erynje zwracają mu wolność. Przenoszą wprawdzie gniew swój na Ateny, które uniewinniły matkobójcę, i sama bogini-opiekunka tego miasta, Pallada, zmuszona jest zwrócić się do nich z uspakajającą mową. Wtenczas dopiero z groźnych bogiń-mścicielek «Erynij» stają się dla jej miasta łaskawemi «Eumenidami», szafarkami łaski podziemnej, majestatyczna zaś tragedja kończy się uroczystą symfonją pokoju i miłości.

Porównywając ją z «Danaidą», dla nas jedną z jego pierwszych trylogij, przekonywamy się, że w ciągu owego półtora dziesięciolecia, które je dzieli, poeta niezmiernie udoskonalił swą technikę dramatyczną. Tam oddzielne tragedje były jeszcze melodramatyczne; główną akcję poeta usunął w rozstępy między niemi, pozostawiając im charakter kantaty. Tu dostrzegamy coś wręcz odwrotnego. Co dzieje się między «Agamemnonem» a «Choeforami»? Wychowanie Orestesa, pożycie małżeńskie Egista i Klitemnestry; są to nie akcje, ale stany, trwające czas dłuższy. A między «Choeforami» a «Eumenidami»? Tułaczka Orestesa, błądzenie duszy jego matki po bezdennych przepaściach podziemu — znowu stany, długo trwające, nie zaś momenty akcji. Cała zaś akcja skupia się w samych tragedjach. Każda z nich pełna jest dramatyzmu, wszystkie zaś—wskutek «zasady trylogijnej» naszego poety — powiązane są ze sobą wspólnym wątkiem treści. Wszelako zasada ta już poderwana jest tem, że dramatyzm nie polega bynajmniej na jej przestrzeganiu. Każda tragedja przypomina teraz dojrzały owoc; słabo trzyma się na swej trylogijnej gałęzi i czeka tylko na dłoń, która ją zerwie, wyodrębniając ją od tragedyj-rówieśnic. Zerwie zaś ją następca Eschyla — Sofokles.

Wprowadzenie dramatyzmu do tragedji wzmocniło potrzebę starannej charakterystyki jej osób działających.

W tragedjach wczesnych, jak widzieliśmy, charakterystyki tej nie było; w środkowych mamy demoniczną dumę Eteoklesa, tytaniczną niezłomność Prometeusza, były to wszakze charaktery oddzielne. W «Orestei» mamy ich więcej: Agamemnon, Klitemnestra, Egistos, Orestes, a także postaci drugoplanowe, o których nie wspominałem — wszystkie starannie są scharakteryzowane. Są to jednak charaktery bez wyjątku surowe; dla tonów tkliwych brakło barw na palecie bojownika Maratonu. I tutaj Sofokles uzupełnił dzieło swego mistrza.

Tak, bojownika Maratonu: w tem do końca życia widział on swą główną chwałę. I kiedy umarł, wkrótce po wystawieniu swej «Orestei» (456 r.), na jego płycie grobowej wyryto dwuwiersz, przez niego samego ułożony, w którym przemilcza to, co w naszych oczach wynosi go ponad wszystkich, przypomina natomiast potomnym o rzetelnem wypełnieniu swej powinności, jako syna ojczyzny:

Wie o jego dzielności przesławny gaj Maratonu,
Zna jego męztwo i wróg — zna długowłosy je Pers.

29. WIEK PERYKLESA.

Rozprawa z Pauzanjaszem miała jeszcze inne nieoczekiwane dla Spartan następstwa.

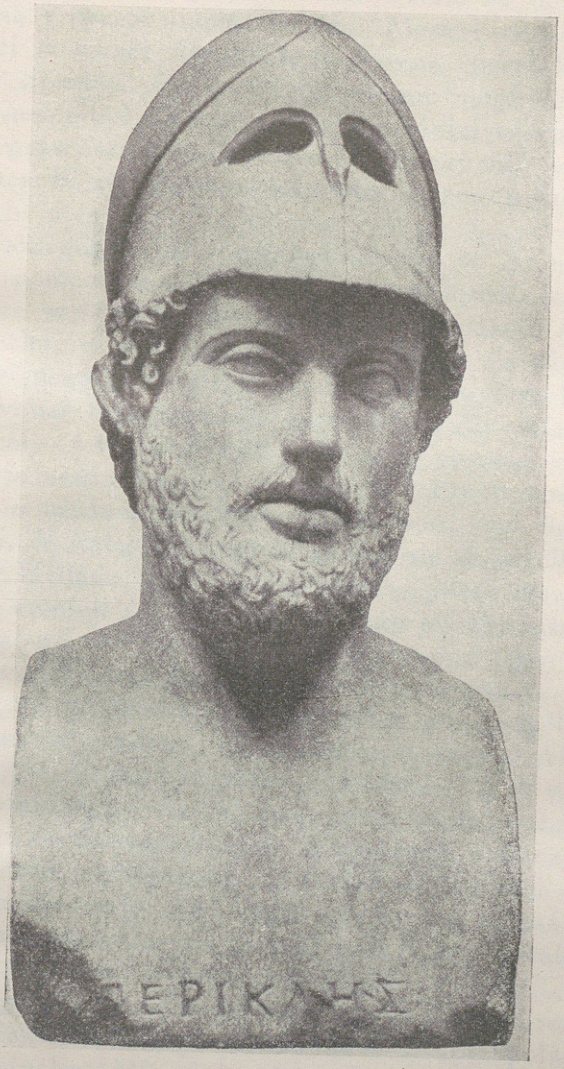
Całkiem naturalnie władze jęły ścigać tych helotów, których posądzono o wspólnictwo ze skazanym królem. Ratując się od prześladowców, heloci uciekli na najdalszy przylądek Lakoniki, na Tenar; tu stała starożytna świątynia boga mórz, Posydona, jedna z najbardziej czczonych w Grecji. Spartanie nie ważyli się tknąć tych, którzy chronili się pod opieką Posydona, i przyrzekli im bezpieczeństwo. Lecz skoro heloci, zaufawszy przyrzeczeniu, opuścili ołtarz boga, schwytano ich i uśmiercono.

Teraz i Spartanie dopuścili się grzechu zbezczeszczenia boga — «grzechu na Tenarze», jeszcze straszniejszego niż ów kilonowy, który tyle cierpień sprawił Atenom.

Wkrótce potem Sparta stała się ofiarą okropnego trzęsienia ziemi: prawie wszystkie domy runęły, mnóstwo mieszkańców zginęło pod gruzami. Zginęłoby i wojsko, gdyby nie przytomność umysłu młodego króla Archidama, który wśród zamętu kazał zagrać pobudkę na trąbie i wyprowadził spartańskie zastępy z walącego się miasta.

Za sprawcę wszystkich wstrząsów ziemi uważano w Grecji Posydona, którego już Homer mianuje «ziemiodzierżcą» i «wstrząsaczem lądów»; wszyscy więc byli przekonani, że nieszczęście, które dotknęło Spartę, było karą boga za grzech tenarski. Cała Messenja zerwała się do powstania, jak jeden mąż; jej pośpiesznie wyuczone wojsko nie mogło wprawdzie w otwartem polu stawić czoła ciężko uzbrojonym szeregom spartańskim; jednakowoż powstańcy zajęli, za przykładem bohaterów pierwszej wojny messeńskiej, górę Itomę, i tutaj już Sparcie nie udało się ich pokonać. Wiele lat broczyła ona krwią z tej rany wewnętrznej; nakoniec, w przystępie małoduszności, postanowiła udać się o pomoc—do Aten.

Tutaj w tym czasie, jak i w pokoleniu poprzedniem, dwóch mężów państwowych współzawodniczyło o kierownictwo władzy; obaj synowie bohaterów wojen perskich—syn Miltjadesa Kimon i syn Ksantypa Perykles. Pierwszy, odziedziczywszy skarbiec chersoneski swego ojca, był kto wie, czy nie najbogatszym człowiekiem w Atenach; ale jednocześnie był też i najwielkoduszniejszym, prawdziwym ojcem biedoty ateńskiej. W polityce hasłem jego było: prowadzenie nadal wojny z Persją i przyjaźń ze Spartą. Nie cała jeszcze wstęga helleńska w Azji Mniejszej była wolna, zwłaszcza na południu. Podejmując dzieło, rozpoczęte pod Mikalą, Kimon w roku 465 pobił Persów raz jeszcze w świetnej bitwie nad Eurymedontem, która związek delijski powiększyła o południowo-zachodni kąt półwyspu. Ale jemu i tego było mało; marzył o przyłączeniu greckiego Cypru, nawiązaniu stosunków z Fenicją i Egiptem, rozszerzeniu wpływów greckich na całe wschodnie morze Śródziemne.



PERYKLES

Przeciwnie Perykles uważał Persję za dostatecznie osłabioną i przeto niezbyt groźną. Marzył on o hegemonji ateńskiej w samej Helladzie i główną przeszkodę widział w Sparcie. Co do bogactwa nie mógł mierzyć się z Kimonem—był on człowiekiem średniej zamożności,—lecz w prawości i umiłowaniu ojczyzny nie ustępował mu, znacznie zaś górował nad nim darem czarującej wymowy.

Teraz, gdy poseł spartański stanął w Atenach, aby prosić o pomoc przeciw powstańcom-helotom, jasną było rzeczą, że w stronnictwie Peryklesa poparcia nie znajdzie: niechaj wali się Sparta, niech stanie się ofiarą swego podwójnego bezeceństwa, popełnionego i wobec Messenji i wobec boga Tenaru,—tem lepiej dla Aten. Zato Kimon cały swój wpływ i całą swą powagę rzucił na szalę wyjednania pomocy dla Sparty. Przypomniał obywatelom o niedawnem braterstwie broni pod Salaminą, Platejami, Mikalą; zaklinał ich, aby nie dopuścili do tego, iżby Hellada stała się «chromą», utraciwszy jedną z dwóch swoich sił. Tym razem jego wielkoduszny poryw wziął górę. Postanowiono wysłać pod jego właśnie dowództwem wojsko ateńskie na pomoc Sparcie.

Była to ostatnia sprawa wspólna obu współzawodniczych miast: ostatnie ich braterstwo broni. Ale wrogiem ich był nie barbarzyński najeźdzca, jak w wielkich bojach minionego okresu, lecz, przeciwnie, rodzima co do krwi drużyna uciśnionych, z odwagą rozpaczy walcząca przeciw ciemiężcom. W takich warunkach sumienie sprzymierzeńców nie mogło być czyste, to zaś piętno na sumieniu zatruło ich przymierze i przekształciło je z zadatku przyjaźni w przyczynę długiej wróżdy.

W Sparcie ów moment upadku ducha, o którem wyżej nadmieniono, zdążył przeminąć i ustąpił pola przypływowi otuchy. Wszelako do cudzoziemców Spartanie mieli zawsze stosunek nieufny i niechętnie wpuszczali ich do swego miasta, obawiając się, aby ci nie wybadali tajemnicy ich rządów, a przedewszystkiem, aby nie byli świadkami naocznymi ucisku doznawanego przez

helotów. A tu wejść miała cała uzbrojona armja, na domiar armja wolnościowych, demokratycznych Aten. Rzecz zrozumiała, że Spartanie poczuli się nieswojo. I oto nagle oświadczyli Kimonowi, że pomocy jego nie potrzebują, licząc, że własnemi siłami uporają się z powstaniem.

Z powstańcami jednakże się nie uporali: trzeba było wypuścić ich cało, i Ateńczycy osiedlili ich w mieście nadmorskiem Naupakcie, znanem z historji wędrówki Doryjczyków,—które ci właśnie podówczas z niewiadomej przyczyny odebrali Lokryjczykom.

W Atenach wszyscy byli oburzeni zniewagą, wyrządzoną państwu; i gdy bohater Eurymedontu, spalając się ze wstydu, przyprowadził z powrotem powierzoną sobie armję, powszechny gniew wyładował się na nim. Dokonano ostracyzmu, którego mocą zmuszony był opuścić kraj. Był to jednakże dopiero pierwszy krok. Wszczęto szereg zarządzeń wojskowych, wprost albo ubocznie skierowanych przeciwko Sparcie. Przez czas pewien sprawy Aten szły świetnie; wszechhelleńska hegemonja zdawała się zupełnie bliska. Lecz nagle spadł na nie cios nieoczekiwany.

Prowadząc dalej politykę Kimona, Ateny wysłały flotę na pomoc Egiptowi, który powstał przeciw Persom. Admirał ateński, nie znając warunków wojny miejscowej, wpłynął do jednego z licznych kanałów, które i wówczas, jak i teraz, przerzynały deltę Nilu. Persowie osuszyli kanał—i okręty zginęły, jak ryby na piasku.

Nieszczęście to wstrząsnęło potęgą ateńską na morzu. Znowu flota perska jęła ukazywać się na falach Archipelagu. Dla bezpieczeństwa wypadło zabrać skarbiec związkowy z Delosu i przenieść do Aten. Dało się słyszeć szemranie: „Przy Kimonie nie spotkałaby nas klęska". Perykles sam zaproponował, aby odwołać z wygnania bohatera. Podzielili oni rządy między sobą w ten sposób, że Kimonowi przypadła w udziale wojna zewnętrzna, Peryklesowi — wewnętrzna.

Kimon wspaniale usprawiedliwił zaufanie, jakiem go obdarzono. Raz jeszcze — raz ostatni — zadał on barba-

rzyńcom dotkliwą klęskę pod Salaminą cypryjską (r. 449). Tam też i sam zginął śmiercią bohaterską. Trudniejszą okazała się wojna międzyhelleńska. Był nawet czas, gdy Ateńczycy znaleźli się w nader niebezpiecznem położeniu; dzięki wszakże rozumowi i stanowczości Peryklesa, wyszli zeń pomyślnie, bratobójcza zaś waśń zakończyła się zaszczytnym dla obu stron «pokojem pięćdziesięcioletnim» (r. 445), wedle którego oba państwa uznawały się nawzajem za głowy dwóch odrębnych związków i zobowiązywały się nie przeciągać do siebie członków związku strony drugiej.

Nastał czas względnie spokojny dla Aten, po epoce Pizystrata, najszczęśliwszy. Uznanym wodzem polityki ateńskiej był Perykles. W ciągu lat piętnastu z rzędu wybierano go na najważniejszy w państwie urząd stratega. Korzystając z pokoju, Perykles wszelkich dokładał starań, aby wzmocnić związek delijski i przekształcić go w jedno wspólne państwo z Atenami, jako stolicą. Z uwagi na różnorodność praw miejscowych, przeparł on postanowienie, ażeby wszystkie ważne sprawy związkowców rozstrzygane były przez sąd ateński. Nie wszyscy, co prawda, członkowie byli zadowoleni z tego i temu podobnych zarządzeń; nieraz wybuchało powstanie to tu, to tam, które trzeba było stanowczo tłumić, aby uniknąć rozpadu związku. Na skarbiec związkowy Ateny patrzyły jak na swoją własność państwową, nie bezzasadnie rozumując, że skarbiec ten tworzy się z wkładów, któremi związkowcy wykupują się od powinności dostarczania okrętów i żołnierzy do floty ogólnej; skoro więc Ateny tę «powinność krwi» wzięli na siebie, było rzeczą jasną, że i wykup należał do nich.

Część owych środków przeznaczył Perykles na świątynie bogów. Widzieliśmy, że Persowie zburzyli w Attyce dosłownie wszystko; najświętsze miejsca—Akropol, Eleuzyna—stanowiły stos gruzów. Po ustąpieniu Persów postanowiono odbudować to, co było zburzone, w postaci wspanialszej. W tym celu wszakże trzeba było uprzednio zrównać powierzchnię Akropolu, co długiej wyma-

gało roboty, potem zaś wojna ze Spartą pochłonęła wszystkie siły wolne. Teraz dopiero, po zawarciu pokoju pięćdziesięcioletniego, można było przystąpić do budowy świątyń, które unieśmiertelniły Ateny Peryklesa. Zarząd robót Perykles powierzył Fidjaszowi, największemu rzeźbiarzowi nietylko Aten, ale i całej Grecji: chodziło o to, aby nowa marmurowa świątynia Ateny — nazwano ją Partenonem (Parthenôn) t. j. «pałacem Dziewy» — wyposażona była nietylko w jej posąg z kości słoniowej i złota, ale i w mnóstwo rzeźb innych. Gdy świątynię tę, najpiękniejszą w całej Grecji, zbudowano, postanowiono też i sam wstęp do Akropolu ozdobić olbrzymią bramą marmurową: tak powstały t. zw. Propileje. Odbudowano także i rozszeszono świątynię Demetry w Eleuzynie, pozostała zaś Grecja starała się, w miarę swych sił, nie pozostawać w tyle za Atenami.

Nie trwała w bezczynnosci i poezja ze swemi równoprawnemi siostrzycami — muzyką i tańcem. Wszystkie trzy łączyły się w tragedji, tej ściśle ateńskiej odmianie poezji, poezji poświęconej Dionizowi. Najznakomitszymi jej przedstawicielami byli Eschyl, Sofokles i Eurypides. Wśród nich pierwszy w wieku dojrzałego męża bił się pod Salaminą w roku 480, drugi, jako młodzieniec 16-letni, w tym-że czasie na zlecenie państwa wykonał hymn zwycięski, trzeci zaś w tym samym mniej więcej czasie się urodził. Tragedja historyczna, jak wyżej nadmienieni «Persowie» Eschyla, była wyjątkiem: zazwyczaj tragicy brali swe tematy ze starożytnych podań, pokazując bądź śmierć Agamemnona, bądź cierpienia mimowolnego ojcobójcy Edypa, bądź samoofiarę Antygony, bądź dziką zemstę porzuconej Medei i t. d. Cały szereg tragedyj tych wielkich poetów ocalał; stały się one wzorami dla świata nowożytnego. Wszelako nie sama tylko poezja kwitła w Atenach Peryklesa: sława ich ściągnęła ku nim także i prozaików z całej Grecji. Tutaj żył długo, ciesząc się uznaniem Peryklesa, dziejopis Herodot; utrwalił on w niewymyślnej opowieści podania o najdawniejszej historji Grecji

i Wschodu, zwłaszcza zaś o wojnach grecko-perskich— i my tutaj rozwinęliśmy ich obraz, idąc głównie za jego opowiadaniem. Tutaj, następnie, zjeżdżali i filozofowie, z których jedni, na wzór Anaksagorasa, starali się w drodze głębokomyślnych domysłów wyjaśnić pochodzenie wszechświata, drudzy—Protagoras, Gorgjasz i inni, t. zw. sofiści — nauczali mądrości obywatelskiej oraz sztuki słowa. Chciwie jednych i drugich słuchał młody Ateńczyk Sokrates; nie poprzestając na ich wywodach, włóczył się po ulicach, po placach, rozpytując wszystkich, wszędzie usiłując poznać, jak rozumie człowiek sam siebie, na czem polega cnota, dla jakich celów jesteśmy stworzeni przez bóstwo.

W taki to sposób kipiało bujnie życie w Atenach Peryklesa; ale w tym samym czasie skupiały się też i chmury na widnokręgu, zapowiadające burzę. Zadanie Peryklesa polegało na tem, aby: rządzić Atenami tak, iżby dzięki niemu, Ateny rządziły związkiem delijskim, dzięki związkowi—przywodziły Helladzie, dzięki Helladzie—sąsiedniemu światu. Czy było to zadanie wykonalne?

Ze strony Persji, wprawdzie, nie było powodów do niepokoju. Władza królewska im dalej, tem bardziej słabła tam w walce z intrygami dworskiemi i rewolucjami, a także z rywalizacją namiestników. O odboju Jonji narazie Persja nie myślała.

Sparta również była zadowolona z tego, że Ateny pozostawiły jej hegemonję nad Peloponezyjczykami (do których przystali też Tebańczycy) i do spraw związku delijskiego nie mieszała się. W liczbie wszakże państw peloponeskich było jedno, które z nienawiścią spoglądało na rozwój gospodarczy Aten: był to Korynt. Od czasów Periandra Korynt był władcą mórz i handlu morskiego. W VI wieku zyskał niebezpiecznego współzawodnika w osobie śmiałej republiki egińskiej i dlatego dla przeciwwagi wobec niej popierał Ateny. Wszelako, dzięki związkowi delijskiemu, Ateny wyprzedziły nietylko Eginę, ale i Korynt: gród Periandra uczuł się wyparty ze wszystkich stałych rynków. Pozostawał mu

wprawdzie Zachód, gdzie Ateny, nie mające portu w zatoce Korynckiej, rywalizować z nim nie mogły. Mimo to niezadowolenie w Koryncie rosło i rosło.

Wewnątrz Aten stanowisko Peryklesa było utrwalone; ale trwałość tę okupił ustępstwami dla ludu, których dawni stronnicy Kimona, umiarkowani arystokraci, nie pochwalali. Widzieliśmy, że już Arystydes przyznał prawa polityczne najuboższej nawet klasie w Atenach, t. zw. tetom: ale klasie tej nie wystarczało równouprawnienie polityczne. Tetowie, pełniąc swą powinność obywatelską, tracili swój powszedni zarobek — nie mieli czem żywić siebie i swej rodziny. Perykles wprowadził tedy wynagrodzenie za niższą służbę obywateli — w marynarce, w załogach, w sądzie. Ale i tego było mało. Szkoła czytania i pisania już i dawniej była bezpłatna — za czasów Peryklesa nie było już analfabetów. Ale dalszym ciągiem wychowania obywateli były święta, szczególnie święta Djoniza z ich tragedjami. A tymczasem obowiązującego odpoczynku świątecznego w Atenach nie było, i uczestnicząc w święcie, tetowie znów tracili zarobek. Perykles, przypisując ogromne znaczenie kształcące działaniu tragedji, rozporządził, ażeby ubożsi obywatele w dni odpowiednie otrzymywali t. zw. «odszkodowanie świąteczne» na pokrycie utraconego zarobku.

Wszystko to było dobre, i lud głęboką żywił wdzięczność dla swego wodza. Jednakowoż te wynagrodzenia i odszkodowania świąteczne wypłacano z kasy związkowców oraz arystokratów ateńskich, którzy stali po stronie związkowców. Pokój zewnętrzny zdawał się podsycać ich ferment: skoro Persja siedzi cicho, to poco związek i uciążliwe wkłady? Nie wszyscy zdolni byli zrozumieć, że jeśli Persowie nie pokazują się na morzu, jeśli korsarze nie wyłażą ze swoich nor, jeśli kupcy jońscy mogą śmiało żeglować po morzu, handlować i porastać w bogactwa, to wszystko to jest zasługą potężnej floty ateńskiej, i że cały ten dobrobyt sprawiedliwie godzi się okupić umiarkowaną danią na rzecz kasy związko-

wej. Wielu rozumowało w ten sposób: „Oto znów staliśmy się lennikami, tylko nie Persów, lecz Ateńczyków"; „za nasze pieniądze Ateny wznoszą swe wspaniałe świątynie i płacą wynagrodzenie swym obywatelom"— i nie byli od tego, aby życzliwie powitać tych, coby ich od owej daniny uwolnili.

Takie były chmury na niebie ateńskiem podczas górnych i szczęśliwych dni Peryklesa.

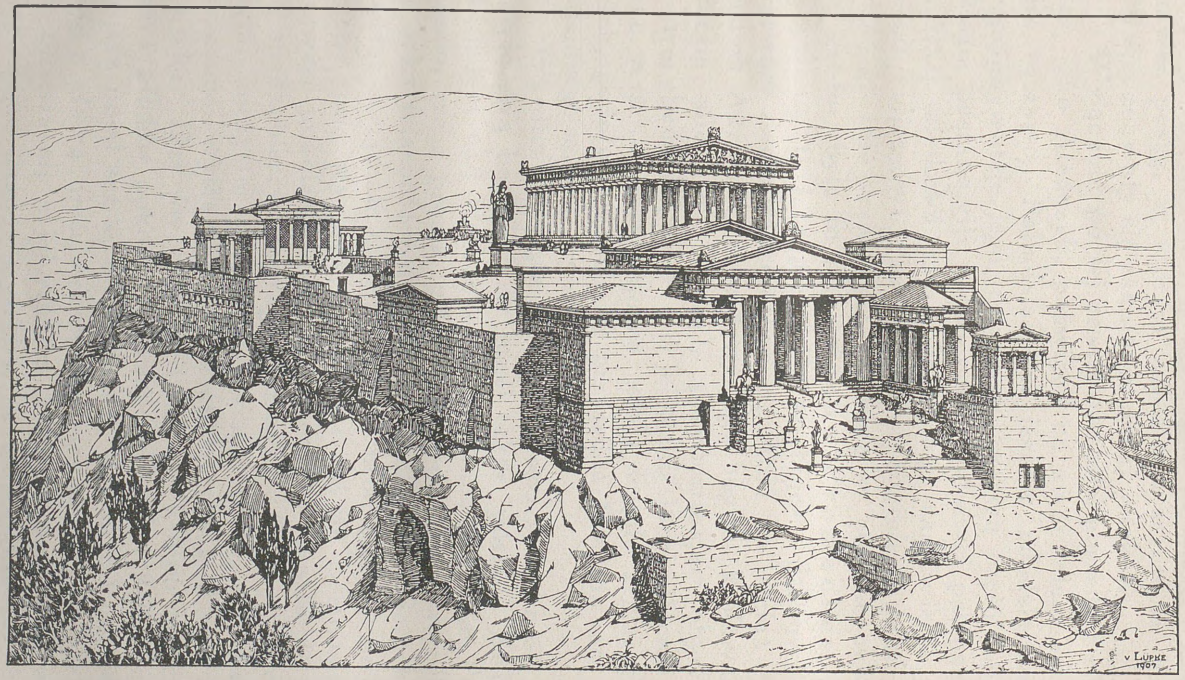
30. FIDJASZ I JEGO WSPÓŁPRACOWNICY.

Pod odwrocie Persów z Aten w roku 479, zburzony przez nich Akropol długo pozostawał w gruzach. Powinność religijna, oczywista, nakazywała, w miarę sił, odbudować starą świątynię bogini-opiekunki miasta; odbudowano ją też, lecz w jej odwiecznej postaci, bez owej kolumnady, którą otoczył ją Pizystrat, — pamięć o nim nie mogła chyba być miła bogini po tem, jak syn jego wziął udział w wyprawie przeciwko własnej ojczyźnie... Zresztą, nie śpieszono się; ogół jakgdyby przeczuwał, że to, co teraz wzniesione będzie na skale Pallady, po wsze czasy stanie się wzorem piękna, i dlatego działano powoli i oględnie. Tam, na wyżynie, stanąć musi białomarmurowa świątynia bogini, godna jej i godna miasta przez nią oswobodzonego. Nasamprzód trzeba było całą skałę zmienić w fundament dla tej świątyni, wygładzając jej nierówności, wypełniając jej rozpadliny, obcinając jej pochyłe skłony. Nie jeden lat dziesiątek upłynął, nim dokonano tych robót przygotowawczych. Po Arystydesie nastał Kimon, po Kimonie — Perykles: na Akropolu wciąż jeszcze zalegała pustka. Ale, nakoniec, i jego godzina uderzyła.

Już wyżej opowiedzieliśmy, z jakiej przyczyny skarbiec związku morskiego, znajdujący się dawniej na Delosie, przeniesiono do Aten, a także o tem, że Ateńczycy, niebezzasadnie, patrzyli na skarbiec ów, jak na swoją własność państwową. Teraz już Akropol był wygładzony, oczyszczony, umocniony: można było zacząć roboty bu-

dowlane — i roboty się zaczęły. Sam Perykles stał się przewodniczącym komisji budowlanej; nie będąc wszakże specjalistą, mógł zastrzec dla siebie jedynie ogólne kierownictwo. Do wykonania swych planów potrzebował człowieka, bezpośrednio znającego się na rzeczy. Wybór jego zatrzymał się na Fidjaszu.

Ten niepospolity artysta, który nierozerwalnie związał swe imię z imieniem Peryklesa, a przez nie z obrazem artystycznego rozkwitu Aten, urodził się w samym początku wieku V-go. Zrazu był on, jak i brat jego, Panenos, malarzem; potem wszakże przeszedł do rzeźby i stał się jednym z trójcy owych rzeźbiarzy, którzy wycisnęli swą pieczęć na pierwszym kwitnącym okresie rzeźby greckiej. Drugim członkiem tej trójcy był Miron, także Ateńczyk; trzecim—Polikletos z Argosu. Istnieje podanie, że wszyscy trzej niegdyś byli uczniami słynnego argejskiego artysty Ageladasa; ale skłonności ich poprowadziły ich różnemi drogami. Miron stał się stałym bywalcem palestry, kędy młodzież ćwiczyła się w rozmaitych postaciach lekkiej i ciężkiej atletyki; podpatrywał on jej ruchy i starał się z największą dokładnością odtworzyć je w kamieniu lub bronzie. Właśnie ruchy: było to zadanie i najtrudniejsze i najszlachetniejsze ze wszystkich. Przedstawiał on, naprzykład, «dyskobola» w tej chwili, gdy dysk miał wylatywać z jego ręki; albo biegacza, dobiegającego mety, przyczem widzom wydawało się, że słyszą ciężki, przyspieszony oddech, dobywający się z jego utrudzonej piersi. Drugi, Polikletos, kojarzył pęd do odtwarzania ludzi z wysokiemi zadaniami rzeźby religijnej; przedstawiając wszakże atletów, ujmował ich nie w stanie ruchu, lecz w stanie spoczynku. I powiodło mu się przedstawić w sposób tak przekonywający swego młodzieńca włócznionoścę (doryphoros), spokojnie stojącego na miejscu, z lewą nogą zlekka odsuniętą, gdy jednocześnie cały ciężar ciała spoczywa na prawej, że proporcje tej figury stały się wzorem dla całego wieku następnego. On to stworzył dla świątyni Hery w Argosie—tej samej, do której Kleobis i Biton dowieźli ongi



AKROPOL ATEŃSKI

Na szczycie — Partenon; obok olbrzymi posąg Ateny Promachos. Z lewej strony — świątynia Erechteusza. Pod Partenonem — Propileje; na prawo od nich, niżej na baszcie, świątyńka Pallady Niki.

swą matkę—olbrzymi posąg bogini ze złota i kości słoniowej, posąg, w którym majestat i surowość królowej Olimpu zdawały się zakute po wieki wieków.

Wyłącznie po tej drodze ostatniej poszedł Fidjasz; lecz, jako Ateńczyk, poświęcił on swój talent swej bogini ojczystej, Palladzie. Był jeszcze młodzieńcem, gdy współobywatele jego, otrzymawszy swą część łupu perskiego, postanowili z niej poświęcić swej patronce nadludzkiej wielkości posąg bronzowy; zamówienie powierzono Fidjaszowi. Przedstawił on boginię w pełni uzbrojenia, groźnie wznoszącą włócznię w obronie ukochanego grodu: była to jego Atena Promachos, jak ją nazywano, t. j. «opiekunka w boju». Stanowiła ona pierwszy dar odradzających się Aten na wciąż jeszcze pustym Akropolu; z wyżyny jego bogini królowała nad placem miejskim (agorą), przypominając obywatelom o swej obecności, ostrze zaś jej wzniesionej włóczni, błyszcząc w promieniach słońca, zdala witało żeglarzy ateńskich, podpływających od przylądka Sunionu do swego rodzinnego miasta.

Wkrótce zdarzyła się Fidjaszowi sposobność przedstawić swą boginię i w innej także postaci. Królestwo Miltjadesa nad Hellespontem, zburzone najazdem Persów, zostało, rzecz prosta, odbudowane po ich odwrocie, ale już jako własność państwa ateńskiego, i «kleruchowie» ateńscy otrzymali nadziały ziemi urodzajnej i na Chersonezie i na wyspach, zwłaszcza zaś na Lemnosie. Gdy pierwsze pokolenie nowych osadników zeszło do grobu, ich spadkobiercy zapragnęli złożyć dziękczynienie swej bogini ojczystej za jej oczywistą opiekę, i Fidjaszowi poruczono wystawić na Akropolu posąg Ateny Lemnjanki. Dar ów pochodził już nie z łupu wojennego, lecz z płodów pokojowej pracy rolników. Zgodnie z tem Fidjasz pojął też swoje zadanie. Wyrzeźbił on swą boginię z głową nieosłonioną; wojownicza egida niepozornie zwiesza się z jej ramion, hełm trzyma ona w prawicy, dając znać wszystkim, że wojna skończona, i że zaczyna się praca pokoju. To też łaską pokoju oddycha

oblicze Lemnjanki—najpiękniejsze wśród wszystkich posągów artysty. Te dzieła Fidjasza—wymieniliśmy tylko najważniejsze — rozsławiły go nietylko w Atenach, ale i po całej Helladzie; gdy więc władcom Olimpji stał się potrzebny nowy posąg Zeusa dla jego odnowionej świątyni, wybór ich padł na Fidjasza. Było to zadanie niesłychanie odpowiedzialne. Olimpja ze swemi igrzyskami stanowiła naczelny ośrodek wszechhelleński, jej Zeus wyobrażał symbol jedności wszechhelleńskiej, ale jedności nie na wojnie, lecz podczas pokoju, wśród łaski i radości. Środki, jakie ofiarowano artyście, były olbrzymie: nagie części posągu miały być z kości słoniowej, draperje ze złota. Należy zauważyć, że w owych czasach umiano jeszcze zmiększać i giąć kość słoniową; później sekret ten zagubiono. Długo pracował Fidjasz nad swym siedzącym w świątyni olbrzymem; skończywszy pracę, artysta, jak niesie podanie, zwrócił się do władcy Olimpu z modlitwą, ażeby dał mu znać, czy zadowolony jest z jego dzieła. I oto skroś otwór w dachu świątyni błysnął piorun i uderzył w podnóże posągu — znak, że bóg w tym wizerunku swoim sobie upodobał. Odtąd Hellen już nie potrafił wyobrazić sobie swego boga najwyższego inaczej, jak w postaci, stworzonej przez Fidjasza,— w postaci boga dobrotliwego, miłościwego, spełniającego prośbę matki, która przyszła, aby ubłagać go za swego syna. Gdy bowiem zapytywano artysty, gdzie szukał natchnienia, tworząc swego Zeusa, ten odpowiedział wierszami Homera, w których jest mowa o odpowiedzi Zeusa, udzielonej Tetydzie:

Rzekł — i na znak czarnemi poruszy brwiami Kronida,
Włosów wonnych kędziory od głowy wszechwładnej skinienia
Cicho naprzód pomknęły, i Olimp drgnął wielowzgórzysty.

Spełnione było marzenie ludu; odtąd za nieszczęśliwego uchodził ten, kto umierał, nie zdoławszy zobaczyć wcielenia ziemskiego niebieskiego władcy.

A jednak główne dzieło swego życia miał podjąć Fidjasz dopiero teraz. Już wzniesiony ku wyżynom sła-

wy przez swój arcytwór olimpijski, został on raz jeszcze wezwany z powrotem do nowej, szczytnej służby w ojczyźnie. Biła godzina Akropolu.

Jak już nadmieniliśmy wyżej, Perykles stanął na czele komisji budowlanej, prawą zaś ręką jego stał się Fidjasz. Wydać się może rzeczą dziwną, ze kierownikiem budowy świątyni był wyznaczony rzeźbiarz. Ale w zamierzonej świątyni Akropolu, jak zobaczymy, rzeźba nierozerwalnie była związana z architekturą, a przytem Fidjasz nie był jednostronnym rzeźbiarzem, lecz artystą o genjuszu wszechobejmującym: jak za młodu od malarstwa przeszedł do rzeźby, tak teraz, na progu starości, połączył w sobie obie sztuki, tworzące w kamieniu. Do zadań specjalnie architekturalnych miał on dwóch kierowników budowniczych, Iktyna i Kallikratesa; pod ich nadzorem założono podwaliny majestatycznej świątyni, wyrósł wokół nawy środkowej las kolumn z białego marmuru, ściany i kolumnady uwieńczono architrawem, potem fryzem z następujących kolejno po sobie prostokątnych «tryglifów» oraz kwadratowych «metop» — ale już owe metopy przeszły od architekta do rzeźbiarza, i podług wskazań Fidjasza ozdobiono je obrazami, zaczerpniętemi z bytu bożego i bohaterskiego. Ich kwadratowa płaszczyzna najbardziej nadawała się do tego, aby zapełnić ją scenami parzystemi: tutaj bóg strącał olbrzyma, tam Hellen walczył z amazonką albo z centaurem, wszystko drgało życiem, było pełne rozmaitości i piękna. Poza kolumnami zaś, nad ścianą środkowej nawy, Fidjasz kazał wyrzeźbić fryz nieprzerwany, procesję Panatenajów, wielkiego święta ku chwale bogini ojczystej, z jego młodymi jeźdzcami na śmiałych rumakach, dziewami, niosącemi kosze, mężami przy zwierzętach ofiarnych i czcigodnymi starcami, niosącymi w rękach święte gałązki oliwne Pallady. Cała gmina była tu odtworzona pod łaskawym wzrokiem swych bogów... A powyżej: fryz tryglifów uwieńczony był gzymsem, nad nim zaś z obu wązkich stron świątyni wznosi się płaski trójkąt «frontonu», zapełniony posągami, zręcznie przystosowanemi do jego

wzrastającej i malejącej wysokości. Były oczywiście, dwa frontony: wschodni przedstawiał narodziny Pallady, zachodni — jej spór z Posydonem o władztwo nad krajem. Tak, było się na co zapatrzeć pielgrzymowi, nawet wtenczas, gdy były zamknięte olbrzymie drzwi miedziane, oddzielające nawę środkową od kolumnady; zato gdy drzwi otwierano, o całem pięknie zewnętrznem zapominało się w obliczu tego cudu, który patrzył na widza z wnętrza, pałając blaskiem złota i przepychem kości słoniowej. Była to mieszkanka świątyni, Atena Dziewica (Athêna Parthenos) od której przydomka i cała świątynia otrzymała nazwę «dziewiczego pałacu» — Partenonu. Spokojnie i władczo stała bogini, znów w pełni uzbrojenia, wspierając się o swą potężną tarczę, ze stałą swą towarzyszką Nike (Zwycięstwo) na wyciągniętej prawicy: jej spojrzenie niezachwianie mknęło przed siebie, ponad tłum jej wyznawców; nieugiętość tkwi w tem spojrzeniu, nieugiętość w postawie — nieugiętość szczęścia Aten Peryklesowych.

„Lepsza jest zazdrość, mimo wszystko, niż politowanie" — śpiewał kiedyś Pindar: zazdrość osaczała króla rzeźbiarzy narodu greckiego, zazdrość jeszcze większa ścigała jego opiekuna Peryklesa, pragnąc tego niedostępnego przywódcę miasta dosięgnąć w osobie ukochanego przezeń artysty. Nie wiemy dokładnie, co stało się powodem lichego oskarżenia, jakie zgłoszono przeciw natchnionemu prorokowi Pallady. Być może, w jego pracowni rzeczywiście, bez jego wiedzy, dopuszczono się kradzieży kości słoniowej, za którą padła nań odpowiedzialność. Ale wtenczas Elejczycy przypomnieli sobie o twórcy ich Zeusa olimpijskiego: zaproszony przez nich Fidjasz przybył do nich i przeżył ostatni rok swego życia w ich łaskawej i spokojnej siedzibie.

Wszelako Partenon był, jakkolwiek głównem, przecież nie jedynem zadaniem Peryklesa w jego wielkiej pracy budownictwa; teraz, gdy stał on na wzgórzu, względy piękna i przepychu domagały się przeważnie, aby dano mu godny przedsionek. Tu ozdoby rzeźbiarskie były zbyteczne: można było całą budowę poruczyć samemu ar-

chitektowi, wyżej nadmienionemu Kallikratesowi: podług jego planu powstały słynne po wsze czasy Propileje. Popiątna pomnikowa brama Akropolu była ozdobiona z przodu i z tyłu kolumnadą w stylu samego Partenonu, t. zw. doryckim; połączone zaś były między sobą kolumnadą podłużną w stylu miększym i wytworniejszym, t. zw. jońskim. Był to jednakże dopiero główny korpus Propilejów: z obu stron architekt wyposażył go w skrzydła marmurowe, z których prawe jednak wypadło jakby skrócone. Trzeba było oszczędzić świętą skałę nad stromem urwiskiem — miejsce to już oddawna upodobała sobie Nike (Zwycięstwo). Wkrótce i jej v niesiono tutaj świątynkę w stylu jońskim — właśnie świątynkę, śliczną zabawkę architektoniczną, ulubienicę powszechną w dawnych i nowych czasach. Lecz stromość tego miejsca nie była bezpieczna: zbudowano przeto marmurową balustradę—i tę, rzecz jasna, również ozdobiono wypukło rzeźbą, malującą Zwycięstwo we wszelkich jego postaciach.

Wykonano dwie — albo, skoro liczyć świątynkę Zwycięstwa, trzy części olbrzymiego zadania. Obok Partenonu wznosiła się—nie, raczej zniżała się «stara świątynia» bogini: wielu prawdopodobnie przykro raziła ona oczy, lecz nie można było poradzić. Na lewo wszakże od niej było miejsce puste, uświęcone pamięcią «domu Erechteusza», starożytnego króla Aten. Po Propilejach, już podczas drugiej połowy wojny peloponeskiej, nastręczyła się możliwość odbudowania także i tego domu. Tu było mnóstwo miejsc świętych, które wypadało uszanować; w odróżnieniu od uroczystej prostoty Partenonu joński «dom Erechteusza» (Erechthejon) otrzymał kształt bardzo kapryśny, a mimo to czarujący w swem odrębnem pięknie. Szczególniej piękny był zwrócony do Partenonu «balkon koszonoszczyń» (dziewic «kanefor»)—i tem dokuczliwiej dawało się we znaki to, że on właśnie był zasłonięty przez «starą świątynię» bogini. Na szczęście, stara owa świątynia spłonęła, skoro tylko odbudowano «dom Erechteusza»: czy był to zwykły przypadek, czy nie, dziś można co do tego tylko się domyślać.

Z chwilą zbudowania Erechtejonu zadania architektoniczne były skończone. Współczesnemu odwiedzicielowi wydać się może, że plac na wschód od Partenonu wciąż jeszcze zbyt jest pusty, ale było to nieodzowne — tutaj stał główny ołtarz bogini, tu podczas jej świąt ciżbił się wielotysięczny lud. Ażeby jednak uzupełnić obraz urody Akropolu, należy wyobrazić sobie jeszcze cały las darów artystycznych między Propilejami a Partenonem, między Partenonem a domem Erechteusza, miedzy kolumnami Partenonu, wszędzie, gdzie tylko było miejsce— posągi, płaskorzeźby i t. d. i t. d. Te dary pobożne bodaj więcej jeszcze, niźli same świątynie, świadczyły o niewzruszoności wiary Ateńczyków i miłości ich ku swej patronce.

Niewzruszoności—tak; tak sie zdawało. Ale minęły cztery stulecia z okładem — i pod Akropolem, na posępnej skale Areopagu, rozbrzmiał głos Apostoła, zwiastujący nowinę o wielkim męczenniku z dalekiej Galilei. Coraz bardziej mnożyć się jęli wyznawcy nowej nauki pod skałą Pallady; ona sama stała niewzruszenie, witając swych rzednących czcicieli wciąż tym samym łagodnym wyrazem swego bladego oblicza. Lecz minęły jeszcze cztery wieki,— i bogini nawiedziła we śnie jednego ze swych ostatnich wiernych filozofów, Proklosa, i rozkazała mu przygotować dla niej nowy przytułek w swym domu. Atena-Dziewica opuściła swój «pałac dziewiczy»—co zaś z nią stało się dalej, tego nikt nie wie. Nowa zajaśniała wiara nad światem—i Dziewica Marja zamieszkała w pałacu swej poprzedniczki. Partenon stał się kościołem chrześcijańskim: pociągnęło to za sobą pewne przekształcenia, lecz ogólny wygląd gmachu nie uległ zmianie, i świątynia Matki Boskiej Ateńskiej pozostała najpiękniejszym kościołem całego świata chrześcijańskiego. Lecz oto półwysep Bałkański staje się areną czwartej wyprawy krzyżowej, powstaje «państwo łacińskie» w Konstantynopolu, księstwa «Franków» na południu; Partenon przeobraża się w dworską świątynię władców dynastji francuskiej: Notre Dame de Sétines (od nowej francuskiej

nazwy Aten). Niesnaski chrześcijan ściągają burzę od wschodu, działa tureckie grzmią nad błękitnemi falami mórz greckich, — księstwo Franków w Atenach znika z oblicza ziemi, lecz Mahomet-Zdobywca, wstąpiwszy na Akropol, zostaje olśniony tem niewidzianem pięknem i nie pozwala nic burzyć. Wszystko pozostaje nietknięte, lecz Partenon znów zmienia wiarę, stając się meczetem muzułmańskim, i posępne wołanie muezzina zaczyna rozlegać się z wysokości dobudowanego doń minaretu. Namiestnik turecki osiada w Propilejach, gdzie przedtem zamieszkiwali książęta Franków, w domu zaś Erechteusza zakłada swój harem.

Tak upłynęły jeszcze dwa stulecia z górą. Lecz oto Ateny oblegli Wenecjanie; Turcy bronili się z Akropolu. Nie krępowali się oni w środkach obrony, i święty charakter meczetu nie ocalił Partenonu: urządzono w nim skład prochu. Oblegający krępowali się jeszcze mniej; bomba wenecka, przebiwszy dach, trafiła w ów skład. Rozległ się wybuch, cała środkowa część gmachu, zburzona wybuchem, pokryła gruzami swemi przyległy plac Akropolu.

Ten nieszczęsny wypadek zaszedł w roku 1687. Więcej niż dwadzieścia wieków upłynąć musiało, aby strącić twór Peryklesa i Fidjasza z wyżyny skały ateńskiej. Od tego czasu Partenon jest zwaliskiem, obie fasady jeszcze stoją, jakkolwiek pozbawione swych ozdób rzeźbiarskich, natomiast kolumnady podłużnych szeregów, rozwalone na obie strony, leżą obok siebie na ziemi, jak żołnierze na pobojowisku. Zato w tej ostatniej swej postaci Partenon, wolny od wszelkich wyznaniowych znamion, stał się świątynią piękna, jednako drogą dla wszystkich ludzi, jakabykolwiek była ich religja. I taką, wolno się spodziewać, świętością pozostanie on nazawsze.

31. SOFOKLES.

Po zwycięstwie pod Salaminą pierwszą potrzebą Ateńczyków było — uroczyste złożenie dziękczynienia bo-

gom za wyświadczoną łaskę. Chór pacholąt miał odśpiewać radosny hymn ku chwale niebieskich opiekunów miasta: przodownik chóru musiał wyróżniać się nietylko miłym głosem oraz umiejętnością śpiewu i gry, ale i piękną powierzchownością. Takiego wyrostka Ateńczycy znaleźli w osobie Sofoklesa (r. 496—405). Jest to pierwsza rzecz, którą wiemy o nim: młode życie przyszłego poety odrazu opromieniło swą pełnią blasku wzeszłe słońce wolności helleńskiej. Ono też wytknęło i jego dalszy kierunek w duchu miłości wszechhelleńskiej oraz głębokiego, serdecznego oddania bogom ojczystym. Sofokles stał się poetą tragicznym. Kiedy wystąpił po raz pierwszy (r. 468), Eschyl był wszechwładnym królem sceny ateńskiej; jednakowoż zalety tragedji jego młodego współzawodnika były tego rodzaju, że sędziowie zawodów wahali się, komu przyznać pierwszeństwo. Rozstrzygnięcie sporu oddano Kimonowi, który właśnie wtenczas powrócił z wyprawy; i otoczony sławą wódz przysądził zwycięstwo Sofoklesowi.

Nic dziwnego, że w dalszym ciągu widzimy go wśród osób zbliżonych do tego, kto pierwszy go ocenił; lecz z tego pierwszego «kimonowskiego» okresu jego życia żadna z tragedji do nas nie doszła. Sofokles skorzystał ze swego przemożnego położenia, aby uzyskać pewne nowe zdobycze, które wzmogły dramatyzm tragedji i podjęły ją na taki szczebel, że wyżej nie wznosiła się ona już nigdy. Wyrzekł się trylogicznej zasady swego poprzednika. Po dawnemu wystawiał, jak żądał tego obyczaj, po trzy tragedje razem (i jako dodatek do nich po «dramacie satyrowym,» t. j. wesołą krotochwilę z chórem z żartownisiów-satyrów), ale każda tragedja zosobna stanowiła twór samoistny, niezależny od innych, mający własne zawiązanie i rozwiązanie. Eschyl posługiwał się tylko dwoma aktorami; Sofokles osiągnął to, że do jego rozporządzenia dano jeszcze jednego. Dało mu to możność wyprowadzenia na scenę jednocześnie trzech osób działających, dzięki czemu wzmagało się napięcie djalogu. Dalej, godzi się zauważyć, starożytna tragedja się nie



SOFOKLES

posunęła; było to bardzo mało w porównaniu, naprzykład, z pstrokacizną scenarjusza szekspirowskiego, nowszy wszakże dramat znów zbliżył się w tym względzie do prostoty antycznej, i naprzykład Ibsena w szeregu jego dramatów można grać przy zachowaniu sofoklesowskiego warunku: „nie więcej ponad trzy postaci działające naraz."

Gdy śmierć porwała Kimona, i Perykles stał się jedynym wodzem ludu ateńskiego, w świcie jego stanął i Sofokles. Z tego drugiego «peryklesowskiego» okresu jego twórczości ocalały trzy tragedje: «Antygona,» «Trachinki» i »Ajas.»

W «Antygonie» dał Sofokles opracowanie poetyckie jednego z najpiękniejszych mitów greckich — tego samego, któremu poprzednik jego poświęcił jedną ze swych wczesnych tragedyj (nie zachowanych »Eleuzyńczyków») i o który potrącił także w zachowanych do naszych czasów «Siedmiu przeciw Tebom.» Dokonała się bratobójcza wyprawa wygnanego Polinika na jego miasto rodzinne, którem rządził Eteokles, brat, który go wygnał; w bitwie pod Tebami obaj bracia polegli, jeden z ręki drugiego; opróżniony tron zajął najbliższy krewny, Kreon. Pragnąc, o ile jego siły ludzkie na to pozwalały, zaradzić niesprawiedliwości, którą upatruje w jednakowej doli i wroga i obrońcy miasta — wydaje rozkaz, aby ciało Eteoklesa ze czcią było pogrzebione, ciało zaś Polinika rzucone psom i sępom. W tym zakazie Kreona tkwi zawiązanie intrygi.

I czytelnik nie powinien zamykać sobie dostępu do uroków tragedji zarzutem, jakoby rzecz ta nas nie intesowała, jakoby w naszym wieku oświeconym zakazów takich nie było. Naprzód, nie jest to prawda; powtóre zaś istota tkwi nie w treści zakazu — istota tkwi w tem, że przedstawiciel władzy państwowej uważa za swe prawo wydawać ustawy, oburzające sumienie tych, których one zahaczają: istota polega na owem starciu między władzą państwową z jej ustawami a sumieniem ludzkiem z jego powinnością. Jest to temat, który się nie starzeje; temat wieczny.

Tak właśnie pojął go Sofokles, pogłębiając zagadnienie, postawione przez Eschyla. Ten ostatni w szeregu nieszczęść, kończących się pojedynkiem obu braci-wrogów, upatrywał przejaw siły Alastora, ducha zguby, wywołanego pierwszą zbrodnią protoplasty; poświęcenie się siostry poległych, Antygony, która poważyła się z narażeniem życia złamać groźny zakaz, odkupiło ową zbrodnię, przepędziło Alastora z krwawego domu. Dla Sofoklesa rzeczą główną jest konflikt między prawem państwowem a sumieniem ludzkiem, jego tragedja jest tragedją władzy. Zgodnie z tem założeniem i wyniki u obu poetów są różne. W tragedji Eschyla wynik jest szczęśliwy: Antygona po krótkiej udręce doznaje przebaczenia, wychodzi za mąż za swego narzeczonego Hemona, syna Kreona, i młodą parę oczekuje długie szczęście w domu, oczyszczonym przez jej wielkoduszną odwagę. W tragedji Sofoklesa — przeciwnie... lecz przypatrzmy się jego utworowi bliżej.

Antygona tedy oznajmia, że naprzekór prawu, spłaci dług krwi swemu poległemu bratu... Próżno łagodna jej siostra Ismena próbuje ją odwieść od powziętego postanowienia; Antygona jest wierna swemu obowiązkowi i swemu słowu. Chwytają ją, gdy spełnia swą pobożną powinność, i przyprowadzają przed oblicze Kreona. Ten czuje się wstrząśnięty: jakto? jego krewna, narzeczona jego syna, powstaje przeciw niemu? Próżno stara się jej dowieść, że i ona, jak wszyscy, powinna nienawidzieć wroga ojczyzny; Antygona odpowiada nieśmiertelnemi słowy:

Współkochać przyszłam, nie współnienawidzieć.

Tem bardziej obowiązany jest on zachować bezstronność. Antygona, jakkolwiek siostrzenica, musi za opór prawu ponieść karę. Próżno siostra jej Ismena oświadcza, że podzieli jej los — Kreon nie podda się władztwu «kobiet».

Nietylko «kobiet». Przychodzi syn jego Hemon, narzeczony Antygony, przychodzi wszakże, nie jako narzeczony: on, młody wojak, obraca się wśród ludu; jemu wiadomo to, co skryte jest dla króla: ofiara dziewczyny

podbiła serca, lud jest po jej stronie... A więc lud ten zbuntował się sam przeciw sobie, skoro buntuje się przeciw prawu; lecz skoro tak, to obowiązkiem króla jest bronić sprawy ludu, nawet wbrew jego woli. Sprzeciwy młodzieńca tylko rozjątrzają władcę: na złość synowi natychmiast każe uwięzić winowajczynię w lochu, gdzie czeka ją śmierć z głodu.

Lecz oto przeciwnik jeszcze jeden: stary wróż Tyrezjasz; i przybywa on w imieniu już nie ludzi, lecz bogów. Bogowie czują się rozgniewani rozkazem Kreona; zerwali przymierze łaski z jego królestwem. Gdy zaś król i teraz jeszcze trwa w uporze, wróż odchodzi z groźbą: własną krwią zapłaci on za swe zaślepienie. Teraz dopiero upór króla jest złamany: sam on grzebie Polinika, chce oswobodzić Antygonę — za późno! Dumna dziewica odebrała sobie życie, nie czekając na przewlekłą śmierć; nad jej trupem zaś i Hemon w rozpaczy zabija się na oczach ojca. Kreon pozostaje sam jeden: ze zwłokami syna na rękach powraca do pustego pałacu, przeklinając owego demona, który mu „kazał zdeptać życia radości".

Imię «Trachinek» nic nie mówi czytelnikowi; wskazuje ono tylko na skład chóru z obywatelek miasta Trachinu pod Termopilami, i jedynie znawca mitologji greckiej przypomni sobie, że miasto to dało schronienie żonie Heraklesa, Dejanirze, i synowi jego Hillosowi, potem jak wygnano go z jego ojczyzny argejskiej za zabójstwo Ifita, syna króla Echalijskiego, Euryta. Ale za co go zabił? Tego ani my nie wiemy, ani sama Dejanira. Dręczy się ona pod nieobecność swego męża, przepadłego bez wieści; dręczy się tem bardziej, że zostawił jej zagadkową wróżbę: „Dnia tego a tego kres moim cierpieniom". „Dzień ten a ten" — to właśnie dzisiaj. Dejanira zaklina Hillosa, aby udał się na poszukiwania ojca. Syn zgadza się: powziął już pewną o nim wiadomość. Okazuje się, że Herakles przedsięwziął wyprawę na Echalję, gród króla Euryta. Gdzie jest wyprawa, tam czyha niebezpieczeństwo; teraz więcej, niż kie-

dykolwiek, pomoc syna będzie przydatna. Hillos idzie szukać ojca.

Lecz oto błysnął radosny promień. Przybiega zwiastun: „Echalja zdobyta, Herakles żyje, niebawem będzie tutaj!" Skąd on to wie? Przyszedł z wojska jego herold Lichas. Dlaczegóż sam Lichas zwleka? Nie dają mu iść, zasypują go pytaniami... Nakoniec przybywa i on; wiezie i wiedzie łupy: skarb, bydło, niewolnice. Powodzenie oczywiste. Dejanira czuje się szczęśliwa; chce jednak dowiedzieć się o wyprawie, a przedewszystkiem o jej przyczynie. Odpowiedź Lichasa nie zupełnie ją zadowala: jakaś dawna, niezbyt ciężka zniewaga, wyrządzona Heraklesowi przez Euryta; z powodu tej zniewagi zabił on wprzódy jego syna, teraz zaś pogrzebał jego samego pod gruzami Echalji. Czy nie za wielki to odwet? A tu jeszcze te nieszczęsne niewolnice... z nich szczególnie jedna zwraca na siebie uwagę dobrej królowej i swoją urodą i swoją godnością... „Lichasie, co to za jedna?" Ale Lichas nie wie, nie badał. Więc cóż? Skoro nie wie — «Pójdź, nieboraczko, do domu, a za tobą wejdę i ja».

Wtem ktoś ją zatrzymuje—ów poprzedni zwiastun. Nie wie, jakto! Tam, przed miastem, Lichas był szczerszy, owa niewolnica jest córką króla Echalji. Herakles zakochał się w niej, zażądał jej od ojca: otrzymawszy zrozumiałą odmowę, uniósł się gniewem, zabił, gdy zdarzyła się sposobność, jej brata, a teraz zburzył jej miasto i, zdobywszy ją, posyła ją, jako niewolnicę, do domu. A w jakim celu—odgadnąć łatwo. Oto prawdziwa przyczyna wyprawy na Echalję.

Jest to cios piorunu. Dejanira nie jest zazdrosna, nie; ale całem sercem kocha Heraklesa, nie może pogodzić się z myślą, że utraciła jego miłość. Staje jej w pamięci pewna przygoda dawna, gdy błąkała się wraz ze swym tułaczem-mężem. Centaurowi Nessosowi zbytnio się podobała jej uroda, za co Herakles zabił go właśnie swą zatrutą strzałą. I oto, umierając, centaur poradził jej, aby zachowała grudkę jego krwi zapiekłej wokół strzały: „Będzie to twój lubczyk dla Heraklesa; po nim

żadnej już kobiety poza tobą nie pokocha." Postanowiła skorzystać z tego cudownego środka. Namaściwszy krwią centaura płaszcz, utkany przez się dla Heraklesa, przez tegóż Lichasa posyła mężowi ów «płaszcz Nessosa».

Serce jej bije niespokojnie. Coś dziwnego stało się z tym strzępem wełny którym smarowała płaszcz: rzucony na spiekotę słońca, jął on kipieć, topnieć i wreszcie cały zmienił się w jakąś pianę czerwoną. Dejanira przypomina sobie zapowiedź Nessosa — i teraz dopiero dociera do jej świadomości jej straszna dwuznaczność. Przybycie Hillosa potwierdza jej najgorsze obawy. Tak, Herakles kona: «płaszcz Nessosa» niszczy jego ciało. Równie jak ojciec, tak samo i syn uznaje ją za winną. Powalona nieszczęściem małżonka nie próbuje się usprawiedliwiać: oddala się w milczeniu i żywej już jej nie ujrzymy.

Ostatnie sceny stanowią wstrząsający obraz mąk skazanego na śmierć Heraklesa. Dowiaduje się od otoczenia domowego o mimowolnej pomyłce swej żony i przebacza jej: ale to, o czem się dowiaduje, potwierdza i jego także obawy, że niemoc jego jest nieuleczalna. Tak, wróżba się sprawdza, dzisiaj zaprawdę nastaje „kres jego cierpieniom": umarli cierpień nie znają. Nie zamierza on jednak czekać na powolny krok śmierci: każe ułożyć stos i w płomieniach jego żegna się z życiem.

Opuszczamy «Ajasa», mimo wysoce zajmującej i subtelnie rozwiniętej treści tej «tragedji honoru»; przechodzimy wprost do ostatniego okresu życia poety, do epoki wojny peloponeskiej (431 — 404). Złowieszczy był dla Aten jej początek: dżuma, śmierć Peryklesa. Dżuma uchodziła za karę Apollina: a więc sam Apollo, stały opiekun Sparty, stanął przeciw Atenom. Jedni czuli się tem zatrwożeni, drudzy utracili wiarę: jakież znaczenie ma Apollo i jego przepowiednie?

Sofokles miał wtenczas lat ponad pięćdziesiąt; ową wiarę w bogów, którą zawierał w sobie jego radosny hymn salamiński, zachował i teraz. Tragedje, jakie

napisał w początku wojny peloponeskiej, noszą jasną pieczęć owej wiary; możemy je poprostu nazwać «delfickiemi». Z pośród nich dochowały się do naszych czasów dwie: «Król Edyp» i «Elektra».

Pierwsza — «Król Edyp» — jest chyba najbardziej wstrząsającą tragedją śród wszystkich, jakie przekazała nam starożytność. Królowi Teb Laiosowi przepowiedział Apollo, że, jeśli urodzi mu się syn z jego żony Jokasty, to syn ten z czasem go zabije. Gdy przeto Jokasta rzeczywiście urodziła mu niemowlę męskiej płci, oddał je wiernemu pasterzowi-niewolnikowi, ażeby ten rzucił je na żer zwierzętom drapieżnym na dzikiej polanie Cyteronu, góry, graniczącej z dzielnicą koryncką. Lecz niewolnik ulitował się nad niewinnem dzieciątkiem i oddał je innemu pasterzowi, Koryncjaninowi, ów zaś odniósł je swemu królowi Polibowi, który wychował malca, jak własnego syna.

Edyp—tak nazwano malca — wyrósł na królewicza korynckiego; jednakowoż wieść o jego pochodzeniu niekorynckiem dotarła do jego młodych towarzyszów; aby ją obalić, Edyp udaje się do Delf. Tutaj Apollo, nie odpowiadając mu wprost na pytanie, przepowiada mu, że sądzono mu zabić swego ojca i poślubić swą matkę. Nie wątpiąc o tem, że jest synem Poliba, Edyp postanawia nigdy, póki żyją jego domniemani rodzice, nie wracać do Koryntu: rusza w drogę, dokąd go oczy poniosą.

Po drodze spotyka starca z niedużą świtą. Wszczyna się spór, który przechodzi w bójkę; młody witeź zabija tych, którzy go obrazili, prócz jednego, który ratuje się ucieczką. I oto pierwsza część wyroczni, pomimo woli i wiedzy Edypa, spełniła się: owym starcem był król Laios, niewolnikiem zaś, który uciekł—ów pasterz, który odniósł malca na Cyteron.

Wszelako Edyp o tem wszystkiem nie wie; idąc dalej, przychodzi do Teb. Tam ludzie cierpią pod grozą krwiożerczego Sfinksa, który porywa młodych obywateli jednego po drugim i grozi, że porywać ich będzie póty,

dopóki ktoś nie rozwiąże zadanej przezeń zagadki. Brat królowej Jokasty, Kreon, zarządzający państwem po tajemniczem zaginięciu Laiosa, ogłasza, że ręka jego siostry i królestwo stanie się nagrodą tego, kto rozwiąże zagadkę Sfinksa. Rozwiązuje ją Edyp—i staje się mężem Jokasty i królem Teb. Spełniła się i część druga wyroczni Apollina; nikt wszakże o tem nie wie, najmniej zaś ze wszystkich sam Edyp.

Mija około lat piętnastu. Małżonkowie żyją szczęśliwie; ich małżeństwo pobłogosławione jest przez dzieci—dwie córki, Antygonę oraz Ismenę, i dwóch synów, Eteoklesa oraz Polinika. Teraz dopiero Apollo postanawia odsłonić wszystko to, co zaszło, i pokazać ludziom, jak dalece bezsilna jest krótkowzroczna ich przezorność w porównaniu z bożem jasnowidzeniem. W tym celu przedewszystkiem zsyła on na Teby dżumę—i tu zaczyna się akcja dramatu.

Nie będziemy jej streszczać; każdy czytelnik się zgodzi, że osiągnięty w niej został kres wstrząsającego patosu. Powoli i stopniowo młody, szlachetny, skłonny do uniesień król zaczyna podejrzewać, poczem coraz silniej przekonywać się o tem, że on to jest zabójcą poprzedniego króla Laiosa, następnie zaś, że król zabity przezeń był jego ojcem, i że przeto jego żona Jokasta jest jednocześnie jego matką. Wypowiadamy to w niewielu suchych słowach: ale nic mierzyć się nie może z grozą tych stopnionych objawień w samej tragedji. I, oczywista, po ostatecznem wyznaniu dalszy ciąg poprzedniego życia stał się niemożliwy: Jokasta odbiera sobie życie; Edyp, oślepiwszy siebie cieleśnie za karę za swą długą ślepotę duchową, każe odprowadzić się na Cyteron—ów Cyteron, który jego rodzice już przy jego urodzeniu wyznaczyli mu na grób.

Drugą tragedją delficką jest «Elektra»: jak w «Królu Edypie» Apollo ukazany był jako źródło niezachwianej wiedzy, tak tu musimy czoła przed nim schylić, jako przed drogowskazem woli ludzkiej, jako przed siłą moralną. Treść «Elektry»—w ogólnych zarysach — jest ta

sama, co i treść jednej zachowanej tragedji Eschyla, mianowicie, wystawionych o trzydzieści lat wcześniej «Choefor». Jest rzeczą ciekawą, porównywając obie tragedje, uwydatnić odrębne cele, jakie urzeczywistnił młodszy poeta. Akcja, rozumie się, jest tu bardziej złożona, zachowane jest stopniowanie w narastaniu napięcia, gwałtowność w niespodzianych ciosach; każdy może prześledzić, o ile wygrała technika dramatyczna dzięki wprowadzeniu trzeciego aktora. Ale nie na tem polega istota rzeczy; jak zobaczymy niebawem, polega ona na czem innem.

Wróciwszy z pod Troi, Agamemnon padł ofiarą swej żony Klitemnestry i jej kochanka Egista. Nieletni syn jego Orestes nie uniknąłby tego samego losu, ale ocaliła go jego siostra starsza Elektra, wyprawiając go za pośrednictwem wiernego sługi ojca, Taltybiosa, do przyjaciela jego, króla Krysy pod Parnasem. Tam też chłopiec wyrósł; wyrósłszy, spytał wieszczącego pod Parnasem boga delfickiego, jak mu wypada postąpić. I Apollo rozkazał mu wypełnić powinność krwawej zemsty za ojca. Innemi słowy, bóg polecił człowiekowi popełnić najcięższy grzech — matkobójstwo. I człowiek nie oburza się, nie szemrze; co bóg nakazał, to nie może być grzechem. I rzecz zdumiewająca: wnikając w tę tragedję, i my także, jakkolwiek boga tego nie uznajemy, nie buntujemy się: tak wielka jest sztuka poety... nie, coś wyższego: jego głęboka szczera wiara, że i my, przecierpiawszy całą zmorę życia Elektry pod władzą występnej pary, widzimy w mającej dokonać się sprawie nie nową zgrozę, lecz wyzwolenie z dawnej i początek życia nowego, czystego.

Poeta osiągnął cel swój dzięki temu, że uczynił Elektrę bohaterką tragedji. Nie jest ona wtajemniczona w złożony plan zemsty, obmyślony przez jej powracającego brata do spółki z Taltybiosem. Zrazu niepokojący sen, który przyśnił się jej matce, napawa ją, wierną córę swego ojca, nadzieją rychłego tryumfu zdeptanego prawa. Lecz kiedy niepoznany przez nią Taltybios, zgodnie ze

zleceniem Orestesa, opowiada Klitemnestrze w jej obecności o rzekomej śmierci jej brata; jej rozpacz z jednej strony, występna radość jej matki z drugiej usposabiają nas w ten sposób, że z bijącem sercem czekamy na wybawczy cios. I oto Orestes, narazie nie rozpoznany, staje przed nią: nie chce, aby przed czasem go poznano. Lecz widząc mękę siostry, odmienia swe roztropne postanowienie, wyjawia, kim jest — i ta przedziwna scena odpoznania jest tak wyrazista i piękna, że nawet okropność matkobójstwa, która następuje po niej, nie może jej zaćmić. I, oczywista, po dokonaniu krwawej sprawy, żadne wyrzuty sumienia nie mącą pokoju dzieci Agamemnona: to, co się stało, było tylko wypełnieniem przykazania bożego; tam zaś gdzie przykazuje bóg, człowiek nie rozumuje.

Gdy wojna peloponeska dobiegała kresu, Sofokles miał już lat blisko dziewięćdziesiąt. W ciągu swego długiego i błogosławionego żywota napisał więcej, niż sto dwadzieścia dramatów, t. j. trzydzieści «trylogij» z «dramatem satyrowym» przy każdej; do naszych czasów dochowało się z nich, jak już nadmieniono, tylko siedem tragedyj. Dwie z nich pochodzą z ostatnich lat życia poety: «Filoktetes» i «Edyp w Kolonie». Ze ściśniętem sercem omijamy pierwszą z jej akcją prostą, lecz staranną psychologją i miłośnie rzeźbionemi charakterystykami; przechodzimy odrazu do jego łabędziej pieśni - tragedji, której autorowi nie sądzono już było ujrzeć na scenie, do jego «Edypa w Kolonie». Jest to naprawdę tragedja - cud; dzieje literatury nie znają drugiego przykładu takiej potęgi i rześkości ducha w starcu dziewięćdziesięcioletnim.

Jak wskazuje nagłówek, Sofokles wrócił w niej do zagadnienia swego «Króla Edypa», ale rozstrzyga je inaczej, niż w owej tragedji delfickiej, nacechowanej radykalizmem jego delfickich uniesień w pierwszych latach wojny. Poeta już nie godzi się z tem, aby człowiek ginął dla wywyższenia siły i niezłomności opatrzności bożej... Nic, Edyp cierpiał niewinnie, bogowie są wobec niego dłużnikami, obowiązani są go wynagrodzić. I bo-

gowie go wynagradzają; ostatnia tragedja Sofoklesa jest tragedją łaski.

Prowadzony przez swą pełną poświęcenia córkę Antygonę, ślepy starzec przypadkowo wchodzi do gaju swych dręczycielek, bogiń mroku podziemnego, Erynij, w Kolonie, opodal Aten. I w tym przypadku rozpoznaje on spełnienie danej mu ongi wróżby, że w tych właśnie warunkach znajdzie dla siebie ukojenie i stanie się źródłem cudownej łaski bożej dla kraju, który mu udzieli schronienia. I oto stary, ślepy, wygnany z ojczyzny męczennik nagle wywyższony jest przez bogów: on, żebrak, może dać gospodarzom swoim o wiele więcej, niż od nich otrzyma. Ale w tym celu musi przezwyciężyć ostatnią pokusę życia: jego pokłóceni między sobą synowie, Eteokles i Polinikes — proszę przypomnieć sobie to, co mówiliśmy w związku z «Antygoną» — wiedzą o jego wywyższeniu; wiedzą, że zwycięstwo przypadnie w udziale temu, po czyjej stronie opowie się on. I oto obaj synowie usiłują zjednać dla siebie jego swiętą osobę, pierwszy — siłą, drugi — prośbami. Napróżno, Edyp już nie należy do świata, który go odtrącił. Łaskę swą ofiaruje on Atenom, które dały mu schronienie, oraz ich młodemu, szlachetnemu królowi, Tezeuszowi. Burza niebieska zwiastuje, że uroczysta nastaje chwila; pożegnawszy wszystkich, Edyp cudem zstępuje w łono ziemi, która się pod nim rozstąpiła. Tam zamieszkuje on po dzień dzisiejszy jako duch-opiekun krainy ateńskiej.

Sofokles umarł w roku 405, nie dożywszy do mającego niebawem nastąpić pogromu jego Aten nad Egospotamosem. Ta szczególna łaska, która stała się udziałem starca, uwydatniona była przez jego współcześników; jeden z nich, poeta komiczny Frynich, rzekł o nim, że naprawdę był on człowiekiem szczęśliwym:

Żył długo, i śmierć w porę go zabrała,
Ustrzegłszy go od przeciwności losu.

Wiele odniósł zwycięstw za życia; ale najbardziej myślący śród jego współobywateli uznawali mimo wszyst-

ko, że nie dorównywa on swemu poprzednikowi, prawodawcy tragedji Eschylowi, i w dalszym ciągu pierwszeństwo przyznawali twórcy «Prometeusza» i «Orestei». Z czasem stosunek do tragedji uległ zmianie, ale i wtenczas Sofoklesowi przypadło w udziale jedynie drugie miejsce: pierwsze przysądzono jego młodszemu współzawodnikowi, znawcy serc i mistrzowi języka Eurypidesowi. Co do tego można się spierać. Ale kto ceni w sztuce wzniosłość i harmonijność, kto wzrokiem zwraca się z tęsknotą ku najszczęśliwszej epoce w życiu ludzkości, ku twórczej epoce dźwigających się Aten, upamiętnionej imionami Kimona i Peryklesa, ten ponad wszystko postawi oba szczytne pomniki tej epoki: Partenon na Akropolu i tragedje Sofoklesa.

ROZDZIAŁ VI

SCHYŁEK

32. SOFIŚCI

W okresie rządów Peryklesa i w latach następnych Ateny stały się ośrodkiem mądrości greckiej. Narodziła się ona, jak już wiemy, w Jonji; powołało ją do życia pytanie, skąd powstał świat żywy. Po Hezjodzie, który na początku wszechrzeczy stawił ziemię, Tales wskazał na wodę, Anaksymenes — na powietrze, Heraklit — na ogień. Pitagoras zaś, który filozofję przeniósł do greckiej Italji, wyprowadził wszystko to, co istnieje, z liczby... Ilu było myślicieli, tyle wypadło rozmaitych odpowiedzi. Wszyscy oni rozumowali w sposób bardzo przekonywający; cóż to znaczyło? Czy wszyscy mieli słuszność? Czy może — nikt?

Wszyscy mieli słuszność — tak rozstrzygnął sprawę sycylijski poeta i myśliciel Empedokles, autor zdumiewającego poematu «o przyrodzie». Świat powstał ze wszystkich czterech żywiołów, — ziemi, wody, powietrza i ognia; ale żywioły te łączyły się ze sobą w rozmaitych stosunkach liczbowych, jak uczył właśnie Pitagoras. Z czterech barw zasadniczych otrzymujemy wszystkie odcienie, biorąc z każdej to więcej, to mniej; to samo i tutaj. W ten sposób wytknięta została droga, po której poszła najnowsza chemja; ze wszystkich filozofów przyrody Empedokles najbardziej zbliżył się do tego, co uważamy za prawdę dzisiaj.

Nie, nikt nie ma słuszności, odpowiedział inny poeta-myśliciel, Ksenofanes; był on słynnym rapsodem, t. j. śpiewakiem poematów homerowskich, i wybranym tylko słuchaczom recytował swe własne wiersze z filozofji przyrody, przyczem tułacze jego życie zawiodło go, mniejwięcej równocześnie z Pitagorasem, z Jonji do Italji po-

ludniowej, gdzie właśnie założył szkołę w mieście Elei (szkołę «eleatów»). Nie, nikt nie ma słuszności. Wszystko, co mówił Tales i inni, dotyczy tylko świata pozornego, o którym świadczą nasze zmysły; ale świat ten jest tylko przywidzeniem, złudą naszych zmysłów. Poza nim istnieje wszakże świat prawdziwy, dostępny tylko naszemu rozumowi. O tym świecie prawdziwym nic powiedzieć nie możemy, prócz tego, że istnieje. Taki był ów słynny «dwuświat» eleatów; spotkamy się z nim jeszcze.

Wszelako oprócz Ksenofanesa i po nim znaleźli się też inni myśliciele, którzy o filozofach jońskich a zarazem i o eleatach orzekli, że z pośród nich nikt nie miał słuszności; tylko, że orzekli to w innem rozumieniu. Nikt z nich nie miał słuszności, ponieważ nikt z nich nic nie wiedział; również i teraz nikt nic nie wie i wiedzieć nie może. Skoro zaś mimo to mężowie owi przekonywali innych i zasłynęli, jako mędrcy, to dlatego, że, aby innych przekonywać, wcale nie jest potrzebna wiedza, potrzeba tylko mówić w sposób przekonywający. I o każdej rzeczy człowiek światły wygłosić może po dwie przekonywające mowy, jedną za, drugą przeciw. W jednej mowie będzie np. przekonywał, że sprawiedliwość jest pożyteczna, w drugiej, że szkodliwa. I kto wysłucha tylko pierwszej mowy, ten będzie przekonany, że sprawiedliwość jest pożyteczna; kto zaś wysłucha tylko drugiej, ten tak samo przekonany będzie, że jest ona szkodliwa. Wszystko zależy od sztuki mówienia.

Przy takiem rozumieniu rzeczy żadnej mądrości być nie mogło; jakaż mądrość może być tam, gdzie wiedzy niema i nie będzie? To też nasi myśliciele nie nazywali siebie sophoi (t. j. «mądrymi»), lecz tylko «sofistami» (t. j. «mędrkującymi»). Mało zaprzątało ich pytanie co do pochodzenia świata; wiedzieć coś o tem pochodzeniu—tak czy inaczej—było niemożliwością, przekonywać zaś innych, że powstał z ognia lub wody, było rzeczą bezcelową—bo czyż to nie wszystko jedno? Tymczasem zaś przekonywać ludzi, że rozmyślne zabójstwo człowie-

ka zawsze i wszędzie powinno być karalne—albo, przeciwnie, że w pewnych razach nie powinno być karalne—to miało znaczenie, gdyż przydać się mogło na sądzie. Podobnież przekonywać ludzi, że sprzymierzeńców, którzy się sprzeniewierzyli i których pokonano, należy karać z nieubłaganą surowością, aby dać przykład odstraszający innym,—albo, przeciwnie, że w stosunku do nich należy kierować się pobłażliwością, aby nie wywołać nienawiści powszechnej,—to było także rzeczą pożyteczną, gdyż przydać się mogło na zgromadzeniu ludowem. W tym kierunku zwracali też działalność swoją sofiści. Podejmowali się swą nauką wychować młodzieńców, aby wyrobić w nich zdolność pokonywania przeciwników i na sądzie i na zgromadzeniu ludowem: tacy zaś ludzie cieszyli się w Grecji rozgłosem; współobywatele otaczali ich szacunkiem i zasięgali u nich rady; wogóle uważano ich za ludzi «dobrych». I gdy pytano sofistów, co chcą osiągnąć swoją nauką, odpowiadali: uczynić uczni naszych dobrymi ludźmi. — A więc można nauczyć się być dobrym?—Tak, można.—Ale, przepraszam: właściwość człowieka dobrego nazywamy cnotą (aretê); według waszego zdania, można więc nauczyć się cnoty? Czyż cnota jest rzeczą nauczalną?—Tak, cnota jest rzeczą nauczalną (aretê didaktón).

Zatrzymajmy się tutaj na chwilę; uprzytomnijmy sobie, co to znaczy. Przypomnijmy sobie Pindara; podług jego nauki cnota jest dziedziczna, z dobrego ojca dobry rodzi się syn, ze złego zły, tak samo, jak ze lwa rodzi się lew, a z lisa lis. Było to nastawienie arystokratyczne: krąg ludzi dobrych był zamknięty, postronnym nie wolno było doń przeniknąć. I oto występują sofiści i twierdzą: cnoty można się nauczyć, każdy, jakiekolwiek byłoby jego pochodzenie, może ją sobie przyswoić, jeśli posiada talent i pilność. Łacno pojąć, jaki oddźwięk radosny musiała nauka podobna znaleźć w owych czasach demokratycznych.

Wszelako, nie unośmy się zbytnio: wszystko byłoby dobrze, gdyby sofiści uczyli istotnie cnoty, czynili z uczni

swych ludzi naprawdę dobrych. Lecz nie; uczyli ich tylko przekonywać innych na sądzie i na zgromadzeniu ludowem; uczyli ich nie tego, jak być dobrym, lecz tylko, jak wydawać się dobrym. Jednakowoż wśród słuchaczy był jeden, który rozumiał, na czem polegał niedobór ich nauki, i chciwie starał się mu zaradzić: był to Sokrates. Lecz o nim pomówimy w dalszym ciągu.

Niemniej wszakże nawet ów pozór cnoty, który sofiści w swej nauce wykładali ludziom, zjednywał ich serce — zwłaszcza dzięki temu, że sami byli to ludzie bezwarunkowo rozumni i dobrzy; schlebiało tedy niejednemu, aby być do nich podobnym. Zapoznajmy się z najważniejszymi wśród nich.

Jeden przybył do Aten z zachodu: był to Gorgiasz z Leontyn w Sycylji, uczeń owego Tyzjasza, którego już znamy; nic dziwnego, że to „niegodne pisklę niegodnego kruka" zaszczepiło mu jak najżywszą namiętność do przekonywającej wymowy. Mieszkańcy Leontyn, zagrożeni przez swych sąsiadów Syrakazańczyków, wyprawili go do Aten z prośbą o pomoc, on zaś wymową swoją tak oczarował słuchaczy, że jego sposób wyrażania się, rozmieszczania słów, budowania zdań poprostu sprawił przewrót w krasomówstwie ateńskiem.

Drugi przybył z północy: był to Protagoras z Abdery w Tracji. Człowiek pełen sił i energji, pozyskał przyjaźń Peryklesa i otrzymał odeń zaszczytne zlecenie: ułożyć ustawy dla założonej przezeń — przez Peryklesa — nowej kolonji, Turji, na miejscu zburzonego przed stuleciem Sybarysu. Odwiedzał często Ateny i w czasie późniejszym i zaprzyjaźnił się z poetą tragicznym Eurypidesem; w domu jego odczytał swój utwór o bogach, zaczynający się od słów: „O bogach nie mam nic do powiedzenia, ani tego, że istnieją, ani tego, że ich niema". Utwór ten oburzył jednego ze słuchaczy, i ten oskarżył Protagorasa o bezbożność; z wyroku sądu ludowego książka uległa spaleniu, sam zaś Protagoras został wygnany. Udał się okrętem na Sycylję i wskutek burzy, jaka wybuchła na morzu, zginął w falach.

Trzeci przybył z południa—Hippjasz z Elidy, sąsiad i wielokrotny gość sławnej Olimpji, gdzie chętnie wygłaszał wobec zgromadzonych Hellenów wytworne mowy na tematy ogólnokształcące. Był on swego rodzaju wszechczłowiekiem, starając się nietylko przeniknąć tajemnice wszystkich nauk i sztuk, lecz także zgłębić wszystkie rzemiosła; tak, razu pewnego, wystąpiwszy wobec świątecznego zgromadzenia w Olimpji, nie bez próżności jął zapewniać swych słuchaczy, że wszystko, co miał na sobie, obuwie, płaszcz, pas, pierścienie, wykonane jest przez niego samego. W nauczaniu swem lubił stawić pytania, w jaki sposób co powstało, mocą «przyrody» czy też mocą «umowy» (physei czy thesei)—język, małżeństwa, gmina obywatelska i t. d.

Nakoniec, czwarty przybył ze wschodu, acz z bliskiego, z wyspy Keosu; zwał się Prodikos. Był to człowiek innego pokroju — chorowity, smutny, o posępnym poglądzie na życie, które wydawało mu się łańcuchem niedoli; winę tego jego «pesymizmu», jak pogląd jego mianujemy, poniekąd ponosiła ojczyzna jego, mająca ponurą u Greków reputację wskutek często zdarzających się samobójstw jej obywateli. Sam on wszakże wzywał nie do samobójstwa, lecz do zbawczej zdrowej pracy, do naśladowania plemiennego bohatera Doryjczyków, Heraklesa, który także pracą nieustanną zdobył sobie nieśmiertelność. Jemu poświęcił on ku nauce ludzkiej swą piękną przypowieść: «Herakles na rozdrożu».

Tacy byli owi mężowie, których nęciło ku sobie słońce Aten Peryklesowych; przybywali tu niezależnie od zleceń państwowych, spodziewali się bowiem znaleźć tu najliczniejszych i najpilniejszych uczniów. Dawało im to, oprócz sławy, także i korzyści. Za nauczanie brali oni zapłatę, i przytem pokaźną. Sokrates, który nauczał bezpłatnie, taką sprzedajność pracy nauczycielskiej uważał za rzecz zdrożną; przynosi to zaszczyt Sokratesowi, ale nie uwłacza sofistom, którzy postępowali w gruncie rzeczy tak samo, jak przyjęte jest postępować dzisiaj. Przyjazd znakomitego sofisty był prawdziwem świętem

dla miasta. Dach i stół przyjmowali sofiści u jednego obywatela ateńskiego, bogatego Kalljasza, który za honor dla siebie poczytywał goszczenie w swoim domu luminarzów Hellady. Przyjeżdżali oni zazwyczaj nie sami, lecz w towarzystwie swych najbliższych uczni; uczniowie ci, jako już posunięci w nauce, często bywali asystentami mistrza w jego stosunkach z nowymi uczniami. Od uczniów zaś, dosłownie, trzeba się było bronić: od samego świtu kołatali burzliwie do gościnnych drzwi Kalljasza, ku wielkiemu rozdrażnieniu starego oddźwiernego, który przeklinał wszystkich owych «sofistów» i cudzych i swoich. I oto rozległy perystyl bogatego domu przyjął tłum wielbicieli; przyjezdny sofista występował, zwracał się twarzą do swego audytorjum, które kornie czekało na jego słowa, i wygłaszał miłym, miarowym, nieco śpiewnym głosem swą zgóry przygotowaną, być może wyuczoną mowę na jakiś temat z filozofji moralnej, bądź w formie rozprawy, bądź w formie przypowieści. Po skończeniu mowy wolno było zadawać pytania; na pytania te mistrz odpowiadał znowu mową powiązaną, mniej lub więcej długą.

Wszystko to napozór wyglądało dobrze i wielu niewątpliwie niemały osiągało pożytek z obcowania z tymi wybitnymi myślicielami i mówcami, rozszerzając swój widnokrąg i rozwijając swój dar wymowy. Ale dla większej liczby ludzi umysłowo niedojrzałych nauka ta była prawdziwą trucizną. Teza: «w każdej sprawie można wygłosić dwie sprzeczne, jednakowo przekonywające mowy»—podrywała wszelkie podstawy prawdy i moralności. Weźmy sąd i rozprawę karną; jeśli świadkowie stoją po twej stronie, udowadniaj, że zeznania świadków w każdym razie zasługują na zaufanie, że niema pewniejszego sposobu ustalenia prawdy. Jeśli masz świadków przeciw sobie, udowadniaj z równą namiętnością, że zeznania świadków na żadne zaufanie nie zasługują, że człowiek bywa omylny, że oprócz pomyłki mimowolnej słowa jego wypaczyć może zła wola zysku. W szkole sofistów można się było nauczyć tej sztuki «dowodzenia

w obu kierunkach»; członków zaś sądu ludowego, prostych, niewyćwiczonych w djalektyce obywateli ateńskich, można było snadnie schwytać na wędkę jędrnej i zewnętrznie przekonywającej mowy. Ustawodawstwo zaś Solona, który nie przewidział sofistyki, dawało powody do występowania takich niesumiennych sług wymiaru sprawiedliwości: w tych razach, gdy stroną poszkodowaną bywało państwo, albo osoba niezdolna do obrony swych interesów, pozostawiało ono prawo oskarżenia każdemu, ktokolwiek chciał się go podjąć. I oto występował taki ochotnik, mający poza sobą studja w szkole jakiegoś sofisty. Na ofiarę swą wybierał on jakiegoś zamożnego, spokojnego i dobrodusznego obywatela; przed wniesieniem przeciw niemu skargi, dawał mu do zrozumienia, że gotów zrzec się swego zamiaru, jeśli otrzyma odeń przyzwoity datek. I nieraz upatrzony podsądny, nawet czując się niewinnym, wolał zapłacić łapówkę, byle uniknąć kłopotów i nie plamić czystego imienia sprawą sądową o niewiadomym wyniku. W taki to sposób sofistyka w dziedzinie sądowej zrodziła odrażającą działalność sykofantów—tak zwali Ateńczycy owych niesumiennych oskarżycieli, i wyraz ten zachował się po dzień dzisiejszy w tem znaczeniu, jakkolwiek wytłumaczyć go, jak należy, już starożytni nie umieli.

Niemniej niebezpieczne było działanie źle przyswojonej sofistyki i w dziedzinie politycznej: wszak i w radzie pięciuset i w zgromadzeniu ludowem rozstrzygali sprawy ci sami obywatele prości, nie wyszkoleni w szermierce słowa. Co począć, jeśli przymusowe wtłoczenie do związku morskiego, dajmy na to, wyspy Melosu, będąc rzeczą korzystną dla Aten, przeczy jednocześnie wymogom sprawiedliwości? Skoro masz podstawy, aby bronić sprawy Melosu (otrzymawszy odeń, być może, porękawiczne)— udowadniaj, że sprawiedliwość jest ostoją władzy, że sami bogowie karzą tych, którzy uciekają się do gwałtów i t. d. Skoro zaś, przeciwnie, jesteś na mieszkańców Melosu nie łaskaw — udowadniaj, że pożytek państwa stoi ponad wszelkiemi innemi rachubami, że wszelka władza

wspiera się o przymus, i jednocześnie daj do zrozumienia, że jeśli przeciwnik twój tak gorąco broni Melijczyków, to jest wątpliwe, czy robi to bezinteresownie. W szkołach sofistów uczono przemawiać i w obronie sprawiedliwości, i przeciw niej; wyszukanie wywodów na rzecz jednej i drugiej tezy nie było trudne, umysłowość zaś obywateli była nawet bardzo podatna dla zdobywczej siły zewnętrznie przekonywających rozumowań. Na gruncie tedy sofistyki rosła i krzewiła się zaraza demagogji, która miała zatruć życie polityczne Aten w latach, jakie nastały po świetnych rządach Peryklesa.

Tak, nie ulega wątpliwości: sofiści, jakkolwiek osobiście byli to ludzie uczciwi i porządni, wnieśli jednakże niemałą rozterkę w życie Aten na schyłku wieku V: i sykofantyzm i demagogja w znacznym stopniu obarczają ich sumienie. Lecz słowo, jako Logos, niedarmo było tak czczone i prawie ubóstwiane przez starożytnych Hellenów: jeśli niekiedy bywało trucizną, to ono też zawierało w sobie i odtrutkę. I nie ci ocalają ludzkość, którzy z obawy przed trucizną ograniczają lub niweczą wolność słowa, lecz odwrotnie, ci, którzy wolności tej nie pozwalają się rozwinąć, ludziom zaś—wydobyć z wolnego słowa zawierający się w niem lek na truciznę. Wymieniłem już imię owego Ateńczyka, który, przysłuchując się naukom sofistów, z niepokojem dostrzegał jad, ukryty pod ozdobną powierzchnią ich płynnych, długich, przekonywających mów—imię Sokratesa; jemu to sądzone było odkryć owo lekarstwo przeciw truciźnie, o którem wspomniano tutaj.

33. WOJNA PELOPONESKA
(431 — 404)

Burza rozpętała się z powodu tego z członków związku peloponeskiego, któremu najbardziej ciążył pokój pięćdziesięcioletni — Koryntu.

Wiemy już o jego niesfornej kolonji, Korcyrze, na morzu Jońskiem; dumna ze swej potężnej floty — dru-

giej po ateńskiej — nie przyłączyła się ani do jednego związku, ani do drugiego, i bogaciła się w pokoju, rozwijając swe stosunki handlowe z Grecją oraz Italją. Jej zadzierżysta polityka wobec swej metropolji zmusiła nakoniec tę ostatnią do podjęcia przeciw niej środków stanowczych; Korcyra, przestraszona, udała się o pomoc do Aten, prosząc, aby przyjęto ją do związku delijskiego. Czy było to rzeczą możliwą wedle warunków pokoju pięćdziesięcioletniego? Tak, powiadała Korcyra, ponieważ nie należy do członków związku peloponeskiego; nie, odpowiadał Korynt, ponieważ kolonja obowiązana jest iść za swą metropolją. Sprawa była sporna, i Ateny poprzestały na półśrodku: zawarły z Korcyrą odrębny sojusz odporny, lecz nie zaczepny.

Korynt był oburzony; w radzie państw peloponeskich kładł nacisk na to, że Ateny naruszyły traktat; Sparta niechętnie poddawała się jego wywodom; z uwagi wszakże na stanowczą postawę reszty związkowców wysłała do Aten ultimatum z żądaniem, aby te „wygnały ohydę kilonową,"t. j. jak rozumiano powszechnie, Peryklesa, który po kądzieli pochodził od Alkmeonidów. Ateńczycy odpowiedzieli całkiem zasadnie żądaniem, ażeby Sparta nasamprzód u siebie „wygnała ohydę tenarską". Sparta zasięgnęła rady Delf: te, zawsze wrogie Atenom, w imieniu swego boga udzieliły Sparcie błogosławieństwa na wojnę z niemi, dodawszy, że bóg ich wesprze „i wołany i niewołany."

Tak rozerwany został traktat pięćdziesięcioletni, nie przetrwawszy nawet lat piętnastu, i zaczęła się wojna— wojna bratobójcza, w której zginąć miał kwiat Hellady.

Przyjmując wojnę, Perykles był świadom tego, że Ateny nie zdołają sprostać zjednoczonym siłom Peloponezu; Attykę wydał na łup ich grabieży. Ale Ateny były nie do zdobycia: były połączone niezłomnemi murami z Pireusem i, dzięki temu, mogły otrzymywać drogą morską wszelkie artykuły, niezbędne dla wszystkich mieszkańców Attyki, którym wypadło na czas najazdu nieprzyjaciół szukać schronienia wewnątrz murów miejskich.

I oto, gdy nieprzyjaciele szczerbić będą swój oręż o niezwalczone mury, w tym samym czasie spodziewał się zapomocą swej floty zadawać im pokolei szereg drobnych ciosów, dopóki, znużeni, nie poproszą o pokój i nie uznają hegemonji Aten.

I tak byłoby się stało, gdyby nie jedno zdarzenie, którego nikt przewidzieć nie mógł.

Armje Peloponezu rzeczywiście jęły pustoszyć Attykę — już w pierwszym roku wojny, a jeszcze dokładniej w drugim; chłopi, tłocząc się za «długiemi» murami, z rozpaczą patrzyli na łunę pożaru, trawiącego ich wsie, łany i winnice. Wszystko to było przewidziane i wzięte w rachubę.

Lecz pod wpływem upału i skupienia wielkiej ciżby w Atenach nagle wybuchła d ż u m a — najstraszniejsza ze wszystkich, jakie pamiętano w Grecji. Ludzie gromadami umierali dokoła studzien, do których przychodzili, aby ukoić swe palące pragnienie; wkrótce nie było rodziny, któraby nie opłakiwała ofiary niepokonanej choroby. I wciąż nie widziało się końca. Krążyły okropne wróżby, przypominano sobie o dawnej wyroczni, zapowiadającej, że

Runą zastępy doryjskie, i dżuma runie ich śladem.

Przypominano sobie o zagadkowej odpowiedzi Apollina, danej Spartanom: a więc to jest owa «niewołana» pomoc boga! Wszak już Homer mówi, że dżumę zsyła Apollo swemi niewidzialnemi strzały.

Pod naciskiem niedoli lud odstrychnął się od Peryklesa. Coprawda nie na długo: był on teraz bardziej niezastąpiony, niż kiedykolwiek. Ale i jego dni były już policzone: dżuma krążyła wokół niego, rażąc jego rodzinę; ostatni zaniemógł on sam. Razu pewnego, gdy leżał nieprzytomny, jego przyjaciele, siedząc u jego łoża, sławili jego zalety i zasługi; wtem Perykles otworzył oczy i rzekł im z uśmiechem: „To, czem najbardziej się szczycę, pominęliście, przyjaciele." — „Co mianowicie?" — „To, że z mojego powodu nikt z Ateńczyków nie przywdział żałoby."

W chwilę potem już nie żył.

Po śmierci jego jedność obywateli uległa rozbiciu. Nieprzejednani arystokraci po dawnemu zbierali się w tajnych klubach, nie uważając jeszcze momentu za właściwy do wystąpienia. Umiarkowani wybrali na swego wodza Nikjasza, potomka tego, który ongi przeprowadził do Aten Epimenidesa; na podobieństwo swego przodka, był to człowiek pobożny, po ojcowsku zachowujący się wobec ludu, a przytem mąż zdatny i do rady i do miecza, jakkolwiek ostrożny aż do podejrzliwości. Wszelako bardziej zdecydowani demokraci podtrzymywali przywódców śmiałych a niewybrednych w środkach działania, — t. zw. demagogów, — którzy doradzali im środki krańcowe i niekiedy karkołomne; najwpływowszy wśród nich był Kleon, z zawodu skórnik. Prawdziwy następca ducha Peryklesowego był wtenczas jeszcze młodzieńcem dwudziestoletnim: był to jego krewny Alcybiades, piękny z wyglądu i czarujący w obejściu z ludźmi. Tymczasem zwracał on na siebie uwagę w potrzebach wojennych walecznością lwa, w odstępach zaś czasu między niemi — swawolnemi wybrykami i pijatykami; niekiedy, zresztą, ogarniała go zaduma, i wtenczas przychodził do Sokratesa i z pokorą odpowiadał na jego pytania uduchowione, godzące w samą głąb serca ludzkiego.

W pierwszych latach po śmierci Peryklesa wojnę toczono w jego duchu, jak żądał tego ostrożny Nikjasz; wkrótce atoli małoznacząca z pozoru okoliczność dała stanowczą przewagę Atenom. Admirał ateński Demostenes (starszy), płynąc koło pustynnych brzegów Messenji, powziął myśl zajęcia załogą ruiny Pilosu, rodzinnego miasta homerowskiego Nestora. Heloci messeńscy jęli się zbiegać ku niemu; Spartanie zlękli się, aby nie powstała tam druga Itoma, i oblegli Pilos od strony morza, wylądowawszy na leżącej przed nim wysepce Sfakterji. Demostenes obległ zkolei oblegających. Położenie było nieokreślone: Spartanie mężnie wytrzymywali oblężenie, otrzymując żywność przez nurków. Lecz zarządza-

jący państwem zatrwożyli się o los swych obywateli: machnąwszy ręką na sprzymierzeńców, dla których dali się wciągnąć w tę niepotrzebną dla nich wojnę, wysłali do Aten posłów, ofiarując pokój.

Nikjasz, obrany strategiem, wspierał ich; Kleon, natomiast, przeciwstawiał się wszelkiemi sposoby propozycji pokojowej, stawiąc niemożliwe do przyjęcia warunki i utrzymując, że Spartanie na Sfakterji dawno byliby wzięci, gdyby nie kunktatorstwo strategów. Wtenczas Nikjasz spytał go ironicznie, czy nie chciałby go zastąpić. Kleon, chcąc-niechcąc, musiał przyjąć ofertę. Wszyscy byli przekonani, że demagog, w rzeczach wojny niedoświadczony, skręci kark — i wielu pragnęło tego, z Nikjaszem na czele. Ku powszechnemu wszakże zdumieniu powodzenie mu dopisało: w ciągu kilku tygodni Sfakterję zdobyto, i Spartanie dostali się do niewoli. Była to, coprawda, zasługa Demostenesa, któremu Kleon przezornie pozostawił dowództwo nad akcją wojenną, mimo to wszakże Nikjasz był upokorzony, i partja Kleona wzięła górę. Politykę ostrożności porzucono; Kleon domagał się działań stanowczych, a w tym celu przedewszystkiem — powiększenia prawie wdwójnasób wkładów związkowych.

Był to krok szaleńczy: jeśli cokolwiek jeszcze utrzymywało przy życiu związek delijski, to właśnie sprawiedliwość «podziału Arystydesowego» i humanitarna polityka Nikjasza. Nastąpił wybuch oburzenia ze strony związkowców; rozumny wódz spartański Brasydas pochwycił korzystny dla Sparty zwrot w toku wypadków i wylądował z wojskiem na wybrzeżu trackiem. Tu kolonje nadmorskie spotkały go jak oswobodziciela; jedna po drugiej przyłączały się do niego, zrywając traktat z Atenami. Związek delijski był bliski rozpadu; aby ocalić swą hegemonję, Ateny wyprawiły przeciw Brasydasowi wojsko, nad którem dowództwo, rzecz naturalna, objął Kleon. Rozegrała się bitwa, w której obaj wodzowie — i Brasydas, i Kleon — polegli.

Teraz w obu państwach zatryumfowała partja pokoju; zawarto go na zasadzie t. zw. status quo, t. j. przywrócenia tego stanu, w jakim państwa przebywały do czasu wojny. Już starożytni zwali pokój ten pokojem Nikjasza (421).

Ponieważ wojnę wszczęli Peloponezyjczycy, więc pokój zawierał w sobie stwierdzenie ich klęski. Szczególniej niezadowolony z tego był, oczywista, Korynt: skoro Sparta była za słaba, aby sprawować hegemonję w Peloponezie, to niechaj przejmie ją jej brat starszy, los Temenosa, Argos. Argos był nie od tego; w taki to sposób Peloponez się rozszczepił. Sparta jęła zrazu rzetelnie wykonywać warunki pokoju, lecz opór sprzymierzeńców obrócił wniwecz jej wysiłki.

W Atenach tymczasem Alcybiades dosięgnął, nakoniec, wieku męskiego; pragnąc się wszelkiemi sposobami wydźwignąć, ażeby wraz ze sobą dźwignąć też Ateny, wszedł w stosunki z Argosem i zorganizował w samym Peloponezie przymierze przeciw Sparcie. Nie miał jednak powodzenia: na polu bitwy Sparta dawne wykazała męstwo, i związek peloponeski odbudowany został na poprzednich zasadach. Wtenczas Alcybiades stworzył nowy plan działania — o wiele od tamtego śmielszy.

Musimy tutaj wrócić do kolonij greckich na zachodzie, w szczególności do Sycylji.

Czem dla Grecji właściwej była Persja, tem dla nich było potężne państwo fenickie w Afryce północnej, Kartagina; jednocześnie z wyprawą Kserksesa dokonał się, jak widzieliśmy, najazd Kartaginy na Greków sycylijskich, lecz ci pod wodzą Syrakuz szczęśliwie odparli najeźdców (480 r. przed N. Chr.) To doprowadziło do hegemonji Syrakuz w Sycylji — te zaś stanowiły kolonję Koryntu, a więc szczepu doryckiego. Kolonje innych szczepów niechętnie znosiły ową hegemonję dorycką i z otuchą spoglądały ku Atenom. Teraz właśnie — w roku 415 — jedna z nich, Egesta, zwróciła się do Aten o pomoc.

Alcybiades z zapałem poparł tę prośbę. Bujnemu jego umysłowi cudny zamarzył się obraz: strącić hege-

monję Syrakuz, zjednoczyć wszystkich Greków sycylijskich oraz italskich, z ich pomocą rozgromić Kartaginę i potem, dołączywszy do związku delijskiego cały zachód grecki, poddać swej władzy Peloponezyjczyków i objąć panowanie nad światem. Sam czuł się na siłach, aby dzieła takiego dokonać — i pono się nie mylił.

Ateńczycy nie mogli oprzeć się jego płomiennej wymowie; sprzeciwy Nikjasza miały ten tylko skutek, że siły floty, przeznaczonej na wyprawę, zostały powiększone, i sam on był przydzielony Alcybiadesowi, jako jego towarzysz. Flota odpłynęła.

Ale zaledwie zdążył Alcybiades opuścić Ateny, już wrogowie jego, stronnicy Kleona, puścili w ruch intrygę. Zrazu w drodze ciemnych plotek, następnie coraz wyraźniej nieobecnego stratega oskarżali o bluźniercze rozgłoszenie tajemnic eleuzyńskich i o skaleczenie posągów Hermesa. Ateńczyków ogarnęła trwoga: nigdy jeszcze nie była im tak bardzo potrzebna pomoc bogów, jak teraz, gdy stali w obliczu tak śmiałego zadania. Postanowiono odwołać Alcybiadesa, ażeby usprawiedliwił się przed sądem.

Na Sycylji ledwo zaczynały się działania wojenne, gdy przybył państwowy statek gończy z żądaniem powrotu Alcybiadesa. Nie znaczyło te jeszcze, że był zgubiony: więcej, niż prawdopodobne, że udałoby mu się usprawiedliwić się. Lecz Alcybiades, jak potem się okazało, przesadzał potęgę swych wrogów; nie ufając Atenom, umknął do Argosu. Ucieczka jego dała oręż w rękę jego wrogów: wskutek ich podżegań wydano nań wyrok śmierci, i wszyscy kapłani otrzymali polecenia, aby go przekląć. Jedna tylko Teano, kapłanka Demetry, odmówiła spełnienia nakazu, oświadczywszy: „Jestem kapłanką modłów, nie zaś przekleństw".

Dowiedziawszy się, że jest skazany na śmierć, Alcybiades wykrzyknął z nienawiścią: „Otóż dowiodę wam, że żyję!" i z Argosu przeszedł do Sparty.

Dowództwo wyprawy sycylijskiej przypadło w udziale temu właśnie, kto najmniej ją pochwalał: Nikjaszowi. Powinność swą wypełnił on rzetelnie: obległ Syrakuzy

od strony morza i lądu — zaczęły już obiegać pogłoski o kapitulacji. W tej atoli chwili uwydatniła się cała doniosłość Alcybiadesa. Udowodnił Spartanom, że upadek Syrakuz będzie zwiastunem ich własnego upadku, i namówił, aby dali pomoc zagrożonemu miastu. Wyprawiono do Sycylji najlepszego po Brasydasie dowódcę, Gilippa. Oddział jego nie był liczny, ale urok imienia spartańskiego w Sycylji był tak potężny, że na wezwanie Gilippa zbiegły się tysiące ochotników, i z pokaźną siłą ruszył na odsiecz Syrakuzom. Sprawy rychło wzięły inny obrót. Na domiar niedoli Nikjasz niebezpiecznie zachorował. Napisał do Aten, ażeby przysłano nową flotę i nowego wodza. Z napięciem ostatnich sił Ateńczycy wyprawili na Sycylję nową flotę pod wodzą Demostenesa, pozostawiając jednocześnie na stanowisku stratega także i Nikjasza. Lecz było już za późno: Syrakuzańczycy ostatecznie wzmogli się na duchu, Ateńczycy ponosili jedną porażkę po drugiej. Jeszcze można było przynajmniej ocalić flotę, i Nikjasz postanowił ją ratować, ale zaćmienie księżyca, co zdarzyło się akurat tej nocy, którą przeznaczono na odjazd, kazało przesądnemu i choremu wodzowi odroczyć powrót na miesiąc. Tymczasem Syrakuzańczykom udało się zamknąć flotę ateńską; wojsku wypadło cofać się lądem, niewiadomo dokąd. Scigane zewsząd, wojsko to w oczach topniało; resztki jego wzięte były do niewoli. Demostenes i Nikjasz zostali straceni.

Jeszcze przed smutnym wynikiem przygody sycylijskiej Spartanie, idąc za radą Alcybiadesa, zadali Atenom inny cios; wtargnąwszy do Attyki, zajęli załogą Dekeleję, położoną tak, że z niej można było rozpuszczać zagony w rozmaitych kierunkach.

Takie było otrzeźwienie się Aten z krótkotrwałego czadu: cała flota zginęła, nieprzyjaciel zaś stanął w sercu Attyki.

Alcybiades jednakże nie pragnął zguby swej ojczyzny: marzył o tem, aby podźwignąć sprawy Aten ku dawnej wyżynie. Zdumiewająca, zaiste, była umiejętność, z jaką przystosowywał się do okoliczności. Człowiek, gorszą-

cy wszystkich w Atenach swą rozwiązłością, w Sparcie przewyższył wszystkich surowością życia i wytrwałością — zdawało się, że urodził się i wychował pod prawami Likurga. Zjednawszy sobie powszechne zaufanie, zapragnął, aby wyprawiono go do satrapy perskiego, Tyssafernesa. Z tym ostatnim miał on pomówić o wspólnej akcji w Jonji, która na wieść o pogromie sycylijskim prawie cała odpadła od Aten. Satrapę i wogóle Persów znów oczarował wytrzymałością i wspaniałością na ucztach, — Persowie wielce to cenili, — działał atoli nie na rzecz Sparty, lecz wbrew jej interesom, dowodząc swemu gospodarzowi, że Ateny przestały już być niebezpieczne, i że dla Persji korzystniejszą jest rzeczą podtrzymać je przeciw porosłemu w siłę związkowi peloponeskiemu. Równolegle nawiązał stosunki z arystokracją ateńską, namawiając ją do obalenia u siebie demokracji: w takim razie — powiadał — Persja im dopomoże. Gdy zaś arystokraci, korzystając z nieobecności wojska, które zajęte było wojną z Jonją, dokonali owego przewrotu, Alcybiades obiecał pomoc swą temu właśnie wojsku, był przez nie powołany na wodza i, skierowawszy się ku Hellespontowi, pokonał Spartan w świetnej bitwie pod Kizykiem (410 r.). Po wielu porażkach znów błysnął promień szczęścia dla znużonych Aten. Alcybiades znów stał się ulubieńcem ludu; śród powszechnego zachwytu powrócił do Aten.

A jednak nieufność przeciw niemu, wywołana jego wielokrotnemi zdradami, tliła się pod popiołem, gotowa wybuchnąć płomieniem przy pierwszej sposobności. Oczekiwano odeń, że odzyska dla Aten Jonję; była to wszakże sprawa niełatwa, i na początku, wskutek nierozumu podwładnego, wojsko Alcybiadesa doznało nawet niepowodzenia. Wtenczas zachwyt odpłynął — następnego roku nie wybrano go na stratega. I teraz nie było w tem jeszcze nic ostatecznego: takie wahania czasowe były w demokracji rzeczą zwyczajną. Lecz Alcybiades potrafił wszystko, tylko nie czekać; po raz drugi porzucił Ateny i wyniósł się do jednego z zamków swych na Hellesponcie.

Tu był on świadkiem ostatniej, fatalnej bitwy, która położyła kres wojnie peloponeskiej. Wodzem Spartan był wtenczas Lisander, człowiek rozumny, acz wyzuty z sumienia; objąwszy komendę nad flotą, udał się do Hellespontu, aby odebrać Ateńczykom tę komunikację wodną i pozbawić ich w ten sposób połączenia z kolonjami na północy Morza Czarnego, skąd otrzymywali oni zboże. Flota ateńska wystąpiła przeciw spartańskiej nad t. zw. rzeką Kozią (po grecku Egospotamos). Alcybiades, który zamieszkiwał w pobliżu, odrazu dostrzegł słabą stronę tej pozycji, oddalonej od punktów prowiantowych, i radził strategom, aby odpłynęli ku miejscom korzystniejszym; lecz ci odparli, że nie życzą sobie, aby się mieszał w ich sprawy. I oto, skorzystawszy z czasowego odejścia wojska, Lisander napadł na słabo bronioną flotę i zniszczył ją, a flota owa, z olbrzymim trudem zbudowana po katastrofie sycylijskiej, stanowiła ostatnią nadzieję osłabionych Aten. Wojsko się wtenczas poddało; w szybkiej inwazji Lisander odebrał Atenom kolonje trackie, obległ je z lądu i z morza i, po krótkiem oblężeniu, zmusił do kapitulacji (404 r.)

Wkrótce po upadku ojczyzny, zginął też i Alcybiades. Uciekł on do swego przyjaciela, satrapy perskiego; Lisandrowi atoli udało się podburzyć go przeciw zdrajcy. Dom jego otoczono wśród nocy zbrojnymi ludźmi i podpalono, a gdy z mieczem w dłoni wybiegł on z płomieni, zasypano go gradem strzał i zabito.

34. PRZECHADZKA PO ATENACH.

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy posłami efeskimi, wyprawionymi do Aten dla układów, przy samym końcu wojny peloponeskiej. Okręt wiezie nas z początku wzdłuż północnego wybrzeża zatoki i południowego brzegu wyspy Chios, następnie pełnem morzem do przesmyku, który oddziela wyspę Andros od wyspy Eubei, a potem do drugiego między wyspą Keos i Attyką. Wpatrujemy się chciwie w tę ostatnią i dziwimy się, że jej brze-

gi są tak ponure i odludne; ale nasz towarzysz podróży mówi, że to jeszcze nie jest sama Attyka, tylko długa «wyspa Heleny», która się ciągnie wzdłuż jej brzegu południowo-wschodniego. Nareszcie nudna wyspa zniknęła: oto prawdziwa Attyka! Wysoko na przylądku Sunion błyszczy biała kolumnada świątyni Posydona, na której widok mocniej bije serce każdego Ateńczyka. Okrążamy go i płyniemy zatoką Sarońską wzdłuż zachodniego wybrzeża Attyki, bardzo krętego, z licznemi przylądkam i wysepkami. Na lewo leży sławna Egina, na prawo góry attyckie, cały labirynt, tak, że trudno się zorjentować: jest tam i Laurion z kopalniami srebra, i Olimp Attycki, i wreszcie szara ściana Hymettu, jakgdyby skokami schodząca do morza. Tu tworzy ona płaski przylądek Pasa (Zôstêr) ze świątynią Apollina, a potem, po drugim skoku, odludną wyspę. Za Hymettem jest już równina Ateńska; rozróżniamy w głębi fronton Pentelikonu z połyskującemi kamieniołomami—tu, jak nas poucza towarzysz podróży, jeszcze niedawno wyłamano marmur do budowy Partenonu i innych gmachów. Na lewo widać zielony, lesisty Parnes, a na prawo oczywiście wymieniony już wyżej nagi Hymettos; zapach tymianku z jego niezliczonych pasiek, roztopiony w znojnem powietrzu wiosennem, dochodzi aż do nas. Podpływamy do Pireusu i jednocześnie wpijamy wzrok w równinę Ateńską; miasta, naturalnie, nie widać, ale można już dojrzeć trzy pagórki, wznoszące się nad niem: jeden, to Likabettos, drugi—pagórek Muz, trzeci—to perła Aten i Hellady—Akropol.

Mijamy płaski, bagnisty brzeg Faleronu, portu Ateńskiego przed Temistoklesem, i lądujemy w Pireusie. Kapitan okrętu będzie musiał jeszcze dużo czasu stracić przy uiszczaniu opłaty portowej, ale nas, jako posłów, puszczają bez przeszkód. Na brzegu tłumy ludzi: są tu i Pirejczycy i próżniacy ateńscy, którzy przyszli dowiedzieć się nowin z Jonji; lecz my roztropnie milczymy i staramy się jaknajprędzej wydostać z tych niezbyt pociągających miejsc; jest ciasno i głośno, i jakiś nieprzy-

jemny zapach, mieszanina dziegciu z rybami wątpliwej świeżości. Na szczęście nasz ateński «proksenos», który zapewnia zawsze gościnne przyjęcie wszystkim przyjezdnym z Efezu, przybył sam i sprowadził osły i niewolników po nasze rzeczy. Prosta droga prowadzi na północo-wschód, lecz wtedy nie zobaczymy ani miasta Pireusu, ani jego portu wojennego, i na naszą prośbę Artemidor prowadzi nas na południo-wschód. Podziwiamy regularność ulic — wszystkie są proste, przecinają się pod prostym kątem. Jest to dzieło Hippodamosa, przyjaciela Peryklesa, drugiego — po Temistoklesie — założyciela Pireusu; jego imię nosi wewnętrzny plac miasta — Agora Hippodamosa — duży, prostokątny, piękny w zieleni swych jaworów i marmurowej białości otaczających go kolumnad i świątyń. Skręcamy na południo-wschód i wychodzimy na drugi główny port Pireusu, na port wojenny Zeję. Jest on cały okrągły, z wąskiem wyjściem na morze. Okręty jeszcze nie wszystkie zostały spuszczone, gdyż pora jest wczesna; większość jeszcze zimuje w ogromnych warsztatach okrętowych, zajmujących większą część brzegu. Z upodobaniem przyglądamy się tym, które już zostały spuszczone, ich zgrabności, ich odnowionej pozłocie na posągach Pallady, zdobiących ich dzioby. Nasz proksenos mówi o tem niechętnie, lecz my i bez tego wiemy, że ta flota Ateńczyków, to ich ostatnia nadzieja, odkąd poprzednia zginęła cała w Sycylji przed kilku laty. Idziemy wschodnim wybrzeżem do morza; nakładamy drogi, ale to się opłaca ze względu na zachwycający widok skalistej, ciągle się zmieniającej linji wybrzeża. Dochodzimy do trzeciego małego portu Munichijskiego; nad nim wznosi się płaski pagórek Munichijski, ozdobiony starożytną świątynią Artemidy. To nasza ojczysta, efeska bogini; wstępujemy, aby się jej pokłonić.

Pireus jest otoczony własnym murem, lecz prócz tego jest on połączony z Atenami zapomocą dwu «długich murów». Zeszedłszy z Munichji, wychodzimy przez bramę na przestrzeń między dwoma murami. Lecz cóż to? granica miejska jest już poza nami, a tu jest ludzi więcej,

niż w samem mieście: cała przestrzeń jest zapełniona namiotami, szałasami... Ach, prawda: to mieszkańcy wsi attyckich, spędzeni z powodu czasów wojennych pod osłonę długich murów. Oto więc chronią się oni w namiotach i szałasach: ktoś, nie mając innego dachu nad głową, urządził sobie schronienie w ogromnej glinianej kadzi. Przeważnie są to kobiety, dzieci, starcy; nędza nie do opisania. A powietrze! Aż tchu w piersiach nie staje. I to w wiosennym miesiącu Elafeboljonie; można sobie wyobrazić, co będzie latem! Dwadzieścia lat temu w tych warunkach zjawiła się tu dżuma. Teraz już tego nie będzie, gdyż przedsięwzięto środki ochronne; strona sanitarna stoi dobrze w Atenach, i Pireus ma swój własny wodociąg — po drodze podziwialiśmy jego piękny wodotrysk. Ale w każdym razie — pomyśleć, ile już lat cierpią oni te niewygody, i ciągle nie widać końca. Tak, królowa morza niedarmo otrzymała tę swoją władzę: trzeba będzie opowiedzieć o tem w domu, w naszym bogatym, zaradnym i wiecznie niezadowolonym Efezie.

Droga nasza prowadzi wzdłuż północnego długiego muru; stopniowo jest coraz mniej szałasów, łatwiej się oddycha! Oto most przez Kefizos. Zresztą jego samego nie widać: cały został rozdzielony na kanały, tam wyżej w Kolonie; pozostały tylko rzadkie strumienie, lecz i one wystarczą, aby tu stworzyć wspaniałą roślinność: krzaki, drzewa, gdzie wśród liści świergocą bezustannie świerczcze; jest tu też skromna traktjernia z altanką. Miło jest w niej odpocząć w cieniu winnych krzewów; przynoszą nam wino i niewymyślną zakąskę — placki jęczmienne, oliwki, ser. Artemidor opowiada nam o sprawach ateńskich, my o swoich. Urząd proksenosa Efeskiego jest w jego rodzie dziedziczny; od czasu założenia związku delijskiego jest on już trzecim; dlatego też ojciec dał mu imię Artemidora, od naszej opiekuńczej bogini, wielkiej Artemidy Efeskiej.

Za mostem zaczynają się znów siedziby uchodźców; na szczęście gościniec porzuca mury i prowadzi przez falistą okolicę do północnych przedmieść i części Aten.

Wchodzimy przez bramę Pirejską do właściwego miasta, a mianowicie do Kolonos. Ziemia jego jest święta. Artemidor pokazuje nam pagórek z gajem Erynij, gdzie znalazł wieczny pokój mimowolny ojcobójca Edyp, a obok niego drugi — ze świątynią i gajem Demetry.

— A to też jest świątynia — dodał on, wyciągając rękę.

Patrzymy za ruchem jego ręki.

— Przecież to dom prywatny i nawet niebardzo wspaniały!

— Tak, lecz tu kończy swe długie i szczęśliwe życie nasz największy poeta Sofokles. Bogowie jawnie mu sprzyjają: ma on około dziewięćdziesięciu lat, lecz duch jego jest po dawnemu potężny i dzielny. Za kilka dni będą przedstawienia w teatrze Djoniza, wtedy sami zobaczycie; przecież będzie wystawiona i jego trylogja.

Tu, niedaleko, na głównej ulicy ateńskiej Dromos, znajduje się bogaty dom Artemidora. Napozór niewiele różni się od innych; fasada jest dwupiętrowa, prosta i skromna; lecz wewnątrz obszerny i wspaniały. Na prawo i na lewo od głównego wejścia znajdowały się przedsiębiorstwa handlowe; jedno wynajmował szewcowi, którego wytworne wyroby były wystawione na półkach za ladą; w drugiem on sam sprzedawał swoje zamorskie towary — dywany perskie, które kupował właśnie w Efezie wprost z wielbłądów przechodzących karawan. Od głównego wejścia dosyć długi korytarz prowadził do obszernego perystylu, t. zn. dziedzińca, otoczonego kolumnami. Pomimo gorącego dnia było tu chłodno, gdyż klomby, rozrzucone w kątach i na środku, oświeżały powietrze, a umiejętnie porozwieszane tkaniny — również dywany perskie — tamowały dostęp promieniom słońca. Z bocznego placyku perystylu schody prowadziły na górne piętro, gdzie wyznaczono dla nas pokoje. Tam zmęczeni kołysaniem jazdy morskiej, z rozkoszą przespaliśmy upalne godziny południowe; a na wieczór zaproszono nas na obiad do eksedry, obszernej sali za perystylem. W tej tylnej ścianie znajdowały się za-

mknięte drzwi dwuskrzydłowe; domyśliliśmy się, że były to t. zw. drzwi środkowe (mesaulos thyra). Tak było w istocie; zaledwie skończył się obiad, drzwi się otworzyły i weszła do nas, wstydliwie osłoniwszy się kwefem, córka gospodarza Mirto w towarzystwie dwu niewolnic. Zatrzymawszy się w pobliżu naszych łożnic, cichym głosem, przy akompanjamencie flecistki, zaśpiewała pean, poczem w milczeniu odeszła. Tymczasem przyniesiono wino i zaczęła się wesoła hulanka, która przeciągnęła się daleko za północ.

Strategowie mogli nas przyjąć dopiero za dwa dni, tak że następny dzień mieliśmy wolny, i Artemidor zaproponował nam, abyśmy, korzystając z tego, obejrzeli Ateny. Poszliśmy tą samą piękną ulicą Dromos w kierunku południowo-wschodnim, pod osłoną białych marmurowych kolumnad, wychodząc co jakiś czas na bruk, aby się przyjrzeć jakiemuś bronzowemu czy marmurowemu posągowi, ukrytemu za kolumną. Nareszcie doszliśmy na południowy koniec wspaniałej ulicy, do otwartego ogrodzenia, poświęconego Demosowi i Charytom.

Zapytałem Artemidora o przyczynę tak dziwnego zestawienia.

— Charyty, — wyjaśnił on, — są przez nas pojmowane jako boginie wzrastania, rozkwitu i urodzajności; zestawiając je z Demosem, upostaciowanym ludem, chcieliśmy powiedzieć, że tylko przy władzy ludu gmina może przynosić owoce, rosnąć i kwitnąć. Bo, jak dobrze powiedział nasz poeta Eurypides:

Gdzie zbożna
Panuje wola ludu, tam i wybór młodzi
Ma zawsze lud pod ręką...

Niech pamiętają o tem obywatele, skręcając z Dromosu na nasz plac miejski, ośrodek naszego życia politycznego.

Lecz zanimeśmy skręcili, stanęliśmy: uwagę naszą zwróciła imponująca świątynia o starożytnej architekturze doryckiej, wznosząca się na wzgórzu nad otwartem ogrodzeniem.

— To świątynia Hefesta i Ateny — objaśnił Artemidor — boskich opiekunów wszelkich rzemiosł. Tu ciągną się z placu warsztaty i sklepy kowalskie; na przysionku widzicie mnóstwo rzemieślników ofiarowujących usługi. Lecz wyjdźmy na plac.

Więc to jest ta sławna ateńska agora, to wiecznie bijące serce wielkiego miasta! Tu, niemal co kamień, to jakieś wspomnienie radosne lub smutne. Przy samem wejściu stoją starodawne wizerunki Hermesa; przypomina nam się tajemnicze świętokradztwo, spełnione nad niemi, wskutek którego Alcybiades został wrogiem ojczyzny, a wyprawa sycylijska skończyła się tak straszną klęską. Od nich ciągnie się na lewo, zajmując północną stronę placu — dzieło Kimona, t. zw. Wzorzysty Portyk (Stoa Poikile), pomnik sławy narodu ateńskiego. Jest to kolumnada zwykłego typu, lecz ściany są wymalowane przez Polignota i jego współzawodników. Na lewo wyobrażona jest walka Ateńczyków z Amazonkami, dalej zdobycie Iljonu, nakoniec bitwa Maratońska. Wszędzie surowość i prostota, wszystkiego cztery farby, niema cieni; choć raptem tylko pół wieku dzieli nas od tego malarstwa, zdaje się, że należy ono do epok dawno minionych — tyleśmy się nauczyli od czasu, kiedy Apollodor wynalazł cienie, a współcześni nam Zeuksys i Parrazjos zużytkowali jego wynalazek.

Naprawdę, w tym Wzorzystym Portyku można uczyć się bohaterstwa! — Wracamy do Hermesów, idziemy wzdłuż zachodniej strony placu. Tutaj pierwszy budynek jest to też kolumnada, t. zw. Portyk Królewski, najstarszy gmach agory, sala urzędowania archonta-króla. W samej kolumnadzie na kamiennych słupach wyryte są prawa Solona, — niech wszyscy obywatele ateńscy mają możność łatwego i dokładnego zaznajomienia się z ustawami ojczyzny. Z Portykiem Królewskim sąsiaduje jeszcze jeden, poświęcony Zeusowi-Zbawicielowi, na pamiątkę wielkich wysiłków wojny o wyzwolenie od ucisku Persów. Tu zawiesza się tarcze rycerzy ateńskich, którzy zginęli za ojczyznę—jest ich niemało. Dalej świą-

tynia Apollina, jeszcze dalej — stara «orchestra», i obok niej posągi obu tyranobójców. Warto się tu zatrzymać! Na tej orchestrze za czasów Pizystrata odbywa y się przedstawienia dramatyczne, tu więc występował Tespis. Lud siedział lub stał na zboczu dwu zaczynających się tu pagórków, Kolonu — przy placu — i Areopagu; lecz chłopcy woleli wdrapywać się na rosnącą tu czarną topolę. Teraz to wszystko zostało zapomniane; przedstawienia przeniesiono do teatru Dyoniza, orchestrę zajęły sklepy księgarskie, tylko czarna topola przypomina o przeszłości. Co się zaś tyczy obu tyranobójców, jest to rzeźba Krytjosa i Nezjota, wzniesiona lat sześćdziesiąt temu; dawniejsza, dzieło najstarszego rzeźbiarza ateńskiego Antenora, została wywieziona przez Persów przy ich odwrocie. Lecz nam i ta nowa wydaje się dosyć stara; widać, jak daleko naprzód posunął rzeźbę Fidjasz.

Zanim pożegnamy się z agorą, rzucamy na nią ostatnie spojrzenie. Jak ładnie! Grupy drzew — posadzone przez Kimona — między niemi posągi, kapliczki, wodotryski, ołtarze. Na jeden z tych ostatnich Artemidor zwraca nam uwagę: jest to ołtarz Miłosierdzia. „Tu niegdyś dzieci Heraklesa, prześladowani po śmierci ojca przez tyrana Eurysteusza, siedziały w charakterze błagalników, a królowie ateńscy, synowie Tezeusza, uszanowali ich prośbę i ocalili je od tyrana. Ilu innych błagalników było od tego czasu! Tak, prawdę powiedział o nas Perykles: zdobywamy przyjaciół nie przez żądanie dobrodziejstw, lecz przez ich wyświadczanie". Wszędzie błądzą nasze spojrzenia i zatrzymują się nareszcie na surowej ścianie Akropolu. Nad nią wznosi się olbrzymi spiżowy posąg Pallady, dzieło Fidjasza — Pallady-Wojowniczki, Pallady-Obrońcielki, z włócznią wysoko podniesioną i lśniącą w promieniach słońca.

— Lecz gdzie—pytamy—jest rynek i jego przekupnie?

— Stąd go nie widać, gdyż zasłaniają go kolumnady, lecz wejdźmy wyżej.

Wchodzimy na skałę Areopagu. Bogowie, jakiż barwny, żywy widok! Plac z trzech stron otoczony straganami,—

to całe miasteczko z wąziutkiemi domkami i jeszcze węższemi przejściami między niemi. Wszystko to roi się od ludzi. W każdej uliczce inna specjalność: tam, pod świątynią Hefesta, rozsiedli się kowale, obok nożownicy, dalej rusznikarze, tam garncarze, lampiarze, dacharze, tu tkacze, folusznicy, tam garbarze, szewcy; tu kupcy zbożowi, rzeźnicy, warzywnicy. W oczach nam się mieni — spuszczamy je i przypominamy sobie, że jesteśmy na Areopagu.

Straszne to miejsce! Tu niegdyś był sądzony Orestes-matkobójca, i iluż przestępców od tego czasu otrzymało karę, ilu niesłusznie oskarżonych zostało uniewinnionych! Nie tak sobie wyobrażaliśmy to miejsce w Efezie; a teraz wydaje się nam, że nie mogło inaczej wyglądać. Naga, ponura skała, prawie nietknięta ręką ludzką; na niej zwracają uwagę dwa płaskie kamienie. Artemidor zna ich znaczenie.

— To — mówi — jest kamień Nieubłagalności, tu przemawia oskarżyciel. A to kamień Krzywdy, tu przemawia oskarżony.

— Wartoby — mówię — postawić trzeci kamień: Miłosierdzia.

Lecz Artemidor potrząsa głową.

— Lepiej powiedział o Areopagu nasz wielki Eschyl: Nieraz strach trzyma gmach, jest ci stróżem hardej duszy.

Potem pokazuje nam wpobliżu szeroką, płaską skałę.

— Jest teraz pusta, lecz w dni terminowe to prawdziwe mrowisko. Jest to Pniks, miejsce naszych zgromadzeń ludowych. Teraz tam nie pójdziemy. Poznacie ją jeszcze, kiedy będzie rozpatrywana wasza sprawa.

I naprawdę, zupełnie nie mamy ochoty tam iść; dla nas, sprzymierzeńców, nie jest to bynajmniej miejsce przyjemne — pole działania dla oszczerców i podżegaczy.

Skręcamy na wschód — i tu nasz przewodnik nagle przestaje mówić. Cóż takiego?

— Ciszej — mówi on szeptem — tam pod skałą Areopagu znajduje sią grota Świętych bogiń,

— Jakich?

— Erynij — mówi zupełnie cicho i zaczyna szeptać modlitwę.

Idziemy za jego przykładem. Lecz oto, jużeśmy minęli groźne miejsce i przed nami, w całym swym blasku, wznosi się biały marmurowy Akropol.

Serca zabiły nam mocniej: oto więc jest dzieło Peryklesa, dzieło Fidjasza!

Przed nami Propileje, na prawo, nad stromą skałą, mała świątyńka Zwycięstwa, wysoko na szczycie skały królewski Partenon. Jużeśmy skierowali się ku wejściu na Akropol, lecz Artemidor wziął mnie za rękę.

— Naszego Akropolu — rzekł — nie można oglądać wśród innych pomników miasta. Przyjdziemy tu ze świeżemi siłami, a teraz zajmijmy się czem innem.

I poprowadził nas po południowem zboczu skały, pod murem Kimona, który ukrył przed naszemi oczyma pomniki Akropolu. Mimowoli zwróciliśmy wzrok w przeciwną stronę, lecz i ten widok był wspaniały: ponad portami i wybrzeżami widać było błękitne morze, miękkie kontury Salaminy, surowy profil Eginy, aż do mglistych zarysów gór peloponeskich. Kiedyśmy zrównali się ze świętem ogrodzeniem Asklepiosa, z jego zielonym gajem, małą świątyńką i szpitalem, rzekłem.

— Nie wiedziałem, że u was i ten bóg ma swój kult.

— Istnieje też u nas dopiero dziesięć lat — odrzekł Artemidor. — Nalegał na jego wprowadzenie Sofokles, nasz poeta i lekarz. Pobożni ludzie chętnie się tu udają i uzyskują uleczenie, nocując w szpitalu, dzięki snom proroczym. Mamy jednak również i szpital miejski, i lekarzy, opłacanych przez państwo, którzy leczą chorych bezpłatnie w duchu nauki Hippokratesa. Lecz najlepszym lekarzem jest nasze czyste, świeże powietrze ateńskie, którem teraz, na wzgórzu, tak przyjemnie oddychamy.

Minęliśmy ogrodzenie Asklepiosa; tu mur zlekka skręca na lewo i odsłania się nowy widok. Lecz nie on przyciąga naszą uwagę: przed nami ciągnie się niezmier-

ny obszar stopni kamiennych, wszystkie są zwrócone na dół, gdzie za okrągłą orchestrą widać skromny budynek sceniczny, a za nim dwie małe świątynie. To teatr Dyoniza. Lecz cóż to za drugi budynek, obok, zzewnątrz też jakgdyby teatr, lecz mniejszy i pokryty dachem?

— To Odeon Peryklesa—poucza nas Artemidor —; tu odbywają się zawody muzyczne w grze strunowej i dętej.

Szczęśliwe Ateny!

— Lecz cóż to za dziwny dach, niezwykły w budynkach ateńskich, jakgdyby ogromny stożek?

— Inaczej nie można było pokryć olbrzymiej powierzchni teatru. Za wzór służył namiot króla Kserksesa na Egaleosie, z którego on przyglądał się bitwie morskiej pod Salaminą. Uciekł, nie zdążywszy go zabrać, i nasi dziadowie długo jeszcze chodzili na przechadzkę na Egaleos, aby obejrzeć ten dziwoląg perski, dopóki się nie rozpadł. Lecz, jak widzę, zmęczyliście się; rzućcie jeszcze tylko okiem na ogrodzenie Zeusa Olimpijskiego i będzie dosyć na dzisiaj; i tak nie obejrzy się wszystkiego w jeden dzień.

Posłuchaliśmy tego wezwania: widzimy ogromny, pusty plac czworokątny; wśród chwastów poniewierają się olbrzymie kolumny.

— To nieskończone dzieło Pizystrata — objaśnia Artemidor.

— Dlaczegożeście go nie skończyli?

— Po pierwsze—odpowiedział nasz gospodarz—nie mieliśmy ochoty uwieczniać pamięci tyrana; a zresztą jak mieliśmy je kończyć? Stąd tego nie widać, lecz te kolumny są wapienne; dobre to było sto lat temu, ale teraz oczy nasze przywykły do marmuru, a czy łatwo jest wznieść taką olbrzymią świątynię z marmuru? Wątpię, czy się kiedykolwiek znajdzie ktoś, kto wykończy plan Pizystrata, chyba taki sam tyran, jak on.

Zeszliśmy ze zbocza; tu zaczyna się ulica Trójnogów, druga po Dromosie elegancka ulica Aten. Obiega Akropol od wschodu; po obu stronach stoją na mar-

murowych cokołach śpiżowe trójnogi, które dały jej nazwę, pomniki zwycięstw w teatrze Dyoniza. Jest to niezwykłe, lecz ładne. Okrążyliśmy Akropol, idziemy dalej wzdłuż jego północnego stoku; wszędzie są godne uwagi gmachy i pomniki, ale już nam się nie chce patrzeć; jesteśmy zmęczeni do ostateczności. Prócz tego jesteśmy głodni, a jest właśnie pora obiadowa. Nie będziemy jednak jedli obiadu u Artemidora: jako posłów, zaproszono zas do Prytanejonu, a ten budynek stoi obok Areopagu, dokąd się właśnie kierujemy, choć inną drogą.

Dzięki bogom, nareszcie doszliśmy. Przyjemny jest po znoju chłód kolumnad, otaczający nigdy nie gasnący ogień Prytanejonu, święte ognisko Aten. Cała ta przestrzeń jest zastawiona tryklinjami—grupami po trzy łoża naokoło wspólnego stołu. Tu stołują się oprócz osób urzędowych i posłów, również szczególnie zasłużeni obywatele; jest to w Atenach najwyższa nagroda za służbę ojczyźnie. Oto i nasze miejsca. Sąsiedzi wypytują nas o wrażenia; my jemy i opowiadamy. Gospodarze, jak się zdaje, są zadowoleni.

— Tak — rzekł jeden z nich z chytrym uśmiechem — nie bez powodu powiedział jeden nasz poeta komiczny z właściwą komedji szczerością:

Jeśliś nie widział Aten, bałwan z ciebie;
Gdyś widząc, nie podziwiał, jesteś osłem;
Podziwiasz i uciekasz? Tedyś bydlę.

— Dosadnie powiedziane — roześmiałem się. — Co do nas, z pierwszych jużeśmy dzisiaj wyszli, z drugich— dodałem z naciskiem — również.

Gospodarze ocenili moją uprzejmość i poczęli klaskać w ręce.

— Lecz — dodałem — jak będzie z trzeciemi? Będziemy musieli opuścić was, kiedy skończy się termin naszego posłowania.

— Tamto był poeta komiczny — rzekł Artemidor — lecz może raczej zgodzicie się na to, co powiedział pewnego razu nasz wielki Perykles: „Nasze miasto i w swej

całości jest szkołą dla Hellady, i w szczególności każdy z naszych obywateli ma możność, godząc najbardziej różnorodne kierunki działania, przy największem pięknie i łatwości jego ujawnienia stać się najbardziej wystarczającą sobie jednostką".

35. EURYPIDES

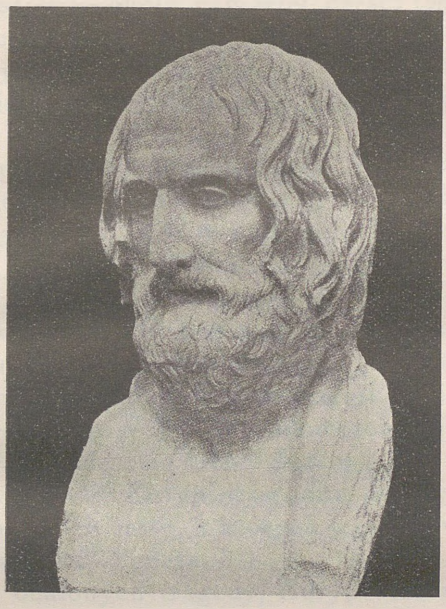
W tym samym roku 480 przed N. Chr., gdy najstarszy z wielkich tragików ateńskich, Eschyl, walczył z nieprzyjacielem na falach Salaminy, gdy średni z nich, Sofokles, jako pacholę, na zlecenie współobywateli wykonywał dziękczynny hymn bogom za zesłane pod Salaminą zwycięstwo — w tym samym roku i na tejże Salaminie ujrzał światło najmłodszy z nich, Eurypides. Był on latoroślą starożytnego lecz zubożałego rodu, na którego pieczy pozostawały, między innnemi, także obrzędy święte miejscowego kultu Apollina; pod jego osłoną spędził więc Eurypides swe lata dziecięce. Jednakowoż na dalszym jego rozwoju pobliże to odbiło się inaczej, niż na rozwoju jego starszego współzawodnika Sofoklesa.

Z wielką wojną wyzwoleńczą, w której Salamina stanowiła punkt zwrotny, nie łączyły go już żadne wspomnienia bezpośrednie. Jego dzieciństwo i wczesna młodość zbiegły się z epoką wywyższenia Aten pod kierownictwem Kimona oraz narastającego ich współzawodnictwa ze Spartą, które zczasem przejść miało w krwawą wojnę; lecz epoką jego życia pełnego i świadomego, jako poety i myśliciela, była epoka następna — epoka Peryklesa. Był to nietylko okres potężnego rozrostu artystycznych sił ludu ateńskiego: śmiałość inicjatywy udzieliła się wtenczas także myśli ludzkiej; myśl ta jęła niemiłosiernie burzyć wszystkie na swej drodze zapory, dźwignięte przes starą religję, przez prastary wszechludowy obyczaj. Zwabieni blaskiem Aten Peryklesowych, zajeżdżali do tego miasta «nauczyciele mądrości» — «sofiści», jak sami siebie zwali — z pozostałej Grecji, dawali

prywatne lekcje uczniom i wygłaszali odczyty publiczne; jako wytrawni mówcy, chętnie wykazywali swym słuchaczom, że zapomocą przekonywającej wymowy można każde zdanie udowodnić, każde obalić. Później Sokrates i jego szkoła wskazali ludziom wyjście z chaosu, jaki się wytworzył; tymczasem jednak oczywiście mogło się wydać, że niema nic pewnego i trwałego, że ponad wszystkiem króluje przekonywająca wymowa, która ludziom każe widzieć wszystko tak, jak im przedstawia, że „człowiek jest miarą wszystkiego, co istnieje i jak istnieje, oraz wszystkiego, co nie istnieje i jak nie istnieje".

Na Sofoklesie ten «ruch sofistyczny» się nie odbił: był już umysłowo zupełnie ustalonym mężczyzną pięćdziesięcioletnim w chwili, gdy ruch ten się zaczął. Dla Eurypidesa, natomiast, zbiegł się z okresem jego wrażliwej młodości; szeroko rozwarł podwoje swej świadomości tej nauce zagranicznej i poddał jej swą twórczość poetycką. I oto obraz Apollina, z którym zżył się poeta od lat najwcześniejszych, a jednocześnie i obraz innych bogów Olimpu zbladł i przygasł w zamęcie sprzecznych opinij; wszędzie jęła tryumfować «przekonywająca wymowa». Pod znakiem jej tworzył Eurypides w ciągu lat czterdziestu z owego półwiecza, które wogóle stanowiło okres jego działalności poetyckiej.

Rzeczywiście, rozpoczął swą działalność w r. 455, zakończył zaś wraz z życiem w r. 406—05; będąc młodszym od Sofoklesa o lat mniej - więcej piętnaście, zmarł jednocześnie z nim, w wieku lat siedemdziesięciu pięciu, napisawszy odpowiednio mniejszą ilość dramatów, około osiemdziesięciu, t. j. dwadzieścia trylogij tragicznych z satyrowym dramatem przy każdej — przyczem zauważyć należy mimochodem, że w budowie swych trylogij szedł za wzorem Sofoklesa, nie zaś Eschyla, t. j. nie wiązał ich jednością fabuły. W ciągu swego życia Eurypides nie cieszył się szczególnem powodzeniem: staroświecka wiara i moralność mocno trzymały się w sercach Ateńczyków, nawet w okresie wojny Peloponeskiej, jeśli pominąć czas, jaki nastąpił bezpośrednio po dżumie; śmiałe przeto mowy



EURYPIDES

bohaterów Eurypidesa niemile działały na słuchaczy. Wszelako późniejsze epoki życia świata antycznego, te właściwie, od których zależało zachowanie albo niezachowanie jego skarbnicy literackiej, unosiły się właśnie nad zręczną budową mów; wówczas to ogłoszono Eurypidesa pierwszym wśród poetów tragicznych, i dzięki temu ocalała po nim do naszych czasów względnie większa liczba dramatów — około czwartej części tego, co napisał, a mianowicie osiemnaście, w tej liczbie (jest to wielki dla nas rarytas) jeden satyrowy, «Cyklop». W niniejszym krótkim zarysie weźmiemy pod uwagę tylko najznakomitsze wśród nich.

Nasamprzód jednakże wypada zauważyć, że Eurypides, wchłonąwszy tak skwapliwie prąd sofistyczny, znalazł się wskutek tego w położeniu kłopotliwem wobec przedmiotu swej twórczości. Z łaski Muzy był poetą i przytem poetą tragicznym — ta gałąź sztuki nęciła wtenczas najlepsze siły poetyckie. Lecz przedmiotem tragedji była na mocy niezachwianego obyczaju skarbnica mitów rodzimych, przepyszny kwietnik poezji, który jednakże wskroś przesycony był aromatem ojczystej religji i bez niej tracił całą swą treść. Już to jedno wnosiło dwoistość do twórczości Eurypidesa: jako myśliciel-bogoburca, kruszył właśnie te mity, z których czerpał wszystkie swe soki, jako artysta i poeta.

Szereg ocalonych tragedyj Eurypidesa zaczyna się od «Alcesty», wystawionej w r. 438, wkrótce po pierwszej dla nas tragedji Sofoklesa, «Antygonie». Król Tessalji, Admet, wedle podania, dostąpił tej łaski, że śmierć miała go oszczędzić, jeśli zamiast niego znajdzie się ktoś gotowy umrzeć. I oto nad młodym witeziem zawisa miecz losu; ale ani jego sędziwy ojciec, ani matka nie godzą się złożyć w ofierze swych dni, aby uratować kwitnące życie syna; ofiarę tę składa jego młoda żona, Alcesta... Jakto, spyta czytelnik, i Admet jest takim egoistą, że ofiarę tę przyjmuje?—Przyjmuje, ale nie przez egoizm: jest ojcem i jest królem, na barkach swych dźwiga «obowiązek życia» wobec swych dzieci i swego ludu. Sam ugina się pod ciężą-

rem tego życia, okupionego ceną tak okropnej straty; z większą ulgą sam zstąpiłby w mroki podziemu.

A jednak, jakkolwiek zdruzgotany nieszczęściem, nie zapomina o obowiązku gościnności w stosunku do przyjaciela swego Heraklesa, gdy ten, z powodu jednej ze swych przygód, odwiedza go w Tessalji. Niedość na tem: ażeby przyjaciel ten nie wyrzekł się jego gościny, zataja przed nim swą stratę. Ta wielkoduszność go ratuje: dowiedziawszy się od czeladzi o tem, co zaszło, Herakles (Eurypides tu nie uląkł się spożytkowania także cudownego pierwiastku mitu) wyrywa Alcestę bogu śmierci i zwraca ją mężowi.

Piękna, wzruszająca tragedja, wskroś przesycona ciepłem miłości; żywo czujemy ją i w samopoświęceniu bohaterki, i w beznadziejnej rozpaczy Admeta, i w przywiązaniu czeladzi do młodej, wspaniałomyślnej pani, i w przyjacielskiej skwapliwości Heraklesa... Alboż nie są to uczucia dodatnie? I gdzież tu miejsce na rozkładowy sceptycyzm «przekonywającej wymowy»? Sceptycyzmu w micie nie było, lecz poeta niemniej go stworzył. W tym celu wprowadził na scenę ojca bohatera, starego króla Feresa, który przychodzi, aby także ze swej strony uczcić zmarłą synowę. Rozsrożony swem cierpieniem Admet wybucha wyrzutami przeciw ojcu: to on jest sprawcą jej przedwczesnej śmierci, on winien, ponieważ nie zechciał umrzeć sam za swego syna. Feres się broni: dał synowi swemu wszystko, co nakazywało prawo i obyczaj, tego zaś, aby ponadto zań umierał, nigdzie nie napisano. Od obrony ojciec przechodzi do napaści: żeń się jak najczęściej i skłaniaj żony swe do śmierci, a będziesz żył dłużej od samego Zeusa! Na nas ciężkie sprawia wrażenie ta scena sporu, i chętnie wykreślilibyśmy ją z tego cudownego dramatu. Ale sofistyka namiętności rozwija się tu w całej pełni, zręczność argumentowania z obu stron jest jednakowa — w tej zaś zręczności właśnie kochał się Eurypides.

W siedem lat potem, w pierwszym roku wojny Peloponeskiej, Eurypides wystawił tę tragedję, która go najwięcej ze wszystkich wsławiła — «Medeę». Jest to

tragedja zazdrości, palącej, nieubłaganej; i rozumiemy, że poezja grecka — podobnie jak Szekspir w swym «Otellu» — wcieliła namiętność tę w duszę barbarzyńską. Medea jest córą barbarzyńcy, króla Kolchidy pod Kaukazem. Gdy królewicz tessalski Jazon na czele swych «Argonautów» (t. j. żeglarzy cudownego okrętu Argo) przypłynął do Kolchidy po złote runo, Medea, zakochawszy się w nim, dopomogła mu swemi czarami zdobyć runo i potem uciekła wraz z nim do Hellady. Tam z początku żyli szczęśliwie, dochowali się prześlicznych dziatek. Lecz oto zostają z Tessalji wypędzeni, Jazon z rodziną chroni się do Koryntu, żyć tutaj musi jako żebrak i tułacz, tułaczkę zaś jego i nędzę dzielą wraz z nim i jego ukochane dziatki. Istnieje środek ratunku: kocha go królewna koryncka, król zaś potomstwa męskiego nie posiada. Prawda, istnieje też przeszkoda, na domiar silna, w osobie Medei; pierwszym warunkiem nowego małżeństwa ma być rozwód z pierwszą żoną. Jazon składa tę ofiarę — dla dzieci, dla domu, nie dla siebie. Teraz miłość Medei przechodzi w piekielną nienawiść, i nienawiść poddaje jej niesłychaną zemstę...

Jaką zemstę? I inni poeci przed Eurypidesem czerpali natchnienie z wdzięcznej tragedji kolchidzkiej królewny-czarnoksiężniczki: oczywiście, Medea zabija swych krzywdzicieli — Jazona, jego narzeczoną, jego teścia — potem zaś z dziećmi swemi ucieka. Inne zajął stanowisko wobec mitu Eurypides. Wszak jeśli istnieje w sercu ludzkiem uczucie trwałe i niepożyte, to jest niem uczucie miłości macierzyńskiej. I to właśnie uczucie Medea składa w ofierze swej zazdrości. Jazon wyrzekł się jej, swej żony, aby ratować swój dom — Medea karze go zburzeniem tego domu, i przyszłego, i teraźniejszego. Zabija jego narzeczoną, ale niedość tego — zabija także jego dzieci, s w o j e dzieci, jemu zaś pozostawia życie spustoszone i wyzute z wartości. Straszna jest walka w niej między jej namiętną zazdrością a jej miłością macierzyńską, lecz zwycięża namiętność — i sofistyka namiętności: przekonywająca wymowa.

Taka jest ta wstrząsająca tragedja. Odtrącili ją współcześni, lecz potomni ocenili. I Medea po wszystkie czasy zachowała te rysy demoniczne, które dał jej Eurypides.

Z «Medeą» w czasie blisko sąsiaduje «Hipolit» — ściślej mówiąc, druga redakcja tej tragedji (r. 428), znacznie złagodzona, ale zarazem i pogłębiona w porównaniu z pierwszą. Mitologja zna nieszczęsny obraz Fedry, drugiej żony króla Aten Tezeusza, zakochanej w swym pięknym pasierbie Hipolicie; nie osiągnąwszy wzajemności ze strony cnotliwego młodzieńca, macocha spotwarzyła go przed mężem, jakoby uczynił zamach na jej cześć małżeńską i na święte łoże swego ojca, i Hipolit padł ofiarą gniewu dwakroć znieważonego Tezeusza. Takie były zarysy podania, i Eurypides ich nie zmienił. Jednakowoż w pierwszej redakcji Fedra sama, zbywszy wstydu, ofiaruje pasierbowi swą występną miłość, usiłując przekonywającą wymową pokonać jego cnotę. Widzów oburzyła tego rodzaju szczerość, i w drugiej redakcji Eurypides wyrzekł się jej, znacznie wyszlachetniwszy charakter swej bohaterki.

Nie, Fedra sama dręczy się swą fatalną miłością; nie będąc w możności jej przemóc, postanowiła wyrzec się swego zatrutego życia, pragnąc tylko jednego — aby jej dobre imię pozostało niesplamione, aby nikt nie dowiedział się o jej nieszczęsnej namiętności. Lecz tu w mieszała się do sprawy piastunka; wymógłszy na niej wyznanie, sama ucieka się do czarów przekonywającej wymowy: zrazu przeciw swej pani, skłaniając ją do zmiany postanowienia, a potem przeciw młodzieńcowi, namawiając go, aby uległ pragnieniu macochy. To ostatnie wszakże się jej nie powiodło. Hipolit uczuł się oburzony, i w oburzeniu swem nie szczędzi także Fedry, mniemając, że ona to wysłała doń swą stręczycielkę, pośredniczkę-piastunkę. Teraz znieważona jest Fedra — na takie oskarżenie nie zasłużyła. Pod wpływem tej zniewagi, lecz także i pragnąc ocalić swą dobrą sławę, umierając, pisze do męża list, spotwarzający Hipolita. Tezeusz daje mu wiarę: Hipolit ginie; za

późno dowiaduje się ojciec o całej prawdzie; lecz ocalić jego życia już nie może. Może jedynie kajać się za swą porywczość u łoża konającego i otrzymać odeń przebaczenie.

Oprócz sofistyki, uosobionej w postaci starej piastunki, tragedja ta uderza nas jeszcze jedną cechą: w niej po raz pierwszy — bezpośrednio po wielkiej dżumie ateńskiej — występuje bogoburczy nastrój poety. Fatalną żądzę, która ogarnęła królowę ateńską, tłumaczy, jako opętanie, zesłane przez samą boginię miłości, Afrodytę. Bogini obrażona jest tem, że Hipolit, młodzieniec czysty, odtrąca jej dary; chce go ukarać, wszczepiając występną ku niemu miłość w krew jego macochy. Ale i owa macocha także ginie; cóż ona zawiniła? Nic. Jest poprostu narzędziem w rękach Afrodyty. Czyż to jest sprawiedliwość boża?

W tragedjach następnego okresu to nastawienie bogoburcze ujawnia się jeszcze silniej. W «Andromasze» szlachetny Neoptolemos ginie w wielkoduszym porywie pobożności wskutek mściwości Apollina. W «Heraklesie» rzetelny bohater pracy dopuszcza się dzieciobójstwa z woli Hery, która ściga go niemiłosiernie. W «Trojankach» po niesłychanych klęskach zburzonego miasta następują nieszczęścia tych, którzy je rozgromili, i wszystko to się dzieje z kapryśnej woli bogów, którzy znęcają się na ludziach, powodowani swą drobiazgową próżnością, swą obraźliwością niegodną. Lecz po «Trojankach» zachodzi przełom.

Co go sprowadziło? Dlaczego obraz Apollina, który jaśniał nad dziecięcemi laty Eurypidesa i przygasł w epoce jego buntowniczego wolnomyślicielstwa z pod znaku sofistyki, nagle nowym dlań opromienił się blaskiem? Czy sam on, w drodze wewnętrznej pracy umysłowej, przezwyciężył postawę sofistyczną, czy też z pomocą przyszło mu inne, zewnętrzne zdarzenie? Nie wiemy tego; mamy przed sobą jedynie sam fakt przełomu. Wyraził się on w dwóch z zachowanych tragedyj — w «Jonie» i w «Ifigenji w Taurydzie».

«Jon» jest to jedna z najradośniejszych tragedyj naszego poety. Bohaterem jej jest młodzieniec cudownego pochodzenia, syn królewny ateńskiej i Apollina. Tak, i Apollina; sam bóg uległ czarowi jej dziewiczej krasy i potem, zdawało się, zapomniał o niej. W męce urodziła ona owoc swego grzechu i, urodziwszy, pozostawiła go w tej samej grocie, która była świadkiem bożej miłości; czy przynajmniej teraz nie przypomni sobie o niej Apollo? Nie, niemowlę znikło, lecz bóg się nie objawił. Poczem Kreuza — takie miała imię królewna — wychodzi zamąż, ale małżeństwo jej pozostaje bezdzietne.

Chcąc dowiedzieć się o przyczynie tej niełaski, Kreuza wraz z mężem udaje się do Delf, kędy ich wita młody, bezimienny sługa świątyni Apollinowej. Kreuza nie traci nadziei, że choć tutaj dowie się o swem zaginionem dzieciątku, jednakże i ta nadzieja się nie sprawdza. Przeciwnie, bóg udziela łaskawej odpowiedzi jej mężowi: kto pierwszy z nim spotka się po wyjściu z jego świątyni, ten jest jego synem. Synem tym, jak się okazuje, jest ów młody bezimienny służebnik, którego też nowy ojciec nazywa «Jonem», t. j. «wychodzącym» (naprzeciwko niego). Należy dodać, że sam młodzieniec nie zna swego pochodzenia: oczywiście, jest on płodem jakiegoś dawnego miłosnego zapału swego ojca.

Dowiaduje się o tem Kreuza: jest zrozpaczona. Odzywa się w niej nietylko zazdrość: silniejsza od zazdrości jest obraza. Dlaczego mężowi został zwrócony jego syn, jej zaś nie? I oto postanawia trucizną zabić nowoprzyznanego pasierba; zamiar jej atoli wychodzi na jaw, i teraz jej, która zabójstwem splamiła święty przybytek, grozi kara śmierci z rąk ocalonej ofiary, młodego sługi świątyni...

Czytelnik, zapewne, dawno się domyślił, że sługa ów jest właśnie synem Kreuzy, który zniknął i uratowany został przez Apollina; teraz, w chwili krańcowego napięcia, ujawnia się to dzięki wystąpieniu kapłanki Apollina, Pitji. Tak, Apollo wiódł do najlepszego końca los wszystkich drogich sobie osób, we wszystkich ich złych

przygodach jego osłaniająca ręka była niewidzialnie rozpostarta nad niemi. I Kreuza, dumna ze swego pięknego syna, uznaje tę moc opatrzności bożej i kornie wielbi tego Apollina, przeciw któremu przedtem szemrała w swym krótkowzrocznym gniewie.

Zupełnie odrębna co do treści, lecz podobna co do idei jest «Ifigenja w Taurydzie». Styka się ona z dramatem Orestesa - matkobójcy, opracowanym i przez Eschyla i przez Sofoklesa, a także i przez samego Eurypidesa, przyczem wszystkie te ich tragedje ocalały. Mszcząc się za ojca, zabitego przez matkę, Orestes nie darował jej życia; za to — Eurypides zachował ten rys podania — ścigają go uosobione wyrzuty sumienia, okropne Erynje. Ale tę właśnie krwawą zemstę, która doprowadziła do matkobójstwa, Orestesowi nakazał sam Apollo; i oto ścigany przez Erynje młodzian zwraca się o pomoc do niego, mistrza swego sumienia. I Apollo wyznacza mu pracę odkupienia: niechaj uda się w drogę do barbarzyńskich Taurów (na dzisiejszym Krymie) po posąg siostry jego, Artemidy...

Tu czytelnik dowiedzieć się musi, co następuje. Gdy Agamemnon zgromadził wojsko w Aulidzie, bogini miejscowa Artemida nie użyczała mu wiatrów pomyślnych póty, dopóki nie złoży on jej w ofierze córki swej Ifigenji. Była to wszakże tylko próba z jej strony: gdy król gotów był wypełnić warunek, bogini, skrycie dla oka wszystkich, porwała dziewicę i przeniosła ją do Taurów, kędy uczyniła ją kapłanką swego chramu. Nikt o tem nie wie; najmniej zaś ze wszystkich sam Orestes.

Spełniając przykazanie Apollina, Orestes, pospolu z przyjacielem swym Piladesem, udaje się do Taurów, aby porwać posąg Artemidy. Tam barbarzyńcy ich chwytają i biorą do niewoli: wedle praw miejscowych, obaj mają być złożeni w ofierze Artemidzie. Śmierć zdaje się być nieuchronna; Orestes szemrze. Oto dlaczego Apollo wysłał go na skraj świata! Aby zginął bez wieści, aby nigdy wśród ludzi nie wyszła na jaw nicość przepowiedni boga delfickiego.

Kierownictwo sprawami ofiar należy do kapłanki— a więc, w naszym wypadku, do Ifigenji. Przed jej oblicze przyprowadzeni zostają obaj jeńcy. Położenie przedstawia się tak samo, jak w «Jonie»: tam matka omal nie ginie z ręki syna, tu—brat z ręki siostry. W sposób niezmiernie subtelny i wzruszający i tutaj dochodzi do skutku odpoznanie; scena ta po wszystkie czasy nieciła zachwyt znawców sztuki. Lecz cóż dalej? Co za pożytek z tego, że Ifigenja odpoznała swego brata w Orestesie, skoro ona jest kapłanką, on zaś — jeńcem barbarzyńskich Taurów?

Eurypides w owym czasie upodobał sobie w pierwiastku dramatycznym, który później tragedja odstąpiła komedji — a mianowicie w intrydze; na nas intryga w tragedji działa w sposób wyziębiający, wskutek czego druga część «Ifigenji» mniej nas przejmuje, niż pierwsza. Król Taurów, jak przystoi barbarzyńcy, jest naturą prostacką i przesądną; Ifigenja potrafi go przekonać, że dla tajemniczych obrzędów musi ona koniecznie udać się z posągiem bogini i obiema ofiarami na brzeg morski; w ten sposób odpływają oni na tym samym okręcie, który przywiózł Orestesa z Piladem. Tak czy inaczej, bóg zostaje usprawiedliwiony: Orestes wedle jego wskazań popłynął do Taurydy po posąg jego siostry — i wraz z nim znalazł też siostrę własną, rzekomo zaginioną Ifigenję.

Ostatnie dwa lata życia spędził Eurypides na obczyźnie. Nie wiemy, w jakim stopniu zawody, doznane w kraju, wpłynęły na jego zamiar, aby kraj swój opuścić; lepiej znane nam są pobudki dodatnie, które kroki jego skierowały właśnie ku wybranej przystani. Był to dwór króla macedońskiego Archelaja. Zjednoczywszy pod swą silną władzą dzielnice królestwa, godny ten poprzednik Filipa starał się o to, aby szczepić w niem kulturę helleńską i w tym celu zapraszał do swej stolicy najwybitniejszych jej przedstawicieli; zaproszenie takie otrzymał i Eurypides. W ciągu dwóch lat nie mógł, oczywista, dokazać wielkich rzeczy, jednakowoż i tam

bezczynnie rąk nie założył. Wśród tragedyj, napisanych przezeń w Macedonji, do naszych czasów dochowały się dwie, i te dwie należą do najlepszych w całym jego dorobku. Jest to «Ifigenja w Aulidzie» i «Bachantki».

«Ifigenja w Aulidzie» daje dramatyzację owej ofiary, a której mowa była przed chwilą — uśmiercenia dziewicy na ołtarzu przez własnego jej ojca celem zapewnienia pomyślności sprawie wszechnarodowej. Był to mit szczególnej godzien uwagi — dość dokładny odpowiednik legendy biblijnej o ofierze Izaaka. Pod urokiem tego mitu pozostawali już poeci-poprzednicy Eurypidesa; do właściwej wszakże wyżyny tragicznej wzniósł go dopiero on. Tamci wywoływali litość widzów nad dziewicą, gwałtem składaną w ofierze nietyle bogini, ile próżności i zuchwalstwu ojca; Eurypides pierwszy uczynił z Ifigenji bohaterkę tragiczną. I u niego tkliwe dziewczę zrazu lęka się śmierci, buntuje się przeciw okrutnej konieczności; zwolna wszakże daje się opanować majestatem myśli, że, poświęcając siebie na ofiarę, zapewni powodzenie i wielkość swemu ludowi, stanie się naprawdę «zwycięzczynią Iljonu», jak sama siebie nazywa. A ponieważ bogini, poprzestając na jej gotowości, ocala ją od śmierci i nagradza swem kapłaństwem, godzimy się tedy i my z rozwiązaniem tragedji i uznajemy w niej dalszy, dopełniający krok na drodze pojednania Eurypidesa z piękną religją jego ludu.

W jeszcze wyższym stopniu mają znaczenie takie «Bachantki», poniekąd najciekawsza i najbardziej uderzająca tragedja naszego poety. Temat jej stanowi wzniosły kult Bachusa-Dyoniza, który poeta, jako gość króla Archelaja, oglądać mógł w jego pierwotnej czystości — rzeczywiście, właśnie w Macedonji religijne zbiorowiska bachantek zachowały się w dawnej postaci aż do czasów Eurypidesa i dłużej. Treść ich Eurypides, jako Hellen, widział w rzeczy następującej: przez ów tymczasowy powrót do natury człowiek daje upust zawartym w piersi swej dzikim namiętnościom i okupuje dla się w ten sposób możność życia kulturalnego. Dyonizos prze-

to, który ludziom tę możność objawił w swoich misterjach, jest ich dobroczyńcą, i ten, kto stawi mu opór, jest bezbożnikiem.

Takim mianowicie jest bohater nowej tragedji, młody król tebański Penteusz wraz z matką swoją Agawą. Jako przedstawiciel czystej umysłowości, czuje on odrazę do misterjów Dyonizowych; za to skrępowane w jego piersi namiętności kruszą swe okowy, zwyciężają jego ducha; oszalały, król ginie z ręki swej również oszalałej matki. Zdumiewające jest w tragedji tej stopniowe narastanie obłędu Penteusza, jak i stopniowe potem wytrzeźwienie synobójczyni-matki; niemniej wszakże zdumiewający jest i opis życia bachantek, na polach Cyteronu, w centrum zaś wszystkiego — pieśń ku chwale cichego pokoju człowieka, który „ocalał od burzy morskiej i dosięgnął portu".

Taki był, przynajmniej w części swego duchowego jestestwa, Eurypides w ostatnich latach swego życia; szczęście to okupił on ceną długotrwałej walki, walki prawej i męczącej. Potomkowie jego z późnej doby antycznej, jak już nadmienialiśmy, cenili w nim artystę wymowy przekonywającej i dzięki temu zachowali stosunkowo pokaźną liczbę jego tragedyj. Jesteśmy im wdzięczni za ich gorliwość, ale stanowisko ich nie jest stanowiskiem naszem. Sofistyka w tragedjach Eurypidesa — z wyjątkiem tych wypadków, gdy, jak w «Medei», staje się narzędziem namiętności — wyziębia nas raczej, niż zapala. Jest on natomiast drogi dla nas, jako bojownik, i wszystkie zachowane do naszych czasów tragedje jego, nawet drugorzędne, cenimy właśnie jako świadectwa jego walki duchowej.

Czy jednak wyjście, jakie znalazł Eurypides, jego powrót do przystani pięknej religji jego ludu, było wyjściem jedynem, zdolnem wyzwolić człowieka z burzy rozterek duchowych? Wyżej nadmieniono, że zbawczą ścieżkę z labiryntu, w który ruch sofistyczny strącił umysły Hellady, wskazał im Sokrates. Sokrates był znacznie młodszy od Eurypidesa; poeta stykał się z nim, lecz nie na tyle, aby się odeń uczyć.

Tymczasem zaś Sokrates miał ucznia, który z początku także zamierzał stać się poetą tragicznym, lecz, zapoznawszy się z mistrzem, spalił swe już napisane tragedje młodzieńcze: tym uczniem był Platon. A przecież mimo wszystko uczeń ten pozostał poetą tragicznym, zmieniwszy tylko formę swego pisarstwa: djalogi jego są nieprzerwaną wielką tragedją, której bohaterem jest rozum ludzki. Dla nas tragedja właściwa urywa się na Eurypidesie: po autorach, którzy po nim, już w wieku IV, uprawiali niwę dramatyczną w Atenach, nic do nas nie doszło. Wszelako stało się to dlatego, że sam duch tragizmu opuścił scenę ateńską i przeniósł się do gaju Akademji, gdzie uczył i tworzył tragik-filozof Platon.

36. NA WSI ATTYCKIEJ

Jesteśmy znów posłami efeskimi i znów gościmy u naszego «proksena» Artemidora; na jego propozycję jedziemy odwiedzić jego ziomka z fili, wieśniaka Komarchidesa, w Enoi pod Pentelikonem. Droga, trzeba przyznać, jest pełna kurzu; lecz jest to ten sam biały pył wapienny, co u nas w Efezie, i nie potrzebujemy się do niego przyzwyczajać. Jedziemy oczywiście na osłach. Droga jest bardzo ożywiona: widać i skrzypiące wozy, i takich jak my podróżnych na osłach; przechodniów jest względnie mało. Pora jest wczesna; przekupki spieszą na rynek sprzedawać warzywa.

— Skąd? — pytam.

— Z Kefizji, gościu! — odpowiadają.

Tak, już tak zawsze jest: mimo, że staram się mówić czysto po attycku, wprawne ucho przekupki ateńskiej z jednego słowa pozna we mnie obcego.

A oto właśnie owa Kefizja, w górnym biegu rzeki, która dała jej to imię, już u stóp Pentelikonu. Tu robimy postój. Okolica jest piękna, dużo zieleni, a i samego Kefiza daleko więcej tu widać, niż w dolnym biegu, gdzie on cały został rozdzielony na kanały. Mielibyśmy ochotę przyjrzeć się tym ogrodom, lecz Artemidor śpieszy.

— Tam, w Enoi—mówi—zdążycie sobie wszystko odbić.

Jedziemy dalej. Jako Efezyjczyków, mile uderza nas czystość ducha greckiego w religji. Spotykamy po drodze święte drzewa, przeważnie jawory; na nich wiszą wota: lalki, wstęgi, tyrs, marmurowa płaskorzeźba z wyobrażeniem Dyoniza lub nimfy; głaz, który niegdyś spadł z Pentelikonu, lub, jak opowiadają, został rzucony ręką Pallady w giganta Enkelada, w bitwie bogów z gigantami; i na nim wiszą też takie same wota, a w zagłębiu głazu znajduje się święty olej. Jest też wiele świątyń, kapliczek herosów, nimf lub Kefiza. Od tego wszystkiego miłe ciepło spływa na duszę; przez cały czas czujemy się pod opieką bogów greckich. U nas w Efezie jest to samo, lecz prócz tego jest wiele barbarzyństwa, im dalej od miasta, tem więcej.

Nareszcie jest Enoa. Chłopaki wiejskie już zdaleka nas zobaczyli; poznawszy swego dobroczyńcę Artemidora, pobiegli zawiadomić Komarchidesa; on wyszedł na spotkanie. Oświadczamy mu, że zanocujemy w miejscowej oberży, lecz Komarchides nie chce nawet słyszeć o tem.

— Goście Artemidora — mówi — są moimi gośćmi.

Nie upieramy się; prawdę mówiąc, szanowna Glika słynie z wszelkich cnót, tylko nie z czystości. Komarchides prowadzi nas do siebie.

Chata Komarchida na oko mało się różni od chat innych zamożnych wieśniaków. Jest to dwupiętrowy budynek kamienny; na pierwszem piętrze (parterze) tylko jedne drzwi— szerokie, dwuskrzydłowe—przerywają powierzchnię białej ściany; na wyższem jest kilka okien, częścią otwartych, częścią zamkniętych na drewniane okiennice. Przed drzwiami na lewo znajduje się słup kamienny, na pół wzrostu ludzkiego; widziałem takie często i w Atenach; jest to symbol Apollina Agijeusza (Agyieus), t. zn. opiekuna ulicy. Na samej ścianie na prawo i na lewo są wymalowane dwa wielkie obrazy, oczywiście nie przez Polignota i nie przez Zeuksysa;

tam Demeter wyprawia Tryptolema z kłosami, aby uczył ludzi rolnictwa, tu Dyonizos przybywa w gościnę do Ikarji. Ikarja znajduje się w pobliżu, a sama Enoa (Oinoê) otrzymała swą nazwę od daru Dyoniza—wina (oinos).

Drzwi są rozwarte naoścież — wjeżdżamy. Znajdujemy się w szerokiej i wysokiej izbie, raczej w krytym dziedzińcu; w środku, bliżej tylnej ściany, znajduje się ognisko - piec; przed nim, od strony drzwi, stoją ławy. Całe wewnętrzne życie domu ześrodkowuje się w tem miejscu; niema tu podziału na połowę męską i kobiecą, jak w mieście.

Przy samem wejściu, na prawo i na lewo od głównej izby, znajdują się żłoby dla bydła. Na lewo stoją większe sztuki: dwa woły, trzy krowy, dwa osły. Jest to duma Komarchidesa i oznaka jego zamożności: orze przy pomocy dwu wołów, jest więc «zeugitą». Szukamy drugiej oznaki tej zamożności, i znajdujemy ją na tylnej ścianie, nad ogniskiem; jest to zbroja gospodarza: tarcza w skórzanym futerale, włócznia również w futerale, pancerz i miecz. Jest ciężkozbrojnym żołnierzem, «hoplitą». Na prawo, również w przedniej części domu, są żłoby dla drobnej trzody, owiec i kóz. Teraz zresztą jedne i drugie są puste, gdyż bydło jest na paszy: większe na łące pod górą, drobne na polance górskiej, gdzie rzadkie trawy z trudem przebijają się przez kamienie i ciernie.

Zawieramy znajomość z rodziną gospodarza. Ma on dwu synów, Komjasza i Filokoma — w Attyce członkowie rodziny mają zwykle podobne imiona, a starszy syn niemal obowiązkowo musi nosić imię dziada. Starszy pomaga ojcu w gospodarstwie, które w swoim czasie odziedziczy, z wyjątkiem części, która będzie posagiem siostry, Fililli. Młodszy, Filokomos, pracuje w Atenach, u stryja, w rzemiośle garncarskiem, a teraz przyszedł do domu z powodu jutrzejszego święta Pianopsjów.

Gospodyni, Klitagora, wita nas w «eksedrze», czystej i po wiejsku porządnej izbie w tylnej części domu: tu stoi jej warsztat tkacki, który zwykle miarowo ob-

chodzi, przepuszczając przy pomocy czółenka tkackiego nić wątku przez nici osnowy. Widać, że i teraz była zajęta pracą; na warsztacie jest nawpół gotowa tkanina, czółenko jeszcze zwisa z ostatniej przepuszczonej nici. Nie jest to nic szczególnie wytwornego: zwykły materjał wełniany na «eksomidę» roboczą, koszulę bez rękawów, zapinaną na lewem ramieniu. W takiej jeszcze i teraz paraduje Filokomos, podczas gdy jego brat jest odziany w kożuch kozi: odrazu można odróżnić robotnika miejskiego od wieśniaka. Zresztą teraz ojciec posyła obu, aby się umyli i przebrali: czeka ich ofiara.

Ściślej mówiąc, będzie zabita owca z powodu przyjazdu gości; lecz takiemu zabiciu zawsze towarzyszy ofiara. I my idziemy się umyć: umywalka wisi tuż, w głównej izbie, między ogniskiem i żłobami, i nie trzeba się krępować: gospodyni z córką pozostały w eksedrze. Wkrótce głos gospodarza wzywa wszystkich. Komjasz i Filokomos są w chitonach, ich już znamy; lecz są też i nowe osoby. Jest przedewszystkiem niewolnik Manes i jego żona, niewolnica Syra; lecz ani z wyglądu, ani ze stosunku gospodarzy do nich nie można ich odróżnić od członków rodziny, z którą się dawno zżyli; Komjasza nazywają «wychowankiem» (trophimos). Dalej jest tu dosyć podejrzana starucha, którą gospodyni nazywa ciotką Gillidą, z dziewczyną-fletnistką, jej córką — tak przynajmniej mówili. Fletnistka przyda się przy ofierze, lecz jej rzekomej matki gospodarz nie znosi — jest to już specjalna sympatja gospodyni. Niech powróży z łopatki i wątroby owcy, z sita — kto ukradł koguta, i o narzeczonym dla Fililli.

Zdaniem gospodarza jest to całkiem zbyteczne: narzeczonego dla Fililli już się znalazło, jest to syn miejscowego demarcha, chłopiec zdrowy i do rzeczy; ojcowie już się ułożyli w sprawie posagu, i ślub w każdym razie odbędzie się w najbliższym styczniu, bez względu na to, co wywróży Gillida. Co się zaś tyczy koguta, to w każdym razie trudno jej wierzyć po niedawnej kompromitacji. Wówczas zginęły nowe buty Komjasza; sta-

rucha, wróżąc z sita, wskazała na pewnego biedaka, mieszkającego w sąsiedztwie. Komarchides z pomocnikami dokonał u niego rewizji, nic nie znalazł i musiał mu zapłacić karę. Lecz Klitagora po dawnemu jej wierzy, chętnie ją zaprasza, słucha jej plotek i płaci poczęstunkiem, a zwłaszcza winem, którego tamta stała się wielką amatorką. A tak poprostu nie można jej wypędzić; Klitagora się obrazi, a Klitagora nie jest jakaś tam pierwsza lepsza, jest żoną posażną i w kwestji swych znajomości kobiecych jest sobie panią.

Wszystko to oznajmia nam półgłosem Artemidor, który widocznie zna wszystkie tajemnice rodzinne.

Lecz oto rozlega się głos gospodarza: — pobożne milczenie!

Tu już nawet Gillida nie śmie plotkować; wszyscy milkną. Fletniska gra starą, wszystkim nam znaną melodję Olimpa; gospodarz bierze głownię z ogniska, pogrąża ją w stojącem tuż wiadrze z wodą, następnie za pomocą gałązki wawrzynowej skrapia nas wszystkich — członków rodziny, niewolników i gości. Miło jest czuć na sobie święte krople, zdawać sobie sprawę, jak zwyczaj ogólno-grecki łączy w jedną rodzinę członków gmin najbardziej od siebie oddalonych. Następnie Komjasz prowadzi owcę do ogniska, które jest jednocześnie ołtarzem Zeusa-Opiekuna Zagrody (Herkejos). Wszyscy patrzą na nią: idzie wesoło, to dobry znak. Gospodarz zabija ją umiejętnie, szybko; krew ścieka do tuż stojącego wiadra. Synom każe ściągnąć skórę i wybrać części, przeznaczone na ofiarę i ucztę; wątrobę daje Gillidzie, wzruszając ramionami — wszystko jedno, i tak ona nic nie wskóra. Tymczasem Fililla wykonywa pean ofiarny; gospodarz rzuca w ogień mieszaninę żyta i soli, t. zw. «pierwociny», i wlewa do ognia kilka łyków mocnego wina. Ogień z początku jakgdyby się kurczy, a potem wybucha jaskrawym, ładnym płomieniem: to też jest dobry znak.

Następuje główna część ofiary: gospodarz bierze od synów chude części biodrowe, otacza je tłuszczem ow-

czym i ostrożnie kładzie w ogień, tak by podczas palenia się tłuszcz nie mógł się z nich zsunąć. Następnie, odszedłszy nieco od ogniska, głośno odmawia modlitwę do Zeusa, wzywając jego błogosławieństwa na swój dom i na wszystkich, tam się znajdujących. Tymczasem tłuszcz, sycząc, począł topić się w ogniu; ogień, otrzymawszy nową siłę, rozpalił się wielkim krwawym snopem, pokrywając pochłaniane części ofiarne i rozjaśniając całą izbę. Czarny dym, podchwycony przez ciąg wiatru, skierował się w górę w ukośnym kierunku, do okna na strych nad eksedrą. Stopniowo ogień się dopalił: ofiara się skończyła.

— Zeus łaskawie przyjął nasz skromny dar — rzekł gospodarz.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, do wieczerzy pozostawało kilka godzin. Najpierw gospodarz zaproponował nam obejrzenie swego domu. Wróciliśmy do eksedry; oprócz krosien gospodyni stały tu także łoża do uczty, pokryte owczemi skórami. Narazie siedziały tam tylko Klitagora z Gillidą, przy jadle i winie.

— Widać — szepnął nam Artemidor: — Komarchides namówił żonę, aby załatwiła Gillidę przed gośćmi; zresztą i plotkować sam na sam wygodniej.

Na prawo od eksedry znajdowała się sypialnia gospodarzy; ściany były zastawione dębowemi skrzyniami, częściowo rzeźbionemi, starożytnej roboty; były to skarby domowe. Na lewo znajdowała się sypialnia dla gości, w danym wypadku dla nas; niewolnik już zdążył wnieść nasze bagaże. Dla uniknięcia złego zapachu i much pokój ten był od obór oddzielony korytarzem, który miał przez tylne drzwi wejście na ogród; lecz gospodarz poprowadził nas z początku po wąskich schodach do ubikacyj na górnem piętrze. Wszystkie one wychodziły na galerję, obiegającą główną izbę ze wszystkich czterech stron; niektóre były zaledwie otwarte, i głównie przez nie, dzięki oknom wybitym w ścianie zewnętrznej, pokój środkowy otrzymywał skąpe oświetlenie. Zamknięte służyły za sypialnie dla synów, Fililli, niewolników, lecz

również tak samo jak otwarte, były śpichlerzami i wogóle schowankami, jeżeli gospodyni uważała za stosowne trzymać coś pod kluczem. Szczególną uwagę zwróciliśmy na strych, nad eksedrą; ta ubikacja była przepojona ostrym zapachem gdyż tędy wychodził dym z ogniska i eksedry. Gospodarz skorzystał z tego; tu stały otwarte kadzie z winem. Dym nie dawał mu się psuć, lecz jednocześnie nadawał mu ów niezupełnie przyjemny smak, którym wiejskie wino różni się od miejskiego, trzymanego w piwnicach winiarzy-specjalistów.

Nasz gospodarz nie był specjalistą; przekonaliśmy się o tem, kiedyśmy temi samemi schodami zeszli na korytarz i wyszli do ogrodu. Czego tam nie było! Rzepa, buraki, cebula, pory, czosnek, kapusta, dynie; między grzędami rosły drzewa owocowe; jabłonie zwyczajne i cydońskie (pigwy), grusze, morwy i inne. Środek ogrodu zajmowała studnia, przez której kamienne ocembrowanie spuszczano wiadro na linie; była ona otoczona pachnącym klombem fijołków. Nie mogliśmy się nie uśmiechnąć, my, Jończycy; przecież fijołek (ion), to symboliczny kwiat Aten, jako opiekunki Jończyków przed niewolą perską i przemocą dorycką; dlatego też klomb z fijołkami znajduje się przy każdym domu ateńskim, i Ateńczycy lubią nosić przydomek «uwieńczonych fijołkami.»

Nieco dalej dochodzimy do pól, należących do Komarchidesa. Są one, jak widać, podzielone na dwie połowy: jedna odpoczywała przez cały rok, i dopiero teraz została starannie pokryta nawozem i zasiana — oczywiście jęczmieniem, gdyż ten grunt kamienisty i mało urodzajny nie rodzi pszenicy; druga połowa, przeciwnie, właśnie teraz dała swój urodzaj, ścierń jeszcze wszędzie ją pokrywa.

W tym pasie rzuciły mi się w oczy ogromna oliwka o dziwacznym pniu — właściwie nie był to nawet pień, lecz tylko jego ogromna, powykrzywiana i podziurawiona kora. Jest to zresztą zjawisko zwykłe; dziwne było to, że ziemia naokoło tej oliwki była niezasiana na 10 stóp wokoło, i cała ta przestrzeń była otoczona płotem.

— Co to znaczy?—zapytałem Komarchidesa.

— To — niechętnie odpowiedział — jest «morja», święta oliwka Pallady, która jeszcze za króla Kekropsa wyrosła z pędu, zerwanego ze «zgiętej» oliwki, stworzonej przez samą boginię na Akropolu. Ona jak i wszystkie morje należy do państwa; z jej owoców wyciska się oliwę dla zwycięzców na Panatenejach; aby uniknąć wyczerpania gruntu, na którym rośnie, nie wolno go uprawiać.

—A to ci sprawia przykrość?—zapytałem, zauważywszy jego nastrój.

—Bynajmniej; jestem człowiekiem pobożnym, czczę naszą boginię i wszelkim sposobem strzegę jej świętego drzewa; a jednak mimo to omal nie ucierpiałem z tego powodu w zeszłym roku. Na dopiero co obsianem polu, widzieliście je przed chwilą, rosła jeszcze nie tak dawno inna taka sama morja; pole to należało wówczas nie do mnie, lecz do mego ziomka Poliklesa, który potem przepadł bez wieści. Otóż Spartanie podczas jednego ze swych napadów ścięli tę morję; Polikles, sam niedawny gospodarz, widocznie nie wiedział, że z korzeni drzewa oliwnego wyrastają coraz to nowe pędy, że to drzewo jest równie wieczne, jak sama Pallada; wziął i wykarczował morję. Potem on, jak mówiłem, przepadł: widocznie Alastor zabitej morji nie dawał mu spokoju. Ziemię wystawiono na sprzedaż, lecz przez trzy lata nie można było znaleźć nabywcy: bali się, że znów wpadną Spartanie. Nareszcie ja ją kupiłem, muszę się przyznać, dość tanio. I cóż myślicie? Przychodzi do mnie pewnego razu ta wstrętna małpa, Kligenes, i mówi: „Albo dasz mi natychmiast dwie miny, albo oskarżę ciebie, żeś ty wyrąbał i wykarczował świętą morję bogini". — „Ach ty przeklęty sykofanto! — mówię do niego—uciekaj prędko, pókiś cały!" Odejść — to on odszedł, ale nie minął miesiąc, kiedy przychodzi do mnie posłaniec z Areopagu z żądaniem, abym się tam zjawił jako podsądny w sprawie o wyrąbanie morji. A wiecie, czem to u nas pachnie? Egzekucją i utratą majątku!

— I jakżeś ocalał?

— Zupełniebym przepadł, gdyby nie ten mój opiekun w każdej potrzebie, — tu gorąco uścisnął dłoń Artemidorowi: — sam zgodził się być moim synegorem na sądzie i wyszukał mi doświadczonego mówcę sądowego, Lizjasza. Czyście słyszeli o nim?

— Słyszeliśmy bardzo dużo.

— Otóż to. Jestem więc na skale Areopagu, ni mniej ni więcej, tylko na tem samem miejscu, z którego niegdyś Orestes bronił się przed Erynjami. Kligenes rozpoczyna swoje oskarżenie. Bogowie miłosierni! czego on tam nie nagadał! Pod koniec wyszło z jego mowy, że jeżeli nasza flota zginęła w Sycylji, to tylko dlatego, że ja ściąłem tę morję. Położenie moje było bardzo trudne: widać było, że wobec ciągłych naszych niepowodzeń wojennych, sędziowie przedewszystkiem będą się bali rozgniewać boginię i w razie wątpliwości będą woleli nawet poświęcić człowieka niewinnego. Ja jednak dobrze nauczyłem się mowy Lizjasza, i ona wywarła na sędziach wrażenie. Lecz jeszcze więcej pomógł mi zacny Artemidor. W krótkiej, lecz pełnej oburzenia mowie swem świadectwem potwierdził prawdę mych słów i dodał, że gniew bogów wywołają nie tacy uczciwi i pracowici wieśniacy jak ja, lecz raczej tacy bezecni i niegodziwi sykofanci, jak Kligenes. Uniewinniono mnie; lecz Kligenes otrzymał $^1/_5$ głosów i podobno po dawnemu uprawia swe sykofanckie rzemiosło w naszych biednych Atenach.

Tak rozmawiając, wchodziliśmy coraz wyżej po Erazynie, i doszliśmy nareszcie do stóp góry; tu leżała druga część posiadłości naszego gospodarza — winnica. Nie mogłem nie wyrazić zdumienia, widząc, jak umiejętnie wyzyskano tu każdą piędź ziemi. Zbocze góry było jakgdyby podzielone na tarasy: na każdy wyższy prowadziły z niższego maleńkie schody z pięciu czy sześciu kamieni. Cała winnica była otoczona murem kamiennym i osłoniona kolczastym żywopłotem, lecz i tego było za mało, i na czas dojrzewania owoców trzeba było wynaj-

mować chłopca do pilnowania. Zresztą teraz owoce są już zebrane, tylko miejscami wiszą jeszcze zapomniane grona, któremi się raczymy na zaproszenie gospodarza. Praca odbywa się w sąsiedniej wytłaczalni. Idziemy tam. Są tam dwie kamienne wanny, jedna wyższa od drugiej, obie tworzą jakgdyby dwa długie stopnie. Do górnej rzuca się grona, które następnie przykrywa się deskami, obarczonemi tuzinem ciężkich kamieni: wyciśnięty sok ścieka do niższej wanny, a stamtąd rozlewa się go do kadzi. Całe urządzenie jest przesiąknięte ostrym, kwaśnym zapachem, który potem długo nie daje się usunąć z ubrań.

Tu rosną również inne drzewa owocowe: figi, oliwki. Lecz słońce już się zbliża ku zachodowi, i gospodarz nawołuje do domu. I rzeczywiście, głód daje nam znać o sobie.

W eksedrze czekają już nas trzy łoża, pokryte owczemi skórami, stoi już i czara z winem. Zwykle Manes i Syra jedzą razem z gospodarstwem, lecz dziś niema dla nich miejsca: gospodarz i gospodyni, dwu synów i córka, Artemidor i nas trzech — i już jest dziewięć, święta liczba Muz. Manes z Syrą usługują. Z początku na przekąskę podają nam po parze jajek, ugotowanych na twardo, następnie «myttôtos» sałatka tutejsza z cebuli, czosnku, oliwek i innych jarzyn i owoców; wszystko to zagryzamy obficie chlebem — wprawdzie jęczmiennym — i zapijamy jeszcze obficiej winem. Potem następuje główna część wieczerzy: po dużym i tłustym kawale mięsa owczego, pieczonego na rożnie, do tego gotowane buraki. Wreszcie łakocie: ser, mak z miodem, rodzynki, suszone figi, orzechy i migdały. Uczta nie odznaczała się rozmaitością, lecz wszystkiego było obficie, i wszystko było smaczne, nie wyłączając przydymionego wina, któreśmy zresztą pili już nie po raz pierwszy.

Rozmawiano o sprawach wiejskich: widocznie Gillida zaopatrzyła gospodynię w nowe wiadomości, i ta nie mogła wytrzymać, żeby ich nam nie oznajmić. Gospodarz kilkakrotnie nas przepraszał w obawie, że to nas znudzi, lecz uspokoiliśmy go: przecież przybyliśmy

tu, aby się zaznajomić z życiem wiejskiem! Narzeczony Fililli, wbrew oczekiwaniu, znalazł ze strony Gillidy zupełne uznanie: widocznie sprytna baba poczuła, że mogłaby sobie o niego połamać ostatnie zęby. Lecz mimo wszystko jest niebezpieczeństwo: Mirryna, córka innego zamożnego wieśniaka, upatrzyła sobie w nim narzeczonego; doznawszy zawodu, zwróciła się do starej Eunoi (jednego chowu z Gillidą), a ta jej naskrobała na ołowianej tabliczce straszne zaklęcie przeciw biednej Fililli, wydające ją Persefonie, Hekacie i innym siłom piekielnym, aby zbrzydła, wychudła, aby jej wyblakły oczy, aby jej odjęło mowę, ażeby Menekrates (tak się nazywał narzeczony) o niej zapomniał. To zaklęcie Mirryna włożyła do grobu człowieka, który zginął gwałtowną śmiercią o niewiadomej porze na drodze Maratońskiej. Lecz i temu nieszczęściu można zaradzić. Trzeba tylko napisać jeszcze mocniejsze zaklęcie przeciw Mirrynie, i Gillida jest gotowa wyświadczyć tę przysługę swym przyjaciołom. Komarchides z niezadowoleniem macha ręką, lecz zapewne biedaczysko sam wie, że zaklęcie mimo wszystko będzie napisane, choćby dla uspokojenia Fililli, która siedzi blada jak śmierć i z trudem powstrzymuje łzy.

Potem kobiety, które dotąd siedziały przez cały czas, odchodzą; na miejsce Fililli kładzie się Manes, rozmowa przechodzi na tematy męskie: kłopoty przy używaniu kanałów do zwilżania gruntu, brak wodozbiorów dla wody deszczowej, trudności przy hodowli pszczół. Gospodarz pyta o zdanie Artemidora, ten udziela rad, kładąc przedewszystkiem nacisk na to, że należy koniecznie załatwiać sprawy polubownie, nie doprowadzając do sądu. Naturalnym biegiem rozmowa przechodzi na sykofantów. Tu i my możemy wtrącić słówko.

— Gdyby ich nie było — mówię — nie byłoby też takich naprężonych stosunków między Atenami a Jonją, co grozi rozpadnięciem się całego związku morskiego.

— O, tak — głośno potwierdza Komarchides, przypominając sobie swą historję z morją—na zgubę naszych Aten jakiś Alastor wyhodował to przeklęte plemię! Jak-

żem klaskał niedawno naszemu Arystofanesowi na jego prześlicznej komedji «Ptaki». Naprawdę, byłbym gotów, jak jej bohater Piteteros, porzucić Attykę i przenieść się do jakiegoś ptasiego królestwa, byle tylko oddalić się od tych łotrów.

Lecz już późno: wszyscy udają się na spoczynek.

Spaliśmy długo, choć nie tak długo, jakby się chciało: jeszcze przed świtem obudził nas ostry skrzyp czy zgrzyt. Nietrudno było domyślić się jego przyczyny: to gospodyni z Filillą, Manesem i Syrą przy pomocy osiołka mielą ziarna jęczmienne na ręcznych młynach. Widzieliśmy wczoraj te młyny mimochodem w kącie głównej izby; na podstawie stoi stożek kamienny, pokryty podwójnym pustym stożkiem, nakształt dwu lejków, umieszczonych kopcami jeden nad drugim. Do górnego sypie się ziarno, następnie te ziarna puszcza się w ruch obrotowy, i między ścianami niższego lejka i stojącego stożka mlewo się miele. Praca to ciężka, lecz godna szacunku; nie można narzekać, trzeba wstać.

Stopniowo cichnie ostra pieśń młynów; zamiast niej dochodzi z ulicy inna, bardziej melodyjna — ach, tak, przecież to dziś Pianopsje, wiejskie święto Dożynków. Na żniwa, tak samo jak na zasiewy, Komarchides dobrał sobie cały oddział parobków; oni też przychodzą właśnie teraz do niego z «irezjoną». Komarchides wychodzi na ich spotkanie, za nim rodzina i my. Cała Enoa jest na ulicy. Oto demarch; obok niego stoi Menekrates, jego syn, dziarski chłopiec; a oto i Mirryna. Jak jej nie wstyd! wita się z Filillą, jakgdyby nigdy nic; ta podaje jej rękę z zakłopotaniem. Dzielę się swemi obserwacjami z Artemidorem; ten pogardliwie macha ręką.

— Już wczoraj podejrzewałem, a teraz jestem pewien, że ta wiedźma całą tę historję z nieboszczykiem poprostu wymyśliła.

Lecz oto już się zbliżyli: na czele idzie piękny chłopiec z irezjoną w ręku, gałązką oliwną, obwieszoną wszelkiego rodzaju pierwocinami—figami, chlebkami, kubeczkami z miodem, winem, oliwą i t. p. Taka sama

wisi już na ścianie nawprost słupa Apollina, tylko zeszłoroczna, sucha; gospodarz ostrożnie ją zdejmuje, następnie bierze z rąk chłopca nową i umieszcza ją na ścianie z modlitwą, aby ona zachowała dom w dostatku aż do następnego urodzaju; starą spali na ognisku. Następnie pochód udaje się z drugą irezjoną do innego domu; parobcy wrócą do nas koło południa, wtedy trzeba będzie ich poczęstować.

Tymczasem kobiety zabierają się do prawdziwych «pianopsjów», które dały świętu tę nazwę, t. zn. do gotowania mieszaniny bobu z innemi jarzynami; nas to nie zaciekawia, wolimy razem z innymi przejść się po Enoi, towarzysząc tym, którzy niosą irezjonę. Jednak pieśni o niej są różne, każda grupa parobków śpiewa swoją. Wreszcie obchód się skończył, grupy parobków wracają do domu, nasza do nas. Rozkładają się na podłodze wielkiej izby. Każdy otrzymuje misę świątecznego jadła i kubek wina. Podczas gdy oni jedzą i piją, gospodarz robi obrachunek z dziesiętnikiem. Potem wszyscy się rozchodzą; święto skończone.

Pogoda się popsuła; kropi deszcz. Gospodarz jest zadowolony: po zasiewach deszcz jest na rękę. Jest to nowy powód do wypicia. Przyszli też niektórzy sąsiedzi, wśród nich demarch; zato Filokomos się żegna: jutro, skoro świt, musi być w pracowni. Rozstając się z nami, bierze od nas słowo, że zajrzymy do niego popatrzeć na jego pracę; chętnie mu przyrzekamy. Rzemiosło garncarskie jest w Atenach główne i nigdzie nie osiągnęło takiej doskonałości.

Kobiety poszły do sąsiadów; przy stole są sami mężczyźni. Uwaga wszystkich jest, oczywiście, zwrócona na Artemidora; on wypytuje włościan o los szkoły, którą założył i utrzymuje, o dwu czy trzech wieśniaków, którym pożyczył pieniędzy na podniesienie gospodarstwa. Lecz i oni pytają go o sprawy ateńskie: czy to prawda, że arystokraci gotują przewrót? czy prawda, że Jonja ma odpaść? i co robi Alcybiades? Artemidor stara się ich uspokoić, lecz i on nie może zaprzeczyć, że niebo ateńskie pokryło się chmurami, tak samo jak to, które

rozciąga się nad Enoą. I daj boże, żeby nadchodząca niepogoda była pomyślna dla zasiewu, który leży ukryty w łonie Matki-Ziemi — i wzejdzie na swiatło, kiedy spełni się czas.

37. U GARNCARZY NA CERAMIKU.

Nie mogąc długo pozostawać w Atenach, postanowiliśmy spełnić obietnicę, daną Filokomowi, i odwiedzić go w jego pracowni na Ceramiku (Kerameikos), „Przedmieściu Garncarzy". Sprawa okazała się bardziej skomplikowaną, niż myśleliśmy. W Efezie też mamy swój Ceramik, lecz jest to tylko jedna ulica. A tu jest to ogromna część miasta, poczęści wewnątrz, poczęści też zewnątrz murów miejskich. Ogromna i rozgałęziona: kilka ulic zajmują fabrykanci garnków, wyrabiający towar najgrubszy, lecz i najpotrzebniejszy, tak dla ludu, jak dla kuchni bogaczy; w innych umieścili się wyrabiacze ogromnych kadzi: są to mistrze rzemiosła garncarskiego, patrzący zgóry na drobną brać: znów w innych butelkarze, w innych fabrykanci flakonów czyli «lekitów», dostarczanych młodym gimnastykom, pięknym kobietom i — nieboszczykom; w innych — fabrykanci naczyń stołowych i winnych, w innych — lalek i innych zabawek dziecinnych, w innych — lamp i t. d. Lecz Filokomos dał nam adres pewny i niedwuznaczny: „pracownia Filokoma (tak samo nazywał się jego stryj), przy kaplicy herosa Kalamity". „Według takiego adresu", rzekł on, „każde dziecko potrafi was zaprowadzić". I miał słuszność.

Jak podejrzewałem, okazało się, że wyrabiał on naczynia, i to w dobrej pracowni, cieszącej się sławą w całej Grecji; na naczyniach, zrobionych przez samego majstra, umieszczano dumny napis: «zrobił Filokomos», i takie były przez amatorów cenione bardzo wysoko. Znaleźliśmy go prędko, aleśmy go poznali nieodrazu; w tym dusznym warsztacie, gdzie żar słońca, choć jesiennego, lecz mimo to jeszcze palącego, powiększał jeszcze żar z pieca, nawet w eksomidzie było nie do wy-



WAZY GRECKIE I

1 Styl Korynckí

2 Styl attycki czarnofigurowy

trzymania, i robotnicy chodzili prawie nadzy, tylko w fartuchu. Przywitawszy się z nim, opowiedziałem, jak mnie zdziwiło to ogrome rozgałęzienie specjalizacji.

— To tłumaczy się, — odrzekł — szczególnemi warunkami naszego przemysłu, obliczonego na zbyt nietylko w całej Grecji, lecz i w wielu krajach barbarzyńskich. Wymaga on nietylko różnych uzdolnień i różnego przygotowania technicznego, tak u wyrabiaczy, jak i malarzy, lecz wymaga również odrazu różnego materjału. Spójrz, oto ten, nad którym my pracujemy.

Pokazał mi kawał gliny, który uderzył mnie nietylko swą delikatnością, lecz także swą dziwną, jaskrawo-różową barwą.

— Gdzie wydobywacie taką glinę? — zapytałem.

— U przylądka Koljady — odrzekł — za Halimuntem; lecz nie sądź, że ją się wydobywa wprost z ziemi w takiej postaci. Żałuję bardzo, że nie mogę ci pokazać naszej pracy od początku; lecz w takim razie musielibyśmy udać się do Halimuntu, gdzie mój stryj ma oddzielną szopę do przemywania gliny. Jest ona na Koljadzie delikatniejsza niż gdzieindziej, ale w każdym razie szara i jeszcze dosyć gruba. Tam nasi robotnicy myją ją pod silnym naporem wody; przez to usuwa się piasek i inne domieszki, i w rezultacie otrzymuje się czystą glinę. Lecz jest to kwestja długiej pracy; trzeba ugniatać glinę jak ciasto w dzieży. Dawniej i ja tam pracowałem, od tego się tu u nas zaczyna, zanim stryj przeniósł mnie tutaj do pracy trudniejszej i bardziej odpowiedzialnej. Po długiem myciu otrzymuje się materjał bardzo subtelny i delikatny, ale ciągle jeszcze szary, który przy wypalaniu daje zwykły, ordynarny kolor ceglasty. Dla dobrych naczyń jest pożądany kolor bardzo wytworny, prawie różowy; dlatego mieszamy glinę z minją. Jest to również praca niełatwa: musi wyjść równomiernie, bez plam i kropek. Ze zwykłą gliną jest to zupełnie niemożliwe, lecz koljadzka jest właśnie tem dobra, że znosi tę mieszaninę. Teraz zrozumiesz, dlaczego nasze naczynia attyckie są tak wszędzie cenione, nawet niezależnie od sztuki majstra, mala-

rza i rzeźbiarza: takiej drugiej Koljady, jak mówią, niema na całym świecie.

Chciałem jednak popatrzeć na niego podczas pracy; podeszliśmy do koła garncarskiego. Było to urządzenie proste, lecz celowe. Przyciskając rytmicznie pedał nogą, wprowadzało się w ruch koło pionowę, którego oś, obracając się, zkolei wprowadzała w poziomy ruch obrotowy długi pal poziomy, na którego końcu znajdował się płaski dysk. Na ten właśnie dysk robotnik kładł kawał gliny, a następnie nogą puszczał w ruch swój aparat. Zagłębiwszy oba wielkie palce w kawał gliny, pozostałemi palcami i dłonią formował go z wierzchu. Z wewnątrz wielkiemi palcami stopniowo wyrzucał glinę, aż się utworzyła próżnia w środku. I dopiero wtedy zaczynała się właściwa sztuka pracy. Trzeba było pamiętać po pierwsze o piękności i wytworności okrągłego profilu, po drugie, aby ścianka była możliwie najcieńsza, a jednak się nie przerwała, i aby całe naczynie nagle nie osiadło.

— Nie uwierzysz—rzekł Filokomos—ile trzeba włożyć pracy, aby zdobyć potrzebną wprawę. Nieraz płakałem ze złości i zniechęcenia: pracuje się godzinę jedną, drugą, nagle ręka drgnie, w naczyniu robi się dziura, ono całe kurczy się, osiada... trzeba zaczynać wszystko od początku. Teraz wyrobiłem sobie taką zręczność, że mogę pracować z zamkniętemi oczyma; lecz rozumiesz, że z taką techniką nie nadaję się już ani na lampiarza, ani na nic innego, lecz całe życie pozostanę garncarzem, jak mój stryj.

Swoboda, z którą rozmawiał przy pracy, wyraźnie świadczyła, że mówił prawdę. Skończywszy swe naczynie — okazało się, że miała to być niewielka «hydrja», czyli dzbanek do wody,—wziął kawałek skóry, i jeszcze raz puściwszy w ruch koło, nadał ściance ostateczną gładkość.

— Malarz będzie zadowolony, — rzekł, przyglądając się z upodobaniem swemu dziełu: — lecz ty już go nie zobaczysz gotowego; jest to sprawa wielu dni i wielu

majstrów. Z nich pierwszym po mnie, niech mi przebaczy te zuchwałe słowa, jest sam Heljos.

Z temi słowy ostrożnie zdjął swą hydrję, jeszcze bez rączek i podstawki, i wyniósł ją na dwór. Poszedłem za nim.

Tu na półkach widniało wiele podobnych naczyń; znalazłszy dla swego wolne miejsce, przeszedł następnie na drugi koniec tej samej półki.

— Patrz, — rzekł do mnie: — oto taka sama hydrja; cała różnica polega na tem, że ona już kilka dni schła na słońcu. Gdybym dzisiejszą natychmiast powierzył Hefestowi, pękłaby od wewnętrznej wilgoci. Lecz Heljos jest łagodniejszy od Hefesta, i stopniowo, nie spiesząc się, wyciąga niebezpieczną wilgoć.

— I w naszej specjalności jest jeszcze specjalizacja — mówił dalej; — i dla nóżek, i dla rączek prostych i kręconych. Sam zobaczysz.

Podszedł do innej półki.

— Drakillu, pozwól się ograbić.

Ten uśmiechnął się; stary robotnik wiedział dobrze, że dalej nóżek nie pójdzie, lecz lubił młodego, zdolnego i ambitnego Filokoma. Ten wybrał sobie nóżkę potrzebnej wielkości, a potem podszedł do jednej jeszcze półki z rączkami różnych form.

— Potrzebne są dwie okrągłe poziome i jedna prosta pionowa.

Z niemi powrócił do swej wyschniętej hydrji.

I znów podziwiałem, z jaką pewnością przymocowywał do niej nóżkę i wszystkie trzy rączki.

— Teraz moja robota jest zrobiona... a wiesz? Teraz zaczynam się niepokoić.

— A to czemu?

Filokomos spojrzał na swą hydrję okiem mistrza:

— Dotąd los jej zależał odemnie, siebie jestem pewny; lecz odtąd — tu zniżył głos — od innych!

— Od kogóż, jeżeli nie od Pallady Ateny, opiekunki waszego sławnego rzemiosła?

— Od niej samo przez się, ale i od... innych.

— Od kogoż?

— Od czartów.

— Co ty mówisz? Czyż Pallada nie jest silniejsza od czartów?

— Naturalnie jest silniejsza, cześć jej, błogosławionej! ale te są chytrzejsze i złośliwsze. Zaraz zobaczysz; zaprowadzę cię do naszego pieca garncarskiego.

Piec ten zajmował środkową część warsztatu i składał się z dwu części, górnej i dolnej. Dolna niewiele się różniła od zwykłego pieca; rzucało się w oczy palenisko, do którego siedzący tuż chłopiec w różnych odstępach czasu dorzucał drzewa. Praca ta była nietrudna, lecz ciężka; pot spływał mu z całego ciała, i chłopiec całą swą istotą modlił się, aby go ktoś jak najprędzej w tem zastąpił. Ciekawszy był piec górny, służący właśnie do wypalania, pokryty kopułą. Filokomos otworzył drzwiczki kopuły, stamtąd odrazu buchnął żar libijski.

— Widzisz — rzekł do mnie: — tę płytę wapienną, która oddziela palenisko od wypalarni? Jest tam tyle otworów, ile naczyń może pomieścić przestrzeń. Każdy otwór jest ujściem kanału, idącego z paleniska, nie prostego jednak, lecz krętego; gdyż powinno przechodzić gorące powietrze, nie zaś płomień.

Otworów nie zauważyłbym bez niego; zato było bardzo dobrze widać różne ozdoby w rodzaju ogromnego oka, głowy Gorgony z kłami i wysuniętym językiem, sowy i innych bardzo nieprzyzwoitych.

— Po co to? — zapytałem Filokoma.

— Od czartów — odrzekł szeptem.

— Cóż to za czarci?

— Jest ich dużo. Jest Rozbijaka; przez niego dobrze postawione naczynie ni stąd ni zowąd nagle się przewraca, pociąga za sobą sąsiednie, te następne, i tak dalej. Straty przez niego są ogromne. Jest Trzaskotnik: przez niego stojące naczynie otrzymuje pęknięcie, narazie niewidoczne; spójrz tylko!

Wziął odstawioną flaszkę — rzeczywiście nie widać było pęknięcia.

— A teraz posłuchaj.

Kilkakrotnie stuknął palcem w ściankę: rzeczywiście naczynie wydało dźwięk szczególny, jakiś głuchy.

— Długo takie nie pożyje, najwyżej uda się je zbyć jakiemu głupiemu Beotyjczykowi. Jest też i Garnkotłuk: przez niego powstają widoczne pęknięcia i inne wady w tym rodzaju. Jest Mokrogliniec: ten lubi dmuchać zimnem powietrzem w jedną ściankę naczynia, nie dając mu wypalać się równomiernie. Jest też Niegasił: ten znów potrafi przez te same otwory przepuścić długi ogon płomienia, i przez to opalić i zupełnie zepsuć malowanie na najbliższem naczyniu. Jest też wielu innych.

Z temi słowy postawił ostrożnie hydrję tak, żeby dziurka wypadła akurat pośrodku.

— Wypalamy naczynia dwa razy — mówił dalej: pierwszy raz bez malowania, drugi już malowane. Dla ciebie oczywiście będzie ciekawe zobaczyć, jak maluje się nasze wazy: lecz w tym celu będziemy musieli udać się do malarza, i naturalnie nie z tą hydrją, tylko z inną, już nawpół wypaloną.

Szybko pochwycił taką z wypalarni i zamknął drzwiczki, coś mrucząc do siebie, zapewne zaklęcie.—Dopóki ona będzie stygła, poproszę stryja o pozwolenie wyjścia.

Lecz Filokomos starszy już tu był: zobaczywszy gości u synowca, chciał się dowiedzieć, kim jesteśmy. Przedstawiliśmy się. Serdecznie uścisnął nam dłonie.

— Jonja — rzekł — jest naszą najlepszą klijentką.

Następnie synowiec zwrócił się do niego ze swą prośbą.

— Oczywiście — rzekł stryj; — lecz do kogóż chcesz ich prowadzić?

— Do Lamprjasza, jak i ostatnim razem...

— Nie warto szanownym gościom pokazywać drugorzędnego malarza. Zaprowadź ich do Midjasza.

— Co ty mówisz, stryju! Czyż Midjasz zechce malować moje hydrje?

— Z czasem, mam nadzieję, że tak — roześmiał się stryj, — lecz teraz zaniesiesz mu moją ostatnią czarę i weźmiesz tę, którą obiecał przygotować na dzisiaj.

Młodzieniec włożył eksomidę i ruszyliśmy, zadowoleni, żeśmy zamienili duszną atmosferę pracowni na gorące wprawdzie i pełne kurzu, lecz w każdym razie wolne powietrze. Midjasz mieszkał na drugim końcu Ceramiku.

— Nie będziecie chyba narzekali, jeśli wam pokażę po drodze inne pracownie. Oto np. warsztat kadzi.

Weszliśmy.

— Koła garncarskiego tu nie zobaczycie, ono się nie nadaje do takich wielkich naczyń. Patrzcie: w otwartej wypalarni jest już kadź nawpół gotowa; dół jej jest zupełnie wypalony, im wyżej, tem mniej, a teraz majstrowie przylepiają do jej górnej warstwy, zaledwie trochę wypalonej, nową. I zauważcie: wszystko to od ręki. Trzeba do tego niemało wprawy.

— Tak — odpowiedziałem: — dlatego też u nas jest przysłowie: na kadziach nie uczy się sztuki garncarskiej.

— A tu: fabrykant zabawek dziecinnych. Widzicie te lalki z ruchomemi kończynami? Trochę robią oni od ręki, lecz przeważnie posługują się gotowemi formami. A tu są rzeźbiarze: jest ich kilka cechów. Tu robią naczynia w formie różnych figur. Spojrzyjcie na tę prześliczną rzecz: flakonik, ozdobiony sfinksem, wymalowany i złocony. A tu są poprostu gliniane figurki bogów, bohaterów, ludzi, zwierząt. A tu... ...lecz widzę, żeście zmęczeni. Chciałem wam jeszcze pokazać cegiełki: u nas i to jest sztuką, i to nie byle jaką! Lecz to już innym razem.

Nareszcie doszliśmy do domu Midjasza. Znakomity artysta siedział w swoim perystylu pod baldachimem; zasłona, przymocowana do dwu kolumn, przepuszczała tylko tyle światła, ile było potrzeba. Widząc, że pracuje, prosiliśmy go, aby sobie nie przeszkadzał; myśmy po to właśnie przyszli! Na kolanach trzymał czarę, w ręce, właściwie w pięści, długi cieniutki pendzel; obok niego, na niskim stoliczku, leżał spodeczek z czarną farbą. Domyśliliśmy się, że była to właśnie czara Filokoma.

— Twój stryj będzie musiał jeszcze trochę zaczekać— rzekł on do młodzieńca: — ostatnie dni były pochmurne,

a mnie do pracy potrzebne jest pełne światło. Malowanie zaraz skończę, ale potem jeszcze uczeń będzie musiał wypełnić tło czarną farbą i dodać ornament.

Znów pogrążył się w pracy. Kontury czerwonych figur były obwiedzione czarnemi linjami; teraz był zajęty rysowaniem wewnątrz figur cienkich czarnych kresek dla oznaczenia rysów twarzy, fałd ubrania i t. d. Subtelność roboty była uderzająca; oczywiście, barwna technika Zeuksysa była efektowniejsza, ale szlachetnością rysunku i on nie mógłby dorównać Midjaszowi. Zadowolenie zapewne bardzo wyraźnie odbiło się na naszych twarzach: malarz to zauważył i uśmiechnął się. Ukończywszy swą pracę, zawołał ucznia i rzekł:

— Kiedy będziesz pokrywał ją czarną polewą, nie zapomnij zostawić napisu: «Filokomos zrobił, Midjasz wymalował». Sądzę, że ta czara nie przyniesie wstydu ani jemu, ani mnie.

Wydawszy to rozporządzenie, uścisnął nam ręce.

— My wszyscy jesteśmy waszymi uczniami: Jonja zajmowała niegdyś pierwsze miejsce tak w malarstwie, jak w innych sztukach i naukach.

— Tak, tak — odrzekłem: — ale zato mówi się w przysłowiu: Niegdyś tędzy byli Milezyjczycy. A teraz, kto o nas pamięta?

— Nie mówcie tak, — odrzekł — spojrzyjcie, co wam pokażę. Drugiej takiej rzadkości nie znajdziecie w całych Atenach, a w innych miastach nawet nie będziecie szukali.

Poprowadził nas wprost przez klomby perystylu do przeciwległej kolumnady. Cała tylna jej ściana podtrzymywała kilka szeregów półek: na półkach stały malowane naczynia wszelkich możliwych form i czasów, jakeśmy odrazu zauważyli. Zdziwiliśmy się.

— W Pireusie — rzekłem — widziałem taką wystawę wzorów, lecz tylko towarów współczesnych, nie zaś wyrobów czasów dawniejszych.

— Mówiłem wam przecież, że drugiego takiego dziwaka nie znajdziecie. Lecz musicie wiedzieć, że sztuka malarstwa wazowego jest w moim rodzie dziedziczna;

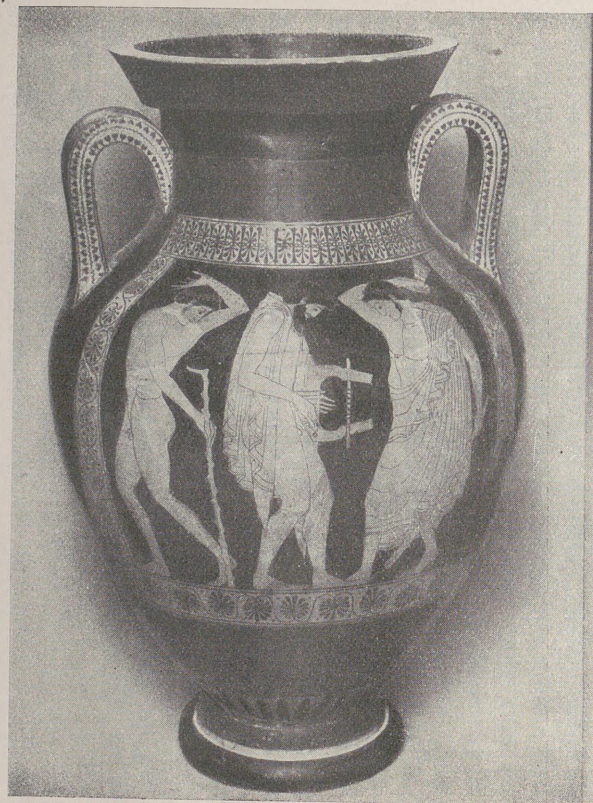
mogę ją wyśledzić jeszcze od mego prapradziada, Aglaofonta Pierwszego, jak my go dumnie nazywamy. Wówczas tym przemysłem zajmował się Korynt, i ów mój prapradziad stamtąd zdobywał wzory dla swych pierwszych prac, sprzedawanych wyłącznie w naszem mieście. Sam Ceramik wówczas dochodził zaledwie do murów miejskich.

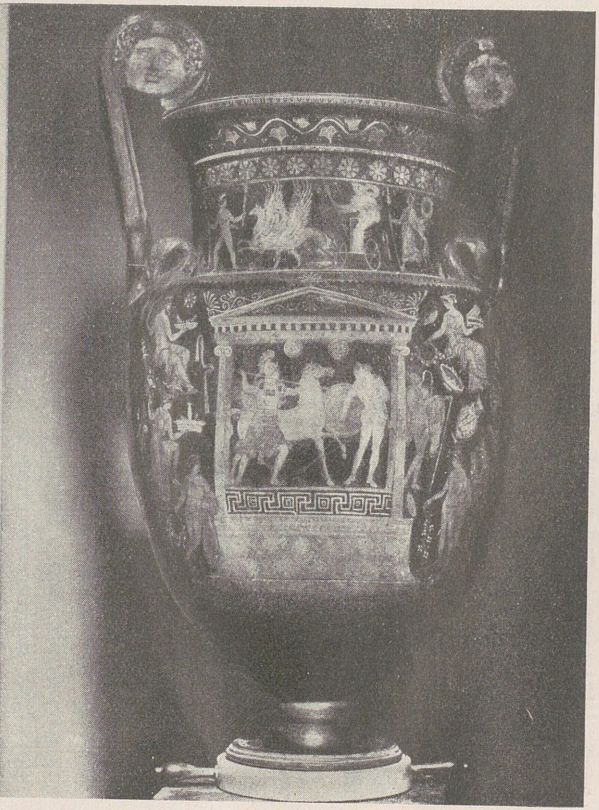
Zbliżył się do końca półki.

— Tu widzicie te wzory: kształty są ciężkie, kolor gliny białawy; w oddzielnych pasach, jakgdyby w pochodzie, posuwają się wokoło naczyń bure lwy, gryfy, sfinksy i inne zwierzęta, możliwe i niemożliwe. Za mego prapradziada Midjasza Pierwszego wyście wybili się już na pierwszy plan; oto wzory, przysłane mu z warsztatów milezyjskich i efeskich. Technika jest mniej więcej taka sama, lecz już niema pasów, jak przedtem; obraz zajmuje całą płaszczyznę ścianki i spotykają się już ludzie. Za mego pradziada Aglaofonta Drugiego jużeśmy sami zaczęli się odznaczać. Figury malowało się czarną farbą na czerwonem tle, przyczem twarze, ręce i nogi kobiet pokrywano niekiedy dla wyrazistości i białą: ruchy są bardzo kanciaste. Moje dzieci śmieją się do rozpuku, kiedy im pokazuję te szacowne pamiątki dawnych lat. Kształty naczyń są już wytworniejsze, niż przedtem, choć jeszcze ciągle nieco ciężkie.

Posunął się dalej, a my za nim.

— A teraz następuje rozkwit: to czasy mego dziada Midjasza Drugiego. Jak widzicie, dokonał się przełom: niema już czarnych figur na czerwonem tle, tylko odwrotnie, czerwone na czarnem. Artysta ma możność nadawania twarzom dowolnego wyrazu, dzięki wewnętrznym czarnym linjom, nakładanym pendzlem. Spojrzyjcie, jaka lekkość, jaka wytworność rysunku! Jest wprawdzie jeszcze pewien konwencjonalizm; widzicie, że twarz jest z profilu, a oko na całą długość: i fałdy zwieszają się nienaturalnie symetrycznemi zygzakami. Lecz to ginie w porównaniu z zaletami. Tak, tacy byli oni, współcześni i współzawodnicy Eschyla: Durys, Brygos, Eufronjos,





WAZY GRECKIE II

3 Styl attycki czerwonofigurowy.

4 Styl pyszny

największi malarze nietylko w dziedzinie ceramiki, lecz i wogóle — przecież innego malarstwa wówczas prawie jeszcze nie było.

Wziął do ręki dwie wazy.

— A oto wzory, według których pracował mój ojciec, Aglaofont Trzeci. Niektórzy uważają jego czas za okres rozkwitu; i rzeczywiście, rysunek jest jakgdyby piękniejszy, znika konwencjonalizm, oczy i fałdy przedstawione są tak, jak każe przyroda. Ale malarstwo wazowe przestało odgrywać główną rolę; zjawili się Polignot, Mikon i inni, zaczęto malować ogromne ściany i to różnemi farbami, nasza sztuka zajęła skromnie drugie miejsce; to też jej artyści nawet przestali się podpisywać na swych dziełach.

Wtem skromnie wskazał ręką na szereg pięknych kształtów na ostatniej półce.

— I oto nareszcie mój czas, czas Midjasza, którego będą nazywać Trzecim, jeżeli pamięć o nim dochowa się do potomności. A powiedzieć o nim wypadnie niewiele: pracował w duchu ojca i był szczęśliwy, kiedy mógł się z nim porównać. Bo lepszym od najlepszego nie można być.

Oglądaliśmy uważnie ostatnią półkę: były tam roboty samego Midjasza, jego szkoły, jego współczesnych. Mimo wszystko, co mówił, podobały się one nam więcej od prac poprzedników. Lecz pociągała nas nietylko forma: miło było rozpoznać na wazach z czarnemi figurami sceny z eposu bohaterskiego, na naczyniach z czerwonemi figurami sceny z Eschyla lub Sofoklesa, na jednych i drugich obrazki z życia codziennego, nie wyłączając też scen z pracowni garncarskiej. Midjasz widocznie cieszył się naszem zainteresowaniem i nie odrywał nas od oglądania.

Lecz, skończywszy przegląd waz, stojących na półkach, zauważyliśmy kilka, jak gdyby odrzuconych, które stały pod półkami.

— A to co? — zapytaliśmy.

Midjasz wzruszył ramionami.

— To — rzekł — jest nowy styl. Nie widzieliście jeszcze? Przypatrzcie się.

Wziął do ręki jedną z odrzuconych waz.

— Zaczęto uganiać się za pstrokacizną. Nie daje im spokoju to, że Zeuksys maluje ściany i tablice zielonemi, żółtemi i innemi farbami. Nasza sztuka zginie, mówią, jeśli nie podążymy za nim. Dawajcie więc im zielone, żółte i tak dalej. Ale ci głupcy nie rozumieją, że nasza sztuka zginie właśnie wtedy, kiedy zacznie się uganiać za tem, co niedoścignione, że cała jej siła zawiera się właśnie w rysunku i tylko w rysunku... A oto jeszcze coś nowego. Patrzcie, co mi przywieźli z Tarentu. Jaka masa figur! Skąd Brygosowi z jego dwiema czy trzema figurami do tego sztukmistrza! W środku świątyńka, w niej Pluton i Persefona: a wokoło całe piekło z Erynjami i grzesznikami. A jak ci grzesznicy są namalowani, jak zgruba i niezdarnie! Zresztą, na cóż staranność? To technika przestarzała. Teraz potrzebne jest wrażenie, ze swej natury niewyraźne, a więc, niech żyje genjalna mazanina!

Artysta był tak poruszony, że żałowałem swego pytania. Zresztą czas było się rozstać, Filokomos naglił. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie.

W pracowni skończono pracę, zaczęto się już rozchodzić; młodzieniec powtórzył stryjowi polecenie malarza; zauważyłem, że i ja już nie mam co robić (moi towarzysze od Midjasza poszli wprost do domu). Zacząłem się więc żegnać z gospodarzem, lecz ten mnie nie puszczał.

— Nie — rzekł: — puszczać gościa z pustemi rękoma, to nie po helleńsku.

Zaprowadził mnie do swej izby mieszkalnej i wydał polecenie co do wina i przekąski.

Opowiedziałem mu o skargach Midjasza, na co odrzekł:

— Co do pierwszego stylu, niepotrzeba się niepokoić: długo nie potrwa, a to dlatego, że te jaskrawe barwy nie znoszą wypalania, więc trzeba je nakładać na wazę już zupełnie wypaloną; będą się łupały, i publiczność przestanie kupować taki nietrwały towar. Co

się zaś tyczy drugiego stylu, tarenckiego, ma słuszność: niechlujność zgubi naszą sztukę, z początku malarstwo, a potem technikę... Bogacze zapalą się do naczyń z drogich metali i kamieni, biedakom będzie się sprzedawało garnki, a nasza sztuka ludowa, cenna nie dzięki wspaniałości, lecz dzięki miłości, jest skazana na upadek. I czy tylko ona? Lecz... niech zwycięży dobro, jak powiedział Eschyl! A ty, gościu, pozwól sobie ofiarować na pamiątkę tę czarę z podobizną twej bogini. Widzisz, i tu jest napisane, kto ją zrobił i wymalował.

I podał mi wytworną «kilikę» z czerwonemi figurami; na okrągłym dysku dna widniała Artemida, naprzeciw niej Akteon z rogami jeleniemi (symbol jego przemiany), a na niego rzucał się pies — i tyle. Poczułem zakłopotanie: czara mogłaby iść na wagę złota. Lecz opór byłby bezskuteczny — i pozostawało mi tylko serdecznie podziękować majstrowi i jego uczniowi.

Ze smutnemi myślami wróciłem do domu; czyż naprawdę ten piękny wytwór ducha helleńskiego jest skazany na upadek i zgubę? Lecz jeżeli nawet tak będzie, ja mimo wszystko wierzę mocno, że zczasem potomność oceni i te nasze wysiłki. I to, co Midjasz nazwał dziwactwem, stanie się przedmiotem rywalizacji narodów — i na półkach wspaniałych sal będą widniały skromne, lecz wytworne i szlachetne dzieła Durysów, Brygosów — i Midjasza.

38. ARYSTOFANES.

Szczęśliwa epoka Peryklesa, która dała Atenom rozkwit sztuk plastycznych oraz poezji, a także wolnej myśli w t. zw. «ruchu sofistycznym», utonęła w krwawej łunie wojny Peloponeskiej (431—404), która prawie trzydzieści lat trzymała pod bronią miasta Grecji i skończyła się dopiero wtenczas, gdy najlepsze siły jej po obu stronach były poderwane. Przyczyną wojny tej było współzawodnictwo obu związków, obejmujących niemal wszystkie miasta helleńskie: peloponeskiego ze Spartą

i morskiego z Atenami na czele. Perykles nie wywołał tej wojny, lecz przyjął i nie uchylił się od niej w przeświadczeniu, że, jakkolwiek nie odrazu, skończy się jednakowoż zwycięstwem Aten; i niezawodnie takby się stało, gdyby nie jego fatalna śmierć w samym początku wojny, spowodowana dżumą, jaka wybuchła w Atenach. Po jego atoli zgonie i po przejściu władzy od umiarkowanej demokracji, której on był przedstawicielem, do demokracji skrajnej i do jej wodza Kleona, sprawa się zaciągnęła. Rok mijał za rokiem, nieprzyjaciel systematycznie z początkiem wiosny przedsiębrał pustoszące najazdy na pola i gaje oliwne Attyki; lud włościański, zamknięty w murach miejskich, musiał bezradnie patrzeć na grabież swego dobytku: Ateny były potężne swoją flotą, lecz wojsko ich ustępowało peloponeskiemu. Dopiero po latach dziesięciu, gdy w tej samej bitwie poległ i Kleon i przywódca partji wojennej w Sparcie, nastawienie pokojowe wzięło górę i tu i tam: z inicjatywy ateńskiego przedstawiciela umiarkowanej demokracji Nikjasza zawarto pokój, słusznie nazwany jego imieniem (r. 421).

Włościanie szaleli z radości: nareszcie, powiadali, po dziesięciu latach życia strzeżonego w długich murach, łączących Ateny z morzem, można było powrócić do ojczystych pól, oddać się zwykłej sielskiej pracy! Ale radość ich była przedwczesna. Pokój był rzeczą bardzo niedogodną dla ambitnych młodzieńców, — a jednym z nich, na domiar nadzwyczaj utalentowanym, był Alcybiades, krewny Peryklesa i uczeń Sokratesa. Płonąc żądzą wydźwignięcia Aten ponad inne państwa greckie i pragnąc wywyższyć siebie wśród Aten, wciągnął on kraj swój w dwuletnią wyprawę sycylijską, która powinna była, wedle rachub jego, skończyć się podbojem perły morza Śródziemnego przez Ateny, w rzeczywistości zaś skończyła się zagładą floty ateńskiej i większej części młodzieży. Z pod tego ciosu już podnieść się Ateny nie mogły: prawda, broniły się jeszcze prawie lat dziesięć, odnosiły nawet czasowe przewagi, lecz siły

ich wewnętrzne były już nadwątlone, i fatalna klęska nad Egospotamosem («rzeką Kozią») w r. 404 położyła kres wszelkim nadziejom. Związek morski uległ rozerwaniu; Ateny stały się pod względem politycznym odosobnionem państwem greckiem, uznającem, narówni z pozostałemi, Spartę za jedyną władzę całej Hellady.

Po wielkim blasku — wielki mrok; po nim — trzeźwe, rozproszone światło dnia, epoka powolnego ozdrowienia, zajmująca pierwszą połowę wieku IV. Epoką tą zajmować się tu nie będziemy: wchodzi ona tylko swem pierwszem z małą nadwyżką dziesięcioleciem w żywot człowieka, któremu poświęcony jest zarys niniejszy. Arystofanes, największy poeta komedji staroattyckiej, urodził się w samem zaraniu epoki Peryklesa i umarł wkrótce po r. 388.

Nazwaliśmy Arystofanesa poetą komedji staroattyckiej: lecz to mówi zbyt mało. Komedja staroattycka jest to zjawisko tak dalece oryginalne, że samo zastosowanie doń tego nazbyt u nas zwykłego terminu — «komedja» — może zmylić czytelnika i naprowadzić go na wyobrażenie niewłaściwe.

Zaród komedji istnieje u wielu narodów: jako zaród taki musimy uznać scenkę rodzajową, produkowaną dla śmiechu i przeto w postaci karykaturalnej, najlepiej w maskach. Dwie lub trzy osoby przebrane udają tchórzliwego złodziejaszka, oszukanego męża-głupca, szarlatana-lekarza z zamorza i t. d.; ulubioną zaprawą widowiska prawie stale bywa okładanie kijem, które do zachwytu doprowadza publiczność niewybredną pod względem dowcipu. Takie scenki rodzajowe mamy i w Grecji: tylko, że tutaj zagarnęły one, oprócz ludzkiego, także i rodzaj bosko-heroiczny, odtwarzając w pociesznych okolicznościach i bohaterów czasów zamierzchłych i władców Olimpu: Heraklesa przedstawiano, jako obżercę, Dyoniza jako tchórza, Hermesa jako złodzieja i t. d. Z tej scenki rodzajowej w Grecji rozwinęła się poważna przy całej swej wesołości komedja, wsławiona imieniem Epicharma syrakuskiego, współcześnika Eschyla: ale

ta komedja rodzajowa nie jest tą, o której mówimy tutaj, nie jest komedją staroattycką.

Scenka rodzajowa stanowiła tylko jeden z dwóch korzeni, z których komedja ta wyrosła; korzeń drugi stanowiła karcicielska pieśń o charakterze dramatycznym. W Attyce zdawien-dawna istniał obyczaj, związany z kultem miejscowego boga Dyoniza: w święta dyonizowe kompanje wieśniaków, umazawszy twarze drożdżami, aby ich nie można było poznać, śpiewali żartobliwe albo uszczypliwe pieśni przed domami tych ziemian, z których mieli uzasadnione powody do niezadowolenia. Te to pieśni karcicielskie nazywano pierwotnie «komedjami»: słowo kômôdia — od kômos («tłum rozweselony») i ôdê («pieśń») powstało na gruncie rozważanego tutaj zjawiska, nie zaś na gruncie scenki rodzajowej, która nazywa a się «mimos».

Różnica jest oczywista: tam występują maski, tu — niema masek; zato jest tutaj chór, tam zaś — nieliczne grono przebranych. Główna atoli różnica polegała na tem, że scenka rodzajowa, z uwagi na ogólny charakter swej satyry, mogła być wystawiona wszędzie, gdziekolwiek znaleźli się amatorzy śmiechu, gdy tymczasem pieśń karcicielska, wymierzona w określoną osobistość, wymieniana z imienia, bywała przywiązana do miejsca, a także i do czasu swego pochodzenia. Komedja rodzajowa, wyrósłszy ze scenki rodzajowej, także przerzuciła się do Attyki; spotykamy ją na scenie Dyoniza w Atenach, jakkolwiek w ciągu wieku V jedynie, jako komedję drugorzędną: pierwszeństwo przysługuje tej, która wyrosła z obu korzeni — i karcicielskiego i rodzajowego. Jest to właśnie ta komedja, którą mamy na myśli, gdy mówimy o komedji staroattyckiej. Lecz jej imię właściwe, w odróżnieniu od komedji czysto rodzajowej, brzmi — komedja polityczna.

Na podobieństwo tragedji, komedja również była dopuszczana do współzawodnictwa, dwa razy do roku, w święta Dyoniza, acz na warunkach skromniejszych: każdy poeta wystawiał tylko po jednej komedji, trylogij

czy tetralogij komicznych nie bywało i bywać nie mogło. Przytem, uporządkowanie, że tak powiemy, komedji odbyło się znacznie później w porównaniu z tragedją, i pierwszy ważki poeta staroattyckiej komedji, Kratinos, był współcześnikiem Peryklesa, w którego też wymierzył pociski swego humoru. Z puścizny jego doszły do nas tylko urywki oraz nagłówki; nie więcej ocalało i po drugim członku komicznego tryumwiratu, współcześniku wojny Peloponeskiej, w młodości zmarłym Eupolisie. Komedje całkowite pozostały jedynie po trzecim, po rówieśniku, naprzód przyjacielu, a potem i wrogu Eupolisa — po Arystofanesie. Do niego też przechodzimy obecnie.

O jego życiu zewnętrznem nie wiemy nic; mimo to jednak stoi on przed nami jak żywy, dzięki komedjom, które się po nim zachowały. Ocalało ich jedenaście z pośród czterdziestu, napisanych przezeń w ciągu niezbyt długiego życia. Jako utwory aktualności nie mogły one wracać na scenę ateńską po raz drugi i istniały nadal tylko w postaci książeczek, a i te w odróżnieniu od tragedyj — wskutek mnóstwa rozsianych w nich napomknień osobistych,—traciły z każdem dziesięcioleciem swą przejrzystość i były, zdaje się, skazane na doszczętny zanik. Ku wielkiemu szczęściu naszemu do zaniku jednakże nie doszło: w epoce rozkwitu uczoności greckiej, t. j. w wieku III przed N. Chr., miłośnie zajęli się niemi filolodzy Muzeum aleksandryjskiego; na podstawie istniejących jeszcze wówczas zapisów określili czas wystawienia każdej komedji, poczem, zestawiając komedje między sobą, a także i z resztą współczesnej im literatury, objaśnili znaczenie przytyków osobistych oraz innych miejsc zagadkowych; w taki sposób te znakomite dzieła znów stały się dostępne zrozumieniu potomków — a więc i naszem, ponieważ ekscerpty z ich prac oriarnych ocalały dla nas w rękopisach samego Arystofanesa.

Ale, oczywiście, co innego jest bezpośrednie zrozumienie, natychmiastowy wybuch wesołego śmiechu z pier-

si publiczności, przed którą grano nasze komedje, a co innego znów jest owo zrozumienie, którego warunkiem bywa uprzednie objaśnienie miejsc ciemnych uwagami komentatora. A przecież radzę czytelnikowi, aby nie odtrącał i tej rozkoszy pochodniej. Śmiem go zapewnić, że rozkosz ta będzie dość duża, aby okupić poniesiony trud. Prawda, że i ta rozkosz dla pełni swej wymaga lektury oryginału: przekład, nawet dobry, może oddać zaledwie drobną część jego uroków. Dobre zaś przekłady trafiają się rzadko (taki jest w literaturze niemieckiej klasyczny przekład Droysena); w języku polskim posiadamy jędrne przekłady Ciąglewicza, Butrymowicza i Jedlicza.

Oryginalna jest przedewszystkiem budowa zewnętrzna komedji staroattyckiej. Budowa ta, coprawda, i w tragedji była poniekąd niezwykła dla obecnego czytelnika i widza; wprawiają go w zakłopotanie pieśni chóralne, dzielące akty, a także i sama obecność tego tak ważnego u starożytnych a nieistotnego u nas żywiołu tragedji. W komedji zaś mamy nie jeden chór, lecz dwa, chociaż przeważnie jednorodne, a wraz z nimi i dwóch «koryfeuszów» t. j. przodowników chóru. I na podstawie elementów tych możemy wyobrazić sobie też i prastarą «pieśń karcicielską», tę pierwotną komórkę komedji politycznej: naprzód śpiewał jeden półchór, potem mówił jego koryfeusz, następnie odpowiadał pieśnią drugi półchór i, nakoniec słowem odpowiadał drugi koryfeusz. Otrzymywano czworo części: pieśń oraz odpowiedź w pieśni nazywały się oda i antoda, słowo koryfeusza i odpowiedź na nie zwano epirrematem i antepirrematem («epirrhêma» znaczy właściwie «posłowie»). W tem kolejnem powtarzaniu się naprzemian pieśni i słowa tkwi charakterystyczna dla komedji kompozycja epirrematyczna — w odróżnieniu od kompozycji epizodycznej, właściwej tragedji, która poprzestawała na jednym chórze. W komedji rozwiniętej mamy trzy takie «pary» zasadnicze, które odróżnić można odrazu po długich wierszach ich epirrematów (ośmiostopowych, nie sześciostopowych, jak w pozostałym djalogu): jest to po pierw-

sze, parod, wykonywany przy wstępowaniu chóru — powtóre, agon czyli spór pierwiastkowo obu półchórów i ich koryfeuszów, w epoce zaś Arystofanesa dwóch osób działających przy udziale tylko obu półchórów), i potrzecie, parabaza, pierwiastkowo pożegnalne zwrócenie się półchórów i koryfeuszów do publiczności. Dzięki tej strukturze, pieśń karcicielska zmieniona była w spoistą komedję, jednakowoż o rozmiarach bardzo szczupłych, nie przekraczających jakichś 150 — 200 wierszy. Rozwój dalszy polegał na tem, że do dużych agonów i parabaz dodano małe, a także i mniejsze pary z epirrematami z jambów sześciostopowych, parod poprzedzony był prologiem, lecz głównie, — z chwilą połączenia komedji politycznej ze scenką rodzajową — dodano po parabazie nieokreśloną liczbę «epizodów» z odpowiednią treścią. Dzięki wszystkim tym naroślom, komedja powiększyła swą objętość i, na wzór tragedji, jęła liczyć 1200 — 1500 wierszy; jest to ta właśnie komedja, niezmiernie pstra w swym układzie, która stała się polem popisu Arystofanesa.

Przyszedłszy na świat w pełni rozkwitu epoki Peryklesa, gdy wielki wódz Aten, zawarłszy pokój z ich współzawodnikami, otworzył pole dla pracy kulturalnej,— Arystofanes zdążył ledwo dojść do pełnoletności, gdy wybuchła straszna wojna. Im dalej, tem bardziej zdawało się, że końca mieć nie będzie; im dalej, tem bardziej poeta nasz tęsknił za tym pokojem, który był jakby dalekim rajem jego dzieciństwa i pacholęctwa. Sprawie pokoju poświęcił on też swą działalność poetycką — sprawie pokoju, a więc i tym siłom, które doń mogą doprowadzić, które tak lub inaczej są z nim związane. Mieszczanie, pośrednio lub bezpośrednio stykający się z handlem, pragnęli prowadzić wojnę aż do pełni zwycięstwa, po którem obiecywali sobie zachowanie dawnych rynków i pozyskanie nowych; o ile byli demokratami, za wodza swego uznawali Kleona. Włościanie, natomiast, tęsknęli jak najrychlejszego pokoju i powrotu do swoich wsi; nienawidzili oni Kleona i wogóle partji wojującej

i oczekiwali poprawy losu od Nikjasza, człowieka prawego i dobrego wszechhellena w duchu Kimona, i jak tamten, ojcowską zachowującego postawę wobec biedoty obywatelskiej. W takich warunkach wybór Arystofanesa był z góry rozstrzygnięty: przystał on całkowicie do partji włościańskiej i, jak ona, znienawidził partję wojenną oraz jej wodza.

Będąc przyjacielem pierwszych, przeciwnikiem drugich, Arystofanes — nie należy o tem zapominać — był poetą komicznym na uroczystościach Dyoniza. Dyonizyjski zaś humor stawia swoiste wymagania, wywiera swoiste działanie: zaprawia i przyjaźń żartem dobrodusznym, odejmuje i wróżdzie, przynajmniej częściowo, jej ostrość. Za znak złego tonu uchodziło obrażać się za żarty komedji i mścić się w dni powszednie na tych, którzy „w komedjach swych wydrwili ich podczas rodzimych misterjów Dyoniza". Wybornie rozumiał to Platon: nie bacząc na to, że Arystofanes niemiłosiernie wyśmiał jego ukochanego mistrza Sokratesa — będzie mowa o tem poniżej — w swej wspaniałej «Uczcie» przedstawił go w przyjacielskiej rozmowie z mistrzem i wogóle wyznaczył mu w niej rolę nader zaszczytną.

Spójrzmy, jednakże, na oddzielne komedje Arystofanesa, zatrzymując się, rzecz prosta, tylko przy najważniejszych. Pominiemy więc «Acharneńczyków», najwcześniejszą z tych, które się zachowały, jakkolwiek znamienuje ją zdumiewająca jędrność i świeżość oraz swawolna oryginalność, wyrażająca się w idei fantastycznego «pokoju odrębnego», zawieranego przez pojedyńczego chłopa ateńskiego; przechodzimy odrazu do komedji, która uczyniła poetę sławnym.

Była to komedja «Rycerze», nazwana tak dzięki zespołowi swego chóru. Właściwie rycerze stanowili część wojska ateńskiego; była to dość zamknięta korporacja, z którą sojusz Arystofanesa tłumaczy się wspólnem pragnieniem pokoju i wspólną niechęcią wobec wojowniczego demagoga Kleona. I rzeczywiście w Kleona bije ta najzłośliwsza ze wszystkich komedyj Arystofanesa.

Mamy przed sobą pozornie urządzenie domowe: chatę starca Demosa... Czytelnik się domyśla, że ma do czynienia ze sztuką alegoryczną, niechaj się jednak nie lęka zwykłego bezkrwistego chłodu alegorji. Demos ten zgodził sobie nie tak dawno niewolnika-garbarza (czytaj: Kleona), i od tej pory życie jego towarzyszy-niewolników stało się udręką nie do zniesienia. I oto dwaj zpośród nich (rozpoznajemy w nich Nikjasza i Demostenesa Starszego) knują przeciw niemu spisek. Udaje im się wykraść zazdrośnie przezeń strzeżone proroctwa co do jego losu przyszłego; z proroctw tych dowiadują się, że z woli przeznaczenia zwyciężyć garbarza sądzone jest kiełbaśnikowi. Wyszukawszy tego ostatniego, człeka gruboskórnego i prostaka (jest to postać fantastyczna), dwaj spiskowcy,—przy pomocy rycerzy, którzy nadbiegli w tej chwili,—poją duszę jego animuszem przeciw garbarzowi. Następnie, część pozostała stanowi długo trwający pojedynek między obu godnymi przeciwnikami, w obecności rycerzy, w obecności rady pięciuset, nakoniec—w obliczu samego Demosa (agon główny), tryskający dowcipem i ciętością satyryczną. Zwycięża, rzecz jasna, kiełbaśnik; lecz, odniósłszy zwycięstwo, ujawnia swą prawdziwą naturę zdecydowanego demokraty: ugotowawszy Demosa w kotle, przywraca mu jego maratońską młodość, sprowadza doń nimfy pokoju, które garbarz więził w zamknięciu, — i dramat zyskuje swój uroczysty, przy całej wesołości, finał.

Fabuła, jak widzimy, jest arcyprosta; bo też i nie na niej zasadza się doniosłość sztuki. A przecież umiał Arystofanes komponować komedje także i o fabule bardziej pomysłowej, zbliżając w ten sposób swą sztukę do typu dramatu mieszczańskiego; takie są jego «Chmury», jego najudatniejsza (pod względem kompozycji) i jednocześnie najmniej udatna (pod względem tendencji) komedja. Rozprawiwszy się z Kleonem, zapalczywy młody poeta zapragnął wypowiedzieć zdanie także o tym kierunku, w którym upatrywał istotną szkołę demagogji — o «ruchu sofistycznym» z jego kultem wymowy przeko-

nywającej; ulegając atoli starodawnemu błędowi, za przywódcę tego ruchu poczytywał Sokratesa, t. j. właśnie tego, kto był niezmordowanym przeciwnikiem i karcicielem sofistów. Wyprowadza on w komedji swej starego Ateńczyka Strepsjadesa, tonącego w długach z powodu arystokratycznych zapędów swego syna. Przychodzi mu do głowy, że za pomocą «wymowy przekonywającej» można przed sądem wymigać się od wierzycieli; ażeby posiąść sztukę tej wymowy, starzec idzie na naukę do Sokratesa. Następują zabawne sceny spóźnionego nauczania przy ironicznym udziale chmur (jest to chór), uosabiających widmowe, pozorne pierwiastki sofistyki; ponieważ nauka kończy się niepowodzeniem, starzec posyła, zamiast siebie, swego syna. Teraz nauka powiodła się znakomicie, wierzyciele są rozgromieni; wszelako młodzieniec wyniósł ze szkoły swej także i ten owoc, że szacunek dla rodziców to—przesąd. Przy pierwszem nieporozumieniu bije ojca i następnie, w drodze «wymowy przekonywającej» udowadnia mu, że ma zupełne prawo postępować w ten sposób. Skruchą starca zamyka się komedja.

Pomijamy znów «Osy», wymierzone przeciw zamiłowaniu starców ateńskich w sądownictwie, gorliwie w nich wspieranemu przez wynagrodzenie, wprowadzone dzięki Kleonowi; przechodzimy do «Ireny», tego krzyku radości z powodu upragnionego pokoju, zawartego przez Nikjasza (r. 421). Poeta znów puścił wodze swej fantazji: bohater komedji, przedstawiciel ateńskiego włościaństwa, wykarmia żuka do olbrzymich rozmiarów i na tym swoistym Pegazie wzlata na Olimp, aby pociągnąć Zeusa do odpowiedzialności za niszczycielską wojnę. Zeusa nie zastaje: Olimp zajęty jest przez Polemosa (bóg wojny), który uwięził w podziemiach Irenę (bogini pokoju). Konieczną tedy rzeczą jest wyzwolić Irenę. Udaje się to dzięki pomocy wszechhelleńskiego włościaństwa; pozostałą część komedji stanowi opis szczęśliwego życia w spokojnej Helladzie, przy niezadowolonem szemraniu tych, którzy w latach poprzednich tuczyli się zyskami wojennemi.

«Irena» zamyka serję pierwszą komedyj Arystofanesa; serja druga zaczyna się od «Ptaków», w których, przy całej ich wesołości, czuje się niepokój, spowodowany przez ryzykowną wyprawę sycylijską. Pod wpływem tego niepokoju wolność żartu komicznego była ograniczona; Arystofanes, zamiast komedji politycznej, dał swym współobywatelom komedję bajeczną, jakkolwiek zaprawioną przytykiem politycznym. Dwaj Ateńczycy, nie wytrzymując niespokojnego życia w ojczyźnie, przypominają sobie, że wedle mitów król tracki Tereusz, żonaty z królewną ateńską, był następnie zamieniony w dudka, trzeba więc udać się do dudka, jako do powinowatego, i dowiedzieć się odeń, gdzie dobrze żyje się na ziemi. Okazuje się, że nie na ziemi, ale ponad nią, wśród ptaków, jeśli tylko je zorganizować i założyć ptasią stolicę. Stolica taka powstaje—jest to słynny Chmurokukawiec. Dzięki swemu środkowemu położeniu, panuje on jednako i nad ludźmi, i nad bogami. Ci ostatni, coprawda, nie odrazu uznają nad sobą władzę nowych panów; lecz ptaki ogłaszają wtenczas blokadę powietrzną i nie przepuszczają ku niebu dymu ofiarnego. Pod uciskiem głodu bogowie wysyłają do ptaków deputację z propozycją pokoju; lecz Piteter — tak nazywał się starszy z dwóch Ateńczyków—dyktuje im warunki pokoju surowe, na których mocy ptaki pozyskają całą władzę, on zaś, osobiście, otrzymuje królewnę Bazyleję, córkę Zeusa. Komedja kończy się opisem ich wesela.

Klęska sycylijska wciągnęła Ateny w nową wojnę z Peloponezyjczykami, której towarzyszyły rozterki wewnętrzne; pod wpływem ich Arystofanes stworzył swoją «Lizystratę», kto wie, czy nie najoryginalniejszą ze wszystkich swych komedji. Treść jej stanowi wszechhelleński strajk żon: zmawiają się one, aby mężom swoim wzbronić wszelkiej pieszczoty dopóty, póki ci nie zawrą pokoju. Można sobie wyobrazić, do jakich incydentów doprowadza ten szczególny strajk,— mogę tylko dodać, że poeta wyczerpał do dna pikanterję swego

tematu. Nakoniec, plan Lizystraty — tak nazywała się inicjatorka zmowy wśród Atenek — osiąga pełnię powodzenia; pokój zostaje zawarty, i żony wracają do swych ognisk domowych.

Opuszczamy «Tesmoforje» (nazwa święta kobiecego ku czci Demetry), dobroduszną satyrę, wymierzoną przeciw Eurypidesowi, jako nienawistnikowi kobiet, a jeszcze bardziej — jako poecie intrygi, o czem nadmienialiśmy w rozdziale, poświęconym temu tragikowi. Niedługo wtenczas miał już żyć Eurypides: gdy umarł, i gdy wkrótce po nim zakończył życie i Sofokles (r. 405), Arystofanes uznał czas za odpowiedni, aby sporządzić bilans sławnej epoki tragedji ateńskiej. Bilansem takim jest jedna z najlepszych i najpoważniejszych jego komedyj — «Żaby» (tak nazwane z powodu przypadkowego szczegółu). Poważną, zresztą, staje się ona dopiero w części drugiej; w pierwszej mamy nader żartobliwy opis zstępowania Dyoniza do podziemu. Udaje się tam w tym celu, ażeby wydobyć swego ukochanego poetę Eurypidesa, lecz staje się świadkiem jego sporu o pierwszeństwo z Eschylem, i spór ten przekonywa go o bezwzględnej wyższości tego ostatniego. Jego też zabiera z sobą do Aten ku chwale ich i ku chwale całej Hellady. Komedja ta ciekawa jest dla nas, jako jaskrawy wzór krytyki literackiej, uszlachetnionej świadomością olbrzymiego znaczenia poezji, jako siły moralnej.

«Żaby» — jest to ostatnia komedja z okresu wojny Peloponeskiej; po nich długa następuje przerwa. Już do wieku IV należą dwie ostatnie komedje Arystofanesa «Babi sejm» i «Plutos». W tej ostatniej poeta mówi o ubóstwie, jako o źródle energji, ale o wiele ciekawszą jest pierwsza. Wyprzedziwszy mężczyzn, kobiety opanowują sejm i uchwalają radykalną reformę życia państwowego w duchu wspólnoty mienia i wspólności żon. Z zajęciem poznajemy te same tematy socjalistyczne, które w formie poważnej rozwija Platon w swej «Rzeczypospolitej», napisanej jednakże później. Oczywiście, w krzywem zwierciadle komedji wszystko odbija się inaczej,

i nikt nie będzie rościł pretensji do Arystofanesa, że wysunął zabawne następstwa, jakie sprowadzić może zwłaszcza druga z uchwalonych reform.

Czytelnika ostatnich komedyj Arystofanesa szczególniej uderzy w oczy to, że niemal zupełnie brak w nich satyry politycznej; rzeczywiście wolność jej została ograniczona w początku wieku IV, przytem nie tymczasowo, jak w roku «Ptaków», lecz ostatecznie. To wydało na komedję polityczną wyrok śmiertelny: kosztem jej wysunęła się komedja rodzajowa, w wieku V pozostająca na drugim planie; rozwinęła się ona pysznie, jakkolwiek bez szczególnego blasku, w epoce t. zw. komedji średnioattyckiej. I dopiero pod schyłek w. IV, rozwinąwszy się w pełni, osiągnęła rozkwit, jako poważna komedja obyczajów. Była to epoka Menandra i reprezentowanej przezeń komedji nowoattyckiej.

Wolności osobistej satyry politycznej nie sądzono było powrócić na scenę ani w czasach starożytnych ani w nowożytnych: duch dyonizyjski, wyładowawszy się raz, już nigdy więcej nie bywał źródłem natchnienia dla ludzkości. Oto dlaczego komedje Arystofanesa są dla nas zjawiskiem zupełnie wyjątkowem. Tylko ta zdrowa, silna i wielkoduszna w poczuciu potęgi swej demokracja, której założycielami byli Temistokles, Arystydes i Perykles, mogła udźwignąć tak wielką wolność słowa; już dla Kleonów stała się ona nienawistną, ale ci nic nie mogli wskórać przeciw sile tradycji, i dopiero wtenczas, gdy wojna wytoczyła najlepszą krew z ludu ateńskiego, dał on odjąć sobie dumną puściznę ojców. Przed powagą tej puścizny chylimy dzisiaj czoła, czytając Arystofanesa; dalsze jej walory — to niewyczerpane bogactwo fantazji, iskrzący dowcip djalogu, niepohamowana wesołość... Właśnie niepohamowana; daleko wtyle poza sobą zostawia ona wszelkie owe powściągi, które poczytują za obowiązujące dla siebie najswawolniejsi nawet wśród pisarzy współczesnych. Lecz jeśli humor Arystofanesa bywa rozkiełznany, to zato niema w nim nic rozkładowego, niema tej słodkawej trucizny, którą zaprawione jest tyle pozornie przyzwo-

itych utworów nowych czasów, i Platon miał słuszność, poświęcając mu epigramat:

Znaleźć pragnęły chram, co zburzony nie będzie, Charyty
I odnalazły: ten chram — Arystofana to pierś.

39. SOKRATES

W drugiej połowie piątego wieku, od czasów Peryklesa do końca fatalnej wojny, na ulicach i placach Aten można było widzieć człowieka o dziwnej, nieateńskiej i niehelleńskiej powierzchowności. Twarz miał płaską, nos jakby przygnieciony, oczy wybałuszone, czoło duże z uszczerbkiem dla włosów, których zamłodu, zapewne, miał więcej, niż potem, lecz zawsze mniej, niż należało spodziewać się wedle wieku. Odziany był bardzo ubogo, w stary płaszcz, nie bacząc na pory roku, obuwia zazwyczaj nie nosił wcale. Gdy ktoś z przyjezdnych zwracał na niego uwagę, odpowiadano mu ze śmiechem: jakto, nie znasz Sokratesa, naszego ubogiego gaduły? — A więc jest to żebrak? — Niezupełnie: jest «zeugitą», posiada maleńki kawałek roli i pełnię uzbrojenia; ma swoją chatę, w niej żonę, bardzo złą, imieniem Ksantyppę, i troje dzieci. — A więc jest rolnikiem? — Bynajmniej: rolę zamiast niego uprawia niewolnik, dochodów zaś z roli wystarcza mu zaledwie na to, aby wyżywić siebie i rodzinę, a raczej aby nie umrzeć z głodu. Dokoła niego zbiera się gromadka młodzieży, i on ich uczy. — A więc jest sofistą? — Także nie; cóż to za sofista, skoro za swe nauczanie nic nie bierze? A przytem różni się od sofistów jeszcze pod innym względem: tamci mówią, że wiedzą wszystko; on zaś, przeciwnie, że nic nie wie. Na domiar uczy jakoś dziwnie: sam nie mówi, tylko ciągle pyta. I wogóle, mój drogi, nie próbuj rozpytywać, kto on zacz. Jest to Sokrates, i drugiego takiego nie znajdziesz w całej Helladzie.

Wszelako, w Atenach, gdzie ludzie o sobie wiedzieli wszystko, było wiadome, że ów Sokrates był synem

rzeźbiarza Sofroniska oraz akuszerki Fenarety i że urodził się wtenczas, gdy bohater Kimon stał na wyżynie sławy, t. j. wedle naszej rachuby około r. 470. Za młodu, na podobieństwo ojca, uczył się rzeźby, i potomni pokazywali płaskorzeźbę, stworzoną przez niego a wyobrażającą Charyty, tę samą prawdopodobnie, która zachowała się do naszych czasów. Później atoli zamienił dłuto materjalne na duchowe i starał się w myśl i słowo wcielić owe Charyty, których służbie i nadal poświęcał swe życie.

W myśl i słowo... Hellen mówił: w logos, i wyraz ten, niemożliwy do przełożenia na żaden z języków nowoczesnych, musicie przyswoić sobie w jego brzmieniu greckiem, gdyż tylko w niem ma on swą własną, niezmiernie cenną treść. Logos jest to rozum, rządzący wolą człowieka rozumnego; jest to niewidzialny prawodawca, dyktujący rozumowi normy myślenia; jest to myśl, poddająca się owym normom; jest to słowo, ukazujące się, jako owoc tej myśli. Ale i to jeszcze nie wszystko: logos rządzi nietylko wolą człowieka rozumnego, ale i światem całym, o ile świat ten jest wynikiem rozumnej woli Stwórcy; «na początku było słowo», mówi Ewangelista, — wiecie teraz, jak słowo to zostało przełożone.

Sokrates stał się kapłanem logosu; w jego zrozumieniu i urzeczywistnieniu widział on zadanie swego życia. Wcześnie doszedłszy do poczucia tego swego powołania, jął on rozeznawać się sam w sobie. Zwrócił uwagę na swą powierzchowność i zrozumiał, że jest pokrzywdzony przez przyrodę. Znacie już tę powierzchowność: artysta grecki w taki właśnie sposób wyobrażał Sylena, wesołego i wiecznie pijanego piastuna i towarzysza Dyoniza, stałego bohatera dramatów «satyrowych». Zwrócił uwagę na swą duszę — i spostrzegł ku swej zgrozie, że i dusza przypomina Sylena tak samo, jak ciało. I duszę swą nasamprzód poddał uszlachetniającemu wpływowi logosu.

Jeden z jego najukochańszych i najlepszych uczni opowiadał później taki wypadek z jego życia. Przyjechał

do Aten pewien Syryjczyk, imieniem Zopir, mistrz nieznanej dotychczas w Grecji sztuki fizjognomiki, t. j. odgadywania znamion duchowych — z rysów twarzy. Ludzie, rzecz zrozumiała, zbiegali się do niego—wszak nie było na świecie miasta ciekawszego i żądniejszego nowinek, niż Ateny. Uczniowie Sokratesa także razu pewnego poprosili go, aby rozczytał się w fizjognomji ich nauczyciela. Zopir jął uważnie badać owe rysy sylenowskie — i wyczytał z nich: po pierwsze, skłonność do pijaństwa i innych grubo-zmysłowych uciech; po-wtóre — nieokiełznaną zapalczywość; po-trzecie — tchórzostwo; i tak dalej. Każdemu takiemu odkryciu towarzyszył wybuch niepowstrzymanego śmiechu ze strony uczni; wszyscy mniemali, że mędrek zamorski zbłaźnił się ze swym rzekomym kunsztem. Sam atoli Sokrates pozostawał zupełnie poważny i rzekł do swych uczni: śmiejecie się niesłusznie, Zopir się nie myli. Miałem wszystkie te przywary, lecz je pokonałem.

Pokonał—czem? Przez logos, mamy prawo odrzec.

Lecz ta praca nad samym sobą była tylko jedną częścią jego służby logosowi. Częścią drugą było rozpuszczenie w logosie zjawisk otaczającego życia. Nie odrazu daje się to zrozumieć; postaram się wypowiedzieć to jaśniej.

Dokoła mamy siebie ludzi, którzy postępują sprawiedliwie, mamy też i takich, którzy postępują niesprawiedliwie. Ci ostatni, oczywista, sami nie wiedzą, co czynią, niema więc o co ich pytać; logos stoi po stronie tylko pierwszych, zwróćmy się tedy ku nim. Postępujecie sprawiedliwie; pięknie. Ale czy zdajecie sobie sprawę z tego, dlaczego tak postępujecie? A nadewszystko z tego, na czem owa sprawiedliwość polega? I w większości wypadków ludzie ci popatrzą na nas: to jest, jak to, dlaczego? Dlaczego dałem u siebie przytułek swemu staremu ojcu, który mnie spłodził i wychował? Dlaczego wydałem zamąż z posagiem od siebie córkę swego przyjaciela, zmarłego w nędzy? Dlaczego zwróciłem w terminie pożyczone pieniądze? Dlaczego wykupiłem współoby-

watela, wziętego do niewoli przez Traków? A czyż mogłem postąpić inaczej?... Moralność taką nazywamy instynktowną. Tkwi ona w ludziach — i chwała Bogu, że tak jest. Gdyby ludzkość, aby postąpić moralnie, jęła oczekiwać czasu, w którym zrozumie prawdziwą przyczynę moralności — to wprzódy zginęłaby wśród powszechnej rzezi, nimby czas ów nastał; tutaj, doprawdy, można powiedzieć: nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

Ale z tą samą nieuniknioną koniecznością, z jaką śladem rosistej zorzy idzie słoneczny ranek, — po szarym zmroku moralności instynktownej następuje czas, w którym lud stara się zdać sobie sprawę z przyczyny i z treści swego moralnego działania. Czy każdy lud? O, nie. Nie mówimy zresztą o wszystkich; mówimy o jednym, o ludzie greckim. Dla Greków czas ten nastał właśnie teraz, i wodzem tego czasu był Sokrates.

Sternik kieruje okrętem wzdłuż skał wybrzeża, między podwodnemi głazy, ku przystani; czy można wątpić o tem, że chce go doprowadzić w całości? Oczywiście, nie można. Dlaczegóż jednemu się to udaje, drugiemu zaś nie? Wola u wszystkich jest jednakowa; gdzież tkwi przeszkoda? Najwidoczniej — w rozumie: tkwi w tem, że jeden zna się na rzeczy, drugi zaś się nie zna. Ale czyż nie to samo widzimy wszędzie, w całem życiu? Wszyscy pragniemy szczęścia; dlaczegóż między nami tylu jest nieszczęśliwych? Oczywiście, z tej samej przyczyny: przy woli jednakowej rozum jest niejednakowy. Jedni nie wiedzą, gdzie szukać szczęścia; drudzy, jakkolwiek wiedzą, nie umieją ku niemu skierować łodzi swego życia. Winę tego wszystkiego ponosi nieświadomość: nikt nie błądzi dobrowolnie.

Tak więc, należy budzić w ludziach świadomość, ażeby posiąść mogli cnotę i szczęście; na tem polega zadanie logosu na ziemi i zadanie jego apostoła. Pierwszym ku temu środkiem jest rozmyślanie, zagłębianie się w sobie; zaczynać najprościej bywa od samego siebie. Wytrwałość Sokratesa w tym względzie była imponująca. Jego towarzysz broni opowiadał następujący epizod z oblę-

żenia Potydei, w którem Sokrates brał udział, w samym początku wojny Peloponeskiej — gdy więc miał lat niewiele co ponad czterdzieści. Od rana opanowała go jakaś myśl, albo raczej on zapragnął myślą tą owładnąć— ale to mu się nie udawało. Nie ruszając się z miejsca, stał do południa; dziwne jego zachowanie dostrzegli inni, lecz on sam trwał jakby w zapomnieniu o sobie. Nastał wieczór, towarzysze zasiedli do wieczerzy, Sokrates stał ciągle na tem samem miejscu. Nakoniec, zstąpiła noc — ciepła, letnia; towarzysze wynieśli swe podściółki z namiotów, aby spać na świeżem powietrzu, a także i dlatego, aby się przekonać, jak długo jeszcze stać będzie Sokrates. On zaś stał tak aż do wschodu słońca—i dopiero wtenczas, pomodliwszy się świetlistemu bogu, odszedł.

Zzewnątrz był to poprostu człowiek stojący nieruchomo; lecz wewnątrz, pod pokrywą jego łysej czaszki, kipiało gorączkowe życie, odbywał się niezmordowany pościg — pościg logosu za upartem pojęciem, określającem nasze postępowanie, ale lękającem się każdego określenia rozumowego. I uczuł się szczęśliwy, gdy pościg jego uwieńczyło powodzenie: przy tem wszystkiem jednakże świadom był, że, mimo wszystko, jest coś takiego, co się w logosie rozpuścić nie da; że nawet on czuje wewnątrz duszy swej popędy, z których słuszności nie może zdać sobie sprawy, a które przecież wpływają na jego postępowanie. Wtenczas mawiał o jakiejś potędze «boskiej», o d a i m o n i o n.

Częściej wszakże zwracał się do innych, do tych, którzy nazywali siebie znawcami, zwłaszcza do sofistów. Ci ostatni atoli wprawiali go w zakłopotanie swą skłonnością do długich «mów przekonywających». Czuł poza niemi rozmyślne lub mimowolne oszustwo; nie, nie mowa, ale rozmowa, pytanie i odpowiedź, natychmiastowe sprawdzanie każdego twierdzenia przez kontrolę współrozmówcy — oto droga jedyna, wiodąca ku prawdzie. «Retoryce» sofistów przeciwstawiał swoją «djalektykę»: w taki to sposób on, który nigdy nic nie napisał, stał się fundatorem nowego typu literackiego — d j a l o g u.

Zresztą, i do sofistów, i do innych znawców zbliżał się, jako człowiek nie wiedzący,—przyczem nie udawał, lecz naprawdę czuł się takim. To stwarzało pokusę nadużywania jego skromności; niejeden od niewygodnego pytania próbował uchylić się nieuczciwą odpowiedzią. Ale Sokrates przygważdżał oszustwo i w sporze nieraz ujawniał swoją wyższość nad zarozumiałym przeciwnikiem. Wtenczas przeciwnikowi owemu wydawało się, że Sokrates tylko udawał nieświadomego, że sam siebie «pomniejszał», że—jak grecki termin opiewa—«ironizował». Takie jest znaczenie prawdziwe słynnej «ironji sokratesowskiej».

Rzecz zupełnie zrozumiała, że przy skłonnościach tego rodzaju Sokrates starał się nie opuszczać Aten ani dla okolic, ani dla innych miast. Jeśli zgodnie ze znanem jego zdaniem, „łąki i drzewa nie mogą niczego go nauczyć, tylko ludzie", to w tem nie należy widzieć niezdolności pojmowania piękna i utajonej mądrości przyrody, lecz mieć na widoku właśnie tę wiedzę, której łaknął Sokrates — wspólne poszukiwanie prawdy we wspólnej rozmowie. Co zaś do innych miast, to mieszkańcy ich co do stopnia swego uświadomienia nie mogli równać się z Atenami.

Wszelako, chociaż sam tylko z obowiązku służby wojskowej opuszczał swe miasto ojczyste, sława o ateńskim poszukiwaczu prawdy pomimo jego woli sięgnęła poza Ateny. To doprowadziło do zdarzenia — tak, do prawdziwego zdarzenia, które wywołało przewrót w jego działalności poszukiwacza. Jeden z najnamiętniejszych jego uczni, udawszy się do Delf, zapytał Apollina, kogo bóg poczytuje za najmędrszego z ludzi. I bóg odpowiedział:

Mądry Sofokles, mędrszy Eurypides;
Od wszystkich ludzi mędrszy jest Sokrates.

Odpowiedź, zaiste, zdumiewająca, aby nie rzec — cudowna. Sofokles — rzecz zrozumiała: poeta w ciągu całego swego życia był nietylko mądry, ale i pobożny, i słynął nietylko jako człowiek pobożny, ale i jako wierny

czciciel Apollina. Eurypides — także rzecz zrozumiała: był on dla Apollina jakby synem marnotrawnym, który teraz właśnie, gdy wyszumiał jego bogoburczy zapał, wrócił ku niemu i ku pozostałym bogom, napisawszy «Jona» oraz «Ifigenję w Taurydzie». Ale Sokrates? Ten Sokrates, który zawsze sam siebie uważał za niewiedzącego, który stale szukał nauki u innych?

A może, wedle myśli boga — na tem właśnie polega dla człowieka mądrość najwyższa?

Tak wypadało — tak też i zrozumiał to Sokrates. W odpowiedzi boga ujrzał błogosławieństwo dla siebie na obraną drogę. Do owej pory był tylko poszukiwaczem, odtąd czuł się prorokiem lub apostołem. I kto usiłował go odwrócić od jego metody rozmówczej, temu, jako człowiek o wiele pobożniejszy od tych, którzy go później oskarżyli,—odpowiadał: nie mogę, bóg nie pozwala.

Wraz ze sławą rósł i krąg jego uczni. Skład ich był nader różnorodny. Byli wśród nich ludzie działalności praktycznej, którzy w rozmowach z Sokratesem widzieli pożyteczną dla takiej działalności szkołę; byli wszakże i tacy, w których ziarna, zasiane przez mistrza, dały następnie bogaty plon własnej myśli filozoficznej. Do liczby ostatnich należeli późniejsi założyciele wielkich szkół, a głównie, Antystenes, Arystyp i zwłaszcza Platon. Do liczby pierwszych — Ksenofont, Alcybiades, Kritjasz.

Ci to właśnie zgubili Sokratesa.

Najmniej ze wszystkich, bodaj, Ksenofont, a przecież i on, opuściwszy Ateny, wziął udział w wyprawie Cyrusa Młodszego przeciw bratu Artakserksesowi—owego Cyrusa, którego sympatje spartańskie były powszechnie znane. Ale Alcybiades, ale Kritjasz! Alcybiades, który, zdradziwszy ojczyznę, przeszedł do Spartan i stał się sprawcą zagłady floty ateńskiej w Syrakuzach, sprawcą owego strasznego ciosu, z którego miasto już nie zdołało się podźwignąć; Kritjasz, który po klęsce nad Egospotamosem wziął z rąk spartańskich tyranję nad Atenami i stał się głową terorystycznego rządu 403 r.! To zwłaszcza ostatnie zdarzenie przepełniło czarę cierpliwości.

Gdy, dzięki Trazybulowi, demokracja powróciła do rządów, rozpoczęło się nowe budownictwo życia państwowego w osłabionem, lecz mimo to odradzającem się mieście; i jedną z pierwszych ofiar tego budownictwa padł Sokrates.

Skazanie Sokratesa w r. 399 jest to jedno z najsmutniejszych zdarzeń w historji świata; nietyle samo przez się, ile dlatego, że dokonało się pod rządami władzy naogół umiarkowanej i rozumnej, unikającej wszelkich nadużyć i gwałtów.

Oskarżenie przeciw Sokratesowi brzmiało tak: „Sokrates oskarżony jest o to, że nie wierzy w bogów, uznawanych przez państwo, i zamiast nich wprowadza jakieś nowe siły demoniczne; oskarżony jest ponadto o znieprawianie młodzieży." Ponieważ ani jedno, ani drugie przestępstwo nie było przewidziane prawem, przeto od oskarżyciela zależał wniosek co do wymiaru kary; oskarżyciel więc dodał: „wnoszę o karę śmierci." Nie znaczyło to bynajmniej, że Sokratesowi, w razie skazania, groziła nieuchronna kaźń: surowy wymiar kary we wniosku oskarżyciela świadczył tylko o wadze, jaką wiązał ze sprawą; pytanie co do kary podlegało odrębnej decyzji sądu już po rozstrzygnięciu pytania co do winy.

W sądzie przysięgłych-heliastów, skoro sprawa dotyczyła bezbożnictwa, przewodniczył archont-król; przysięgłych było dużo, wedle obyczaju ateńskiego — ponad pięciuset. Podsądny obowiązany był bronić się sam. Sokratesowi, prawdopodobnie, niezbyt trudno byłoby obalić oskarżenie o bezbożność i wyjaśnić nieporozumienie, dotyczące jego niewinnego d a i m o n i o n, z którego oskarżyciel zrobił jakoweś nowe bóstwo, mające zastąpić Zeusa i innych bogów Olimpu. Trudność polegała na drugim punkcie. Czy mógł Sokrates udowodnić, że Alcybiades i Kritjasz nie wyrządzili państwu ogromnych szkód—albo że nie byli w gronie jego uczni? Ani jednego, ani drugiego, rzecz oczywista, wykazać nie mógł. Mógł jedynie utrzymywać, najzupełniej zgodnie z prawdą, że nie jego nauka zrobiła z nich nieprzyjaciół państwa. Takie jednak-

że wywody, jak i po nim wielokrotne pokazało doświadczenie, słabo oddziaływają na wrogo usposobiony tłum— i nietylko na tłum.

Przy obliczaniu głosów okazało się, że większość wypowiedziała się przeciw Sokratesowi, jakkolwiek większość niepokaźna. Znaczyło to, że był skazany, lecz pytanie co do rozmiarów kary nie było jeszcze przesądzone. Sokrates miał prawo ze swojej strony zgłosić wniosek co do kary innej, łagodniejszej; ponieważ zaś za oskarżeniem wypowiedziała się tylko nieznaczna większość, nie ulega przeto wątpliwości, że uzyskałby aprobatę ten wniosek drugi, łagodniejszy. Pod naciskiem swych uczni Sokrates dla formy zgłosił swój wniosek o karę; nie zataił wszakże przed sędziami, że czyni to tylko dla formy i pod przymusem, właściwie zaś winnym się nie czuje i uważa działalność swą godną nie kary, lecz najwyższej nagrody, jaką państwo wyznacza jedynie obywatelom szczególnie zasłużonym — gościny w prytanejonie.

Była to mowa piękna, bohaterska — ale jedynie w naszych oczach. W oczach zaś sędziów, którzy dopiero co orzekli winę jej autora, mowa taka nie mogła nie wydać się wyzywającą. Odbyło się drugie głosowanie, tym razem w sprawie kary—i znaczną większością głosów przyjęto wniosek oskarżyciela.

Nie wszystko jeszcze było stracone. W gruncie rzeczy nikt nie pragnął śmierci siedemdziesięcioletniego starca; domagano się zasadniczego stwierdzenia szkodliwości jego wpływu na młodzież, i można mieć pewność, że, gdyby mędrzec, zamiast stanięcia przed sądem, wprost udał się do Teb czy Megary, wszyscy odetchnęliby byli z ulgą. Ale krokiem takim uznałby swą winę, a na to głęboka prawość jego pozwolić nie mogła. Teraz do kaźni pozostawało jeszcze dużo czasu—dla przyczyn religijnych nie mogła ona odbyć się natychmiast. Pieniądze przyjaciół Sokratesa — i zapewne, pobłażliwość władz — otworzyły przed nim drzwi jego więzienia; dzień, dwa — i byłby w Tebach lub Megarze, w zupełnem bezpieczeństwie... Ale godząc się na to, nie byłby Sokratesem. Dla tych

kilku lat, które miałby jeszcze pożyć, zburzyć w zależnej odeń mierze prawa ojczyzny? Nie, trzeba ojczyzny słuchać, nawet wtedy, gdy nam wymierza karę... nawet, gdy karze nas niesprawiedliwie.

Jest to wysoki stopień heroizmu; a jednak nie najwyższy. Najwyższym jest sama śmierć sprawiedliwego, to, jak, poddając się obyczajom ateńskim, wypił podaną sobie czarę cykuty. Nie kuszę się o odtworzenie tej wzniosłej sceny. Zczasem przeczytacie djalog Platona — «Fedon», w którym opisane są ostatnie godziny Sokratesa: te nieliczne karty należą do najświętszego dorobku liteteratury wszechświatowej.

ROZDZIAŁ VII.

KONIEC NIEPODLEGŁOŚCI

40 DRUGA HEGEMONJA SPARTY

Związek delijski i hegemonja ateńska były zburzone, długie mury, łączące stolicę z Pireusem, Sparta kazała rozwalić, lecz, jako miasto, Ateny nie zginęły. W przeciwieństwie do bezwzględności Lisandra, królowie Sparty nie ważyli się na starcie z oblicza ziemi państwa, którego obywatele z taką sławą, pospołu z własnymi ich przodkami, walczyli pod Salaminą, pod Platejami i Mikalą.

Położenie zwyciężonych, co prawda, z początku było ciężkie. Lisander znów powołał do władzy skrajnych możnowładców, stworzywszy z ich środowiska radę naczelną, złożoną z trzydziestu mężów. Głową rady był niejaki Krytjasz, człowiek bardzo zdolny, w pewnym okresie będący nawet uczniem Sokratesa, lecz zacięty przeciwnik ludowładztwa i w walce z niem nie przebierający w środkach. Pod jego ręką rządy trzydziestu upamiętniły się długim szeregiem nieprawości i krwawych gwałtów, wskutek czego mężowie rady otrzymali miano trzydziestu tyranów. Nareszcie, cierpliwość obywateli się wyczerpała, i w sąsiednich Tebach powstała z pośród wygnanców ateńskich pokaźna siła zbrojna, która za cel postawiła sobie obalenie tyranji. Teby na cel ten patrzyły życzliwie: teraz były one po Sparcie najpotężniejszem państwem i, rzecz zrozumiała, przeniosły niechęć swą z pokonanych Aten na ich zwycięzców. Tebańczycy nawet powzięli u siebie szczególne postanowienie, które brzmiało tak: „jeśli kto zacznie przez Beocję przewozić broń przeciwko tyranom ateńskim, to my nic nie widzimy i nic nie słyszymy". Dzięki tej życzliwości, przywódca wygnanców, Trazybul, zdołał zorganizować swą drużynę i zająć nią twierdzę na granicy Attyki. Tutaj jęli napływać ku nie-

mu wszyscy niezadowoleni z rządów Krytjasza i jego popleczników; niebawem powstało wojsko, z którem ruszył na Ateny. Wojsko trzydziestu tyranów uległo rozbiciu; sam Krytjasz poległ w boju, walcząc mężnie, Trazybul zaś zajął Ateny, przywracając demokrację. Sparta dobrotliwie przyjęła ten przewrót, zadowolona z tego, że Trazybul uznał hegemonję spartańską i ogłosił powszechną amnestję, zakazując jakichkolwiek prześladowań za pomoc, wyświadczoną strąconym tyranom.

Wogóle zaletami rządów Trazybula były umiarkowanie, uczciwość i nawet wspaniałomyślność; tem dziwniejszą jest rzeczą, że za jego czasów Ateny pociągnęły do odpowiedzialności, skazały i uśmierciły swego najuczciwszego i najsprawiedliwszego obywatela—Sokratesa (r. 399), jak to widzieliśmy wyżej.

Wogóle zaś położenie świata greckiego w początkach drugiej hegemonji spartańskiej przedstawiało się jak następuje:

Na Sycylji Egesta, która wywołała wyprawę ateńską przeciw Syrakuzom, po klęsce tej wyprawy, zwróciła się o pomoc do Kartaginy i cel swój osiągnęła. Kartagina chętnie ponowiła próbę, która nie udała się w r. 480, i podjęła na znużone oblężeniem Syrakuzy niszczycielską wyprawę. W tej ciężkiej godzinie ocaliła Syrakuzy dzielność jednego obywatela, Dyonizego. Objął on w swem mieście rządy tyrana, ale wzamian za to obronił je od naporu nieprzyjaciela, i nietylko obronił, ale uczynił je panem prawie całej Sycylji (oprócz zachodniego kąta, zajętego przez kolonje fenickie). Był to działacz państwowy, w rodzaju Lisandra—rozumny, stanowczy, lecz bez żadnych powciągów moralnych. Ojczyznę swą podźwignął bardzo wysoko, miłością wszakże nie cieszył się ani w niej, ani w innych grodach sycylijskich: nikomu nie ufał, posługując się dla bezpieczeństwa rozgałęzionym systemem szpiegostwa. Opowiadają, że gdy jeden z jego pochlebców, Damokles, wysławiał jego szczęście, ten go zaprosił na obiad. Obiad był wspaniały, i Damokles czuł się zachwycony; nagle zauważył nad głową

swoją miecz, na włosiu końskim zwisający z powały. Zbladł i jął błagać tyrana, aby go zwolnił od stołu; Dyonizy spełnił i tę prośbę, powiedziawszy doń: «takie jest i szczęście moje». I odtąd «miecz Damoklesa» stał się przysłowiem.

Wszelako z zewnątrz tyranja Dyonizego, trwająca lat powyżej czterdziestu, uchodziła za silną i ustaloną, i Platon, który właśnie wtenczas marzył o państwie idealnem, rządzonem przez sprawiedliwość, powziął nadzieję urzeczywistnienia swego marzenia z pomocą szczęśliwego władcy Syrakuz. Gorzko się jednak co do niego rozczarował: nieufny Dyonizy i w nim upatrzył niebezpiecznego spiskowca, i Platon z trudem uratował swe życie.

Przy tem wszystkiem Sparta mogła być zadowolona z sytuacji na Zachodzie: Dyonizy był jej sprzymierzeńcem i w pewnych razach jej pomagał. Nie tak pomyślnie ułożył się dla niej stan rzeczy w Grecji właściwej. Widzieliśmy już, że Teby odrazu zajęły wobec niej postawę nieprzyjazną, nie uznając jej hegemonji, za ich zaś przykładem poszedł Korynt, nie mówiąc już o Argosie. W innych państwach Spartę wspierali arystokraci, gdy tymczasem demokraci walczyli przeciw niej; stąd wynikała dla niej konieczność czuwania nad tem, aby wszędzie pozostawali u steru arystokraci, i w tym celu utrzymywania, gdzie po temu zachodziła potrzeba, swych «harmostów», t. j. ludzi, strzegących porządku. Rzecz zrozumiała, że to wielu nie mogło się podobać: spokoju wszakże tymczasem nie naruszano.

Największe trudności piętrzyły się przed Spartą na Wschodzie. Gdy satrapowie perscy pomagali Lisandrowi pieniędzmi przeciw Atenom, nie taili tego, że domagają się, jako nagrody, zwrotu Jonji. Wkrótce po klęsce Aten nastały w Persji zdarzenia, które kazały na czas pewien odłożyć wykonanie tego zamiaru. Król Darjusz II umarł, pozostawiając dwóch synów; starszy z nich, Artakserkses II, miał charakter dobry i cichy, młodszy zaś, Cyrus, na podobieństwo swego wielkiego imiennika, wyróżniał się niepospolitym rozumem i szaloną odwagą.

I oto zamierzył on wydrzeć koronę królewską bratu starszemu i w tym celu, oprócz wiernych sobie szyków perskich, zwerbował dziesięć tysięcy greckich najemników oraz ochotników, wśród których był także młody Ateńczyk Ksenofont, uczeń Sokratesa. Szaleństwem wydawała się myśl wtargnięcia z tak szczupłem wojskiem do krainy tak odległej; a jednak ta «wyprawa Cyrusa» była zdumiewająco pomyślna: nigdzie nie spotykając oporu, śmiały buntownik dotarł aż do Eufratu. Tu, nakoniec, Artakserkses postanowił wydać mu bitwę. Znowu genjusz Hellenów odniósł tryumf nad siłą Azjatów; lecz w bitwie poległ sam Cyrus i pochód dalszy stał się bezcelowy. Aby wojsko greckie zgubić, wódz perski zaprosił do siebie dowódców greckich i zdradziecko ich zamordował; osierocone szyki obrały wodzem Ksenofonta, i ten, przezwyciężając niewiarogodne trudności, doprowadził je do pobrzeża greckiego. Ten słynny «odwrót dziesięciu tysięcy» sam on potem opisał w swem najlepszem dziele — «Anabasis» (t. j. «wyprawa» Cyrusa).

Uporawszy się z niebezpieczeństwem, Artakserkses przypomniał Sparcie o Jonji. Wodzem Spartan był wtenczas król Agezylausz, mąż śmiały i rozumny, czujący w sobie krew Leonidasów i Pauzanijaszów. Oddać Jonję, której nigdy nie oddawały Ateny — znaczyłoby to pokazać wszystkim Hellenom i barbarzyńcom, o ile hegemonja spartańska słabsza jest od ateńskiej. Z drugiej strony, wyprawa Cyrusa pokazała światu całemu, że król perski nawet we własnym kraju nie jest zbyt groźny. I oto Agezylausz postanawia nanowo podjąć dzieło, przerwane heroiczną śmiercią Kimona pięćdziesiąt lat temu.

Wszelako Kimon był tylko dowódcą związku delijskiego; Agezylausz zaś czuł się wodzem naczelnym całej Hellady. Od czasów Agamemnona, myślał sobie, wodza takiego w Grecji nie było. I na wzór tamtego postanowił zacząć swą wyprawę od ofiary w Aulidzie. Aulis wszakże leżała na ziemi Beotów; Teby, wrogo usposobione wobec Agezylausza i Sparty, znienacka prze-

szkodziły ofierze i rozrzuciły płonące biodra ciołka. Z ciężkiem uczuciem odszedł Agezylausz: niedokończona ofiara wróżyła niedoprowadzoną do końca wyprawę.

Jończycy natomiast widzieli w Agezylauszu zbawcę: opatrzony ich błogosławieństwami, ruszył w pochód, wzmocniwszy wojsko swe najemnikami Ksenofonta. Znów powodzenie stanęło po stronie Hellenów; nawała barbarzyńców ulegała rozproszeniu tam, gdzie pojawił się Agezylausz. Zapomniał on już o wróżbie aulidzkiej i widział siebie na złotym tronie Artakserksesa,—gdy wtem przybyli doń gońce z kraju i zażądali, aby wracał natychmiast: „Nie czas obecnie na podboje — Sparta wciągnięta jest w wojnę helleńską".

Chodziło istotnie o to, że Teby, skorzystawszy z nieobecności Agezylausza, zawarły z Atenami przymierze przeciw Sparcie. Artakserkses, dowiedziawszy się o tem, nie licząc na siłę swego oręża, wyprawił do Hellady swych pełnomocników z workami złota, aby wzmocnić nieprzyjaciół Sparty, w których widział swych naturalnych sprzymierzeńców. Nie było to przekupstwem, lecz wspólnem przedsięwzięciem, w którem Grecy mieli uczestniczyć wojskiem, Persowie zaś — pieniędzmi. W Tebach, w Koryncie, w Argosie posłowie perscy znaleźli posłuch; niestety, pokusie nie oparły się też i Ateny, gdy zaproponowano im odbudowanie «długich murów» Temistoklesa, łączących stolicę z Pireusem, warunku i rękojmi hegemonji morskiej. W ten sposób wciągnięto Spartę w wojnę helleńską.

Agezylausz wpadł w rozpacz; taki wieniec piękny gotował Helladzie, — i sami Hellenowie go rozszarpują. „Oto — powiedział z goryczą, wskazując obecnym na leżącą przed nim perską monetę złotą z rysunkiem łucznika, — tysiącami takich łuczników wygania mnie Artakserkses z Azji." Ale cóż było począć? Wypadło wrócić do Grecji.

Udało mu się chwilowo sprawę Sparty podźwignąć, lecz na to, aby toczyć wojnę podwójną — i przeciw

Persji, i przeciwko Grekom—ojczyzna jego była za słaba. Wypadło Sparcie wybierać między pożytkiem Hellenów a własnym. Agezylausz całą potęgą swego wpływu wspierał politykę helleńską, lecz położenie jego było beznadziejne. I oto, Sparta wyprawia do króla Persji jego wroga Antalkidasa z prośbą, aby zmusił Hellenów do zawarcia między sobą pokoju: podstawą pokoju ma stać się wolność wszystkich gmin greckich, za pośrednictwo zaś w rokowaniach królowi oddawano Jonję. Nie odrazu osiągnął cel; przez lat kilka jeszcze ciągnęła się ponura wojna; wreszcie, w r. 387 zawarto haniebny pokój, który słusznie nosi miano swego twórcy i nazywa się pokojem Antalkidasa. Odtąd Jonja, która w ciągu bez mała stu lat cieszyła się wolnością, znów stała się prowincją, podległą królowi perskiemu.

Od tej chwili niema już w Helladzie polityki helleńskiej; każda gmina myśli tylko o sobie. Sparta nie bez utajonej rachuby kładzie nacisk na «wolność» wszystkich gmin: z pośród wszystkich gmin oddzielnych była najsilniejszą, gdyż współzawodniczące z nią Teby zasadzały potęgę swą na tem, że były głową związku beockiego. Na mocy pokoju Antalkidasa związek ów rozprzęgnięto; Sparta wszakże nie ufała Tebom, wiedząc, że nie porzucają one myśli o jego odbudowie. I oto, aby dopełnić dzieła rozpoczętego, wódz spartański nagłym napadem opanował twierdzę tebańską, słynną Kadmeję (r. 382).

Jednakowoż Sparta omyliła się w swej rachubie; swym zdradzieckim napadem nie tylko nie osiągnęła celu zamierzonego, lecz naodwrót, pogrzebała go, a wespół z nim i siebie samą.

Tebańczycy naogół nie cieszyli się szacunkiem w świecie greckim; istniało mniemanie, że ciężkie, wilgotne powietrze ich urodzajnej równiny odbijało się niekorzystnie na ich zdolnościach umysłowych. Wszelako teraz właśnie wśród nich był jeden, łączący w sobie niepospolity umysł i bohaterską waleczność z surową rzetelnością i gorącem umiłowaniem ojczyzny: był to Epaminondas. Dzięki spiskowi partji patrjotycznej, którego on był kie-

rownikiem, oraz poparciu Aten, które odpłaciły sąsiadom wdzięcznością za pomoc, wyświadczoną niegdyś Trazybulowi, — Kadmeja została oswobodzona. Wkrótce potem związek beocki odbudowano; gdy zaś Sparta, powołując się na pokój Antalkidasa, zażądała, aby Teby uwolniły miasta beockie, — Epaminondas odrzekł: «Naprzód wy uwolnijcie Messenję».

Tak owo widmo prastarej winy raz jeszcze w całej pełni stanęło przed winowajczynią. Rokowania przerwano; Sparta wyprawiła do Beocji wojsko, aby ostatecznie uśmierzyć nowego przeciwnika — napróżno. Epaminondas na głowę rozgromił Spartan w bitwie pod Leutrami (r. 371). Był to kres hegemonji spartańskiej.

Gminy Grecji Środkowej (prócz Aten) przyłączyły się do Epaminondasa; sam Peloponez uległ rozpadowi. Epaminondas ruszył do Arkadji, stąd do Lakoniki... Z trudem wierzono, że zdarzyć się to mogło. Sparta pyszniła się tem, że „ani jedna Spartanka nie widziała dymu nieprzyjacielskiego"; gdy razu pewnego jakiś Ateńczyk zrobił uwagę Spartańczykowi: „Nie raz pędziliśmy was od Kefisu", ów ironicznie odpowiedział: „Zato my was od Eurotasu—nigdy". Po raz pierwszy od czasów założenia doryckiej Sparty zbrojna siła nieprzyjaciół ukazała się na brzegu Eurotasu.

Miasto samo nie zostało zdobyte; uratował je stary Agezylausz, raz jeszcze objąwszy dowództwo nad wojskiem swego kraju. Zato Epaminondas ogłosił wezwanie, ażeby wszyscy heloci messeńscy zbierali się wokół niego. U podnóża sławnej Itomy, gdzie tak często szukali schronienia ich przodkowie, założył dla nich stolicę, która otrzymała nazwę Messeny. Tak, nareszcie, dokonało się wyzwolenie Messenji (r. 369) — odkupienie starodawnej winy. Testament Arystomenesa nie był zapomniany w dniach najcięższej niewoli; pamiętano, gdzie zakopał on rodzimą świętość, zadatek zapowiedzianego odrodzenia męczeńskiej krainy. Teraz, po trzystu latach, wydobyto ją z wiernej kryjówki—i na zasadzie jej przywrócono w dawnej stolicy Andanji obrzędowość misterjów

Demetry i Kory. Dokument, dotyczący tego aktu, zachował się do naszych czasów.

Sprawa Epaminondasa odniosła tryumf: Sparta nie zdołała ponownie ujarzmić Messenji. Próżno zebrała swe ostatnie siły, aby raz jeszcze stoczyć bój o władzę: Epaminondas po raz drugi pobił ją pod Mantyneją: (362 r.) — co prawda, zwycięstwo to okupił śmiercią.

Utrata Messenji pociągnęła za sobą ruinę całego ustroju politycznego Sparty; pozbawieni nadziałów messeńskich, obywatele jej zubożeli i już nie byli w możności pełnienia tych obowiązków, których domagało się od nich ustawodawstwo Likurga. Tebom nie udało się zająć ich miejsca: po śmierci Epaminondasa nie miały już Teby wybitnych mężów stanu. Hellada rozpadła się na dużą liczbę gmin samodzielnych; zjednoczyć je, stworzyć z nich jedno państwo helleńskie okazało się niemożliwością.

41. PLATON I AKADEMJA

Gdy Sokrates umierał w więzieniu ateńskiem latem r. 399, nie wszyscy uczniowie jego mogli być obecni przy ostatnich chwilach mistrza. Zpośród wybitnych jeden, Ksenofont, nie zdążył jeszcze wrócić z awanturniczej wyprawy, która zaprowadziła go w głąb Azji; drugi był w Atenach, lecz choroba na czas pewien przykuła go do łoża. Tym drugim był Platon.

Wtenczas nie miał jeszcze lat trzydziestu: urodził się w samym początku wojny Peloponeskiej, w r. 427. Jako syn bogatej i arystokratycznej rodziny, mógł wedle własnego upodobania wybrać sobie pole działalności; wyposażony od natury fantazją twórczą, nadto zaś pozyskawszy w wykwintnem kółku, w którem się obracał, umiejętność wymowy ozdobnej, subtelnej i barwnej, zrazu poświęcił się poezji tragicznej. Przypadek atoli kazał mu spotkać się z Sokratesem: jemu, bogatemu młodzieńcowi, ubranemu wytwornie, z nim, półżebrakiem, odzianym w stale ten sam wytarty płaszcz; — i ten to przypadek, spotkanie, rozmowa, rozstrzygnęły o dalszem jego

życiu. Wróciwszy do domu, spalił napisane przez siebie tragedje; odtąd jeden tylko istniał dlań bohater, Logos.

I był to, zaprawdę, bohater tragiczny; «Sternik kieruje okręt swój obok skał pobrzeżnych, wśród głazów podwodnych ku przystani», — ze sternikiem tym daje się porównać każdy człowiek żyjący, jednakowe są warunki dla życia i dla żeglugi,—tak uczył Sokrates, i miał słuszność, niewątpliwą słuszność. Spróbujmy zagłębić się w to porównanie. Oto jeden sternik: trzyma ster prosto ku przystani, chce do niej dotrzeć, ale wiatr i fale silniejsze są od niego; wbrew jego woli kierują okręt jego z wiernego nurtu ku skałom nadbrzeżnym, i jeśli bóg jakiś nie da mu ratunku, rozbije się o głazy. Takiego sternika nazywamy złym: nie daj boże, abyśmy mieli zawierzyć życie jego sztuce! — A oto drugi: i ten prawidłowo nastawił ster ku przystani — lecz nagle, niewiadomo dlaczego, zmienia kierunek, skręca wprost na skały brzegowe. «Co robisz?» Lecz on, zaufany w sobie, śmieje się z naszego strachu: jeden potężny zwrot sterowego wiosła i — przesunęliśmy się mimo skał, i znów płyniemy środkiem niezawodnego nurtu. Sternik dobrowolnie zmienił kierunek okrętu i dobrowolnie go naprostował. I takiego sternika nazywamy dobrym. — A więc i w życiu jest to samo? Lecz w życiu skręcanie z drogi prawdy nazywamy błędem, grzechem, przestępstwem. Wypadałoby z tego, że ten, który dobrowolnie dopuszcza się grzechu, bywa lepszy od tego, który grzeszy mimowoli, że dobrowolny zabójca, naprzykład, lepszy jest od mimowolnego. Lecz skoro tak, to dlaczego pierwszego skazujemy na karę, drugiego zaś uniewinniamy? Coś tu, widocznie, postawione jest niewłaściwie, ale co mianowicie?

Rzecz zrozumiała, że Platon zwracał się z tem pytaniem do swego nauczyciela Sokratesa; od niego wszakże odpowiedzi prostej nie otrzymał. «Albo-ż ja wiem? Albo-ż ja mówię, że wiem cokolwiek? Niedarmo jestem synem akuszerki: jej sztukę odziedziczyłem i ja. Nie rodzę ja myśli sam, tylko innym pomagam ją urodzić». I Platon

przekonał się, że jemu wypadnie samemu budować gmach moralności rozumnej na gruncie, oczyszczonym przez jego mistrza, uzupełnić pozytywnemi wynikami jego pracę przeważnie negatywną. I Platon to uczynił; tem zaś, że to uczynił, usprawiedliwił Sokratesa. Ten ostatni jest przeto właśnie tak wielki, że natchnął Platona. Samo przez się byłoby lepiej pozostawić ludziom ich moralność instynktowną, niż ją odbierać im, nie dając wzamian moralności świadomej i rozumnej.

Ale osiągnięcie tego celu wymagało czasu i pracy usilnej; życie stawiło tymczasem swe żądania, kłopoty, przeszkody. Gdy na głowę mistrza zwaliła się burza, pobyt w Atenach przestał być bezpieczny także i dla jego uczni, zwłaszcza dla Platona, który nawet spokrewniony był z Krytjaszem i innymi przeciwnikami demokracji. Na szczęście, jeden z uczni Sokratesa, Euklides, był obywatelem sąsiedniej Megary; ten wspaniałomyślnie oddał swój dom do rozporządzenia kolegów. Wśród nich skorzystał też i Platon z jego gościnności. Jednakowoż był to dopiero początek. Niekrępowany względami materjalnemi, niezwiązany już więcej z Atenami osobą swego byłego mistrza, udał się w podróż. Śladem Pitagorasa i on odwiedził Egipt, przyjaźnie podówczas usposobiony dla Hellenów; wiekowa stateczność życia egipskiego, tak jaskrawo odbijająca od gorączkowej zmienności greckiego a zwłaszcza ateńskiego, wywarła na nim głębokie wrażenie. Po Egipcie—Cyrena, po Cyrenie—Tarent italski, ówczesna stolica zakonu pitagorejskiego, rządzona przez jednego z największych pitagorejczyków wszech czasów, Archytasa. Było to doświadczenie niezapomniane: gdy Platon stawił później żądanie, ażeby bądź filozofowie bywali powoływani do rządów nad miastem, bądź władcy zasięgali rad filozofji, niewątpliwie myślał o Archytasie. Ale było to jeszcze nie wszystko: wśród pitagorejczyków rozkwitały studja matematyczne, i sam Archytas był wynalazcą owej stosowanej gałęzi wielkiej nauki, która poglądowo, urzeczywistniając w praktyce wyniki jej wyliczeń teoretycznych, bezpośredniem, dotykalnem doświad-

czeniem stwierdzała ich słuszność, — mechaniki. Z Tarentu okręt zawiózł Platona do ówczesnej stolicy Zachodu greckiego, Syrakuz. Ten atoli gród wielki pozostawał wtenczas pod władzą tyrana, mrocznego i nieufnego Dyonizego I. Nawykły do wolności słowa Ateńczyk nie mógł nie wzbudzić przeciwko sobie jego gniewu; gniew ten wzmógł się jeszcze bardziej od bezgranicznego szacunku, jaki żywił dla przybysza własny jego siostrzeniec i zięć, Dion. I oto Dyonizy daje posłowi spartańskiemu, który na dworze jego gościł, zlecenie, aby niepostrzeżenie przyprawił Platona o zgubę; ów, wziąwszy go na swój okręt, wysadza go na wyspie Eginie, pozostawiając dalszy los jego owej nienawiści, z jaką Egińczycy, odpłacając za dawne krzywdy, traktowali Ateńczyków. Rachuba okazała się słuszna: pochwyciwszy Platona, Egińczycy postanowili sprzedać go na targu niewolników. Na szczęście, w Eginie przebywał wtenczas bogaty Cyrenejczyk Anikerys, który znał Platona z odwiedzin tegoż w jego mieście rodzinnem Cyrenie. Kupił on Platona — oczywiście, aby natychmiast zwrócić mu wolność. Taki był niewiarogodny wynik podróży Platona: po dwunastoletniem wędrownem życiu, spędzonem w przyjacielskiem obcowaniu z mędrcami i władcami, Platon, jako wyzwolony niewolnik, powrócił do kraju.

Było to w r. 387, gdy osiągnął lat 40: niestrudzony aż do tej chwili uczeń, teraz dopiero uważał siebie za dojrzałego ku temu, aby uczyć innych. Jego przyjaciele ateńscy zebrali pokaźną sumę, aby zwrócić Anikerysowi koszty wykupienia Platona; gdy ten, w szlachetności swojej konsekwentny, zrzekł się przyjęcia sumy, postanowiono użyć jej na kupno ziemi dla nowej szkoły. Ale gdzie ją założyć? Nie w samem mieście, zbyt hałaśliwem i niespokojnem, ale i niezbyt odeń daleko. Zatrzymano się na gaju «herosa» Akadema, tym samym, który uświęcony był obrzędowością Wielkich Dyonizjów. Niegdyś, dzięki hojności Kimona, gaj ten zmieniono w park podmiejski ze stawami, alejami i kwietnikami, szczególniej uroczy w porze wiosennej. Tu założył Platon swoją

szkołę; była to słynna jego Akademja, która przetrwała chwalebnie dziewięć stuleci i przekazała imię swe różnorodnym a jednak pokrewnym instytucjom naukowym czasów nowożytnych.

W założeniu Akademja była czemś w rodzaju bractwa religijnego, poświęconego kultowi Muz i Charyt: boginie te słynęły jako inspiratorki, pojące myśl ludzką mądrością treści i pięknością formy, i służono im nietyle składaniem ofiar, ile dziełami Logos'u.

Platon jął tedy nauczać: ale czego uczył i jak? Czy znalazł wyjście z zaułka, w którym zabłąkała się jego myśl młodzieńcza?

Znalazł je, zagłębiwszy się w treść samej sprawiedliwości, czyli, co jest prawie tem samem, w treść samej cnoty. Ludzie, patrzący na rzeczy powierzchownie, wysławiają władzę ponad wszystko, wyobrażając sobie, że daje ona człowiekowi szczęście; Platon atoli z nazbyt bliska przyjrzał się władzy Dyonizego syrakuzańskiego i jej szczęściu, aby dać się uwieść. Nad głową tyrana widział on ustawicznie wiszący symboliczny miecz Damoklesa. Wszelako Platon zajrzał w duszę posępnego władcy jeszcze głębiej, niźli on sam. Nietylko niebezpieczeństwa zewnętrzne zatruwały jego życie — jeszcze okropniej truł je żrący robak wewnętrzny niezadowolenia z siebie, nieufności, wyrzutów i niepokojów sumienia. Obok zaś tego władcy mrocznego stawił on świetlaną postać Archytasa z Tarentu, otoczonego miłością powszechną, męża prawego i sprawiedliwego, — i pytanie co do tego, co czyni człowieka szczęśliwym, rozwiązywało się samo przez się.

Czem dla ciała jest zdrowie, tem dla duszy jest cnota, uczył Platon. Ludzie zazwyczaj człowieka cnotliwego nagradzają miłością: dobrze; bogowie nagradzają go swą łaską: jeszcze lepiej. Ale najlepsza jest ta jasność wewnętrzna, to błogie samopoczucie, którem cnota sama nagradza człowieka cnotliwego; na tem właśnie polega jego szczęście. Człowiek cnotliwy będzie przeto zawsze szczęśliwszy od grzesznika; tak uczył Platon,

ku zdumieniu wielu niewtajemniczonych słuchaczy, wciąż jeszcze uważających za coś pozytywnego ową zewnętrzną, pozłacaną pomyślność przestępcy, który do bogactwa lub władzy doszedł przez zbrodnię. Lecz on nie dał się zbić z tropu ich wyrazom zdumienia i szedł dalej, wywołując jeszcze głośniejsze protesty:... „a zpośród dwóch grzeszników ten, który poniósł karę za swe grzechy, szczęśliwszy jest od tego, który pozostał bezkarny". Wniknijcie w treść tej wzniosłej nauki: przekonacie się, że szczęście człowieka jest niezależne od warunków zewnętrznych, w których życie jego upływa; przekonacie się, że — jak głosi późniejsza heroiczna formuła mądrości, pochodzącej od Sokratesa, — że cnota wystarcza dla szczęśliwości życia.

Na tem polega istota filozofji moralnej Platona, jego wielkie odkrycie, jego wielka w obliczu ludzkości zasługa. On wszakże poszedł jeszcze dalej i stworzył wokół tego jądra myśli prawdziwej obsłonkę przypowieści, jeśli nie tak bezwzględnie prawdziwej, to przecie tak czarującej w swem pięknie, że i dziś jeszcze nie jesteśmy w możności oprzeć się jej czarom. W istocie: cóż to jest cnota, sprawiedliwość, piękno—nie w swych przejawach, nie w swem działaniu na człowieka, ale same w sobie? Podług nas są to pojęcia oderwane — tak później, jak zobaczycie, myślał Arystoteles, tak nauczył on myśleć i nas. Lecz Platon pozostawał jeszcze pod urokiem pięknej religji swego ludu. Tam, na Akropolu stała na występie Propilejów biała, marmurowa świątynia Zwycięstwa; kto modlił się w niej, czyż słał modły do abstrakcji, do oderwanego pojęcia? Nie, oczywiście: Zwycięstwo było dlań boginią. A gdy Hezjod mówił o Prawdzie, córze Zeusowej, skarżącej się swemu ojcu niebieskiemu na nieprawość ludzką — czyż wyobrażał sobie tę Prawdę, jako abstrakcję, jako pojęcie? Rzecz jasna, że nie! Prawda była i dla niego boginią. Lecz Platon był filozofem, był myślicielem; dla niego cnota, sprawiedliwość, piękno nie były już boginiami, ale jeszcze nie były też i pojęciami; było to coś pośredniego, lecz coś realnego, nie zaś

abstrakcyjnego — wedle jego mianownictwa, były to idee. Wzrokowi śmiertelnemu są one niedostępne; wszelako w powłoce śmiertelnej przebywaliśmy nie zawsze i nie zawsze w niej przebywać będziemy.

Znaczy to: nie zawsze w niej przebywały i przebywać będą nasze dusze; Platon kładzie na to nacisk, piętnując przesąd gminny, utożsamiający «nas» z naszemi ciałami. A czem-że jest nasza dusza? Opisać ją trudno, lecz przyrównać można do skrzydlatego rydwanu, kierowanego przez woźnicę i zaprzężonego w parę rumaków. Woźnica—to Rozum; z rumaków jeden, szlachetny, to Wola — drugi, nieszlachetny, to — Pożądliwość. Przed swem wcieleniem dusze zamieszkują w niebiosach, w przybytku bogów, i uczestniczą w ich objeździe przestrzeni niebieskiej, przybytku idej. Oglądanie owych idej to — karm nieśmiertelności. Bogowie ją spożywają bez przeszkód; dzięki temu właśnie są nieśmiertelni i wiecznie szczęśliwi. Ale dusze borykać się muszą z przeszkodami: rumak - Pożądliwość ciągnie rydwan wdół ku światu zmysłowemu, nie pozwalając woźnicy - Rozumowi przez czas dłuższy napawać się oglądaniem idej. I szczęśliwe są dusze, którym udało się pokonać opór niesfornego rumaka! Inne tracą swoje skrzydła i upadają na ziemię. Tutaj następuje ich wcielenie. Te wśród nich, którym moc Pożądliwości nie pozwoliła nic dojrzeć w świecie nadniebnym, pozbawione są chęci wyrwania się ze swej doli zwierzęcej i, po spędzeniu w niej życia człowieczego, przewcielają się też w rzeczywiste ciała zwierzęce. Te wszakże, które zachwyciły choć odrobiny nadniebnego widoku, już nie zdolne są o nim zapomnieć doszczętnie: ponosi ich tęsknota. Tęsknota owa wzmaga się zawsze, ilekroć spotykają one na ziemi odbicie idei niebiańskiej; najsilniej zaś działa na nas odbicie tej idei niebiańskiej, którą postrzegamy wzrokiem, najbystrzejszym ze wszystkich narządów zmysłów; jest nią idea piękna. Odbicie jej w ludziach pięknych wywołuje najpotężniejszą tęsknotę za przybytkiem niebieskim, ową miłość, pod której urokiem dusza odzyskuje utracone

skrzydła i znów staje się zdolna ku temu, aby wzlecieć do swego przedwiecznego przybytku, do niebios.

Wszelako, dopóki żyjemy na ziemi, obowiązani jesteśmy wykonywać przygotowawcze prace ziemi, starając się stworzyć warunki, w których wychowanie człowieka w cnocie dałoby się jak najrychlej uskutecznić; ogół warunków tych nazywamy państwem — etyka osiąga swe dokonanie w polityce. Wychodząc z wymagań moralności, Platon naszkicował plan państwa idealnego. «Czyń każdy, co do ciebie należy»—oto hasło sprawiedliwości. Zarząd i ochrona—to jedna sprawa; praca wytwórcza—druga; łączyć ich nie można. To zarysowywa podział obywateli na trzy kategorje: rządzicieli, ochraniaczy, wytwórców; nietrudno przekonać się, że odpowiadają oni trzem częściom duszy, Rozumowi, Woli i Pożądliwości. Ideałem pierwszych jest mądrość, ideałem drugich—męstwo, ideałem trzecich—wstrzemięźliwość (sôphrosynê); nad wszystkiemi trzema kategorjami jednako panuje ogólny dla wszystkich ideał sprawiedliwości; są to cztery zasadnicze (kardynalne) cnoty etyki Platona. Co zaś do trzech kategoryj społecznych, to Platon oddaje wytwórcom wszystkie dobra ziemskie, związane z bytem rodzinnym i własnością prywatną — i, nie mając o nich do powiedzenia nic istotnego, pozostawia ich na boku. Co do rządzicieli i ochraniaczy, to w stosunku do nich należy rozwiązać trudne zadanie, — ażeby, mając w ręku pełnię władzy, używali jej nie dla własnej korzyści, lecz dla dobra rządzonych i ochranianych, i poprzestawali na życiu surowem, trudnem, bogatem w dobra wewnętrzne, nie zaś powierzchowne, na życiu, które wyznacza im sprawiedliwość, z jego bytem społecznym, bez rodziny, bez własności prywatnej. Cóż ich ku temu przysposobi? Naprzód, dobre urodzenie, — Platon zdawał sobie w pełni sprawę co do jego konieczności,—i powtóre,—odpowiednie wychowanie.

Minęło dwadzieścia lat nauczycielstwa Platona w jego Akademji, gdy zaszły zdarzenia, które pozwoliły mu powziąć nadzieję co do ziszczalności jego państwa ideal-

nego: Dyonizy I umarł, i tron w Syrakuzach zajął syn jego, Dyonizy II (r. 367). Młodszy władca, w przeciwieństwie do ojca, zdawał się być pełen entuzjazmu i szlachetnego zapału; ponadto, rzeczą pocieszającą była władza, którą miał nad nim szwagier jego, wyżej nadmieniony Dion, płomienny czciciel Platona. Pod wpływem tych nadziei, filozof podjął swą drugą podróż do Sycylji Nadziejom tym nie sądzono było się ziścić. Z początku rzeczywiście władał on duszą młodego tyrana; nie był to wszakże wpływ długotrwały. Pochlebstwo dworskie pełniło swą cichą, zgubną robotę i wreszcie poróżniło szwagrów: Dion został wygnany. Platon, jakkolwiek otoczony szacunkiem, opuścił dwór syrakuzański. Powrócił raz jeszcze w nadziei, że uda mu się pojednać zwaśnionych szwagrów; skoro zaś pojednanie nie doszło do skutku, Platon ostatecznie oddał swą pracę Akademji. Nauczony doświadczeniem, uznał nieziszczalność swego państwa idealnego na ziemi i przedłożył współczesnym i potomnym plan państwa drugiego co do wartości — ten plan, który został przezeń naszkicowany w drugiem jego obszernem dziele, w «Prawach».

Tak, i potomnym. Platon nie poprzestawał, jak mistrz jego, na nauczaniu tylko ustnem: władając niepospolitym talentem literackim, stał się on filozofem-pisarzem. Zachowywając święcie tradycję sokratesowską, jako formę nauczania pisemnego obrał d j a l o g; we wszystkich, oprócz ostatniego, — występuje jako osoba działająca Sokrates, współrozmówca zaś jego, lub jeden ze współrozmówców, jeśli było ich kilku, nadaje djalogowi swe imię. Aby wyposażyć djalog w barwę życia, wypadało opisać środowisko; początek przeto, a niekiedy i koniec rozmowy stanowią t. zw. ramy jego treści filozoficznej. Ramy te same przez się tworzą prześliczne scenki rodzajowe, zapoznające nas z intymną, w najlepszem tego słowa znaczeniu, stroną życia ateńskiego z epoki sokratesowskiej, i życia samego i społeczeństwa, które je wytwarzało.

Szkoła Platona w największej czci przechowywała dziedzictwo swego mistrza: ocalało ono w całości. Gurpę

odrębną, niedużą lecz cenną, stanowią w niem te dzieła, w których bezpośrednio odtworzony jest schyłek życia Sokratesa: «mowa obrończa» (apologja), «Kryton» z uchyloną przezeń propozycją ucieczki z więzienia i szczególniej «Fedon»—o nieśmiertelności duszy—z niezapomnianym opisem ostatnich godzin i śmierci mędrca. Zpośród innych djalogów wyodrębniają się wcześniejsze, w których zawiera się to, co można nazwać «polowaniem logosu na pojęcie»: «Eutyfron» czyli o pobożności, «Laches» czyli o męstwie, «Charmides» czyli o skromności (sôphrosynê; słowo to wypada tłumaczyć rozmaicie i zawsze niedokładnie); do tejże grupy należy i «Hippjasz Młodszy», zapewne najważniejszy, zawierający obraz owego zaułka ślepego, od którego zacząłem swój szkic o rozwoju Platona. W djalogach tej grupy rozmowa nie zawsze prowadzi do określonego wyniku: zazwyczaj nawet pojęcie umyka od logosu. Jednakowoż nie umniejsza to ich znaczenia: poza przyczynkami do charakterystyki metody sokratesowskiej otrzymujemy także cenne rezultaty częściowe, wynagradzające brak rzeczy głównej. Największą wszakże uciechą dla światłego czytelnika są to t. zw. djalogi literackie, najwidoczniej pochodzące z pierwszych dwudziestu lat działalności Platona w Akademji: «Gorgjasz» (o moralności), «Fedros» (o ideach), «Uczta» (o miłości), w szczególności zaś obszerna «Rzeczpospolita» (w 10 księgach). Bardziej specjalne zainteresowania budzą djalogi ostatnich jego lat dwudziestu, po ostatniej podróży jego na Sycylję, zaczynając od «Teeteta» (o poznaniu) i kończąc na ostatniem obszernem dziele «O prawach» (w 12 ks.); do tej samej jednak grupy należy jego «Tymeusz», wzniosła przypowieść o stworzeniu świata, i jego «Krytjasz», zaciekawiający wszystkich opisem tajemniczej Atlantydy.

Platon umarł jako starzec 80-letni w r. 347, trwale ustaliwszy swą Akademję, jako żywe i na późniejsze czasy ogniska swej filozofji: pod schyłek stulecia stała się ona instytucją państwową, co zapewniło jej żywotność także i w wiekach następnych. W okresie począt-

kowym tradycja pierwszego mistrza trzymała się mocno; jednakowoż od trzeciego wieku poczynając, dzięki Arkezylajowi, zaszczepił się w niej duch zwątpienia co do możliwości wiedzy, duch, który groził podkopaniem gmachu całej pozytywnej filozofji założyciela szkoły. Była to t. zw. Akademja średnia; istniała ona koło dwóch stuleci i stała się źródłem natchnienia, między innemi, dla Cycerona, w którego dziełach filozoficznych jeszcze czuje się zapał i zadzierżystość tego średnioakademickiego protestu. Z końcem wszakże wieku I przed Nar. Chr. nowy przewodnik Akademji, Antjoch z Askalonu, ponownie wprowadza ją w dawne łożysko pozytywne; zainicjowana przezeń t. zw. nowa Akademja dąży w działalności swej nietyle do rozwijania filozofji założyciela, ile do jej interpretowania, do tego, aby pozostawała w stałym, ścisłym związku z świadomością współczesnych. W pracy tej upłynęły jeszcze trzy stulecia. Lecz oto i do Aten zawitało światło, zapalone w Egipcie, a potem i w Rzymie przez Ammonjusza i ucznia tegoż Plotyna; stworzony przez nich «neoplatonizm» podkreślił w nauce jej stronę mistyczną i ekstatyczną: zalecał wyznawcom swoim zagłębianie się w sobie gwoli osiągnięcia spójni duchowej z bóstwem, zamiast mowy przekonywającej ogłaszał skupione «milczenie» za źródło poznania. Pod znakiem neoplatonizmu filozofja antyczna stoczyła swe ostatnie bitwy z umocnionem chrześcijaństwem, które, jednakże, i samo nie uniknęło jego wpływu. Tak minęły jeszcze trzy stulecia, dopóki w r. 529 cesarz Justynjan wraz z innemi szkołami filozoficznemi w Atenach nie zamknął też i Akademji, jako ostatniej twierdzy «pogaństwa».

Odtąd Platon oddziaływa na nas jedynie swemi utworami; działanie to wszakże jest dostatecznie potężne po dzień dzisiejszy. Nie wszyscy przygotowani są po temu, aby go doznać na sobie. Lecz dusze, które niezupełnie jeszcze zapomniały o swej ojczyźnie niebieskiej, widziały w nim zawsze i zawsze widzieć będą natchnionego mistrza swej tęsknoty świętej — tego, z którym w obcowaniu najrychlej zdołają uczuć ową miłość mi-

styczną, rękojmię przyszłego wzniesienia ku przybytkowi światła wiekuistego.

42. SKOPAS I PRAKSYTELES

W owym czasie, gdy Fidjasz i współpracownicy jego, rzeźbiarze, dawali ludowi swemu wypukłe wyobrażenia bogów, malarstwo dążyło do tego, aby stwarzać na płaszczyźnie wrażenia takiej samej wypukłości, mile uwodząc oko. Nie odrazu stawiło ono przed sobą to zadanie: pierwszy wybitny malarz Polignot, współczesnik i przyjaciel Kimona, jeszcze bez żadnych cieniów kładł farby na białem wapnie murów. Lecz już współczesnik Peryklesa, Apollodor, usiłował współzawodniczyć z rzeźbą, odtwarzając wraz z przedmiotami także i ich cienie. Wielu z pośród współczesnych nowatorstwo także wydało się rzeczą dziką; żartobliwie przezwali Apollodora «malarzem cieniów», on jednakże upierał się przy swojem, przeświadczony, że utorował ścieżkę tym, którzy przyjdą po nim. I okazało się, że miał słuszność. Dwaj najwybitniejsi jego zwolennicy byli to malarze z czasów wojny Peloponeskiej, Zeuksis i Parrasios, współzawodniczący między sobą w tak naturalnem odtwarzaniu przedmiotów, aby można było wziąć je za prawdziwe. Taki kierunek w malarstwie nazywamy illuzjonizmem. O zdobyczach ich na tem polu świadczy następująca opowieść. Razu pewnego posprzeczali się obaj, kto w swem malowidle bardziej zbliży się do natury. Zeuksis odmalował grono winne tak dobrze, że wróble sfrunęły, aby dziobać jagody. Już był pewien zwycięstwa; „a ty, spytał swego współzawodnika, coś namalował?" Parrasios dobył ze swej pracowni obraz pod zasłoną. „Proszę, uchyl zasłony", drwiąco rzekł Zeuksis, byśmy i my także mogli zachwycić się twoim obrazem". Lecz Parrasios tylko się zaśmiał: malowidło przedstawiało właśnie zasłonę. Teraz Zeuksis uznał, że jest zwyciężony: „ja — rzekł — zwiodłem tylko wróble, Parrasios zwiódł mnie".

Obecnie, pod schyłek wieku V, malarstwo zrównało się z rzeźbą i osiągnęło najwyższy rozwój w odtwarzaniu zrównoważonego, że tak powiemy, stanu przedmiotów. Nastręczało się atoli pytanie, czy w ten sposób wszystko już zostało osiągnięte, czyli też możliwy był dalszy postęp. I tu olbrzymie znaczenie zyskała rozmowa, jaką toczył razu pewnego Sokrates z nadmienionym wyżej malarzem, Parrasiosem, rozmowa, świadcząca o zdumiewającej przenikliwości mędrca ateńskiego także i w rzeczach sztuki. „Nieprawda-ż", mówił Sokrates, „malarstwo jest to odtwarzanie widzialności; płaskie i wypukłe, ciemne i jasne, szorstkie i miękkie, chropawe i gładkie, starcze i młodzieńcze w ciałach — wszystko to oddajecie w barwach, naśladując w ten sposób rzeczywistość?" — „Masz słuszość", odrzekł malarz. — „I gdy staracie się odtworzyć piękno, zważywszy, że w jednym człowieku nie można znaleźć zespołu wszystkich doskonałości, zbieracie z rozmaitych wzorów to, co w każdym jest dobre, i w ten sposób tworzycie całość piękną?" — „Tak rzeczywiście czynimy", odparł malarz. — „No, a to, co najbardziej nas przekonywa, co nam się podoba, budzi w nas i miłość, i tęsknotę i zachwyt — czy odtwarzacie stan d u s z y? Czy też nie jest on możliwy do odtworzenia?" — „Lecz jakże", odparł ten, „można odtwarzać to, czego nie da się wymierzyć, co niema ani barwy, ani czegokolwiek z tego, co wymieniłeś przed chwilą, czego nawet widzieć niepodobna?" — „A czyż nie zdarza się, że człowiek życzliwie lub wrogo spogląda na drugiego?— „Sądzę, że tak".— „Ależ to chyba można oddać w wyrazie oczu?" — „Można, i owszem". — „Porównaj potem twarze, biorące udział w niedoli i w radości przyjaciół — czy podobne są do siebie?" — „Nie, oczywiście; w pierwszym wypadku są zasępione, w drugim rozjaśnione". — „A tego czyż niepodobna odtworzyć?" — „Można w zupełności". — „A przecież i wspaniałomyślność i szlachetność z jednej strony, nikczemność i nieszlachetność z drugiej, również i skromność i umiar z jednej strony, zuchwalstwo i swawolę z drugiej — wszystko to



ESCHINES

także odbija się w naszych twarzach i na postawie oraz na ruchach ludzi?" — „Masz słuszność". — „A więc i to także może być odtworzone?" — „Bezwarunkowo". — „A które wizerunki", kończył Sokrates, „więcej, zdaniem twojem, czarują ludzi, czy te, w których zaklęty jest charakter piękny, dobry i miły, czy naodwrót — szpetny, niegodziwy, niemiły?" — „Różnica olbrzymia, Sokratesie".

Rozmowa ta, zachowana do naszych czasów przez Ksenofonta w jego «Wspomnieniach o Sokratesie» (ks. III, rozdz. 10), stoi na rubieży dwóch epok, piątego i czwartego wieku. Przedstawić życie duszy — oto zadanie, które ustępujący wiek piąty przekazał swemu następcy, czwartemu. Życie duszy, atoli, ujawnia się w tak zwanych afektach, które mogą być dwóch rodzajów: bądź silne i gwałtowne, bądź słabe i łagodne. Pierwsze wśród Hellenów nazywały się pathê—dosłownie przekładamy to słowo przez «namiętności», lecz prócz tego zachowaliśmy i słowo greckie w formie «patos», «patetyczny». Drugie w języku ich nazywały się êthê — my odpowiedniego terminu nie znamy, i mimowoli zmuszeni jesteśmy posługiwać się słowem greckiem i rozróżniać «patos» i «etos», «patetyczny» i «etyczny». Gniew, rozpacz, zachwyt, miłość — są to wszystko namiętności, «pathê»; przeciwnie, melancholja, smutek, cicha radość, życzliwość — to «ethê».

Odtwórcami tych dwóch rodzajów uczuć stali się właśnie dwaj najwybitniejsi artyści-rzeźbiarze wieku IV; jak sztuka wieku V osiągnęła swój rozkwit najwyższy w tryumwiracie, który stanowili Fidjasz, Miron i Polikret, tak sztuka następnego tryumfuje w obu swych Dioskurach, Skopasie i Praksytelesie. Skopas był artystą patosu, Praksyteles — etosu; społem rozwiązali zadanie, o którem mowa była wyżej — zadanie plastycznego odtworzenia życia duszy.

Poprzednikiem obu był Kefizodot, ojciec Praksytelesa, ogniwo łącznikowe między wiekiem piątym a czwartym; głównym jego tworem był posąg Ireny, bogini

pokoju, zamówiony u niego przez Ateny z okazji ustanowienia kultu tej bogini w r. 375. Ocalała do naszych czasów dobra kopja marmurowa tego posągu bronzowego, przechowywana w muzeum monachijskiem. Bogini trzyma w lewej ręce niemowlę Plutosa (t. j. Bogactwo); w ten sposób wyrażona jest myśl, że pokój jest źródłem bogactwa dla kraju. Wszelako wartość artystyczna posągu, oczywiście, polega nie na tej myśli, i nawet nie na przepysznej draperji, jakkolwiek ta bodaj nasamprzód zatrzymuje na sobie uwagę widza: nową zdobycz artystyczną czuje się w owem pełnem miłości macierzyńskiem spojrzeniu, jakiem bogini patrzy na tulące się do niej dzieciątko. Na tem polega postęp Kefizodota nawet w porównaniu z Palladami Fidjasza: dusza, widać, już się ocknęła; życie jej to łagodne, to burzliwe już nie opuści odtąd sztuki greckiej.

A przecież było to dopiero ocknięcie się do życia — nie więcej; życie samo miało przyjść później. I gdyby Ateny wieku IV były równie bogate i potężne, jak były w wieku V przy Peryklesie — jak przedziwnie rozkwitłaby ich sztuka w sensie nowego, tak wdzięcznego zadania! Lecz nie: talenty jeszcze były, ale nie znajdowały już dla siebie zastosowania w zubożałym materjalnie grodzie Pallady. Zamówienia przychodziły częściowo od poszczególnych bogaczy, częściowo zaś z zagranicy, od książąt z Azji Mniejszej, którzy nauczyli się cenić sztukę grecką i szczególniej ateńską. Ta zaś inicjatywa prywatna miała zkolei wpływ na wybór tematu. Młodzi bogowie—Apollo, Artemida, Dyoniz, Afrodyta, Eros — snadniej znajdowali dla się zbyt, niż surowe bóstwa starodawne greckiego Olimpu — Zeus, Hera, Demetra, Pallada. W zastosowaniu do nich artyści nowe rozwiązywali zadania; pociągnęło to za sobą dalszy krok ku uczłowieczeniu świata bogów.

Skopas, zresztą, był z pochodzenia nie Ateńczykiem, lecz Paryjczykiem i miał stosunki w Peloponezie: dzięki temu mógł wziąć udział w największem zadaniu architektonicznem w Grecji właściwej IV wieku — w budo-

wie świątyni Pallady w Tegei arkadyjskiej. Daleko było co do rozmiarów świątyni tej do Partenonu, — środki Tegei były skromne—był to jednak przybytek bardzo wartościowy. Skopas był jednocześnie i architektem i rzeźbiarzem. Jako architekt, połączył on w swej świątyni wszystkie trzy style kolumn, idąc dalej drogą, wytkniętą przez twórcę Propilejów: do stylu doryckiego kolumnady okalającej oraz jońskiego — wewnętrznej dodał jeszcze styl koryncki, w postaci kolumnady wejściowej. Ten styl koryncki mało różnił się od jońskiego; główną nowością były kapitele kolumn, przypominające koszyk, otoczony zielenią.

Jako rzeźbiarz, Skopas musiał zatroszczyć się o rzeźbiarskie ozdoby świątyni — o frontony, metopy, fryzy. Z jednej jego grupy frontonowej, przedstawiającej łowy kaledońskie, pozostały nam szczątki — niestety szczupłe, dające jednakże wyobrażenie o jego zakroju artystycznym i pozwalające na to, aby mówić o prawdziwym stylu skopasowskim. Jest to zakrój bardzo znamienny: sprowadza się do lekkiego odchylenia od naturalizmu, o tyle wszakże przekonywającego, że mamy prawo mówić nie o pogwałceniu, lecz o wzmożeniu natury. A mianowicie: Skopas pogłębia oczodoły, wskutek czego występuje ostry cień, od nosa i brwi rzucany na oko, ten zaś cień wzmaga wrażenie namiętności, patosu. Po tej osobliwości najłatwiej można poznać rzeźby, pochodzące ze szkoły Skopasa. On sam wyrzeźbił postać bachantki, w której zapragnął zakląć patos zachwycenia w burzliwym ruchu głowy i reszty ciała—klasyczna ilustracja do słynnej tragedji Eurypidesa. Do jego szkoły zaliczyć musimy wzruszającą grupę Menelaja ze zwłokami Patrokla: niezapomniany jest pełen wyrzutu wzrok Menelaja, wzniesiony ku niebu,—ze wzroku tego w sposób niezrównany bije patos głębokiego bólu po stracie towarzysza i druha, który poległ za jego, Menelaja, honor. Wszelako największe dzieło szkoły Skopasa — to grupa Nioby i jej dzieci, o której wypadnie pomówić niżej.

Po swej spędzonej w Peloponezie młodości Skopas przesiedlił się snadź do Aten; w każdym razie zakrój jego widoczny jest na rzeźbach wytwórczości czysto ateńskiej. W Atenach zaś z konieczności zetknąć się musiał ze swym współzawodnikiem Praksytelesem. Praksyteles był synem nadmienionego wyżej Kefizodota, twórcy Ireny. Z pośród wielkich artystów starożytności jest on rzeźbiarzem jedynym, jakiego znamy bezpośrednio dzięki ocalałemu po nim dziełu oryginalnemu—Hermesowi Olimpijskiemu, znalezionemu w ósmym lat dziesiątku wieku zeszłego przy rozkopaliskach, dokonywanych w świątyni Hery, w Olimpji. Motyw przypomina motyw Ireny; tylko, że tutaj nie matka, lecz brat starszy bawi się z dzieciątkiem; Hermes pokazuje Dyonizowi grono winne, i malec wyciąga ku niemu rączęta. Tkliwość odtworzenia i tutaj jest uderzająca, lecz jest to tkliwość braterska, żartobliwym zaprawiona humorem. Z całej grupy promienieje szczęście olimpijskie, wywołując w nas tęsknotę za tym zagasłym światem urody, z którego grupa owa przyszła do nas, jako przypadkiem ocalony zwiastun.

Rzeczywiście, Hermes Praksytelesa nie należał do jego dzieł najznakomitszych. Sam on, jeśli polegać na opowieści anegdotycznej, oddawał pierwszeństwo dwu swoim posągom, Satyrowi i Erosowi. Przez satyra należy, prawdopodobnie, rozumieć «odpoczywającego»; ocalał on, przynajmniej, w największej liczbie kopij. Jest to wcielona idylla; spokój i swoboda nocy letniej odbija się pięknie i w twarzy i w całej postawie tego syna natury, który przed chwilą snadź skończył swą grę na flecie i teraz oddycha pieszczotą otaczających go pól i lasów. Znane były wszelako i inne satyry Praksytelesa, naprzykład, «nalewający» wina z dzbana do puharu, lecz w nim śliczna linja ciała zaciekawia nas bardziej, niż życie duszy. Co zaś do Erosa, to Praksyteles znów odtworzył w nim etos, a mianowicie etos zakochania, ale cichego, marzycielskiego i także, rzec można, idyllicznego. Takiemu ujęciu Erosa odpowiada i ujęcie jego mat-

ki, samej bogini piękna i miłości, Afrodyty. Wykonał rzeźbę swą na zamówienie Knidyjczyków; «Afrodyta z Knidos» Praksytelesa otwiera sobą długi szereg klasycznych posągów tej bogini. Artysta przedstawił ją nagą, lecz nagość tę uzasadnił tem, że bogini udaje się do kąpieli; i tutaj nastrój sielankowy łączy się z wyrazem zakochania, skupionym w «wilgotnem» spojrzeniu jej oczu, zwężonych z lekka podniesioną niższą powieką. Ogólnem znamieniem typów praksytelesowskich był ów «praksytelesowski» owal twarzy, którym wyróżniały się wszystkie.

Rzecz zrozumiała wszakże, że owal ten w zupełności dawał się pogodzić także i z tym wyrazem patosu, który znamionował figury Skopasa; szkoły obu artystów dawały się łączyć i wynikiem ich połączenia było jedno z arcydzieł patetycznej rzeźby starożytnych — grupa Niobidów. Sami starożytni już nie wiedzieli, kto był jej twórcą; wymieniali, jako twórcę, i Skopasa i Praksytelesa — oczywiście dlatego, że połączyły się w niej znamiona obu. Nie wiemy dokładnie, jaki był układ jej oddzielnych postaci; w każdym razie, ośrodkiem grupy była mater dolorosa świata antycznego, sama Niobe z najmłodszą córką; ten krańcowy patos jej rozdzierającego okrzyku „choć jedną, choć tę najmniejszą mi pozostaw!" Kopij, w których zachowały się figury grup, nie można nazwać doskonałemi; olbrzymie wrażenie, jakie mimo to sprawiają, należy całkowicie za zasługę poczytać pomysłowi pierwowzoru.

Nowa sztuka znalazła dla się zastosowanie w tej dziedzinie, która w całości należy do jednego określonego etosu—etosu cichego smutku: jest to dziedzina rzeźby nadgrobnej. Śmierć w świadomości starożytnych wogóle pozbawiona była tego posmaku, który czyni ją odrażającą i straszną dla świadomości współczesnej; w owych czasach nikt nie uważał tego za rzecz dziwną, jeśli, naprzykład, wnuk pocieszał dziada albo babkę troską, jaką zamierza okazać na ich pogrzebie. Takie-ż wrażenie sprawiają na nas owe liczne pomniki nadgrob-

ne, które zachowały się z Aten wieku IV. Są to prześliczne sceny z kręgu domowego ogniska: gospodyni ze swą szkatułką, młodzieniec z jakimś ulubionym zwierzakiem i t. p. Uczestnicy nawzajem podają sobie rękę — na powitanie? na pożegnanie? — trudno orzec, ale to pewna, że wionie ku nam od tego miejsca spoczynku niezmierną ciszą ukojenia; przekonywamy się, że pocieszająca nauka misterjów eleuzyńskich przebrzmiała dla serc tych nienapróżno, że sztuka wspierała filozofję, ażeby ludziom znośną uczynić rzeczą pobyt na ziemi między obu zagadkami narodzin i śmierci.

Przy tem wszystkiem artyści, stawiąc pomniki nagrobne umarłym i nawet podpisując pod niemi ich imiona, nie dążyli ku temu, aby swe rzeźby czynić podobnemi tym, których miały uczcić: odtwarzali poprostu piękne kobiety, dziewczęta, pięknych mężczyzn, młodzieńców, starców. Taki kierunek twórstwa nazywamy idealistycznym. Lecz w jaki sposób osiągali artyści swe wyobrażenia o ideałach, które potem wcielali pracą swego dłóta? Czy brali je wprost z głowy? — Nie. Wspomnijmy słowa Sokratesa z wyżej nadmienionej rozmowy z Parrasiosem: z uwagi na niemożliwość znalezienia w jednym człowieku zespołu wszech doskonałości, artysta z rozmaitych wzorów zbiera to, co w każdym jest dobrego, i w ten sposób tworzy piękną całość. Tak postąpił, naprzykład, Zeuksis: gdy Krotończycy zaprosili go, aby stworzył dla nich wizerunek Heleny, zażądał on, aby skierowano doń szereg najpiękniejszych dziewic tego miasta, wystudjował każdą zosobna i, na zasadzie zespołu otrzymanych wrażeń, wykonał zamówienie. Ten idealizm tedy ma u podstaw swoich realizm: i taka droga do idealizmu jest jedyną drogą słuszną.

Skoro zaś artysta w dążeniu swem do idealizmu zmuszony był przejść przez pośrednią dziedzinę realizmu, nastręczała się pokusa, aby niekiedy się na niej zatrzymywać, utrwalać w marmurze lub na tablicy rysy tej osoby, która była przedmiotem studjów — t. j. innemi słowy tworzyć jej portret. Rozwój sztuki portreto-

wej w zakresie rzeźby i malarstwa jest także owocem naszej epoki; znakomite są po dzień dzisiejszy portretowe hermy (tak zwały się po grecku podobizny, dające tylko głowę i pierś na prostokątnym cokole, odpowiadające rzymskim «biustom») Peryklesa, Alcybiadesa, Eurypidesa oraz posągi Sofoklesa i Demostenesa. Można spytać, w jaki sposób rzeźbiarze potrafili tworzyć portrety ludzi dawno umarłych, w rodzaju Peryklesa albo Sofoklesa; dokładnie tego nie wiemy, wolno wszakże przypuszczać, że ich podobizny, acz nieartystyczne, przechowywały się u ich potomków, albo też na odkładanych peplosach Pallady w jej kaplicy. Wszelako i portret może być bądź realistyczny, bądź idealistyczny. Jeżeli artysta skrupulatnie odtwarza wszystkie, nawet przypadkowe, rysy modelu, każdą jego brodawkę albo zmarszczkę, powstanie portret realistyczny. Jeśli zaś artysta, tworzący portret właśnie jako dzieło sztuki, postawi sobie pytanie co do idei i celu, do którego dążyła wielka artystka - natura, powołując do życia pewnego człowieka, i do niej spróbuje się zbliżyć, poświęcając takie drobiazgi, które ową ideę i cel zniekształcają, wtenczas otrzymamy portret idealistyczny. W epoce naszej jeszcze przeważa portret idealistyczny: najlepszy wzór jego — to portretowy posąg Sofoklesa.

Koniec epoki tej wysunął dwóch artystów, którym sądzone było streścić jej wyniki i wskazać szlaki epoce następnej; był to — Lizyppos w dziedzinie rzeźby i Apelles w dziedzinie malarstwa. Wielkość Lizyppa polega na tem, że on pierwszy w sposób należyty spożytkował wszystkie trzy wymiary, któremi — w odróżnieniu od malarstwa — rozporządza rzeźba: poprzednicy jego kształtowali swe posągi raczej z jednego tylko stanowiska, mierząc je tylko wzwyż i wszerz, nie zaś w kierunku, idącym ku patrzącemu, tak, że otrzymywano swego rodzaju obrazy wypukłe i cielesne. Lizyppos, przeciwnie, kształtował swe dzieła tak, ażeby można było oglądać je zewsząd i aby wszędzie przedstawiały one piękne skojarzenia linij. Proporcje ciała ludzkiego określił inaczej,

niż Poliklet: specjalnie stosunek długości głowy do długości całego człowieka wyrażał się u niego mniejszym ułamkiem. Proporcje Polikleta bardziej odpowiadały rzeczywistości, przeniesione atoli z żywego i poruszającego się ciała na ciała zastygłe w bronzie, sprawiały wrażenie czegoś ciężkiego i przez to zmusiły Lizyppa do odchylenia się od nich. Usprawiedliwiając się, zwykł był mawiać, że poprzednicy jego tworzyli ludzi takich, jakimi są, on zaś, jakimi się wydają. Dla nas najlepszym okazem jego twórczości jest w dobrej zachowany kopji Apoxyomenos, t. j. atleta, «zeskrobujący z siebie» skrobaczką piasek areny po walce.

Czem w rzeźbie był Lizyppos, tem w malarstwie był Apelles; obu ich zbliża do siebie i to, że byli, każdy w swej sztuce, wybranymi portrecistami Aleksandra Wielkiego. O Lizyppie, co prawda, przynajmniej kopje dają pewne wyobrażenie; o Apellesie wyrażamy sądy jedynie wedle słów tych, którzy jeszcze mogli widzieć przedziwne jego dzieła. Najwyższą sławę zyskał on swym obrazem Afrodyty, wychodzącej z morza, namalowanym dla wyspy Kos: górną połową ciała bogini wychylała się z wody, dolną była jesze pogrążona w fali; tak, że artyście wypadło ukazać, jak boskie kształty przeświecały i przełamywały się w przejrzystym żywiole. Że artysta sprostał zadaniu swemu wyśmienicie, to przyjąć musimy na wiarę; sprawdzać swemi oczyma świadectwa o malarstwie antycznem możemy jedynie dla epoki następnej, która otwiera się po śmierci Aleksandra Wielkiego.

43. MOCARSTWO MACEDOŃSKIE

Obecnie Jonja znów pozostawała w takiem samem położeniu, jak przed wojnami perskiemi, z tą wszakże różnicą, że teraz w całej Grecji znikąd nie można było oczekiwać nadziei. Ateny, coprawda, dawno już zdążyły podźwignąć się po klęsce nad Egospotamosem i wybudować nową flotę, lecz ich próba ponownego stworzenia związku morskiego okazała się nietrwałą: wznowiony



DEMOSTENES

akurat w sto lat po pierwszym (w 378 r.), związek ów rozpadł się (w 355 r.), przetrwawszy nie wiele dłużej ponad lat dwadzieścia. Sparta, po utracie Messenji, stała się państwem drugorzędnem. Teby już dlatego nie mogły marzyć o wojnie zamorskiej, że nie miały ani floty, ani wygodnych przystani.

A tymczasem nie ulega wątpliwości, że gdyby udało się zjednoczyć państwa greckie, to taka Grecja jednolita stałaby się odrazu mocarstwem światowem. Sztuka wojenna w Grecji stała tak wysoko, że najemnicy jej, nawet poza jej granicami — w Persji i Kartaginie — uważani byli za najlepszych żołnierzy. Szczególnie wiele dokazał w tej dziedzinie Epaminondas. Dla literatury i nauki greckiej wiek IV był epoką rozkwitu: zwłaszcza w Atenach historycy, mówcy, filozofowie okryli imię greckie sławą nieśmiertelną; drugiej zaś Akademji podówczas na całym świecie nie było. Na równej wyżynie stały i sztuki plastyczne; wprawdzie, wskutek zubożenia państw, artyści rzadko dostawali zamówienia w ojczyźnie i zmuszeni byli poza Grecją szukać zastosowania swych talentów. Lecz w ten sposób właśnie rozpowszechniali na obczyźnie sławę Grecji i miłość ku niej. Kraje ościenne lgnęły do kultury greckiej i starały się wstąpić w jej krąg. Dotyczy to zwłaszcza Azji Mniejszej, której część zachodnia — Mizja, Lidja, Frygja, Karja — w znacznym stopniu już była grecka.

Tak, zapewne: gdyby zjednoczyć Grecję — ta nietylko oswobodziłaby Jonję, ale i pokonałaby świat. Lecz zjednoczyć ją z wewnątrz było rzeczą niemożliwą; każda próba w tym kierunku rozbijała się o wrodzone i nieprzeparte dążenie Greków do niepodległości gmin — do autonomji.

Pozostawało jedno: podjąć próbę taką zzewnątrz. Podjęło ją państwo, które dotąd nie brało wielkiego udziału w sprawach greckich — północna sąsiadka Tessalji, Macedonja.

Był to kraj pół-grecki, pół-barbarzyński, który zachował jeszcze od czasów bohaterskich rząd monarchicz-

ny; dynastja panująca uważała siebie za czysto helleńską, wywodząc ród swój od argejskich Heraklidów. Jednakże była to monarchja nie na modłę perską: król liczył się ze zdaniem swych «heterów» (t. j. «towarzyszów»), jak nazywał swych magnatów, i nie mógł ukarać śmiercią ani jednego Macedończyka bez wyroku swego wojska. Wojsko to było stałem pospolitem ruszeniem włościan macedońskich—miasta w tym pół-dzikim kraju jeszcze nie istniały. — Pod względem siły i wierności dla króla była to wielka potęga zbrojna i, opierając się na niej, mogliby Heraklidzi macedońscy dawno zająć stanowisko przodownicze na półwyspie Bałkańskim, gdyby nie ciągłe waśni w ich własnem gronie; bywali wśród nich i wprzódy królowie zdolni, lecz za każdym razem wysiłki ich ginęły w zamieszkach, które następowały po ich śmierci.

Lecz teraz władcą Macedonji był człowiek, któremu podobnego cała Grecja ówczesna nie znała—król Filip (358 — 336). Jako królewicz jeszcze, spędził on lat kilka w charakterze zakładnika w Tebach i tam, pod nadzorem Epaminondasa, odbył najlepszą szkołę wojskową, jaką wtenczas można było znaleźć. Powołany na tron, prędko kres położył rozterce, która i tym razem towarzyszyła zmianie władzy, i natychmiast skierował wzrok na Grecję, płonąc z niecierpliwości, aby doprowadzić do końca dzieło swego mistrza Epaminondasa. Celem jego było—zjednoczyć Grecję pod swoją hegemonją, i potem poprowadzić ją przeciw Persom.

Na drodze do osiągnięcia tego celu widział dwie przeszkody—jedną od strony morza, drugą od strony lądu. Przeszkodą odmorską była owa wstęga helleńska, która i tutaj wieńczyła ląd — liczne greckie kolonje pobrzeża macedońskiego, w szczególności te, które pokrywały trójpalczasty półwysep—Chalcydykę, nazwany tak od imienia Chalcydy eubejskiej, metropolji większości jej zaludnienia. Niegdyś kolonje te wchodziły w skład ateńskiego związku morskiego, teraz uznawały hegemonję najpoważniejszej ze swego grona — Olintu. Przeszkodą na lądzie była Tessalja i Termopile.

Obie przeszkody same przez się nie były szczególniej ważne: związek olincki był słaby, Tessalja zaś, żarta wewnętrznemi walkami, nawet z radością powitałaby zdobywcę, niosącego pokój. W obu wypadkach jednak z poza wroga pierwszego wysuwał się drugi, potężniejszy: z poza Olintu—Ateny, zpoza Tessalji — Fokida.

Stało się tak, że Olint, przewidując nadciągającą burzę, zawarł przymierze z Atenami.

Ale dlaczego, można spytać, Ateny zgodziły się zawrzeć z nim to przymierze i wstąpić przeto w stosunki wrogie z potężnym królem północy? Należy wiedzieć, że w Atenach walczyły wtedy między sobą dwie partje— partja przyjaciół i partja wrogów Filipa. Pierwsza pragnęła pokoju, zjednoczenia Hellady, a potem dopiero—oswobodzenia bratniej Jonji; na czele tej partji stał zacny Fokjon, Arystydes IV wieku, i wymowny Izokrates. Ten poważny działacz sam nie występował jako mówca, słabość jego głosu nie pozwalała mu na to — lecz polityczne rozprawy jego na korzyść Filipa i zjednoczenia Hellady rozpowszechniały się wszędzie, torując drogę północnemu zdobywcy. Przywódcą drugiej partji był najlepszy mówca całej Grecji — wielki Demostenes.

Kto widział Demostenesa, jako malca, w żaden sposób nie mógłby przewidzieć, że wyrobi się zeń mówca. Był jąkałą, nie wymawiał niektórych liter i cierpiał na astmę. Potrzeba kazała mu ująć siebie w karby. Osierocony wcześnie, stał się, wraz z siostrami, ofiarą chciwych opiekunów. Widząc, jak marnują ich dobro, postanowił,—osiągnąwszy pełnoletność, pociągnąć ich do odpowiedzialności, i w tym celu stał się mówcą. Deklamował głośno na brzegu morza, starając się zagłuszyć szum przypływu; brał w usta kamyki, aby nadać językowi siłę i giętkość, wieszał przed sobą lustro, żeby śledzić ruchy swej twarzy, i t. d; obdarzony żelazną wolą, zwyciężył wszystkie przyrodzone przeszkody, wygrał sprawę przeciwko swym opiekunom i stał się mówcą. Lecz ćwiczenia jego na polu krasomówstwa zbliżyły go z literaturą, a przez nią ze wspaniałą przeszłością Aten;

nieznośna była dla niego myśl, że potomkowie wojowników z pod Maratonu i Salaminy uznają nad sobą władzę północnego barbarzyńcy.

To w żadnym razie stać się nie powinno; a ponieważ zdobycie Olintu otwierało przed Filipem morze Egejskie, więc należało temu zapobiec. Oto dlaczego wszelkimi sposobami wspierał propozycję Olintu. Zgromadzenie ludowe dało się porwać jego wymowie; przymierze z Olintem zostało zawarte; pomoc była posłana — lecz pomoc niedostateczna.

Dlaczego niedostateczna? Oto dlaczego.

Nadmieniono wyżej, że już Perykles w trosce swej o artystyczne wykształcenie Ateńczyków ustanowił rozdawnictwo wśród uboższych obywateli drobnych zasiłków pieniężnych podczas świąt Dyoniza, aby wynagrodzić im utracony zarobek. W owych względnie spokojnych latach, które nastąpiły po klęsce nad Egospotamos, demagogowie chętnie kupowali sobie przychylność obywateli wnioskiem o rozdawnictwo «teorikonu» także i w inne święta. W owych latach, gdy działał Demostenes, istniało już prawo, aby wszystkie zbędne sumy oddawać do kasy teorikonu i wszelką próbę uchylenia tego prawa karać śmiercią. Oto dlaczego w kasie wojennej było mało pieniędzy — i oto dlaczego Ateny nie mogły Olintowi wyświadczyć pomocy dostatecznej.

Filip cel swój osiągnął. Wzięcie Olintu było dla Aten dniem równie bolesnym, jak przed półtora stuleciem upadek Miletu. Lecz cóż było począć? Do nowej wojny należało szykować się powoli, a przedewszystkiem — zawrzeć pokój. I pokój zawarto (r. 346)

Tymczasem Filip pokonał i drugą przeszkodę — lądową. Tessalja, jak już nadmieniono, przywitała go chętnie; Termopile atoli, brama Hellady, pozostawały w rękach Fokijczyków. Stało się to w sposób następujący.

Fokida, zachodnia sąsiadka Beocji, była krainą górzystą i ubogą; na jej ziemi wszakże leżały Delfy, «ognisko całej Hellady» z ich bogatemi skarby, które gro-

madziły się wiekami. Delfy, jednakże, były niezależne od Fokijczyków; z uwagi na ich doniosłość wszechhelleńską, rządziła niemi rada t. zw. amfiktjonów, t. j. przedstawicieli państw rozmaitych, przeważnie ościennych. W razie jakiejkolwiek krzywdy, wyrządzonej Delfom, amfiktjonowie wzywali na pomoc swe państwa i wydawali krzywdzicielowi wojnę, która zwała się «świętą». Takie wojny święte Grecja już widziała dwie: jedną w wieku VI, drugą w V-ym.

Teraz, po wyniesieniu się Teb ku potędze i po zwycięstwach Epaminondasa, spory pograniczne między Fokidą a Beocją stały się częstsze i ostrzejsze; broniąc się przeciw potężniejszym sąsiadom, Fokijczycy postanowili owładnąć Delfami i opanować ich skarby. Było to niesłychane świętokradztwo, któremu podobnego nie widziano jeszcze w Grecji. Amfiktjonowie natychmiast wydali wojnę Fokijczykom — trzecią wojnę świętą (r. 356 — 346) i powierzyli prowadzenie jej Tebom. Lecz Fokijczycy za złoto delfickie zwerbowali silne wojsko z najemników, i Tebańczycy nie byli w możności uporać się z przeciwnikiem. Wtenczas Filip tak pokierował sprawą, że amfiktjonowie jego obrali wodzem naczelnym; wojna przybrała obrót stanowczy i skończyła się klęską Fokidy. Ten wynik szczęśliwy zapewnił mu miejsce w radzie amfiktjonów, uprzednio zajmowane przez Fokijczyków, i — władzę nad Termopilami.

Ateny w tym samym roku zawarły z Filipem pokój; jasną wszakże było rzeczą, że Filip nie poprzestanie na dotychczasowych powodzeniach i stawi Hellenów wobec wyboru między uległością a wojną. Musiały więc Ateny gotować się do wojny. Nie wszyscy byli zgodni w tej sprawie. Na zgromadzeniu ludowem toczyły się nieustanne spory między Focjonem a Demostenesem: „Strzeż się", wołał Demostenes do Focjona, którego osobiście szanował; „Ateńczycy zabiją cię, gdy ich ogarnie wściekłość." — A ciebie", odparł Focjon, „gdy oprzytomnieją." Jednakowoż górę wziął Demostenes. Udało mu się osiągnąć zmianę prawa co do teorikonu; skarb wojskowy znów się napełnił, środki obrony krajowej wzrosły.

Przygotowania te trwały sześć lat z okładem. Przez ten czas jednakże i Filip, odwołany przez sprawy swe na północy, znów wzmógł się na siłach i powrócił do swej ulubionej idei. Łaknął nowej wojny helleńskiej; i agenci jego w radzie amfiktjonów dostarczyli mu do niej powodu. Pod pretekstem tego, że pewne miasteczko lokryjskie, Amfissa, zajęło część ziemi delfickiej, wydano mu czwartą wojnę świętą (r. 339—338), której prowadzenie, oczywiście, poruczono Filipowi. Król przyjął mandat i pchnął wojsko przez Termopile.

Dla Demostenesa rzeczą było jasną, że godzina sprzeciwu wybiła. Wszelako między Attyką a wojskiem króla leżała podległa Tebom Beocja, z Tebami zaś Filip od czasów jeszcze Epaminondasa w przyjaznych pozostawał stosunkach. Demostenes wytężył wszystkie siły swej potężnej wymowy i celu swego dopiął: Teby zawarły z Atenami przymierze, obie armje bratnie podążały ku granicy fokijskiej i jęły czekać nieprzyjaciela pod beockiem miasteczkiem Cheroneją.

Cała Hellada z bijącem sercem oczekiwała wyniku bitwy, w której rozstrzygał się los jej niepodległości. Animusz sprzymierzonych nie był świetny; znów jęły krążyć niepokojące wróżby:

Obym uniknął bitwy u sennych wód Termodontu
W orła przemienion w chmurach lub w szatę mgły przyodziany.
Łzy wróży ona pobitym, zwycięzcy zasię — zagładę.

(Termodont — strumień opodal Cheronei). Demostenes żartował, pokrzepiając swoich: „Pitja filipkuje"—mówił do towarzyszy. Sam wszakże był mistrzem słowa, nie zaś miecza; wojsko sprzymierzonych, nadomiar, liczbą ustępowało wojskom królewskim. Szczęście wojenne znów uśmiechnęło się Filipowi: bój pod Cheroneją (r. 338) pogrzebał niepodległość grecką.

Gdy dzień fatalny dobiegał kresu, wyborowy oddział tebański — «święty zastęp» Epaminondasa — poległ do ostatniego męża, i Filip, przechadzając się po pobojowisku, mógł z twarzy rozpoznawać wszystkich towarzyszów

swej młodości. Nie tak walecznie, niestety, bili się Ateńczycy: wielu z pośród nich w panicznym uciekło popłochu, pociągając z sobą i Demostenesa.

Tebańczycy później wystawili rzeźbę olbrzymiego lwa na polu bitwy, i ten «lew cheronejski» przetrwał tam tysiącolecia, przypominając Grekom o świętej powinności odzyskania niepodległości, utraconej pod Cheroneją.

Istotnie, odtąd Filip stał się panem Grecji. Z owoców swego zwycięstwa skorzystał on, zresztą, w sposób bardzo umiarkowany; skończywszy z pierwszą częścią swego zadania, zabrał się do drugiej: wyzwolenia Jonji. Zwołał przedstawicieli zjednoczonej Grecji do Koryntu; stawili się wszyscy, prócz Spartan, na których już można było nie zwracać uwagi. Ten związek korynckí (r. 337) uznał hegemonję Filipa i obrał go na wodza przeciw odwiecznemu wrogowi.

Filip tryumfował; otwarło się przed nim pole niezmierzonej sławy... I nagle, w przededniu wyprawy, powaliła go strzała mordercy, który mścił się w ten sposób za krzywdy osobiste. Cała Grecja drgnęła, przypomniawszy sobie wróżbę cheronejską: «zwycięzcy — zagładę». Swobodniej też odetchnęła Persja.

Rychło atoli zrozumieli wszyscy, że zadanie Filipa przeszło w pewne ręce: następcą niepospolitego ojca stał się jeszcze genjalniejszy syn — Aleksander Wielki (336—323).

Wtenczas był to jeszcze młodzieniec; lecz jako pacholę ujawniał rysy, zapowiadające jego wielkość przyszłą. Pięknej urody, czarujący w obejściu z ludźmi, rycersko śmiały i wspaniałomyślny, cielesną również siłą górował nad wszystkimi swoimi rówieśnikami. Z upodobaniem opowiadano, jak uskromił sam dzikiego rumaka, którego przyprowadzono jego ojcu, i któremu następnie, wskutek szerokiego łba, dano nazwę Bucefała (t. j. «bykogłowego»). Rumaka tego nikt nie potrafił dosiąść, i już chciano go odprowadzić; wtenczas Aleksander poprosił, aby pozwolono mu podjąć próbę; próba się powiodła, i gdy królewicz, dosiadłszy ujarzmionego ru-

maka, przycwałował do Filipa, ten uściskał go i rzekł mu: Synu mój, szukaj sobie równego mocarstwa, Macedonja jest dla ciebie za ciasna. Jedna wada obarczała Aleksandra już teraz, odpowiedzialność zaś za nią ponosiło raczej otoczenie jego, niż on sam. W Macedonji, jako w kraju pół-barbarzyńskim, lubowano się w długich, rozpasanych pijatykach. Nie stronił od nich sam Filip i wdrożył do nich i syna. Uchodziło tam za znamię siły spełniać olbrzymie «heraklesowskie» puhary; ten, który się odznaczył, brał z rąk królewskich nagrodę,—bywało, że nazajutrz wynoszono go z komnaty martwym. Aleksander polubił te wybryki; oszołomiony zaś trunkiem, przestawał panować nad sobą. Z łagodnego stawał się okrutny, ze skromnego—chełpliwy; zapominał o czci dla ojca, o przyjaźni dla druhów. Potem, wytrzeźwiony, gorzko ubolewał nad tem, co popełnił w stanie oszołomienia.

Wprawdzie, zaszczepiwszy synowi tę truciznę, Filip dał mu także i środek przeciw niej zaradczy, zaprosiwszy do niego na nauczyciela największego owych czasów filozofa, Arystotelesa, ucznia Platona. Wpływ Arystotelesa na Aleksandra był podwójny: naprzód, wzbudził on w swym wychowańcu zamiłowanie poezji i nauki, a zatem i cześć dla Aten, kędy kwitły i poezja i nauki; po-wtóre, nauczył go, choć do pewnego stopnia, panować nad sobą i miarkować nieuskromiony żar swej duszy.

Taki był ten, który odziedziczył wielką puściznę Filipa. Dowiódł on natychmiast, że był tej puścizny godzien. Zamieszki, które i tym razem wszczęły się i w jego królestwie, i w Helladzie, stłumił szybko i dokonał tego, że państwa greckie uznały go wodzem swoim przeciw barbarzyńcom. Poczem, zebrawszy i swoje wojsko, i oddział połączonych państw greckich, udał się na wyprawę.

Pierwsze zadanie jego polegało, oczywiście, na tem, aby wyzwolić Jonję. Przeszedł Hellespont i wtargnął w krainę trojańską. Satrapowie najbliższych prowincyj wyprowadzili przeciw niemu swe wojska i zajęli brzeg

rzeki Granika, wpadającej do Propontydy; Aleksander pobił ich tutaj i ruszył dalej, nie spotykając prawie oporu, wzdłuż całego zachodniego wybrzeża. Uporawszy się bez szczególnego trudu z tem pierwszem zadaniem, niezwłocznie podjął drugie i główne—podbój królestwa perskiego.

Opuściwszy wybrzeże, poprowadził wojsko wgłąb kraju. Zająwszy Gordjum — dawną stolicę króla Frygji Midasa, — dowiedział się, że jest tu jego rydwan, i że temu, kto «rozplącze» węzeł dyszla tego rydwanu, sądzono objąć władzę nad światem.

Trudność zadania tkwiła w tem, że końce zwrócone były ku wnętrzu węzła. Aleksander, przekonawszy się, że usiłowania jego, aby węzeł rozwikłać, były daremne, dobył miecza i rozciął go—odtąd «węzeł gordyjski» stał się przysłowiem.

Tymczasem i król perski przekonał się, że wypadnie mu walkę toczyć ze śmiałym zdobywcą już nie o Jonję, ale o swoje mocarstwo: królem zaś był wtenczas Darjusz III, człowiek dzielny i waleczny. Ruszył on ze swej dalekiej Suzy; Aleksander ze swej strony skierował się przeciw niemu i zstąpił ku południowemu wybrzeżu Azji Mniejszej w Cylicję. Tu wszakże zatrzymała go niespodziana choroba: wykąpawszy się w lodowatej wodzie górskiej rzeki Cydnu, dostał febry i był bliski zgonu. Lekarze odstąpili chorego, prócz niejakiego Filipa, dawnego jego przyjaciela. I oto, gdy Filip miał podać królowi mocne lekarstwo, ten otrzymał od swego najlepszego wodza Parmenjona list, zawierający taką przestrogę: „Strzeż się Filipa: Darjusz obiecał mu nieprzeliczone skarby i córkę rodzoną za żonę, jeśli otruje ciebie". Wszedł Filip z lekarstwem; Aleksander wziął odeń czarę, jemu zaś oddał list. I, badawczo patrząc mu w twarz, jął powoli wypijać lekarstwo. Filip, przerażony, zaczął przysięgać i zapewniać, że jest niewinien; Aleksander wszakże pozostał spokojny i łaskawy; niebawem postradał przytomność. Lek okazał się skuteczny; król wyzdrowiał i znów podjął wyprawę.

Na granicy Cylicji i Syrji, w samym kącie morza Śródziemnego, spotkały się oba wojska; tu leżało miasto Issos, które też dało imię bitwie. Darjusz zdołał wąwozami górskiemi obejść lewe skrzydło Aleksandra i uderzyć na jego tyły; wojsko Aleksandra stanęło wobec alternatywy: zwyciężyć albo zginąć. Z tem większą walczyło odwagą. Zwycięstwo jego było zupełne; Darjusz z trudem ocalił resztkę swoich hufców, lecz rodzina jego — matka, żona, dzieci — stały się łupem zwycięzcy, który, zresztą, rozkazał, aby utrzymywano je na stopie królewskiej.

Zwycięstwo pod Issem otwarło przed Aleksandrem Syrję i wszystkie południowe posiadłości Darjusza. Wszelako miasta niekiedy stawiały mu opór, zwłaszcza słynna stolica Fenicji, Tyr, którą przyszło mu oblegać w ciągu siedmiu miesięcy. Obleganie grodów wogóle w starożytności stanowiło rzecz trudną — cała przewaga była po stronie oblężonych. Aleksander popadł już w przygnębienie; pocieszyło go widzenie, jakie nawiedziło go we śnie. Wydało mu się, mianowicie, że ściga satyra, który wszelkiemi sposoby stara się umknąć, w końcu jednakże daje się pojmać. Sen wytłumaczony został przez jednego z wróżbiarzy, i przytem bardzo prosto. Zwracając się do Aleksandra, wróż wymienił imię tworu, który mu się przyśnił, oddzielając wyraźnie jego głoski: «sâtyros», co w języku macedońskim znaczyło: «Tyr—twój». I tak też się stało.

Po Fenicji poddał się także i Egipt. Tu Aleksander postanowił założyć stolicę nadmorską, doskonale rozumiejąc, że bajecznym tego kraju bogactwom brak jest wylotu na morze—faraonowie egipscy bali się żeglugi, królowie zaś perscy tylko wysysali Egipt, mało troszcząc się o jego potrzeby. Sam on wyznaczył miejsce pod budowę miasta, które otrzymało jego imię i zachowało je po dzień dzisiejszy: jest to Aleksandrja.

Stąd zawrócił z powrotem do Fenicji, zamierzając następnie przejść do Mezopotamji i dalej do wschodnich prowincyj Darjusza. Ten ostatni, znękany porażkami,

i utratą rodziny, zaofiarował Aleksandrowi pokój na bardzo korzystnych warunkach: ustępował mu wszystkie ziemie na zachód od Eufratu. Aleksander zgromadził przyjaciół swych na naradę. Najstarszy z nich, nadmieniony wyżej Parmenjon, rzekł: „Gdybym był Aleksandrem, tobym się zgodził".—„Zgodziłbym się i ja", złośliwie odpowiedział król, „gdybym był Parmenjonem". Pokój odtrącono; Darjusz zmuszony był wydać jeszcze jeden bój o swe ostatnie dzierżawy.

Bój rozegrał się opodal ruin dawnej władczyni wschodu, Niniwy. Zwycięstwo przyszło Aleksandrowi niełatwo: przez chwilę wydawało się nawet, że jego lewe skrzydło, którem dowodził Parmenjon, zostanie starte przez napór barbarzyńców. Zato na drugiem skrzydle Aleksander rozgromił wrogów, i zwycięstwo to rozstrzygnęło bitwę. Darjusz znowu uciekł, tym razem już bez wojska; przepyszny pałac królów perskich, Persepolis, stał się zdobyczą Aleksandra.

Teraz dopiero całe zadanie było wypełnione. Do tej pory zwycięzca pędził tryb życia surowy, starając się nie ulegać wrodzonemu nałogowi swej ojczyzny; lecz oto nastał odpoczynek po trudach bitewnych, a wraz z nim czas zabawy i ucztowania. Podczas jednej uczty, już nocą, ktoś rzekł do króla: „Powiadasz, że kochasz Ateny: pomścij więc pożar Akropolu i spal pałac Kserksesa". Temistokles i Arystydes podziękowaliby za podobną zemstę; lecz oszołomiony pijatyką Aleksander uznał ją za słuszną, chwycił płonącą pochodnię i na czele wesołej czeredy pomknął ku poblizkiemu pałacowi. Następny ranek ujrzał w gruzach i zgliszczach przedziwny pomnik sztuki wschodniej — i zbudził w sercu wytrzeźwionego króla świadomość, że, bez potrzeby i celu, popełnił rzecz barbarzyńską.

Zato w kolisku przyjaciół bywał hojny i wspaniałomyślny i po królewsku obdarowywał każdego. Pamiętał i o dalekich. W Atenach wtenczas panował pokój i ład pod rozumnemi rządami Likurga i Demostenesa; nie byli oni jego przyjaciółmi, lecz tam-że zamieszkiwał

powszechnym otoczony szacunkiem również i sędziwy Focjon, bezinteresownie usiłujący współobywateli swych pojednać z hegemonją macedońską. Temu to Focjonowi Aleksander przesłał sto talentów — na nasze pieniądze około miljona złotych. Dziwny obraz ujrzeli posłańcy króla, gdy weszli w jego dziedziniec: Focjon sam wyciągał ze studni wiadro wody, żona jego stała opodal i miesiła ciasto w dzieży. Posłańcy złożyli dar królewski u jego nóg; Focjon, zdziwiony, spytał: „Dlaczegóż to Aleksander właśnie mnie przysyła to złoto?" — „Dlatego", uprzejmie odpowiedzieli tamci, „że mieni cię być najlepszym wśród Ateńczyków". — „Niechaj-że tedy pozwoli, abym i nadal pozostał takim", rzekł starzec i polecił im odnieść złoto zpowrotem.

W pościgu za Darjuszem Aleksander nie śpieszył się zbytnio, nie podejrzewając wszakże, że nieszczęśliwy król ścigany może być przez innych. Gdy wreszcie go dopadł, Darjusz już nie żył; jeden z dworzan jego, Bessos, zamordował go zdradziecko, rachując, że w ten sposób zaskarbi sobie łaskę nowego władcy. Król jeszcze oddychał, gdy wszedł dowódca czołowego oddziału macedońskiego, i poprosił, aby mu dano się napić. Ten spełni jego prośbę. Wypiwszy wodę, umierający rzekł doń: „Aleksander cię wynagrodzi; jego zaś niech nagrodzą bogowie za dobroć jego wobec mojej rodziny". Rychło podszedł i Aleksander; długo patrzył na ostatniego potomka wielkiego Cyrusa; odpiąwszy swój płaszcz królewski, tkliwie osłonił nim zwłoki nieszczęsnego monarchy.

Bessowi odpłacił szczodrze: kazał przywiązać go do dwóch drzew, nachylonych ku sobie, i następnie drzewa te puścić, tak, że ciało jego uległo rozerwaniu na dwie części. Niestety, i pod innemi względami Aleksander poddawał się barbarzyńskiemu środowisku, w jakiem przebywał: swój grecki strój zamienił na perski; na podobieństwo królów perskich, jął poczytywać się za boga, nie zaś za człowieka, i na tej zasadzie domagał się dla siebie czci boskiej. Persowie, rzecz zrozumiała, godzili się z tem łatwo, lecz w swej drużynie macedońskiej wy-

woływał on szemranie, które wzmagało się coraz bardziej. W trzeźwym stanie Aleksander zachowywał jeszcze swą dawną wspaniałomyślność; tak, widząc, że wśród najbliższych jego przyjaciół jeden, Hefestjon, naśladuje go w noszeniu stroju perskiego, drugi zaś, Krater, w dalszym ciągu nosi płaszcz grecki, zachował jednaką życzliwość dla obu: „Hefestjon kocha Aleksandra, a Krater— króla". Lecz podczas uczt, gdy wino rozwiązywało wszystkim języki, nastawały niekiedy momenty grozy. W czasie jednej z nich Aleksander w napadzie szału zabił Klita, który ocalił mu życie nad Granikiem; wytrzeźwiony, długo potem leżał w milczeniu, wzdychając i płacząc. Niegodziwi pochlebcy korzystali z tych jego nastrojów ducha, wmawiając weń, że niepotrzebnie się kaja, że wszystko, cokolwiek czyni król, jest sprawiedliwe. I mowami temi upijał się on jeszcze silniej, niż winem, i coraz bardziej stawał się niepodobny do siebie.

Nakoniec, życie pokojowe mu obrzydło; nanowo zapragnął trudów bojowych, życia na stopie surowej i twardej. Cała Persja już należała do niego; wschodnią sąsiadką jego były legendarne Indje, o których Grecy mieli wtenczas wyobrażenia bardzo mgliste. Postanowił podbić ten kraj i przedsięwziął wyprawę w krainę Pięciorzecza. Znów towarzyszyło mu szczęście; jeden król indyjski za drugim uznawał jego władzę. Aleksander marzył już o tajemniczym Gangesie i, jak mniemano podówczas, o kresach ziemi; ale tu wojsko jego odmówiło posłuszeństwa. Zmuszony był zarządzić odwrót; odwrót nastąpił poczęści drogą lądową, poczęści morzem przez ocean Indyjski i zatokę Perską, ażeby zbadać także i tę część ziemi.

Naturalnem miejscem połączenia obu części wojska był Babilon nad Eufratem, stolica starożytnej mądrości chaldejskiej. Później wspominano wszelkiego rodzaju znaki złowieszcze, jakie dały się widzieć w chwili, gdy wstępowano w to miasto fatalne. Astrologowie chaldejscy radzili Aleksandrowi, aby unikał Babilonu; stado kruków, gdy zbliżał się, poderwało się z murów, krącząc

i walcząc między sobą, przyczem niektóre padły martwe u jego nóg; po zabawie w piłkę na tronie Aleksandra zasiadła jakaś postać tajemnicza, przybrana w jego opończę i koronę, i na pytanie otaczających oznajmiła, że sam Serapis — miejscowy bóg śmierci — przysłał ją tutaj. Aleksander miał duszę niezłomną, lecz niepokoiły go złe przeczucia; otoczył się zgrają czarnoksiężników i zaklinaczy, ale pod ich wpływem czuł się jeszcze gorzej; coraz częściej odtąd jął niepokój swój zagłuszać winem. Wtenczas właśnie druga część jego wojska, żeglująca morzem, przez Eufrates wróciła do Babilonu. Wielka była radość spotkania: Aleksander przewspaniałą ucztą ugościł junaków. Uczta trwała noc całą; o świcie król chciał udać się na spoczynek, lecz jeden z druhów uprosił go, aby przeucztował z nimi jeszcze i dzień następny. Aleksander ustąpił — i wpadł w gorączkę. Spalając się od pragnienia, żądał, aby mu dano wina; zaczęła się maligna, wszelki ratunek stał się niemożliwy.

Podczas jednej z pośród jasnych minut choroby ujrzał Aleksander współbojowników, w smutku okalających jego łoże. Starego Parmenjona już nie było w ich gronie — sam ukarał go śmiercią w owych złych czasach, przed wyprawą na Indje; ale był wśród nich rozumny Ptolemeusz, wierny Seleukos, waleczny Antygon i jeszcze szereg innych, wszyscy czynni i potężni, jak wybrani... Aleksander bowiem potrafił dobierać pomocników. Jeden z nich spytał konającego, kogo czyni następcą wśród swej drużyny — wszak dzieci własnych nie miał. Król z łoża agonji obrzucił ich badawczem spojrzeniem — nie, żaden wybór nie był tu możliwy. „Najgodniejszego" — odrzekł, i niebawem umarł (r. 323).

Cała nadzieja pokojowego rozwoju świata umarła wraz z Aleksandrem. Za życia wszystkich przygniatał potęgą swej osobowości: „ziemia milkła u nóg jego" — jak mówi Pismo. Gdyby był zdążył, jak ojciec, Filip, przeżywszy wiek swój, wychować syna-następcę, jedność jego światowego mocarstwa byłaby zapewniona. Ale nie, przekazał je «najgodniejszemu», za najgodniejszego

zaś każdy poczytywał siebie. Rozpadło się królestwo Aleksandra. Ptolemeusz odrazu opanował Egipt i ogłosił się królem w Aleksandrji; trzysta bez mała lat panowali potomkowie jego, Ptolemeusze, w tym kraju. Prowincje wschodnie przypadły w udziale Seleukowi; wprawdzie pod rządami jego potomków ziemie za Eufratem znów odszczepiły się od świata greckiego i stworzyły odrębne, barbarzyńskie królestwo Partów, tak, iż państwo «Seleukidów» ograniczało się głównie do Syrji i miało, jako stolicę, Antjochję, założoną przez Seleuka. Azja Mniejsza rozpadła się na kilka państw; najważniejsze z nich było królestwo Pergamu, nazwane tak od imienia swej stolicy. Macedonja, w której Aleksander, jako namiestnika, zostawił Antypatra, stała się igraszką w ręku wielu współzawodników i koniec końców przypadła w udziale potomkom Antygona; stolicą jej stała się nowozałożona Tessalonika — obecnie Saloniki — zawierająca w swej nazwie pamięć o zwycięstwie Filipa nad Tessalijczykami, które stało się podwaliną jego potęgi.

A Grecja?

I ona drgnęła na wieść o śmierci Aleksandra; przyrodzona dążność do autonomji zbudziła się znowu. Ateny zapragnęły wyzwolić się z pod opieki macedońskiej. Na czele ruchu stanął, rzecz jasna, Demostenes; postanowiono pchnąć wojsko ku Termopilom przeciwko armji Antypatra. Ale i ta próba skończyła się niepowodzeniem; wojsko ateńskie zostało pobite i wysłannicy Antypatra stanęli w Atenach, żądając, aby im wydano Demostenesa. Ten ostatni uciekł przez zatokę Saronicką na wyspę Kalaurję, gdzie stała starodawna świątynia Posydona z prawem schronu. Jednakowoż tam go odnaleziono; widząc, że zamierzają uprowadzić go przemocą wbrew prawu boga, poprosił, aby pozwolono mu napisać kilka słów do rodziny. Uzyskawszy pozwolenie, wyjął swój «stylos» — zaostrzoną pałeczkę do pisania po nawoskowanej tabliczce — podniósł wszakże do ust nie jej ostry, lecz tępy koniec, w którym przechowywał truciznę. Tak, przynajmniej, udało mu się umrzeć na wolności.

Jego stały przeciwnik, szlachetny Focjon, przeżył go; zginął w latach sędziwych wskutek knowań wrogów podczas jednego z następnych przewrotów, potwierdzając proroctwo Demostenesa — zginął śmiercią Sokratesa w więzieniu.

Rzeczywiście, Grecja nie zaznała spokoju po stłumieniu powstania Demostenesa. Ulegając naciskowi Macedonji z północy i Ptolemeuszów z południa, stała się znów areną nieskończonych wojen; lecz te nas już zaciekawiać nie będą. Aleksander wszelako żył nienapróżno; dzięki niemu cały świat wschodni uległ hellenizacji; język, literatura, sztuka Hellady nie zamykały się już w obrębie mórz Egejskiego i Jońskiego — ośrodkami ich stały się Aleksandrja, Antjochja, Pergam; nawet dalekie Partja i Indje doświadczyły na sobie ich wpływu. Wszędzie rozsiane zostały ziarna doskonalenia się umysłowego, i ziarna te wzeszły i wydały owoce, któremi żywimy się po dzień dzisiejszy.

44. IZOKRATES I ARYSTOTELES

Przewagi Filipa w Grecji oraz zwycięstwa Aleksandra na Wschodzie przesądziły rolę Aten na całą przyszłość dalszą: ich stanowisko polityczne zniweczone zostało na zawsze. Próżno było marzyć o odbudowaniu tego, co stanowiło podstawę ich potęgi w okresie Peryklesa, o związku morskim i hegemonji morskiej: wszystko pochłonęła mocarstwowa potęga Aleksandra i grecko-orjentalne państwa jego spadkobierców, i cała polityka Aten musiała odtąd zamykać się w tem, aby wyzyskując współzawodnictwo między Macedonją z jednej strony a egipskiem królestwem Ptolemeuszów z drugiej, zachować przynajmniej samoistność dzielnicową i samorząd.

Również i wiekowa Aten współzawodniczka, Sparta, była wykreślona z liczby mocarstw epoki po-aleksandryjskiej; a przecież co za różnica między obu miastami! Dla Sparty obalenie jej siły politycznej i wojennej było równoznaczne z zupełną zagładą; stała się poprostu dzi-



LEW CHERONEJSKI

postawiony po nieszczęśliwej bitwie na cześć poległych, rekonstruowany z gruzów w nowych czasach

wolągiem społecznym wśród państw, żyjąc nadal wedle ustaw Likurga z ich wspólnemi posiłkami, i nawet Rzym w czasach późniejszych chętnie jej to prawo pozostawił pod osłoną swej władzy światowej. Ateny, przeciwnie, nawet po utracie swej kierowniczej roli politycznej, zachowały wpływ kulturalny, znaczenie, jako państwa przodowniczego nietylko Grecji, ale i całego świata. Sprawdziło się słowo Peryklesa: Ateny stały się najwyższą szkołą Hellady, i nietylko Hellady, ale i całej ludzkości.

W takich warunkach działalność owych mężów, którzy przyczynili się do wzmożenia roli kulturalnej Aten, zasługuje na naszą szczególną uwagę. Jednego już znamy: był to Platon, jako głowa założonej przez się Akademji. Z pośród innych szczególniej wyróżniają się dwaj: współzawodnicząc ze sobą, obaj przecie pracowali razem ku pożytkowi i ku chwale Aten. Byli to — Izokrates i Arystoteles.

Pierwszy z nich, Izokrates, za główny oręż swój poczytywał słowo, jako takie. Uczeń sofisty Gorgjasza, odziedziczył jego podziw dla mowy przekonywającej; odziedziczył także styl, piękną dźwięczność i symetrję jego okresów, w szczególności zaś ów «ideał sofistyczny» wszechstronnie ukształconego człowieka, który ten starał się zaszczepić podczas wycieczek do Aten. Lecz Gorgjasz był obcokrajowcem; Izokrates był Ateńczykiem i mógł założyć w mieście ojczystem stałą szkołę. Tak też uczynił. Na podobieństwo Akademji, był to również typ szkoły wyższej. Kurs był czteroletni. Oprócz retoryki, jako osobnej nauki o słowie, wykładano także i inne nauki, stanowiące pospołu krąg wykształcenia ogólnego. Nauczanie atoli zasadzało się nietylko na wykładach; głównem zajęciem uczniów były ćwiczenia praktyczne w krasomówstwie pod kierunkiem nauczyciela, i ćwiczenia te, zgodnie z obyczajem greckim, postawione były na gruncie «agonistycznym», t. j. miały postać zawodów z zaszczytnemi nagrodami dla zwycięzców.

Szkoła Izokratesa przetrwała aż do bitwy pod Cheroneją i wywarła doniosły wpływ na dalszy rozwój kra-

somówstwa w Atenach — i nietylko na rozwój krasomówstwa. Nie sami tylko przyszli oratorzy uczęszczali do tej szkoły: porównywano ją z koniem trojańskim, z którego wnętrza wyszli najlepsi woje achajscy. Cała proza uległa, acz nie odrazu, urokowi stylu Izokratesa: najbliżsi uczniowie, Eforos i Teopompos, przenieśli go na pole historjografji, później zaś także i popularyzatorzy w dziedzinie filozofji uznali za stosowne gwoli większego powodzenia swych nauk nasycić je stylistyczną doskonałością tego mistrza mowy. Nawet w dziedzinę poezji szkoła Izokratesa przenikała zwycięskim wpływem: tragedja wieku IV doświadczyła na sobie jego potęgi. Wogóle zwolna zakorzeniło się przeświadczenie, które obecnie, naprzykład, tak korzystnie wyróżnia pisarstwo francuskie od innych, że nie wolno pisać niechlujnie, że istnieje pewne minimum zalet stylistycznych, poniżej którego nie powinien zstępować ten, ktokolwiek bierze za pióro. Przeświadczenie to, stanowiące o godności mowy greckiej, zwłaszcza zaś attyckiej, było zasługą niestrudzonej działalności Izokratesa.

Rzecz zupełnie zrozumiała, że i osoba mistrza, dzięki temu wszystkiemu, wysunęła się wśród działaczy owego czasu, że słowa jego słuchano także i poza murami szkoły; to zaś zkolei skusiło go do wystąpienia z własnym programem politycznym. Nie był mówcą zgromadzeń ludowych; głos jego był zbyt wątły. Nie mogąc atoli oddziaływać zapomocą słowa żywego, za oręż obrał słowo pisane, ale pisane tak, jakgdyby je głosił, t. j. to, co właściwie nazywa się pamfletem politycznym. W pamfletach tych miał na widoku cel podwójny: miały służyć jednocześnie i jako wykład jego programu politycznego i jako wzór jego stylu; bez końca opracowywał je, aby ze stanowiska wartości stylu uczynić je nieposzlakowanemi. Co zaś do treści politycznych dzieł Izokratesa, to można ją jednem określić słowem: panhellenizm. Żyją w nim tradycje wojen wyzwoleńczych, które doprowadziły Hellenów do uznania się za naród wspólny mimo ich plemiennego rozczłonkowania. Póki trwała hegemo-

nja Sparty, póki Ateny, stworzywszy swój drugi związek morski, utrzymywały przynajmniej cień swej dawnej potęgi politycznej, Izokrates marzył o przywróceniu starodawnego dualizmu epoki Kimona i Peryklesa—Sparta na czele lądowych, Ateny na czele morskich sił Hellady, zjednoczonych dla walki ze wspólnym nieprzyjacielem o wyzwolenie Jonji. Gdy jednak oba państwa zeszły z areny, Izokrates, nie ufając skromnej potędze Teb, jął szukać wodza dla Hellenów poza granicami Hellady właściwej i wzrok jego spoczął na Filipie. Był jednym z tych, którzy bezinteresownie popierali politykę macedońską w Atenach; bezinteresowność ta stawi go na stopie równej z Focjonem i dodatnie wyróżnia go od Filokratesa, Eschinesa i innych najmitów króla macedońskiego. Co prawda, tę hegemonję macedońską wyobrażał on sobie w Helladzie jako owoc pokoju, nie zaś wojny, i krwawe jej urzeczywistnienie w bitwie pod Cheroneją r. 338 było dlań głębokiem, tragicznem rozczarowaniem: kazało mu ono przeciąć swe życie samobójstwem w sędziwym wieku lat 98.

Zapędy, stanowiące treść w pisarstwie Izokratesa, zginęły tedy razem z nim; przeżyły go natomiast owe surowe wymagania co do formy pisarstwa, wymagania, które stawił zarówno sam sobie, jak i innym, w związku z sofistycznym ideałem człowieka wszechstronnie ukształconego, który starał się urzeczywistnić w swej szkole. I jedno, i drugie w wieku I przed Nar. Chr. przeszło do Rzymian, od Rzymian zaś do nas; i wszyscy my, o ile uznajemy jedno i drugie—pośrednio i bezwiednie jesteśmy uczniami Izokratesa. W tym samym atoli czasie, gdy ten człowiek niepospolity budował od strony formy gmach oświaty greckiej, inny współcześnik jego starał się gmach ten napełnić treścią, i to treścią taką, która na dziesiątki wieków stała się pokarmem ludzkości; był to Arystoteles.

W odróżnieniu od Izokratesa — Arystoteles nie był Ateńczykiem; ojczyzną jego było miasto greckie Stagira w owym pasie nadmorskim, który oddzielał

Macedonję od Archipelagu. Ojciec jego, Nikomachos, był lekarzem nadwornym królów macedońskich; stąd też i dziedziczne jego stosunki z dworem macedońskim. Lecz osobiście ciążył on ku Atenom, jako umysłowemu ośrodkowi Hellady ówczesnej; jako siedemnastoletni młodzian udał się tam w r. 367.

Tu zastał dwie szkoły wyższe: Akademję Platona, która podówczas miała już poza sobą lat dwadzieścia, oraz szkołę krasomówczą Izokratesa, mniej więcej tyleż lat mającą poza sobą. Wybrał pierwszą; dopóki żył Platon, pozostawał jego uczniem, lecz nawet rozszedłszy się z nim na polu zagadnień filozoficznych, w dalszym ciągu żywił dlań cześć najwyższą: „aczkolwiek i Platon i prawda są mi drogie, jednakże święta powinność każe mi oddać pierwszeństwo prawdzie", mówi w pewnem miejscu (Etyka I, 5), które to przepiękne zdanie stało się przysłowiem i wśród nas w jego zwięzłej formie łacińskiej: «Amicus Plato, sed magis amica veritas». Po śmierci Platona w r. 347 Arystoteles opuścił Ateny i wkrótce potem był zaproszony przez Filipa na jego dwór, jako wychowawca królewicza, późniejszego Aleksandra Wielkiego. Oczywiście, cudów pedagogicznych dokazać nie mógł i on—przerobić namiętny i nieokiełznany charakter młodego lwa było nie w jego władzy. Wszelako wpoił weń szacunek i miłość dla wiedzy i poezji, a wraz z niemi i wszystko to, co nas tak czaruje w tej wielkiej i niezapomnianej postaci. Mimo to jednak Ateny w dalszym ciągu zdaleka nęciły ku sobie dawnego ucznia Platona; po wstąpieniu na tron swego wychowańca w r. 335 przesiedlił się tutaj i założył w gaju przy świątyni Apollina Licejskiego (t. j. Świetlistego) swą szkołę, która też otrzymała miano «L i c e u m» (stąd nasze «l i c e a») albo «p e r y p a t a» (t. j. właściwie «aleje» gaju). Czuł się tu bezpieczny, póki jaśniała gwiazda Aleksandra; gdy zaś ten ostatni umarł w r. 323, stronnictwo przeciwmacedońskie podniosło głowę, i przeciw filozofowi zgłoszono oskarżenie o bezbożność. Oskarżenie to bardzo przypominało sprawę, wytoczoną Sokratesowi, pod-

szewka polityczna była i tutaj oczywista. Wszelako Arystoteles, nie będąc, jak Sokrates, Ateńczykiem z urodzenia, nie miał obowiązku poddawać się wszystkim swawolom nie zawsze wobec dzieci swych sprawiedliwej macierzy: oświadczywszy, że nie chce dostarczać Atenom powtórnej sposobności dopuszczenia się zbrodni przeciw filozofji, uszedł, pozostawiwszy na czele Liceum ucznia swego i przyjaciela Teofrasta. Wkrótce potem zmarł.

Liceum Arystotelesa założone było na wzór Akademji Platona; na jej podobieństwo było to formalnie religijne bractwo, poświęcone kultowi Muz. Lecz charakter zajęć był wśród towarzyszów Liceum odmienny. Wyrzekłszy się dwuświatowości Platona, poniechawszy jego zagłębiań się w podniebie spekulacji, zaludnione ideami, Arystoteles skierował wzrok na ziemię, na jej przyrodę i na przyrodę jej tworów, na życie człowieka i ludzkości. Celem jego dążeń była nauka w najszerszem tego słowa znaczeniu. Nauka atoli wymaga pewnych środków pomocniczych — bibljoteki przedewszystkiem, potem zaś zbiorów, pracowni, obserwatorjów. Wszystko to było w Liceum; w jakich rozmiarach, tego obecnie nie możemy już ustalić. Wieść niesie, że Aleksander hojnemi darami przyczynił się do urzeczywistnienia planów swego nauczyciela; że w czasie wypraw swych nie zapominał o nauce, dla której zainteresowanie wszczepił mu Arystoteles, że w szczególności Nearchos podczas swej bajecznej żeglugi po nowych rzekach i morzach troszczył się o pomnożenie zbiorów Liceum. Lecz, powtarzam, szczegóły nie są nam znane.

Nieco więcej wiemy o zajęciach. Godziny poranne poświęcone były surowej nauce: odbywały się wykłady dla samych członków Liceum; była to część pracy ezoteryczna. Godziny wieczorowe skupiały w gaju Apollina także szerszą publiczność, która o tej właśnie porze stawała się wolna od powszednich zabiegów o kawałek chleba; urządzano dla niej wykłady o charakterze ogólniejszym. Jako pisarz, Arystoteles jednakowo był wielki w obu dziedzinach; można nawet powiedzieć, że

starożytność bardziej ceniła go, jako popularyzatora. Musimy w tym względzie zaufać jej świadectwom: pomniki bowiem pisarstwa ezoterycznego Arystotelesa do nas nie doszły. Były to djalogi — typ literacki, zapożyczony od Platona, lecz silnie przekształcony. Djalog Platona był swobodną rozmową, oprawioną w ramę narracyjną, z przeważającą rolą jednego współrozmówcy, najczęściej Sokratesa. U Arystotelesa materjał rozmowy dzielił się równo między obu przedstawicielami obu poglądów przeciwnych; po opowieści ramowej, zrazu jeden wygłasza mowę obszerną, potem takąż mową obszerną odpowiada mu jego przeciwnik, i nakoniec, w konkluzji sędzia wybrany wypowiada swe zdanie, zgodne, rzecz jasna, ze zdaniem samego autora. Taki był «djalog perypatetyczny», zajmujący odtąd swe miejsce obok «djalogu sokratycznego» Platona i Ksenofonta.

Zupełnie różne od tego pisarstwa, łączącego z powagą treści także nadobną i wytworną formę, było to, którego Arystoteles imał się w swych utworach ezoterycznych. Były to nawet nie tyle utwory, ile wykłady, napisane nie przez samego tylko mistrza, ale pono także i przez jego uczni: co do formy zupełnie bezpretensjonalne, zaciekawiają one wyłącznie swoją treścią. Zato treść owa jest nadzwyczaj różnorodna. Na pierwszym planie stoi tu logika, czyli nauka o prawach myślenia, o pojęciach, sądach i wnioskowaniach. O nauce tej można powiedzieć bez przesady, że stworzona została przez Arystotelesa; dziełami swemi w tej dziedzinie nauczył on myśleć nietylko świat antyczny, ale, jak zobaczymy, i świat nowy. Dalej następują dzieła z zakresu fizyki (t. j. nauki o przyrodzie) i metafizyki, psychologji, meteorologji i zoologji, etyki i polityki, teorji prozy i teorji poezji; każde z dzieł tych zawierało nowe objawienia i dawało bogatą strawę niezliczonym umysłom w starożytnym i nowożytnym świecie. W pracy Arystotelesa było coś wszechogarniającego: jak Homer stoi w zaraniu, tak Arystoteles u kresu Grecji niepodległej; wypływające z Homera zdroje wiedzy łączą się razem

w tym olbrzymim basenie, jakim była świadomość Arystotelesa.

Rozumie się samo przez się, że dzieła podobne wobec ich ściśle naukowego charakteru były nie do pomyślenia bez ogromnej pracy przygotowawczej, bez gromadzeń materjałów, po części sporządzanych przez samego mistrza, po części przez jego współpracowników i uczni; i jeśli już dzieła same uderzają nas swym obszarem i tytaniczną pracą myśli, o której świadczą, to jeszcze większem przejmuje nas zdumieniem to, czego dowiadujemy się o zbiorach materjałów, które u podstawy dzieł owych legły. Dość powiedzieć, że «Polityka» Arystotelesa w swych 10 księgach oparta jest na olbrzymiej pracy o ustroju państwowym gmin greckich i barbarzyńskich, obejmującej 158 ksiąg (z nich niedawno odzyskaliśmy jedną księgę — «o państwie ateńskiem»). Autorem tego zbioru był sam Arystoteles; inne zbiory gromadzone były przez innych członków Liceum, wśród których pierwsze po samym mistrzu miejsce należało do ucznia jego, przyjaciela i następcy, wyżej nadmienionego Teofrasta.

Rzeczywiście, na podobieństwo Akademji, także i Liceum przeżyło swego twórcę; niedość na tem: inny jego członek, Demetrjos z Faleronu, osiągnąwszy w latach 318—308, dzięki wpływowi Macedonji, władzę nad Atenami, zamienił je w instytucję państwową, przyczyniając się w ten sposób do stworzenia tego, co można nazwać «uniwersytetem ateńskim». Obok Akademji przetrwało i Liceum cały okres antyku; w ostatnich stuleciach wstąpiło ono w ścisły z nią związek: nauka Arystotelesa stała się jakgdyby «małemi misterjami» dla tych, którzy mieli dostąpić wtajemniczenia w «wielkie misterja» Platona. I rzecz zrozumiała, że czytanie i wykładanie dzieł pierwszego mistrza stanowiło naczelną troskę i pracę profesorów Liceum; jednakowoż pod tym względem wypadnie stwierdzić od samego początku szczególne zaćmienie, trwające lat dwieście zgórą, a będące zapowiedzią zaćmienia jeszcze dłuższego w wiekach średnich.

Słowo Arystotelesa żyło nadal w Liceum, dzięki jego bezpośrednim i pośrednim uczniom, Teofrastowi i innym; jednakże dzieła jego oryginalne wywiezione były z Aten przez następcę Teofrasta i przeniesione do Skepsydy opodal starożytnej Troi. Tam przechowywały się u jego spadkobierców, lecz nie były wydawane. Nastał czas, w którym królowie Pergamu, współzawodnicząc z Ptolemeuszami egipskimi, założyli własną bibljotekę; ponieważ dla uzupełnienia zbiorów nie cofali się przed rekwizycjami, przeto posiadacze dzieł Arystotelesa uznali za wskazane zakopać je w kryjówce podziemnej, gdzie przeleżały one około stulecia. Nakoniec, znalazł się amator, który nabył ten skarb i przewiózł go do Aten; stamtąd Sulla po wzięciu Aten w r. 83 zabrał go do Rzymu i wtenczas dopiero, dzięki pracowitości gramatyka Tyrannjona, po dwóch z połową wiekach od czasu ich powstania, dzieła Arystotelesa zostały naukowo wydane i stać się mogły dorobkiem całego świata cywilizowanego. Wtenczas też zaczęło się ich czytanie oraz interpretowanie w Liceum; zkolei zaczęto ogłaszać też i komentarze,—słowem wydać się mogło, że ich stanowisko w filozofji wszechświatowej jest ostatecznie zapewnione. W rzeczywistości jednak stało się inaczej, i, jak już wyżej nadmieniono, owo zaćmienie, trwające lat bez mała 250, było jedynie zapowiedzią zaćmienia następnego, o wiele dłuższego.

Nastały wieki średnie; przedstawicielem żywych sił kultury ludzkiej stał się Zachód rzymski, lecz ten wkrótce po zawaleniu się cesarstwa zachodnio-rzymskiego zapomniał języka greckiego. Lgnął on do Arystotelesa, jego nauki, aby z pomocą jej uzasadnić i swoje wierzenia,— lecz nie mając dzieł jego oryginalnych, musiał poprzestawać na okruchach, które swego czasu zostały mu udostępnione dzięki przekładom łacińskim. Dzieła oryginalne przechowywały się niedaleko, w Konstantynopolu, możnaby je stamtąd zdobyć i przełożyć, — fatalny atoli rozdział kościołów postawił niepokonaną zaporę między Zachodem a Wschodem. A tymczasem na Wschodzie no-

wa wyrosła potęga, która stała się kulturalną dzięki zbliżeniu z cywilizacją grecką: byli to Arabowie. I oni to zapłonęli żądzą zapoznania się z Arystotelesem i powzięli głęboki dla niego szacunek; oświeceni kalifowie zachęcali do przekładania dzieł jego na język arabski częstokroć nie wprost z greckiego, lecz z przekładów syryjskich z oryginałów greckich. Ponieważ zaś Arabowie zkolei podejmowali wyprawy na Zachód, nawet założyli swój uniwersytet arabski na samych kresach świata zachodniego, w hiszpańskiej Kordowie, więc dzięki nim i Arystoteles wreszcie dotarł na Zachód. Cudowna, zaiste, droga okólna: przełożony zrazu z greckiego języka na syryjski, potem z syryjskiego na arabski, teraz z arabskiego został przełożony na łacinę. Łatwo wyobrazić sobie, jak bardzo wskutek tych przekładów ucierpiał; a przecież i w tej postaci «nowy Arystoteles» dostarczał bogatego pokarmu głodnemu umysłowi Zachodu europejskiego, w oczekiwaniu owych dni, gdy wielkie Odrodzenie wieku XV da mu i prawidłowe przekłady bezpośrednio z greckiego języka i możność czytania samych oryginałów.

Taki był ów los bajeczny puścizny po mędrcu ze Stagiry. W wiekach średnich znowu stał się on ogniwem połączenia między Zachodem a Wschodem. Nam trudno to nawet sobie wyobrazić, fakt wszakże pozostaje bezsporny: rycerze wypraw krzyżowych i witezie sułtana Saladyna, rozdzieleni wiarą, łączyli się ze sobą na gruncie wspólnego rozumienia Arystotelesa i wspólnej ku niemu miłości.

W czasach obecnych liczba jego czytelników bezpośrednich nie jest zbyt pokaźna. Platon w dalszym ciągu czaruje serca, Arystotelesa czytają prawie tylko specjaliści na polu historji filozofji. Dzieje się tak, naprzód, dlatego, że Arystoteles w dziełach, które nas doszły, jak już nadmieniono wyżej, nie dążył do piękna wyrazu; po-wtóre, dlatego także, że treść dzieł tych jest naukowa, pod względem zaś naukowym Arystoteles został, jak i być powinno, wyprzedzony przez zdobycze czasów nowych. Wszelako ani wielkości jego ani chwale

ten postęp nieunikniony i dobroczynny nie mógł przynieść żadnego uszczerbku. I jak nie ulega wątpliwości, że Hellada, owa Hellada, która pod schyłek wieku IV utraciła swą niepodległość polityczną, była mistrzynią późniejszej ludzkości europejskiej, tak niewątpliwą jest rzeczą i to, że wśród zrodzonych przez nią wychowawców jedno z miejsc naczelnych należy do Arystotelesa.

Jednakowoż tę swoją siłę wychowawczą Grecja przez czas długi ujawniała nie bezpośrednio, lecz przez kulturę innego ludu, który stał się pierwszym jej uczniem, jakgdyby poto, aby z kolei stać się nauczycielem, bezpośrednim lub pośrednim, ludzkości europejskiej; ludem tem był lud Rzymian. Już Arystoteles w swym zbiorze ustawodawstw poświęcił pewną uwagę temu podówczas jeszcze nie bardzo potężnemu władcy Italji środkowej; trzecie wszakże stulecie przeważyło szale wagi wszechświatowej ostatecznie na korzyść Rzymu. I my teraz rozstajemy się na czas pewien z Helladą, ażeby zająć się powstaniem i wzrostem tej drugiej wielkiej potęgi kulturalnej świata antycznego.

POSŁOWIE

Stosownie do mej zapowiedzi w posłowiu do pierwszego tomu «Świata antycznego», który się ukazał dwa lata temu p. t. «Starożytność bajeczna», niniejszy drugi tom, poświęcony «Grecji niepodległej», zawiera «szereg historycznych i kulturalno-historycznych szkiców ze szczególnem uwzględnieniem legendy historycznej». To ostatnie stanowi pierwszą osobliwość niniejszej książki — i to pragnąłbym przedewszystkiem i jak najenergiczniej podkreślić.

Dotychczas bowiem wątpliwy «postęp» w opisaniu dziejów starożytnej Grecji zawierał się w tem, że legendę historyczną radykalnie usuwano, nietylko z rozpraw o charakterze ściśle naukowym, ale i z podręczników, nie wykluczając i tych, które służyły dla pierwszego zaznajomienia się czytelników-niefachowców z przedmiotem. Najdalej poszedł w tym kierunku znany i skądinąd bardzo zasłużony Beloch, który w swej «Selbstdarstellung» wprost szczyci się, że pierwszy tom jego Historji Grecji „rozbił doszczętnie konwencjonalny obraz dziejów greckich, który nam zaszczepiono w szkołach" (str. 16) — t. j. według mego tłumaczenia, zamienił ów tradycyjny obraz, piękny i wzruszający, na swój własny, wcale nie bardziej zbliżony do prawdy, lecz zato suchy, nudny i nic nie mówiący sercu czytelnika. W przeciwieństwie do niego trzy-

mam się zasady Goethego, który orzekł, że „najlepszym owocem historji jest entuzjazm, który ona budzi". I to jest właśnie cechą legendy historycznej. Jej wartość polega przedewszystkiem na jej pięknie: już z tego jednego punktu widzenia było zbrodnią pedagogiczną odbierać ją młodzieży. Co zaś do jej stosunku do prawdy dziejowej, to tu zasługuje na pilną uwagę rozprawa Harnacka o «prawdziwej i kłamliwej legendzie» (Reden und Aufsätze t. I.), jego apologja pierwszej i potępienie tylko drugiej. Otóż wszystkie legendy historyczne, podane w niniejszej książce, należą do pierwszej kategorji. Tym zaś, którzy zechcą mi z tego powodu zarzucić «brak krytyki», odpowiem, że rzecz ma się wręcz przeciwnie: mojem hasłem było i jest — krytyka krytyki.

Rozumie się samo przez się, że moje szkice oparte są wyłącznie na źródłach. Śród tych źródeł na pierwsze miejsce wysuwa się, co też rozumie się samo przez się, aurea legenda starożytnej Grecji, historja Herodota; nie gardziłem jednak i innemi, (nie wyłączając i Pauzanjasza, tak zohydzonego w pewnym obozie filologów), jeżeli tylko znajdowałem u nich odsepy prawdziwej legendy. Zresztą legenda góruje tylko w pierwszych rozdziałach książki; i jest pewna, jak mi się zdaje, organiczna stopniowość w tem, że prowadzę czytelników pierwszych dwuch tomów mego dzieła od mitu do legendy historycznej, od tej znowu do historji ścisłej.

Co do dwuch innych osobliwości niniejszej książki, to wystarczy krótko je wskazać. Jedną jest przewaga elementu kulturalno-historycznego — a więc szkiców literackich, artystycznych, filozoficznych, obyczajowych. Skoro widzimy w Grecji starożytnej źródło naszej kultury, taka przewaga jest zupełnie uzasadniona. Inną znowu jest charakter przeważnie biograficzny opisów ściśle

historycznych: niezależnie od tego, jaką rolę przypisujemy jednostce w historji, niewątpliwe jest, że właśnie takie ujęcie odpowiada umysłom młodzieży, w której widzę najbardziej pożądanych czytelników także i tej książki, oraz zaznaczonej wyżej zasadzie Goethego.

«Grecją niepodległą» nazywa się niniejsza książka. Nie znaczy to, żeby dzieje państw greckich po epoce Aleksandra Wielkiego nie były godne uwagi; ponieważ jednak są one ściśle połączone z dziejami Rzymu, będą podane w trzecim tomie całego dzieła, który już jest przygotowany do druku.

T. Zieliński

Warszawa, Boże Narodzenie 1932

PRACE PROF. TADEUSZA ZIELIŃSKIEGO

WYDANE NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

Z cyklu: Religje światu antycznego:

Tom I RELIGJA STAROŻYTNEJ GRECJI zł. 2.— w opr. 5.—
„ II RELIGJA HELLENIZMU „ 5.— „ 8.—
„ III-IV HELLENIZM A JUDAIZM 2 tomy po „ 6.— „ po 9.—
oprawne razem 15.—

HISTORJA KULTURY ANTYCZNEJ. Tom I. zł. 1.60
„ „ „ Tom II. „ 5.50 w opr. 8.50
2 tomy oprawne razem 11.—
„ „ „ oddzielnie 14.—

IREZYONA. Klechdy attyckie. 2 serje po zł. 1.60 w kart. po 2.50
oprawne razem 5.80

GRECJA. (Budownictwo. Plastyka. Krajobraz).
Wydanie albumowe w opr. ozd. 50.—

LITERATURA STAROŻYT. GRECJI EPOKI NIEPODLEGŁOŚCI
Część pierwsza: ZARYS OGÓLNY. Opracował Tad. Zieliński 3.20
w opr. 6.20
Część druga: WZORY. Opracował Stefan Srebrny.
Dział I. TWÓRCZOŚĆ LUDOWA—EPOS—LIRYKA 3.—
„ II. TRAGEDJA—KOMEDJA 3.—
Dwa działy oprawne razem 9.—
„ III. HISTORJA—FILOZOFJA—WYMOWA zł. 5.— w opr. 8.—

LITERATURA STAROŻYTNEJ GRECJI EPOKI POWSZECHNEJ
Część pierwsza: ZARYS OGÓLNY 7.50

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE POSIADA NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PRACE PROF. TADEUSZA ZIELIŃSKIEGO:

Chrześcijaństwo starożytne a filozofja rzymska —.50
Hermes Trismegistos. (Studjum z cyklu: współzawodnicy chrześcijaństwa) 1.80
Piękna Helena „ „ „ —.80
Rzym i jego religja „ „ „ 2.50
Idea Polski w dziełach Sienkiewicza —.40
Starożytność antyczna a wykształcenie klasyczne —.40
Świat antyczny a my 3.—
Trzy studja: Filarecka poezja Mickiewicza—Uwagi nad Grażyną—Melos w poezji Mickiewicza 2.—
Z życia idej. Studja i szkice 12.—

SPIS RZECZY

ROZDZIAŁ I

OKRES WĘDRÓWEK

Str

1. Wędrówka Doryjczyków 3
2. Kodros 6
3. Założenie kolonij 8
4. Homer 11
5. Likurg 15
6. Hezjod 19

ROZDZIAŁ II

PELOPONEZ

7. Pierwsza wojna Messeńska 29
8. Druga wojna Messeńska 33
9. Hegemonja Sparty 39
10. Kipselos 42
11. Rządy Periandra 47
12 Olimpja i jej igrzyska 57

ROZDZIAŁ III

ATENY

13. Kilon w Atenach 65
14. Solon prawodawca 70
15. Siedmiu mędrców 75
16. Krezus król Lidji 83
17. Poetka Safo 89
18. Ezop 99

ROZDZIAŁ IV

TYRANJA W ATENACH

19. Tyran Pizystrat 111
20. Pitagoras 116
21. Święta Dyoniza 126
22. Władczyni Aten 135
23. Pizystratydzi i Klistenes 145
24. Pindar 151

ROZDZIAŁ V

EPOKA CHWAŁY

25. Miltjades 161
26. Epicharm 166
27. Temistokles i Arystydes 174
28. Eschyl 189
29. Wiek Peryklesa 199
30. Fidjasz i jego współpracownicy 207
31. Sofokles 215

ROZDZIAŁ VI

SCHYŁEK

32. Sofiści 231
33. Wojna Peloponeska 238
34. Przechadzka po Atenach 247
35. Eurypides 259
36. Na wsi attyckiej 271
37. U garncarzy na Ceramiku 284
38. Arystofanes 295
39. Sokrates 308

ROZDZIAŁ VII

KONIEC NIEPODLEGŁOŚCI

40. Druga hegemonja Sparty 321
41. Platon i Akademja 328
42. Skopas i Praksyteles 339
43. Mocarstwo macedońskie 348
44. Izokrates i Arystoteles 364



BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
315281
2.